

Józef Ignacy Kraszewski

Semko



calibre 0.9.27

Józef Ignacy Kraszewski

Semko.

Czasy bezkrólewia po Ludwiku.

Jagiello i Jadwiga.

Tom pierwszy

Rozdział I

Jesienią 1382 roku, w początkach października, mało się jeszcze zbliżanie zimy czuć dawało. Ludzie stąd różne wyciągali wnioski, twierdzili niektórzy, że mrozy i śniegi przyjdą nierychło. A że i ptactwo nie wszystkie jeszcze ku południowi odleciało, inne też znaki przedłużone ciepło zapowiadały — na polach się jeszcze wieśniacy z radełkami około roli krzatali i bydelko z owcami szło na paszę, bo trawa zieleniała jakby wiosną, chociaż tak zdrową i posilną jak wiosenna nie była.

Na Wiśle tuż pod Płockiem rybacy i przekupnie, co różny towar spuszczały z wodą, korzystali z wezbranej jesiennym przyborem rzeki. Z wysokiego brzegu, od zamku widzieć było można tu i ówdzie przesuujące się czółna, łodzie i większe statki.

Wieczór nadchodził i słońce jaskrawo ozłacało obłoki, jak by nazajutrz na wiatr zanieść się miało, gdy duża łódź, którą dwóch ludzi pędziło, ukazała się w dali i kołując a zbliżając z wolna ku brzegom szukała miejsca dla przystani. Szła ona pod wodę, dwaj powożący, to wiosłami, to długimi drągami, gdzie dna mogli dostać, pracowali silnie, aby się oprzeć prądowi. Znali oni widać dobrze Wisłę swą, wiedzieli, gdzie były głębie a mielizny, bo mieniali wiosła i długie żerdzie z wielką pewnością, zawczasu. Ubiór ich wskazywał też, że tutejsi być musieli. Duża ich łódź pełną była niewodów i rybołowskich przyborów, w cebrzyku pluskały złapane płocice i małe szczupaczki. Oprócz dwu przewoźników nie widać było nikogo.

Z bliska dopiero dostrzec można było na dnie garść słomy i wiszaru¹, na nim sukienną pościółkę, a w kącie pod ławą skurzonego coś, szarą osłoniętego opończą. Człek ten, w łódce jakby schowany i ukryty, zdawał się spać czy odpoczywać, głowę miał osłoniętą, twarz zakrytą, niewidoczną. Nie poruszał się długo. Ludzie w milczeniu sterujący ku brzegowi spoglądali nań niekiedy, między sobą coś szepcząc po cichu, jak gdyby budzić go nie chcieli. Nie spał on wszakże i szara opończa, cokolwiek uchylona, dozwalała mu widzieć, gdzie się znajdował.

Łódź miała już przybijać nie opodal od zamku, którego mury na górze i krzyż na tumie² widać było, gdy leżący na pokładzie całkiem opończę odrzucił, głowę uniósł trochę i począł się przygotowywać do wylądowania. Spod kapturka, który odrzucił, widzieć się dawała blada twarz jego i głowa okryta czapczką futrem obramowaną z uszami. Wyszarzana suknia spodnia, ciemnej barwy, z sukna grubego, krojem swym zdawała się oznaczać, że podróżny do duchownego należał stanu. Nosili ją naówczas i tacy, co żadnych święceń nie mając, do nich się przysposabiali.

Jeżeli klechą w istocie był leżący w łodzi, to chyba jednym z tych ubogich, wędrownych, którzy sukni księżej używali, aby w niej po dworach, miastach i klasztorach łatwiej znaleźć gościnę, włóczyć się i zebrać. Znajdowało się naówczas klechów niemało handlujących przepisowanymi modlitewkami, ewangeliami, zaklęciami od chorób, którzy też czytali błogosławieństwa, święcili domy itp.

Z twarzy naszego wędrowca trudno było czegoś się domyśleć, a nawet wiek jego rozpoznać. Starym nie był, ale na młodzieniaszka nie wyglądał. Zarostu wcale prawie nie miał, tylko

gdzieniegdzie rzadki włos krótki, na tej wyschłej roli biednie porastający. Żółta skóra okrywała mu policzki, jakby nalane i zbrzękłe, a fizjonomia, mimo fałdów, co ją pokrywały, więcej wyżyta niż zestarzała, należała do tych, co się z wiekiem zmieniają mało. Dziećmi tacy ludzie wydają się starzy, podżywszy — zdają się młodzi. Rysy miały białą jakąś miękkość, wyraz dziki, szyderski i niemiły. Oczu dwoje ciemnych, małych, ostro patrzących, biegających żywo i niespokojnie, skierowanych teraz na wodę, wlepione w nią nieruchomie, oznaczały, że się zadumał głęboko. Z nałogu poruszały się one, nie widząc nic, i do jednego punktu wracały machinalnie. Ręką jedną sparłszy się na rozpostartej opończy, drugą trzymał na kolanach. Obie one z palcami długimi, suchymi, wybielałe, nigdy pewno nie pracowały, bo ani skóra na nich zgrubieć, ni opalić się nie miała czasu. Wypieszczone były jak niewieście. Żółtawa powłoka twarzy okrywała je także. Włos spod czapeczki wymykający się, nie bujny, jakiejś niepewnej barwy, ciemnawy, w skąpych kosmykach spadał na skroń i szyję.

Z białą tą twarzą i rękami strój się niezbyt godził, bo był zmięty, wyszarzany i ubogi. Sukno, w wielu miejscach barwę postradawszy, świeciło niemi białawymi. Długie poły sutanny nie okrywały nóg, na których proste buty z mało co zadartymi nosami, bez ozdób i oków, jakie wówczas noszono, zrudziałe były i popękane. Skórzany pasek obejmował mu biodra, a przy nim z jednej strony liche, mały mieczyk podróżny w prostej pochwie ze skóry zbrukanej, z drugiej wisiała tobołka³ na guzy spięta, jakiej pisarze w podróży zażywali.

Zaczynało się już ściemniać, gdy łódź nosem się wryła w piasek na brzegu, zachwiała się i stanęła. Z tyłu stojący wioślarz ogromnym drągiem wepchnął ją tak na ląd, aby suchą nogą wysiąść z niej było można. Wstrząśnięcie to nagłe, które myśli podróżnemu przerwało, zmusiło go też zaraz powstać na nogi. Chwycił opończę, otrzepując ją z zielska i słomy, które do niej przylegały, poprawił czapki, ociągnął pas, obejrzał się na dno statku, jakby tam jeszcze szukał czego, i z ludźmi coś poszeptawszy, począł się na brzeg wybierać.

Przewoźnicy spoglądali nań na wpół z poszanowaniem jakimś, wpół z pewną obawą.

Gdy wstał, okazał się niepoczesną, chuderławą figurką, której ręce i nogi długie, laskowate, główka spiczasta na szyi cienkiej osadzona, trochę przygarbione plecy osobliwą powierzchowność nadawały. Twarz zadumana rozbudziła się, gdy powstał, oczy zaczęły biegać żywiej, ale trudno było znowu odgadnąć, czy się z przybycia radował, smucił lub niepokoił nim.

Wyskoczył z łodzi na brzeg dosyć zręcznie, a że zapewne tu nie po raz pierwszy gościł, oczyma rzuciwszy w prawo i lewo, dopatrzył zaraz nie opodal ścieżynę, która pomiędzy płotami dwóch ogrodów pięła się w górę.

Nie potrzebował przewodnika i niełatwo by go tu znalazł w tej porze. Ogrody stały puste, bo z nich rzepę i inne zieleniny powykopywano, badyle tylko suche, połamane tyczki, powyrywane zielsko się gdzieniegdzie walało. Drożyna do rzeki przez rybaków wydeptana wprost prawie na przedmieście prowadziła, pod murami obwodowymi rozsiadła. A że na podzameczu zatrzymywać się nie myślał przychodzić — dostawszy się na górę, między słomą i dranicami kryte chałupy — dalej wąskimi i krętymi uliczkami musiał przedzierać się dobry kawał, nim do miejskiej dostał się bramy.

Stała ona jeszcze otworem, straży nawet przy niej nie było; tylko co bydło z paszy przypędzili

pastusi i w ulicy, która od miejskich wrót do zamku wiodła, widać było jeszcze spóźnione krowy, powolnym krokiem do znajomych sobie domostw dążące. Niektóre u wrót stały i rycząc wpuszczenia się dopominały. W ulicy oprócz pastuszków, bydła, dziewcząt, które z wiadrami pełnymi przesuwały się z jednych podwórków na drugie, mało widać było ludzi.

Miasto chociaż grubym murem z basztami obwiedzione, z dala pokaźne, wewnątrz nie bardzo się czysto i ozdobnie przedstawiało. Jesienne kałuże stały w pośrodku drogi, którą wozy poryły głęboko, gdzieś kupy śmiecia niedaleko od domostw, w części już trawą porośłe, okazywały, że o wywożeniu ich nikt nie myślał, jeżeli deszcze nie sprzątnęły. Bokami tu i ówdzie leżały potrzaskane kładki, aby czasu błota suchą nogą z chaty do chaty przebrnąć można.

Dworki ku ulicy zwrócone lub głębiej stojące w podwórkach, płotami od niej oddzielone, z grubych bierwion sosnowych pobudowane, z dachami wysokimi, wszystkie do siebie podobne, niczym się nie odznaczały od chałup włościańskich, chyba trochę większymi rozmiarami. Nad niektórymi z nich dym się już podnosił, parując przez nieszczelne pokrycie i szparami wyciskając się dokoła. Mało z nich było gliną polepionych, a cokolwiek czystszych lub w dymniki opatrzonych.

Tu i ówdzie zamiast ściany domu wychylał się ogródek z drzewami, na których jeszcze resztkę liści pożółkłych się trzymała⁴; sterczały wrota kryte z futrą lub tyn⁵ i ostrokoły. Nad nimi żurawie studnie występowały ciemno malując się na niebie, jeszcze zorzą wieczorną rozjaśnionym.

Życie przy schyłku dnia całe się już do wnętrza domów tuliło, których pouchylane okienniczki światło ognisk i dym czerwony widzieć dawały. Po nich snuły się cienie niewieście to w namitkach⁶ na głowie, to w wieńcach i kosach⁷.

Podróżny, pod chatami się przesuając, kroczył długo większą ulicą aż ku rynkowi i targowicy, do której nie doszedłszy, zwrócił na prawo między ciaśniejsze opłotki i ogrody i tu do wrót wysokich dopadłszy — chwilę się im przypatrywał.

Wiele im podobnych pominął, rozglądał się więc, czy nie omylił. Większa brama wjazdowa stała już zaparta, dla pieszych była furta osobna na parę wschodów podniesiona. I tę już podróżny znalazł zamkniętą, tak że do niej kołatać musiał.

Nierychło kroki w podwórzu słyszeć się dały, zasuwa w furcie podniosła ostrożnie — i otworzono ją, zobaczywszy przychodnia. Stara kobieta w okopconym od dymu zawiciu na głowie, milcząc, skłoniła się nieco gościowi, który żywo ją pominawszy, szedł ku domowi w głębi stojącemu. Porządniejszym on był i czystszy od innych wielu, okna miał nieco większe i w części zaszklone, a do budynku głównego przytykał rodzaj kuźni, teraz już zamkniętej. W progu domu stał opasły mężczyzna, w opończy i skórzanym pod nią fartuchu, wyglądający ciekawie, kto tak późno się do niego zgłaszał.

Mężczyzna był lat średnich, twarzy rumianej, okrągłej, z brwiami grubymi, z usty szerokimi, opasły, zażywny i śmiało na świat patrzący, jakby mu na nim dobrze było.

Spostrzegłszy nadchodzącego, uśmiechnął się wesoło i ręką go witać zaczął, na co gość odpowiedział znakiem porozumienia i nie drożąc się zbytnio, ani powitawszy go nawet, wszedł zaraz

do środka.

Izba, do której przez sień się dostali, musiała być gościnną, bo w niej, oprócz stołów, szaf, ław i ogniska, nic więcej nie było. Na policach kilku, na których naczynia różne ustawiono, przeważały miedziane, bo gospodarz z powołania był kotlarzem i sporządzał je do dworów i kościołów. Niektóre z nich, całe misterne, wyobrażały dziwaczne zwierzęta z dziobami i paszczami do nalewania służącymi. Podłoga była z grubych dylów ułożona, co naówczas prawie się za zbytek uważało, gdyż w większej części domostw tok ubity i piaskiem posypany ją zastępował.

Gdy podróżny wszedł, a opasły gospodarz drzwi za nim zamknął, zrzucił z siebie grubą opończę i jeszcze suchszym a chudszy się wydał w czarnej sutannie, która go okrywała.

Nie przemówiwszy słowa przeciągnął się, strząśł i obejrzawszy dokoła, dopiero z cicha do gospodarza po niemiecku zaszwargotał.

Z pewnym poszanowaniem obchodził się z nim kotlarz i nalegać nawet rozmową nie śmiał. Po chwili namysłu zdjął mały kubek z półki, począł go ocierać wiszącym przy nim ręcznikiem, poszedł do alkierza i wyniósł pod pachą beczułkę, z której go napełnił.

— Napijcie się — rzekł. — Po podróży to zdrowo. Niech Bóg szczęści! A jak przybyliście, ładem?

Gość ramiona podniósł.

— Gdzież tam, na czólnie, wodą...

— Tym pilniej się rozgrzać potrzeba, bo teraz na wodzie chłód do kości przejmujący.

Przyjął kubek ofiarowany przybyły, ale drugą ręką wskazał na zrzuconą opończę, która go od zimna chroniła.

— Skąd jedziecie? Wolno zapytać? — zagadnął gospodarz, w oczy patrząc pijacemu.

Zamiast odpowiedzi klecha pokazał w stronę, w którą Wisła płynęła. Rozumieli się widać, bo otyły gospodarz nie pytał więcej, odebrał opróżniony kubek i nalał go po raz wtóry, ale klecha, nie pijąc, na stole postawił.

Zapach wina mocny rozszedł się po izbie. Gość przystąpił bliżej ku ognisku, które było trochę przygasło. Zacierał ręce, dumął, jakby się gotował do rozmowy, na którą kotlarz czekał niecierpliwie.

— Książę wasz doma? — odezwał się podnosząc głowę.

— Był tych dni około Rawy na łowach — odpowiedział otyły — ale powrócić pewnie musiał lub tylko co go nie widać.

— Co u was słyhać? — bystro spozierając począł klecha.

— Cicho dotąd, nowego tak bardzo nie ma nic. Młodemu nudno na pustym gnieździe, choć koło niego zawsze kupy ludzi dworują z Mazurów i z Wielkopolski. Po ojcu, co się zostało, na sokoły, psy i konie, i na druhów się rozeszło. Grosza podobno skąpo — a bez niego życie nie miłe.

— Czymże się on zaprząta?

— Łowami, no i tymi, co mu dworują, albo to wy nie wiecie — mówił kotlarz. — Jak go ojciec wychował, takim wyrósł. Inni książęta, ot, niechaj na przykład szląscy, wyglądają zupełnie jak nasi niemieccy, strojno, gładko, kochają się w sukniach pięknych, w śpiewie, w muzyce, w igrzyskach rycerskich, po kilka języków umieją. Tego ojciec trzymał przy sobie, między grubymi ludźmi, nie puszczał w świat, bał się z niego zrobić Niemca, jak powiadał, a wyrosło to na takiego dzikiego szlachcica jak inni i z nimi też mu najmiłsza zabawa. Prawda, lubi i on wystąpić, ubrać się, ale tak jak tu z wieków bywało...

Ruszył ramionami kotlarz.

— I nie zachciewa mu się to nic więcej nad łowy po lasach? — zapytał gość.

— Kto go wie? — odparł gospodarz. — Z ojca to oni mają, że się na niebezpieczne sprawy porywać nie chcą, a i siły nie po temu. Janusz czerski⁸ szczególnie rad by ze wszystkimi w zgodzie żyć, aby jego w pokoju zostawiono. Gdyby nie to, nie ostałyby się Mazury całe, bo nad granicami raz w raz gore.

Klecha głową pokręcał.

— Z tym młodszym, co go tak szlachta bardzo kocha, bo do niej jest podobny, zostać to tak nie może — odezwał się.

— Coś się tu już podobno rusza — dodał ciszej — i jam po to przybył, ażeby się dowiedzieć. Słuchaj, Pelcz, maszli kogo, poślij pod zamek, aby mi się dopytał, czy Semko⁹ powrócił z Rawy.

Posłuszny kotlarz natychmiast pospieszył do sieni, zawołał głośno, dał rozkaz i bosy chłopak przez schody, na wprost, wyrwał się ku zamkowi. Ściemniało tymczasem dobrze, i stara sługa zabrukana, która wrota otwierała, weszła stół nakryć, a tuż za nią w progu zjawiono się młode dziewczę, dość ładne, z miną bardzo zalotną, przystrojone do gościa, które zobaczywszy kotlarz się zmarszczył. Była to Anchen, córka jego, na którą gorące, pożądliwe oczy skierował klecha, ręką jej śląc powitanie.

Dziewczę się mocno zarumieniło, chciało pozostać, miało ochotę zabawić, ale Pelcz tak się krzywił i zżymał, iż wkrótce odejść musiało. Tym grzeczniej potem, płacąc za to, kotlarz począł sam posługiwać klesze, gdy mu jedzenie przyniesiono.

— Pożywajcie, co Bóg dał — rzekł do niego — nie wyda się wam smaczną strawa nasza tutejsza, bo tu nie ma ani z czego, ani komu zwarzyć po ludzku. Póki żyła nieboszczka, wszystko było inaczej, a Anchen do kuchni szkoda.

— O mnie się nie frasujcie — odezwał się, zajadając chciwie, klecha — mnie wszystko jedno, czym się nakarmię, byłem głodny nie był.

Sam, nie siadając, Pelcz stał przy stole i patrzył, czekał, nalewał, podsuwał — nierychło ośmielając się na nową rozmowę.

— A u naszych panów co słyszeć?

Klecha mruczał jedząc.

— Cóż ma być! Zawsze jedno. Wojna i wojna, bez niej by życia nie było. Jak nie ma kogo bić, trzeba myśleć, żeby się z czego spór zrodził. Gdy goście przyjadą, mało ich stołem przyjmować, trzeba, żeby mieli pogan, na których by zapolowali. Litwa na to dobra, że tam, nim się jedna skończy wyprawa, do drugiej zawsze już jest przyczyna.

— O terażniejszym mistrzu¹⁰ mówią, że on sam podobno do wyprawy nie tak jest skory? — mówił Pelcz.

— Ma on co robić bez tego — ciągnął dalej klecha — a wyręczyć się jest kim. Wie on lepiej, co mu przystało. Kraj nie mały do rządzenia i zagospodarowywania; toż to monarcha niemal jest, taką ma siłę i władzę. Na żołnierzach, wodzach mu nie zbywa. Rycerstwo płynie z całego świata, a jakie! To widzieć trzeba!

— Ale co ono kosztuje! — syknął Pelcz. — Goście to drodzy, karmić ich trzeba, pić i to nie lada czym, a w końcu i obdarzyć po królewsku.

— Nie bójcie się, na wszystko stanie! — rozśmiał się klecha.

Pelcz dał znak pokornego przyzwolenia, a że kubek stał próżny, nalał go.

— Z Litwą, słyszę — począł znowu — pono do jakiegoś przyjdzie końca. Powiadają, że książęta ich przyciśnięci, chcą się chrzcic wszyscy, a kraj gotowi oddać w opiekę panom naszym. Z Polakami trudniej, bo to już niby chrześcijanie są, a z nimi coraz się trzeba o jaki kawał ziemi ujadać.

— Z nimi! — wtrącił klecha. — Eh, pójdzie łatwiej niż z Litwą, byle się Zygmunt Luksemburczyk¹¹ utrzymał, toć nasz!

— A z nim zrobią, co zechcą. — A jakżeby on znowu miał się nie utrzymać! — mówił Pelcz. — Siłę ma wielką, Węgrów, Czechów, Niemcy pomogą. Chcą go Polacy czy nie, a będą musieli przyjąć.

Klecha, nic na to nie odpowiadając, ocierał już usta, gdy chłopiec zjawił się w progu i nie idąc dalej, zawołał głosem ochryplym:

— Wrócił Semko!

Wiadomość ta wyjaśniła klesze twarz — chłopiec zniknął.

— Do zamku dziś już nie pora — odezwał się — każcie mi gdzie posłać, choćby kul¹² słomy, abym się przespał do rana.

Opasły Pelcz poszedł żywo do ogniska, zapalił przygotowane łuczywo i niosąc je w rękę wprowadził podróżnego do sąsiedniego alkierza, pokazując mu łoże już przygotowane, szerokie, wygodne, na którym we dwu przespać się mogli.

— U mnie dla was gospoda, zawsze gotowa — rzekł — i dla tych, co od naszych panów przybywają. Napijcie się jeszcze, aby sen przyszedł prędko, kładnijcie z Bogiem, i odpoczywajcie.

Miał może ochotę Pelcz dłuższą prowadzić rozmowę z gościem, aby się od niego coś więcej o panach swoich dowiedzieć, ale klecha przeraźliwie ziewał, opończę swą z ławy wziął i zaraz szedł na łoże, na którym się wygodnie do snu umieścił.

Pelcz, pozostawszy na nogach, stąpił na palcach ostrożnie, ażeby snu mu nie przerywać.

Nazajutrz rano przy pogodzie szronem jesiennym pokrył dachy i powietrze znacznie ochłodziło. Ale słońce wschodziło jasne, dzień się obiecywał piękny. O wczesnej godzinie polewka grzana już była dla klechy gotowa, który, kamiennym snem całą noc na jednym boku przespawszy, zerwał się, gdy posłyszał krzątającego gospodarza.

Przez podniesione w pierwszej izbie u okien kłapy jasne promienie słońca, wpadały.

— Bylem się na zamek nie opóźnił — zawołał przebudzony — bo księżę gotów gdzie wyruszyć na łowy! Dzień by był stracony.

Pospiesznie się zawinął z umywaniem i polewką, a choć jak powiadał, do księcia się wybierał, stroju nie odmienił. Taż sama suknia wyszarzana i pomięta służyła mu znowu. Opończę tylko ciężką u gospodarza zostawiwszy, któremu coś szepnął na ucho, choć rano było chłodny, w sutannie jednej z dworów wyszedł.

Po drodze wyglądającą przez drzwi Anchen pozdrowił od ust całusem i spiesznie ciągnął na zamek, dopóki w ulicę nie wszedł. Tu zwolnił kroku. Oczy zaczął rzucać na wszystkie strony, śledząc pilno, co mu się nawinęło — ludzi, wozy, dwory, ruch koło nich, przechodniów i po budach przy oknach siedzących przekupniów. Nic jego uwagi nie uchodziło, ani konie do wody prowadzone, ani czeladź zamkowa, która się po mieście uwijała, ani nawoływania przejeżdżających zbrojnych... A choć do kościołów w tumie i u benedyktynów na msze właśnie dzwoniło, a suknia jego powinna go tam była naprzód zawrócić, prosto zmierzał ku zamkowi.

Tu, mimo wczesnej godziny, widać było ruch dość żywy i przytomność księcia czuć się dawała. We wrotach stała straż dobrze, ale ze staroświecka uzbrojona, w pierwszym podwórzu konie opatrywano, służby i dworaków różnie poodziewanych kręciło się siła. W drugim dziedzińcu, gdzie stały izby książęce, gawiedzi wszelakiej więcej jeszcze było. Na wchodzącego klechę mało kto zważał, ale on, z wolna posuwając się ku głównemu wniściciu, oglądał się, stawał i bacznie rozpatrywał.

Tak się dostał do wielkich drzwi otwartych, które spod słupów do sieni prowadziły. Wielka sień ludzi i gwaru pełną była. Czeladź miejscowa i gościnna, zobaczywszy ubogiego klechę, nie zdziwiła mu się, ale go i nie uszanowała.

Była to właśnie godzina ранego obiadu, który wówczas, za ledwie wstawszy, pożywano. Zatrzymawszy się tu, klecha mógł się napawać wonią niesionych mis, które silnie korzennymi zaprawami czuć było. Do środka go nikt nie prosił, a on też się nie napierał. Popychano go, na co się nie skarżył, na stawiając uszu i oczu.

Byłby tak może dłużej tu pozostał na przesmyku, gdyby poważny z laską w ręku mężczyzna, wyszedłszy z komnat książęcych, nie zobaczył go i nie zagadnął.

Był to marszałek książęcy, którego Żebro zwano, jeszcze z czasów starego Ziemowita¹³ będący na dworze. Przystąpił do niego z wolna. Pokornie, z przesadzoną uniżonością pokłonił mu się klecha.

— Jestem skryptorem¹⁴ — rzekł — czasem ksiądz kanclerz dawał mi jaką robotę.

— Jak was zowią? Skąd jesteście? — zapytał Żebro, patrząc na wytartą sutannę.

— Z Poznania jestem, klecha wędrowny — jąkał się nieco przybyły. — Zowią mnie Bobrkiem. Po pańskich dworach, po plebaniach, gdzie albo czasem co przeczytać, lub napisać potrzeba, służę. Ksiądz kanclerz mnie zna trochę.

Żebro popatrział mu w oczy.

— Ano to dobrze — rzekł — ale u nas nie zbywa na skryptorach: dwa klasztory mamy pod bokiem.

Pokłonił się Bobrek.

— Nie odpychajcie biednego klechy — rzekł pokornie.

Marszałek, pomyślawszy, na drzwi mu ukazał, które właśnie służba otwierała, misy jedne niosąc, drugie opróżnione wynosząc i liżąc po drodze.

Izba, do której Bobrek wsunął się bardziej, niż wszedł, obszerną była dosyć, sklepioną i kilką głęboko w murze osadzonymi oknami oświetloną. W jednym jej końcu stół był zastawiony właśnie, przy którego jednym końcu na wysłanym krześle siedział młody Semko, czyli Ziemowit, książę mazowiecki. Dalej po obu stronach widać było osób kilkanaście, w większej części poubieranych po staremu, z prosta i niewykwintnie, szlachtę mazowiecką i wielkopolską — i starych dworzan a urzędników książęcych.

Głosy wesołe, podniesione, niemal poufałe słyszeć się dawały, rozlegając po sali. Ci, co się nie śmieli, do śmiechu pobudzali.

Dwóch tylko poważniejszych biesiadników, bliżej księcia siedzących, twarze były zasepione. Jednym z nich był mąż rycerskiego oblicza, pięknej twarzy bliznami kilką przeciętej, z włosom już poproszonym siwizną. Odziany był w kaftan skórzany, wyszywany wzorzysto, ale już dobrze

wysłuszony. Ten słuchał rozprawiających głośno i głową tylko potrząsał. Drugim był duchowny średnich lat, z łańcuchem na szyi, twarzy rysów pospolitych, lecz myślącej, jasnego wejrzenia. Ten także do wrzawliwej nie mieszał się rozmowy.

Książę, naprzeciw rozparty w swym krześle, był zaledwie rozkwitającym młodzieńcem, choć z obyczajem tamtych wieków, gdy piętnastoletni już na wojnę chadzali, mógł się za dojrzałego uważać. Piękna, zdrowiem jaśniejąca twarz jego, opaloną nieco, okalał bujny włos długi, spadający na ramiona. Bródka i wąs, zaledwie się wysypujące, nie tknięte jeszcze były żelazem. Czarne oko żywe, usta dumne a pańskie, rysy regularne, cera świeżości pełna — dawały mu prawdziwie rycerskie i pańskie oblicze, ale w postawie, ruchach, w twarzy nawet było razem coś rubasznego i prostaczego.

Tej ogłady rycerskiej, jaką dawały obyczaje zachodnie, już zniewieściałe trochę i pieszczone, nie było w nim śladu. Prócz tego wyraz młodzieńczej twarzy nie był wcale łagodnym. Szczególniej brwi, oczy i usta, gdy je żywsze poruszyło uczucie przybierały łatwo coś butnego i sierzdzistego.

Ojcowska krew gorąca odzywała się może w młodym mazowieckim księciu. Semko ubrany był wedle ówczesnej mody, lecz nie tak wytwornie jak inni książęta, co się na francuski i niderlandzki obyczaj zapatrywali. Miał na sobie kaftan jedwabny, szyty jedwabiami, ale już dobrze przenoszony, na nim zwierzchnia suknia z rękawami długimi, spuścistymi, które po obu stronach krzesła się zwieszały aż do ziemi. Na nogach obcisłe spodnie wchodziły w owe polsko–krakowskie buciki z nosami zakrzywionymi do góry, które cała Europa od nas przejęła.

Ujrzawszy wchodzącego klechę, książę się zmarszczył i zadumał, jakby go chciał sobie przypomnieć. Z wolna oblicze mu się wyjaśniło, skinął głową obojętnie, a jasnego oblicza duchowny siedzący za stołem pozdrowił klechę ręką i rzekł doń żartobliwie:

— *Ave, frater.*¹⁵

Bobrek, ręce na piersiach położywszy, kłaniał się nisko.

— Skądżeś to znowu do nas zabłądził? — zapytał duchowny.

— Włóczę się po świecie, jak zawsze — rzekł klecha. — Gdzie mnie nie ma? Jak ptak za żerem biedny klecha musi wędrować.

— Jeżeli mu to wędrowanie do smaku — przerwał duchowny — boć gdyby chciał miejsca zagrzać, łatwo by je znalazł, ale są ludzie jak ptacy, których natura do wędrowek zmusza.

— A, są może, inni, ale człek by chętnie siedział, gdyby było gdzie sięść — mówił Bobrek. — Po klasztorach obcych ludzi pełno, którzy nam chleb odjadają, na prebendy¹⁶ i urzędy chudy pacholek się nie dostanie.

Niektórzy z gości, nie przysłuchując się tej rozmowie, pomiędzy sobą szeptali, śmieli się i czym innym zajmowali, Semko niekiedy na klechę spoglądał.

— Z czegoż żyjesz? — zapytał jeden z panoszków¹⁷.

— Z łaski Bożej i pańskiej — kornie odparł Bobrek. — Dla biedaka i prószyny ze stołów bogaczy spadające starczą. Napisze się błogosławieństwo, odmówi modlitewkę, przeczyta ewangelię, odśpiewa pieśń pobożną. Niejednemu przywilej drogi zechce się kazać przepisać dla dzieci. Zaklęcia od febry, od innych chorób, do noszenia na piersiach, i inne świętości pisane także się potrafi dostarczyć.

Wtem Semko przerwał nagle:

— Z Poznania jesteś? Idziesz więc stamtąd?

Bobrek się trochę zawahał z odpowiedzią.

— Trochę dawno jestem z Poznania — rzekł. — Człowiek się wlecze ode dworu do dworu, od miasteczka do miasteczka, nie jako chce, ale jako może.

— A nie ograbili cię tam po drodze? — wtrącił wesoło jeden ze szlachty.

Bobrek pokazał swą ubogą odzież i próżne kieszenie.

— Nie ma co ze mnie wziąć — odparł — chyba życie, a to się nikomu na nic nie zdało.

— Jeżeli teraz roboty żadnej nie masz — odezwał się duchowny w łańcuchu, za stołem siedzący — przyjdź do mnie, znajdę ci co do przepisywania. Ale lada gryzmołą mnie nie zbędzisz, bo ja lubię, żeby było malowano, nie pisano, a litery na papierze muszą mi stać jak kwiatki na polu.

Klecha pokłonił się nisko, wykrzywiwszy usta. Semko, po trosze jedząc, trochę popijając, gwarząc ze szlachtą, przypatrywał się Bobrkowi, może w nadziei, że taki ubogi włóczęga, jak to było w obyczaju, pocznie błaznować, zabawiać ich i do śmiechu pobudzi. Ale Bobrek nie zdawał się do tego przydatnym, spode łba tylko patrzył, ubierając się w taką pokorę i uniżoność, że się aż żal robiło, patrząc na biedaka, a to upokorzenie sukienki zakonnej litość budziło.

Posłuchanie dane biedakowi zdawało się ukończonym, przybysz nie miał już tu co robić, otrzymawszy od kanclerza obietnicę zajęcia, ale nie wyganiano go i on sam wynosić się nie myślał. Stał przy drzwiach, do ściany się przytuliwszy.

Duchowny w łańcuchu, kanclerz książęcy, najwięcej się nim zajmował. Czuł w nim brata po piórze, bo w całym tym dosyć licznym towarzystwie ich dwu podobno tylko było, co pisać i czytać umieli.

Bobrek byłby może musiał się wysunąć, choć mu się odchodzić nie chciało, gdyby w tejże chwili w dziedzińcu nie dały się słyszeć żywo nadbiegające konie, a wprawne ucho siedzących u stołu chwyciło, oprócz tętentu koni, brzęk żelaza, zwiastujący przybycie ludzi zbrojnych. Wszyscy ku drzwiom zwrócili wejrzenia ciekawe, zrobiło się cicho, a w sieni głos marszałka zwiastował czyjeś przybycie.

Jak zawsze, gdy coś na nim niespodziane czyniło wrażenie, Semko podniósł głowę i brwi mu się ściągnęły groźnie. Naówczas twarz jego piękna i młoda tym, co starego Ziemowita pamiętali,

przypominała nieco oblicze jego chmurne i nasrożone. Z głową ku drzwiom zwróconą księżę czekał na oznajmienie marszałka o przybyciu jakiegoś gościa, nie domyślając się, kto to mógł być. Gość zresztą nie był tu rzadkim, bo szlachta się chętnie do niego zbiegała. Był on niemal jedynym z książąt krwi Piastów, z którym się swoim językiem rozmówić mogła.

Korzystając z tego, iż uwaga została odwróconą od jego biednej osóbki, klecha u drzwi stojący odsunął się od nich nieco, a przylgnął do ściany w kącie tak, że go prawie widać nie było. Nie ustępował jednak.

Głos marszałka zbliżał się do drzwi, otwarto podwoje i w ramach ich ukazała się, jak oprawna w nie, śliczna postać, niby posąg rycerza. Mężczyzna był lat średnich, cały jak z żelaza Wykuty, trzymający się prosto, wzrostu słusznego, odziany po podróżnemu a żołniersku. Z głowy był nawet nie zdjął jeszcze błyszczącego hełmu, na którego wierzchu widać było na drutach rozpiętą białą chustę zawiązaną i czerwono, jakby krwi kroplami, poznaczoną. Było to godło jego, stary Nałęcz.

Nie był on tak dla oka przystrojony, jak wielu naówczas rycerzy dworaków i turniejowych szermierzy, którzy więcej się na podwórcach pańskich popisywali przed kobietami niż w polu przed nieprzyjacielem. Zbroja na nim nie była złocona ani szmelcowana, prosta, żelazna, ale zrobiona do miary, do kaftana, i leżała na nim jak ulana. Wszystkie jej części, naramienniki, nagolenniki, napierśnik przystawały do siebie, a rzemyków im w podróży nie popuszczono. Ogromny miecz na pasie rycerskim wisiał u boku, mały mieczyk miał pod ręką. Z obramowania żelazem wyglądała twarz z wąsami i krótką bródką, męska, opalona, pełna, kraśna, z oczyma szczerymi a mężnymi, które kłamać nie umiały. Patrzył śmiało i dumnie.

Zobaczywszy go, księżę pozdrowił, nie powstając z siedzenia, niektórzy z szlachciców siedzących przy stole popodnosili się z ław i ręce wyciągnęli wołając:

— Bartosz! Bartosz!¹⁸

On, hełm zdjawszy, szedł wprost do księcia.

— Miłościwy Panie — rzekł — przebaczcie, że najeżdżam jak Tatarzyn... (obejrzał się dokoła, jakby chciał być pewnym, że obcych tu nie ma). Wielka mnie tu i pilna sprawa przygnała.

— Aleście mi wy miłym gościem zawsze — odezwał się Semko wesoło, uprzejmie patrząc na niego. — Jesteście w domu, w którym, spodziewam się, wojować z nikim nie będziecie, idźcież naprzód złożyć ciężką zbroję i przybywajcie do nas.

Rycerz stał jeszcze, uśmiechając się do witających go panoszków.

— Tyle tylko, Miłościwy Panie — odparł — że z ramion to żelazo zdejmę i na powrót je zaraz znowu przyjdzie wdziać, bo — czasu omal, robota pilna!

Odwrócił się i szedł, ale po drodze bracia szlachta dłonie mu wyciągali, a zatrzymywali, spoglądając z poszanowaniem i miłością.

Ledwie się za nim drzwi zamknęły, biesiadnicy księżący z wielką żywością rozprawiać zaczęli.

— Bartosz z Odolanowa¹⁹, Bartosz z Koźmina²⁰ — odzywało się ze wszystkich stron. — Bartosz kiedy przybywa, to nie darmo!

Kanclerz tymczasem, rozglądając się po sali, klechę w kącie zobaczył. Dał mu znak.

— Idźcie do mojej izby — rzekł. — Poczekajcie tam krzyne, przyjdę niebawem.

Nie chciało się wcale Bobrkowi stąd wychodzić, właśnie teraz, gdy się spodziewał posłyszeć coś ciekawego, poskrobał się po głowie, skłonił niezgrabnie, skrzywił usta i rad nierad wysunął się za drzwi.

W sieniach trochę się namyśliwszy, zawsze z taką pokorą, która, wedle przysłowia, ma przebijać niebiosa, ale na ziemi najczęściej wzgardę obudza i lekceważenie, Bobrek dla zyskania na czasie u najgłupszego z czeladzi począł pytać o izbę kanclerza. Pokazano mu ją natychmiast, tuż około zamkowego kościoła. Klecha poszedł w tę stronę, lecz czy przez niepohamowaną ciekawość, czy z nałogu zatrzymał się po drodze około ludzi i koni przybyłych z panem Bartoszem z Odolanowa, który przyjechał się księciu pokłonić. Suknia jego duchowna, choć wytarta, wzbudzała zawsze trochę uszanowania, pachółkowie tak butno jak sam pan wyglądający na zapytanie, skąd przybyli, odpowiedzieli, że spod Kalisza jechali, z panem Bartoszem z Odolanowa.

Imię to samo już dosyć mówiło. Na Kujawach i w Wielkiej Polsce imię starosty, pana na Odolanowie, Więcborku, Koźminie, Koźminku, Niebożycach i Złotej, było tak powszechnie znane, iż nie potrzebowano żadnego objaśnienia.

Mąż to był dzielności wielkiej, umysłu żywego, niczym nie ustraszonej odwagi, ducha niespokojnego i przedsiębiorczego, a przy tym taki miłośnik spraw rycerskich, że gdy mu ich zabrakło doma, gotów był szukać i za granicą. Potwarzą to może było, ale rozpowiadano, że tęskniąc za turniejami i zabawami rycerskimi czasami ich nawet u Krzyżaków szukał, a oni, co polskiego imienia i człowieka znosić nie mogli, pana Bartosza z Więcborka szanowali i wychwalali, powiadając, że teutońskim²¹ ani żadnym z rycerzy Zachodu nie ustępował. Ale znano go też jako dumnego i nieunoszonego²² panka, z którym po dobremu można było uczynić wszystko, przemocą zaś i siłą — nic, bo nad sobą nie cierpiał nikogo.

W szyku bojowym taki Bartosz stał za dziesięciu, bił się straszliwie, a gdy miecz swój obosieczny ujął w szerokie dłonie, gotów był nim człowieka przeciąć na poły. Z kopią w ręku, gdy nią tknął jeźdźca, nie było przykładu, aby się który w starciu na siodle utrzymał. On to był, co wyzwany na ostre przez Białego księcia²³, gdy się on poddać musiał, włócznią mu ramię strzaskał tak, że długo na nie leżeć musiał i już mu potem na zawsze od wojaczki ochota odpadła.

Dosyć więc było powiedzieć o Bartoszu z Odolanowa lub Koźmina, aby ludzie wiedzieli, że to znaczyło albo wojnę jakąś, lub rycerskie zapasy.

Posłyszawszy to imię, klecha się zadumał, bo i on znał go i wiedział, że darmo czasu nie traci, a gdy do Płocka przybył, coś za nadrą wiozł ciężkiego.

Bobrek oczyma rzucił na dworzec książęcy i — westchnął, żal mu było stąd odchodzić, bo chudzina podsłuchiwać był bardzo ciekawy. Nazad powracać tam, skąd go odprawiono, niepodobna było i, po krótkim namyśle, powlókł się ku mieszkaniu kanclerza.

Łatwo mu by je było znaleźć, choćby nie wiedział o nim, bo właśnie w takiejże wyszarzanej półduchownej sukieneczynie, z krótko postrzyżoną głową, z dużymi rękami z ciasnych rękawów wystającymi, blady wyrostek stał tu w progu i ziewał, to usta zasłaniając dłonią, to robiąc znak krzyża świętego przed nimi, aby szatana nie dopuścić do środka.

Był to, jak się łatwo domyślał, uczeń, *amanuensis*²⁴, pisarzy na początkujący przy kanclerzu. Pozdrowił go Bobrek tym oznajmieniem, że mu tu oczekiwać kazano. Popatrzyli się na siebie oba, a że ława pod ścianą stała próżna i kot tylko drzemał na niej, siedli razem.

Chłopak miejscowy, na własnych śmieciach czując się śmiałym, choć starszego od siebie klechę wędrownego rozpytywać począł, skąd, po co i od kogo tu przybył. Bobrek tak mu się prawie wypowiedział jak we dworze, a dodał, dla rozproszenia obawy, iż długo tu bawić nie myśli. Posądził bowiem chłopaka, że nań może koso i niechętnie patrzeć, gdy się złęknie, aby mu chleba nie odebrał.

Chłopcu rzeczywiście dopiero teraz się usta otworzyły swobodniej i począł na rzucane pytania odpowiadać ochoczo.

Bobrek okazał na tej indagacji niepospolity talent do wyciągania z człowieka, co chciał. Marne słoweczko puszczał jak wędkę, na której końcu drgał robaczek, i za każdym razem z chłopca coś wydobył. Nie tylko pana swojego kanclerza musiał mu odmalować służka, ale i księcia Semka, i dwór jego, na ostatek siebie samego i tych, co tu kiedykolwiek gościli. Rozmowa albo raczej wyciąganie na słowa szło tak ślicznie i gładko, że ten, co się spowiadał, sam nie wiedział, jak się wygadał i, co tylko miał gdzie schowanego, wydobył dla gościa.

Słuchając Bobrek nie spuszczał z oka podwórca ani ludzi, co po nim chodzili, nie uszło ucha jego żadne wołanie, żadne poruszenie około pańskiego dworu. Oczy biegały żywo i jak skoro się nie znana postać pokazała, o każdą poczynało się badanie.

— A to kto?

Nazwisko usłyszawszy, wnet gadatliwe chłopię za język ciągnął: — Co ten ktoś robił?

W końcu tej coraz poufalszej i więcej ożywionej gawędki, gdy kanclerz, przeciw wszelkiemu oczekiwaniu, nie przybywał, spytał o to chłopca, czy Bartosz z Odolanowa, który właśnie tu nadbiegł, częstym gościem w Płocku bywał.

— Dawniej to go tu słyhać nie było — odparł chłopak — ano teraz już niemało razy przyjeżdżał.

— Książę go lubi?

— Pewnie! Powiadają, że do spraw rycerskich mistrz to wielki, a księciu one miłe, bo się do nich urodził.

— I na łowy go pewnie zapraszać muszą, do Rawy, a może do Czerska²⁵ i Warszawy? — wtrącił Bobrek.

Chłopiec głową potrząsał.

— O Czersku nie wiem nic — rzekł. — Do łowów innych księżęta mają towarzyszków, a to człowiek do wojny. Prawią o nim, że jest jak te ryby, które w stojącej wodzie nie wyżyją. Jakby wojny nie stało, zrobiłby ją umyślnie.

Śmiejąc się Bobrek poklepał go po ramieniu.

Rozdział II

Chociaż ksiązę i goście jego już byli zjedli i obrusy ze stołów zdejmować miano, gdy przybył Bartosz z Odolanowa, kazano dla niego nowe misy przynosić i wina, które aż z Torunia tu przywożono, więc też je toruńskim zwano. U Krzyżaków bowiem, choć wojną żyli, teraz kupczenie wszystkim coraz górę brało. Nie handlowali oni sami, ale pod ich bokiem i zasłoną niemieckie przybłądy. Po miastach ich kupi²⁶ wszelakiej było podostatkiem, u nich we wszystko zamorskie najłatwiej się było zaopatrzyć, tak co do stroju, uzbrojenia, jak i co do gęby należało. Owe drogie naówczas pieprze indyjskie, imbiery²⁷, muskaty²⁸, ziarna rajske²⁹, przyprawy wszelkie, w których się lubowano, niemieccy kupcy i dla panów swych, i dla tych, co dobrze płacili, okrętami sprowadzali. W Toruniu składy wina wielkie były i przednie, bo Krzyżaka lada czym poić nie było można, i goście, co do nich przybywali z za świata, także do dobrego byli przywykli.

Stół na nowo zastawiony czekał na Bartosza, choć część szlachty, ręce pomywszy, rozchodzić się zaczęła po zamku.

Bartosz, zbroję złożywszy, miecz odpasawszy, w kaftanie jednym, z małym tulichem³⁰ tylko u pasa, wszedł na powrót, pokłon czyniąc księciu.

Oprócz kilku Mazurów w końcu stoła pozostali przy księciu kanclerz i stary wojewoda Abram Socha³¹. Ten w wojskowych sprawach jak za starego Ziemowita, tak i teraz był prawą ręką, bo rozum i doświadczenie miał, a wierność dla swych panów wypróbowaną; Semkowi zaś lat jeszcze dwudziestu nie mającemu na tym zbywało właśnie, co hetman przynosił.

Choć, szyszaka i zbroi pozbywszy, każdy człowiek maleje, Bartosz w kaftanie jednym nie wydawał się ani szczuplejszym, ni mniej barczystym, jak był w pancerzu. Twarz, której teraz żelazo dokoła nie bramowało, odkryta cała, jeszcze była piękniejszą i dzielnego rycerza godną. Męstwo na niej wypisane stało, nie chlubiące się z sobą — wprost z krwi, rodu, obyczaju pochodzące, a tak jej przyrodzone, że nic piętna tego zetrzeć nie mogło, chyba niszcząc to piękne oblicze.

Ksiązę Semko poufale okazał Bartoszowi miejsce nie opodal od siebie i sam mu nalał powitalny kubek.

— Prze zdrowie!³²

Nie dał się gość prosić, wypił duszkiem i wnet noża dobył, aby sobie chleba ukroić, bo głodnym był.

— Skąd jedzicie? — zapytał Semko.

— Z domu i nie z domu — wahając się nieco i oglądając rzekł Bartosz, jakby chciał wiedzieć, kto go słucha. — Z dobrą albo złą myślą, z pokusą tu przybywam, usta mi ona piecze.

Widać było z powolnej mowy, że rycerz ten, któremu z żelazem łatwo się było obchodzić, słowem nie tak władał zręcznie i sam się go obawiał. Po rycersku chciał może nagą i szczerą myśl rzucić od razu, a coś go wstrzymywało. Lękał się, aby tak z prosta objawiona celu nie chybiła.

— Miłościwy Panie — ciągnął dalej — to, co mnie tu przyгнаło, i dla was nie obojętne. Mazowsze sobie samo zawsze Mazowszem, daj wam Boże nad nim panować szczęśliwie, ale Mazurów z nami Polakami wiąże węzeł stary i mocny. My też do was, a wy do nas należycie. Piastów krew płynie w waszych żyłach.

Spojrzał, westchnął i znowu począł. Szlachta, gdzie jaka była po kątach, zbliżyła się przysłuchiwać ciekawie.

— Królowi Loisowi³², świeć panie nad grzeszną jego duszą, zmarło się w Tarnawie³⁴ na Węgrzech!

Spodziewał się Bartosz, iż nowina ta wrażenie na wszystkich uczynić musi i powinna, ale nie przewidział pewnie, iż Semka nią poruszy tak gwałtownie. Książę porwał się z krzesła zrazu, o stół oparł i krzyknął:

— Lois zmarł!

Po izbie wszyscy powtarzali z trwogą jakąś:

— Król umarł!

Semko jednak po krótkim namyśle usiadł zadumany. Piękna twarz jego cała się nasrożyła, zmarszczyła i pofałdowała.

— Lois zmarł — szepnął raz jeszcze.

Kanclerz głowę spuścił, jak gdyby za nieboszczyka się modlił, Socha patrzył jak w tęczę na mówiącego, oczekując coś więcej.

— Wiecie o tym na pewno? — zapytał kanclerz głowę podnosząc.

— Przybyli gońce do Zygmunta, nikomu już to nietajno. Została nam królowa tylko z dwiema córeczkami³⁵.

Popatrzał na Semka, który oczy trzymał spuszczone.

— Miłościwy Panie — ciągnął powoli. — Wielkopolska nasza Luksemburskiego młodzieniaszka sobie nie życzy ani babskich rządów z faworytami i wielkorządcami. Mamy swoją krew, dawnych panów naszych. Szeroko ja mówić o tym ani słów w jedwabie owijać nie umiem, z prosta więc rzekę, na was patrzają wszyscy, na was! Po należną wam spuściznę tylko rękę wyciągnąć, sama się wam Polska prosi!

Milczeli wszyscy jak przybici tą wielką otwartością Bartoszą, ale z oczów Sochy wojewody

widać było i przestrach a niepokój jakiś. Marszczył się dziwnie, kanclerz też usta zacisnął, głową potrząsał. Szlachta za Bartoszem stojąca gorąco mu potakiwała.

Co się z Semkiem działo, zgadnąć było trudno. Siedział ze wzrokiem w stół wlepionym, namarszczony srodze, to blednąc, to czerwieniejąc, oczów podnieść nie śmiejąc, jakby się obawiał, że zdradzić go mogą.

Upłynęła tak chwila w milczeniu. Bartosz do tego, co tak otwarcie powiedział, nic dodawać nie śmiał, czekał jak ten łowiec, co strzałę puściwszy patrzy, azali zwierza ubił, czy skaleczył tylko.

Po bardzo długim namyśle Semko począł głosem jakimś niepewnym:

— Loisa nie stało, ale Zygmunta już macie. Przecież go tam już, słyszę, i w Poznaniu, i w Gnieźnie, wszędzie jako prawowitego króla a pana przyjmowali, boście wprzód Marię³⁶, jego przyszlą żonę, za panią sobie obrali i na to przysięgali.

— Jako żywo! — wybuchnął Bartosz. — Nasza Wielkopolska nigdy nie chciała kobiecych rządów znać, a co na niektórych siłą wymożono, zamknąwszy i głodem zmusiwszy, nas to przecie nie wiąże. My teraz, więcej niż kiedykolwiek, Zygmunta zobaczywszy na oczy, znać nie chcemy. Strojny i dumny niemczaszek deptać nas myśli. Ani my jego, ani on nas rozumie, my jemu obcy, on nam. Niechaj wraca, skąd przybył!

Bartosz, mówiąc, rozognił się bardzo i o jadle zapomniawszy, które przed nim na misie stygło, mówił dalej, coraz głos podnosząc.

— Królowna Maria obiecana mu, ale nie poślubiona. Dziećmi były, gdy ją, tak samo jak drugą, Jadwigę³⁷, z rakuskim³⁸ Wilhelmem³⁹ poswatano. Ale żadne to śluby nie były, tylko pańskie uroczyste zrękowiny i kontrakty. Duchowni mówią, że takich ślubów dziecinnych kościoł nie zna.

Obejrzał się ku kanclerzowi, który po małym namyśle rzekł:

— Dekretalia⁴⁰ ślubów między małoletnimi nie znają. Gdyby do prawego małżeństwa przychodzić miało, śluby by powtórzyć pewnie potrzeba. Nie żaden to ślub, gdy w pieluchach dzieci dla ziemskich widoków bodaj do jednej kładną kolebki.

Gdy kanclerz to mówił, Semko oczy pilno w niego wlepiał, słuchając z uwagą wielką.

— Na tym nie koniec — odezwał się Bartosz. — Luksemburczyk obszedł się z nami, jak byśmy tu nie ojczycami, nie rycerstwem byli, ale kumańskimi⁴¹ jego niewolnikami. Wiecie, że tu żywa dusza cierpieć nie może Domarata z Pierzchna⁴², którego wielkorządcą zrobili, i jego prawej ręki, tego Diabła Krwawego⁴³, jak go zowią, Jana Płomieńczyka z Wieńca, sędziego poznańskiego. Okrutnicy są oba, zbóje, na życie i mienie nasze czyhający. Nie rządzą nami po bożemu, ale krew z nas piją.

Prosili więc Luksemburczyka nasi raz: — Weź nam z karku Domarata i Domaratowych. — Odrzekł dumnie: — Ten jest nad wami postawiony i słuchać go musicie! Nie wezmę go stąd, a nieposłusznych ukarzę! — Mało tego — biegła za nim szlachta nasza drugi raz, błagając i prosząc jeszcze: —

Domarata węź, bo my pod nim i z nim żyć nie możemy. — Gołowąs się ofuknął na proszących i rzekł im przez swe sługi, że bunty podnoszą, że do ciemnicy każe hersztów na chleb i wodę sadzić. — Bodaj nawet gardłem pogroził! Tego nam już nadto było. Jako jeden człowiek, Wielkopolanie, okrom zauszników Domaratowych, krzyczą na głos: — Luksemburczyka nie chcemy! Precz z nim — na Węgry!

Czuje on to już sam, że mu się tu ziemia spod stóp usuwa. Nie mamy pana, a kogóż weźmiemy? Kogo?

Semko siedział zadumany ponuro.

— Córceścię Loisowej przez swoich posłów przysięgali — rzekł cicho — podpisaliście to, pieczęcie wasze przywiesili. Wiarołomcami być nie możecie.

— Czyje tam pieczęcie wiszą u tej skóry — odezwał się Bartosz — ten niech sobie Marię ma za swą królowę, a my jej nie chcemy. Gdyby nawet w ostatku krew Loisową po kądzieli przyszło poszanować, toć obie dziewczki bezślubne są, choć je matka zaręczyła. Możemy swojego pana z jedną z nich żenić!

Kanclerz spojrział bystro, lecz wnet się postrzegłszy, oczy spuścił. Socha milczał, nie dając znaku przyzwolenia. Szlachta tylko Bartoszowi wtórowała gorąco.

Semko milczał. W twarz jego patrząc, myśleć było można, że go na męki brano, tak się ona marszczyła, zdradzając w duszy bój straszny. Porwał, milcząc tak, kubek ze stołu i jednym łykiem go wychylił; chwycił potem mieczyk od pasa i obracać nim począł, kręcić, aż z pochew dobył i stół bez myśli rzezał, jakby mu to ulgę czyniło, że drzewo psował i ręce męczył.

Nikt odzywać się nie śmiał.

Bartosz chodził po nim oczyma, a choć opór znajdował, nie zrozpaczył snadź, bo twarz zachował wielce spokojną.

Po długim przestanku Semko jakby sam do siebie mrużyć począł niewyraźnie:

— Ojcowskiej nauki ja i brat Janusz jesteśmy pamiętni. Mądry pan był, który się w cudze sprawy nigdy nie mieszał. Jemuśmy winni, że dotąd spokojni na Mazurach naszych siedziemy. Ciągnęli go niejeden raz, po śmierci Kaźmierzowej⁴⁴ i za żywota. Kusili Krzyżacy, nagabali inni, Szlązacy nasi powinowaci nieraz się wplątać w swoje sprawy starali. Nieboszczyk mawiał, że palca we drzwi kłaść nie chce, aby mu go nie przyskrzypnięto. Bez wojny odzyskał Płock, złożył hołd, gdy było potrzeba; myśmy u siebie panami zostali i jesteśmy. Ja też na moim chcę poprzestać — dokończył Semko. — Luksemburczyk będzie miał przeciwko sobie garść szlachty wielkopolskiej — i — tyle tego. Za nim i z nim Krakowianie i Sandomierzanie, i wszyscy tamci, w dodatku i Krzyżacy. Niemcy z Niemcem łatwo się zwąchają. Przeciwno tym wszystkim Semko jeden nie dokaże nic. Janusza brata i żelaznym drągiem nie podważyć. Siedzi on w swych lesiech, dobrze mu w nich, nie ruszy się. Zechce się polskiej korony — można dla niej stracić mazowieckie księstwo.

Mówił, a choć to z młodych ust płynęło, kanclerz, wojewoda, nawet sam Bartosz czuli, że rozum tej mowie nie brakło.

Wprawdzie Socha stary, który nieraz toż samo słyszał z ust Ziemowita ojca, wiedział, że rozum ten niecały jego był, że powtarzał, co się od nieboszczyka nauczył, co on mu za żywota nieustannie w głowę kładł, ale prawda prawdą była. Ciężko przychodziło zaprzeczyć temu, co się w oczy rzucało.

Odezwał się też kanclerz zaraz:

— Święte słowa, nie pożądaj cudzego, abyś swojego nie utracił.

A Socha dodał:

— Nie wabcie nas, nie kuście, miły starosto. Łacna to rzecz zażądać wielkości, ale zdobyć ją trudno, gdy nieprzyjaciół tyłu i w razie złym nawet na druhów rachować nie można. Siła złego tyłu na jednego. Ani skarb, ani ludzie nie starczą na to.

Bartosz się zasępił i zniecierpliwił razem.

— Mówcie zdrowi! — rzekł. — Kto sokoła na czapłę nie puszcza z obawy, aby mu go dziobem nie przebiła, ten czaplej kity u kołpaka nosić nie będzie. Dla tej Bolesławowskiej korony⁴⁵, a z niebios przyniesionego Szczerbca⁴⁶ warto przecie coś stawić, bo i cesarska niemiecka korona jaśniej od tej nie świeci.

— Cha! cha! — rozśmiał się gorzko Semko. — Korony tej już nam nie uwidzieć, gdyśmy ją raz z Gniezna wydali! Lois nieboszczyk uwiózł ją z sobą i zamknął w Budzie!⁴⁷

— E, poszlibyśmy po nią, rozochociwszy się, i do onej Budy — odparł żywo Bartosz — gdyby tylko było z kim i dla kogo! Serca brak; z nim by i korony nie zabrakło!

Na to żartkie słowo Semko zadrgał cały. Płomienie mu twarz oblały. Spojrzał na Bartosza i wzrokiem go przeszył jak sztyletem. Brwi czarne zbiegły mu się na czole w jeden pas i usta się trząść poczęły. Nożyk, który w ręku trzymał, głęboko wrył się w drzewo i ogromną drzazgę odłupał.

— Serca by nie brak — zawołał głosem wielkim — ale rozum też trzeba mieć!

Kanclerz i wojewoda księciu potakiwali, pochwalając; szlachta milczała ponuro.

Bartosz wziął się, milcząc, do chleba i zastygłej misy. Nikt się odzywać nie śmiał, bo widzieli już Semka zagniewanym, a choć młodym był, gdy krew w nim zagrała owa ojcowska, wiedzieli, że był gotów nożem, który drżał w rękach jego, w człowieka cisnąć. Wszelako uspokoił się zaraz, ochłódł, napił się z próżnego już kubka i zadumał.

— Domarata nie Domarata — rzekł powoli — przyjmiecie w końcu, kogo wam naznaczą. Wojna w domu a niepokoje uprzykrzą się. Pojednacie się z Zygmuntem i Marią.

Gość głową tylko potrząsnął — nie zmieniła mu się twarz wcale — czuć było, że tego książęcego

wyrzeczenia nie uważał za ostatnie słowo.

— Ani ja, ani ci, co ze mną trzymają — rzekł z wolna — przejednać się nie możemy. Dostyc już nam Krakowianie przewodzili. Sami przez się chcą czynić wszystko, a co im z nosa spadnie, narzucają nam, jak tego Domarata. Srom dla nas Polan⁴⁸, z których ta korona wyszła i wielkość jej się narodziła. Nie, nie damy się w niewolę krakowskim pankom, babom i gołowąsom. Chcą wojny, to ją będą mieli.

Uderzył silną pięścią o stół i jeść poprzestał.

— Nie ja jeden to mówię, Miłościwy Panie — dodał — bo ja tam, choć też w sobie trochę siły czuję, nie rwałbym się z motyką na słońce. Stoją drudzy poza mną, a jest nas lik niemały. Wicek z Kępy, wojewoda poznański⁴⁹, toż myśli, Sędziwój Świdwa⁵⁰, ba i wszyscy Nałęczce, ile ich jest, i przyjaciele, i powinowaci. Nałęczce tu starsi są od Grzymały, której przodkowie niedawno z Niemiec swoją bramę miejską przynieśli...⁵¹ Nasza chusta krwawa⁵² tak tu stara jak chrześcijańska wiara; my tu ojczyce!

Zawołał to z wielką dumą Bartosz i oczy mu posępnie błysnęły.

Semko zadumany nic nie odpowiadał. Ponieważ gość usta już otarł i od stołu się odsunął, bo mu się jeść odechciało, przysunął się chłopak z misą, nalewką⁵³ i ręcznikiem do umycia rąk.

Kanclerz poruszył się z za stoła, a Socha poszedł za jego przykładem, co widząc szlachta niosła się po cichu ku drzwiom. Smutne milczenie panowało w izbie, Semko roztargniony stół dalej nożem ciosał, co mogło znakiem być, że się nie uspokoił jeszcze.

Bartosz czas jakiś siedział, poglądając po izbie i na księcia, aż znowu mówić począł.

— Miłościwy Książę, jechałem tu z nadzieją dobrą, powrócę bardzo markotny. Rychło mi trzeba nazad, gdy tu nie skóram nic. Grzymałowicie nie śpią, a na moje grodki i wioski zęby wyszczerzają.

Usłyszawszy to, książę ruszył się z krzesła swego, nożyk do pochwy wkładając, i teraz dopiero zdziwiony postrzegł, jaką nim szkodę wyrządził bezmyślnie.

— Słuchaj, starosto — odezwał się głosem stłumionym, krok postępując ku niemu. — Dla miłości mej spoczniście tu trochę; dzień mi ten dajcie. Chcę z wami rozmówić się, a i z sobą samym naradzić.

Spojrzał na stojącego starostę, który nic nie rzekłszy, skłonił się. Właśnie Socha miał odchodzić już i stał we drzwiach; do niego i kanclerza przyłączył się Bartosz, czując, że młody książę, choć samowolny, im się niekiedy powodować dawał. Chciał ich sobie pozyskać. Semko pozostał sam.

W podwórcu stanawszy na krótką rozmowę, razem potem szli do dworca wojewodzińskiego, bo choć Socha pospolicie na wsi mieszkał z rodziną, nieustannie w Płocku bywać zmuszony, miał tu swój dwór przy zamku, służbę i ludzi. Kanclerz, zupełnie dla pilniejszej sprawy zapomniawszy o Bobrku, któremu na siebie czekać kazał, razem z nim szedł na dworzec wojewodziński.

Po drodze mało co mówili, bo się ludzi dokoła dosyć kręciło, a i tak przybycie Bartosza do różnych domysłów pobudką być mogło. Jeżeli się nic czynić nie miało, nie wypadało okazywać ani nawet zamiaru, a gdyby się ważyło przedsiębrać sprawę taką, do czasu też milczenie zachować należało.

Socha szedł tak zadumany w sobie i pogrążony jak kanclerz, z którego twarzy również ranny spokój i pogoda zniknęły. Bartosz zasepiony był trochę, ale mu to dzielności nie odjęło. Znać było po nim, że on od swojego zamiaru nie odstąpi, a co raz zamyślił, dokona.

W wojewodzińskim dworcu, choć u możnego pana, jak na całych Mazurach, zbytku znaleźć nie było można. Tu dłużej się zachowywał wszelki obyczaj stary, sprzęt pierwotny i ta kozuchowa⁵⁴ prostota, co na glinie pospolitej drewnianą łyżką jeść się nie wstydziła, choć ją — na srebrną stać było. W wielkiej izbie, do której weszli, tylko ławy grube a stół duży w ziemię wbity i na ścianach kołki, na których broń różna wisiała, nic więcej nie było. W kącie jednym pozwijanych proporców różnych większych i mniejszych stała kupka, przy ognisku na policy kubki niewykwintne, parę srebrnych, więcej glinianych i z drzewa nawet. Wojewoda nie dbał o zbytek żaden.

Chłopak odziany po wiejsku przyniósł dzbanek miodu, nalano kubki, usiedli dokoła ognia.

— Darmo ja tu widzę jechał — odezwał się Bartosz popijając. — Chciałem jednemu u nas Piastowi, co jeszcze nie zniemczał, koronę Łokietkową⁵⁵ przynieść. Z innymi Piastowiczami nie — ma co i mówić. Szląscy już niemieckie pieśni miłosne wyśpiewują, zjadła ich niemiecka rdza, polskiego w nich nie ma nic. Utrzyma się u nas Luksemburczyk, Boże uchwaj, za pół wieku zaleją nas Niemcy, zduszą i wytluką jak pszczoły. Jeżeli teraz się polskim panem nie uratujemy, to nigdy.

Milczał Socha, ustami tylko i węsami poruszając.

— Ani słowa — rzekł — nikomu by sprawiedliwiej ta korona nie należała, jak mazowieckim. Z prawa się im ona należy, ale jak jej dostać?

— Tylko chcieć — odparł Bartosz — tylko umieć! Zapomnieliście chyba o Łokciu naszym, z czym on do korony szedł i jak ją dostał. Nie miał on większych jeszcze nieprzyjaciół przeciwko sobie? A gdy powrócił do domu z wygnania, kto z nim był? Garstka chłopów, mieszek pusty i głowa siwizną przyprószona.

— Ale to on był! — przerwał kanclerz. — Tacy ludzie jak ten pan nie rodzą się co dnia. Opatrzność ich daje w czarnej godzinie i cuda dla nich a z nimi czyni.

— Wy swojego Semka lekko sobie ważycie — przerwał Bartosz żywo. — Młody jest, mężny, tylko go zagrać. Ludzi i oręża dostanie, ile zechce. Jeżeli on Piastom korony nie zachowa, skończone ich panowanie, sponiewiera się krew.

— Nie ważę ja go lekko — począł kanclerz — bo znam od dziecka, ale wiele to znaczy, jak go ojciec chował, co mu wpajał. Ze krwią przeszła w niego myśl ta ojcowska, że się im nie rwać nad siły, aby nie stracić tego, co pozostało. Umierając im to Ziemowit powtarzał. Ambitny nie jest, w polu bić się będzie mężnie, lecz choćby korona mu się zaśmiała na chwilę, dla niej on życia nie

poświęci. Rycerstwa w nim dosyć, a bohatera nie zrobicie z niego. Obyczaj prosty, zbytku i miękkości nieżądny. Tułać się jak Łokietek o głodzie i chłodzie dla wielkości nie potrafi. Zateśkni do domu.

Socha potwierdził milcząco, co kanclerz mówił.

— Święta prawda — odezwał się. — Semka by ożenić jak Janusza i niech na Mazowszu dobrze jak ojciec gospodarzy, będzie z niego dosyć.

Bartosz się porwał z ławy.

— Strach słuchać, co mówicie! — krzyczał. — Nie już by się w nim nie odezwało coś dziadowskiego! Teraz albo z niego męża uczynić, albo niezdarę. Dajcie mi go w pole, ja zaś ręczę!

Oba słuchacze zamilkli.

— Na rany Pańskie — rzekł w końcu Socha — z czym się nam porywać?! Gdzie sprzymierzeńcy, skąd pomoc? Z biedy może Konrad oleśnicki⁵⁶ dałby paręset włóczni, ale co to znaczy, gdzie ich tysiące trzeba, a na nie tysiący grzywien⁵⁷. U nas w skarbcu pusto.

— A Litwy byście to, chcąc, nie mogli sobie pozyskać? — przerwał Bartosz. — Powinowaci wam są.

— Z Jagiełłą⁵⁸ wojna! O tym nie ma co mówić — zawołał Socha. — Gdyby nawet przyszło do zgody, a chcieli pomagać, oni też sił nie mają. Tam wre jak w garnku, ledwie się Krzyżakom mogą opędzić. Witold⁵⁹ z Jagiełłą wojują. Litwę sprowadzić, to znaczy zniszczenie do domu, zjedzą wszystko i wypalą, nim co zrobią. Dziś byśmy z nimi przymierze zawarli, jutro byśmy na karku mieli Krzyżaków. Uchowaj nas, Boże!

Bartosz zamilkł.

— A, a! Gdybyście jeno chcieli, i bez Litwy, i bez wszystkich by się obeszło...

Wojewoda i kanclerz dumali, wzdychali. Uśmiechałoby im się może młodego swego księcia widzieć na tronie, do którego miał prawo, lecz za żywota starego Ziemowita tak byli nawykli cenić spokój i lękać się wszelkich śmielszych wysiłków, iż za obowiązek mieli bronić tego, co on dzieciom zostawił w spuściźnie. Mazowsza na sztych wystawiać — nie wazyli się. Bili się oba z myślami, spoglądając ku sobie, ruszając ramiona, nie wiedząc, jak się zbyć natrętnego i zuchwałego Bartosza, który nie ustępował.

Siedział on posepny, ale nie złamany, kiedy niekiedy tchnął silniej i coś zamruczał, kubka nachylił, odstawił, dumał. Słysząc było tylko pryskanie ognia i krzyki z podwórca dolatujące.

Starosta zagadnął zniecka o starszego brata, Janusza czerskiego, ale wojewoda ręką machnął, uśmiechnął się i dał do zrozumienia, że o tym mowy być nie mogło.

— Żadna go siła z lasów jego nie wyciągnie — przebaknął. — Gdybyście mu koronę na misie przynieśli do domu, wahałby się może z jej przyjęciem.

Kanclerz zwrócił rozmowę dopytując o Luksemburczyka.

— Jam tej łątki nie widział — rzekł Bartosz. — Powiadali mi o niej ci, co w Poznaniu byli. Dzieciak, gołowąg, ładny panicz, strojny jak dziewczyna od złota i szkarłatów, pachnące paniątko, które na pospolitego człeka ani patrzeć nie chce. Z Niemcami tylko i Czechami swymi obcuje. Do naszych nie gada. Tak jak Loisowi, nasze kozuchy mu śmierdzą. Wjeżdżał do Poznania we zbroi pozłocistej, w szyszaku piórami nastrzępionym, po to, aby szlachcie, co mu się kłaniać przyszła, pięść pokazać i grozić za Domarata...

— Bodzanta arcybiskup⁶⁰ także z nim trzyma — wtrącił kanclerz.

— Dopóki siłę ma, arcybiskup mu się kłaniać musi, co ma robić? — rozśmiał się Bartosz. — Domaratowi by mu dobra zajechali. Ale niech poczuje, że Niemiec się nie osiedzi, ukoronuje nam, kogo mu damy.

Socha spojrział z niedowierzaniem.

— Na Luksemburczyka się porwać z lada czym nie można — szepnął kanclerz.

— My też nie lada co jesteśmy — odparł Bartosz butnie. — Wielkopolan jak mrowia jest, a oni nie chcą Niemca! Krakowianie się powinni rozmyśleć także. Nam króla potrzeba, co by u nas zawsze mieszkał, nasz cały był, a wielkorządcami nie obsyłał. Niech zresztą królowa Elżbieta⁶¹ jedną z córek nam da, mniejsza o to, znajdziemy dla niej męża, ano, nie Luksemburczyka. Ten niech Węgrom panuje, z Bogiem!

To mówiąc wstał poruszony Bartosz i po izbie przechadzać się począł.

Wisiało dosyć różnej zbroi po ścianach, którą on lubił, jał się więc jej przypatrywać, Sochę rozpytywać o nią, mówić o dawnym i nowym sposobie wojowania, ciężkim i lekkim żelazie, koszulach stalowych, hełmach, włóczniach i mieczach. A że stary Socha miał też słabość do pięknego oręża, gdy poczuli ze ścian zdejmować, próbować, rozpatrywać, ważyć tarcze i różny rynsztunek, czasu im dużo na tym ubiegło.

Kanclerz wysunął się po cichu. Chciał i Bartosz choćby wieczora tego jeszcze jechać precz, ale mu Socha przypomniał, że słowo dał, a z Semkiem się widzieć musi. Jakoż pod wieczór pachole przyszło po Bartosza, a wojewoda, rozmyśliwszy się i spytawszy, czy księżę o nim wspomniał, i odebrawszy przeczącą odpowiedź, puścił go samego.

Starosta, na zamek wszedłszy, księcia w wielkiej izbie, w której rano przyjmował, nie zastał. Semko siedział w komnatce małej, u wieczornego ognia sam jeden. Była to też sama, w której ojciec jego niegdyś zwykł był na starość przesiadywać, wiele tu sprzętu pozostało z czasów jego i broń nawet, której zażywał.

Nie wstał Semko, widząc wchodzącego Bartosza, tylko mu miejsce wskazał na siedzeniu przeciw sobie. W twarzy księcia widać było poruszenie wielkie i niepokój. Starosta domyślił się, że choć jego ofiara odrzuconą została, ziarno, które posiał, kiełkowało. Rozumny człek nalegać nie chciał, gotował się tylko odpierać, jeżeliby mu księżę zarzucił co przeciw myśli.

Semko, nie chcąc okazać niecierpliwości, choć rad by był sprawę zagał, naprzód się odezwał o swych psiech a ogarach.

— Nie przyznaję się do tego nikomu — mówił z uśmiechem — a wam powiem pod tajemnicą, że najlepsze ogary, jakie mam, szczeniętami podarował mi marszałek krzyżacki. I sokoła mam od niego, jakiego u nas nie dostać. Skąd łaska?

— Nie dziw! — począł Bartosz. — Daliby Miłości Waszej i konia z rzędem, byle do siebie przyciągnąć i pozyskać. Lecz z panami tymi ostrożnie potrzeba, bo darmo nie dają nic. Ziemia im wasza pachnie nad granicą.

— Ode mnie jej nie dostaną! — odparł Semko nie przeczuwając, że wprędce kłam sobie zada.

Gdy tak rozmowę poczęli, księżę, dłużej się nie wstrzymując, zapytał Bartosza — skąd to miał, z czym do niego z rana przybył. Sam on to z siebie brał, czy i drudzy z nim byli?

— Gdybym ja tylko jeden był — szybko odezwał się Bartosz — nie śmiałbym Waszej Miłości pokoju mącić i na wojowanie go daremnie narażać. Bóg mi świadek. Dziś we Wielkiej Polsce, co tylko nie jest Domaratowe, mówi ze mną, że was żąda. Was wołają wszyscy, a jutro i Krakowianie będą z nami. Piasta chcemy mieć, a do wyboru nie mamy, wy królować nam musicie.

— Jest ci starszy ode mnie i możniejszy, wuj mój, Władysław Opolczyk⁶² — rzekł Semko.

— Choć on wam bliski — odrzekł Bartosz — kłamać przed wami nie będę. Nie lubi on nas ani my jego. Niemcem woli być, Węgrem, Rusinem niż Polakiem, co nam po nim? Do oręza się nie zda. Więcej o tym myśli, jak by co u królowej utargował, a nią się zasłonił, niżby co przeciw niej poczynął.

— Na Wielkopolany wasze siła rachować nie można — wtrącił księżę. — Przypomnijcie Białego, przeciwko któremu samiście występowali. Wszakże go Wielkopolska i Kujawiacy z klasztoru wyciągnęli, a sromotnie mu potem paść dali.

— Na rany Boże! — wykrzyknął Bartosz. — A gdzież równać mazowieckie księżę z gniewkowskim? Więcej rzekę, gdyby Biały wytrwałość miał, stateczność większą, umysł pewniejszy, kto wie, co by się przygodzić mogło? Z mnicha wywłoki nigdy nic. Dobry wałach do zaprzęgu, ale stada za sobą nie poprowadzi.

Uśmiechnął się Semko.

Wszystko, co dotąd zarzucał, udało się odeprzeć Bartoszowi. Księżę milczał znowu, w ogień wpatrzywszy się, jakby czekał, aby gość znowu nalegać zaczął.

Pomilczawszy chwilę, wziął się starosta do przekonywania, iż nic łatwiejszym nie było, jak teraz Piastowi zdobyć koronę.

Ludzie, powiadał, znużeni byli bezrządem babskim i wielkorządcami, swojego pana u siebie chcieli mieć. Nie tylko Wielkopolanie, ale Krakowian wielu od Luksemburczyka się odstrychało. Zagrzewał też Bartosz po swojemu tym, że do dzieł rycerskich pole było szerokie i piękne, tak że dla samego wojowania warto było o koronę się kusić.

Semko słuchał, lice mu czasem gorzeć zaczynało, to bladło, serce młode biło żywo, ale ojcowskie nauki na pamięć przychodziły. Ledwie mu się wyrwało słowo gorętsze, zaraz je chłodnym zacierał. Czuł Bartosz, iż chętkę w nim obudził, ale ją hamowała ostrożność i wspomnienie rodzica. Jął nalegać, Semko się opierał.

— Nie mogę — rzekł w końcu — nie ważę się. Myślałem długo, słowo moje ostatnie. Gotujcie i czyńcie, aby tron wolnym był, zobaczymy. Jeżeli Luksemburczyk pójdzie precz, a zawoła mnie szlachta głosem jednym, nie będę się opierał, ale i dobijać się nie mogę. Dopóki Zygmunt, którego Bodzanta, Domarat i inni jak króla przyjmowali i przyjmują, siedzi tutaj, póki ma swoich, co mu służą, ja kroku nie uczynię. Oczyszcicie plac wprzód.

Bartosz słuchał z głową spuszczoną.

— Tak mówicie, książę? — odparł. — Niech będzie wola wasza. Zgoda. Siedźcie spokojnie, my postaramy się pozbyć tej łątki. Przyjdzie zjazd z Krakowianami, będziemy gardłowali o drugą córkę, abyśmy ją sami za męż wydali.

Semko milczał, lękając się już, czy nie powiedział zanadto.

Po chwili gość sam na nowo rozpoczął:

— Z tych, co przy Zygmuncie są, naprzód Bodzantę odciągniemy. Dobra mu zajechawszy, weźmiem go, bo na to jest czuły. Gospodarz z niego dobry, a żołnierz źle gospodaruje. Zaśpiewa on nam inaczej.

— Domarat wściekły jest, temu rady nie dacie — rzekł książę.

— Z nim też, jak z Diabłem Krwawym, sędzią Janem, zgody być nie może. Ci muszą precz iść, a co nam krwi wyleli i mienia zniszczyli, skórą zapłacą... Precz z Grzymałami! Żadnego nie ścierpiemy nad sobą. Nałęczów więcej niż ich!

I pięść wyciągnął starosta, cały z gniewu się rumieniąc, ale wnet postrzegłszy się, hamować zaczął.

— Mamy więc słowo Miłości Waszej — dodał Bartosz. — Zgotujemy wam wszystko, siedźcie spokojnie. Luksemburczyk u nas miejsca nie zagrzeje.

Semko pobladł, jak gdyby to, co powiedział, chciał cofnąć lub się zawarować oględniej, ale odolanowski pan nie dał mu przyjść do słowa, nalegając gwałtownie.

— Jadę natychmiast — wołał — próżnować nie będziemy, oczyścimy, oczyścimy pole! Bodzantę już jak byśmy w rękę mieli. Kraków opanujemy! My tam będziemy stanowili prawa, nie ci pankowie, co nam chcą przewodzić. Cierpieliśmy dosyć.

Bartosz ożywał się, rozgrzewał, unosił coraz mocniej, nadziejami sięgał coraz dalej, a i w księcia musiał przelać trochę tego usposobienia, bo Semko wstawszy, nic nie mówiąc, za rękę go pochwycił i potrząsnął nią mocno. Obawiał się mówić zbytnio i przyrzekać, choć oczy i twarz potakiwały⁶³ staroście.

Bartosz rozpromieniał cały.

Gdy tak rozprawiali w komnatce, w której siedzieli, drzwi drugie, do wnętrza prowadzące, oponą ciężką zawieszoną, zadrgały, choć żaden szelest się słyszeć nie dawał. Postrzegł to Bartosz, księciu oczyma na drzwi wskazując, ale Semko, obojętnie spojrzawszy w tamtą stronę, uśmiechnął się i dał znak, że obawa była niepotrzebną.

Starosta, już pierwsze lody złamawszy, nie zaspokoił się tym, głos nieco zniżył tylko i począł nalegać, aby księżę, choć nieczynnym chciał zostać, wszakże siły wojenne na wszelki przypadek gromadził. Nastawał na to, aby Socha tymczasem ludzi zbierał i kopijników co najwięcej gotował.

Semko milczał i opierał się.

— Łacno to rzec, a dokonać trudno — odezwał się w końcu przyciśnięty. — Ludzie i konie by się znaleźli może, ale skarbiec pusty, a kilka tysięcy grzywien na to potrzeba.

— Miłościwy Panie — przerwał Bartosz — choćby u wroga pożyczyć przyszło, choćby ziemi kawał zastawić. Wykupimy ją lub odbijem, dług zapłacim.

— Któż dziś grosz ma? Jedni chyba Krzyżacy lub Żydzi — rzekł Semko.

— A czemuż u najbliższych, u Krzyżaków nie wziąć? — przerwał odolanowski. — U nich grzywien jak lodu, a dadzą chętnie.

Ze wstrętem wstrząsnął się, słysząc to, Semko.

— Żydów bym wołał! — rzekł.

— Ale ich nie znaleźć u nas, chyba w Krakowie, a tam trafić trudno — mówił Bartosz. — Krzyżacy są pod bokiem, byleście zażądali, dadzą.

— A jeśli się dorozumieją, na jaki wypadek mi potrzeba? — rzekł Semko. — Oni Luksemburczykowi sprzyjają, przeciwko niemu nie dostarczą broni.

— Luksemburczyka rychło nie stanie — odparł Bartosz — a oni na ziemię łakomi. Jam też z nimi dla rycerstwa w przyjaźni, ale z wilkiem družba — zawsze strach, aby nie zjadł.

Rozmowa szła tak dalej, rozrywana. Nic nie postanowiono. W czasie jej kilkakroć zadrgała znowu

we drzwiach zasłona, ale Bartosz, rozgorzawszy, już na to nie zważał.

Zawołano na wieczerzę, na którą znowu wtoczyło się trochę szlachty, przybył kanclerz i wojewoda. Książę wyszedł więcej zasepiony niż z rana, Bartosz za to weselszy. Wojewoda stary poznał zaraz, że gość nie darmo tu siedział tak długo.

W ciągu wieczerzy jednak Semko unikał rozmowy o tym, co wszystkich najmocniej zajmowało. Szlachta powiastki łowieckie rozpowiadać zaczęła, Bartosz dużo miał też o Domaracie i Krwawym Diablu, o wojnie Nałęczów z Grzymałami do mówienia. Wyklinano i odgrażano się na okrutników. Przedmiot to był niewyczerpany, bo każdy dzień nowym gwałtem, najazdem i łupiestwem się znaczył. Grzymałowie ze swym Domaratem, wielkorządcą z ramienia królowej, dotąd górę brali, a uzuchwaleni stare rozkrwawiali rany i zadawali coraz nowe, grożą chcąc zmusić do posłuszeństwa. Walka wrzała rozpłomieniona tym, że już Nałęcz, dwukrotnie odepchnięci przez Zygmunta Luksemburczyka, do ostateczności byli doprowadzeni. Kupy zbrojne zbierały się z obu stron, a o pojednaniu słuchać nikt nie chciał.

Rozdział III

Późno już było, gdy Semko, który po odejściu Bartosza, sam na sam zostawszy z wojewodą i kanclerzem, naradzał się z nimi długo — na ostatek do komnatki swej na spoczynek szedł, zadumany, nachmurzony, bo choć się słowem żadnym nie związał, kroku stanowczego nie uczynił, niepokój go ogarnął wielki. Socha i kanclerz odradzali wszelkie staranie o koronę; przypominali znowu ojcowskie nauki.

Padł na siedzenie u ognia książę, bladymi oczyma rzucając po ścianach, na których gdzieniegdzie rozwieszony oręż połyskiwał. Było go w sypialni dosyć, gdyż w owych czasach zawsze pod ręką musiał mieć każdy broń, nie wiedząc, kiedy ją chwycić będzie potrzeba. Około posłania zwykle wieszano miecze i mieczyki, aby budzący się tylko sięgnąć potrzebował, a zaraz je miał w dłoni.

Nie klasnął jeszcze Semko na swą czeladź, która by do rozdziewania się pomogła, gdy zasłona, którą widział drgającą Bartosz, podniosła się, i za nią ukazała niemłoda już niewiasta. Nim się wnijsć ośmieliła, pilno na Semka patrzyła. On, choć na nią oczu nie zwrócił, zdawał się wiedzieć i przeczuwać, że tu była, ale się nie śpieszył dać tego poznać po sobie, jakby mu rozmowa teraz niemiłą była.

Niewiasta mogła mieć lat czterdzieści lub więcej. Twarz jej zwiędła, pomarszczona, stara, ślady niepospolitej piękności zachowała, ale to była piękność wieśniacza, więcej mająca wyrazu niż wdzięku; wiekiem ochmurzona i smutna. Oczy jej ciemne, duże, śmiało patrzyły, jakby się tu czuła w domu.

Ubiór jej nie różnił się od pospolitego ludowego, ale dostatni był i chciał się wydawać bogatym. Krojem pospolitym uszyta spódnica, stanik, kaftan, z najprzedniejszego były sukna, jedwabiu i płótna. Na szyi paciorek, bursztynów i złotych łańcuszków miała sznury całe, aż do pasa spadające. Ręce zapracowane nie bardzo, białe i pulchne, okrywały pierścienie ze szklami i oczkami. Na głowie na kształt zawoju bogata krasna chusta, z pewnym staraniem zawiązana, długimi końcami na ramiona i plecy spadała.

Rozglądała się po komnacie, zasłonę podtrzymując nad sobą, a spoza niej, na jasnym tle drugiej izby, oświetlonej też ogniem czy łuczywem, widać było wciskającą się główkę młodego dziewczęcia, w wianuszku na włosach. Twarzyczka jej była dosyć piękna, rysów regularnych, z dużymi oczyma niebieskimi, ale blada, bez rumieńca i dziwnie wybielała.

W obu tych postaciach poznać było łatwo dzieci ludu, choć na dobrym bycie wypieszczone, a jak zawsze, gdy od pracy i znoju człowiek się wyswobodzonym czuje, duma go ogarnia od tego szczęścia, które nań spadło — na obu twarzach tych niewieścich było jej dosyć. Śmiałe oczy dziewczęcia patrzyły tak zuchwale jak starej służebnicy. Ciekawość iskrzyła się w oku.

Z bliska się przypatrując ładnemu wyrostkowi, równie strojnemu jak ta, poza którą stało, można było dostrzec na bardzo bladym białym licu, na czole ku skroni czerwoną bliznę. Rana, po której została pamiątka, musiała być zgojoną od bardzo dawna, ale była tak głęboka i ciężka, że nic jej

zatrzeć nie mogło. Dziwnie nią napiętnowana twarzyczka obudzała ciekawość. Tak młodziuchna, pieszczona, gdzież się mogła narazić na cios taki? Za tą blizną kryła się tajemnica jakaś, czy prosty przypadek? Dziewczę mogło swą bliznę łatwo bujnymi zakryć włosami, gdyby chciało, a zdawało się nosić ją na okaz i chlubić.

Stara, uczuwszy za sobą wciskające się dziewczę, z lekka ją odtrąciła, dając mu znak, aby odeszło — sama zaś, opończę odgarnąwszy, kaszlnęła i posunęła się ku środkowi izby.

Spóźnionym tym gościem była niegdy mamka, później piastunka Semka, którą zwano Marychną Błachową — wdowa po majątnym kmieciu na Kujawach, która wraz z mleczną siostrą Semka, Ulina, pozostała przy dworze i po śmierci pierwszej księżnej, po tragicznym zgonie drugiej⁶⁴; coraz rosnąc w łaskach u starego Ziemowita, choć prosta kmetówna, całe gospodarstwo ogarnęła.

Skąd jej te łaski starego księcia przysły, jak się w nich utrzymała, a teraz też młodego Semka miała zaufanie i łaskę, o tym ludzie bardzo różnie mówili.

Niewiasta była rozumna, małomówna, zręczna, ale się pochlebstwy nie wysługiwała. A do zgonu Ziemowita od łoża chorego starca krokiem nie odstępowała. Z jej rąk on najchętniej napój i pokarm przyjmował, a nawet gdy w gniewie ludzi zabijał i kaleczył, jedna Błachowa się go nie obawiała; przystępowała doń spokojnie, nieraz jednym słowem, jednym skinieniem przywołując go do upamiętania. Mówiono, że wielu ocaliła życie, a niejeden raz, gdy siekierkę z obuszkim, z którą zawsze chadzał, już miał cisnąć na sługę, ona ją księciu z rąk wrywała, a winowajcę za drzwi wypychała. I ksiązę nigdy słowa nie rzekł ani ją potrącił.

Też same łaski, co ona, miała u niego mleczna siostra Semka, Ulina, która na dworze się wychowała, niemal jak dziecię ksiązące, a wolno jej było wszędzie. Stary pan po główce ją głaskał, najmniejszej krzywdy wyrządzić jej nie dawał, obdarzał bogato i pieścił.

Z Semkiem, dziećmi będąc, pod dozorem Marychny bawili się razem, biegali, nawykli do siebie i na długo się nigdy nie rozstawali.

Ulinka, gdy chłopak podrósł i do koni się rwać począł, gotową też była z nim, ale przyszło się rozstać, bo się już Semkowe zabawy dziewczęciu nie godziły. Więc gdy po podwórcach oszczepy rzucał i z łuku strzelał, ona się choć przypatrywała i okrzykiwała.

Tych to zabaw z małym księciem wiekuista pamiątka została na skroni Ulinki; kochali się z sobą, ale Semko jak ojciec popędliwy był i łatwo się gniewał, Ulina też mu nie ustępowała. Tak razu jednego w dziecięcej kłótni, zamierzywszy się na nią mieczykiem, Semko ciał w głowę i myślano, że ją zabił. On sam był w strasznej rozpacz. Szczęściem, choć dziecko długo leżało nieprzytomne, a krwi mu upłynęło wiele, rana się później zagoiła. Blizna tylko po niej pozostała na wieki. Matka utrzymywała, że przez tę krew, której się dziecięciu tyle wylało, Ulinka na zawsze bladą i bez rumieńca pozostała.

Siostra ta mleczna, prosta chłopka, pozostawszy przy dworze, tak się ze swym, bratem obchodziła, jak by on jej był rodzonym, i śmiało, poufale, serdecznie kochali się z sobą jak rodzeństwo.

Z początku, gdy dorastali, Błachowa zdawała się lękać bardzo, aby ta miłość, przy gorącej krwi piastowskiej, w inną się nie przemieniła. Śledziła więc córkę i księcia, trwogę okazując niezmierną, nieustannie dziewczęciu dając nauki głośne i ciche; przekonała się później, że Semko rozmilować się w siostrze mlecznej nie myślał. Stara jednak nie spuszczała ich z oka. Byli z sobą jak dawniej, niby brat i siostra rodzeni. Błachowa nawet, gdy Semko się nudził samotnością, czas nie był na łowy, a gości brakło, pozwalała córce po całych dniach i wieczorach siadać z kądziółką w komnacie księcia, prawić mu bajki i śpiewać piosenki. Sama zwykle z pacierzami tuż w drugiej izbie, z dala nasłuchiwała.

Semko z nikim nie rozgadywał się tak szczerze, szeroko, jak z tą siostrą. Rozumieli się dobrze. Zwykle ponury, milczący, a gwałtowny i surowy jak ojciec, młody książę dla niej był łagodnym. Mówiła mu otwarcie, co chciała, łajała go czasem i wyśmiewała się z niego. Choć się w nim krew zburzyła, dosyć mu było spojrzeć na czerwoną bliznę, aby zaraz ostygnął. Dziewczyna miała odwagę wielką, jakby wyzywała go, a życia sobie nie ważyła. Nieraz, gdy byli sami, Błachowa podsłuchiwała; kłócili się z sobą okrutnie, a Ulina nad nim zawsze brała górę. Gdy w najsroższy gniew popadł, biegła do niego, zawieszła mu się na szyi — nie miał siły jej odepchnąć.

Z Semkiem będąc tak poufale, z drugimi obchodziła się tak hardo, że do niej nikt przystąpić nie śmiał. Obyczaj ówczesny wiele dopuszczał — dziewczę zbliżało się do lat dwudziestu, rozkwitłe było dawno, a że Błachowa za bardzo dostatnią uchodziła, posagu po córce spodziewano się dużego — roili się około niej nie tylko kmiecie, mieszczanie, ale i uboższa szlachta. Ulinka swatów żadnych wcale przyjmować nie chciała. Z dumą pozbywała się dziewosłębów⁶⁵, z przekąsem czasami.

U matki jedynaczka, oko w głowie, miała nad nią większą moc, niż dziecku przystało. Więcej ona Błachową niż ta nią rządziła.

— Cóż ty myślisz wiecznie rutkę siać⁶⁶? — mówiła, wzdychając, stara.

— Albo to co mi z czepca ma przyjść? — odpowiedziała Ulinka. — Jam teraz pani, a potem służą zostanę i poddanką męża. Na gody czasu jeszcze dosyć.

— Jak się zestarzejesz, to cię nikt nie zechce!

— Bodaj to prawda była! — śmiało się dziewczę. — Nie strach mi. Gdy zechcę się powiesić, sosna się znajdzie, teraz wolną chcę być.

Próbowali ją ludzie ujmować sobie podarunkami, pochlebstwy, obietnicami, kusiła matka szlachectwem i państwem — ona słuchać ani myślała.

A choć we dworze, tuż przy młodym książątku, ładne dziewczę się snuło, w łaskach było wielkich, podarkami obsypywane, ludzie nie śmieli na to słowa powiedzieć, choć może niejednen coś sobie pomyślał. Kanclerz i kapelan książęcy, inni też duchowni, choć możliwym naówczas wiele tolerowano, z początku koso na tę dziewczynę w komnatach książęcych spoglądali; syknął czasem który, skrzywił się, szepnął coś, ale nadaremnie, więc zostawiono ich w pokoju. Semko ani chciał słuchać, aby Błachowa z Ulina na Kujawy do swoich wynosić się miała.

Gdy Błachowa zakaszłała i weszła, pilno patrząc na księcia, podniósł się on i głowę ku niej zwrócił. Z twarzy mu patrzył frasunek. Stara stanęła ręką jedną za brodę się biorąc, za bok drugą.

— Sokole ty mój — poczęła z wolna głosem stłumionym. — Co tobie jest? Najechali obcy, najechali, pewnie licha z sobą w torbach przywieźli. Czego oni od ciebie chcą? Na co oni namawiają? Jeżeli groszy proszą, daj odczepnego, byle się na twój spokój nie porywali, a ciebie w jaką jamę nie wciągnęli.

Zamilkła wyczekując odpowiedzi, Semko dumiał trąc czoło.

— O, nikomu nie wierzyć, sokole mój, nikomu! — ciągnęła baba dalej. — Każdy z nich za nadrą zdradę nosi. Będą mówili, że oni co dla was czynić chcą, a łgą; oni wami się dla siebie posługują. A tu, młoda krew, miły Boże mój, od lada czego zawre! Czego oni od ciebie chcą? Czego?

Księżę słuchał i uśmiechał się dumnie. Ze swą starą nawykł był mówić, co mu na myśl przyszło, tajemnic dla niej nie miał.

— Milcz bo, stara, milcz! Wiesz, po co ten przyjechał, coś go tu widziała?

Błachowa potrząsała głową.

— Królem chcą mnie zrobić! Widzisz! Co ty na to?

Usta starej zacisnęły się głęboko, a potem wydeły, brwi ściągnęły, głową poczęła z wolna kołysać.

— Królem — szeptała cicho, jakby przerażona niespodziewaną tą nowiną. — Jakim królem? Alboż ty u siebie nie panem i nie królem jesteś?

— Na Wielkopolskę, do Poznania mnie chcą i na Kraków, i na Sieradzkie, i na całe państwo.

Stara się namarszczyła.

— Dyć tam jakiś mieciec jest! — odezwała się przestraszona. — Oni go precz chcą przegnać.

— O, o! — przerwała Błachowa, podnosząc palce do góry.

— Kiedy jednego wyżeną, mogą i drugiego. O cudzą koronę się tobie bić i zaczynać, kiedy ty swoją masz?!

Głowa jej trzęsła się coraz mocniej.

— A tobie to na co? Nie dosyć ci ojcowizny? Stary, co go też tą koroną kusili, nigdy jej nie chciał. Albo to Przemka⁶⁷ i Leszka⁶⁸ nie ubili, choć korony mieli? Mało to chleba, nieba, wody, ziemi i lasu na Mazurach!

Semko słuchając smutniał.

Błachowa, jakby uznała wręście, że sprawa tarozum jej przechodziła, spuściła głowę i dumać poczęła głęboko, długo, nie mówiąc nic, w ogień zapatrzona. Podeszła potem do ogniska zadumana, wzięła polano przy nim leżące, zagarnęła węgle rozżarzone, dorzuciła drewek parę i na dawne miejsce powróciła.

— Cóżes ty im powiedział? — mruknęła.

— Co? Nic! — odparł Semko spokojnie. — Nim człowiek w wodę się rzuci, musi tyczką spróbować, czy głęboka.

Błachowa dała znak potakujący, gdy usłyszawszy szmer, odwróciła się. Zasłona była podniesiona i Ulinka wchodziła śmiało, z tą twarzą swą zawsze smutną, niemal zuchwałą i groźną, z jaką Semka spotykała, dopóki się nie rozjaśniła od jego spojrzenia.

Ubiór jej wieśniaczy, stanik bramowany złotem, sznury paciorek, kosy wstęgami przeplatane, koszula szyta bogato i wykwintnie, buciki z noskami okutymi, cały strój czynił ją bardzo powabną. Nie była to piękność delikatna i powietrzna, ale silnie rozwinięta i jakby do boju zbudowana. Może starszą się wydawała na wiek swój, lecz piękną i mężną niewiastą. Mimo twarzy bladej, czuć było w niej naturę krzepką, rękę tylko miała małą i nadto pieśczoną. Jak matkę tak ją zdobiły różne klejnoty, chociaż Ulinka mniej ich nosiła.

Semko wnijszciu jej nie zdziwił się wcale. Spojrzał ku niej wesoło i uśmiechnął się. Dziewczę przystąpiło tak blisko, iż rękę wyciągnąwszy, mogła go pogłaskać po głowie.

Matka to na nią, to na niego spoglądała.

— Wiem ja, wszystko wiem! — odezwała się Ulinka. — Srocza mi wyśpiewała, próżno się nie tajcie przede mną. Naszego księcia chcą na króla do Polski. Nieprawda? A wy, matuś, na co to mu serce psujecie? Dlaczego on nie ma królem być, dwa i trzy wielkie posiąść królestwa, jak w bajce? Na złotym tronie siedzieć, na złotych misach jeść! Albo to on tego nie wart? Albo on nie rycerz? Nie mężny? Tchórze się tylko do jam chowają i w nich siedzą!

Matka ręce załamała.

— Co pleciesz, pleciuchu?! — zawołała. — Bój się Boga!

— Boga bym się bała, gdybym mojemu księciu a rycerzowi mówiła inaczej — odparła Ulinka. — Za piecem mu nie siedzieć, kądzieli mu nie praść. Niechaj idzie królestwa zdobywać, toć jego rzemiosło...

Słuchającemu Semkowi źrenice połyskiwały. Spojrzał na starą, która wylękła palce wylamywała, aż w stawach trzaskały. A Ulinka śmiała się, przybierając coraz zuchowatszą postawę.

— Co tobie srocza naplotła, ja nie wiem — poczęła Błachowa — ale ty sama paplesz jak sroka. Nieboszczyk stary pan dobry rozum miał, całe życie siedział spokojnie i kraju mu przyrosło, a co się oderwało, to wróciło. Z Polakami w zgodzie żył, z Litwą się nie kłócił, z Niemcami się nie zadzierał, a synom zostawił na czym panować.

Ulina się uśmiechała słuchając.

— Wy go starym pamiętacie, ale i on młodym był, i nie zawsze siedział, ręce za pas włożywszy — rzekła. — Młodemu tak gnić...?

— Milczałabyś, ty! — groźno przerwała matka. — Niby on twojego rozumu potrzebuje!

— On swój ma, a ja mój! — odparło dziewczę. — Ja mu rozkazywać nie myślę. Nie wolnoż mi słowa rzec, gdy się z piersi wyrywa?

— Tak, tak — nie słuchając jej mówiła Błachowa — wysyłaj go ty na wojnę, wysyłaj, bo to się bez wojny nie obejdzie, a będzie tobie miło, gdy ci go na noszach przyniosą?

— Cyt! Matus — surowo a smutnie przerwało dziewczę — tobie się tak mówić nie godzi, w złą godzinę!

Stara zamilkła nagle, uznając się winną. Semko wstał z siedzenia.

— Patrzcie no, matus — innym już głosem poczęła Ulina — jaki to on piękny jest, jak słońko jasne. A nie byłaby mu na tej skroni korona do liczka?

— Albo on i bez niej nie najpiękniejszy! — zawołała Błachowa.

— Dostyc już tego! — przerwał Semko. — Będzie to, co Bóg da; nikt nie wie, co mu przeznaczono.

Ostatnie wyrazy uderzyły Ulinę, zaprzeczyła im, głową potrząsając.

— Nie mówcie tak — ozwała się. — Kto nie wie i nie czuje, co mu przeznaczono, ten jak martwa kłoda płynie z wodą. Człowiek od kolebki musi znać dolę swoją i sam jej pomagać.

Błachowa ramionami dźwignęła.

— Bezbożnica! Co wyplata! — zamruczała. — Co ty wiesz?!

— A juści! — mówiła śmiało dalej Ulina. — Komu się nie śni i nie wyśni, co mu przeznaczono, ten życia nie czuje... Żyje jak kamień przy drodze.

Matka pociągnęła ją za rękaw i mówić nie dała więcej. Późna była godzina, Semko zdawał znużony.

Nie wyszły jeszcze za drzwi, ku którym matka Ulinę gwałtem prawie popychała, gdy z przeciwnej strony otworzyło się wniście i wtargnął śmiało nowy gość, którego widok spłoszył kobiety. Skryły się co żywo za zasłonę.

Semko musiał się domyślać, kto w tej porze bez pytania może wchodzić do niego, głowy nawet ku niemu nie zwrócił.

Na progu stał w dosyć dziwnym ubraniu chłopak, ledwie z lat dziecięcych wyrastający, dzieciak, ale już nie po dziecinnemu śmiały, pewien siebie, zuchwały, jakby nad sobą niczyjej nie uznawał władzy. Zaledwie może piętnastoletni, pięknych bardzo i regularnych rysów twarzy, prawie niewieściego wdzięku, z włosami długimi w pukle, z oczyma czarnymi, ognia pełnymi i przenikliwości, chłopak był na pół po księżemu, wpół po rycersku odziany. Zwierzchnia suknia miała krój i barwę sutanny, acz krótszą była, niż ją zwykle nosili duchowni. Przepasana pasem do mieczyka zrobionym, sprzeczała się też z przewieszonym przez plecy rogiem myśliwskim z kości i złoczonego mosiądzu, na sznurze zielonym. Spod pół sutanny wyglądało obcisłe ubranie i buty spiczaste z ostrogami. W rękę trzymał kołpaczek wcale do bireta⁶⁹ niepodobny, z piórem i łańcuszkiem ozdobnym przy spięciu. Twarzyczka rozgrzana podróżą, oczy świecące, usta otwarte, śmiały się wesoło i szydersko.

— Spóźniłeś się z łowów! — rzekł, odwracając, Semko.

— Albom miał do czego i do kogo się spieszyć — odparł wchodzący poufale, kołpak na stół rzucając. — A wy, gości jakichś macie?

— Wiesz już o nich?

— Jakżebym nie wiedział, w podwórzu ludzi obcych spotkawszy — rzekł chłopak. — Z Wielkopolski, z Kujaw! Kto to? Za czym?

Semko się odwrócił, dosyć niechętnie odpowiadając na pytania.

— Gość, stary znajomy, przyjechał z pokłonem — rzekł. — Znasz przecie lub słyszałeś o Bartoszu z Odolanowa.

— A kto go nie zna! — zawołał dzieciak. — Słynie jako rycerz dzielny.

Książę ziewnął.

— Głodnym być musisz, pora spóźniona, idź zjeść i do snu! Mnie czas.

Odprawą tą nie dał się tak łatwo chłopak odpędzić.

— Wiesz — począł — niedźwiedziam ubił! Psy mi podarł, alem go sam juchę oszczepem dojechał!

— Jak na przyszłego księdza biskupa — rzekł Semko — wcale nieźle...

Na wspomnienie biskupstwa dzieciak namarszczył się i tupnął nogą.

— Ojciec, prawda, kazał mi suknię duchowną wdziać — rzekł dumnie — ażeby wam dwom więcej ziemi zostało, ale mnie sutanna piecze i ciąży. Kto wie, czy jej jutro w krzaki nie rzucę, a zbroi nie wdzieję. O tym jeszcze na dwoje babka wróżyła!

Ostatnich słów dokończywszy, kołpaczek chwycił ze stołu i nie żegnając się, wyszedł z komnaty

namarszczony.

Był to najmłodszy z mazowieckich książąt, syn owej nieszczęśliwej małżonki Ziemowita, zmarłej w więzieniu ofiarą zazdrości i zdrady, Henryk⁷⁰ przeznaczony do stanu duchownego, ale marzący tylko, jak by się z tego narzuconego jarzma wyzwolić. Siedział on w Płocku, mając już tu nadane sobie probostwo, nosząc niby sutannę, ale więcej się łowami i wszelaką swawolą zabawiając niż przysposabianiem do powołania, którego nie czuł. Ze wstrętem swym do stanu duchownego wcale się nie taił.

Semko go nie lubił, nie obawiał się dotąd, lecz o przyszłość był niespokojny. Małoletni Henryk nieraz już głośno się z tym słyszeć dawał, że równe z Januszem i Semkiem ma prawo do ojcowskiej spuścizny...

Gorącej krwi, śmiały jak każdy zawczasu wyswobodzony dzieciak, z ludźmi aż do zuchwalstwa samowolny, popędliwy, był postrachem całego dworu. Szczególniej nie lubiła go stara Błachowa i Ulina, bo pierwszej z nich naprzykrzał się nieustannie, napastując zostające pod jej dozorem dziewczęta, które bronić musiała, a drugiej obcesowymi zalotami obrzydł wielce. Kłóciły się z nim ciągle, ale Błachowej i Uliny gniewy a skargi Henryk sobie lekceważył, śmiał się i na przekorę wdzierał do ich izb, dokazując tam i nie dając się niczym wystraszyć.

Kilka razy sam Semko stamtąd wyrzucić go musiał.

Cały dwór książęcy, nie śmiejąc się przeciwieć bratu pańskiemu, równie się go lękał, jak nienawidził. Nie miał też przyjaciół i między duchownymi, których gniewało to, że ich suknię wdziewał, do nich się liczył, czasu nabożeństwa w ławie u chóru pierwsze zajmował miejsce, a pacierzy nawet kapłańskich odmawiać i śpiewać z nimi nie chciał. Całe dni spędzał zwykle na łowach albo po wsiach i polach za innym, białym zwierzem bezwstydnie się uganiając. Młodocianemu wiekowi jego wybaczano wiele, lecz mimo to wszystkim był uprzykrzonym, miłym nikomu. Księża się tym pocieszali po cichu, że nim infule włoży i zostanie ich głową, w inną stronę się zwróci, bo się z tym nie taił Henryk, że wolał żenić się i panować, niż księdzem pozostać.

Ani Janusz czerski, ni Semko płocki do podziału ojcowizny i rządów go przypuszczać nie myśleli, mając za sobą wyraźną wolę ojca, który go do stanu duchownego przeznaczył. Tymczasem wyrostkowi bując swobodnie dozwolano. Okiełznać go było trudno.

Odprawiony przez Semka młody książę poszedł naprzód na swe probostwo na zamku, ostrogami pobrzękując, ale po drodze zobaczywszy światło w oknie księdza kanclerza, przez szpary okiennicy się dobywające, zastukał do drzwi jego. Z tego śmiałego dobijania się łatwo się mógł domyśleć kanclerz, kto tak późno go niepokoił.

Pacholę drzwi otworzyło. Sionka i izba kanclerska o prostocie ówczesnych obyczajów świadczyły. Trochę przestronniej może tu było, ale tak ubogo jak w celi zakonnej. Pulpity tylko do pisania, przyrządy do niego i do pieczętowania listów znaczniejszą część izby zajmowały. Kilka ogromnych ksiąg w drewnianych okładzinach kutych mosiądzem, w których się Pisma świętego i dekretaliów domyśleć było można, leżały na umyślnie dla nich przyrzadzonych sztalugach.

Paliło się na ognisku, a kanclerz po skromnej wiczerzy właśnie był na rozmowie z owym klechę wędrownym, który tak długo na niego czekał, gdy wpadł Henryk.

Po nim się nigdy ani poszanowania wielkiego, ani grzeczności spodziewać nie było można. Za życia ojca, którego się on jednego lękał, chociaż ten trochę go pieścił, jakby dziecku chciał zapłacić, co nieszczęśliwej matce się zadłużył — Henryk sprawował się dosyć znośnie i pokornie, teraz buta w nim rosła z dniem każdym. O posłuszeństwie starszej braci ani chciał wiedzieć. Miał się za zupełnie równego im, choć sam wiek czynił go podległym ich opiece.

Wpadłszy do kanclerza, obejrzał się zaraz po izbie chłopak, zobaczył ubogiego klechę i nie mając go za nic, zwrócił się do gospodarza.

— Od Semka trudno się o czym dowiedzieć — zawołał. — Mruk i kocha się w tajniach. Wy mi powiecie może, za czym Bartosz przyjechał, bo to taki człek, co darmo siebie ani koni nie męczy.

— A ja skąd mam o tym wiedzieć? — ruszając ramionami odpowiedział kanclerz spokojnie. — Mówili z sobą na osobności, jam świadkiem nie był.

Henryk, posłyszawszy tę odpowiedź, rozśmiał się śmiechem takim na całe gardło, że dosyć wesołego kanclerza pobudził też do półśmiechu, choć się starał przy swej powadze utrzymać.

Uderzył go poufale po ramieniu młokos.

— Wy mnie, ojczy, za takie dziecko macie, iż sądzicie, że mi jak niemowlęciu można dać ssać palec, a ja go wezmę za cyckę. Dobryś, księżo kanclerzu! Jak gdybym nie wiedział, że wy i przez mur słyszycie i wiecie to, czego wam nie powiadano.

Książd kanclerz cynizmem tej mowy zgorszony był i rozśmieszony, tym bardziej że świadkiem był obcy. Zachmurzył się, choć usta krzywiące się świadczyły, że lękał się parsknąć od śmiechu.

— Nie wiem o niczym — rzekł — nic wam powiedzieć nie mogę.

— Powiedz, księżo, iż mówić nie chcesz — odparł zuchwały dzieciak. — Bartosz nie jeździ darmo, dużo o nim słyszałem i wiem. W Wielkopolsce się ruszają przeciwko Zygmuntowi, gardło dam, że tam Semka chcą pociągnąć, tak jak dawniej ojca ciągnęli.

— Nie wiem! — potwierdził raz jeszcze kanclerz.

— Semko się będzie opierał, tchórz jest i gnuśnik — począł, po izbie się przechadzając, Henryk i zawrócił się nagle do gospodarza.

— Ojczy, pragnienie mnie pali po łowach, przez miłosierdzie daj się napić czego, byle nie wody, bom już ją z kałuży pił. Gdy kanclerz rad nierad do szafy w ścianie szedł po kubek i wino, rozpustne chłopię, wesoło biegając po izbie, potraçało bez najmniejszego poszanowania ogromne księgi.

— Semko gnuśnik! — wołał. — On powinien iść do Polski i o koronę się starać. Gdybym ja na jego miejscu był, a wasy miał, zrobiłbym to, ale on... Będzie go Błachowa kołysała! Płock by

naówczas spadł na wydziedziczony Henryka, ojczy, i melibyście wówczas takiego księcia, że lepszego nie znajdziecie. Co dzień uczta, turniej, muzyka, co dzień łowy. Dwór pański i świetny, trefnisiów przy biesiadzie, ile izba zmieści!

Podniósł ręce do góry.

Kanclerz podał mu kubek nalany, który, wcale nie po dziecinnemu wychyliwszy zaraz, próżnym podał, aby mu napełnił znowu.

— A co? Nieprawdę mówię?! — wołał rozochocony. — Tak by było po bożemu i sprawiedliwie, i ja bym tej sutanny nie nosił, której się dziewczki boją, a ja jej nie cierpię.

— Nie bluźnijcie! — przerwał kanclerz oburzony, obcego świadka w kącie pokazując mu oczami.

Henryk, jakby go dopiero teraz spostrzegł, poskoczył ku niemu, tak przyglądając się z bliska, jakby osobliwe jakie zwierzę nie znanego rodzaju miał przed sobą. Wystawiony na to bystre, przenikające wejrzenie, Bobrek zmieszał się, skulił, zrobił małym i pokorniejszym jeszcze.

— Klecha? — zapytał Henryk. — Coś ty za jeden? Słyszysz? Skąd? Nie znam cię, gadaj, co tu robisz?

— To skryptor wędrowny, który modlitwy przepisuje — rzekł kanclerz.

Henryk od stóp do głów, z pogardą wielką rozpatrywał się w biedaku, który nie śmiał podnieść oczów. Odwrócił się potem od niego nie powiedziawszy nic i sam do siebie tylko bąknął:

— Śmierdzi ten klecha.

Kanclerz, stojąc w pośrodku izby, zdawał się czekać, aż niepotrzebny gość nocny, który nie zwykł był nigdzie miejsca zagrzewać, precz pójdzie sobie, ale książątko po izbie biegało.

— No, nie chcecie mi nic powiedzieć?! — zawołał w końcu.

— O niczym nie wiem.

— Pójdę więc języka szukać gdzie indziej — odparł chłopak i drzwiami trzasnąwszy wybiegł.

Łatwo mu się było domyśleć, gdzie Bartosz nocował, bo izby gościnne wiadome mu były, a choć w nich ani ognia, ani ruchu już nie było widać ni słyszać, wprost tam pobiegł książę Henryk.

W małej sionce na kulu słomy i dece od konia spał Bartoszowy giermek, który go nigdy nie odstępywał. Gdy książę, lampkę wzięwszy u czeladzi, do izdebki tej wkroczył, śpiące już pacholę porwało za miecz i stanęło drzwi pańskich bronić gotowe.

— Idźże precz, trutniu jakiś! — zawołał, śmiejąc się, Henryk. — Widzisz, że oręża nie mam, a zabijać nie myślę.

Przebudzony hałasem Bartosz w drugiej komnacie wołał z niej:

— Kto tam? Czego? — I sam za oręż gotów był chwycić, gdy Henryk mu przez drzwi odpowiedział:

— Książę Henryk jestem, idę was powitać, choć późno, bo mnie wprzód doma nie było.

Giermek od drzwi odstąpił, a młode panie weszło lampkę trzymając. Na łożu wysłanym nisko Bartosz mało co rozebrany, w kaftanie porozpinanym tylko spoczywał. Podniósł się nieco na widok wchodzącego.

— Leżcie sobie — rzekł Henryk, który stojącą niedaleko ławę przysunął do łoża. — Żłem zrobił, żłem wam sen przerwał, ale mi powiedziano, że jutro jedzicie do dnia, a po coście przybyli, nikt mi powiedzieć nie umiał. Jam tu przecie trochę gospodarzem w tym Płocku, choć na probostwie tymczasem. Przyszedłem was spytać.

Bartosz, ledwie ze snu się trochę otrząsnąwszy, nie wiedział sam, co odpowiedzieć. Zawahał się. Bystro go oczyma ciekawymi przenikał Henryk, niespokojnie kręcąc się na ławie.

— Sprawa między mną a Semkiem — rzekł z wolna Bartosz.

— A mnie to o niej wiedzieć nie wolno? — podchwycił Henryk.

— Zapytajcie o nią brata swego, jeżeli wam zwierzy się, nic przeciw temu mieć nie będę, ale sam mówić nie mogę.

Henryk się złośliwie uśmiechnął.

— Jam przecie nie dziecko — rzekł.

Bartosz niezrozumiałe zrobił poruszenie.

— Kiedy wy mnie powiedzieć nie chcecie, z czymście przybyli — rzekło książątko — to ja wam może powiem.

Starosta spojrział na chłopaka ciekawie.

— A tak — mówił Henryk. — Na Wielkiej Polsce się zawichrzyło, wy, Nałęczce, nie chcecie znać ani Domarata, ani Zygmunta, potrzeba wam Piasta. Namawiacie Semka sobie. Semka ja znam, on tak w polu się bić gotów, gdy go co podrażni, w gniewie i zabić nawet, ale głowę i księstwo ważyć dla korony niepewnej nie zechce...

Słuchał Bartosz z pewnym zdziwieniem, coraz mniej wiedząc, jak ma postąpić z zuchwałym pankiem. Namyslił się.

— Mylicie się — rzekł w końcu zimno. — Jam po sąsiedzku na rozmowę i radę przybył do Semka, a o Piastach u nas jeszcze mowy nie ma, póki Luksemburczyk jest. Wprzódę się jednego trzeba zbyć,

nim o nowym pomyslim panu. A Semkowi, gdyby mu trzeba iść w pole, męstwa nie zabraknie.

— Męstwa znajdzie się tyle, co w Białym — rozśmiał się Henryk. — I ten przecie ludzi żywych palił, a krzyku ich się nie bał i nie litował, no i zamki brał... i bitwy przegrywał.

Bartosz tylko zerknął na młokosa.

— Semkowi ja korony życzę — mówił Henryk dalej — bierzcie go sobie. Dałbym go wam ochotnie na króla i na co chcecie, bobym po nim sobie Płock mógł wziąć.

— Ale Wasza Miłość jesteś do stanu duchownego przeznaczony — zamruczał Bartosz.

— Tak to było za życia pana rodzica — westchnął chłopak. — Ojczysko się bodaj obawiało, aby Janusz i Semko, gdyby mi kawał ziemi przyszło dać, ze świata mnie nie sprzątnęli. Dlatego dzieckiem odzieli mnie w tą brudną sutannę, której nie cierpię, kazali mi uczyć się abecadła i pisania, i modlitw. Ale Panu Bogu ze mnie pociechy nie będzie, bom ja na klechę nie stworzony. Prędeż, później, choćby i infułę włożyli, cisnę ją, a żonkę sobie wezmę!

Rozśmiał się głośno.

— O tym myśleć wam za wcześnie! — odparł Bartosz krótko, markotny z tego rozmowy obrotu.

— Za wcześnie? Jak komu! — zawołał chłopak, nastawiając się dumnie. — Ja dziś już żonki potrzebuję, a dalej nie wytrzymam.

Starosta nic nie odpowiedział. Napastliwe chłopię wiedziało już, że z niego nic nie wyciągnie.

— Jutro rano jechać macie? — zapytał.

— Muszę — odparł Bartosz. — Tego wy jesteście świadomi, że u nas burza wielka. Zamków moich strzec muszę od Domarata, od Wierzbięty⁷¹, od Grzymały z Oleśnicy⁷² i od wszystkich, wielu ich tam jest. Czuwać pilno potrzeba a ludzi zbierać, skąd można.

— Gdybym ja na miejscu Semka był — zawołał Henryk — dałbym wam zaraz kopijników, ale pod moimi rozkazami dwóch tylko chudych wikariuszów, z których nikomu nic, i kulawi świątnicy⁷³, do misy dobrzy! Na wojnę nie mam z kim iść.

Westchnął malec.

— Darmom was przebudził — dołożył, powstając z ławy. — Więc szczęśliwej drogi i powodzenia z Domaratem! Semka gdybyście sobie wzięli, bardzo bym rad...

To mówiąc młode książętko pokłoniło się od niechcienia leżącemu i szło nazad z sypialni, nucąc po drodze. Noc już była ciemna.

W izbie kanclerza świeciło się jeszcze, ale tu już dzień się kończył modlitwą. Gospodarz domu odmawiał na głos pacierze, w pomoc wzięwszy wędrownego klechę, który mu do modlitwy

odpowiadać musiał. Potem nie czas już było przy zamkniętych wrotach powracać do miasta i kanclerz około ognia posłać kazał podróżnemu, aby się układał i przespał do rana.

Bobrek nie kwapił się też bardzo z powrotem. Na zamku się miał czas rozsluchać i rozpatrzyć, a nazajutrz rano gdy się w podwórcach ruszać zaczęło, nim na jutrznię zadzwoniono, zwlókł się z chudej pościółki i cichaczem wyniósł z mieszkania kanclerza. Powolnym krokiem przesuwał się uważnie pomiędzy ludźmi, a ucha nastawiając bacznie, Bobrek doszedł do wrót już otwartych razem z innymi, którzy do wodopojów i studni szli; wysliznął się w ulicę i gdy coraz jaśniej dniało, znalazł się u wrót przyjaciela Pelcza.

Tu już furta była otwarta, baby dla rannej kądzieli i gospodarstwa powstawały, tylko piękna Anchen się nie pokazała. Pelcz także się wylegał, choć już nie spał. Gdy drzwi pierwszej izby skrzypnęły, zawołał pytając, kto by był, a usłyszawszy głos Bobrka, w chwilę potem kożuch narzucił i wyszedł do niego.

— Strachu mi niemałego napędziliście — rzekł otyły kotlarz. — Nie doczekawszy was z powrotem do nocy, miałem niedobre przeczucia.

— A cóż mnie tam spotkać mogło? — uśmiechnął się blady klecha. — Goły się rozboju nie boi.

— Gadajcie zdrowi — dodał, wzdychając, gospodarz. — My tu Niemcy i ci, co z nami trzymają, skóry swej nie pewni i głowy... — Nie dokończył kotlarz, tylko ciężkim westchnieniem.

Bobrek się wzgardliwie uśmiechał. Spojrzeli sobie w oczy, nimi się porozumiewając.

— Cóż się na zamku dzieje? — zapytał ciekawie Pelcz.

— Pan Bóg mnie natchnął tu przybyć w samą porę — odezwał się, głos zniżając i szepcząc, Bobrek. — Nowin siła i bardzo ważne. Trzeba natychmiast spieszyć z nimi. Dajcie mi czółno i przewoźników pewnych do Torunia. Położę się na dnie, sieciami mnie przykryją. Muszę spieszyć — powtórzył Bobrek — pilno, pilno!

— Cóż tak nagli? Mówcie! — przysuwając się ciekawie, odezwał się gospodarz. — Po mnie ciarki chodzą.

— Królowi Loisowi się zmarło! — odparł Bobrek. — Luksemburczyka Polacy nie chcą, ciągną Semka do siebie. Kto wie? Skusić gotowi! — O tym w Toruniu nie wiedzą jeszcze pewnie. Przybył wczoraj Bartosz z Odolanowa. Na rozmowie tajemnej raz i drugi trwali długo. Pewnie mu koroną przed oczyma świecą, gotów się dać im wziąć. Dla naszych panów jest co czynić. Zygmunta popierać muszą, bo to ich jest człowiek, ale i z Semka korzystać mogą teraz. Na wszystko oko pilno trzeba mieć. Gdy się w Polsce zawieruszy, dla nich zawsze z tym dobrze. Kawał ziemi oderwą. Semko grosza będzie żądny, da zastawą nad granicą szmat jaki.

Rozśmiał się Bobrek ręce zacierając. Pelcz z poszanowaniem, rozwagą i głęboką wiarą a przejęciem słuchał klechy, którego rozumowi ufał.

— Co żywo! Co tchu! — mówił dalej klecha. — Póki jeszcze dzień nie bardzo jasny, idźmy na

brzeg.

— Chodźmy, rybaków znajdę znajomych, co was do Torunia zawiozą. Nie trzeba, aby widziano nas... ani mnie z wami.

To mówiąc Pelcz, sam wina wlawszy do garnuszka, do ognia przystawił, chleba ukroił, do alkierza idąc się przyodziać. Bobrek też zwijał się, nawet o pięknej Anchen zapomniawszy, która dopiero warkocze splatała naprzeciwno. Umarzłszy na chłodnym ranku, opończę swą odzyskaną zawczasu wdział, a nogi grzał u ognia.

W mgnieniu oka przygotowania wszystkie zrobiono, polewkę, parząc się nią, wypił klecha, chleb do ręki wziął, a gospodarz czapkę nałożył i już z nim ciągnął na brzeg rzeki. Po drodze tylko musiał do kilku chałup wstępować, z których mu się dwóch ludzi z wiecierzami udało wywołać. Dla niepoznaki ostrożny Bobrek, sutannę okrywszy opończą, na ramię też wiecierz wziął i tak razem z Pelczem pomiędzy pustymi ogrodami puścili się ku Wiśle.

Tu znaleźli do koła przymocowaną łódź, do której zaraz wskoczył klecha i na dnie jej, okutawszy się, położył. Pelcz, dopóki nie odbito od brzegu, stał nie odchodząc i pilnując. Rybacy, nie mieszkając, chwycili wiosła i drągi, i nie wyszło kilku pacierzy, gdy już wśród rzeki byli.

Ani nawet dla pożegnania się z kotlarzem klecha nie podniósł głowy; kto by z dala był patrzył na to niewinne czółno, nad którym wiecierze sterczały, a dwu ludzi powoziło, nie domyśliłby się nigdy, że na dnie jego spoczywał człowiek, który tymczasem w głowie swej zbierał i porządkował, co wczoraj słyszał, widział⁷⁴, wyszpiegował i czego się domyślał.

Rybacy, wrędcę na środek rzeki się dostawszy, puścili łódź z jej biegiem i kierowana tylko, bez pomocy wiosła, sunęła się dalej żywo, tak że zamek i miasto z oczu im zniknęło.

Bobrek zdawał się usypiać.

Rozdział IV

Jak szerokie naówczas były kraje Korony Polskiej, kąta w niej może całkiem spokojnego znaleźć było trudno. Gdzie nie było wojny, tam strach jej i niepewność o przyszłe losy życia trwały. A trwał ten stan nie od dziś dnia, ani od śmierci króla Ludwika poczęły się te niepokoje a ruchy. Trwały one niemal przez całe jego panowanie, a teraz gdy nawet dalekiego króla nie stało, gdy narzucony mąż przyszły królowej Marii, Zygmunt Luksemburczyk, chłopak zaledwie dorastający, rządy chciał nad Polską obejmować, rozdzieliły się przekonania i zdania: Miałli prawo za sobą? Przyjąć go było, czy nie przyjmować?

Krakowscy panowie już się wrzekomo na niego zgadzali, choć i tym nie wszystkim smakował. — W Wielkopolsce wrzało.

Zrazu mu się kłaniano, chłopię butne odpowiadało na to groźbami i taką pogardą dla biednej szlachty, jaką ją i Lois częstował.

Dokuczał tu samowolnymi groźbami Domarat z Pierzchną. Zaraz na pierwszym wstępie rzuciła się szlachta, prosząc a błagając, aby go z Poznania wzięto. Ale właśnie Domarat, ciemiezca ten wielki, wraz z arcybiskupem Bodzantą przyjmował tu Zygmunta, opiekował się nim, on mu podmuchiwał, co miał mówić i na którą stąpać nogę... Doradził więc panu tę groźbę, której sam używał przeciw szlachcie krnąbrnej, ubogiej, niepozornej, ale wielkiego serca.

Odprawiono proszących ostro: — Słuchać go macie i milczeć!

A że Wielkopolanie już za Ludwika dosyć się wstydu napili i miotano nimi, nie słuchając ich, a posłuszeństwo nakazując, serca szlacheckie pod starymi kożuchami biły coraz silniej.

— Nie damy się!

Kazano im Domarata słuchać, odstąpili go wszyscy jako jeden i kupka tylko Grzymalitów z nim została.

Po drugi raz zjechała się szlachta, domagając odpędzenia Domarata. Zygmunt rozsierdził się jeszcze mocniej, grożąc ciemnicą i gardłem. Nie było już mowy o posłuszeństwie, rozpierzchno się, co żyło. Z końca w koniec Wielkiejpolki brzmiało:

— Nie chcemy ani Zygmunta, ani Domarata. — Precz z Niemcem!

Zaraźliwa to rzecz, gdy się weźmie jedno wołanie. Z Wielkopolski poszło ono do Krakowa, i tam ludzie się rozmyślać poczęli. — Co nam po tym młokosie? Będzie jak Lois na Węgrzech siedział, a nas na wielkorządy zdawał. Tegośmy już mieli dosyć!

Inny też jakiś wiatr zawiewał od Węgier od królowej matki, w Krakowie śpiewano inaczej. Mówiono, iż król zmarły tego sobie życzył i tak przeznaczył, aby jedna z córek była węgierską, druga

polską królową. Mogli więc sobie jedną panienkę dostać, na panią ją wychować, a wyswatać, jak im było po sercu.

Panowie krakowscy, którzy najbliżej tej przyszłej królowej stać mieli, powiadali sobie: — Jużci gdy ją swatać będziemy, a z nią komuś królestwo potężne damy, musi wdzięczen być dziewosłębom. Każdemu z nich coś się okroi, komu ziemi szmat, komu ze skarbcza skojec⁷⁵. U przyszłego pana ci, co go przyprowadzą, wezmą pierwsze urzędy główne, będą przy nim stali, z nim rządili.

Zygmuntowi, który już na pół królem był, sprawa się psuła.

Z Małej i Wielkiej Polski zwołano się na Świętą Katarzynę⁷⁶ do Radomska. Tam mieli wspólnymi głosami Krakowianie i Wielkopolska radzić i stanowić, co dalej czynić. Tu się po raz pierwszy odezwały głosy nie za Marią, ale za drugą córką królowej, Jadwigą. — Niech nam ją pani Elżbieta da, mamy Semka Piasta, panie młode, krew naszą, połączym ich, królować nam będą.

Zaledwie się z Semkiem odezwano, Wielkopolanie jak za swoim poczęli gardłować. — Semko i Semko! — powtarzano przez nienawiść dla Zygmunta więcej może niż z miłości dla niego. Ale i on dobry im był, bo ze wszystkich Piastów Mazurowie tylko dochowali się polskimi, reszta zniemczała. Daleko mniej smakował Mazur Małopolanom, bo dla nich za mało miał ogłady, blasku i pańskości, a obawiano się srogości krwi Ziemowitowej.

Domarat i Bodzanta, będący też na zjeździe w Radomsku, którzy już w katedrze gnieźnieńskiej sadzali na tronie Zygmunta, ulękli się.

— Przysięgaliśmy Zygmuntowi! — poczęli wołać. — Nie możemy myśleć o żadnym innym panu. On naszym królem jest i musi być!

Nie słuchano ich, powtarzano:

— Jednej z córek Loisa, jakośmy się zobowiązali i poprzysięgli, tak damy tron, ale męża jej dobierzemy, który by u nas mieszkał i rządził sam nami.

W końcu musieli na to przystać wszyscy, Mało i Wielkopolanie. Nałajano się, nasporzono dużo, stanęło na tym, aby zwołać się znowu na sejm wielki do Wiślicy⁷⁷, na święty Mikołaj. Tu nie mała gromadka, jak w Miłosławiu i Radomsku, być miała, ale z obu połowic kraju kto żyw przybyć się obiecywał. Było zawołanie wielkie, wiec powszechny, ten stanowić miał to, co się stać musiało.

Gdy się to działo, Zygmunt jeszcze gościł w Wielkopolsce. Domarat i Bodzanta dodawali mu otuchy. Byle jechał do Wiślicy, pokazał się tam, pewni byli, że się jego majestatowi szlachta pokłoni.

Dobrze przed świętym Mikołajem, choć to pora najgorsza do podróży, bo na pół błota, pół grudy, ciągnęli Wielkopolanie, Krakowianie i Sandomierzanie ku Wiślicy. Zdało się każdemu, że jak do młyna, kto pierwszy przybędzie, ten będzie meł i mąki dostanie.

Stary ów gród obmurowany, warowny, pełen Łokietkowych pamiątek, Kaźmierzowych ustaw⁷⁸, prastarych wspomnień, który pusty i cichy stał długo i drzemać się zdawał wśród błot swoich, odżył

znowu. Ale życie to było inne wcale niż w owe czasy, gdy mały żelazny pan wyruszał stąd na zdobycie państwa i korony, w imię Boże, pokutę odprawiawszy w Rzymie w miłościwe lato⁷⁹! I inne też, niż gdy chłopów król prawa tu dawał i poprzysięgał; inne, a może gorsze niż w niepewne czasy małego króla i w spokojne czasy wielkiego prawodawcy. Z tamtych państwa podwalin, choć co pozostało, czas prędko poszczerbił a popsuł; co się było spoiło, rozpadało się znowu. Pana swojej krwi nie było, króla trzeba było żebrać i prosić u obcych.

Chmurno było przed oczyma ludzi, tak że przyszłości nikt jeszcze dojrzeć nie mógł.

Na zamku jak w domu rozgościł się już był margrabia Zygmunt, przyszły król, z Domaratem, przy kościele zajął mieszkanie arcybiskup Bodzanta. Oczekiwali na przybywających, aby ich sobie pozyskać. Lecz zaraz w początku okazało się, że sprawa nie pójdzie po ich myśli.

Zjeżdżali się krakowscy panowie. Jednego dnia, ze dworem licznym, po książęcemu, przyciągnął poważny a poważany Jaśko z Tęczyna⁸⁰ kasztelan wojnicki.

Dano znać Domaratowi o nim. Wybiegł naprzeciw niego, zapraszając na zamek gospodą. Zjechali się na gościńcu.

— Czołem!

— Czołem!

Domarat bystry, dumny a gwałtowny człowiek, z oczów myśli czytać umiejący, w powitaniu chłód poczuł, który wiał nań od kasztelana. Stary Toporczyk jechał tak spokojny, jakby się niczym nie trwożył, a przyszłości dobrej był pewien.

— Na zamek by wam z nami gospodą — odezwał się Domarat, na mury ręką ukazując. — Zygmunt margrabia, pan nasz, tam już jest i na was czeka. Niech się inni jako mogą po mieście rozkładają, wam przystało być u pańskiego boku.

Jaśko tylko głowę pochylił dziękując.

— Na gospodę łatwo znajdziecie łakomego — rzekł. — Ja za nią dziękuję, bo czeladzi mam dużo, a przodem posławszy, jużem domostwo wziął i szopy dla koni. Tam mnie czekają.

Gdy w bramę wjechali, pożegnał Topór Domarata, w ulicę zawracając. Sędziwój z Szubina⁸¹ tak samo za gospodę w zamku dziękował, nie przyjmując jej, a co najgorzej, odmówił czci tej i Dobiesław z Kurozwek⁸², w którego rękach był zamek krakowski, a prawie tak jak Kraków cały.

Do pańskiego stołu na zamek nie garnęli się ludzie, tylko maleńcy, i tacy, od których Niemiec, mówić do nich nie chcąc, z pogardą się odwracał. Tych, przy których waga była największa, ani Domarat, ani Bodzanta ściągnąć nie zdołali.

Luksemburczyk w początku króla chciał udawać, aż postrzegł, że mu do korony jeszcze daleko i, choć go nim w Gnieźnie witał Bodzanta, tu on był sobie markgrafem niemieckim i nic więcej.

Przybywający na zjazd nie ściągali się do zamku, nie spieszyli do arcybiskupa, — zbierali się pokątnie to tu, to ówdzie i naradzali po cichu.

Tymczasem młode panie myślało o tym, jak by olśnić tych niepocześnie poodziewanych i kozuchami śmierzących Polaków, a wystąpić przed nimi jak najświetniej. Więc i sam Zygmunt stroił się od złota i klejnotów, i dwór jego występował w szytych sukniach, z herbami pańskimi, świecąco, barwnie, bogato. Szlachta w opończach i butach grubych patrzyła na to cudactwo pytając, czy to byli trefnisie niemieccy i dlaczego ich tak wielu. Na błaznów w istocie dwór ten tak upstrzony wyglądał.

Domarat widział już, że nie po myśli się rzeczy składały, ale Zygmuntowi nie odejmował serca, owszem mu tak wszystko tłumaczył, jakby stało najlepiej. Weszło więc, pewien siebie czekał panicz, rychło się wszyscy zjadą, a święty Mikołaj mu da koronę.

W wigilią tego dnia pełną już była Wiślica, chociaż ciągle jeszcze ludzi przybywało gromadami. Każdy starszy z rodu lub dostojęstwa wiódł za sobą zastęp cały. Dano też znać Zygmuntowi, że z Krakowa ciągną posłowie węgierscy królowej matki, biskupi jagierski⁸³ Stefan i czanadzki⁸⁴ Jan, a z nimi panów dwu, których baronami i grafami mianowano.

Domarat w wigilią świętego Mikołaja wyprawił naprzeciw nich dworzanina, aby posłów spotkawszy, na zamek prowadził. Cieszono się tym, iż pomoc niechybna Zygmuntowi przybywała.

Markgraf, lekko rzeczy biorący, ani się tym radował, ani zbytnią przywiązywał wagę do poselstwa królowej, pewien był swego. Gdzie by mu zaś to barbarzyństwo opierać się śmiało? Domarat rachował na silne poparcia i odzyskał ducha.

Nad wieczór wreszcie wozy i konnica ich do Wiślicy przyciągnęła. Ale biskupi dwaj, z których jeden, ksiądz Jan, już w Polsce bywał, kraj i ludzi po trosze znał, zamiast na zamek do arcybiskupa pod kościół się wprosił ze swym towarzyszem. Dwaj zaś magnaci nie mieli wyboru i tych na zamek wzięto. Z tymi Domarat częścią przez tłumacza, częścią po łacinie musiał się porozumiewać, bo po polsku nic nie rozumieli.

Oba lat dojrzałych, poważnie, dumnie wyglądający, czarno zarośli, wzrostu ogromnego, do rozmowy nie okazywali się chętnymi. Patrzali niewesoło. Gdy nieco spoczęli, markgraf ich kazał prosić do siebie na wieczerzę. Lubiące występować panie, ustroiło się od jedwabów i łańcuchów, królewską przybierając postawę.

Weszli dwaj Węgrowie, także się ochędóźnie przybrawszy, łańcuchy na szyję pokładłszy, z poszanowaniem, ale bez zbytniej uniżoności dla przyszłego pana swojego. Zygmunt, jako żywy i lekkomyślny był, zaraz im sprawę swoją przekładać zaczął, wyśmiewając Polaków. Do starszego z nich, który urząd podkomorzego przy dworze Elżbiety pełnił, przystępując rzekł:

— Dobrze, żeście mi tu w pomoc przyciągnęli, aby prędzej ten śmieszny a bezrozumny opór złamać, który mi tu zuchwali ludzie, niepamiętni swych przysiąg, stawić śmieją. Sami nie wiedzą, czego chcą, burzą się i buntują. Przyjęli mnie wszyscy niemal i główny arcypasterz gnieźnieński jako króla, cześć mi oddawali wielką, na tronie sadzali w Gnieźnie, a teraz, że oto tego (wskazał na Domarata) znieść nie mogą, podnieśli bunt. Zagroziłem im karaniem wielkim.

Podkomorzy ów, którego Ferenczem mianowano, wcale gorącości Zygmuntowej nie dzieląc, rzekł chłodno:

— My tu za towarzyszków biskupom Janowi i Stefanowi dodani, spraw tych nie znając, to poczniemy, co oni wskażą. Królowa Jejmość zdała wszystko na panów duchownych.

Przy stole o niczym prawie mówić nie chcąc, prócz pospolitych rzeczy, więcej się temu przysłuchiwali, co inni rozpowiadali.

Biskupi zaś węgierscy, na których markgraf czekał dnia tego na próżno, drogą zmęczeni wymówili się, iż spoczynku potrzebowali.

Zygmunt z tego wszystkiego nic sobie nie czynił, pewnym będąc matki przyszłej żony swojej, która go sama do Polski wyprawiła. Ufał w to, że posłowie z niczym innym przybyć nie mogli, tylko aby prawo jego do korony popierali.

Domarat więcej się zafrasował i zakłopotał. Nie czekając dnia następnego, sam pobiegł na probostwo do ichmościów biskupów, wrzekomo dla powitania ich, w istocie dla wyrozumienia, jaki wiatr wiał z tych Węgier. Nim go do izb wpuszczono, w których biskupi węgierscy wieczerzali, zobaczywszy przejeżdżającego arcybiskup Bodzanta do małej komórki przy mieszkaniu swym zaprowadził. Twarz miał tak pomieszaną i niepokojem napiętnowaną, że i Domaratowi samo wejrzenie nań trwogę sprawiło, choć przyczyny żadnej do obawy nie znał, a poselstwo jeszcze jako poparcie Zygmunta i posiłek przybywający im — uważał.

Wszedłszy do komórki, gdy Domarat rękę arcybiskupa ucałował, ten rzekł do niego spieszenie:

— Zaprawdę, zaprawdę, nie wiem, co się dzieje! Dusza moja strwożona jest wielce. Staralem się wyrozumieć braci moich, szczególnie Jana, dawniej mi znajomego, w jaki sposób Zygmuntowi posiłkować myślą, jakich użyją argumentów, aby go na królestwie tym utwierdzili, znalazłem ich obu milczących, zamkniętych. Nie mówią nic, oczy spuszczają. Lękam się, aby *temina variabilis*⁸⁵, królowa, nas nie opuściła lub całkiem nie zawiodła, na sztych wystawiwszy.

Załamał ręce arcybiskup, a Domarat żywo opowiadać zaczął, jako panowie węgierscy neutralnie się względem markgrafa znajdowali i na panów biskupów powołując, o niczym też mówić nie chcieli.

— My tego do jutra w takiej niepewności zostawiać nie możemy — zawołał gorąco popędliwy Domarat, któremu więcej może o siebie⁸⁶ niż o Zygmunta chodziło, a lękał się, by nie padł z nim razem. — Idźmy do nich, trzeba się rozmówić otwarcie. Wiedzmy, co nas czeka, aby środki zapobieżenia zdradzie przedsiębrać zawczasu.

Bodzanta, sam niemało strwożony, po chwili namysłu szedł, Domarata wiodąc za sobą do izby, w której dwaj biskupi jeszcze za stołem nad misą orzechów i migdałów siedzieli, słodkim winem z małych kubków popijając. Widać było, że z nich dwu Jan, biskup czanadzki, czynniejszym tu miał być, bo choć przodek przed nim brał poważny starzec Stefan, biskup jagierski, słowo przy nim zostawało. Tamten tylko, orzechy gryząc, znaki przyzwolenia głową dawał.

Gdy do izby wchodzili, dwóch kanoników i prałat Węgrów zabawiali, lecz ujrzawszy Bodzantę, który Domarata prowadził za sobą, do przybocznej izby zaraz się usunęli. Zostali sami z nimi.

Ucałowałszy ręce pasterzy, na wskazanym miejscu siadł Domarat, kołpak gniotąc w rękach. Twarz mu z niecierpliwości kurczyła się i drgała, a oczy mrugały. Nie wytrzymał długo, począł się rozwodzić nad tym, jak Zygmunt królowej Jejmości powinien być wdzięcznym być za to poselstwo, w sam czas nadciągające, aby Polakom ich przysięgi przypomnieć.

Słuchał tej przemowy ksiądz Jan biskup czanadzki, zęby wykluwając, obojętnie dosyć, aż gdy Domarat go prawie do muru przyparł, by się oświadczył, co myślał, rzekł chłodno i ociągając się:

— Mylicie się, Miłość Wasza, sądząc, że my w sprawie markgraфа Zygmunta przybyliśmy. Późniejsze dopiero wypadki o niej zawyrokują. Królowa Jejmość zleciła nam przede wszystkim wysłuchać skarg i żądań panów ziemian królestwa tego. Mamy jej z nich zdać sprawę, a o jedno upominać się tylko, ażeby jednej z córek królowej wiary dochowano.

„Jednej z córek”! zabrzmiało groźbą w uszach Domarata.

— Lecz nie ma w tym wątpliwości żadnej — przerwał gwałtownie — że dla nas żadna inna, tylko królewna Maria jest wyznaczoną. A że z nią w dzieciństwie połączonym był już markgraf Zygmunt, więc ten jest z nią królem naszym i myśmy go jako króla przyjęli.

Biskup Stefan, słuchając, głową kręcił i zwrócił się do księdza Jana, jakby mu odpowiedzieć zlecał.

— Z ogłoszeniem króla pośpieszyliście się nieco — odezwał się ksiądz Jan powolnie. — Markgraf z naszą królewną zaręczony jest, ale ona mu nie została poślubioną. Polacy chcą dla siebie króla mieć, który by ich tylko był, a Zygmunt prawdopodobnie na Węgrzech panować będzie. Rzeczy więc jeszcze nie są rozstrzygnięte... Powtórzę jeszcze, iż przy tym tylko stać musimy mocno a bronić, aby jednej z naszych królewien wiary nie złamano.

A po chwilce dodał biskup wzdychając:

— Tu zaś powszechnie głoszą, iż wielu sobie markgraфа za króla nie życzy...

Zerwał się Domarat z siedzenia.

— Doniesiono wam fałszywie! — zawołał. — Co jest u nas ludzi przedniejszych a rozumnych, to wszystko markgraфа królem uznało. Garść wicherzycieli potrzeba zmusić do posłuszeństwa i milczenia.

— To rzecz wasza! — odparł biskup czanadzki. — My, tu obcy, pokój nie wojnę przynosimy. Wysłuchamy tego, co jutro panowie wasi mówić będą, i postąpić wedle okoliczności.

Niecierpliwy Domarat raz jeszcze głos zabrał; popierany przez arcybiskupa długo za Zygmuntem gardłował. Postrzegł w końcu, że biskupi oba, sporu z nim zaprzestawszy, milczeli, słuchali, zdania żadnego nie objawiając. Próżno więc było silić się na przekonanie tych, co przekonany być nie

chcieli.

Gdy przyszło się żegnać, Domarat wcale stąd odchodził z innym przekonaniem, niż przybywał. Męstwa i ufności utracił wiele. Myślał nad tym, czy ze zmianą położenia miał się Zygmuntowi odkryć lub nie. Nie zdało mu się to w końcu potrzebnym, bo same wypadki nazajutrz miały mu otworzyć oczy. Męstwa odbierać ani gniewu obudzać zawczasu nie chciał.

Zamiast do księcia pojechał Domarat jeszcze po gospodach panów krakowskich, starając się ich jednać sobie i Zygmuntowi. Ale i tu zawód go spotkał, nawet u tych, których pewien był, że wiernie ze dworem trzymali. Stawili się wszyscy zimno, sprawy markgraфа nie biorąc do serca, a popierając prawa jednej z królewien. Dobiesław z Kurozwęk, o którym Domarat trzymał, że wielkiego rozumu nie miał, szczególnie milczący był i w sobie zamknięty. Postękiwał tylko na wielce ciężkie czasy. Inni się odwoływali do tego, co na jutrzejszym zebraniu postanowionym być miało.

Całą niemal tę noc wigilii świętego Mikołaja niespokojny Domarat spędził bezsennie. Na zamek powróciwszy, musiał słuchać, co mu jego słudzy przynosili, powysyłani na zwiady, innym dawać nauki, jak się nazajutrz obracać mieli. Z liku po gospodach okazywało się, że z druhów Domarata wielu do Wiślicy nie nadciągnęło, a z nieprzyjaciół mało kogo brakło. Tu się go nie obawiano wcale, więc i tacy Wielkopolanie, co gdzie indziej nieradzi by się byli z nim spotkać, śmiało przybyli, nie kryjąc się z sobą.

Przyjechał i Bartosz z Odolanowa, którego wielkorządca za najgorszego i najniebezpieczniejszego przeciwnika liczył. Ten jednak z orężem w rękę głównie był straszny, słowem zaś nie lubił szermować.

Inny z Nałęczów był gębą całego rodu. Zwano go Otkiem, a obyczajem wieku przezywano starego Lepiechą. Miał ten Otek na granicy Kujaw ziemi przestrzeń dużą, majątności borowe. Zamożny był bardzo, nawet, z czym naówczas mało kto mógł się pochłubić, w grzywny i grosz zapaśnym był. Mimo to z pozoru, wejrzawszy nań, trudno było od kmiecia lub chłopca odróżnić. Chodził zawsze w kożuchu wytartym, często w skórniach prostych, w czapce baraniej, w koszuli zgrzebnej. Twarz miał opaloną, plamistą, ręce czarne ogromne, oblicze straszne zbója, wejrzenie jak piorun rażące, a umyślnie zdawał się przybierać pozór człowieka ubogiego, aby przy nim jego możność i znaczenie silniej odbijało.

Wiedzieli bowiem wszyscy, że na jego zawołanie ubogich Nałęczów i ich powinowatych gromady zbiec się każdego czasu było gotowe. Znaczniejsza ich część za wodza go swojego miała i nie bez przyczyny, bo karmić ich, poić, osłaniać, bronić i pomagać każdego czasu był gotów, choć despotycznie się obchodził z nimi.

Otek Lepiecha łatwo by był mógł i dla rodu swego, i dla zamożności dojść do urzędów znacznych, kasztelanem zostać lub starostą, ale nie chciał. Powiadał zawsze, iż on doma, nikomu nie służąc, sam sobie wojewodą i panem jest, a na tym ma dosyć.

Spojrzawszy nań, nikt by go inaczej nie nazwał, tylko chłopiskiem, ale rozum miał i naukę wcale niepowszednią.

Chłopięciem jeszcze pono do stanu duchownego się sposobił, który porzucił, gdy mu starsze rodzeństwo i ojciec zmarł. Umiał więc dużo, bo za młodu po ten rozum, co w księgach siedzi, jeździł do Pragi i do Krakowa. Została mu z tych czasów pobożność gorąca, wymowa wielka, cudna, a łatwo zrozumiała, tak że wszystkim trafiała do; serc i do głowy. Lada klecha w dysputę się z nim wdać nie ważył, bo rzadko z niej kto cało wyszedł.

Lepiecha, jak wyglądał niepozornie, tak życie też prowadził prostym chłopskim obyczajem. Nikt u niego w domu innego sprzętu i jadła nie znalazł, tylko ten, co u kmiecia lub po prastarych dworach. Spał na wyszarzanej skórze, latem w płótnie, zimą w wyszarzanym kozuchu lada jako przepasanym chadzał, zbytkami się wszelkimi brzydził i za zgubę duszną je uważał. Co miał bogatego, pięknego, to do domu Bożego niósł na ofiarę.

Było coś w tej pogardzie wszelkiej miękkości i świecideł poszanowania godnego, ale też i obrachowanego na to, aby ludziom w oczy wpadało, bo Otek się tak chlubił łatami na kozuchu jak inni złotymi łańcuchy.

Bądź co bądź szanowali go ludzie, bo mimo tej próżności serca był chrześcijańskiego, litościwego i dla biednych miłosierny.

O Lepiesze dowiedziawszy się Domarat, że i on do Wiślicy zjechał, i to nie sam, ale z chmarą Nałęczów, bardzo był markotny, bo temu żadną siłą, strachem ni powagą gęby zawiązać nikt nie potrafił.

Tak się wszyscy na ów wielki dzień Świętego Mikołaja gotowali, iż o szarym brzasku mszę odprawiono, aby co rychlej począć obrady. Na zamek zawczasu ciągnęła szlachta gromadnie.

Żadna ich tam izba i największa pomieścić nie mogła, co przewidując, szopę w podwórzu pobudowano wielką, która drzwiami wchodowymi szerokimi z sienią i izbami zamkowymi się łączyła.

Nie było czasu ani potrzeby jej ubierać; ściany zarzucono tarcicami w słupy, ławy tylko dla starszyny i duchowieństwa ustawiono pod ścianą zamkową. Zresztą na ziemi słomy nasłano grubo i dach też nią był pokryty. Światła tyle było, co przez szerokie wnijścia wpadało.

Jeszcze ani markgraf, ani arcybiskup i biskupi węgierscy nie stawili się do szopy, gdy ona już prawie była pełną a gwarną jak targowica. Była to chwila może najwięcej stanowiąca, bo się ludzie porozumiewali. Spotymano się, obejmowano, witano, przypominano, zapoznawano, głośno każdy mówił o tym, co na sercu miał. Nikt się taić nie myślał z tym, co przynosił, a wielu, z czasu korzystając, nawracać się starali tych, co nie wiedzieli, w którą stronę iść mają.

Markgraf Zygmunt, który się na ten dzień dla okazji i olśnienia przystroił jak nigdy, czekał tylko na poselstwo węgierskie i panów krakowskich, aby z nimi jak ze dworem swoim wyniść do zgromadzonych. Domagał się koniecznie, aby mu siedzenie na kształt tronu wystawiono na wywyższeniu osobno. A że na zamku był stary tron Kaźmierzowski, na nim koniecznie zasiąść sobie życzył.

I posadziłby go był na nim Domarat z Bodzantą, ale się ulękli, ażeby szlachty widokiem tego tronu więcej jeszcze nie rozjątrzyć. Tłumaczyli mu więc, że w Polsce nawet koronowani królowie, gdy publicznie występowali, nie mieli ani wyższego, ani innego krzesła, tylko takie jak arcybiskupi, którzy też stanowi duchownemu królowali. Dwa więc jednakie siedzenia ustawione być miały dla Bodzanty i dla młodego Zygmunta. Przy tych zająć mieli miejsca posłowie królowej, dalej starszyzna krakowska i wielkopolska.

Musiał się na to zgodzić Zygmunt rachując, iż choćby wspaniałym ubiorem wszystkich zaćmi i majestat swój okaże. Na dzień ten wdział, co miał najprzedniejszego: suknię francuską bogato wyszywaną w różne zwierzęta i ptaki, zbroję złoconą, hełm z pawimi piórami rozłożystymi, płaszcz szkarłatny gronostajami podbity i buciki z nosami, których złote łańcuszki za każdym poruszeniem pobrzękiwały. Na zbroję rzucony łańcuch gruby dźwigał smoka przedziwnej roboty, który z paszczy buchał złotym płomieniem.

Z panów krakowskich najwspanialej wystąpił Dobiesław z Kurozwęk, najpoważniej Jaśko Topór. Inni im też nie ustępowali, a w tłumie po ubiorach łącno było rozróżnić szlachtę ziem wszelkich, bo nie wszyscy się nosili jednako.

Do większych miast i ich okolic, do grodków na handlowych gościńcach leżących, do krajów nadgranicznych przenikał łatwiej towar obcy, tkaniny zachodnie, jedwabie ze wschodu i kroje sukien cudzoziemskie. W innych zakątkach trzymał się obyczaj i suknia prastara, często jak najprostsza i niepozorna. Ci, co od Rusi jechali, co innego na sobie mieli niż przybywający od zachodu, orężem się też różnili, głowy pokryciem i samymi twarzami nawet.

Każda też ziemia trzymała się tu kupą, mając wodza i mówców swoich. Wielkopolska, jak rozciął, widomie się na dwie gromady rozpołowiła, które nawet z sobą sąsiadować nie chciały w szopie. Jedna z nich, wśród której widać było Otkę Nałęczą Lepiechę, przyparła się do Sandomierzanów, druga z Grzymałą z Oleśnicy i wszystkimi Grzymałów sprzymierzeńcami przy Domaracie, bliżej Zygmunta się umieściła.

Za Lepiechą widać było Bartosza z Odolanowa, który dobrą pół głową innych przerastał. Nie gotował się on tu do głosu, bo był, jak sam powiadał, nie do bajania, a do bijania stworzony; chciał jednak słyszeć i widzieć, co się tu dzieć miało.

Gdy Zygmunt wszedł w szyszaku pierzastym na głowie, a z nim biskupi i starszyzna, trwał jeszcze szmer chwilę, aż na dane znaki uciszać się zaczął. Arcybiskup ciągle ręką ukazywał, aby milczenie nastalo, i posłom węgierskim dał głos pierwszy.

Podniósł się tedy, nieco czapeczki uchyliwszy, ksiądz Jan, biskup czanadzki, i po łacinie mowę rozpoczął, którą tłumaczono sobie, jak kto mógł, bo na klekach nie zbywało. Nawet ów Bobrek, któregośmy widzieli tak spiesznie odpływającym do Torunia, znalazł się w Wiślicy. Tu tylko mniej na klechę wyglądał, odziany był neutralnie, nie do rozpoznania, tak aby go jedni mogli za duchownego wziąć, drudzy bodaj za szlachcica. Miejsce sobie znalazł między Wielkopolanami wygodne do słuchania, a niewidoczne, w kącie.

Poseł królowej ogłędnie bardzo mówić począł do zgromadzonych, zagaiwszy tym, że królowa

Jejmość wdzięczną była panom i ziemianom wszystkich krajów za dochowaną przysięgę i wierność paktom poprzysiężonym, które koronę polską jednej z córek jej zapewniały.

Gdy to rzekł, nie wymieniając Marii, poruszył się i zzymnął Domarat, Zygmunt zmarszczył dumnie, ale biskupowi nikt mowy przerywać nie śmiał; zwłaszcza że wielka większość przytomnych widocznie ją dobrze przyjmowała, krom arcybiskupa Bodzanty, który siedział ze smutnie spuszczonej oczyma, Domarata i Grzymałów. Na twarzy arcybiskupa nie malowała się żadna wyrazistsza niechęć ani opór. Od dnia wczorajszego ostygł był znacznie, co Domarat już poczuł. Słuchał Bodzanta z namaszczeniem, z rezygnacją, nie przecząc, nie potwierdzając ani obliczem, ni postawą.

Markgraf coraz niecierpliwiej się na swym siedzeniu poruszał, coraz dumniej głowę podnosił, płaszcz poprawiał, nogami przebierał i łańcuszkami brząkał, jakby do tańca chciał iść. Ale to było wszystko dla pokrycia gniewu, który go ogarniał. Oświadczenie posła przychodziło cale niespodzianie i raziło go jak obuchem.

Tymczasem biskup czanadzki ciągnął dalej, z wielką zręcznością, mówiąc więcej tym, co przemilczał, niż tym, co głosił. Więc o królowie Marii ani słóweczkiem nie napomknął, o markgrafie nie wspomniał wcale, jakby go ani tu, ani na świecie nie było, a dobitnie i jasno wyłuszczał, iż nie wyrzeczono dotąd, która z królewien dla Polaków ma być przeznaczoną. Dopóki zaś nie nastąpiło postanowienie wyraźne i umowa ostateczna, Polacy nie powinni byli przedwcześnie zamków i rządów oddawać nikomu. Wypowiedział to tak jasno, tak dobitnie, wcale Zygmunta nie wyłączając, iż markgraf dotknięty tym i poruszony o mało się nie zerwał z krzesła. Wejrzenie Domarata tylko go wstrzymało.

Zaledwie biskup czanadzki skończył, gdy podkomorzy Ferencz, na dany znak powstawszy, powtórzył za nim toż samo, tylko mniej zręcznie.

Wypowiedział bowiem wyraźnie, iż królowa życzy, aby rządów nikomu ani panu Zygmuntowi nie zdawano, dopóki by coś nie postanowiono.

Nie dano mu prawie dokończyć, taka wrzawa wesola zerwała się po stronie Nałęczów z wielkopolskiego kąta i Lepiecha, rękę podnosząc do góry, wołać począł:

— Powinna się stać i stanie się wola królowej pani, a nie pana Domarata, który nam króla ze swej ręki dać chciał, a co król jego nam na kark posadzić obiecał. Gdyby pan Domarat anioła z nieba na królowanie sprowadził, od niego byśmy nie przyjęli! Dziękujemy królowej, że słusznym prośbom naszym uczyniła zadość. Niechże dopełni tego i z panem markgrafem weźmie sobie i sługę jego, a czeladź Domaratową! Cierpieć ich nie możemy i nie będziemy.

Huknęli za Lepiechą wszyscy Nałęczy, a Bodzanta przestraszony, obie ręce podniósłszy, milczenie nakazał. Więc, choć nierychło i niełatwo, przywrócono spokój i ciszę.

Zygmunt, z dumą i wzgardą oparłszy się na poręczy krzesła, nogę na nogę zarzuciwszy, w górę oczy wlepił, gdzie wróble w strzesze na przekorę szlachcie świergotały. Gdyby nie Domarat, opuściłby był pewnie szepę, taki nim gniew miotał, tak mu tłum ten śmierdział.

Wstał z wolna poważny Jaśko z Tęczyna, i począł, do posłów się zwracając, bardzo mądrze im dziękować a zapewniać, iż jedno w zgodzie z narodem królowa Jejmość królestwu temu i córkom swym szczęście i pokój zapewnić może. Rozszerzył się nad tym, jak nieodzownie potrzebnym było, aby przysła królowa i król w kraju zamieszkali i bez przerwy czuwali nad nim, na innych się nie spuszczać.

Jaśko z Tęczyna powagę u swoich miał wielką, nie mniejszą u obcych, można więc było wnosić, że mówił to nie z siebie, ale za zgodą panów krakowskich. Zachmurzyli się wielce Grzymałowie, Domarat zbladł jak trup i trząśł się, Bodzanta wzdychał, po stronach patrząc.

Zaledwie kasztelan wojnicki dokończył, gdy głosy z różnych stron zrywać się zaczęły, a arcybiskup roztargniony, zamyślony, poskramiać ich i kierować nimi zaniedbał. Nad wszystkich głośniej wołał Lepiecha, a że ludzie go słuchać byli ciekawi, uciszać się zaczęło. Któryś z usłużnych Nałęczów, w podwórcu pochwywszy pieniek, na którym skałki łupano, na ramionach go do szopy wniósł i właśnie w porę pod nogi Lepiesze zatoczył, aby wyżej stanąwszy, lepiej się mógł dać słyszeć.

Tak więc ów mówca w brudnym i odartym kozuchu, rękami białymi, ale zbrukany podpasany, wzniosłszy się ponad swych Wielkopolan, prawić zaczął:

— Paniątko ono niemieckie, które cudzoziemskimi zapachy wonieje, do jakich my nie nawykliśmy, nie dla nas; my ludzie prości, rzepą wykarmieni, czosnkiem jemu śmierdzim, a on nam zbyt szafranem⁸⁷ będzie woniał! Z naszej ubogiej ziemi na te złociste szaty, w jakich chodzić nawykł, by nie stało... Nasi starzy królowie tak chadzali jako my, jedli to co my, tym językiem co my Pana Boga chwalili, a nam rozkazywali; żaden z nich nas z izby nie wypędzał, gdy do stołu miał zasiadać. Temu panu, co nam go przywieźli z Węgier, oprócz Domaratowych nikt się na oczy pokazać nie ważył, niemiecka służba rozpędzała wyśmiewając. Jeszcze go królem nie koronowano, gdy tak poczynał, cóż by było potem? Panowie krakowscy coś też wiedzieć powinni o wielkiej miłości, jaką dla nas ma, kiedy im na zwierzynieckie probostwo, zamiast Nankiera⁸⁸, Niemca jakiegoś czy Czecha chciał wsadzić! Jutro by wojewodowie i wielkorządcy do nas z Budy i Wyszehradu⁸⁹ jechali. Że pan Domarat i krew jego pana tego na tron gwałtem by wsadzić chcieli, nie dziwota. Im nie o Polskę chodzi, ale o własną skórę, której nie są pewni, gdy nam sprawiedliwy król będzie panował. Kłanialiśmy się temu panięciu nie raz, ale trzykroć w Poznaniu i Gnieźnie, aby Domarata od nas wziął, odpędzano nas z groźbą i fukiem... Luksemburczyk nam Domarata narzuca, a Domarat Luksemburczyka, niechże z Bogiem razem od nas precz idą!

Za Lepiechą podniósł się taki krzyk: — Precz z Domaratem! — że szopa się trzęsła. Ręce i czapki miotano do góry, rzucali się naprzód niektórzy.

Bodzantę i Domarata namiętność ta przestraszyła. Błady i zmieszany podniósł się Domarat, dopraszając głosu, ale długo przyjść do niego nie mógł. Ledwie arcybiskup powagą swą wyjednał, że się cokolwiek uspokojono. Tymczasem w piersiach zapalczywego Grzymały trwoga się już w gniew zmieniła, krzyknął:

— Słuchajcie mnie! Com wam winien? Srogim musiałem być, boście mnie sami przywiedli do tego krnąbrnością i samowolą waszą. Bez żelaznej ręki nad zawichrzonym krajem ładu nie będzie.

Nikt życia i mienia nie pewien.

Nie dano mu mówić dłużej.

— Złóż wielkorządy! Precz z Poznania! Potem się będziesz oczyszczać!

— Precz z Domaratem!

— Precz z ciemiężcą!

Arcybiskup już nie mógł pohamować burzy, a świadkowie tego wybuchu, panowie węgierscy, przekonali się teraz, jak rozumnie postąpili sobie, gdy Zygmunta z Domaratem nie popierali.

Sam on zwątpiwszy, aby mógł przyjść do głosu, siadł ręce na piersi założywszy, hardą tylko postawą wyzywając nieprzyjaciół. Poddać się ani ukorzyć nie myślał.

Dobry czas upłynął, nim się znowu głosu mógł doprosić Jaśko Topór, spokojnie i łagodnie wnosząc, aby się do woli królowej zastosować, nic bez niej nie stanowić, poselstwo do niej wyprawić i za porozumieniem z nią jedne z królewien wziąć za panią.

Nadto dumnym był Luksemburczyk, aby chciał przemawiać za sobą i kogokolwiek bądź prosić. Wśród gwaru poruszył się z siedzenia, tyłem zwracając do zgromadzenia, i wszedł na zamek nikomu głową nie skinąwszy.

Swobodniejszymi przez to stały się narady, a że panowie krakowscy z wielkopolskimi bez mała zgodni byli, garść tych, co się opierać chcieli, zamilknąć musiała. Dotychczas przyjaciel Domarata, stronnik Zygmunta, który już koronować go był gotów, arcybiskup postrzegł teraz, że przeciwko ogólnemu prądowi walczyć nie może. Zgadzał się więc na to, co wnosił Jaśko Topór, a co z życzeniem posłów węgierskich licowało.

Pod wieczór nie ulegało już wątpliwości, iż za Luksemburczykiem nikt się nie będzie śmiał odzywać. Arcybiskup, poszeptawszy coś z Domaratem, milczał, na głos ogólny zdawał się godzić wreszcie nawet wielkopolski pan, ale chytrze się uśmiechał.

Bartosz z Odolanowa, który tu przybył, aby Semka mazowieckiego podnieść sprawę i imię jego rzucić na szalę, za poradą Lepiechy zmilczał.

— Z Semkiem czas będzie wystąpić — rzekł stary Nałęcz. — Jawna rzecz, że królowa da córkę, a wybór męża dla niej pozostawi nam. Niech Semko siły gotuje, niech sobie serca jedna. Zawczasu nim straszyć ich nie potrzeba, boby mu rychlej przeszkodzili, niż pomogli.

Przystał Bartosz na to, ale Semka imię pomiędzy Nałęczami już sobie z ust do ust podawano.

Późno dość było, gdy wszyscy znużeni rozpuszczenia się domagać zaczęli, bo i obradować nie było już nad czym. Na pozór przynajmniej godzili się wszyscy na jedne z królewien, a o markgrafie nikt już nie wspominał.

Rozdział V

Powróciwszy do komnat swych, Zygmunt naprzód przywołał szatnego i czeladź, wykwinny strój, którego brudna i śmierdząca szlachta nie była godną, rozkazując zdjąć z siebie. W jednym kaftanie stanąwszy później w oknie, które na szopy wychodziło, wziął się w boki i urągał tłumowi.

Nikt go może nie widział i nie zważał na to, bo czym innym były zaprzątnięte głowy, ale miał tę pociechę, iż się nawykrzywił nienawistnej tej cizbie, ku której czuł największą nienawiść. Kazał sobie potem przynieść jedzenie, nikogo do stołu nie prosząc, i ze psy swymi się zabawiając, polskie dla nich wymyślał przezwiska.

Mimo tej niechęci dla Polaków, Zygmunt się wcale nie wyrzekał panowania nad nimi; myślał owszem, jak by z wojskiem węgierskim i Czechami wpaść mógł, a buntowników zmusić do posłuszeństwa. Chociaż posłowie węgierscy w imieniu królowej oświadczyli się tak neutralnie, nie brał tego Luksemburczyk za ostatnie słowo Elżbiety, ale za zręczny wybieg polityczny, dla uspokojenia umysłów. Widocznie królowa nie chciała drażnić Polaków, a spodziewała się, pozyskawszy sobie przewódców, z córką im i męża narzucić. O zerwanie umowy nie posądzał królowej.

Pocieszał się więc pijąc i zabawiając, choć dochodząca z szopy wrzawa naprzykrzała mu się wielce. Rad był, gdy pod wieczór nareście tłum się ten rozplýwać zaczął. Nie obchodziło go to wielce, co tam postanowiono, uważał bowiem uchwały sejmu tego za rzecz tymczasową i małego znaczenia. W ostatku, cała ta sprawa wśród kraju barbarzyńskiego, ogołoconego ze wszystkich świętości, do jakich nawykł — straszliwie go nudziła.

W tych myślach zatopionego i leżącego ze psy swymi na posłaniu zastał wsuwający się po cichu Domarat z Pierzchna. Wielkorządca poznański był jednym z tych ludzi, których sam temperament zmusza do despotyzmu; niepohamowany, gwałtowny i mściwy, niepowodzeniem zamiast się opamiętać, doprowadzony był do wściekłości. Obrażony, upokorzony, gotów był życie dać, aby zemsty żądę zaspokoić. Im gwałtowniej domagała się szlachta, aby się usunął, tym uparciej postanowił na stanowisku pozostać.

Wszystko, co zaszło dnia tego na sejmie powszechnym, dla niego nie miało wagi, myślał już, jak by obalić postanowienia jego. Dalszy plan postępowania już miał w głowie gotowy. Zygmunt ani on nie chcieli się poddać uchwałom szlachty; Zygmunt miał z sobą kilkuset kopijników — z nimi, śmiało sobie poczynając, wiele dokazać było można.

Miał czas się nieco wyburzyć i rozważyć to wszystko Domarat — przychodził spokojniejszy, na pozór, ze złośliwym uśmiechem na ustach. Wieczera, przy której się napił, cokolwiek mu sił przywróciła. Oczy pobłyskiwały weselej. Luksemburczyk spojrział nań z tą niechęcią, jaką miał dla wszystkich Polaków i jego nie wyjmując, ale znosić go musiał.

Domarat, schyliwszy się, ścisnął za kolano paniątko, czego o mało nie przypłacił raną, bo jeden z psiaków porwał się do niego, co Zygmunutowi uśmiech dziecinny wywołało na usta.

— Miłościwy Panie i królu mój — szepnął — niech sobie zgraje te krzyczą i jak chcą ujadają; my na swoim postawimy.

Zygmunt podniósł się na łożu.

— Jak? — zapytał.

— Nie trzeba tylko długo tu siedzieć — mówił Domarat. — Wasza Miłość jutro, pojutrze wybieriecie się wrzekomo na Węgry, a ciągnąc, naturalna rzecz, zawadzi o Kraków... Miasto łatwo opanować — na zamku poszukamy ludzi, może go nam także poddadzą. Mając raz w rękę stolicę, obwarowawszy się w niej, nie potrzebujemy więcej nic. Panowie krakowscy sami się nam przyjdą prosić. Ale działać trzeba spieszenie — nie tracąc godziny.

Luksemburczykowi, pragnącemu także zemsty i postawienia na swoim, rada ta bardzo się podobała. Klasnął z radości w białe ręce, na których zaświeciły pierścienie.

Domarat twarz miał rozpromienioną.

— Dziś jeszcze nocą — dodał — posyłam do Krakowa, aby tam, co potrzeba, przysposobiono. Wyjeżdżając stąd, Wasza Miłość nie potrzebuje się opowiadać, jaką drogę wybierze.

— Zgoda, zgoda! — zawołał Zygmunt. — Tylko, na wszystkich świętych — nie narażajcie mnie na jaką sromotę! Ciągnąc na Kraków muszę być pewnym swego. Uchowaj Boże, by mi tam wrota miano zamknąć przed nosem!

— Nie może to być! — odparł Domarat. — Po drodze, dla spoczynku, macie prawo zajechać na noc, na dzień. Zostaniecie dłużej raz się tam dostawszy, nikt nie będzie wyganiał. Z miasta na zamek droga dogodną porą — łatwa. Gdyby się nawet udało zaraz pierwszego dnia tam zająć gospodę i kopijników część wprowadzić, już by was stamtąd nie ruszono. Królowa sama córkę by przywieźć musiała.

— Jesteścież pewni, że się to tak da wykonać? — wahając się i wpatrując w Domarata, odrzekł Zygmunt.

— Będę pracował nad tym — rzekł Domarat żywo. — Natychmiast posyłam zaufanego człowieka. Zostańcie przez jutro dla pewności, abym miał czas uprzedzić. Starajcie się pozyskać sobie kasztelana Dobiesława. Zamek i Kraków w jego rękach, on tam stróżem. Człowiek jest głowy ciasnej, a dumy wielkiej, niemłody już a ociężały. Dobre słowo z ust waszych pochlebi mu. Tymczasem niech się dwór i kopijnicy do podróży gotują, rozgłosimy, że Miłość Wasza jesteście zniechęcony, że powracasz do Węgier. O Krakowie mowy nie będzie.

Luksemburczyk potakiwał z wyraźną uciechą. Dogadzała mu ta myśl nieco awanturnicza, a jak się zdawało, bardzo szczęśliwa. Wykonanie miał Domarat za bardzo łatwe — za to on odpowiadał. Człowiek był energiczny i przebiegły.

— O tym, cośmy tutaj postanowili — dodał w końcu wielkorządca — ani słowa, nikomu! Na tajemnicy wszystko zależy.

Zygmunt potakiwał dając poznać, iż dobrze to rozumie. Umówionym zostało, że markgraf miał jakiś dzień, półtora przesiedzieć jeszcze w Wiślicy, pożegnać węgierskich panów, nie dając im czuć żalu, jaki miał do nich, a potem wyruszyć na Węgry, w istocie zaś do Krakowa.

Rozpogodzonego tymi nadziejami nowymi zostawując Zygmunta, Domarat wymknął się do swej izby na tyłach zamkowych. Sień przed nią i przyległe komory natłoczone były ludźmi do dworu, orszaku i obozu jego należącymi. Część ich poobwijana w opończe i kozuchy spała na gołej ziemi przy ogniskach, niektórzy w kości grali i pili, inni po pijanemu podśpiewywali i kłócili się z sobą, trzeźwiejsi zaś hamowali. Wszystko to odbywało się dziwnie stłumionymi głosami, ażeby na zamku nie robić wrzawy. Co się który głośniejszy odezwał, starsi sykali i gębę mu zatulano.

Pomiędzy tym tłumem przechodząc, Domarat, na którego widok powstawali z poszanowaniem, zobaczył otulonego, z kołnierzem podniesionym, w czapce na oczy nasuniętej, znajomego nam Bobrka. Ten w kącie ubożuchno przytulony zdawał się czekać. Domarat skinął nań i weszli razem do izby.

Bobrek trochę tu inaczej wyglądał, nie chwaląc się suknią kleszą, jakby dworzanina jakiegoś postać przybrawszy. Taż sama twarz blada, pociągła, bez zarostu, na której namiętna jakaś przeszłość srogie ślady spustoszenia pozostawiła, nie miała tu tej pokory zbytniej, z jaką występował w Płocku — przybrała zuchowatość nadrobioną. Zdawał się nawet nieco słuszniejszym, bo się trzymał prościej i głowę podnosił.

Domarat przysunął się do niego.

— Mówiłem ci już, co masz czynić — odezwał się — nie mieszkać ani godziny, jedź zaraz, natychmiast, nocą. Choćby koń padł jeden i drugi, byleś się przed innymi dostał do Krakowa. Masz tam dobrych znajomych, przygotuj w mieście gospodę dla markgrafa⁹⁰ — ale cicho! Między Niemców mieszczan niechaj pójdzie wieść, że to dla nich pan, że oni mu pomagać powinni — rozumiesz! Miasto zyszcze swobody i grunta, jakich nigdy nie miało, nawet przed Albertem Wójtem⁹¹. Da im znowu wójtów wybierać, młyny budować. Niemców siła jest, powinni o sobie pamiętać. Markgraf po drodze do Węgier wstąpi do miasta. Trzeba namówić, aby mu natychmiast, gdy się ukaże, bramy otworzyli. Tym go ujmą. Masz na zamku swoich?

Bobrek głową kiwnął okazując, że wie dobrze, co czynić ma. Sługa Krzyżaków czuł się w obowiązku pomagać ich Luksemburczykowi — podejmował się tego chętnie. Nie ruszył się jednak z miejsca, choć sprawa była tak pilną. Domarat, pomyślawszy chwilę, spojrział na skrzynię stojącą w kącie, poszedł do niej, otworzył i dobył sporą sakwę drobnej monety srebrnej pełną. Milcząc oddał ją Bobrkowi.

Ten chciwie ją oburącz pochwycił i natychmiast bezpiecznie pod opończę umieścił — oczki mu zagrały weselej. Poznać było łatwo, że dla niego wszystkie te sprawy, którym służył, za które karku nastawiał, głównie tym się zalecały, że mu grosz przynosiły. Ożywił się, poruszył, zaczął bełkotać, iż teje godziny gotów był puścić się w drogę, ale samemu jednemu nocą nie było bezpiecznie. Spodziewał się przede dniem jeszcze do orszaku którego z panów krakowskich przyłączyć.

— Do pierwszego, jaki się nastęczy! — wołał gorączkowo Domarat. — Trzeba zawczasu tam poczynać, a na pewno przygotować, aby co nie przeszkodziło. Poślę i innych, ale na was najwięcej liczę!

Bobrek dziękował i zaręczał, że nie omieszka nic; dodał dla uspokojenia, iż wielu panów tejże nocy ruszać chciało z Wiślicy, a niektórzy pewnie dwory swe wyprawili przodem, aby im gospody gotowali. Do tych spodziewał się on przyłączyć.

Wiedział z dawna Domarat, że temu posłańcowi, którego do Sasów, Brandeburgów⁹² i Krzyżaków używał, szerokich instrukcji dawać nie potrzebuje, szepnął mu jeszcze słów kilka i odprawił.

Wyszedłszy stąd wolnym krokiem, tak aby na siebie nie zwracać oczów zbyt, Bobrek wysunął się na podwórcę, po których i straże nocne, i czeladź się jeszcze snuła, dopadł bramy i wybrał na miasto.

W całej Wiślicy mało tej nocy domów było, w których by spoczywano. Szlachta naradzała się, rozprawiała, jadła i piła, inni, którym pilno było, a narady już uważali za skończone, sposobili się do podróży, bo obroków mogło zabraknąć, a kupować je kosztowało drogo.

Bobrek zamiast, jak przyrzekł, starać się o wyjazd prędko, zaszedł naprzód do jednego z domów niedaleko od kościoła i tam, na górze, w komorze osobnej u Niemca, dostawszy kaganka, zaryglowawszy drzwi, siadł za stół do pisania. Szło mu zapewne o to, ażeby go przy robocie tej nikt nie podpatrzył, gdyż szpary we drzwiach pozawieszał odzieżą i okna obejrzał, dopiero po spełnieniu tych przygotowań cichutko wydobył ze skórzanej torebki przyrząd do pisania. Kawałek twardego pergaminu, niekoniecznie czysty, niezbyt dobrze wyprawny, na list starczył. Siadł go pisać wprawna ręką, po niemiecku Bobrek, a że wiele mieć musiał do doniesienia, miejsca oszczędzał. Tyle mu to czasu zabrało, że nie dokończył aż nad ranem. Zajął się potem osznurowaniem listu i mocnym jego pieczętowaniem, położył adres i dopiero odpoczął, gdy zawinięty w kawałek płótna położył na stole.

Kury piałły w miasteczku, ruch, który zaledwie był ustał, rozpoczynał się na nowo, gdy Bobrek rzeczy swoje pozbierawszy, zawinąwszy je w troki, opończę i kożuch nagotowawszy, szedł, aby wyszukać gospodarza. Długo mu coś szepejąc i zalecając, wręczył pismo, dał kilka pieniążków w rękę, szedł po wschodkach do stajni i parobkowi konia kazawszy podać, do którego wężelki przytroczono, ruszył w ulicę.

Spuszczał się pono na własny rozum i szczęście, wprost bramą Bocheńską na krakowski gościniec wyjeżdżając, nie wyszukawszy sobie wprzód towarzystwa. W istocie nie było o nie trudno na tej drodze, bo wielu panów, choć sami jeszcze w Wiślicy pozostawali, dla ciasnoty i niewygody dwory swe przodem wyprawili. Szły po grudzie z wolna wozy kryte skórą, jechali i szli ludzie, nie zbywało na wesołych dworakach, których mijając z wolna, Bobrek przypatrywał się i przysłuchiwał im, myśląc, kogo miał sobie wybrać do towarzystwa.

Nawykły do włóczęgi niemal po wszystkich ziemiach Polski i sąsiednich, mówiący kilku językami wprawnie, ostrożny i przebiegły, z niewielu słów domyślał się snadnie, z kim miał do czynienia. Pominąwszy kilka takich kupek, gdy już dobrze dzień zaczęło, natrafił o milę od Wiślicy pokaźniejszy orszak czyjś, ale tak bezpański jak inne. Starszy dworzanin tylko nim dowodził, podweselony jak i

drudzy, o czym się łatwo przekonać można było z tego, że pieśni swawolne wywodzili na całe gardło. Bobrek, począwszy jechać za nimi, przysłuchiwał się, uśmiechał i zdawał tylko czyhać na zręczność, aby bliżej poznać się z nimi. Starszy, co przy wozach z drugimi jechał, drab duży, suchy, z nosem czerwonym i policzkami rubinowymi, z długim wąsem spuścistym — miał twarz dobroduszną i głupkowatą. Może to właśnie Bobrka ku niemu pociągało.

Około pierwszej karczemki śpiewający stanęli, utrzymując, że już im w gardłach pozasychało, chociaż dobrze je w Wiślicy odwilżyli. Stanął z nimi i Bobrek, a tu, gdy starszy, nie zsiadając, piwa sobie przynieść kazał, udało się z nim podróżnemu zawiązać rozmowę. Począł się uskarżać, że arcybiskup, który był razem proboszczem u Świętego Floriana, samego wyprawił go do Krakowa, a markotno mu tę drogę odbywać bez towarzystwa.

— Jeśli waści nie pilniej jak nam — odezwał się starszy dobrodusznie — przyłącz się sobie do nas.

Podziękował za to Bobrek bardzo uniżenie i przyjął łaskę wdzięcznie, wnet się dając poznać. Ale jak skłamał, że go arcybiskup posłał, tak i nazwisko zmyślił, nadając sobie pierwsze lepsze. Starszy zaś z czerwonym nosem pochwalił mu się, że należał do dworu pana krakowskiego Dobiesława z Kurozwęk, a imię mu było Jędrak z Grójna.

Gdy potem, piwem gardła odwilżywszy, dalej ciągnęli, ów poseł arcybiskupi tak umiał wesołą rozmową zabawiać starego dworzanina, iż gdyby był o pół dnia chciał sam od niego odstać, pewnie by go nie puścił. Poznawszy rychło, z kim miał do czynienia, dobrał i przedmiot rozmowy, i sposób wyrażania się tak właściwy do ujęcia słuchacza, że Jędrak, ciągle się śmiejąc, konia swojego co najbliżej przy szkapie prowadził, aby słówka nie stracić. Tak samo jak w Płocku modlił się pobożnie z księdzem kanclerzem, jak umiał sobie rady dać z Pelczem, po drodze z rybakami, w Wiślicy ze szlachtą i Domaratem, tu też łącznie sobie zjednał dworzanina pana krakowskiego.

Mówili o rzeczach wielu, a zawsze na podziw się z sobą zgadzali. Bobrek trafił w myśl staremu, odgadywał go i gdy na nocleg przybyli, a klecha, o miód wytrawny się postarawszy, postawił go dobrą miarą przed Jędrkiem, pokumali się tak, iż spod wątroby, co chciał mu dobyć, mógł Bobrek. Dowiedział się od niego, że orszak swój pan krakowski nie darmo przodem wyprawiał, gdyż Jędrak jakieś rozkazy na piśmie wiózł do wójta i burmistrzów, a drugie do dowódcy na zamku.

— Gdyby człek czytać umiał — dodał wesoło Bobrek — ciekawa by rzecz była się dowiedzieć, co tam stoi, ale to nie nasza rzecz pismo wachać.

— I nie czytając wiem, co napisano — odparł Jędrak — nie co innego zaleca pan, tylko czujność i posłuszeństwo a wierność.

— Komu? — zapytał Bobrek śmiejąc się. — Wszakże my dotąd pana nie mamy ani nawet paniej. Miał panować Luksemburczyk, ale pono go nie chcą. Nie wiadomo, którą z córek królowa da i wyznaczy. Kogóż tu słuchać?

— Tymczasem tego, co w Krakowie panem jest, naszego Dobiesława — rzekł stary. — On nikomu nie da miasta, póki końca nie będzie. Z tego, co mnie samemu zalecał, domyślam się, iż do miasta

wyprawił przodem, aby nakazać, żeby tam nikogo nie wpuszczano.

— Jużci panu Zygmuntowi, gdy na Węgry jechać będzie, noclegu w Krakowie nie wzbronią — odezwał się Bobrek.

Jędrak ramionami poruszył.

— Albo ja wiem — rzekł obojętnie — to nie moja rzecz. Do miasta, jak do miasta, a że na zamek mu iść nie dadzą, to pewna.

Bobrek słuchał tak obojętnie, jakby go to nic a nic nie obchodziło, pili potem miód, opowiadali sobie trafne różne i wesołe rzeczy o klebach, o panach, o niewiastach, których bardzo wiele umiał Bobrek, a tak je poważnie razem i śmiesznie, twarzą i głosami ludzi wszelakich naśladowując, wygłaszał, że Jędrak z Grójna za boki się trzymał słuchając, a choć którą powieść znał, wydawała mu się nową.

Przed północą, słomy sobie kazawszy przynieść, pokładli się spać. Jędrak zmęczony jazdą i po miodzie, który dużo chmielu miał, zasnawszy twardo, nie zbudził się, aż gdy w izbie ogień rozpalono o świtanie. Zdziwił się mocno zobaczywszy około siebie miejsce opróżnione i że mu towarzysza nie stało. Sądził, że poszedł konia opatrzyć, ale nierychło dowiedział się od swoich, iż wesoły ów przybłęda, czegoś pilną drogę opowiadając, dobrze przede dniem sam jeden dalej wyruszył. Było mu po nim smutno, zwłaszcza że się nawet nie żegnali, a potem na drodze do Krakowa nigdzie go ani spotkać, ani napytać nie mogli.

Bobrek tak dobrze konia swego zażywał, iż na dziesięć godzin z wolna ciągnące wozy pana krakowskiego wyprzedził, a w bramie się opowiedziawszy jako własny dworzanin pana Dobiesława, do miasta wjeżdżał bez przeszkody i do gospody z dawna sobie znanej przy ulicy Grodzkiej, do Bieniasza z Torunia, zaciągnął.

Niemiec był czystej krwi ów Bieniasz, niedawno tu osiedlony i przyjęty do mieszczaństwa, sownie się opłaciwszy za to, że go do kupców zaliczono. A że pieniędzmi przy rozumie wszędzie się wszystko łącznie robi, przybylec zaś był człowiek gładki, rozmowny, grosza nie skąpiący, i okazywał, jakby tu miał wielki handel wieść kupią wszelaką — pozyskał sobie wielką wziętość i zachowanie. Dotąd jednak zapowiadany jego handel dla różnych wrzekomych przeszkód się nie rozpoczynał. Jeździł tylko często Bieniasz, nie wiadomo dokąd; ludzie doń z różnych stron, Niemcy wszyscy, przybywali, przesiadywali. Gadania było wiele, a towary zawsze w drodze.

Na sposób jego życia mało kto zwracał uwagę, bo nikomu to nie szkodziło, że zamożny człek wczasu zażywał. A wszędzie go było pełno, na ratuszu, w *Świdnickiej piwnicy*⁹³, na targach, między ławnikami i urzędnikami. Mówiono o nim, że ciekawy był i zabawiać się lubił lada czym.

Wyglądał bardzo poważnie, twarz miał pięknie zaokrągloną, rumianą, oko wesołe, usta świeże, zęby białe, brzusek pokaźny i nosił się bardzo dostatnio, wykwintnie, z cudzoziemska. Powiadał się wdowcem, a gospodarzyły u niego zawsze młode gospodynie i nieszpetynych dziewcząt parę, które przy gościach usługiwały, co pobyt u niego czyniło bardzo przyjemnym. Słowem, człowiek być choć go do rany przyłożyć, dobroczynny, dobroduszny, serdeczny i potulny. Po polsku, choć tu już od lat

kilku żył, nauczył się mało, starał się tylko o to, aby rozumieć, co słyszał, ale naówczas Niemców było tyle w Krakowie, a język ich między mieszczaństwem tak rozpowszechniony, iż bez polskiego łąco się obchodził.

Zaledwie wjeżdżającego w swe wrota zobaczył Bobrka gospodarz, gdy do niego zbiegł natychmiast, konia kazał parobkowi wziąć i poprowadził do komory. Przywitali się krótko i nie usiadłszy nawet żywo poczęli z sobą po niemiecku szwargotać. Pilna sprawa, z którą Bobrek był wysłany, tak ich gorąco zajmowała, że nim się klecha z kozucha rozdział, a gospodarz o przyjęciu go pomyślał, z godzinę szeptali, sprzeczali się, naradzali, ramionami ruszając, chodząc a trąc czupryny. Bieniasz zakłopotany się zdawał, Bobrek nalegał. Nierychło się opatrzyli, że noc nadchodziła.

Dopiero gospodarz o posiłku pomyślał, zawołał na sługi. Bobrek tak się z nimi witał poufale, a one z nim tak przymilająco, jakby tu częstym gościem bywał. Przyjmowano go, czym tylko dom miał, najlepszym. Z postawy jednak i twarzy Bieniasza wnosząc, dorozumiewać się było można, iż to, z czym wysłaniec przybywał, niepospolicie go trapiło. Chmurzył się, zamyślał, a coraz coś w ucho Bobrkowi rzucił, który zdawszy nań wszystko, już się zbytnio nie troszczył.

Nazajutrz spał jeszcze Bobrek, gdy Bieniasz już był na mieście, a nie powrócił aż na obiad. Z nim razem przyszli: jeden nadzwyczaj małego wzrostu, rudego włosa, mieszczanin, drugi słuszny, chudy człek, po żołniersku przyodziany. Zaledwie się przywitawszy, choć misy niesiono na stół, poszli wszyscy kupą do kąta, stanęli kółkiem i niezmiernie żywo rozprawiać zaczęli, ale tak cicho, że sami się tylko słyszeć i rozumieć mogli.

Bobrek im coś bardzo długo wykladał, towarzysząc sobie ruchami wyrazistymi, już niby pieniądze licząc na dłoni, to machając rękami, jakby mieczem ciął, kłaniając się i nadymając na przemiany. Żołnierz na to ramionami ruszał, pokazywał ku zamkowi, potem na gardło własne, w ostatku ręce rozpostarł, głowę spuścił i dodał:

— Nie można!

Małeńki mieszczanin rudy piskliwym głosem, kręcąc się w kółko, to jednemu, to drugiemu niemal do oczów skacząc — miotał się, wykrzywił, rzucił, a skończył jak żołnierz, ręce rozstawiwszy i minę robiąc rozpaczliwą.

Postygły misy z polewką, gdy wreszcie do stołu siedli. Rozmowa z powodu że sługi, niewiasty ciekawe, a długojęzyczne, chodziły i słuchały, urywana była i niezrozumiała; tego się, tylko łatwo nawet one domyślać mogły, że Bobrek zagniewany był, markotny i czynił wyrzuty. Kilka razy mu się wyrwało przezwisko — tchórzów, za co żołnierz go połajał mocno i o mało nie przyszło do zwady, bo nóż postawił na stole ostrzem do góry, a oczy siarczyste, wlepił w klechę. Potem jakoś ostygli, ochota odpadła od dalszego szermowania, napili się mocno i gospodarz mało mówiący, jak siedział na ławie, tak oparłszy się o ścianę zamknął oczy, otworzył usta i — chrapać zaczął!

Widząc to goście za czapki wzięli i mało co się żegnając szli precz. Bobrek zły był, tak że nawet dziewczęta uśmiechające się do niego zbywał obojętnie i zostawiwszy gospodarza zmorzonego snem poobiednim, zajął się przedziewaniem. Dobył z troków suknię kleszą, ale czyściejszą i lepszą niż ta, w której występował w Płocku, czapkę futrzaną dostatniejszą i za duchownego się już całkiem

przybrawszy sam ruszył ku zamkowi na miasto. Gdy potem dosyć późno do gospody powrócił, widać było, że i ta wyprawa mu się nie powiodła, gdyż humor wcale się nie poprawił.

Zleconym miał, jak wiemy, pracować około tego, ażeby miasto przybywającemu markgrafowi bramy otworzyło, a gdyby się udało, aby i na zamek go puszczono. Mogło się to stać niby nieumyślnie, wskutek opieszłości, niespodzianką. Tymczasem nikt się na to nie chciał ważyć. Znano kasztelana Dobiesława, iż surowym był, a ludzie jego tegoż dnia przywieźli na ratusz i na zamek rozkazy, aby bram wszystkich pilno strzeżono i nikogo nie wpuszczano. W listach, które Jędrrek przywiózł, stało wyraźnie, iżby nie bacząc na to, kto by przybył, zbrojnych ludzi, orszaków gromadnych, żołnierzy żadnych obcych mieszczanie pod gardłem nie puszczali. O zamku, który jak czasu wojny, ciągle był pilno strzeżonym, nawet myśleć nie było można. We wrotach straż stała mocna, nie otwierano nikomu. W listach zaś swych kasztelan nawet pono po imieniu markgrafa mianował, aby mu wjazdu wzbroniono.

Bobrek próbował ludzi śmielszych pozyskać, aby straż popojono, odciągnięto, a bramy zostawiono na pół przymknięte; gotów był nawet za to opłacić, ale słuchać nikt nie chciał, a ci, co by się ofiarowali, nie obudzali zaufania. Potrząsano głowami, słuchając o tym, gdyż po mieście już z Węgier jakoby przywiezione chodziły pogłoski, iż królowa Elżbieta zmieniła postanowienie pierwsze i dla Marii królowej zięcia sobie szukała we Francji lub Włoszech. Dla Luksemburczyka miejsca już tu nie było, a choć Niemcom smakował, obawiali się go sami jedni brać na karki.

Duchowieństwo, do którego Bobrek się udał, rachując na przychyłność znanych sobie kanoników ku królowej i Zygmuntowi, także nie bardzo kwapiło się z pomocą, obrażone tym, że Nankiera na Zwierzyniec⁹⁴ nie mianował Luksemburczyk, ale Czecha kapelana swojego. Burczano na to. Biskup nominat Radlica⁹⁵ do niczego się mieszać nie chciał. Był on nieboszczyka Loisa ulubieńcem i lekarzem, rodzinie jego oddany, nie Zygmuntowi.

Bobrek postrzegł, że nic tu już do czynienia nie miał i że mu trzeba było z upokorzeniem, ze złą wieścią nazad powracać. To jedno pocieszało, że grosza pozostało dosyć, a zwracać go nie myślał wcale.

Wahał się jeszcze, z dnia na dzień wyjazd odkładając, sznurkując po mieście, a tymczasem kasztelan sam, pospiesznie, dniem i nocą biegnąc, z Wiślicy nadciągnął, i jak tylko w Krakowie stanął, natychmiast straż, i tak już mnogie, podwojono, wrota nawet we dnie pozamykano. Każdy, kto przybywał, opowiadać się musiał.

Na ostatek dowiedział się w mieście Bieniasz, że markgraf przewidując, co go tu spotkać miało, pominął stolicę, pod Wawrzyńcami się przez Wisłę przeprawił i w Niepołomicach miał spoczywać, skąd już prosto na Bochnię i Nowy Sącz na Węgry ciągnął. Dobiesław z panami krakowskimi, aby nikomu nie chybić, a diabłu też świeczkę zapalić, urządził tak poczystnie i przystojnie podróż Luksemburczykowi, iż choć się wściekał, a kłaniać się i dziękować jeszcze musiał. Szlachta bowiem z pocztami znacznymi niby mu cześć wyrządzając, a w istocie pilnując go, zabiegała drogę, przeprowadzała markgrafa, karmiła, życzyła podróży szczęśliwej, nie puszczając ani kroku z wyznaczonego gościńca do Bochni, do Nowego Sącza i aż do granicy. Doprowadzono go tak aż do skraju i nie uspokoiono się, aż on i jego kopijnicy pociągnęli do domu.

Na próżno dosyć czasu na wypatrywaniu strawiwszy w Krakowie, Bobrek wręście z pomocą Bieniasza, znalazłszy sobie towarzyszków podróży, starą sutannę i opończę wdział, aby do Wielkopolski powrócić.

Niepilno mu było stawić się przed Domaratem z rękami próżnymi, ani też spieszył zbytnio, po drodze tu i ówdzie na Szląsku przystając, rozpatrując się i badając. Nim do Poznania dojechał, dochodziły zewsząd wieści, iż Domarat ustąpieniem Zygmunta i uchwałami wiślickimi nie zrażony do walki zajadłej ze szlachtą, przeciw niemu zburzoną, się gotował.

Gościńce tu już nie bardzo były bezpieczne, a Bobrek unikając, aby go nie poturbowano, bardzo ostrożnie na przemiany się opowiadał jako rodowity Nałęcz, a drugim jako czystej krwi Grzymała. Miał zaś przezorności tyle, iż zawsze wprzód, nim się przyznał, kim był, wywahał, z kim miał do czynienia. Im bliżej Poznania, tym goręcej tu było. Ludzi snuło się orężnych mnóstwo, ślady krwawych utarczek widne były wszędzie, popalone dwory, opustoszone wioski, kupy włóczęgów niebezpieczne spotykał co chwila.

Po cichu wsunął się na zamek, który Domarat trzymał jeszcze, upatrując chwili, gdy się stawić będzie mógł. Od znajomych sobie dworzan słyszał, że podrażniony był, gniewny, rozszonony, a przystęp do niego niebezpieczny. Zaszył się więc do kąta przypatrując, co się działo.

Posłańcy przybiegali i odjeżdżali co chwila. Grzymałów, co było po wsiach i bezbronnych dworach, ciągnęło pod opiekę Domarata; niektórzy już poodzierani i pokaleczeni, ledwie z życiem uszedłszy. Zamęt panował okrutny, ale z żelaznym uporem, na wszystko gotów, stał przeciwko wrogom swym nie złamany niczym wielkorządca. Poddać się, ustąpić, uznać zwyciężonym nie myślał. Wiedział też, że litości by nie znalazł.

Drugiego dnia nad wieczór, korzystając z chwili usposobienia, Bobrek się dostał do mieszkania Domarata, które podobniejsze było do zbrojowni niż do pańskich komnat. Grzymałów ubogich a poodzieranych już ze zbroi, bo ich wielu bosy i w koszulach uchodziło z rąk Nałęczów, trzeba było opatrywać w suknie i orężu. Stosami też zwożono tu i składano na kupy lada jakie pancerze, blachy, hełmy stare, miecze, obuchy, cepy, co tylko skąd ściągnać się udało.

Domarat nie spał, nie jadł, chodził w gorączce, z ustami zapienionymi, rozkazy wydając, śmiercią grożąc, winnych i niewinnych śląc do ciemnic lub pod sądy Jana Płomieńczyka, sędziego swojego, owego Krwawego Diabła, którego katem znano i zwano. Srogością tą bezlitosną chciał przerazić, spodziewał się złamać opór Wielkopolan, ale omylił się wielce. Cała niemal szlachta podniosła się przeciwko niemu. Co dzień prawie przychodziły wieści, że ktoś odpadł i przystał do Nałęczów obozu. Nie zmieniało to ani postanowienia, ni sposobu postępowania Domarata, odgrażał się tylko, że kraj cały w perzynę i stos gruzów obróci.

Właśnie w godzinę takiej sierdzistości wielkiej, gdy wielkorządca rozsyłał rozkazy zbrojenia się do ostatniego człeka, drżąc z gniewu, bo mu wioskę spalono, Bobrek sądząc, że go spokojniejszym zastanie, stanął przed rozplómiętym Domaratem. Uląkł się mocno i stanął w progu jak skruszony winowajca, oczekujący wyroku. Domarat, zrazu go nawet nie poznawszy, przyskoczył i nie opamiętał się, aż ujrzał schylającego do kolan.

— Z niczym powracam, Najmiłościwszy Panie — rzekł po cichu — ale — Bóg świadek! — wina nie moja — zdrada była. Na złamanie karku pędziłem, a przybyłem za późno — dwa konie padły.

Domaratowi już ta bezpowrotna przeszłość, którą odbolał, nie tak leżała na sercu. Co innego miał na myśli. Popatrzał na niego czas jakiś osłupiały.

— Ludzi, ludzi mi na gwałt potrzeba! — zakrzyczał. — Słyszysz, ludzi! Do Sasów, do Brandeburczyków, do diabła gotowem słać, byle mi kto żołnierza dostarczył. Na Czechy już posłałem. Ty sam półkrwi Niemiec, masz u Niemców mir, trutniu! Ruszaj mi zaraz, a spraw się lepiej!

Tchu mu zabrakło, rękę przyłożył do piersi i zawołał:

— Ta hołota, łachmanami okryta, myśli, że mnie wezmą gołą garścią. Nie poddam się, dostoję, nie lękam!

Postrzegł się dopiero kończąc i domawiając tych słów, że się niepotrzebnie zwierzał człowiekowi małemu — namarszczył się urywając nagle.

— Jedź ty mi zaraz, czasu nie tracąc, do Sasów, do Brandeburczyków, wiele chcą, od kopijnika dam.

— Miłościwy Panie — słodko, łagodnie, głosem przymilającym się począł Bobrek — słówko pozwólcie rzec. Będę posłusznym, pojedę, dokąd każecie, ale czemuż by do Zakonu niemieckiego się nie zgłosić? Oni wam chętnie usłużą, a ich kopijnik więcej wart niż inny, u nich ludzi zawsze dosyć — knechtów przyślą.

— Mają z Litwą dużo do czynienia — przerwał Domarat gwałtownie — ja potrzebuję spieszenie żołnierza. Szlachta nikczemna, zdrajcy podłe odbiegają mnie, ale ostatnią z siebie zdejmę koszulę, a pomszczę się. Żołd zapłacę sowity, łup cały oddam, dworów i zamków nie pożałuję. Będą mieli czym wory napęłnić i do domu wrócą nie próżni.

Mówiąc oburącz się chwycił za głowę.

— Ludzi mi potrzeba, ludzi!

— Pójdę do nich, dokąd każecie — odparł Bobrek spokojnie.

Domarat wołał tymczasem bez przestanku:

— Ludzi mi dawaj! Bronić się muszę. Zmuszają mnie do tego. Zbierają wojsko na mnie, wystawię drugie przeciw nim. Chcą, aby się krew lała, popłynie strugami. Palą oni, ja kamienia na kamieniu nie zostawię!

Zajadłości tej wcale się nie zdawał podzielać klecha ostygły — patrzył, słuchał, rachował może, czy nie nałoży głowę i kto tu będzie mocniejszym, a co Zakon zyszcze na tym. Nim dalszych doczekał się rozkazów, drzwi się nie zamykały, wpadali ciągle przybywający z wiadomościami, poranieni,

przerażeni.

Zaledwie uspokojony, Domarat w nową wściekłość wpadał — same niemal klęski mu zwiastowano. Paliły się dwory i wioski Grzymałów, szturmowano do ich grodków, niewiasty splakane z dziećmi na ręku uchodziły. Ogromne łupy zagarniali Nałęczce, a tymczasem wojsko ścigali z całej Wielkopolski, chcąc nim osaczyć wielkorządcę i zmusić do poddania się.

Na zamku, mimo przygotowań do obrony, przestraszony panował, bo miasto, obawiając się zniszczenia, szemrało i groziło, że się podda Nałęczcom.

Chociaż drogi były poprzecinane, a po lasach stały zasadzki, na gościńcach zaś wielkich kupami czatowali Nałęczce — oddziały Grzymałów przedzierały się lasami, bezdrożami i co chwila wpadały na zamek, pod opiekę Domarata. Lud to był bardzo lichy uzbrojony, z którego ledwie się co zdatnych do boju wybrać dawało, a wszystkich karmić było potrzeba.

Bobrek, o którym wśród tej wrzawy zapomniano, stał u drzwi ciągle i korzystał z tego, bo się nasłuchiwał powieści o tym, jak sprawa Grzymałów stała. Przebiegły klecha nastawiał uszu, rachując, jak dwu panom razem usłużyć. Głównie szło mu o to, aby swoim panom niemieckiego Zakonu zdać dobrą ze wszystkiego sprawę. Doniósł już im z Wiślicy trochę, teraz się zbierał ustnie w Toruniu i Malborgu opowiadać, co w sąsiedniej Polsce się działo. Domarat nie mógł mu dać pożądanego zlecenia.

Ten już prawie był o nim zapomniany, czym innym zaprzątnięty, gdy po odejściu ostatnich przybyłych z żałobą zobaczył tego bladego u progu trwającego, zbiedzonego klechę.

— Czekam, czy Miłość Wasza raczyście mi dać pisanie do mistrza lub tylko ustne poselstwo — odezwał się, narzucając z nim, Bobrek.

— Do mistrza?! — szorstko podchwycił Domarat. — Gdybym grosza potrzebował, a miał kawał ziemi do założenia, nie obróciłbym się do nikogo innego, tylko do Zakonu, ale mnie potrzeba ludzi!

— Ludzi, no i oręza — dodał Bobrek. — Gdzież łatwiej o wszelką zbroję jak u nich? Szopy całe stoją jej pełne i jakiej jeszcze! A i ludzi dać mogą i to takich, z których jeden stanie za tutejszych dziesięciu.

Domarat zamyślił się głęboko.

— Do mistrza, do Brandeburgów, do diabła idź! — zawołał. — Powtarzam ci, ruszaj, gdzie oczy poniosą, byleś mi sprowadził ludzi — ludzi!

Gorączce tej Domarata winien był klecha, że go za Kraków nie łajano, o pieniądze liczbę nie pytano, a nazajutrz dostał pismo pod pieczęcią i nowy zasilek na drogę.

Wybierając się dalej przez zawichrzony kraj, Bobrek dobrze musiał się namyślać, jaką postać przybierze. Najbezpieczniej wydało mu się pozostać, czym był, ubogim klechą. Odzież ta najlepiej od Nałęczów i Grzymałów broniła, a że ciury i duchownych czasem dostatniejszych odzierali, najstarszą, wytartą przywdziać musiał sutannę, lichą czapczynę, podarte obuwie, aby

powierzchnością swą nikogo nie przywieść na pokuszenie.

Z Domaratem widzieć się już ani mówić nie było można, przeżegnawszy się zatem, westchnąwszy do Boga o własną skórę, mroźnym rankiem Bobrek jako chudzina biedny wyruszył wielkim gościńcem, waząc się na wszystko, co go spotkać mogło. Listy z pieczętkami w butach miał misternie pozaszywane, gdyż w potrzebie i z dratwą się obchodzić umiał.

Rozdział VI

Postanowiwszy panom swoim Zakonu niemieckiego przywieźć dobrą wiadomość o zawichrzonym stanie Wielkopolski, chociaż wiózł razem i niepomyślną o tym, co tu markgrafa miłego Krzyżakom spotkało — Bobrek drogę skierował na Płock, aby zająrzeć, co się tam z Semkiem działo. Mówiono bowiem, iż on się także potężnie wystąpić gotował, a panowie wielkopolscy sprawę jego popierać się zbierali. O wszystkim tym panowie Zakonu teutońskiego powinni byli być zawiadomieni dokładnie, gdyż ze wszystkiego korzyść dla siebie wyciągnąć umieli. Wiedział klecha, że będzie u nich pożądanym, lecz zapas wiadomości chciał jak najpełniejszym uczynić.

Podróż wygodną ani miłą nie była, kraj cały niemal stał w płomieniach. Ale ubogi, nędzny klecha, na nędzniejszej jeszcze szkapie, czegoż się miał obawiać?

Pierwszy dzień podróży zszedł tak spokojnie, a takim pustkowiem, że do dalszej drogi dodał męstwa. Ślady tylko spustoszenia i gwałtów spełnionych widać było dokoła, ludzi spotykał mało. Jedni zbiegali do grodów i miasteczek, drudzy w lasy; gospody nawet niektóre, gdzie walka się jaka odbyła, zawalone trupami odartymi, stały pustką, bo z nich gospodarze pouchodzili. We dnie, na prawo i na lewo, widać było domy, a nocą łuny pożarów. Gdziegdzie trafiał na ślady obozowisk nie opodal od gościńca i wygasłe ich ogniska a padłe konie, ponad którymi stada kruków się unosiły i wilcy do nich z lasów ciągnęli. Straszny był widok tego kraju, w którym nie wróg, ale własni jego mieszkańcy takie spustoszenie uczynili.

Nałęczów nie spotykał Bobrek nigdzie, a drugiego dnia małą kupkę Grzymałów, która strwożona do Poznania się przedzierała. Starszy wiodący ją zatrzymał klechę dla rozpytania się; ten zapewnił go, że Domarat mocno się do obrony sposobił.

Na popas mu tego dnia przyszło stanąć w lesie, około nędznej karczemki, z której dymnika i dachu trochę się kurzyło, co zdawało się oznaczać, że tam przecie ludzie być musieli. Uchyliwszy drzwi, w pomroce nikogo z początku nie dostrzegł Bobrek, ogieniek się tylko żarzył biedny i syczał, bo mokrymi gałązkami był podsycany. Rozpatrzywszy się dopiero lepiej, zobaczył na ziemi siedzącego człowieka i zdało mu się, że mnich był w sukni grubej, paskiem ze sznura przewiązanej. Kaptur też na głowę miał nasunięty, a broda siwa, rzadka na piersi mu spadała.

Zbliżywszy się doń pozdrowił Chrystusa, na co mu głosem dźwięcznym i silnym siedzący odpowiedział:

— Na wieki.

Był to w istocie zakonnik reguły Franciszka świętego.

— A gospodarza to tu nie ma? — zapytał Bobrek.

— Jak widzicie. Pan Bóg tu gospodarzem, a ja jedynym dotąd gościem — rzekł stary mnich, który właśnie w rękę chleba kromkę trzymając suchego, a w drugim sól — posypywał ją oszczędnie i

pożywał. Małeńki kubek drewniany stał przy nim z wodą. A choć w pustej gospodzie przy biednym ogniu wesoło nie było, mnich starowina zdawał się być bardzo dobrej myśli.

— Cóż wy tu, ojcze, porabiacie? — odezwał się Bobrek, szukając sobie miejsca, gdzie by przysiadł.

— Widzicie — domyśleć się łatwo. Wedle reguły świętego ojca naszego za jałmużną chodzę dla konwentu, a podczas wyprawiono mnie do Pyzdr⁹⁶, więc tam powoli dążę.

Rozśmiał się stary.

— Za jałmużną, pod te czasy! — przerwał Bobrek. — Toście się, mój ojcze, nie w porę wybrali, bo tu teraz wszyscy żebracy i rychlej by wziąć potrzebowali, niż dać mogli.

— Przecież — odparł stary mnich, nie przerywając sobie w jedzeniu suchego chleba, który wodą pokrapiał, a solą osmaczał — widzicie, że z głodu nie umrę.

Bobrek stęknął.

— Co za czasy, mój ojcze! Co za czasy!

— A wy skąd i dokąd? — odparł, nie wtórując narzekaniu, zakonnik. — Jeżeli się nie myłę, także sukienkę duchowną nosicie.

— Klerykiem jestem — odezwał się Bobrek. — Jeżdżę po świecie, piórem na chleb zarabiając, ale teraz by je chyba na żelazo trzeba przemienić. Zbiera się na wściekłą wojnę.

— Wola Boża — rzekł mnich spokojnie. — Bez jego woli nic się nie dzieje, a wierzcie mi, Bóg wie, co czyni. Widno, że różgi było potrzeba... co było kąkolu, to burza wypleni, a czyste ziarno zostanie na chwałę Pańską.

— Przy złych i niewinnym się dostanie — westchnął klecha.

— A któż z nas nie winny? — odparł zakonnik chłodno.

— Królestwu temu, nigdy wielkiemu i potężnemu, za Kaźmirza jeszcze spokojnemu, tyle lat szczęścia używającemu, ostatnia się pono zguba gotuje — mówił dalej Bobrek, który zwyczaj miał w ten sposób każdego, kogo spotkał, na słówko jakie wyciągnąć.

— Nie trwóźcie się zbyt — odparł mnich. — Ukarze Bóg, ale się i ulituje a pobłogosławi. Ojcem jest. Nabroili ludziska, gdy się im dobrze działo, cóż dziwnego, że teraz pokutować muszą? Bóg miłosierny!

— Bezkrólewie — ciągnął Bobrek, który węzełek z sobą przyniesiony rozplątywał, zapas w nim mając od głodu i myśląc, czy swoją wędliną ojca chlebem się suchym posilającego ma częstować czy nie...

Ów półkrwi człowiek miał w sobie i oszczędność z ojca niemiecką, i z matki trochę polskiej gościnności... Począł odrzynać nożem mięso i podał je na nim staruszkowi.

— Dziękuję wam — odparł mnich nie przyjmując — jem dziś z suchotami⁹⁷.

— W taki głód i chłód?

— Łatwiej pościć — rzekł wesoło stary. — Pożywajcie zdrowi. A wy dokąd to dążycie?

— Ja... do Płocka — rzekł, mało co się zawahawszy, Bobrek, który tym razem nie czuł żadnej potrzeby udawania, choć wedle zwyczaju już miał na języku coś innego, bo ostrożność nigdy nie wadziła... — W Płocku czasem kanclerz księcia Semka zażywa mnie do przepisywania. Teraz tam podobno się coś dla mazowieckiego księcia zapowiada, będą może listy do pisania.

— A cóż się to zapowiada? — zapytał mnich obojętnie.

— Słyszę gadanie po drodze, że go na króla chcą wziąć — odparł Bobrek. — Piastów to krew stara, lgną do niego ludzie...

Zakonnik słuchał milczący.

— Tajemnicą to jeszcze Bożą — odezwał się — komu ten tron przeznaczony. Obcy pan dosyć długo się na nim trzymał, byliśmy u niego jak dzieci u macochy — teraz spodziewać się, że nam to Opatrzność nagrodzi.

— Zygmunta Luksemburczyka nie wiedzieć dlaczego ludzie zniechcieli i odepchnęli — mówił Bobrek — wyjechał z próżnymi rękami, choć go arcybiskup zalecał. Młode, śliczne, gładkie panie. Ludziom nigdy nie dogodzić... aby wicherzyli!

Spostrzegł się teraz Bobrek, że mnich mu na jego politykowanie bardzo niechętnie i półgębkiem odpowiadał.

Chleba dojadłszy zaczął coś szeptać i przeżegnał się. Była to modlitewka, po której dopiero znowu wypogodzoną twarz zwrócił ku klesze.

— Widzę, żeście bardzo świadomi spraw świata tego — odezwał się. — Mnie one mało obchodzą. My zakonnicy zgadzamy się we wszystkim z wolą Bożą, a co zsyła Opatrzność, błogosławimy.

— Hiobowe⁹⁸ to dziś błogosławieństwo — rzekł Bobrek. — Już niechajby kto chciał panował, byle spokój był, a gościeńce się trupami nie uścielały.

Mnich patrzył nań ciekawie, ale bez wzruszenia.

— Musieliście ucierpieć dużo — rzekł — że wszystko tak czarno widzicie. Żal mi was. Ja po tej burzy jasnego się słońca spodziewam. Prorokiem nie jestem, ale w duszy mi coś mówi, że lepsze się czasy obiecują. Znijdzie gwiazda nad tą ziemią, oschną łązy i będzie radość wielka nie w Izraelu, ale

w tej biednej Polsce naszej.

— Wyście rodem tutejsi? — zapytał Bobrek.

— Tak ci jest, dzieckiem Franciszka świętego⁹⁹, patriarchy naszego — mówił swobodnie i wesoło staruszek. — Mógłbym i ja płakać i smucić się, bo dosyć złego oczy moje widziały, ale mam wielką ufność w Panu.

Mówił to z takim spokojem błogim staruszek, że chłodny, a do wrażeń nieskłony, po swojemu jednak pobożny i zabobonny Bobrek poczuł dlań wielkie poszanowanie. Siły ducha potężnej potrzeba było, aby tak myśleć i mówić. Bobrek widział w starcu świątobliwego męża i jakąś nadziemską potęgą obdarzoną istotę.

— Dałby Bóg, aby się wasze słowa ziściły — szepnął cicho.

— Ziszczą się one, dziecko moje — odparł, powstając z kłódki, na której siedział, mnich i strzepując z sukni chleba pruszynki, a kubek chowając do kieszeni.

— Niech was Bóg dalej szczęśliwie prowadzi — dodał zwracając się do klechy. — Mnie dalej iść czas, bom pieszy, a Bóg wie, czy na nocleg dociągnę pomiędzy ludzi.

Mimowolnie powstawszy Bobrek schylił się i mnicha w rękę pocałował, sam pozostając w pustej karczemce, dopóki by koń nie wypoczął.

Starzec zniknął już, za drzwi się wysunąwszy, a klecha jeszcze patrzył za nim podziwiając to wesele i spokój ducha ubożuchnego człeka, który taką wiarą był przejęty, że mu ona przyszłość rozświecała.

Mało go obchodził ten kraj, którego się nie czuł dziecięciem, więcej serca miał dla teutońskich swych panów, ale tam i tu siebie głównie miał na względzie. Kilka już lat chodził zaprzężony w jarzmo ciężkie, a nie miał jeszcze zapewnionego jutra.

Zadumał się tak trochę za długo, aż wreszcie z myśli się otrząsnąwszy do konia poszedł i w dalszą się puścił drogę. Od czasu, jak tego mnicha widział, mniej z siebie był rad. Zazdrościł mu tej szczęśliwości o suchym chleba kawałku. Jemu żądze niepomierne wypoczynku nie dawały.

Pod noc wprosił się do proboszcza, z którym do późna razem lamentowali, gdyż biednemu księżynie oddziały Nałęczów siano, obroki i spiżarnie wyprzątnęły. Pomimo to ksiądz gotów był cierpieć i więcej, i dłużej, byle się raz króla swojego własnego doczekać, a Niemców pozbyć z domu.

Ta powszechna do nich nienawiść, którą na każdym kroku spotykał Bobrek, jątrzyła go. Więcej Niemcem się czuł być niż Polakiem, a wychowany między Krzyżaki, im i ich sprzymierzeńcom życzył panowania.

Ale księdzu potakiwał.

Ciągnął bardzo powoli. Konisko źle karmione nierychło go do Płocka doniosło. Musiał niekiedy i pieszo iść, aby mu ulżyć, a popasać często.

Wjechawszy na Mazury, bystrym okiem dostrzegł zaraz jakieś przygotowania i ruchy. Uderzyła go różnica wielka kraju, jakim był, gdy się tu ostatnią razą znajdował, a teraz: konie spędzano, ludzi wyganiano co dorodniejszych do Płocka, a choć o celu tych przygotowań nikt mu powiedzieć nie umiał, jawne one były. Ku żadnej obronie ich nie potrzebowano, bo nikt na Mazowsze napadać teraz nie myślał, choć Litwa była z nim w wojnie.

W Płocku na pierwszy rzut oka już się niewątpliwym dlań stało, że się do czegoś sposobiono i zbrojono. Nim do Pelcza zajechał, w ulicy miejskiej dwa poczty spotkał ciągnące do miasta, konno jadącego i rozkazy rozsyłającego wojewodę Abrama Sochę, dalej znów na koniu z pachółkami gospodarzącego Sławca¹⁰⁰ chorążego mazowieckiego. Wszystko to niepokój jakiś zdradzało.

Niemiec kotlarz zafrasowany powitał go w progu razem z piękną Anchen, która ledwie mu się uśmiechnęła i na dany przez ojca znak uciec musiała.

— W porę bardzo przybywacie! — zawołał Pelcz. — Musicie wy o czymś więcej niż my wiedzieć, a nauczycie mnie, na co się to tu zbiera. My nic nie rozumiemy, a krętanina wielka, rusza się wszystko, co żyje, i młode paniątko nasze, po długim spoczynku, jakby je ukropem oblał, skacze.

— Ale ja o niczym nie wiem, tak jak i wy — odparł Bobrek — to pewno, że Semka do Polski ciągnąć myślą na króla. Sprawa to Bartosza z Odolanowa i innych Nałęczów.

Pelcz krzywił się.

— Pewnie, że nie o co innego idzie — rzekł — ale z kim, jak, będzie on poczynął? Sam jeden? Wiemy, że w skarbcu było sucho, a bez pieniędzy wojny nie ma.

Weszli tak rozmawiając do izby, w której Anchen nie było. Pelcz był tym podrażniony, iż tajemnica jakaś czynności księcia otaczała. Przyjeżdżali ludzie nieznanymi, wysyłano zaufanych, gotowano się jak do wojny, a ksiązę mówić o niej zabraniał i głosił, że się zbroi dlatego tylko, iż wszyscy dokoła za broń chwyтали, więc bezpieczeństwo tego wymagało.

— Jest na zamku ksiązę? — zapytał Bobrek.

Pelcz rączyska grube rozpostarł i głowę podniósł z wyrazem rozpaczliwym.

— Patrzcież ino — krzyknął — kiedy pod zamkiem siedząc nawet o tym z pewnością wiedzieć nie można, czy on jest na zamku i kiedy go nie ma! Są dnie, że nikogo tam nie dopuszczają, po nocy kupy zbrojne jedne wyciągają, drugie się gromadzą.

Bobrkowi tajemniczość ta wydawała się nieprawdopodobną, przypisywał głupocie Pelcza nieświadomość jego.

— Niech no ja tam pójde tropić — rzekł z zarozumiałością wytrawnego szpiega — nie może być, abym nie wywąchał, co to jest...

Niemiec zamilkł.

Pora dnia tego nie była właściwą do odwiedzenia zamku, a Bobrek też spoczynku potrzebował bardzo, odłożył więc to do jutra.

Rano w swej kleszej sukience, pokorny i maleńki, zaszedł naprzód do kościoła na zamku. Kanclerz właśnie mszę świętą kończył przy bocznym ołtarzu, odchodząc od niego poznał widać klechę, bo natychmiast chłopak do mszy służący przybiegł do niego żądając, aby po mszy Bobrek przyszedł do stacji kanclerza. Na rękę to właśnie było klesze, który nie omieszkał, krótko zbywszy pacierze i ucałowawszy relikwie, pospieszyć na wezwanie.

Zastał księdza z kubkiem ciepłej polewki chodzącego żywo po izbie. Zobaczywszy go kanclerz zbliżył się, dał mu rękę do pocałowania i zapytał:

— Skądże?

— Z Poznania znowu uchodzić musiałem, bo się tam na bardzo srogą wojnę zanosi, mój ojciec, nie było co robić dla mnie. *Silent musae*¹⁰¹! Co żywe, wszystkich biorą na żołnierzy, a jam do tego niesposobny.

Ksiądz patrzył nań bystro.

— Zdaje mi się, żeś ty mi mówił, iż po niemiecku szwargoczesz — rzekł — pismo ich czytać umiesz, a i sam pisać potrafisz? Może to być?

— Tak jest — odparł Bobrek. — Z biedy człowiek się wszystkiego uczy.

Kanclerz pomyślał chwilę.

— Ha, no! — odparł. — Kto to wie? Pod te czasy mógłbyś się może nam przydać. Poczekać tylko trzeba. Jest komórka tu przy moich, chceszli, znieś tam rzeczy, księżę może jakiej potrzebować usługi.

Bobrek się odrobinę zawahał z przyjęciem tej łaski, ale w końcu pokłonił się do kolan.

— Głodu u mnie nie doznacie — dodał kanclerz.

Wtem, oknem wyjrzawszy, kubek swój dopił spiesznie i wybiegł na podwórze. Bobrek nie znajdował tego występnym, że ciekawość zaspokajając wysunął się za mim do sieni, niby dalszych czekając rozkazów.

Kanclerz, już zapomniawszy o nim, szedł ku dworcowi książęcemu.

Tu właśnie w gościnę ktoś zajeżdżał z poczem licznym. Zsiadał z konia, a dwór jego i ludzie a wozy wciągał przez wrota, cały niemal zapełniając dziedziniec. Mąż musiał być znaczny, gdyż i urzędników z sobą prowadził i dowódcę straży, a wszystko to poodziewane dostatnio, czysto, zamożnie, chociaż po staremu i niewykwintnie.

Bystre oko Bobrka dostrzegło po pewnych znamionach, iż gość to nie z Polski był ani od Niemców, ani też z Litwy, z którą Semko był na stopie wojennej. Domyślił się trafnie Janusza, księcia na Czersku i Warszawie, starszego brata książęcego. Chociaż ten się bardzo rzadko z domu ruszał, ale nie mógł to kto inny być prócz niego.

Wśród ówczesnych panów i pańskich dworów Janusz Starszy, jak go zwano, odznaczał się usposobieniem i obyczajami odmiennymi i sobie właściwymi. O kilkadziesiąt lat¹⁰² starszy od brata, który się przy nim dzieciakiem wydawał, na pozór zimny, poważny, pokój miłujący, w domu rządny, chociaż osobiście mężny był, wojny unikał jak ojciec, a zdobyczy nie był łakomy.

Swojego czasu człowiek to był wyjątkowy, nie miał bowiem ani chciwości innych panów, ani ich gorączki bojowej, ani ambicji takiej, dla której by spokój swój i kraju ważył, granicę jego pragnąc rozpostrzeć. Szedł widocznie w ślady Ziemowita starego, który dla utrzymania się przy Mazowszu wiele ofiar nawet z miłości własnej czynić musiał... Nie miał jego popędliwości i srogości, powolniejszym był, ale się też nikomu wodzić nie dawał i wolę miał silną.

Janusz z praw wieku i starszeństwa uważał się za opiekuna dużo młodszego brata, a że ich interesa wspólne łączyły, z oka go nie spuszczał. Młodego, żywszego, mniej daleko widzącego i przewidującego Semka, którego wiek jeszcze nie ostudził, opieka ta trochę niecierpliwiła.

Wiadomym to powszechnie, jak braci młodziej przedłużona ta piecza starszych bywa nieznośną. Semko nie śmiał się buntować jawnie przeciwko bratu, bo za życia ojca zarówno go jak rodzica nawykł był szanować, wymykał się jednak, o ile mógł, spod jego władzy. Teraz, gdy go Bartosz z Odolanowa z innymi pany wielkopolskimi zaczęli nakłaniać, aby korony polskiej nie odrzucał i sposobił się do zdobycia jej, Semko niepewien, wahający się, brata wszakże się nie radził i milczeniem przyzwalał, choć kroku stanowczego nie uczynił, zbroił się bez wiedzy jego.

O przybyciu tym Janusza nie był wcale uprzedzonym Semko, chwyciło go ono niespodzianie. Czerski książę spadał jak z obłoków. Gdy pacholę wbiegło znać o nim dając Semkowi, pobladał młody pan — zagryzł wargi, zakłopotał się mocno. Jawnym dlań było, że starszy brat dowiedzieć się już musiał o zamiarach i knowaniach Wielkopolan i przybywał go liczby słuchać¹⁰³, a owołać do tłumaczenia, najpewniej zaś powstrzymać od zuchwałych zachcianek. Walka z Januszem, opór przeciwko niemu, ciężkimi były dla Semka. Lecz nie mógł już ani ujść, ani się schronić i musiał gościa wesołą twarzą witać, choć mu było markotno.

Otworzył żywo drzwi sypialni, w której siedział, i z udanym pośpiechem a serdecznością wybiegł z otwartymi rękami naprzeciw Janusza.

Ten stał w kozuchu wygodnym, butach ciepłych i kołpaku, tak jak był z konia zsiadł, oglądając się po znanej izbie, która od czasów starego Ziemowita mało co się odmieniła. Patrzył na nią z rozrzewnieniem jakimś, stare mu czasy przypominała.

Mąż był jeszcze w sile wieku, ale twarzy już niemłodej, pooranej, rysów niepięknych — spokojnego, niemal surowego, zastygłego wyrazu. Rycerskiego w nim było tyle tylko, ile w książęciu onego wieku być musiało. Na twarzy wypogodzonej malował się ten wiek człowieka, gdy on już złudzeń się pozbył, życie bierze, jak ono przychodzi, a spokój nade wszystko ceni. Ani pragnień, ani

też polotu nie widać było w nim ku wyższemu czemuś — był ze swego rad.

Na widok młodego wyrostka niemal mu Janusz z ojcowską jakąś serdecznością otworzył ramiona i do serca go przycisnął.

— Prawda, żem ja ci gościem niespodziewanym? — rzekł, rozpinając kozuch i pas a rozgaszczając się jak w domu.

— Wiesz, że ja nierad wędruję, a gotówem w moim dworze warszawskim lata siedzieć patrząc, jak Wisła mi płynie... i nic nie potrzebując więcej. — ale mi się za tobą stęskniło. No — i niepokój mnie ogarnął o ciebie.

— A to dlaczego? — odezwał się Semko zmieszany nieco.

Janusz się obejrzał, przy drzwiach stało kilka osób z ich dworu — skinął, że o tym później mówić będą — a radował się Płockowi, kędy biegał dziecięciem.

Pierwszą zawsze rzeczą było u nas, gdy swój czy obcy próg domu przestąpił, natychmiast myśleć dlań o pokarmie i napoju. W dawniejszych wiekach obyczaj ten był ściślej jeszcze zachowywany; pan domu nie potrzebował nawet wydawać rozkazów. Zaledwie w wielkiej izbie zasiedli, gdy już obrusy na stół niesiono, czeladź się krzątać pilno zaczęła. Semko powitalny kubek nalewał.

Tymczasem, co było starych sług Ziemowitowskich, do pańskiego rodu przywiązanych, zatem i do głowy jego, cisnęło się wnet witać księcia Janusza. Ta serdeczna skwapliwość budziła może pewną zazdrość w Semku, ale nie śmiał jej dać poznać po sobie.

Przybyli zaraz z pokłonem i wojewoda, i chorąży, marszałek i kanclerz.

Janusz z pańska, z powagą książęcą, ale z pewną dobroduszością, jakby do rodziny należących witał, ciesząc się nimi, śmiejąc do nich, wypytując ich o nieobecnych, dawne wspominając czasy.

Wszyscy teraz zręczność mieli porównywać dwu braci, tak wiekiem różnych od siebie i charakterami.

Powaga Januszowa gasiła zupełnie Semka, który czuł, że przy bracie małał i podrzędnym się stawał. Bolało go to. Usposobienie, serdeczne zresztą, ostygło, bo miłość własna była podrażnioną. Janusz nie widział lub nie chciał dostrzec chmurki na jego czole, wesołym był, ale z powagi swej nic nie tracąc.

Dopóki dwór przy sobie mieli i świadków, o żadne sprawy ważniejsze nie zagadnął Janusz, nie spytał nawet o to, co go uderzać musiało — ruch niezwykły i przygotowania, jakie tu znalazł. Dopiero gdy obrusy zdjęto, Janusz szepnął bratu, aby gdzie na osobność poszli.

Zasiedli więc w sypialni u jednego stoła, a Semko czując, że chwila się zbliża, gdy przyjść musi do stanowczej z bratem rozmowy — czerwieniał zawczasu z niecierpliwości. Był najpewniejszym, iż brat przybył z tym, by mu mieszanie się w sprawy polskie odradzać, lecz myślałże się on w nie wtrącać?

Janusz palcami przebierał po stole i dumał, nim się odezwał.

— Słuchaj no, Semku. Mówią mi, że cię płosi ludzie na niebezpieczną grę namawiają. Prawda to, czy nie? Widząc, że ty się z tym do mnie nie zgłaszasz, musiałem przybyć, aby się pewnego czegoś dowiedzieć. Lękam się — tyś młody!

— Jaką grę? — rzekł Semko.

— Ano... Gra to gorsza niż w kości — mówił Janusz wzdychając. — Bodaj czy cię nie kuszą polską koroną, dla której gotówes swoje księstwo, jeśli nie stracić, to dać spustoszyć?

Semko wstał z siedzenia.

— Krokum żadnego o to nie czynił i nie myślę czynić — rzekł — widzisz, siedzę spokojnie doma. Czy oni o mnie myślą, nie wiem spełna — a gdyby pomyśleli, mamże odpychać?

Janusz słuchał, palcami wciąż przebierając po stole.

— Płochy to lud a namiętny, co cię tą koroną bałamucić chce — mówił powoli. — Chcą tobą drugich nastraszyć, aby wyjednać, czego im potrzeba. Korona ta bardzo wysoko i daleko! Z Luksemburczykiem sprawa nie skończona, nie da się on ani z Węgier, ani z Polski tak łatwo wygnąć. Pan możny i plecu¹⁰⁴ szerokich — poza nim Niemców i Czechów siła, i panowie Krzyżacy. Gdyby królowa Elżbieta drugą królową dała do Polski, i tej nikt nie dostanie, bo ją tak samo jak Marię, dzieckiem poślubiono pod zaręka¹⁰⁵ wielką Wilhelmowi rakuskiemu i chowali ją przecie we Wiedniu dla niego, a jego dla niej w Budzie.

— Mówią przecie, że śluby te nie warte nic — odparł Semko.

Janusz patrzył w ziemię milczący.

— Musieli cię już za serce pochwycić, królowej ci się i tronu zachciało! Lecz wierz mi, starszemu, niebezpieczna to zabawa. Litwę już mamy na nas rozjątrzoną, a z Jagiełłem i bracią jego nie ma co żartować, Krzyżaków sobie na kark ściągniesz, a bodaj i na mnie w dodatku. Część Polaków mieć będziesz przeciwko sobie. Siła złego tyłu na jednego, i to jeszcze książątko mazowieckie!

Semko wyraziście spojrział na brata i nie sprzecząc się o innych, dodał tylko:

— Z panami teutońskiego zakonu nie mam waśni żadnej, owszem dobrzy mi są, a podarkami obsyłają.

— Tym ci gorzej! — wtrącił Janusz. — Nieprzyjaciółmi ich mieć to kaźń Boża, a przyjaciółmi nieszczęście wielkie. Kleszcze to są, które gdy do ciała przylgną, z ciałem je chyba wyrwiesz. Wrogów swych zabijają w jawnej walce, a druhow pocałunkami trują... Przyjaźni ich się strzeż!

— Jedno przecież wybierać potrzeba — odparł Semko.

— To już ledwie bym ich nie wolał wrogami znać, byle zawieszenie broni trwało — śmiejąc się rzekł Janusz.

A chwilę pomilczawszy mówił dalej:

— Pomnij na ojcowskie słowa, Semku, i patrz na mnie. Pokój mam ze wszystkimi, niczyjego nie chcę, ale i swojego nie dam. Wiedzą o tym. Dają mi więc w spokoju gospodarzyć, budować i ludzi na puste ziemie ściągać. Z pomocą Bożą jest co czynić w lasach naszych i piaskach, póki się nie zaludni i nie zabuduje. Miasta trzeba zakładać, wsie osadzać, grunta wydzierać, gościńce trzebić... chłopów od głodu i moru zabezpieczyć. Tak ojciec nasz czynił, tak wielkiej onej pamięci król Kazimierz, którego nam wszystkim naśladować.

Semko słuchał, ale roztargniony i nie okazując wielkiego tymi prawdami przejęcia, tak że Janusz, dorozumiawszy się może, iż próżno go nawraca, odetchnął żałościwie i sparł się na rękę, zamilkłszy. Młodszy siedział milczący czas jakiś także.

— Ja do rozkazania ci nie mam nic — dodał starszy, nie doczekawszy się odpowiedzi — ale sercem braterskim radzę i życzę, odżeń precz tych, co dla własnych korzyści na niebezpieczeństwa cię ciągną.

Semko się namyślił nad odpowiedzią i odezwał wreszcie wesoło na pozór.

— Miły bracie, tak mnie potępiać i sądzicie, jak bym ja począł co już i zerwał się do czego. Nic ci nie ma! Nie czynię nic, żądam ani się napieram, wojować ani myśleć. Patrzę i słucham, alem palca nie umoczył...

— Dajże, Boże, aby i nadal tak pozostało, a ludzie cię nie oplatali w takie sieci, z których dobyć się trudno całym!

— Nie dam się przecie ująć łatwo! — zawołał Semko. — A choć młody jestem i krew mam gorętszą, pomnę i ja na ojca przestrogi...

— Czyżże tak i nadal, a nie skrywaj nic przede mną — rzekł Janusz.

— Ukrywać nie mam co — zawołał Semko — nie przedsiębiorę nic!

— Wielu z Piastów naszych dzielnic pozbyło, chcąc nadto panowania — dodał Janusz.

Semko głową zaprzeczył.

— A Łoktek? — zapytał.

— Takich się niewiele rodzi — odezwał się Janusz — aby takim jak on być, szczególnego błogosławieństwa Bożego potrzeba.

Przestał mówić starszy i obaj czas jakiś milczeli.

— Poczekawszy — rzekł Janusz — chociaż młodym jeszcze jesteś, o gnieździe by ci pomyśleć trzeba, żony szukać... to cię do domu przywiąże...

— Za wcześnie bodaj — odpowiedział Semko śmiejąc się. — Nie mam do tego zbyt wielkiej ochoty.

— Przyjdzie ona — wtrącił Janusz — byle cię tacy rycerze jak ten Bartosz z Koźmina na niepotrzebne harce nie wyciągnęli. Zapragnie się sławy rycerskiej, potem tej korony i tronu, i Krakowa, a do tych nas nie dopuszczą! Wielkopolanie sami o tym nie stanowią, krakowscy zaś panowie mądrzejsi są i zawsze nad nimi górę biorą, a my dla nich... za mali!

Spojrzał na Semka, którego twarz zdradzała, lecz młodszy nie rzekł słowa, zacisnął usta i postanowiwszy zaprzeć się wszelkiej pożądlivosti, zbywał nauki milczeniem.

Tak pomiędzy braćmi nierównego wieku, charakteru i doświadczenia rozpoczęła się rozmowa, która z małymi przestankami przez cały ten dzień trwała do późna. Janusz podejrzewał Semka uparcie, iż mu się szczerze z myśli swych zwierzyć nie chce; próbował, lecz nic dobyć z niego nie mógł oprócz powtórnych zapewnień, iż zbroi się tylko dla własnego bezpieczeństwa.

Potrzeba było wręcić świadectwa starszyny, których w pomoc wezwał młody książę. Abram Socha i kanclerz przyszli uspokajać Janusza, iż książę w istocie uzbraja się dla zabezpieczenia granic własnego kraju, ale wojować nie myśli i występować przeciw nikomu. Ale i to nie przekonało upartego Janusza, który miał jakieś przeczucie, że Semko wciągnięty być może w sprawy wielkopolskie, powtarzał więc przestrogi.

Abram Socha, który był także zdania, że o koronę dobijać się nie należało, ale dał się skłonić do tego, aby czuwać nad całością granic, bronił Semkowych uzbrajań i w zapale odezwał się z tym, że należałoby podwoić je, gdyby tylko skarb na to starczył.

— Na moją pomoc wcale nie rachujcie — odparł stary. — U mnie grosz nie leży, a gdybym i miał, na to bym go wam nie dał, bo to znaczy pożyczyć na wić¹⁰⁶, gdy się kto chce powiesić. Będzie u was żołnierz stał, wrzekomo ku obronie, tym łatwiej was pociągną do tego, co do was nie należy.

Rozeszli się dnia tego chłodno, a na Semku, dotąd wahającym się, brat swoim wystąpieniem to uczynił wrażenie, iż go ośmielił do zuchwałego kroku. Skłonniejszym się czuł do niego niż przedtem.

Nazajutrz dziwnym zrzędzeniem losu nadbiegł Bartosz z Odolanowa i nim się z Semkiem mógł zobaczyć, Janusz go do swej izby powołał.

— Panie starosto — rzekł do niego na wstępie — mam do was srogi żal... Brata mi bałamucicie! Pokój mnie i jemu zakłóćcie dla waszej sprawy, która nam jest obcą.

— Jak to obcą?! — zawołał Bartosz, który sądził, że otwarcie z nim mówić powinien. — Wam, Piastom, miałyby sprawa korony polskiej być obcą?! I gdy kraj was wzywa na ratunek, wy byście mogli dla świętego spokoju zapomnieć o obowiązku?

— Nie czuję obowiązku, a pokoju nie mam na zbyciu — odparł Janusz. — Co do mnie, żadna siła w świecie nie wywiedzie mnie na płocze harce, ale Semka młodego skusić możecie i zgubicie go.

— Książę Semko nie potrzebuje występować i nie chce, dopóki się położenie nie wyjaśni — zawołał Bartosz — lecz gdy go powołamy, odmawiać nie może!... Cała Wielkopolska jest za nim, Krakowianów zmusimy, wszyscy za Piastem będą.

Tu począł Bartosz wymownie i gorąco malować, co się w Wielkopolsce działo, ale Janusza tym rozgrać nie potrafił. Słuchał go obojętnie i namarszczony.

Na ten początek rozmowy wpadł Semko i przerwał ją. Odtąd stary, już się do niczego nie mieszając w ciągu dnia, przysłuchiwał się tylko, a wieczorem oznajmił, że do Czerska zaraz powracać musi.

Gdy żegnać się przyszło, odciągnął brata na stronę.

— Odrzucacie dobre rady moje — rzekł chmurno — nie przyznajecie mi się nawet do tego, co myślicie, a ja w duszy waszej czytam... Róbże sobie, coś postanowił, ale mnie nie mieszaj, do mnie się nie odwołuj. Na pomoc moją nic rachować nie możesz, nie dam ani denara, ani człowieka, a jeśli cię z Płocka wygnają, tyle tylko, że przytułek znajdziesz u mnie...

Semko, niewyraźnie coś mruczając, uściśnął go. Smutnie się tak rozstali. Stał potem we drzwiach za odjeżdżającym patrząc długo, nieco ostatnimi słowami jego przy pożegnaniu zmieszany, lecz Bartosz, który pozostał tu, odciągnął go, nie dając się smutnym myślom poddawać. Nie żądał on, aby Semko występował zawczasu czynnie, ale nalegał, aby z siłą wielką był w gotowości, bo dnia ani godziny, gdy potrzeba będzie wyjść, oznaczyć nie było podobna.

Semko, jeszcze radami brata ostudzony, odparł mu, że czyni, co może, ale skarb jest ogołocony. Domyślał się tego może Bartosz, choć nie przypuszczał, ażeby całkiem zapasu brakło. Książę z niechęcią mówił o tym, bo mu wstyd było przyznać się, iż po młodemu szafując nieopatrzenie, do dna wyczerpał, co w nim było.

Radzono długo, skąd wziąć pieniędzy, a Bartosz z Odolanowa poszedł wieczorem do kanclerza, chcąc go skłonić, aby korzystając z przyjaznego usposobienia Zakonu dla Semka, u niego starać się o pożyczkę. Kanclerz nie chciał tego brać na siebie. Mówili długo i głośno.

Obok w komórce siedział z uchem do drzwi przylepionym Bobrek. Lice mu się śmiało słuchając. Gdy Bartosz potem odszedł, a klecha się wsunął do izby, od niechcenia potracił o to, jak dziś wszyscy, nawet książęta możni, grosza byli żądni, a nigdzie go tyle nie było, co u panów niemieckiego zakonu. Oni przecież cesarzom i królom pożyczali, a skarby ich nieprzebrane były.

— Dla nas to zapieczętowane źródło — rzekł kanclerz. — Nam, gdybyśmy potrzebowali, nie dadzą.

Bobrek minę uczynił pokorniejszą jeszcze niż kiedy.

— Mały czasem robak przydać się może — szepnął cicho z uśmiechem chytrym. — Czymże ja

jestem, jeżeli nie lichym stworzeniem, na które i spojrzeć nie warto, ale ja u panów niemieckich mam krewnych moich, którzy tam niemało mogą, choć i oni niewiele znaczą. Gdybyście mi pozwolili popróbować?

Kanclerz, niezmiernie zdziwiony, dopiero teraz począł się z wielką uwagą temu lichemu robaczkowi przyglądać. Nie dowierzał uszom własnym. Robak milcząco uśmiechał się.

— Gdybyście mi kazali jechać... — rzekł.

— Bez wiedzy pana ja tego uczynić nie mogę — odparł kanclerz, ze zdumienia jeszcze nie przyszedłszy do siebie.

Był on tego przekonania, że klecha głupawy a zarozumiały nadto krewnym swym i sobie pochlebiał. Namyśliwszy się jednak szedł z tym do Semka, przynosząc śmieszność, nie do wiary nowinę. Semko obojętnie ją przyjął, klechy widzieć nie chciał, kanclerza odprawił z niczym, ale wnet z podwórza nazad go do siebie powołał.

— Kat go wie zresztą! — rzekł. — Wyślijcie na zwiady, od siebie, niech jedzie. Nie zrobi nic, zastukamy gdzie indziej.

„Gdzie indziej” było zagadką dla kanclerza, ale się o rozwiązanie jej nie pytał. Powrócił z tym do izby, w której Bobrka, jak zawsze, znalazł na pobożnej modlitwie.

Klecha nie był tak dalece nabożnym, ale wiedział dobrze, iż okazując się nim, zyskuje nawet u tych, co jak on sam rzadko się modlili. Kanclerz zbudował się tą świątobliwością, lepszego nabierając wyobrażenia o nie bardzo mu miłym człowieku:

— Słuchajcie — rzekł mu od niechcienia wieczorem — jeżeli wam się zda, że możecie coś zrobić dla księcia u panów krzyżackich, aby mu pożyczyci grzywien nieco, choć ja wątpię o tym, próbujcie, jedźcie...

Bobrek skłonił się nisko, przetykając ślinę.

— Popróbuję — rzekł — a mam w Bogu nadzieję, że się może co zrobi. Niech Miłość Wasza pozwoli mnie zaraz iść, abym sobie wozu lub sani poszukał.

To mówiąc w rękę go pocałował, pokłonił się do stóp i zniknął.

Rozdział VII

W radnej izbie na malborskim zamku zgromadziła się rada Zakonu. Wielki mistrz Czolner¹⁰⁷, marszałek Wallenrod¹⁰⁸, kilku komturów¹⁰⁹ i wyższych urzędników, powołanych przed chwilą, składali ją.

Kto by u tych ludzi szukał dawnej reguły surowej, jakiej niegdyś Zakon szpitalny¹⁰⁹ podlegał, ledwie by dziś znalazł jej ślady i zatarte formy, mało szanowane dla oka, lekceważone w istocie. Przeszarżała reguła już jakby nie obowiązywała nikogo. Czas, okoliczności wojny, które więcej rozprzęgały karność, niż utrzymywały, nieustanny napływ rycerstwa z zachodniej Europy, zbytkami, dworszczyzną, pieśniami wypieszczonego, chciwego sławy, wrażeń, wygod wymyślnych, panów krzyżackiego zakonu przekształciły na rodzaj potężnego stowarzyszenia, mającego na celu zdobywanie ziemi, zbogacanie się, używanie wspaniałe dostatków.

Interes własny wszystkich współuczestników tego związku łączył ich jedynie i do czuwania nad dobrem Zakonu pobudzał.

Sprawa wiary i krzyża, niegdy zapisana na chorągwi, obowiązki ich szpitalne, jakich dziś ledwie pamięć pozostała, surowe praktyki religijne znikły zupełnie z oczów nawet najgorliwszym.

Głównym zadaniem było Zakon niemiecki uczynić panem krajów zawojowanych, które oddawały się w opiekę cesarstwu, gdy papieżowi opierać się potrzebowały, a uciekały do Stolicy Apostolskiej, gdy cesarz upominał się o prawa swoje.

Ta spółka rabusiów rycerskich rosła słabością sąsiadów, ich rozdwojeniem, a w ostatku więcej potęgą złota niż oręża, w wieku tym, który był tak grosza żądny, a tak go wydobywać nie umiał, chronić, wypożyczać i pomnażać, jak zakon rycerski, który był najzręczniejszym z lichwiarzy. Znać już było wszędzie i na wszystkim tę finansową potęgę Zakonu, tak ogromną i straszną jak niegdyś templariuszów¹¹¹ i w podobny sposób zebraną. Przepych nie krył się z sobą ani wstydał, życie było najwykwintniejszym i zbytkowniejszym może niż na wielu monarszych dworach Europy.

Znać było czasu wypraw, na szatach, orężach, koniach, wozach, namiotach, że białopłaszczowi panowie¹¹² należeli krwią do najarystokratyczniejszych rodzin, do książęcych domów, i że wdziwając te suknie, nie wyrzekali się zbytków i pieszczot, do jakich wprzód byli nawykli.

Rycerstwo wygasało na Zachodzie, przeradzało się i niewieściało, tu zlewały się jego szczątki i byt swój przeciągały. Urok miał Zakon dla wielu awanturników jako pogromca niewiernych, ale większy jeszcze jako stowarzyszenie mężczyzn wyzwolonych z więzów rodziny, z obowiązków dla niej i żyjących pod wyjątkowym prawem, które zwalniało od moralnych przepisów pospolitych ludzi wiążących, płacąc tym za ofiarę życia w boju zagrożonego.

Na wszystkich tych panach, którzy zapełniali izbę radną, wielkim ogniem olbrzymiego komina ogrzaną i oświeconą, widać było pychę siły, jaką na nich zlewał Zakon.

Może najskromniej ze wszystkich stawiał się sam mistrz wielki, człowiek twarzy pospolitej może, nie uderzającej na pierwszy rzut oka, ponurej, ale poważnej i myślącej. Rysy jej były grube, niezbyt foremne, szlachetniejszej krwi nie zdradzające, chociaż rozum bystry i energia biły z oczów. Niskie czoło nawyknięcie do myślenia pogarbiło fałdami, które już z niego nie schodziły. Nie był mistrz ani wymownym, ani w słowa obfitym, ale wiedziano, że niewielu słów jego słuchać należało, bo były treści pełne a dojrzałe.

Zwykle ponurego usposobienia, mistrz wielki, który się nie ukrywał z tym, co czuł i jak był usposobionym, gardził wszelkim udawaniem, dnia tego twarz miał pogodniejszą. Około ust igrał mu jakby cień uśmiechu. Nie śmiał się on nigdy, a ten odblask jakiegoś wesela wewnętrznego już miał wielkie znaczenie.

Obok niego wyniosła, rycerska, piękna, ale jakimś zuchwałstwem rozpasanym nacechowana postać marszałka Konrada Wallenroda, obracającego się z wielką swobodą, oczyma biegającego żywo i natrętnie po przytomnych, stanowiła wybitną sprzeczność. Czolner cały był w sobie, marszałek, choć nie mówił, dawał się poznać obejściem swym i ruchami. Więcej niemal zważano nań i okazywano mu uszanowania niż Czolnerowi, z którym on chciał stać na równi. Wszyscy inni, też dumni i pewni siebie, przy Wallenrodzie nieśmiały się prawie wydawali. Ani na wielkiego mistrza, ani na wysokich urzędników nie zwracał on uwagi, zdawał się tu dla siebie być pierwszym i jedynym. Nie przywiązywał też zapewne do tego zgromadzenia, na które przybyć raczył, wielkiego znaczenia. Okazywał, że stawiał się z obowiązku, dosyć lekceważąc sobie radę, że się tym nudził i że zagadkowo rozjaśnione oblicze mistrza go drażniło. Oprócz Czolnera, który był miernego wzrostu, reszta zgromadzonych składała się z ludzi dorodnych, stworzonych do tych wielkich i ciężkich zbroi, które nas dziś zdumiewają, a jednak Wallenrod górował nad nimi i wśród tych twarzy męskich, pięknych rysów, dumne jego oblicze najpiękniejszym było. Czarne oko miało królewskie wejrzenie, małe usta, widoczne spod ciemnej brody i wąsów, wyraz, jakby do rozkazywania stworzone były.

Wallenrod, nie mówiąc do nikogo, nie pozdrawiając, wszedł do radnej izby, zagrzał się u ognia, a potem siadł naprzeciw niego na ławie, długie swe nogi wyciągając bez względu, iż nimi drogę innym zamykał.

Czolner zdawał się czekać na kogoś, który nie przychodził, spojrzął po przytomnych leniwie, zadumał się, nadśluchiwał, czy kroki jakie nie dojdą go z dala, i po chwili zwrócił do suchego, starego podskarbiego Zakonu, który stał mrużąc oczyma, bo niedowidział.

— Was mi dziś było najpilniej potrzeba — odezwał się do niego — bo sprawa, którą przełożę, niezawodnie zgodnymi głosami będzie rozwiązana, idzie o to tylko, abyś ty, bracie, nam jej nie popsuł.

Milczeli wszyscy słuchając.

— Wiecie, co się w Polsce dzieje — mówił dalej Czolner. — Zaprawdę, gdybyśmy sami tam się rozporządzali, nie składałoby się lepiej.

Uśmiechnął się pogardliwie.

— Następstwa są nieobrachowane — dodał — ale nieład i bezrząd na długo zapewniony. Za tym idzie bezsilność, czegoż żądać więcej?

— Luksemburczyka ta hałastra, słyszę, wygnała — przerwał Wallenrod — ale powróci z odwetem.

— Życzymy mu tego — mówił Czolner — bo wolelibyśmy go tam nad innych. Jednak z królową Elżbietą, panią umysłu niestalego, dziwaczną, za nic ręczyć nie można. Chodzą różne wieści, wolałyby podobno dla córki Francuza lub Włocha. A tymczasem mamy bezkrólewie. Wielkopolanie zarzynają się i niszczą, naszego sąsiada Semka mazowieckiego gwałtem na tron ciągną!

Dwóch czy trzech ze słuchającej starzyny ruszyło ramionami.

— To jeszcze dzieciak, młokos — rzekł jeden.

— Najłatwiej też go wciągną — odparł Czolner. — Bartosz z Odolanowa, rycerski pan, dziewosłębem; ten gdy go wziął w ręce swe, nie popuści.

— Żołnierz dobry — odezwał się komtur z Balgi¹¹³ — człek nie do pogardzenia.

— Warchoł, zuchwały nad miarę, a krew w nim gra — rzekł Czolner — która człowieka niesie dalej, niż chce. Koniec końcem, księżciu Semkowi korony się chce, a pieniędzy nie ma.

— Tak — wtrącił podskarbi, rękę kładąc za pas — pewnie po nie do nas przysyła? Szkoda tylko, że myśmy na innych dłużnikach sparzeni i na gołe słowo, a choćby i pięcią pieczęciami opatrzony pargamin, ze dwoma orły i dwoma puchaczami¹¹⁴, Zakon nie da nic.

Przeciwko temu wyrokowi, zmarszczony pospiesznym jego wyrzeczeniem, zaprotestował wzrokiem Czolner, podskarbi zamilkł, a on mówił dalej:

— W skarbie zbytnich kilka tysięcy grzywien się znajdzie.

Podskarbi potwierdził głową.

— Jestem więc za tym, ażebyśmy je pożyczili Semkowi, ale pogranicznej ziemi kawał zastawem nam musi dać i będziemy trzymali ją, aż wykupi.

Nikt się nie myślał sprzeciwić temu, Wallenrod w ziemię patrzył obojętnie.

— Wybierzcie — rzekł szpitalnik¹¹⁵ — co dla nas najdogodniejsze, co najprędzej wrota nam dalsze otworzyć może, bo Mazowsze wielce by się przydało... Ziemia nie żyzna, ale Wisłę w rękę dzierżyć — ważna rzecz.

— Byłem pewny, że się na to zgodzicie ze mną — odparł Czolner wysłuchawszy cierpliwie. — O ziemię zastawną z samym Semkiem układać się potrzeba. Na teraz jest tu tylko poseł od niego, którego chcecie posłuchać — wezwać każę. Jest to półbrat Zakonu i dobry nasz sługa.

To mówiąc, gdy się nikt nie przeciwiał, Czolner podszedł do stojących za drzwiami dwóch swoich kompanów¹¹⁶ i jednego z nich posłał po Bobrka, który na dole czekał.

Rada tymczasem szydersko o sprawach polskich i o Semku rozprawiała, o rozruchach wielkopolskich, o korzyściach, jakie już z nich Brandenburczycy odnieśli, zamki nad granicą opanowawszy. Wiedzieli też o sprzedaży przez Węgrów niepoczciwych zamków ruskich Litwie — i oburzeni nią byli, nie że dla Polski były stracone, ale że nienawistna im zyskała je Litwa.

Wśród żywych rozpraw o tym przedmiocie, co Polskę teraz czekało i jak Zakon względem niej się miał stawić — wsunął się, pokornie kłaniając, Bobrek. Wszystkich oczy na niego się zwróciły.

Tu on był znowu innym — śmielszym, nie tak skurczonym, a sama suknia czyniła go do niepoznania różnym od biednego klechy w Płocku. Miał teraz na sobie szarą odzież Zakonu z półkrzyżem, jako braciszek i sługa jego. Suknia ta dowodziła, że poprzysiągł wierność i należał do tej wielkiej rodziny, której starszyzna tu obradowała.

Nie idąc dalej, stał u progu i czekał, ażby go badać poczęto.

— Kto cię wysłał? — spytał Czolner.

— Ksiądz Piotrek, kanclerz książęcy — rzekł Bobrek.

— Klecha! — mruknął z pogardą, znany ze swej niechęci ku duchowieństwu, marszałek Wallenrod.

— Cóż? Potrzeba im pieniędzy na wyprawę do Wielkopolski? — pytał Czolner.

— Tak się domyślać można — odezwał się, ośmielając, Bobrek. — Byłem tam właśnie, gdy ksiązę Janusz Czerski przybył, a ten podobno odradzał mieszanie się do spraw polskich, ale Bartosz z Odolanowa musiał przemóc.

— Janusz — przerwał szpitalnik, pokręcając głową — ten baczny jest i ostrożny, jego nie wciągnie nikt. Spokój mu miły. Siedzi jak lis w jamie.

— I Semka pono nie od razu namówili Wielkopolanie — mówił Bobrek — ale mu na pewno obiecują koronę. Przygotowania się czynią — ano bez grosza nie ma nic.

Nie zważając na przytomność Bobrka, Czolner wtrącił żywo:

— Naszym interesem jest, by się tam wicherzyło. Niech się biją, to ich osłabia. Niech się waśnią, a do nas odwołują o pomoc! Tym ci lepiej! Za to Panu Bogu dziękować.

— O, w Wielkiej Polsce ogień straszliwy! — począł Bobrek. — Widziałem na moje oczy kraj na poły spalony, ludność się po lasach porozbiegała — jedna połowa z drugą w śmiertelnej walce.

Czolner, jednym uchem tylko słuchając tej powieści, przerwał żywo:

— Gdyby nawet Wielkopolanie Semka zgodnymi głosy na króla obrali, niewiele to waży, bo krakowscy panowie na przekór im innego sobie znajdą i do tronu poprowadzą.

— Jeżeli nie chcieli Luksemburczyka z Marią — przerwał szpitalnik — będą musieli wziąć Jadwigę z rakuskim Wilhelmem.

— Kto wie, z kim! — bąknął inny. — To pewna, że bezkrólewie potrwa, a dla nas to z dobrem jest. Gdyby się nawet Loisode królestwo na poły rozpadło, Wielkopolska oderwała — dla nas w przyszłości korzyść z tego oczywista.

Uśmiechali się dumnie wszyscy, pewni swego. Czolner dumiał.

— Ponieważ ci pilno wracać — odezwał się do Bobrka stojącego jeszcze w progu — a przybyłeś z poselstwem ustnym, odnieśże im słowną odpowiedź, że Zakon dobremu sąsiadowi nie odmawia pożyczki, ale zastawy musi żądać i wziąć je, bo to prawem i regułą jego, od której odstąpić nie może.

Bobrek patrzący bystro w oczy mówiącemu dał znak, że dobrze go rozumie. Czolner bliżej przystąpił do klechy, poszeptał mu coś cicho i odprawił, choć ciekawy półbrat byłby chętnie dłużej wśród towarzystwa dostojników pozostał.

Rada natychmiast spieszenie się rozchodzić zaczęła.

Bobrek, który konia na zamku miał, nie zwlekając siadł nań i ruszył nazad drogą do Torunia. Jechał rad bardzo, bo mu się łatwiej powiodło, niż sądził, a nadzieję miał, że się ta podróż dobrze opłaci, a że do Malbarga z Płocka jadąc spieszenie nie miał czasu w Toruniu się zatrzymać i do domu matki zajechać — tym razem zboczyć myślał do niej, nie z miłości, jak się przekonamy, lecz by jej nie dał zapomnieć o sobie.

Matka Bobrka była Polką, za młodu nieopatrznie zaślubioną Niemcowi, z którym życie stało się dla niej męczarnią. Stary Biber, płatnerz, był na usługach Zakonu, liczył się do półbraci, pracował ciągle około zbroi na zamku; syn więc po nim pozostały gdy podrósł, gwałtem go wzięli zakonnicy na wychowanie, czemu się matka nadaremnie opierała. Wiązał ją do Torunia dom i ogrody, które tu miała, bo inaczej byłaby z nim uciekła.

Nieszczęśliwa z mężem Agata, zaślubiwszy go płocho za młodu, zienawidziła jego naprzód, a potem Niemców wszystkich i Zakon, który z syna jej zrobił potworę, półklechę, półświeckiego, sługę wszystkich swych nieprawości. Zawczasu poznali w nim Krzyżacy jednego z tych, którego mogli wygodnym uczynić narzędziem; wprawili go do szpiegostwa, donoszenia i zarobkowania zdradą. Matka, nie mogąc im go wydrzeć, bezsilna, patrząc na zgubę dziecka, nienawiść największą powzięła do całego Zakonu. Opłakała zatraconego, którego naprawić ani nań już wpłynąć nie umiała.

Bobrek, zasmakowawszy w życiu, które prowadził na wiecznej włóczędze, do domu matki rzadko ściągnąć się dawał. Nie chciała mu pomagać matka, głodem go wziąć myśląc, ale Bobrek wolał trochę biedy przecierpieć, a zostać swobodnym — zdawało mu się, że się w ten sposób czegoś w Zakonie dosłuży, a po matce zawsze weźmie, co po niej pozostanie. Rzadko teraz nawet zaglądał do niej, bo tu tylko wymówki, łajania i pogróżki cierpieć musiał.

Agata, płatnerzowa wdowa, niegdyś urodziwa i słynna z piękności niewiasta, miała we krwi coś polskich kobiet, które z mężami na równi stać były nawykły. Niemiec za życia na próżno wszelkimi sposobami chciał z niej uczynić niewolnicę. Biedna sierota nie dała mu się. Groziła, że dziecię na ręce wzięwszy, jego i dom porzuci. Płatnerz kochał się w niej i musiał ulec.

Po śmierci jego została z synaczkiem sama właścicielką pięknego murowanego domu na podzamczu, kilku ogrodów i pastwisk nad rzeką i skrzyni, w której o wielu tysiącach grzywien opowiadano. Nie była starą jeszcze, gdy ją mąż odumarł, piękną i w sile wieku. Pierwszy, co się o nią starał obyczajem rzemieślniczym, był starszy czeladnik męzowski, płatnerz także, który miejsce nieboszczyka przy warstatach zajął. Agata o zamążpójściu za drugiego Niemca ani słuchać nie chciała. Polak się jej później trafił, ale i temu odmówiła — pozostała więc wdową.

Na większe utrapienie odebrano jej dziecię pod pozorem wychowania, trzymano między zakonnikami i zawczasu zepsuto. Gdy w półbrackiej sukience wrócił jej Bobrek, poznać go za własne dziecię nie mogła.

Obcowanie ze starszyzną i służbą zakonną, na wszelką rozpustę wylaną, nie tylko go zniszczyło za wcześnie, ale uczyniło wrogiem tego rodu, do którego matka należała. Położenie biednej Agaty było straszliwie bolesne, bo kochała dziecię swe, a ono obrzydliwość w niej wzbudzało i zmagало się na to, aby się jej przeciwieć i jątrzyć. Przyszło w końcu do takich zajść między nią a synem, że musiała drzwi mu zamknąć — a on do nich nie śmiał i nie chciał już zastukać. Za pośrednictwem jednak starszyny zamkowej ubłagano matkę, że przebaczyła synowi, domu nie wzbraniała mu, ale on sam mieszkać tu nie chciał i puścił się na ten chleb, na jakim go widzieliśmy.

Agata, pozostawszy sama jedna, wzięła z miasta polską sierotę, dziewczę, które wychowywała, i żyła dalej, pracą się zamęczając, aby swych smutków zapomnieć. Znano ją jako jedną z najbogatszych mieszczanek Torunia, ale Niemcy wiedzieli, że im nie była życzliwa, i obchodzili dom jej, dając spokój dla pamięci męża, który u nich miał wielkie zasługi.

Jaśko Bobrek (Biber) w Toruniu jeszcze miał na sobie szarą odzież braciszków Zakonu, którą tu dopiero na podróż do Płocka miał zmienić. W niej też na dziedziniec domu matki zajechał. Stara Agata wedle swojego zwyczaju, gdy w ogrodzie nic do czynienia nie było, siedziała u kołowrotka w oknie i przędła. Posłyszawszy tętent konia, wyrzała w dziedziniec i łatwo poznała syna. Ręce jej opadły, pomarszczona twarz zarumieniła się, drgnęła i zatknawszy wrzeciono, wstała od przędzenia.

Na ławce u ognia siedziała wychowanica sierota — blade, mizerne stworzenie z białymi jak len włosami.

Izba duża, w której się znajdowały, dowodziła zamożności mieszczańskiej. Na półkach pełno było naczyń różnego, w czystości i porządku utrzymywanego. Para obrazów złocistych świeciła na ścianach, lawy wszystkie pozaścielane były kobierczykami, a stół zawieszony obrusem. Okna szklane, rzecz naówczas zbyt kosztowna i droga, z małymi błonami w ołów oprawnymi, podłoga w części grubym sukniem wysłana — nadawały mieszkaniu powierzchowność schludną i miłą. Ogromny komin miał nawet garncarskie foremne ozdoby z cegły, jakich tu naówczas używano, kamienie zastępując nimi.

Gdy w progu ukazał się blady i pomimo śmiałości swej strwożony Jaśko, matka stała już w pośrodku izby, czekając niespokojnie na przyjście jego. Utkwiła w nim wzrok przenikliwy i widać było, że poruszona gotową mu była macierzyńskie otworzyć ramiona.

Lecz Bobrek przez fałszywą dumę nie chciał się okazać ani pokornym, ani skruszonym — z uśmiechem fałszywym i jakby drwiącym przystąpił, lekkim pokłonem tylko matkę pozdrawiając. Agacie oczy ogniem błysnęły, ale pozostała chłodną. Niewiasta była silnej budowy, pracą zahartowana, przy której chuderlawy syn wydawał się nędznie i bezsilnie.

— Nie chciałem pominąć Torunia — odezwał się, nie pozdrowiwszy pani matki.

— Bóg zapłać, żeś sobie choć przypomniał, że żyję — odrzekła surowym głosem Agata — a skądże to i dokąd?

— Jak zawsze, włóczy się człek po świecie — począł Bobrek, postępując kilka kroków i z jakąś zazdrością szyderską spoglądając na biedną sierotkę, która na widok jego powstawszy od kądziółki, w kąt się tuliła.

— Cóż cię to tak pędzą?

— Co? Panom moim służyć muszę — rzekł Bobrek.

Agata z wolna zawróciła ku swemu kołowrotkowi, którego jednak nie tknęła. Pokazała mu miejsce na ławie. Spojrzała na syna, którego bladość i zmizerowanie ją uderzyły.

— Nie znać na tobie, aby ci się u tych panów dobrze działo — rzekła.

— Nie skarzę się — odparł Bobrek z pewną dumą. — W domu i tak nie byłoby co robić, a pani matka mnie w nim widzieć nie rada.

Agata podniosła rękę do góry.

— Dość! — rzekła. — Dość! Po toś to przyjechał, abyś się waśnił z rodzoną? To nie było jechać po co.

Jaśko zapatrzył się w ogień.

— Gdybyś chciał żyć po bożemu, takim jakim ja cię widzieć bym rada, dom by ci był otwarty — dodała.

— Albo to moja wina — odezwał się Bobrek — że pani matka Niemców nie lubi, ja zaś z ojca Niemcem jestem i im służyć; polskiego zaś rodu i plemienia nie cierpię.

— Milczże! Wiesz, że to krew moja i ty ją masz w sobie!

Bobrek zadrgał.

— Gdybym wiedział, kędy ona płynie we mnie, wyprułbym żyły i wytoczył ją!

Agata rzuciła się tak gwałtownie z miejsca, iż kołowrotek przechylił się i miał paść, gdy go silna ręka pochwyciła i postawiła na podłodze z taką mocą, iż kawałki drzewa z niego odpadły.

— Z tymżeś to przybył? Aby mi powiedzieć, że się dzieckiem moim zwać nie chcesz? — krzyknęła wskazując na drzwi. — No to nie masz tu co popasać długo, jużes swoje spełnił.

Bobrek zrazu chciał wstać z ławy, ale się wstrzymał, zmusił do ostygnięcia, pobladł i począł z obojętnym szyderstwem:

— Albom to winien, że synem jestem mojego ojca? W pani matce inna krew mówi, inna we mnie, na to nie ma rady.

— Tak! Na grzech w życiu popełniony nie ma rady, pokutować zań potrzeba — zawołała ze łzami i łkaniem w głosie Agata, ręce załamując. — Pokarał Bóg, wola Jego!

Zwróciła się, jakby pociechy szukając, ku obrazowi Chrystusa wiszącemu na ścianie, a widok cierniami ukoronowanego uspokoił ją nieco. Nie spojrzała już potem na syna i poszła do drugiego okna. Jaśko na ławie siedział zły, oczyma tymczasem przesywając wystraszoną, w kącie stojącą sierotkę.

Wśród milczenia słyhać tylko było ogień trzaskający na kominie. Bobrek naumyślnie stroił twarz w uśmiechy. Po wybuchu tym rozmowa między matką a synem stawała się trudną. Czas jakiś milczał Bobrek, stara się z wolna uspokajała.

Bezmyślnie jakoś skinęła na dziewczę. Nawet temu niewdzięcznemu i zepsutemu dziecięciu nie godziło się dać odejść z domu bez jakiegoś posiłku. Wyciągnęła rękę z kluczami, nakazując wina utoczyć i zagrząć.

Jaśko to zobaczył i zrozumiał. Podszedł z ławy do ognia, aby trochę rozmarznąć. Agata wracała do kołowrotka, usiłując się okazać obojętną, choć grube dwie łzy wśród zmarszczonych jej policzków połyskiwały.

Sierotka, jakby pragnąc panią swą co najrychlej od gościa tego uwolnić, zakrzętnęła się żywo z polewką winną, którą przyrządzać, osładzać i korzeniami zaprawiać umiała. Oczyszczyła kubek, nalała i przyniosła drżąc Bobrkowi, który naumyślnie, widząc jej obawę, szyderskim, rozpustnym wejrzeniem jej dokuczał.

Począł pić Jaśko, wzięwszy nareszcie kubek.

— Dobre wino u pani matki — rzekł. — Chwała Bogu na niczym nie zbywa. Człowiek nie zawsze takich delicyj dostaje po drodze. Trafi się cienkusz, podpiwek, a podczas i kwas tylko. Toteż wino potem lepiej smakuje.

— Jedziesz dokąd dalej? — zapytała matka, zmuszając się do obojętności.

— O, o, i bardzo pilno, bardzo pilno, bom posłany — odparł Bobrek — od samego pana mistrza! Tylko com z Płocka i znowu na powrót tam. W Polsce się zarzynają aż miło, nasza rzecz im dopomagać do tego!

Uśmiech Bobrka przeszył biedną matkę — drgnęła, ale wstrzymała się od okazania gniewu. Nie odpowiedziała nic, tylko kołowrotek pod nogą jej zawarczał nagle. Jaśko mógł być rad, bo czuł, że dokuczył biednej kobiecie.

— Nie ma się co nad Polakami rozczulać, kiedy rozumu nie mają — począł z wyrazem pogardy. — Dla nas z tym lepiej. Luksemburczyka, pana jakich na świecie mało, gładkiego młodzieńca, nie chcieli za króla, wolą bezkrólewie. Co komu do smaku. Nasi panowie na tym kawał ziemi zarobią.

Stara ze spuszczoną nad kądzielą głową nic nie odpowiadała, połykała łzy w milczeniu. Bobrek popijał wino. Wyciągnął próżny kubek ku dziewczęciu, aby mu drugi nalało. Spojrzał na matkę, zamilkł.

Znowu czas jakiś trwało milczenie. Agata oczy miała wlepione w kądziel, ale za łzami nic nie widziała. Milczenie to starej jakieś wrażenie uczyniło na Bobrku. Sposepniał nieco i wypróżniwszy drugi kubek, postawił go na ławie.

— Czas mi będzie w drogę — odezwał się. — Jam tu do pani matki nie bez interesu przyjechał. Ot, gdybym konia mógł porzucić, a było go komu dopilnować, niechby został. Dalej wolę nająć furę, bom się bardzo stłukł na siodle.

Podniosła oczy Agata.

— Oddaj konia parobkowi — rzekła sucho — on ci go dojrzy, niech sobie tu stoi.

I nie mówiła więcej, zaczynając prząść znowu. Bobrek stał przed nią.

— Nie trzeba się na mnie sierzcić, że to mówię, co myślę — rzekł chłodno. — Gdybym kłamał, a zalecał się, miałbym na sumieniu.

I dodał, śmiejąc się, po niemiecku: — Czyste piwo szynkuję.

Usłyszawszy dźwięk tej mowy w ustach syna, Agata zadrżała.

— Czyń, z czym ci lepiej — rzekła — a Bóg między nami sędzią niech będzie. Nie byłeś dla mnie dzieckiem, nie mam też dla ciebie serca matki. Niemców przenosisz nade mnie, żyjże sobie z nimi!

— Bom sam nie kto, tylko Niemiec! — z przyciskiem zawołał Bobrek. — A temu ja nie winien, że mnie Pan Bóg nim stworzył.

Zatrzymał się nieco, jakby oczekując odpowiedzi, i dodał:

— Zatem nie mam już tu co robić, tylko żegnać!

— Z Bogiem! — nie wstając od kołowrotka, odparła stara, nie spojrzawszy na syna. — Z Bogiem!

Bobrek nie zbliżał się już do niej, skłonił głowę, szyderskim uśmiechem pożegnał dziewczę, wykrzywiwszy się do niej cudacznie, czapkę na uszy wdział i z trzaskiem wyszedł z izby.

Dopiero gdy go nie stało, zerwała się od kołowrotka Agata i z płaczem głośnym pobiegła do komory, a za nią rozplakane też pobiegło dziewczę.

Bobrek tymczasem gospodarował w macierzyńskim domu. Parobka zawołał, konia mu pilno zalecał pod groźbą, nakazując karmić dobrze a doglądać. Sam potem z miną butną puścił się na miasteczko, gdzie konie już na niego czekały w gospodzie.

W Płocku wyglądano trochę jego powrotu, choć ksiądz kanclerz mizernemu posłowi niewiele ufał, przychodziło mu nawet na myśl, że całkiem może nie powrócić, jeśli mu się nie powiedzie.

Upłynął czas przewidywany na podróż tam i z powrotem i już o innych środkach dostania pieniędzy radzić zaczęto, gdy rankiem się zjawił Bobrek w swej wyszarzanej kleszej sukience, z pokorą, jaką razem z nią przywdziewał.

Bystro spojrzął mu w oczy ksiądz kanclerz.

— Z czymże powracasz?

— A! Niemałom się napocił i nakłopotał — rzekł Bobrek — bo do tych, co u góry stoją i wszystkim rządzą, niełatwo się docisnąć, przecież z pomocą Bożą, acz z trudem wielkim, do uszu wielkiego mistrza doprowadziłem to, że ksiązę by mógł pieniędzy potrzebować, gdyby był pewien, że mu ich nie odmówią. Ale tam też w skarbie pustki, tylko że miasta mają handlowne i ludzi wielu zamożnych, u których łatwo dostać mogą. Kazali mi mówić, że gdyby ksiązę sam do nich przybył w gościnę, mówiliby z nim o tym chętnie, a uczyniliby, co można, aby mu wygodzić. I to też wiem pewnie, z ludzi znacznych, że pieniędzy nie dadzą, chyba w zastaw na ziemię.

Kanclerzowi ta nowina, acz niezupełnie pomyślna, pożądaną zawsze była od odmowy, jakiej się lękał. Zostawiwszy więc klechę w swej izbie, sam zaraz pospieszył z tym do księcia.

Długo siedział Bobrek przy wygasającym ognisku, nim się go z powrotem doczekał, mimo woli porównywując ubogie mieszkanie kanclerza z wygodnymi izbami panów krzyżackich i ochędożnym a dostatnim dworem swej matki. Ale cóż by on tam w tym domostwie skazany na siedzenie beczynne poczynał?

Powrócił gospodarz nieco długą rozmową rozgrzany.

— A cóż? Pojedzie ksiązę? — spytał, wstając, posłaniec.

Kanclerz nad odpowiedzią pomyślał.

— Ksiązę z dawna miał zamiar jako dobry sąsiad mistrzowi za podarek sokołów i psów podziękować. Jest i innych spraw sąsiedzkich o granice kilka do rozstrząsania. Zatem nie dla

pieniędzy koniecznie, lecz dla przyjaźni księżę się do mistrza wybierze.

— Gdyby można wiedzieć kiedy? — przerwał klecha żywo. — Polecono mi, abym, jeśli można, o dniu uprzedził. Wielki mistrz chce godnie księcia ugościć, a nie zawsze go zastać w Malborgu. Alboby może księciu do Torunia dogodniej by było! Ale tu... więcej oczów patrzy... i... — przerwał sobie. — Ślijcież mnie, proszę, a sprawię wedle rozkazania.

Kanclerz zdziwiony słuchał, niepozorną tę istotę widząc zmieniającą się dziwnie w ważnego posła i pożądanego pośrednika. Wrócił raz jeszcze do księcia i znowu Bobrek długo na powrót jego oczekiwać musiał.

Wszystko wręście postanowionym zostało. Semko trzeciego dnia miał bez dworu, z małym poczem, jako człek nie znany spotkać się z mistrzem. Kanclerz miał mu towarzyszyć, gdyż przy naradach mógł być potrzebnym. Bobrek otrzymał obietnicę pięknego podarku, bo taki był obyczaj wieku, iż go dać musiano za każdą posługę. Nikt darmo nic nie robił. Obdarzano świadków i pisarzy, tych, co pieczęcie przykładali, i tych, co do zawarcia umów byli pomocą.

Odpowiedź za ledwie otrzymawszy, Bobrek chwili nie zmarnował. Potrzebował wypoczynku, ale wygodniejszy znaleźć się spodziewał u Pelcza, a może piękną Anchen, starannie przed nim ukrywaną, zobaczyć.

Częste te przesuwania się Bobrka starego kotlarza niemało zaciekawiały, lecz Bobrek milczeć w potrzebie umiał i gdy do umów a układów przychodzić miało, o których zawczasu głośić niebezpiecznym było, nie myślał się spowiadać otylemu przyjacielowi, z czym tu przyjeżdżał. Udał więc daleko mocniej znużonego, niż był w istocie, kazał sobie zaraz słać, zjadł, napił się i nie mając nadziei, aby mu się Anchen ukazała, bo ojciec mówił, że była nie bardzo zdrową, położył się zaraz, rozkazując obudzić nade dniem i konie gotować...

Panowie teutońskiego zakonu mieli tu wszędzie swe sługi potajemne, swych ludzi, w każdej mieścinie bliżej granic przekupionych i gotowych na rozkazy. Nie miał więc trudności Bobrek w znalezieniu człowieka, który by go szybko dostawił do Torunia. Tu, nie wstępując już do matki, przesiadł się tylko na świeże do Malborga konie, wdziawszy swój płaszcz szary z półkrzyżem.

Prędzej, niż się go spodziewano, stawił się u drzwi mistrza. Lecz okazało się, że na niedogodną jakąś trafił godzinę.

W podwórzach stały oddziały zbrojne, jakby litewskie, i dwór jakiś obcy, liczny, księżęcy, którego przyjęciem tak wszyscy zajęci byli, że na przybyłego braciszka nikt ani spojrzeć nie chciał. Na zamku krzyżackim, a jeszcze na malborskim, który był jakby stolicą, orszak ten wrogo wyglądający, ludzie ci w wysokich kołpakach z uszami długo na ramiona spadającymi, z pałkami za pasem obok mieczów, z tarczami dziwnych kształtów na pół europejskimi, w pół litewskimi, z końmi małymi i zwinnymi, z oszczepami, jakich już na zachodzie od dawna używać zaprzestano; wpośród nich starszyzna brodata w szkarłatnych szubach, w pasach sadzonych, w hełmach kształtów niezwyczajnych, a przestarzałych, wszystko to wydawało się jakby najazdem nieprzyjacielskim.

Przecież przyjmowano tu ich gościnnie, pojono i karmiono, a oswojony z zamkowymi obyczajami

Bobrek dostrzegł, że dla tego pana, który przybywał z orszakiem Litwinów czy Żmudzi, ucztę wyprawiano wspaniałą. Kręciła się około kuchen służba, wynosząc z nich pozłacane misy, srebrne dzbany i wszystkie sprzęty bogaty, który tylko dla najdostojniejszych gości dobywać ze skarbców było we zwyczaju.

Nalegającemu na to, ażeby o nim wielkiemu mistrzowi znać dano, odparł jeden z jego kompanów niecierpliwie, iż Czolner wielkiego księcia litewskiego Witolda przyjmował.

Witold był naówczas zarazem gościem, niewolnikiem i sprzymierzeńcem Zakonu. Po śmierci ojca Kiejstuta¹¹⁷ schronił się był do Krzyżaków i przybywał właśnie naradzać się o nowy najazd na Jagiełłową Litwę.

Szło o to wielce Krzyżakom, aby książęcia sobie zupełnie zjednali. W rękach ich był on najdzielniejszym narzędziem do zagrożenia, a może do zdobycia Litwy. Wysadzano się więc na uczczenie go, na zjednanie, związaną ścisłym węzłem mężnego i energicznego syna Kiejstutowego, przeciw Jagielle miotającego pioruny, bo mu przypisywał śmierć ojcowską.

Ogień tej zemsty radzi podsycali Krzyżacy, a choć pozornie pośredniczyli w staraniach o odzyskanie dla Witolda ojcowskiej dzielnicy, nie bardzo sobie życzyli pojednać stryjecznych braci. Od dwóch już dni Witold gościł na zamku malborskim, a z każdym dniem wspanialej go Czolner przyjmował.

Na to przyjęcie właśnie trafił powracający Bobrek i nierychło się doczekał widzenia z Czolnerem. Wszedł on nareście do niego. Bobrek w kilku słowach poselstwo swe sprawił.

Na twarzy mistrza odmalowało się żywe podrażnienie. Widać było, że wiadomość przychodziła nie w porę. Nie mógł on Witolda tu porzucić ani się go pozbywać tak spieszenie. Litewski książę oczekiwał na wiadomości ze Żmudzi. Czolner go opuścić nie chciał ani zdawać na nikogo, W czasie zaś pobytu Witolda razem z nim Semka przyjmować było dlań również niedogodnym.

Zjazd w Toruniu stał się niemożliwym; nie mogąc inaczej potrzeba było Semka do Malborge prosić, bo stracić łatwego nabytku kawałka ziemi Czolner nie chciał ani sprawy tej odkładać.

Bobrek zapewnił, iż Semkowi pilną była pożyczka, pilne w tej właśnie chwili pieniądze, więc korzystać należało z tego, że ich potrzebowano.

Radzili długo na uboczu wielki mistrz z marszałkiem. Nie zdawało się niebezpiecznym spotkanie się tu dwu książąt, połączonych z sobą, bo Janusz mazowiecki miał za żonę siostrę Witoldową¹¹⁸, a Witold wszakże był już, jak sądzili, całkiem Zakonowi oddanym.

Mogło to być dla Semka niezbyt przyjemnym, ale umowa z mistrzem, za którą szło oddanie w zastaw kawałka ziemi wiskiej¹¹⁹, na który już Krzyżacy oczy zwrócili, w tajemnicy się utrzymać nie mogła. Dlaczegoż Witold nie miałby być jej świadkiem? Zbliżenie się ich do siebie Zakonowi w przyszłości mogło więcej obiecywać korzyści niż czymkolwiek zagrazać.

Mistrz, nie mogąc jechać do Torunia, dwóch braci z poważniejszych wybrałszy, natychmiast

wysłał z poczem knechtów¹²⁰ pięknym na gościa spotkanie. Z należną czcią i zwykłą gościnnością krzyżacką mieli go oni zabrać do Torunia i ułatwić podróż do Malborka.

Gościnność, o której wspomnieliśmy, pańska, rozrzutna, wspaniała, nie płynęła z serca wcale, była po prostu rachubą, okazem bogactw i możności Zakonu, jego potęgi. Sadzono się na nią równie względem gości z Zachodu, jak dla innych dostojnych panów będących z Krzyżakami w stosunkach. Olśniewali nią, upokarzali, dowodzili skarbów niewyczerpanych, rozumiejąc dobrze, jaką siłę daje bogactwo.

Z taką wystawnością przyjmowano tu Witolda, tak dawniej ugaszczano Kazimierza polskiego i wielu innych. Wydatki były ogromne, lecz opłacały się sławą i rozgłosem, jakie Zakon zdobywał. Tak możnemu stowarzyszeniu rycerskiemu lada lichej ofiary też uczynić nie było można; gdy się chciało wywdzięczyć, musiano sypać złotem i szafować ziemią. Uczty częstokroć przez długi przeciąg czasu przed wyprawami, w ciągu ich, po szczęśliwym powrocie przedłużały się, przenosząc z obozami z jednego miejsca na drugie.

Bobrek pozostał w Malborku, oczekując tu na Semka przybycie. Posłannictwo jego było skończone; o danym mu przez Domarata wcale nie myślał. Napomknął on o nim panom swoim, ale ci wprost mieszać się do spraw wielkopolskich nie chcieli, obiecując tylko, iż Brandenburczykom i Sasom oznajmią, ażeby z okoliczności pomyślnych korzystali. Czuł się więc jakby od zobowiązania względem Domarata wolnym.

W czasie pobytu Semka i kanclerza nie chciał się pokazywać klecha, ażeby nie obudzić jakich podejrzeń i nie zamknąć sobie w przyszłości drogi na Mazowsze. Jako braciszek przybrany Zakonu jawnie występować nie chciał, a jako biedny klecha nie śmiał się pokazać, aby go to na śmiech gawiedzi nie naraziło.

Wszelkie duchowieństwo, tak świeckie, jak zakonne i wszystko, co doń należało, nie miało łaski u rycerzy miecza. Z klechami obchodzono się z pogardą, lekceważeniem, dumą ich upokarzającą. Nigdzie kapłani ostrzejszego i bezmyślniejszego nie doznawali w obejściu się ucisku, jak pod panowaniem Zakonu. Ówczesny marszałek Konrad Wallenrod słynął z tej nienawiści dla duchowieństwa, które srodze prześladował. Łatwo to wytłumaczyć, zważywszy, że stan duchowny był potęgą, która na ziemi do Krzyżaków należącej mogła ich znacznie osłabić, a w przyszłości stać się dla Zakonu niebezpieczną, czyniąc od niego niezależną. Pilnowano też, ażeby proboszczowie przy kościołach, kapelani przy wojsku, klasztory po miastach w srogiej karności i podległości trzymane były.

Takiego klechy, jakim w Płocku Bobrek bywał, w Malborku by nie ścierpiano na zamku bezkarnie. Musiał więc klecha na czas pobytu Semka zniknąć, skryć się, odkładając upomnienie się o nagrodę wysłużoną do innego miejsca i czasu.

Rozdział VIII

Czynnym był Zakon w tym czasie, sam jeden stosunkowo do krajów sąsiednich używając największego bezpieczeństwa i spokoju, gdy naokoło niego wszędzie wrzały walki pomiędzy narodami, a bardziej między chciwymi władzy książęty.

Z jedną tylko Litwą, która dlań była polem zdobyczy, wycieczek, łowów na ludzi, Krzyżacy toczyli wojnę, ale i z tej strony słyhać już było o jakichś rokowaniach tajemnych i zawieszeniu broni.

Mieli narzędzie potężne w rękę, Witolda, a ten starczył sam za największe wojsko. Cenili też wysoko tę zdobycz i nie myśleli jej z rąk puścić. Mówiono już o tym głucho, że go nawet ochrzcili, do czego, jak się zdaje, ani on, ani oni wielkiej nie przywiązywali wagi, bo obrzęd ten odbył się w ciszy, w zakęcie, bez żadnej uroczystości i wystawy. Nie łudzili się tym nawróceniem — wiedzieli, że syn Kiejstuta przeszedł do nich i ich wiary, aby walczyć z Jagiełłą, chwycił się Zakonu jako siły, a nie z miłości ku niemu. Wiedzieli o tym dobrze, a szło im o to, aby go sobie pozyskać. Badali więc słabości człowieka, rachując na nie tylko.

Tymczasem w ciągu swojego pobytu na ziemiach Zakonu człowiek ten zagadkowy, niezrozumiały, niepochwycony ująć się im całkowicie, tak jak pragnęli, nie dawał. Nie mówił z nimi, tylko o swoich wyprawach na Litwę, o wycieczkach do Żmudzi, którą chciał pozyskać sobie, o wyzwoleniu rodziny, o dokuczeniu Jagielle, zdobywaniu Wilna lub Krewa¹²¹, jak najmniej o stosunku do Zakonu.

Myśli jego latały gdzieś daleko — wszystko, co otaczało, zdawało się dla niego obojętnym. Niecierpliwy, roztargniony, zadumany, nie zdawał się cenić tej wystawy i przepychu, z jakim go przyjmowano. Nie przywiązywał wagi do oznak uszanowania, chodził wpośród nich jak niewolnik na uwięzi, któremu pilno było potargać krępujące go kajdany.

Na przemiany mieniali się około niego sam mistrz, głęboki a spokojny znawca ludzi, popędliwy, dumny i źle ukrywający swą wzgardę dla barbarzyńcy Wallenrod i inni dostojnicy Zakonu. Przed żadnym z nich nie otworzył swej duszy, żadnemu w głąb jej zajrzeć nie dawał.

Starano mu się przypodobać, dogadzać zachciankom, ale pochwycić go nikt nie mógł na słabości żadnej, która by nad nim zapanować dozwalała. Nie przywiązywał najmniejszej wagi od wygod życia, do stołu i napoju, którymi się rozkoszowali starzy rycerze. Nie zabawiał się ich pieśniami ani błaznowaniem, nawet ofiary pieniężne, jeśli mu nie służyły do zaciągów na wojnę, były dlań obojętne. Zmuszał się czasem wśród Niemców do jakiejś wesołości nieszczerzej, powierzchownej, ale twarz zadumana zdradzała w nim myśli skryte.

Miłośnik łowów zapalony, jak wszyscy litewscy i w ogóle wszyscy ówcześni książęta i panowie, dawał się wyciągać na nie, zajmował nimi gorąco przez chwilę, ścigał oczyma doskonałe sokoły, którymi go obdarzono, ale nazajutrz o nich tak dobrze zapominał, jakby nie miał ich nigdy. Wśród łowów pędził za zwierzem zajadle, namiętnie, ale gorączka ta ustawała, gdy się skończyły, i książę znowu czoło namarszczone, chmurne uchylał pod brzemieniem myśli.

Czolner po dłuższym z nim obcowaniu przyszedł do tego przekonania, iż tylko nienasyconą jego karmiąc ambicję, wskazując mu zdobycze wielkie, potęgę, mógłby go sobie pozyskać. Powtarzał mu więc i zaręczał, że jest w interesie Zakonu wszelkich dołożyć usilności, aby Jagiełłę i licznych braci jego usunąć z Litwy, a jemu nad nią całą oddać panowanie. Lecz zapewnienie to wielkiego mistrza przyjmował Witold równie obojętnie, jak inne obietnice, przeczuwając może, iż w ten sposób dojść do władzy nie będzie mógł.

Starsi zakonnicy nie byli temu gościowi zbyt radzi; czuli w nim obcego, nieprzyjaciela, którego przyswoić sobie i zupełnie rozbroić nie było podobna. Inni, mniej głęboko widzący, byli tego zdania, że z wolna a łagodnie postępując dziką tę naturę okiełznać potrafią.

W Malborgu prześcigano się, wysadzano na przyjmowanie księcia Witolda; pochlebcy zawczasu tytułowali go królem litewskim.

Dnia tego, gdy Semko miał z Torunia nadjechać dla układów — chociaż się one na osobności odbywać miały — uznał mistrz słusznym nie taić bytności Mazura przed Witoldem.

Stał on na zamku, nie opodal od Czolnera, u którego w godzinach pewnych się schodzili. Mistrz postrzegł to, co przypisywał naturze zaledwie z barbarzyństwa wychodzącego człowieka, że Witold w murach i zamknięciu siedzieć nie lubił, męczył się. Ciepła izba, komin, miękkie siedzenie, przykrzyły mu się. Potrzeba było dlań wymyślać coraz nowe łowy lub jakieś konne wycieczki. On i jego Żmudzini woleli wśród podwórców koczować na mrozie i zawiei śnieżnej, niż zaryglować się w wygodnych komnatach.

Wchodząc do izby, którą syn Kiejstuta wielkimi krokami przebiegał z podniesioną głową i rozrzuconymi na ramionach włosami. Czolner postrzegł ten wyraz niecierpliwego znużenia, który Witolda nie opuszczał prawie. Rzucił się jak zwierzę w klatce.

— Jeżeli księżę zechcesz dziś kazać sobie komu towarzyszyć w lasy, na łowy, psy są gotowe, konie na posługi i moja czeladź myśliwska — odezwał się Czolner — ale ja z wielkim żalem moim nie będę mógł księciu towarzyszyć — mam pilną sprawę.

Witold stanął, patrząc mu w oczy.

— Księżę mazowieckie Semko będzie tu dziś — mówił dalej mistrz — ale o nim nikt wiedzieć nie ma. Zdaje się, że żąda od Zakonu pożyczki, której my zapewne mu nie odmówimy.

— Semko? Ma tu być? — marszcząc się odparł głosem jakimś stłumionym Witold. — Wiecie to zapewne, że brat jego jest szwagrem moim, poślubił Dawnutę, siostrę moją, ale ja z obu nimi teraz źle jestem. Janusz dobry tylko — sobie... Dziś jednak, gdy Semko się zadarł z Jagiełłą tak jak i ja, a tamten się na niego odgraża i w wojnie są z sobą lub będą, Semko mi przestaje być wrogiem. Zresztą dzieciak to jest. Ale, cóż ten Semko?

— Ciągną go Wielkopoleanie na tron polski — mówił Czolner — któż wie? Okoliczności dziś dla niego przyjazne.

Witold, stojąc, słuchał i wpadł nagle w tak głęboką zadumę, że mistrz zdziwiony nią mówić przestał. Milczeli chwilę, Witold się potem jak ze snu przebudził.

— Rad bym — rzekł nagle — rad bym przez tego Semka o siostrze mojej mieć jakąś wiadomość. Biednej Dawnucie nie bardzo tam dobrze być musi. Jeżeli wy nic przeciwko temu nie macie, a Semko też się zgodzi na to, mógłbym widzieć się z nim. Będzie czy nie królem polskim, zawsze Mazur Litwę obchodzi.

Żądanie to nie wydało się dziwnym Czolnerowi, nie sądził, ażeby zetknięcie się dwóch książąt niebezpiecznym dla Zakonu być miało.

— Uczyniłoby to księciu przyjemność? — zapytał mistrz.

— Zaprawdę, tak jest! — rzekł Witold ożywiając się. — Wierzajcie mi, kocham siostrę i los mnie jej obchodzi. Z mazowieckimi jesteśmy dawno w powinowactwie, a Semka nie znam prawie. Dziś to już dojrzały młodzieniec być musi. Wie pewnie coś o Januszu, powie mi o Dawnucie.

To mówiąc zadumał się Witold, z ukosa spojrzawszy na Czolnera i jakby się uląkł być posądzonym, gdyby nazbyt nalegał, zamilkł chwilę znowu.

— Ale bądźcie szczerzy — dodał obojętniejąc — jeżeli to Semkowi nie na rękę albo wam, a on tu krótkim gościem i wiele jest do mówienia — nie nalegam. Usunę się.

— Co do mnie — rzekł spiesznie wielki mistrz z uśmiechem uprzejmym — widzicie Miłość Wasza, zem pierwszy o tym uprzedził. Przeciwko rozmowie nie mam nic, za Semka, który chce, by o nim nie wiadano, ręczyć nie mogę.

Witold ramionami poruszył.

— Jeżeli Semko nie zechce, napraszać mu się nie myślę! — zawołał dumnie.

— Na łowy pojedziesz książę? — pytał Czolner.

— Chętnie! Chętnie! — pospieszył z odpowiedzią Witold. — Byle w pole, a na wiatr, tom rad, bo w murach siedzieć męką dla mnie.

I o Semku już mowy nie było.

Zaledwie się wielki mistrz oddalił, gdy stary zakonny rycerz, słynący z tego, że miał prawdziwą do łowów namiętność, Kurt von Rosen, wszedł do komnaty książęcej.

Był to posiwiasty w bojach i na myśliwskich wyprawach jeden z tych ludzi, których namiętność w rodzaj monomanii przechodzi. Lubił ci on i wojnę, ale ta mu najmilszą była, gdy do łowów jak największe podobieństwo miała. Człowiek ten, gdy nie polował, przygotowywał się do łowów, śpiąc marzył o nich, a o niczym innym do rzeczy mówić nie umiał, krom o myślistwie. Sławnym też był w Zakonie z tych opowiadań tak często nieprawdopodobnych, że przy stole wszyscy towarzysze jego głośnymi wybuchali śmiechami, gdy się za daleko zapędził. Naówczas Kurt wpadał w gniewy,

zaklinał się, przysięgał, a na potwierdzenie jednej baśni drugą wymyślał.

Ale w samej istocie był to wielki łowiec przed Panem, którego w Zakonie szydersko bratem Nemrodem¹²² przezywano; człowiek takiego oka i uszu, takiej w polu umiejętności, iż sam widok lasu, ziemi, samo powonienie powietrza dozwalało mu wyrokować na pewno, jak się którego dnia powodzić miało.

Stary, pokaleczony, pokieraszowany, okryty bliznami von Rosen był siły wielkiej i nie mniejszej zręczności. Z łuku i kuszy strzelał o zakłady, oszczepem ciskał do celu nie chybiając nigdy, a konia dosiadłszy, najdziksze mu panował. Lecz czasu łowów już doń ani mówić, ani go wstrzymywać, ani pokierować nim nikt nie mógł. Wpadł w rodzaj zapamiętałej wściekłości, która go ślepym i głuchym czyniła.

Jak inni Krzyżacy zasłużeni Zakonowi, mógł on być przy swym męstwie i doświadczeniu dojść już do wyższych urzędów w Zakonie, do jakiej komandorii¹²³ lub dowództwa, ale się od wszystkiego wypraszał, o bogactwa żadne i wygody nie dbał, byle namiętności swej mógł dogodzić. Śmiejąc się mówiono o nim, że gdyby zwierza zabrakło, na szczury w lochach pod zamkiem gotów by polować.

Kurt von Rosen był też w Malborgu zwierzchnim wszelkich łowów nadzorcą i dowódcą. On je dla obcych gości urządzał, prowadził, pod jego rozkazami byli sokolnicy, psiarze i stajnie łowieckie.

Skłoniwszy się księciu, stary Kurt spytał go, czy w istocie chciał się dnia tego wybrać na łowy.

— Śniegu dużo napadało — rzekł — kopno dla zwierza, ale dla psów też i koni nie lepiej. Śnieg suchy z wiatrem pozawiewał tropy. Zły dzień, miły księżę.

Witold słuchał obojętnie.

— Macie czym zwierza szczwać? — zapytał.

Kurt się obraził tym powątpiewaniem.

— Zaprawdę — odparł z dumą — żadnego rodzaju psów u nas nie braknie. Mamy i do ścigania najlepsze.

— Zatem — rzekł księżę po krótkim namyśle — łowy nie łowy, zrobimy sobie ze psy wycieczkę, aby się w murach nie wędzić. Zdarzy się co szcuć, popróbujemy. Człowiek w polu i na koniu dopiero się czuje wolnym, a w domu, choćby i pałacu, więźniem.

Stary Rosen rozśmiał się bezzębnyymi szczękami.

— Za dwa pacierze — rzekł, zwracając się ku drzwiom — wszystko będzie w pogotowiu. Gdy księżę znijsz raczysz, znajdziesz mnie ze psy w podwórku.

Witold wielkich przygotowań nie potrzebował: na kaftan szubę wdziąć, kołpak na głowę, przypasać miecz i mieczyk, róg zarzucić na ramię. Oszczep wiozła czeladź i podawała, gdy było potrzeba.

Gdy zszedł księżę, w podwórzu nań nie tylko Rosen czekał, ale i pacholę z kubkami i winem strzeżeniowym¹²⁴. Księżę ledwie w nie usta umoczył, gdy Kurt nawykły do napoju wychylił becherków¹²⁵ parę i orzeźwiony nimi dosiadł krępego konika, do którego był nawykły.

Z zamku i miasta wyjechawszy w pole przekonali się dopiero, iż stary łowiec miał słusność, bo dnia tego dla zasp śniegu suchego psy i ludzie niewiele dokazać mogli. Wiatr smagał ostry, kiedy niekiedy jeszcze unosząc z zasp nagromadzonych nocą chmury śniegu miążkiego i zmiatając nimi w powietrzu. Pomimo to Witold wolniej oddychał, a twarz mu się zaraz wypogodziła.

On, łowczy Rosen czy przypadek tak zrządził, iż się skierowali naprzód drogą w stronę ku Toruniowi? — Któż to wie. Rosenowi dnia tego kierunek był obojętny, bo się wcale zwierza nie spodziewał, a lichy zając lub lada jaki lis wypłoszony przypadkiem u niego w rachunek nie wchodził. Wilcy — był to ich czas — gromadami się włóczyli, lecz opodal od wielkich osad. Jechali też myśliwi, rozglądając się na próżno, a psy puszczone wolno nie miały ochoty tropić, bo węchu nie czuły w sobie. Wiatr im przynosił jak piasek suche szczątki nocnej burzy.

Już się za miasto dobry kawał odbili, gdy na gościńcu w dali, na białym tle śniegów ukazała się zdążająca ku miastu spora jezdnych gromadka.

Zobaczywszy ją Witold zaciął usta i żywiej konia naprzeciw popędził. Kurt też dojrzał jeźdźców. Wpółśród nich para płaszczów białych znamionowała, że to byli swoi i nie prosta czeladź a knechty, ale rycerstwo. Każdego dnia tylu komturów i braci przyjeżdżało do Malborge po rozkazy lub z doniesieniami, iż w tym nic nie upatrzono nadzwyczajnego.

Witold może dorozumiewał się Semka i odgadł go. On to był w istocie, w towarzystwie tych, co naprzeciw niego do Torunia zostali wysłani.

Nie spodziewał się spotkania tego Rosen, bo może nawet o mazowieckim księciu nie wiedział, nie mówił więc nic. Tak dwa przeciwko sobie idące orszaki zbliżyły się. Bystre oko Witolda już wśród Krzyżaków i dworu dostrzegło i poznało Semka, który, choćby się był chciał skryć za drugimi, nie mógł.

Witold zatrzymał nagle konia.

— Semko! — zawołał. — Cóż to? Nie poznajesz ty mnie, czy znać nie chcesz?

Krzyżacy, prowadzący księcia mazowieckiego, zatrzymali się poglądając po sobie i radząc, co czynić mieli. Semko rad nierad wystąpił nieco naprzód i pozdrowił Witolda.

— Toś mi już urósł do zbroi! — odezwał się księżę. — Rad cię widzę. Nie będę się dziwował, że ty tu jesteś, bo jeszcze dziwniejsza rzecz, że mnie widzicie w Malborgu! Zdrów Janusz i siostra moja?

Nim Semko miał czas odpowiedzieć, Witold konia swojego zawrócił i odezwał się do Rosena.

— Łowów pono dziś nie ma się co spodziewać. Mieliście słuszność! Wracajmy razem.

Ustąpili nieco Krzyżacy. Kanclerz, który jechał przy księciu dotąd, cofnął się także i dwaj książęta pozostali obok siebie na przedzie. Semko zmieszany ledwie się na słów parę mógł zebrać.

Ciężko rozpoczynała się rozmowa, gdyż mazowieckie księżę nie bardzo jej rade było. Witold zagaił ją gwałtownym na Jagiełłę wyrzekaniem.

— Za to się nam wywdzięczyl — wołał — że myśmy go w ręku mając, życie wziąć mogąc za zdradę, puścili wiarołomcę wolno. Ojciec mój życiem miękkie swe serce przypłacił, ja zostałem na pomszczenie go i poprzysiągłem, że zemstę mieć będę. Widzicie, zszedłem na tułacza, co się po cudzych zamkach chronić musi i łaski prosić u obcych.

Witold mówił to tak głośno, jak gdyby chciał, ażeby rycerstwo krzyżackie jadące za nim wysłuchało żalów tych i pogroźek. Zdawało się, że więcej to wywołuje dla nich niż dla Semka. Szepty byłyby może w podejrzliwych obudziły ciekawość i nieufność, wykrzykiwanie to było obojętnym. Nie słuchali go nawet.

Rosen, tymczasem połączywszy się ze swoimi znajomymi począł ich już powieściami myśliwskimi zabawiać. A że się naśmiewać z niego byli nawykli, słuchali drażniąc się ze starym.

I stało się, co przewidzieć było można, że Witold, ciągnąc z sobą Semka, dobrze się z nim naprzód odsadził, a choć się nie oglądał za siebie, czuł i wiedział, że Krzyżacy w tyle pozostali. Wiatr odnosił głos, tak że jadący za nimi w pewnym oddaleniu niełatwo go pochwycić mogli.

Korzystając z tego, gdy już nie bardzo daleko byli od miasta, Witold odezwał się zniżonym głosem.

— Patrz, Semko, abyś się ze mną widział i mówił na osobności. Jest tego potrzeba wielka. Tu tylko ci to powiedzieć mogę, że dla mojego i twojego dobra starać się o to powinienes, ale podejrzenia nie obudzając!

Ponieważ tętent koni krzyżackich znowu bliżej się dał słyszeć, brzęk łańcuszków i oręza ich, Witold natychmiast głośno począł dopytywać o Janusza i siostrę Dawnutę. Wyśmiewał miłość pokoju jego i wieśniacze życie.

Semko na wezwanie, które usłyszał i zrozumiał, odpowiedział kilką słowy niewyraźnymi, a Witold zaraz dla niepoznaki towarzysza swojego Kurta przywołał i o łowy jakieś rozpytywać począł.

Zajechali tak aż pod zamek, do którego gdy już wciągać mieli, Witold się zatrzymał i poprosił, ażeby go Kurt do płatnerza prowadził, gdyż umówić się potrzebował o naprawę swoich zbroi. Semko więc osobno z orszakiem swym na zamek wjechał, a że z góry widziano już przybywających, znalazł gotowych na powitanie. Prowadzono go do mistrza, który na progu swoich izb oczekiwał.

Powitanie wielce uprzejme było, na które wszystkim tym, co go tu spotykało, trochę zmieszany młody księżę odpowiedział, mierząc słowa z wyraźną obawą. Zastępował go i wyręczał, jak mógł, przytomny kanclerz.

Nim o sprawach jakich zagajono rozmowę, naprzód gości do zastawionego już stołu poprowadził mistrz, starając się tym weselszym okazać, im Semko był trwożliwszym.

Nawet po nowym zamku płockim, który Kazimierz zmurował¹²⁶ swym obyczajem wykwinnie dosyć i ozdobnie, po dostatkach, do których Semko był nawykły, Malborg ogromem swym, wspaniałością, wewnętrznym przepychem przygniatał mazowieckiego księcia. Królewskiemu też zamkowi na Wawelu trudno się było mierzyć z tym stołecznym grodem potężnego Zakonu. Mistrz, mimo wielkiej uprzejmości swej, monarchiczną niemal nadawał sobie powagę.

Liczna służba w kosztownych szatach, w łańcuchach, naczynia wytworne, pozłociste, przepych we wszystkim, umyślnie uwydatniony, musiał na księciu upokarzające, przykre czynić wrażenie. Małał on tutaj, wydawał się słabym i nienawiść dla Niemców budziła się mimowolnie.

Nierychło po zdjęciu obrusów, po wypiciu ostatnich kubków, od których wymawiał się książę, przystąpili do rozmowy o sprawie, jaka go tu sprowadzała.

Kanclerz zabrał głos z rozkazu Semka. Mistrz obrócił się ku niemu. Od pierwszych wyrazów przewidzieć było można, iż Krzyżak z położenia sąsiada, z jego słabości będzie korzystał. Otwarcie wyznał, stanowczo bardzo, iż pieniędzy dać inaczej nie może, tylko w zastaw na ziemię. Semko niewielą słowy do rozpraw się wtrącał, do których wkrótce wezwany przyłączył się prokurator¹²⁷ i podskarbi Zakonu. Czolner, zostawując im roztrząsanie warunków, odciągnął księcia na stronę, zabawiając lekką pogadanką o sokołach i łowiectwie. Czasu dosyć zeszło, nim kanclerz umówił się o wysokość i warunki pożyczki. Zakon dać chciał jak najmniej, a wziąć jak najwięcej. O każdą piędź ziemi i kopę groszy¹²⁸ potrzeba było upartą staczać walkę, nim do pisania i pieczętowania przyszło. Semko wszystko zdał na kanclerza.

Sam Czolner potem zagaił o Witoldzie, wynosząc wielkie jego przymioty rycerskie, męstwo, ducha niezłomnego, a użalając się nad losem niezasłużonym, jaki go spotkał od niepocziwego, okrutnego Jagiełły.

Mistrz nie wahał się śmierci Kiejstuta kłaść na karb synowca, wiedział nawet najdowodniej i wymieniał oprawców imiona. Oburzało go to morderstwo do niebios o pomstę wołające.

Wróżył też zgubę Jagielle i braci jego, a w zapale zaręczał, że Zakon wyniesie na tron Litwy sprzymierzeńca swojego Witolda, w Rzymie mu wyjednawszy koronę.

Semko skorzystał z tego zwrotu rozmowy i opowiedział naiwnie, że na drodze właśnie spotkał się z Witoldem, co go wielce zdumiało. Ponieważ przez Janusza związki krwi i powinowactwo ich łączyło, prosił, aby mu się z nim widzieć było wolno. Mistrz obiecywał, iż razem wieczerzać będą.

Nalegać więcej nie mógł Semko, zostawując losowi ułatwienie zbliżenia się na osobności, o które i Witold sam starać się był powinien, gdy go potrzebował.

Zeszła potem znaczna część dnia na pisaniu aktu, który Krzyżakom dawał zastawą Wiznę¹²⁹. Każdy punkt musiano roztrząsać bacznie. Kanclerz ani się spostrzegł, jak mu wyrazy dwuznaczne i wątpliwe narzucano, od których potem bronić się musiał, a gdy na ostatek umowa spisana została, wyszedł

biedny jak z łaźni, niepewien jeszcze, czy jakiego podstępnego wyrażenia nie przesłepił.

Szło potem to pisanie kanclerskie z rąk do rąk, odczytywane po cichu, pod sąd starszyzny, kreślono i dodawano do niego, aż pod noc dopiero skryptor wziął je do wykaligrafowania na pergaminie. Że zaś innego zdolnego pisarka pod ręką nie było, powierzono dokument Bobrkowi. Obawiał się on, aby go pismo nie zdradziło, lecz ufał w to, że kanclerz ręki jego nie pozna.

Dano tymczasem wieczerzę, na którą mistrz z większym jeszcze wystąpił przepychem, braci co przedniejszych wezwawszy do stołu, ażeby gości zabawiali. Wszedł i zaproszony Witold, dosyć wesołą twarzą witając Semka, którego obok niego posadzono.

Na niczym uczcie nie zbywało prawdziwie królewskiej, oprócz tego, że przy niej niewiast nie było. Pod koniec jej znaleźli się nawet lutniści, śpiewacy i trefnisie przy stołach, Niemcy wszyscy, więc dla gości mniej zrozumiali.

Rycerstwo dobrze podochociło sobie, przepijając do książąt, lecz Witold prawie nie pił, a Semko ostrożnym był z obawy, aby mu się głowa nie zawróciła.

Po raz pierwszy tego wieczora Czolner zobaczył litewskiego księcia swobodniejszej myśli, mniej zachmurzonego czoła. Nie umiał odgadnąć przyczyny, choć rad był ją wiedzieć, a skłonny już zdawał się tłumaczyć to tym, że Witold cieszył się wiadomością o siostrze i rozerwał Semka przybyciem.

Dano im wśród ogólnego gwaru mówić z sobą, ile chcieli, lecz ostrożny Kiejstutów syn nie rzekł słowa, z którym by się ukrywać potrzebował. Zawiązał z Semkiem rzecz o koniach i orężu bardzo żywą, od stołu wstał nieznacznie i nie zważając na lutnistów, którzy jakąś pieśń miłosną zawodzili, Semka z sobą na przechadzkę wyzwał po wielkiej sali, której znaczna część była pustą.

Mało już musiał mieć nadziei widzenia się z nim na osobności, a może podejrzeń lękał i nie czekając już, z twarzą pogodną, nic nie dając znać po sobie, odezwał się:

— Rycerskie słowo mi daj, poprzysiąż, że nie zdradzisz!

Zdziwiony i zatrwożony Semko nierychło się zebrał na odpowiedź.

— Chętnie przysięgnę, choć przysięgi nie potrzeba na to, że ja przeciw was zdrady knuć nie mogę. Wojować z wami nie uląkłbym się, ale dołów kopać nie umiem.

— Ani też to wiekowi twemu przystało — odparł Witold, chodząc ciągle i oczyma wodząc wkoło, ażeby się nie dać podsłuchać. — Jagiełło ma cię za nieprzyjaciela; dziś, gdy ty myślisz lub dla siebie myślą o polskiej koronie, lepiej ci go zjednać sobie i żyć z nim w pokoju. Chcesz pozyskać Jagiełłę, dam ci łatwy sposób do tego.

— Wy? Wy, coście z nim w śmiertelnej walce? — przerwał Semko. — Nie rozumiem was?

— Rychło zrozumiesz, byleś posłuchał bacznie — odezwał się, ciągle oglądając, Witold.

Sala brzmiała śpiewami i rozmową, lśniła złocistymi sprzętami, dyszała weselem.

— Myślisz — ciągnął dalej — że ja wśród tego krzyżackiego plugastwa, wśród tej wrażej drużyny zbójów, na których widok krew kipi we mnie, potrafię wytrzymać długo? Przygnała mnie tu zemsta, a wygna stąd nienawiść dla tych ludzi. Wolę zgodę z Jagiełłą jak drużbę z tymi wrogami naszymi. Skóry litewskiej zwlec z siebie nie mogę ani krwi litewskiej z żył wytoczyć. Wrogi to są moje, twoje — wszystkich nas. Bogactwa ich to nasz pot i mienie na nas złupione.

Przerwał nieco i po chwili, uspakajając się, mówił dalej:

— Jagiełło nie jest winien śmierci ojca mojego. Inni tam sprawcy byli, co za Wojdyłłę¹³⁰ się mścili. Ja wiem o tym. Chcę się z nim jednać, a z tych kajdan wyrwać.

Semko stanął, nie dowierzając, zdziwiony.

— Klnę ci się na litewską krew moją, na pamięć świętą mi ojca! — rzekł Witold z siłą wielką. — Słuchaj mnie do końca. Nikomu tego poselstwa zgody powierzyć nie mogę, aby nie zdradzono. Przypłaciłbym głową — posyłać nie śmiem. Jedź ty do Jagiełły, będziesz mu pożądanym, pokój mu przyniesiesz, nie posądzą cię, bo sam potrzebujesz z nim się pojednać. Niech się przejedna ze mną, spadniemy potem jak piorun na łby tych zbójów.

Oczy mu zapały.

— Jedź z tym ode mnie do Jagiełły, powiedz mu, niech mi odda ojcowiznę, pojednamy się — inaczej Litwa pod ich mieczem zginie. Obu nas czeka niewola, poddaństwo, zguba, śmierć.

Witold mówił szybko, porywczo i chwycił rękę Semka, którą ścisnął w żelaznej swej dłoni.

— Jedź tajemnym wysłańcem ode mnie — dodał — uczyn to dla nas. W Polsce za ciebie inni wojować będą, a tam nikt cię nie zastąpi. Nie zwierzaj tego nikomu, nie posyłaj za siebie nikogo, sam, sam jedź. Mów — zgoda-li? Nie?

Semko pomyślał trochę — nie był pewien, jak postąpić, uszom własnym nie wierzył, a i trwoga jakaś go ogarniała.

— Rozważyliście to wy dobrze? — zapytał po namyśle. — A jeżeli Jagiełło rozjątrzony zgodę odrzuci i sam o tym Krzyżakom doniesie?

— Nie uczyni tego! — odparł Witold. — Mam dowody, iż chce pojednania. Zgoda ta jemu równie jak mnie potrzebna. My tylko we dwu możemy zbójceki Zakon pokonać.

Gdy to mówił Witold, słowom jego towarzysząc, brzmiała miłosna pieśń niemiecka, której przyklaskiwali siedzący za stołem. Stukano kubkami, brząkano dzbanami w takt muzyce i rozmowa toczyć się mogła bez obawy podsłuchania. Semko trwożliwie rzucał oczyma dokoła, a Witold też, pomimo zapału i rozognienia, bacznie śledził Niemców ruchy. Dla niepoznaki dwakroć z Semkiem zbliżał się do lutnistów, stał przy nich chwilę, dobył pieniędzy i rzucił im garść ich na wyciągnięte dłonie. Zdawał się bawić pieśnią i lubować muzyką.

Młody książę potrzebował czasu, aby ochłonać z przerażenia i trwogi, jaką go żądanie Witolda

napelniło.

Przychodziło ono nie w porę, właśnie gdy musiał posiłki dla Bartosza wyprawiać, aby Kalisz mógł odebrać, który słabo miał być strzeżony. Myślał i o tym, że mu z tą podróżą ciężko się będzie ukryć i zataić ją przed wszystkimi. Z drugiej strony pojednanie się z Jagiełłą, który miał srogi żal do obu książąt mazowieckich, teraz właśnie bardzo dla niego pożądanym było. Witoldowi odmówić posługi nie chciał. Ale cóż, gdyby Zakon, który miał wszędzie ludzi swych i donosicieli, dowiedział się o jego postępku przeciwko sobie?

W tych myślach zatopiony Semko nie odpowiedział rychło Witoldowi, mruzczał coś niewyraźnie, zwłóczył. Czuł, że raz przyrzekłszy związanym zostanie. Względem Krzyżaków nie miał książę żadnego skrupułu.

Z ówczesnych dziejów przekonać się łatwo, jak dochowanie komukolwiek wiary przeciw własnemu interesowi było rzadkim, jak zdrada w chwili, gdy się stawała możliwą, była ponętną. Grzeszono z lekkomyślnością największą, z pewnością rozgrzeszenia, bo nikt nie był bez grzechu.

Jeden strach tylko mógł pohamować Semka, ale własne dobro, będące na pierwszym względzie, popychało do tego kroku. Pod pozorem potrzeby widzenia się z bratem, wycieczki do Czerska i Warszawy, zdawało się Semkowi możliwym dobiec do Wilna. Sprawa była największej wagi i w istocie mogła mu Jagiełłę pozyskać.

Witold mu się dał namyślać. Spojrzeli sobie w oczy.

— Chcesz to uczynić dla mnie? — powtórzył Witold.

— Pragnąłbym, wierzaj mi, ale myślę nad środkami. Tobie i mnie na tajemnicy zależy, nuż się to odkryje? — mówił Semko.

— Nie maszże kilku zaufanych ludzi? Albo ci się to po dni kilka na łowach w lasach nie przypadło się zabawiać? Trudnoż tak zbiec do Wilna?

— Jagiełło zawierzy—li słowu? Dacie mi co do niego? — spytał Semko.

Witold pochylił się ku niemu.

— Matka Jagiełły Julianna¹³¹ — rzekł — dała niegdyś mej matce¹³² pierścień. Znają go tam, bo to był stary klejnot po dziadach, oddam ci go na znak, żeś jest posłem moim. Ale starczy słowo mazowieckiego księcia...

To mówiąc Witold rękę włożył pod suknię, na pierś, gdzie na jedwabnym sznurze klejnot ten nosił, rozerwał taśmę i przechadzając się po sali pierścień wsunął w rękę Semkowi.

— Powiedz Jagielle — rzekł — niech na Żmudź od siebie wyprawi zaufanego człowieka, najlepiej jednego z braci, Wigunda¹³³ może, ten mi pierścień odniesie i o warunki się umówi. Ojcowizny żądam tylko, sprzymierzeńcem i hetmanem mu będę, a on wie, że ręka moja na szali zaważy.

Uśmiechnął się książę głowę podnosząc.

— Spraw to poselstwo rychło — dodał — przez litość nade mną. Chleb ich mnie truje, woda ich mnie dławi, mowa dusi, panem siebie długo być nie potrafię, kłamać nie umiem. Gryzę się tym, co mówić im muszę, zabijam tym, co czynię. Z nimi razem iść na moją Litwę? Semku, ratuj! To się równa śmierci.

Gwałtowność, z jaką mówił na ostatku, dech mu zabiła, ustał nagle.

Wtem Czolner zbliżył się do nich.

— Rozumiecież wy tę pieśń piękną, znad brzegów Renu tu przyniesioną, dźwięczną i śliczną, jakby ją słowiki nuciły? Maż który naród pieśni takie? — zawołał mistrz, wpatrując się w zmieszanych nieco książąt.

— Ja słów nie rozumiem wiele — odpowiedział Witold — a śpiew mi za miękko i pieszczono brzmi dla rycerskiego ucha.

— Właśnie dla nas takiego potrzeba — zawołał Czolner — aby znużonym bojową wrzawą smakował. Dowiedziona to rzecz, że ci, co w boju najmężniej krew przelewają, najmilej potem słuchają tych pieśni, które umysły łagodzą.

— I u nas — rzekł — dziewczęta po siołach piękne dajnos¹³⁴ nucą, ale mężom słuchać ich srom, aby serca nie miękły.

Semko pochwalił bardzo lutnistów, porównywając ich do tych, których słyszał we Wrocławiu i Opolu.

Mistrz zdawał się wesołym i rad gościom swoim, Witold więcej był ożywionym niż zwykle. Na Semku tylko zaledwie dokończona z nim rozmowa, powierzony pierścień, poselstwo, na które tak niespodziewanie i nagle ważyć się musiał, zrobiły wrażenie przykre, które na młodym licu malowało się zbyt dobitnie, aby nie postrzeżonym przejść mogło. Szczęściem dla niego tłumaczyło się to łatwo zawartą umową, na pozór dogodną, w istocie niepomyślną i upokarzającą.

Miał wprawdzie zastrzeżone prawo wykupu Wizny, ale ziemie, które się raz jakimkolwiek sposobem w ręce Krzyżaków dostały, nigdy prawie nie powracały do pierwszych swych panów. Zakon miał zawsze tysiące wykrętnych środków do zatrzymania ich.

Smutek i pomieszenie na twarzy młodego księcia mazowieckiego dla mistrza miały znaczenie złego targu, z którego on natomiast rad był bardzo. Witold umyślnie może tego wieczora udawał swobodę i spokój o przyszłość. Czolner pozostał przy nich obu dłużej nieco, tak że zdawać się mogło, iż chciał ich zbadać, ale obejście się było uprzejme i nic nie objawiało podejrzenia z jego strony.

Ponieważ odczytanie i przypieczętowanie dokumentu potrzebowało czasu, a zwykle się było odbywać z pewną uroczystością, przy świadkach, musiano je do następnego rana odłożyć.

Semko na zamku nocował. Dano mu wraz z kanclerzem izby oddalone od tych, które Witold

zajmował, tak że widzenie się potajemnie na osobności dnia tego do skutku przyjść nie mogło.

Z rozkazu mistrza wielki szpitalnik Zakonu sam gości odprowadził do komnat im przeznaczonych, u których znaleźli łoża usłane, ognie rozpalone, a w głowach wedle zwyczaju przygotowany napój do poduszki (*Schlaftrunk*), bez którego nikt spać nie szedł. Wszystko co do użycia księciu przeznaczonym było tak wspaniale dobrano, tak pańsko, iż w tym więcej widać było chęć popisu niż staranie o jego wygodę.

Semko, sam na sam pozostawszy z kanclerzem, musiał naprzód wysłuchać jego tłumaczeń i narzekania, gdyż biedny ksiądz oburzony był sposobem, jakim się obeszli z nim przy traktowaniu sprawy Krzyżacy, i łzy miał na oczach prawie. Księżę zaś dość obojętnie słuchał tego, bo umowa o pieniądze mniej go w tej chwili obchodziła niż posłannictwo, którego podjąć się musiał.

Widział on zupełne niepodobieństwo spełnienia Witoldowego zlecenia i puszczenia się w podróż bez pomocy czyjejs, a nie wiedział, komu się zwierzy i wezwie do tej trudnej sprawy. Przebiegał myślą wszystkich swoich urzędników, dwór, sługi, nie mogąc pośród nich znaleźć, komu by się całkiem zaufać godziło — rachując na dochowanie tajemnicy. Nie nawykł był też sam do ukrywania czegokolwiek w sobie, a zwierzenie się Witolda ciążyło mu jak nieznośne brzemie.

Kanclerz, odmówiwszy wieczorną modlitwę, którą za nim roztargniony Semko powtórzył, a przypisując smutek pański upokarzającemu aktowi, który nazajutrz miał być zapieczętowany, począł się tłumaczyć, uniewinniać i wzywać pomocy Boga do uwolnienia ze szpon drapieżnego sąsiada.

Noc przeszła w śnie przerywanym i niespokojnym, księżę zerwał się rano w nadziei, że może jeszcze z Witoldem na osobności będzie się mógł zobaczyć.

Przy czytaniu i pieczętowaniu nie było litewskiego księcia, który pokazał się dopiero u rannego stołu, a tu tak się składało dziwnie, że ani na chwilę nie dano im się zbliżyć do siebie. Jednego lub drugiego, a szczególnie litewskiego księcia, ciągle ktoś pilnował i znajdował się u jego boku. Zręcznie mieniali się, ale go nie odstępowali Krzyżacy. Witold nie zdawał się zważać na to i był dnia tego pogodniejszym jeszcze niż wczoraj, gdy Semko onieśmielony, przygnębiony, niespokojnie rzucający oczyma, niczym się rozerwać nie dawał.

Ze zbliżającą się chwilą odjazdu, która nagliła, nadszkiewania około mazowieckiego księcia podwoiły się, jakby koniecznie usiłowano go rozweselić. Sam Czolner wziął Semka z sali do izby osobnej pod pozorem, iż żądał, aby przy wypłacie pieniędzy kanclerzowi był przytomny. Witold pozostał z wielkim marszałkiem¹³⁵ i starym Rosenem.

Pieniądze liczono i wazono, gdy Czolner w kącie izby począł z księciem rozmowę, nadając jej cechę poufną i życzliwą.

— Pragnęlibyśmy bardzo — rzekł — aby się księciu powiodło staranie o koronę, a mamy nadzieję, w takim razie, że będziemy dobrymi sąsiadami i przyjaciółmi. Spory nasze wszelkie o granice i posiadłości zakończym zgodnie i z korzyścią dla stron obu. Weź, księżę, za przykład we wszystkim dostojnego wuja swojego księcia Władysława ruskiego (opolskiego)¹³⁶, pana, który rozumem, obyczajami, zacnością swą, pierwszym dziś jest między polskimi książętami. Rycerz to, który godzien,

aby się zwać niemieckim i stanąć obok najznakomitszych. My go szanujemy i kochamy.

Tu Czolner, zamilkłszy na chwilę, mówił po małym namyśle:

— Nie ujmuję bynajmniej księciu Witoldowi, męstwu jego i szlachetnym duszy przymiotom, ale charakter ma niespokojny, niestety. Dziś widzicie go z Zakonem naszym w najlepszej przyjaźni, my jednak mało nań rachujemy. Musimy pilno nań patrzeć, bo nigdy pewni być nie możemy, że lada jaka przejednania się nadzieja nie oderwie go od nas, a nie zapędzi na Litwę.

Mówiąc to Czolner tak bystro patrzył w oczy Semkowi, iż ten zmieszany, mimowolnie na twarz mu wytryskujące poczuwszy rumieńce, musiał odpowiedzieć żywo:

— Nie sądźcie go tak surowo. Z tego, co mi mówił, widzę, że wdzięczen jest Zakonowi.

— O tym ja na dziś nie wątpię — odparł Czolner — tylko za jutro nie ręczę. Książę namiętnym jest, uczuciu nad sobą panować daje. Jeżeli wytrwa z nami w przymierzu, myśmy pewni, że mu tron Litwy zdobędziemy. Jagiełło nie ma jego bystrości umysłu i nie jest stworzonym do utrzymania się w tych ciężkich czasach. Sam on to czuje, gdyż śle do nas posły, żąda zgody i do ofiar jest gotów.

Semko niewiele już mówić chciał o sprawach obcych, obawiając się zdradzić bezwiednie, bo czuł, jak wielką nad nim przebiegły i zimny Czolner miał wyższość.

Na ostatek wszystko ukończonym zostało, dano znak gotowości do drogi, przyniesiono strzemienne, Witold wtargnął do izby, aby Semka pożegnać.

Otoczeni mnogimi świadkami, mogli się tylko porozumieć oczyma, a książę litewski nie odprowadzał go nawet dalej progu i do swoich komnat powrócił.

Z dodanymi rycerzami krzyżackimi i knechtami puścił się książę nazad drogą do Torunia.

Rozdział IX

Gdy się to na zamku malborskim działo, a wyjazd mazowieckiego księcia się przeciągał, Bobrek, który część wieczora i nocy strawił na kaligrafowaniu aktu zastawy, o brzasku rannym został wezwany do Czolnera.

Mistrz mało co snu potrzebował i już był po modlitwie rannej w przybocznej swej kapliczce, po posiłku, gdy mu Bobrka¹³⁷ przyprowadzono. Kazał kompanom swym ustąpić.

— Znasz ty dobrze Semka mazowieckiego? — zapytał go.

— O ile człowieka można poznać przez ludzi — odpowiedział klecha — i o ile kto może pochwalić się znajomością młodzika, który nie dojrzał jeszcze, a dopiero sposobi się do tego, czym być ma.

Odpowiedź oględna, chociaż niestanowcza, podobała się mistrzowi, głową poruszył, potwierdzając to, że młodego znać trudniej jest niż tego, co już sobie tory i koleje życia wytrzebił.

— Chytry on jest? skryty? przebiegły? — zapytał Czolner, wlepiając w niego oczy.

— Wątpię, ażeby zdolnym był do przebiegłości wielkiej — rzekł Bobrek. — To tylko wiem, że srogim i okrutnym być może jak ojciec i jak on popędliwym.

— Więc zbyt chytrym jako popędliwy być nie może — przerwał Czolner zadumany — a jednak...

Tu zatrzymał się i podumał.

— Należałoby go śledzić i nie spuszczać z oka — mówił dalej. — Ten zdradliwy i niepocziwy poganin Witold nie bez myśli wczoraj wybrał się tak ze psy, aby z nim spotkać się na drodze. Mówili z sobą długo, a nikt ich podsłuchać nie mógł. Wczoraj czasu uczyty Witold odciągnął go od stołu i żywo coś z sobą rozprawiali. Któż wie? Zdrada jaka niepocziwa gotować się może.

— Przebaczcie, Miłość Wasza — odezwał się, pokornie kłaniając Bobrek. — Semko teraz nie porwie się do niczego, bo o własnym losie myśleć musi. I na to, co dla siebie czynić ma, sił nie starczy.

— Tak by się zdawało — przerwał Czolner — a jednak wczorajsze ich kumanie się zbyt uczynne jest mi podejrzanym. Człowiek ten, to wąż, co się może z rąk naszych wyśliznąć i pierś, co go ogrzała, pokąsać.

Wielki mistrz stał zadumany.

— Pojedziesz za Semkiem do Płocka — rzekł — potrzeba śledzić każdy krok jego. Janusz ma za sobą siostrę Witoldową, mogą jej użyć do porozumienia się z Jagiełłą. Staraj się przy dworze

mazowieckim pozostać, ofiaruj kanclerzowi usługi darmo, Zakon ci wynagrodzi. Przez Pelcza i pocztę rybaczą co tydzień mi donosić trzeba, co się tam będzie działo i gdzie się ksiązę obraca.

— Bartosz z jego ludźmi miał na Kalisz iść niezwłocznie — rzekł Bobrek.

— Z oka ich nie spuszczać — powtórzył wielki mistrz z naciskiem. — Zapisuj, kto do niego przyjeżdżać będzie, kogo i dokąd będą wysyłali.

Mówiąc to mistrz już przygotowaną na stole kaletkę z pieniędzmi podał stojącemu w proggu Bobrkowi, który rękę jego ucałował z wdzięcznością.

— Ksiązę za kilka godzin wyjeżdża stąd do Torunia — zakończył mistrz — staraj się go wyprzedzić.

Już odprawivszy go Czolner, jakby sobie coś przypomniał, zawołał:

— Kanclerz ksiązęcy, wiesz, jaki jest? Pobożny? chciwy? próżny? Czym go sobie ująć można?

Bobrek namyślał się krótko.

— Chciwym nie jest — rzekł — próżności też w nim nie widać zbytniej, ale w księgach się miłuje i pobożny bardzo.

— No, ksiąg mu nie damy — rozśmiał się Czolner — za kosztowny to dar, ale relikwie przyjmie pewnie z wdzięcznością.

— Droższe to niż księgi! — wykrzyknął, wzdychając, Bobrek, który jak wszyscy niezmierną do relikwii przywiązywał cenę.

Uśmieszek nie dostrzeżony przesunął się po bladych ustach Czolnera.

— Idź — dodał — nie ociągaj się z podróżą! Niech Bóg prowadzi!

Dał mu jeszcze rękę do pocałowania i Bobrek spiesznie się wysunął. Rad był z siebie i powierzonego mu posłannictwa, które się dobrze z charakterem jego i naturą zgadzało. Podśluhać, podpatrzeć, odgadnąć, wykryć coś zatajonego, sprawiało mu taką przyjemność, jak jamnikom dokopać się w jamie lisa lub borsuka.

Dniało zaledwie, gdy nie postrzeżony klecha, wiodąc za uzdę konia, wysunął się z zamku na miasteczko, a stamtąd puścił do Torunia. Gdy Semko milczący i chmurny przez drogę wrócił do Płocka, a kanclerz z radością znalazł się znowu w swojej izbie z księgami, do których nawykł, w zacisznym kątku, najmilszym dla niego, zdziwił się nieco, widząc tu znowu zjawiającego się pokornego klechę, który natrętnie się do pracy zalecał.

Zbiedzonego chudzinę Bobrek doskonale udawać umiał.

— Miłość Wasza — rzekł, chwytając łapczywie i całując ręce kanclerza — przebaczysz mi

biedakowi, że podziąć się gdzie nie mając, nigdzie nie znajdując roboty, znowum się tu przybłąkał, przez miłosierdzie prosząc o jakikolwiek kątek. Gotówem darmo pisać.

I ciągnął dalej, nie dając księdzu odpowiedzieć:

— Nie może to być, aby tu w klasztorze albo gdzie u mnichów w pobliżu nie było Biblii albo mszału, agendy¹³⁸ lub Ewangelii. Ja to wszystko potrafię, pomóżeli Bóg, bez omyłki przepisać, zarubrykować czysto, nawet litery wielkie przemaalować i wyłocić. Niech tylko Miłość Wasza da pargamin, minię¹³⁹ i inkausty¹⁴⁰, za kawałeczek chleba pracować będę.

Wielka to była pokusa dla kanclerza, ale na zamku klechy pomieścić nie chciał, a w klasztorze niełatwo było. Bobrek, jakby to zgadł, zaofiarował się w mieście gdzie sobie komórkę znaleźć. Uśmiechało się to księdzu, który strawę, co było potrzeba do pisania, a w dodatku grosz niewielki dać był gotów. Nie znając dobrze skryptora, drogiego pargaminu ważyć nie chciał, ale papier dać był gotów.

Ułożono więc tego dnia, że część dekretaliów miał Bobrek przepisywać i do czasu przy dworze wisieć.

Oprócz tego ofiarował się Bobrek modlitewki na pargaminie dla dusz pobożnych do noszenia na piersiach, bardzo skuteczne, egzorcyzmy, błogosławieństwa i inne drobnostki, ewangelie cztery do zakopywania w miejscach, które od gradu i klęsk zachować chciano, prędko i czysto sporządzać kanclerzowi. Zaręczał, że nawet różne inkausty robić potrafi, nie tylko czarny, *rubrum*¹⁴¹, ale zielony i niebieski.

Kanclerz z tego łatwego nabytku amanuensa¹⁴² był rad, a przypisywał go temu wypadkowi, że w Wielkiej Polsce wojna rozpędzała spokojnych ludzi, a w Krakowie z Niemiec dosyć kaligrafów napływało.

Bobrek komorę sobie zamówił u Pelcza, który znając powołanie i temperament swojego lokatora, choć szanował wielce niebezpiecznego człowieka, dla siebie i dla — córki zarówno obawiał się go. Odmówić mu było niepodobna, rozkazy szły z góry, skarga Bobrka byłaby wielce szkodliwa, który jako półbrat Zakonu pieniężny zasiłek pobierał.

Semko takim powrócił do Płocka, że Błachowa i Ulinka wybiegłszy witać go przestraszone zostały. Stara posądziła go, że chorym był, lepiej odgadujące dziewczę zrozumiało zaraz, że choroba leżała na duszy. Nie badała go przy matce, bo wiedziała, że przy niej nic nie wydobędzie z niego. Sam na sam spodziewała się dowiedzieć o tajemnicy. Wiedziały obie niewiasty, że pieniądze pożądane kanclerz przywiózł z sobą i oddał je podskarbiemu. Umowa więc stanęła. Czasowe poświęcenie Wizny nie tłumaczyło tego smutku, rozdrażnienia i niecierpliwości, jakie Semko okazywał. Ulinka, znająca go najlepiej, czytała w nim jak w własnej duszy, czuła, że się coś stać musiało, z czym on taił się lub wstydał wyznać.

Późnym wieczorem, gdy Semko miał już kłaść się na spoczynek, uchyliła się zasłona. Ulinka matce wnijść nie dopuściła, sama przyszła do niego. Jeżeli miał się zwierzyć z czym, przed nią tylko samą mógł to uczynić. Znalazła go w krześle nad stołem, łokciami spartego za nim, z głową w dłoniach.

Podniósł ją, gdy weszła, a ona, zbliżywszy się powoli, uderzyła go po ramieniu i pogłaskała po głowie. Biała jej dłoń przesuwała się z upodobaniem po bujnych zwojach ciemnych kędziorów młodzieńca, który ku niej się obrócił.

— Co tobie? — zaczęła Ulinka. — No, mów. Cięży ci coś? Człowiek póki nosi w sobie słowo tajnie, ono go dusi. Wiesz, że Ulina ciebie nie zdradzi, a choć rozumu nie ma, czasem odgadnie sama nie wie jak, co tobie potrzeba.

— No, mów — powtarzała ciągle, głaszcząc mu włosy. — Umyślnie matce tu iść nie dałam, bo ona zaraz stracha się, płacze i narzeka. Mnie wszystko zwierzyć można, padnie jak kamień w studnię.

Semko namyślał się. Wstyd mu było do rady wziąć babę, zwierzyć się dziewczynie. Ale tak był nawykł nic przed nią nie taić, tyle razy śmiało i roztropne dziewczę pomogło mu małym a jędrnym słowem, że wstał nareście, niespokojnym tylko okiem patrząc ku drzwiom, gotów do wyznań.

Ulina uderzyła go jeszcze po ramieniu, uśmiechając mu się.

— Nie bój się — rzekła — matka nie przyjdzie, a podsłuchiwać ona się nie waży. Wie, że tobie na duszy ciężko, a nie ulży, aż się zwierzysz Ulinie. Mów, sokole mój, coś ty za kamień przywiózł od tych zbójów niemieckich!

Semko się obejrzał dokoła i ręce załamał.

— Oj, kamień! — zawołał. — Prawda, że kamień mam na piersi, ale nie oni mi go narzucili.

Zniżył głos. Ulina zbliżyła się, oczy w niego wlepiając, które się rosnać ciekawością i niepokojem zdawały.

— Spotkałem tam u nich litewskiego księcia Witolda — rzekł cicho.

Dziewczę głową skinęło.

— Wiem, wiem — rzekło — mówili, że mu ojca zabito i poszedł do Niemców przeciw swoim.

— Tak — potwierdził Semko — poszedł ci do nich, ale z nimi wytrwać nie może. Tęskno mu do swoich, zaklął mnie na wszystko, abym na Litwę jechał do Jagiełły, zgodę mu z nim zrobić.

Dziewczyna, słuchając, brwi marszczyła i zawołała:

— Ty? Na Litwę? Ależ oni tobie teraz wrogami! Sam mówiłeś, zęby ostrzą tylko, aby wpaść do nas i pustoszyć.

— Nie będą mi wrogami, gdy ich pogodzę — odparł Semko. — Jagiełło potrzebuje zgody, aby z Niemcami wojował. Wdzięcen mi będzie. Dałem słowo, jechać muszę!

Ulina się za głowę pochwyciła i bystro spojrzała na stojącego Semka.

— Co nam babom takie sprawy sądzić? — odezwiała się. — Ja nie wiem nic, ale strach mam wielki. Jechałeś do Niemców, drużyć się z nimi, pieniędzy u nich pożyczać, a w ich domu, pod ich boki namawiałeś się na nich! — Skrzywiła się pogardliwie i namarszczyła. — Nie powinienesz być robić tego! Nie! — rzekła krótko.

— Nie mogłem inaczej! — zawołał Semko. — Napadł mnie Litwin, temu człowiekowi nikt się nie oprze. Już o tym mówić nie ma co. Stało się. Dałem słowo, pojedę na Litwę, pojedę, a jechać tak muszę, aby żywa dusza nie wiedziała, gdzie ja był. Kogo wziąć? Komu się tu zwierzyć? Kto poprowadzi? A tu każdy dzień pilny. Bartosz nadciągnie...

Semko, mówiąc, chwycił się za głowę i chodził żywo po izbie. Słów jego urywanych słuchało dziewczę, coraz smutniej, zadumane.

— Oj, ty, ty! — poczęło z wolna, wodząc za nim oczyma. — Niemiły ci był spokój w domu? Prawda, ja sama głupio mówiłam, abyś się starał i dobijał o koronę, a teraz strach mnie objął. Korona! Korona! Daj Boże, aby ona nie taka była, jaką Chrystus Pan ma w kościele na krzyżu, spod której mu krew płynie!

Ulina westchnęła, lecz miarkując, że już postanowionego odwrócić nie potrafi, zamyśliła się nad tym, co doradzać, aby jego i siebie uspokoić. Z wolna zbliżyła się do Semka.

— Masz ty rozum swój — rzekła — ale i babski zda się. Na dworze u ciebie przecie, u koni, nie jeden, ale kilku jest Litwinów niewolników, którzy ci dawno służą wiernie.

— Kaukis! — podchwycił żywo Semko. — Kaukis z nich najlepszy.

— Kaukis i drugi jaki się znajdzie — mówiła Ulina. — Pojedziesz do Czerska, jego i kilku pewnych ludzi, co gęby umieją trzymać zamknięte, weźmiesz z sobą. W drodze każesz im się do Wilna prowadzić, a milczeć będą musieli, gdy im szubienicą pogrozisz.

Semko zamilkł, rada była dobra, ale tego dla niego nie dość jeszcze było. Nie mógł się puścić bez poważniejszego jakiegoś towarzysza i pośrednika, który by znał Wilno, dwór Jagiełły i otaczających go ludzi. O Jagielle różne wieści chodziły. Jedni go głosili okrutnym, drudzy podejrzliwym i chytrym, wszyscy dosyć nieprzystępnym dla obcych. Nawykłym był Semko, jak inni książęta, w sprawach ważniejszych nie czynić nic bez porady i pomocy duchownych. Semko chciał też mieć z sobą kogoś z nich i namyślał się, czyby nie należało zwierzyć się z tym kanclerzowi.

Ulina, widząc go tak zadumany, zamilkła, ale wzrokiem śledziła każde poruszenie twarzy, która nic ukrywać nie umiała.

— Kaukis — przebąknął Semko po długim przestanku — za przewodnika dobry, ale tego za mało. Kogoś jeszcze muszę mieć...

— Szukajże sobie sam — rzekła z westchnieniem Ulina — bo ja wszystkich się boję. — Zapatrzyła się potem w ogień długo, ręce założyła na piersi, przechyliła głowę i szeptała: — O, z wami, z wami, tak jak z sokołami! Wy, sokoły! Nosi człowiek, nosi na rękach, karmi, hoduje, chucha,

pieści, a puści raz w pole, poleciał i nie wróci może do ręki...

W oczach się jej łzy zakręciły.

— Taki zawsze koniec z nimi i z wami!

Semkowi, spojrzawszy na nią, żal się jej zrobiło. Przystąpił, objął za szyję i w czoło pocałował, a Ulina, milcząc zarzuciła mu ręce na ramiona.

W chwili tej błogiego zapomnienia się Błachowa, która w ciągu rozmowy trzymała się z daleka, milczeniem zaniepokojona, uchyliła zasłonę, zasepiła się zobaczywszy ich i weszła pokaszlując. Nie spłoszyło to bynajmniej Semka ani Uliny. Z wolna podniosła głowę ku matce, jakby z wyrzutem za przerwana chwilę szczęścia, a księżę, raz jeszcze pocałowawszy ją w czoło, odstąpił.

Błachowa nie powiedziała nic, zbliżyła się do ognia, wzięła polano, zagarnęła węgle, przyłożyła drzewa i wstając odezwała się:

— Ano, niedługo koguty zapieją!

Dziewczę zbliżyło się do ucha Semkowi i szepnęło mu:

— Radź się kanclerza. W studnię łatwo wpaść, ale z niej wyleźć?

To mówiąc i nie spojrzawszy już nawet na matkę, ręką odrzuciła długie kosy i wyszła z izby.

Błachowa, jak gdyby przybyła tylko dla zrobienia porządku w sypialni, poprawiła skórzaną poduszkę, uderzyła ręką o posłanie, spojrzała na stojący u łoża dzbanek, na ogień, na zadumanego Semka i w milczeniu za córką pociągnęła.

Nazajutrz rano po mszy wezwał do siebie księżę kanclerza, ale nim mówić z nim począł, niespokojny, zażądał uroczystego zobowiązania się do milczenia.

— Wasza Miłość wiesz — odpowiedział zdziwiony kanclerz — że kapłan do niego powołaniem swym jest obowiązany.

Znał on Semka od dzieciństwa, że nie umiał i nie mógł tajemnicy w sobie dochować ani się z nią obejść, będąc popędliwym.

— Mój ojciec — odezwał się księżę siadając — nagan mnie, jeśli zasłużyłem, ale mnie nie odwodź od tego, co postanowione. Mówiłem z księciem Witoldem na osobności, zażądał ode mnie, abym jechał do Jagiełły i wyjednał mu z nim zgodę, chce porzucić Krzyżaków.

Kanclerz ręce załamał.

— Wy? Jechać do Jagiełły? Do Wilna?! — zawołał. — Ależ się to nie skryje, cały świat o tym wiedzieć będzie, Krzyżacy najpierwsi, bo oni słyszą, jak trawa rośnie. A, i mścić się będą!

— Mówiłem już wam ojczy — gwałtownie wybuchnął Semko — uczynić to muszę! Postaram się też, aby o tym nikt nie wiedział, ale przed wami taić nie chciałem. Wyjadę wrzekomo do Czerska, z drogi do Wilna nawrócę.

Kanclerz stał oniemiały z rękami złożonymi jeszcze, Semko wzrokiem się dopominał odpowiedzi.

— A więc jest to już postanowione? — spytał.

— Słowo dałem i korzyść dla siebie w tym widzę — odparł książę. — Jagiełło gniewny jest, odgryza się, wrogiem mnie zowie. Ja pokoju potrzebuję i dla siebie go wyjednam również. Radź mi, kogo w podróż mam wziąć z sobą.

— Sam bym gotów, bo się przy opiece Bożej nie lękam nikogo i niczego — rzekł ksiądz spokojnie — ani męczeństwa od niewiernych dla chwały Bożej; ale ja Litwy nie znam i wam nie przydam się na nic.

Zadumał się skłopotany kanclerz.

— Są w Wilnie franciszkanie — rzekł — choć się tam kryć muszą. Oni z Hawnulem¹⁴³ starostą, który u Jagiełły prawą jest ręką i doradcą, w ścisłych stosunkach, to ich dobroczyńca. Od naszych braci świętego Franciszka listy któregośkolwiek konwentu mieć potrzeba. O to łatwo, to najlepsze. Innego nic nie widzę.

— Zamiast listów czemu by jeden z nich nie dał się namówić, aby mi towarzyszył? — odparł Semko. — Byłoby to najdogodniejsze, ale czas krótki, spieszyć muszę...

Kanclerz spytał smutny raz jeszcze:

— Nieuchronne to więc?

Semko z oburzeniem i niecierpliwością dał poznać ruchem popędliwym, że mówić nawet o tym nie godzi się.

— Dwa dni co najmniej książę poczekać musisz — żądał kanclerz — jadę natychmiast, listy lub zakonnik przywiozę.

To mówiąc ze smutną twarzą opuścił komorę książęcą.

W izbie swej, do której wszedł chmurny, z głową spuszczoną, z modlitwą na ustach, bo w podobnych razach zawsze się do niej uciekał, zastał pilno kaligrafującego Bobrka, który trzema inkaustami litery przyozdabiał. Ten, chociaż mocno zajęty rubrykowaniem, wyciąganiem delikatnych linii, punktowaniem i ornamentacją, miał na oku ruch każdy. Spozstrzegł już, że kanclerza powoływano do księcia i z jaką od niego twarzą powrócił — ale niczym by to było, gdyby zaraz sani i koni nie zażądał bardzo skwapliwie, nie opowiadając się, ani dokąd jedzie, ani kiedy powróci. Bobrek we własnym interesie kaligraficznym chciał być o tym poinformowanym, ale zagadnięty kanclerz odpowiedział mu dwuznacznie, że zapewne rychło powróci. Zostawił mu papier, inkaust, chłopca do usług, no — i dworską strawę swoją.

Klecha sądził, że w dziedzińcu około ludzi i koni dowie się czego, i przypadkiem zmyślił pilną potrzebę, stanął za węglem, słuchał, ale z niczym powrócił. Ufał w to tylko, że za powrotem ksiądz się z czymś przecież wygada. Najwięcej go niepokoił pośpiech wielki i tajemnica wyboru w drogę, o której na dworze nie byli przywykli, bo tu się wszystko jawnie czyniło i trąbiło na cztery wiatry.

W czasie podróży do Malborge nie było w Płocku młodego Henryka. Wyprawiono go na łowy do dóbr jego, a za oczyma w lasach zawsze długo przebywać lubił — i nie powrócił, aż teraz, gdy już Semko był w domu. Na probostwie zaraz służba mu doniosła, że brat jego z kanclerzem podróż jakąś odbył i że z niej przywieziono pieniądze.

Dla Henryka, który nigdy ich nie miał, a zawsze pożywał, była to wiadomość przyjemna; spodziewał się coś dostać od brata. Tajemnica wycieczki do Malborge nie była tak ściśle zachowywana, aby się nie domyślano jej celu. Mówić tylko zbyt otwarcie nie śmiano.

Tegoż dnia, za ledwie wypocząwszy, Henryk z hałasem i zamaszystością wpadł do brata.

— Ja na łowy po mięso jeździłem — zawołał wchodząc — a wy, miłośnicy bracie, pono polowaliście na pieniądze i ubili sporo grzywien. Zaprawdę i mnie by się one zdały!

Semko spojrzał nań kwaśno.

— Tymczasem się obejdiesz, bo ja dla ciebie ich nie mam.

— No, więc pewno na wojnę! — począł Henryk, rozsiadając się z przybraną powagą i rozpierając się szeroko. — No, a kiedyż na wojnę?

— Ja o żadnej wojnie nie myślę — ostro odrzucił Semko. — Co ci w głowie? Jaka wojna? Za parę dni do Czerska muszę, do brata...

— A...! To i ja z wami! — zakrzyknął Henryk. — Dawnuta ma na dworze ładne Litwinki, a te się mojej księżej sukni nie boją i nią nie brzydzą.

— Daj mi spokój, jedź do nich sam, kiedy ci smakują, ja podróż inaczej niż ty odbywam, pojedę bez ciebie.

— Jak to? jak to? — obrażony przerwał Henryk. — Cóż to, ja tego co ty nie wytrzymam? Sił nie mam, czy się pieszczę? Pokażę, że więcej potrafię niż ty.

— Ja w podróży towarzyszków nie lubię — zamruczał Semko. — To moja natura.

Henryk coś zaśpiewał pod nosem.

— Nie po bratersku się ze mną Wasza Miłość obchodzi — rzekł kwaśno.

Ale w tejże chwili twarz zasepiona się rozjaśniła. Spozrzegł na stole złocistą czarę, którą mistrz zmusił księcia wziąć do użycia w podróży. Piękna była jak cacko — chłopak pochwycił ją i bawił

się a oglądał jak dziecko.

— O, ho! A toż skąd? — zawołał. — Nigdy jej tu ani w skarbcu nie widziałem. Słowo daję, zdałaby mi się do kościoła albo i do własnej kieszeni, powinieneś mi ją dać, gościńca!

Spojrzał na Semka, który zbyć się go chcąc, ramionami ruszył i rzekł sucho:

— Weź ją sobie.

Henryk się ucieszył mocno, nie puścił już jej z rąk, przypatrywał się wypukłej robocie, rysowaniu, cieszyły go piękne dwie głowy zwierząt z obu stron poprzyczepiane. Wiek młody odezwał się w chłopcu, który starszego udawał, niż był. Chował ją za suknię przyglądając się, czy bardzo będzie widoczną, wyjmował, stawiał przed sobą, patrzył z daleka, przyzierał się z bliska, ważył na rękę, usiłując odgadnąć, czy była pozłocista, czy złota. Aż na dnie jej zobaczył w końcu krzyż Zakonu i cesarskiego orła. Zdradzało to pochodzenie kubka. Henryk uśmiechnął się, ale nie chwając swym odkryciem.

Przybycie tego brata, napastliwe jego narzucanie się za towarzysza podróży, ciekawość — niewygodnymi były dla Semka, który się przed nim ukrywać potrzebował. Postanowił więc tak urządzić, aby go znowu myśliwcy dworscy na dłuższy czas zabrali z sobą.

Parę dni upłynęło na oczekiwaniu powrotu kanclerza, który znikł tak, że nawet Bobrek dowiedzieć się nie mógł o celu jego podróży. Nadaremnie wysiłał się z badaniem ludzi i wyciąganiem wniosków — nie dochodził do niczego...

Trzeciego dnia z południa, gdy po obiedzie postnym siedział znów przepisując i iluminując litery, bo to było mu miłszym niż odczytywanie tekstu, który nie zawsze dlań był zrozumiałym, zatoczyły się szerokie sanie przed izbę kanclerską i z nich wysiadło dwie osoby, które do izby weszły. Jedną z nich był sam gospodarz, drugą mnich w sukni zakonu świętego Franciszka, w którym Bobrek poznał, na pierwszy rzut oka, owego na gościńcu w gospodzie pustej spotkanego, co tak wesoło suchym chlebem z solą i wodą się posilał.

Wesoły i teraz staruszek, wlepiwszy w niego oczy, zdawał się także go przypominać.

Ale po co i skąd tu przywieziono zakonnika, było dla Bobrka drażniącą zagadką. Spodziewał się ją rozwiązać, rozgadując się z braciszkiem, którego kanclerz, idąc do księcia, sam na sam z nim zostawił. Korzystając z tego, Bobrek poszedł się przygrzewajacemu u ognia przypomnieć staruszkowi, z tym większą pokorą i serdecznością, im bardziej szło mu o to, aby go zjednął sobie.

Mnich zaraz go przypomniał, pozdrowił wesoło, zapytując, co by tu robił, na co Bobrek odpowiedział, z wielkim zapalem malując szczęście swoje, iż mu Pan Bóg pobłogosławił i dał go w ręce tak mądrego, miłosiernego, świętego człowieka, jakim kanclerz był. Wychwalał go w nadziei, że to dojść może do uszu jego. Potem zręcznie zagadnął staruszka, co on tu porabia i jak się też w Płocku znalazł.

— A cóż? — rzekł z prosta zakonnik. — Kanclerz, w drodze mnie spotkawszy, powiózł mnie tu

przez miłosierdzie, abymi trochę starym kościom wypoczął.

Niespełna wierzył temu Bobrek, ale mu badać więcej nie wypadało, zamilkł, obiecując sobie śledzić najmniejszy ruch podejrzany na książęcym dworze.

Pomocniczy środek niespodziewany nastreczył się do tego, gdy księżę Henryk, który w miejscu z trudnością mógł usiedzieć, a ciągle zabawki i roztargnienia szukał, tegoż dnia wpadł do kanclerza, zastał klechę przy robocie i z kilku odpowiedzi podobał go sobie. Zabrał potem do swego mieszkania pod pozorem łątania jakiegoś rękopisu i zatrzymał na gawędkę.

Henrykowi niewiele szło o tę pobożną książkę poszarpaną, ale z oczów wyczytał Bobrkowi, że mógł mu błaznować i zabawiać go. Ubogi klecha na trefnisiu wcale się dobrze, gdy — chciał, kwalifikował.

Wziąwszy go na probostwo, które podobniejsze było do żołnierskiego dworca niż do mieszkania duchownego, Henryk na próbę puścił się z nim w swawolną rozmowę. Bobrek, choć się lękał i w początku półgębkiem odpowiadał tylko, ośmieliwszy się dotrzymał mu placu. Henrykowi towarzystwo jego podobało się bardzo, kazał mu przychodzić do siebie. Klecha obrachował, że z gadatliwego a nieopatrzego chłopaka łatwo będzie mógł dobyć wiele wiadomości, o które by inaczej trudno było. Pochlebiał więc gładko książętku.

Tegoż wieczora wiedział od niego Bobrek, że się brat kędyś sam do Czerska wybiera czy do Warszawy. Podróż nagła kanclerza, jego powrót z zakonikiem, zamierzona wycieczka do brata Janusza dawały do myślenia klesze, widział w tym jakieś podejrzané konszachty. Gdyby się Semko z Bartoszem z Odolanowa wybrał do Wielkopolski, nie dziwiłby był się temu, ale teraz, gdy mu pilno należało stać na stanowisku — jechać gdzieś w stronę przeciwną? — Bobrek nie rozumiał tego.

Wieczorem przypadłszy do Pelcza, mocno się nad tym zadumał i wygadał przed Niemcem, że na zamku coś się knuje, czego dojść nie mógł. We dwu z kotlarzem próżno sobie głowy łamali.

Nazajutrz wcześniej niż zwykle był już u kanclerza i nie zastał go — odprawiał mszę świętą. Chłopak posługujący, z którym się już poprzyjaźnił, oznajmił mu śmiejąc się, że księżę o brzasku wyruszył z małym poczem nie wiadomo dokąd, a wczorajszy zakonnik do orszaku się przyłączył.

Nie dał po sobie poznać Bobrek, jak go ta wiadomość obeszła, lecz przybity był i zły, iż na próżno śledził, a o celu tej tajemniczej wyprawy nie wiedział nic. Mnich z Wielkopolski mógł najłatwiej służyć za przewodnika do niej, ale Bartosz z Odolanowa i książęcy kopijnicy jeszcze lepszymi w tamtą stronę byli towarzyszami. Semko ich nie wziął z sobą.

Obowiązany donosić wielkiemu mistrzowi, co tu widział i słyszał, upokorzony był bezsilnością swoją. Zasiadł do pisania zły bardzo i rękopism pewnie na tym ucierpieć musiał. Cała nadzieja była teraz w księciu Henryku, ale i ta zawiodła, bo około południa, gdy już i kanclerz był w domu przypatrując się pisaniu, wpadł z hałasem młody księżę.

— Co to znaczy, księżę kanclerzu? — wołał od progu — Semko się jak złodziej wykradł z zamku. Dokąd? Po co? Wczoraj plótł przede mną, czemu nie wierzę, że miał jechać do Czerska? Dziś go już

nie ma! I starego zakonnika wziął, chyba aby mu po drodze pomagał odmawiać pacierze! Jaki pobożny się zrobił!

Kanclerz dał mu spokojnie wykrzyzczyć się i wyburzyć, a potem odpowiedział z flegmą wielką:

— Przecież księciu Semkowi wolno jechać, kędy mu się żywnie podoba? Przede mną ani przed nikim tłumaczyć się nie potrzebuje. Pojechał widzieć się z bratem czy na łowy, cóż to tak dziwnego?

— Nieprawda, nieprawda! — zaburczał Henryk. — Na łowy brać z sobą starego zakonnika, coście go wy umyślnie wczoraj tak pilno przywieźli? Z bratem widzieć się nie potrzebował, bo Janusz tu niedawno był. Pojechał gdzieś na jakieś inne łowy, ale ja będę o tym wiedział, choć przede mną taicie — zakończył, śmiejąc się, młody książę.

Kanclerz z powagą odszedł nie mówiąc nic.

Henryka bolało to najmocniej, że się z nim jak z dzieckiem obchodzono, a z niczym zwierzać nie chciano. Pobiegł na zwiady, a gdy Bobrek po skończonej robocie stawiał się na probostwie, znalazł go wesołym i uśmiechniętym.

— Semko musi coś dla swej przyszłej korony knuć — począł paplać przed klechą. Dokąd pojechał, nikt nie wie, ale że nie do Czerska, toć to... to pewna... Puścił się w tamtą stronę, aby ludzi bałamucić. Służby z sobą wziął niewiele i dobrał takich, z którymi jak z niemowami rozgadać się trudno. Same niewolniki litewskie. Przecie ja tajemnicy tej spod ziemi dobędę.

Dla Bobrka sama ta wiadomość, że Semko wziął Litwinów, była niespodzianym promykiem rozjaśniającym nagromadzone mroki. Lecz zmilczał ostrożnie. Z rozmowy z zakonnikiem na gościńcu zapamiętał wzmiankę, jaką brat Antoniusz uczynił o bytności swej wśród niewiernych na Litwie. Wszystko to razem użyte budziło domysł, że Semko mógł się na Litwę wybrać, ale co by tam miał poczynać, Bobrek nie domyślał się.

Tegoż wieczora listem wielki mistrz o tajemniczej podróży był zawiadomiony.

Rozdział X

Jak po dziś dzień tak i w owych czasach zima na północy, mimo srogości klimatu, była porą najdogodniejszą do wypraw i podróży. W ciągu tych miesięcy, gdy rzeki stawały, błota marzły, ziemia tężała, a najniebezpieczniejsze miejsca stawały się przez to niemal bezbronnymi, krzyżackie kupy wpadały najczęściej na litewskie sioła i osady. Litwini tak samo zimą odwdzięczali się, najeżdżając posiadłości Zakonu.

Dla niewielu wędrowców przesuających się przez te kraje, zawsze z obawą wielką, bo od rozbojów po gościńcach żadne listy książęce obronić ich nie mogły, zima miała swe dogodności, ale i niebezpieczeństwa. Śnieg zdradzał ich, gdyż na nim dla wprawnego oka wypisywało się jasno, jak słowo na pergaminie, wszystko, co stanowiło podróżnych siłę, obyczaj, drogi kierunek, a nawet ich pochodzenie. Śledząc te piętna człowiek, który to pismo odczytywać umiał, wiedział, ile i jakich koni szło w orszaku, wozów lub sań i jacy w nich jechali ludzie. Odległości między noclegami a popasami, obozowiska opowiadały im, czy ciągniono spiesznie czy powoli, ładownie czy lekko. Z ognisk mogli obrachować ludzi, ze żłobów i wbitych do nich kołów lik koni. Nie dostrzeżone dla mniej wprawnych oczu znaki drobne dozwalały ściśle naprzód obrachować i przewidzieć, kogo miano napaść i jak silną mogła być obrona. Zacierać za sobą ślady te niepodobna było. Podróżny więc zimą wystawionym był na większe niebezpieczeństwo.

Z wyjątkiem kilku prostszych gościńców handlowych, dróg latem prawie nie było, tym mniej zimą, gdy je zamarzały grzęzawiska i wody skracały. Zmuszeni podróżować puszczały się albo na oślep w pewnym kierunku, który gwiazdy i kora drzew oznaczała, lub biorąc po drodze przewód z ludzi znających kraje, które przebywać mieli, szli za nimi. Na dostanie po drodze pożywienia dla ludzi i koni niewiele rachować było można, musiano z sobą wieźć zapasy, oszczędzać je, a bardzo często noclegi i popasy pod gołym niebem odbywano. Klecono szałas, jeżeli namiotków nie było, szukano zacisznego kąta, przypierano do wodopoju, wypasu lub stogów. Nie bardzo naówczas szanowano tu cudzą własność i konie żywiły się sianem cudzym, gdy innego nie było. Przypadli właściciel, opłacono mu się lub do bójki przychodziło, jeżeli orszak podróżny miał siłę po sobie. Tak samo i przewód¹⁴⁴ brano nieraz groźbami, a zmuszony prowadzić przy pierwszej z ręczności uchodził i często zostawiał podróżujących na łasce własnego ich rozumu. Lecz i bez znajomości kraju kto podróżował wiele, umiał sobie dać rady w całkiem obcej okolicy.

Za przewodników służyły wodociecze, ślady ludzi i ich pracy¹⁴⁵, rodzaje drzew, pozostałości uprawy ziemi.

Z tymi trudnościami podróżowania wszyscy byli oswojeni, z góry do nich przygotowani, a zasposobieni we wszystko, co w złym razie mogło ratować.

Kaukis (brodaty karzeł), niewolnik Litwin, i młodszy od niego, także jeniec wojenny Wiżunas, należeli do szczupłego orszaku Semka, który tak rano z Płocka wybiegł, iż nikt prawie nie dostrzegł, w jakim się puścił kierunku. Gdyby kto nawet był podpatrzył, iż w stronę ku Czerskowi znikli w lasach, nic by to nikogo nie nauczyło.

Litwini obaj wcale nie wiedzieli, do czego będą użyci, Dziwił wszystkich skład książęcego orszaku. Wybrani byli ludzie najśmielsi, najmężniejsi, ale do łowów nie bardzo zdadni. Psów nie kazał Semko brać. Broń i ubiór nie zdradzały książęcego orszaku. Dziwnym też wśród dworu wydawał się stary zakonnik, który wdział na się zwykłą opończę i odznaczał się tylko tym, że broni nie miał zadnej, bo nie chciał jej przypasać, choć książę go o to prosił; tłumaczył się tym, że noszenie jej było mu wzbronione, tak samo jak pieniędzy.

Wjechawszy do lasu, książę wskazał sam, w jakim kierunku ciągnąć mieli, a do popasu słowa prawie nie wyrzekł do nikogo. Stary zakonnik jechał u jego boku, odmawiając pacierze po cichu.

Na nocleg przybyli do wsi książęcej, gdzie wedle obyczaju dawnego natychmiast im wszystkiego, co dla ludzi i koni było potrzebnym, dostarczyć musiano. Równie jak w Polsce, na Mazowszu stare to prawo, choć ograniczone i znoszone, trwało uparcie, a panujący wszędzie musiał być podejmowany. Ludzie książęcy często tego nadużywali i z wiosek na widok ich rozbiegali się popłoszeni mieszkańcy, lecz tym razem mała gromadka niewiele wymagająca, nie ustraszyła nikogo.

Dla księcia opróżniono chatę, a stary zakonnik znalazł też przy nim posłanie. Na tym noclegu z wielkim postrachem Kaukisa i Wiżunasa obu ich do Semka wezwano.

W przeciągu dłuższego swojego pobytu na Mazurach i w Płocku oba oni z dala tylko widywali starego i młodych książąt, nigdy jeszcze nie mówili z nimi. Kaukis, który tu zestarzał, mało co się mowy nauczył, o ile był pozornie ociążały i nierozgarnięty, o tyle w sobie utajonej przenikliwości i rozumu. Nie popisywał się z nimi, tak jak niejeden lęka się odkryć z zamożnością, woląc uchodzić za głuptaszka. Wiżunas, młodszy, już się był na pół w Mazura przeistoczył. Chłop silny, zręczny, wesół, żwawy, nie bardzo uskarżał się na swoje losy.

Kaukis, noszący to nazwisko dawane na Litwie dzikim, brodatym karłom leśnym, o których różne krążą podania, krępy, mały, silny był, ale niezgrabny. Mowę jego ten tylko mógł zrozumieć, kto był do niej nawykły. Mruczał więcej, niż mówił, a czynił to dlatego może, aby go do gadania, którego nie lubił, nie zmuszano. Sam z sobą będąc szemrał coś ciągle, ale dla ludzi niemym być wolał. Na pozór Wiżunas przechodził go nieskończenie bystrością, rzutkością, rozumem, ale w istocie brodaty karzeł śmiał się z niego i miał go za płochego roztrzepanego nicponia. Gardził nim szczególnie dlatego, że się dał przerobić na Mazura, gdy on, zamknawszy się w sobie, jak był, tak pozostał Litwinem.

Wprawdzie, gdy przed laty w niewolę był wzięty, ochrzczono go i nazywał się chrześcijaninem, a gdy kazano, chadzał do kościoła, ale wierzył potajemnie w stare bogi i dopełniał różne zabobonne obrzędy, nie rzucając ich.

Zawołani obaj do księcia, zaledwie do izby weszli, w której Semko się znajdował, popadali przed nim na twarze bijąc czołami o podłogę, i nierychło się podniósłszy czekali na rozkazy.

Książę zwrócił się naprzód do Kaukisa, bo mu go polecono, ale rozmowa z bełkocącym niewyraźnie tak była trudna, że za tłumacza do niej Wiżunasa wziąć musiał.

Kaukis zapytany, czy do Wilna bezpiecznie doprowadzić potrafi, tak aby wielkie pomijając gościńce, lasami się na prost przedarli, nie zwracając oczów na siebie, tak się zdumiał i wylął, że

długo słowa wyrzec nie mógł. Koniec końców, mimo wielu lat niewoli, on i Wizunas, byle się ku Niemnowi dostali, co nie było trudnym, obiecywali dalej nad Wilię doprowadzić.

Niespodziana nadzieja zobaczenia kraju własnego tak poruszyła Kaukisa, iż drżał cały. Semko obiecywał obu, jeżeliby bezpiecznie z nimi dojechał do Wilna i nazad do granicy mazowieckiej powrócił, uwolnienie bez okupu.

Wizunas przyjął to wdzięcznie, ale z daleko mniejszym wzruszeniem niż Kaukis, który ogromne, grube rączyśka podniósł do góry i wydał jakiś ryk radosny.

Wszyscy się śmieli z biedaka.

Zapomniał się do tego stopnia z radości wielkiej, iż przysięgać począł na Perkunasa¹⁴⁶ i na inne bóstwa swoje, bodaj życie dać, a księcia doprowadzić cało.

Kraj ten który przebywać mieli, cały niemal aż do Wilna był jedną niezmierną puszcza. Lasy, bory, zarośla przeważały w nim; zmieniały się rodzaje ich, różniły drzewa, ale wytrzebionej ziemi stosunkowo mało było. Wszędzie prawie podróżny mógł się przedrzeć nie postrzeżony wśród tych gąszczów i niebotycznych drzew olbrzymich, najstarszych tej ziemi mieszkańców. Moczary i błota, piaszczyste wydmy porośnięte jałowcami, łąki, tu i ówdzie jeziora, przerzynały te bory bez końca. Gdzieniedzie pożar lub burza pokładła je na ziemi, ale tam wnet, spod trupów na wpół przegniłych, pięły się już nowe wypusty, puszczała gęsta młodzież i strzelała ku niebu.

Zimą wszystko teraz było okryte jednym białym całunem, który nieraz drogę czynił trudną i niebezpieczną, pod zaspami śniegu niepodobna było rozeznac nawałów leży, oparzelisk i dołów zdradliwych.

Rozbudzony po długim uśpieniu instynkt pierwotnego człowieka, jakim był Kaukis, wychowany i wykołyszany szumem tych lasów, przychodził z pomocą podróżnym. Wizunas, który się naśmiewał z niego i w Płocku miał się za daleko rozumniejszego, tu zmałał i musiał przed sobą dać pierwszeństwo Kaukisowi.

Mały ów człeczek na niewielkim krępym koniku, na którym siedział, jakby doń przyrósł, jechał ciągle przodem, wciągał w siebie powietrze nozdrzami, rozglądał się, stawał i pokazywał wszystkim drogę. Był jej tak pewnym, że z sobą się sprzeczać nie dawał. Wizunas parę razy przeciwił mu się, lecz odszedł zmyty i upokorzony. Inni też podróżni księcia nie wyjmując, patrzali nań z podziwieniem, nie mogąc pojąć, jak ów głuptyś, którego w Płocku potracano, wyszydzano jak bydlę, w lesie najrozumniejszym był ze wszystkich.

Semko tak był przejęty szaloną wyprawą swoją, której czuł niezmierną ważność, że w myślach zatopiony jechał milczący, rzadko bratu Antoniuszowi przerywając jego modlitwy. Kilkakroć jednak porywający się prawie spod nóg zwierza myśliwca zapalczywego, jakimi wówczas wszyscy byli, skusił do pogoni i rzucenia oszczepu lub strzały. Sam jednak Semko pomiarkował wprędce, iż dla zabawki marnej czasu się nie godziło poświęcać, bo ten był drogi. Zakazano wszystkim puszczać się za zwierzem i sam księżę — dawał mu uchodzić bezkarnie.

Lasy, które przebywali, tak były zwierzem przepelnione, szczególnie w oddalonych od osad uroczyskach i ostępach, iż po kilkakroć w dzień przemykały się przed nimi łosie, żubry, kozły, całe stada świń dzikich, a nocami trzeba się było z końmi dobrze od wilków pilnować. Czeladź książęca ubiła niedźwiedzia i rysiów parę, na noclegi zwierzyny nie brakło. Lecz Semko coraz niecierpliwszy, szczególnie po przebyciu Niemna, nie oglądał się już na zwierza, aby nie miał pokusy.

Kilkodniowy ten pochód, prawie bez widoku wsi i ludzi, które Kaukis omijać się starał, znużył w końcu wszystkich, oprócz cierpliwego ojca Antoniusza. Ten najwytrzymalszym był na wszystko, od dawna zahartowany głodem i chłodem, znosił oboje tak obojętnie, zawsze jedną twarzą i humorem, że młodszy podziwiać go musieli. Śmiałością też wielką przechodził swoich towarzyszy, chociaż za jedyny oręż miał paciorki, a na ustach modlitwę. Semko czuł się już złamanym, gdy na starcu nie widać było najmniejszego znużenia.

Kaukis, równie wytrzymały jak on, zrozumiał to, przypatrując się księciu, że jemu choć jedną noc gdzieś pod dachem potrzeba się było przespać, rozgrzać i spocząć. Z pomocą więc Wiżunasa zażądał pozwolenia na to, aby mógł gdzie w okolicy poszukać gródka albo wioski, lub jakiej numy¹⁴⁷ leśnej, w której by ich na noc przyjęto.

Z popasu dnia jednego, Wiżunasowi dawszy skazówki, któredy miał dalej prowadzić, pojechał sam przodem i znikł wkrótce w lesie. Semko uląkł się później, że może nie powrócić wcale, a Wiżunas nie dałby rady wśród puszczy. Do wieczora trwała ta próżna obawa, gdy w końcu usłyszano znajome hukanie Kaukisa, a po odpowiedzi na nie zjawił się i on sam, pokazując drogę, którą jechać mieli.

Wiżunas chciał go rozpytać, jaki im nocleg obiecywał, ale Kaukis odpowiadać mu nie chciał, bo czasu nie było do stracenia. Mrok zapadał.

Dobrze już ściemniało, gdy podróżni poczuli zapach dymu zwiastujący ludzkie mieszkania. Nie był to ani gródek żaden, ani dwór zamożniejszego bajorasa¹⁴⁸, ale proste trzy chaty osadników u brzegu rzeki. Pod płaszczem śniegu, gdyby nie dymniki, trudno je było nawet rozeznąć o mroku. Siedziały chaty razem z oborami i szopami do nich przylegającymi w ziemi, mało co ponad nią wystając.

Przed jedną z nich stał już oczekujący gospodarz w czapce uszatej i kożuchu, w skórzniach¹⁴⁹ na nogach, z kijem w ręku. Ten, gdy z koni pościadali, powitawszy księcia, wprowadził ich do wnętrza jednej z num, wprzód z niej rodzinę wyprawivszy.

Niewytworny obiecywał się nocleg, chociaż nawykłym do obozowania pod gołym niebem i ten wydał się pożądanym. Numa dosyć obszerna miała w środku kamieniami obłożone ognisko, ławy niskie na kamieniach oparte dokoła, była zaciszną, a choć ludzie się z niej wynieśli, płotem tylko odgradzona pozostała obora, której dla gości opróżnić nie potrzebowano. Mieli więc w sąsiedztwie krowy i woły, parę młodych koników, które łby ciekawie wystawiały zza płotka, i beczącą trzódkę czarnych owiec.

O tej niedogodności potrzeba było zapomnieć i nie zważać na nią. Ksiądz Antoniusz znajdował uśmiechając się, iż to przypominało stajenkę w Betlejemie. Dla Semka i dla księdza posłano siana, a Kaukis z drugiej numy, do której skryły się kobiety i z dala dzwonki fartuszków dziewczęcych a

śmieszki ich słyhać było, przyniósł na wieczerzę mleko, ser, chleb czarny, wędzone mięso i miód w plastrze.

Wszystko to bardzo podróżnym smakowało. Gospodarz, który tylko z Kaukiszem i Wiżunaszem mógł się rozmówić, pokłoniwszy się gościom, pomógł im postawić konie, skrył się do drugiej chaty. Tam wrzawliwie a ochoczo przyjmowano u ogniska, około którego cisnęło się wszystko, dwóch Litwinów z obcych krajów, z niewoli powracających jakby cudem.

Kaukis, niemowa w Płocku, tu z radości odzyskał głos, mówił wyraźnie, a Wiżunasowi często już potrzebnych słów litewskich brakło. Rozpytywano się ich o te sąsiednie chrześcijańskie kraje Lachów i Rusi, o których chodziły tu równie potworne opowiadania jak gdzie indziej o Litwie. Niewiasty, przysłaniając się białymi fartuchami, obwijając namitkami, z bojażnią patrząc na tych Litwinów obcych, przysłuchiwały się z kątów powieściom i wykrzykiwały z podziwu nad tym, co Wiżunas opowiadał.

Cała tam noc spłynęła na gwarze, a Kaukis sobie u dziewcząt wyprosił, aby mu co zaśpiewały. Pamiętał nawet początek jakiejś piosenki, którą usłyszawszy zanuconą, rzewnie zapłakał. Wiżunas śmiał się, temu dusza się radowała. Miał przed sobą nadzieję powrotu, gdy starszy, sierota, mógł tu się przywlec tylko na cmentarze i mogiły.

Nazajutrz rano Semko pierwszy dał znak do dalszego pochodu, a gdy ruszać mieli i gospodarz ich zegnał, podarkiem pieniężnym chciał zawdzięczyć gościnę, ale go Litwin nie przyjął.

Kaukis miał tu czas rozpytać tak dobrze o dalszą do Wilna drogę lasami, pomijając drogi, iż pozostała część podróży znacznie skróconą i ułatwioną została. Śmielej też wedle danych wskazówek mógł prowadzić, odżywiony tym noclegiem, który go odmłodził i pokrzepił. Wiżunas już nie śmiał się z niego.

W miarę jak się ku Wilnu zbliżali, niecierpliwość w Semku rosła. Z dala wydawało mu się to łatwym, co teraz prawie niepodobnym uznawał. Kto wie, jak go miał przyjąć Jagiełło, a nawet czy często na Ruś lub przeciw Krzyżaków wychodzącego zastać mieli w domu. Ważył Semko wiele i trapił się myślami.

Ostatniego dnia, gdy Kaukis zapowiedział, że już byli blisko stolicy, zatrzymano się w lesie, ażeby w dzień biały nie wjeżdżać do miasta.

Brat Antoniusz, który czas jakiś spędził tu w klasztorze swojego zakonu, uspokajał tym, że się on właśnie znajdował w stronie od Trok¹⁵⁰, to jest, skąd przybywali, i że aby się dostać do niego, przedmieść nie było potrzeba przebywać.

Dzień był jeszcze wielki, gdy na wzgórzu nad rzeką rozłożono się dla wypoczynku. Semko rad był, że się już zbliżał do celu. Rozpalono małe ognisko, ludzie się końmi zajęli, gdy w niewielkiej odległości dał się słyszeć róg myśliwski.

Zerwali się wszyscy przestraszeni, gdyż bardzo być mogło, iż w łowach rozmiłowany Jagiełło sam w pobliżu miasta polował. Spotkanie z nim, nie przygotowane, Semkowi na rękę nie było;

natychmiast więc dał znać, ażeby ogień zgaszono i konie dawano, chcąc się skryć w głąb lasu. Pospiesznie biegła czeladź kielznać i juki kłaść pozdejmowane na grzbiety koni, gdy trąbka po raz drugi bliżej jeszcze się słyszeć dała.

Jeden spokojnie się modlący brat Antoniusz najmniejszej nie okazał obawy. Semko zbiegł sam po konia, inni, głowy potraciwszy, plątali się spiesząc i przeszkadzając jedni drugim, gdy z gąszczy na małym koniu wystąpił lat średnich poważny mężczyzna i stanął równie osłupiały widokiem niespodzianych jakichś obcych ludzi, jak oni przerażeni byli ukazaniem się jego.

Chwilę panowało milczenie, miano czas nawzajem się sobie przypatrzeć.

Mężczyzna, który wyjechał z lasu, wcale nie miał dzikiej ani też zbyt pańskiej powierzchowności. Wyglądał bardziej na zamożnego kupca lub mieszczanina, a w stroju jedna tylko czapka Litwina przypominała. Kozuch pokryty sukniem jasnym, na nogach buty niemieckiego kroju, z nosami, trąbka przez plecy, mały miecz u boku, żadnego zresztą oręża nie miał przy sobie; trudno było odgadnąć, kim mógł być.

Kaukis i Wizunas na pierwsze spojrzenie poznali, że Litwinem nie był. Semko się domyślał w nim Niemca, a brat Antoniusz, wlepiwszy oczy, zdawał się widokiem jego przyjemnie zdumiony.

Twarz z wolna ku gromadce podróżnych zbliżającego się mężczyzny, wiekiem już nieco pomarszczona, ale czerstwa i świeża, uderzała wyrazem przebiegłości i rozumu. Nic w niej namiętnego, dumnego nie było, choć na energii i pewności siebie nie brakło. Nie musiał tu być obcym, gdyż obracał się śmiało i tak, jak by miał prawo spytać postrzeżonych, co oni tu robili i z czym przybywali — podjeżdżał ku nim.

Semko stał przy swoim koniu, dając znaki bratu Antoniuszowi, aby on pierwszy rozmówił się z przybywającym. Tymczasem nieznajomy okiem bystrym rozpatrywał się w ludziach, ubiorach, uzbrojeniu i na twarzy jego coraz większe malowało się zdumienie.

Antoniusz, nie czekając, aby go zagadnął, cichym głosem, ale śmiało, odezwał się z ukłonem, ręką go witając — po łacinie: — *Laudetur Jesus Christus*¹⁵¹!

Nierychło, obejrzawszy się dokoła, z pewnym wahaniem, siedzący na koniu odpowiedział:

— *In saecula saeculorum*.¹⁵²

Dodało to odwagi Semkowi, który zza konia wystąpił. Zabierał się pozdrowić też nieznajomego, ale się zawahał nie wiedząc, jakim doń przemówić językiem.

Tymczasem przybyły z wolna zsiadł z konia i postąpił kilka kroków.

— Skąd jedziecie? — spytał po niemiecku.

Język ten Semkowi i bratu Antoniuszowi nie był obcym — ale zdziwił księcia mocno, nie pojmującego, skąd Niemiec wziął się tutaj.

Kaukis i Wiżunas z widoczną trwogą, nie rozumiejąc, co się stało, lękając się kary, schowali się za drzewo.

— Jeżeli się nie mylę, a przypominam dobrze — odezwał się zakonnik — nie kim innym jesteście, tylko starostą Hawnulem.

Na twarzy nieznanego chwilowe zdziwienie rozpląnęło się w uśmiechu.

— Tak jest — rzekł — jeśliście może nie poznali, to trafnieście odgadli.

— Mnie Pan Bóg dał odgadnąć, a was — odparł zakonnik — opatrnością swoją zesłał tutaj. Większe nas szczęście spotkać nie mogło.

Nazwany Hawnulem przystąpił śmieiej, z zajęciem i życzliwością wpatrując się w Semka i mnicha.

Brat Antoniusz widząc, że księżę namyśla się jeszcze, co począć, pierwszy się odezwał:

— Jadąc tu mieliśmy Miłość Waszą na myśli, bylibyśmy się do niej jutro pewnie przez ojca przełożonego zgłosili.

— Należycie do zakonu świętego Franciszka? — zapytał Hawnul.

— Tak, jestem najniegodniejszym z dzieci patriarchy naszego — rzekł Antoniusz.

Wzrok Niemca nie schodził z Semka, który piękną swą, postawą szlachetną i choć skromnym, ale kosztownym ubraniem i uzbrojeniem okazywał, że nie był pospolitego stanu człowiekiem.

— Tak, sam Bóg miłosierny was tu zesłał — dodał zakonnik — ale może nas tu i kto inny złapać, kogo byśmy dziś widzieć nieradzi.

Hawnul potrząsnął głową.

— Nie sędzę — rzekł. — Nasz wielki księżę tak blisko miasta łowów nie lubi, bo zwierz w lasach tych przepłoszony, a młodszy brat pański musiał się gdzieś zapędzić daleko, gdy na moją trąbkę nie odpowiedział.

Semko, namyśliwszy się, podszedł do Hawnula, a choć bardzo uprzejmym być chciał i stanu swojego nie życzył zdradzić, obejście się jego tak jawnie okazywało człowieka do rozkazywania nawykłego, iż Hawnul mimowolnie pierwszy mu się pokłonił. Książątko w nim widać było.

— Dowiedcie się, kto jestem — rzekł cicho — gdy tego będzie potrzeba, lecz nie idzie o osobę moją. Ja posłem tu tylko jestem i w ważnej przybywam sprawie. Nikt lepiej pewnie nad starostę Hawnula, który jest powiernikiem i pierwszym Jagiełły urzędnikiem, nie osądzi, czy z tą sprawą mamy jechać do Wilna lub bodaj na powrót do domu.

Hawnulowi pochlebiło to może, iż wpływ jego był znanym — skłonił głową i rzekł:

— Mówcie Miłości Wasza otwarcie, proszę. Jestem chrześcijaninem, choć książęciu litewskiemu służę; chrześcijańskim panom dobrze życzę i o to się staram tylko, abym pana mojego do nich mógł zaliczyć.

Semko przysunął się bliżej i począł cicho:

— Przybywam w poselstwie tajnym od Witolda. Wiecie, że jest w rękach Krzyżaków, ale wytrwać z nimi nie może ani chce pomagać do przelewania krwi własnych braci. Żąda zgody, sam się o nią Jagielle nastęcza. Z tym przybywam.

Hawnul słuchał z uwagą natężoną, ale trudno było odgadnąć, czy mu ta wiadomość radość sprawiła, czy niepokój. Nie odpowiadał nic długo.

— Gdyby kiedy książęciu Witoldowi zaufać można — rzekł w końcu — wiadomość tą uważałbym za bardzo pomyślną i szczęśliwą. Wielki książę nasz, którego, Bóg da, wkrótce spodziewam się ujrzeć królem, potrzebuje pokoju. Taki wódz jak Witold zdałby mu się wielce, ale czyż my jego nienasycone pragnienia potrafimy zaspokoić?

Semko zamruczał niewyraźnie, iż Witold zdawał mu się skruszonym i do wszelkich ofiar gotowym.

— Jagiełło ma żal wielki do niego — dodał Hawnul. — Rozgłoszono, nie bez wiadomości Witoldowej, że pan mój winien jest śmierci Kiejstuta. Uczyniono go w oczach świata mordercą stryja. Po wszystkich ziemiach wieść tę rozniesiono.

— Pojednanie się syna z Jagiełłą będzie najlepszym dowodem, że ona jest fałszywą — odparł Semko. — Jeżeli sądzicie, że w sprawie tej uczynić coś można, pomóżcie nam. Ja jestem bratem młodszym Janusza, szwagra Witoldowego, siedzę na Płocku, Semkiem mnie zowią.

Hawnul pokłonił się powtórnie i zamyślił.

— Spróbować potrzeba, azali się nam nie uda Jagiełłę ułagodzić — rzekł. — Ja będę się starał przygotować go. Nim to nastąpi, książę dziś do zmroku (gdyż nie potrzeba, abyś był widzianym zawczasu) zajedziesz do klasztoru mnichów Świętego Franciszka. Dam mu znać, co czynić przypadnie. O wygodach waszych i ludzi pamiętać będę, a sam was przeprowadzę do moich zakonników. Ciasno tam u nich i gospoda nie taka, jaka by księciu przystała, ale przebadźcie w niej, dopóki rzeczy się nie wyjaśnią.

— Jagiełło — odezwał się Semko — i do mnie żal ma, wrogiem mnie zowie. Nie wiem więc, jak przyjmie. Rad podam rękę do zgody.

— O tę łatwiej będzie niż z Witoldem — przerwał Hawnul. — Dwóch panów na Litwie tak wielkiego ducha i siły jak nasz i Witold, trudno, aby z sobą żyli w pokoju.

Mnich stojący niedaleko spostrzegłszy, iż się rozmowa przerwała na chwilę, zwrócił się do Hawnula.

— Miłościwy panie wileński — rzekł — my już teraz na łasce waszej jesteśmy. Zatem kieruj i

rozkazuj, kiedy wyruszyć stąd mamy.

Starosta popatrzył na niebo a potem na znużone konie podróżnych.

— Nie chciałbym — odezwał się — abyście za wcześnie wjeżdżając, oczy zwrócili na siebie. Gdy konie wytchną, pociągniemy powoli, aby stanąć o zmroku.

Rozłożono wojłoki na ziemi. Semko dobyć kazał ostatek podróżnych zapasów i zapraszał na nie gościa. Ten jednak zbyt był niespodzianym spotkaniem i wiadomościami poruszony, aby o głodzie i pragnieniu pamiętać. Przyjął kubek i siedział zamyślony.

— Powiedzcie szczerze — zapytał Semko — sądzicie, iż Jagiełło da się skłonić do pojednania?

— Być by to mogło — mówił Hawnul — przy Bożej pomocy; ale na to potrzeba szczęśliwej chwili i bacznego z niej korzystania. Mściwym Jagiełło nie jest, lecz życie nauczyło go ostrożności wielkiej. Nie ufa łatwo nikomu, podejrzewać jest skłonny. Ani dziwić się temu, otoczony nieprzyjaciółmi, tyle mając przykładów zdrady, nawet najbliższym z rodziny ufać nie może. Witolda się obawia.

Brat Antoniusz stał przy nich.

— Wasza Miłość — wtrącił — wiele możesz u niego, przywiedź do zgody. Pokój na Litwie da ci dopiąć tego, czego pragniesz, a ku czemu, jak sądzę, Bóg cię zesłał. Łacniej naówczas przywiedziesz ich do przyjęcia chrztu i wyzwolenia tego kraju z więzów szatana.

Hawnul westchnął.

— Prawdą jest — odparł — że mam dosyć łaski u Jagiełły, że mi ufa i mną się posługuje. Lecz i to pewna, że dosyć byłoby najmniejszego podejrzenia, cienia jednego, abym wiarę wszelką postradał. Cud to szczególny, że ja, Niemiec rodem, człek mały, którym się tego nigdy nie spodziewałem, potrafiłem pozyskać jego względy. Jak się to stało, wytłumaczyć nawet nie potrafię. Przybyłem po raz pierwszy na Litwę jako kupiec z towarem niemieckim z Rygi w obawie o mienie i życie, bo w krajach tych nikt z najlepszymi listami całkiem bezpiecznym nie jest. W miastach już lud pospolity więcej jest oswojony i ze znakiem krzyża, i z chrześcijany; po wsiach, po lasach, kędy przeszedł miecz krzyżacki i ich okrucieństwo, dosyć chrześcijańskiego imienia, aby życia pewnym nie być. Z małą kupią, z żelastwem i mosiądzem, dostałem się do Wilna. Zaprowadzono mnie na zamek do księżnej matki, starej Julianny, którą tu królową zowią. Tam, gdy mój towar rozkładałem, wszedł niespodzianie Jagiełło. Na widok mój, poczuwszy Niemca, obcego człeka, cofnął się zaraz. Księżna, która już wprzód mówiła ze mną i wiedziała, iż Krzyżaków nie cierpię, a nieprzyjacielem ich jestem, jak oni duchowieństwa naszego są wrogami, posłała syna uspokoić prosząc, aby piękny mój towar szedł zobaczyć. Dał się skłonić do tego, choć widać było, z jaką obawą i nieufnością zbliżał się do mnie i do kupi, którą miałem z sobą. Obawiał się, aby noże i inne małe wyroby zatrute nie były. Kazał mi je wprzód na własnej skórze próbować. Poczęła się niby rozmowa, w ciągu której więcej słuchał, niż mówił. Musiałem się po rusińsku tłumaczyć, bo niemieckiej mowy, choć zrozumiałej sobie, nie cierpi. Rozpytywał mnie o Krzyżaków, a ja skorzystałem z tego, malując ich tak, jak znałem. Śmiał się i rad był. Zakupiono u mnie prawie wszystko, co miałem, a księżę zażądał,

abym mu się postarał o takie noże do łowów na dzikiego zwierza, o jakich słyszał, że je w Niemczech robiono, uprawując bogato. Przyrzekłem przywieźć mu je i w powtórnej podróży do Wilna umyślnie przybyłem z nimi tylko. Tym razem jeszcze nie bardzo mi ufał, ale już przyjął lepiej. Zdarzyło się, że niewolników krzyżackich przyprowadzono, których badać było potrzeba, do czego mnie zawołać kazał. Z pomocą Bożą dobrze mi się powiodło. Za trzecim przybyciem do Wilna, zażądał Jagiełło, abym się tu przeniósł i osiedlił. Ważyłem się i na to. Z wolna a nierychło zaskarbiłem sobie zaufanie, trudne do zdobycia. Trafiło się nieraz, że powziąwszy podejrzenie jakieś, miesiącami całymi nie zbliżał się, nie mówił do mnie. Dopiero po wielu dowodach wierności mojej i oddania się usługom jego przyszło do tego, że mi i miasto w zarząd, i kupców a cudzoziemców dozór powierzono, potem monetę¹⁵³ i podskarbstwo. Na koniec i do innych spraw książę zażywać mnie zaczął. Korzystałem z tego, aby przysposobić grunt, na który by ziarno ewangelii nie padło na próżno. Czekam tylko chwili sposobnej. Jagiełło przygotowany jest, ale z rąk Krzyżaków chrzest przyjąć się wzdraga. Zna ich nadto i brzydzi się nimi. Da-li Bóg przywiodę do tego, że zasiądzie między monarchami chrześcijańskimi.

— Wszak ci matka jego, księżna twerska, chrześcijanką jest? — rzekł Semko.

— Tak, ale Jagiełło na Zachód patrzeć musi i przyjąć chrześcijaństwo zachodnie, rzymskie, bo inaczej Krzyżacy nigdy go nie uznają chrześcijaninem i bałwochwalcą zwać będą.

— Minęły te czasy — dodał Hawnul — gdy na górze nad Wilnem krzyżowano braci świętego Franciszka, dziś już miejski lud oswojony jest z obrzędami chrześcijańskimi i chrześcijany, których tu wiele z Rusi napływa. Wszyscy wiedzą, że w tym samym klasztorze, z którego męczenników pochwycono, nowi ich bracia nieustraszeni mieszkają i Boga chwalą. Przecież dziś są bezpieczni.

To mówiąc podniósł się Hawnul i ręce ku niebu wyciągnąwszy, zawołał z przejęciem serdecznym:

— Dożyję może chwili tej, gdy mi Bóg da ujrzeć nad Wilnem krzyże i posłyszeć dzwony wołające na modlitwę! Naówczas powiem z Symeonem¹⁵⁴: „Odpuść Panie, sługę swego”!

Brat Antoniusz, słuchając, ręce złożył jak do modlitwy i szepnął cicho:

— Amen!

Hawnul ruszył z miejsca, było to znakiem, że w dalszą drogę puścić się mieli.

— A książę, z którym wyjechaliście na łowy? — zapytał Semko.

— Pomyśli, zem się zbłąkał — odparł Hawnul. — Szukać mnie i zbyt się troszczyć nie będzie, boć wie, że sobie dam radę.

Czeladź na znak dany natychmiast konie przysposabiać zaczęła, Hawnul siadł na swego i nie potrzebując już Kaukisa, puścili się ku Wilnu za dnia jeszcze, lasami, wśród których urzędnik Jagiełły okazał się dobrze dróg świadomym.

Na rozmowach o Polsce i Krzyżakach, których Hawnul był nieprzyjacielem, zeszła podróż do

wieczora. Stary zakonnik, opodal jadąc, różaniec swój przebierał.

Mrok był już gęsty, gdy wyjechawszy z puszczy, ujrzeni dolinę, ponad którą we mgłach wieczora zaledwie dojrzeć było można górnego zamku wileńskiego i u stóp jego murami opasanego grodu. Z małych domostw drewnianych, gęsto ściśniętych, złożone, szeroko pod nim rozścielały się przedmieścia.

Każdej wojny i napaści niemal padały one ofiarą. Lud w części na zamki się chronił, częścią do lasów rozbiegał, nieprzyjaciel palił domostwa, a zaledwie odstąpił, jak grzyby wyrastały one znowu na zgliszczach. Były to raczej szałas i drewniane namioty a obozowisko niż miasto. Bardzo niewiele budowli wśród nich dachami lub ścianami górowało.

W chwili tej jeden ogromny obłok dymu i wyziewów leżał nad Wilnem całym, kołysząc się jak fala, niekiedy za powiewem wiatru odsłaniając światełka i ogniki.

Niezmierna ilość ścieżek i drożynek wiodła ku lasom, z których codziennie drzewo na opał wożono. Gościniec wielki o tej godzinie stał już pusty. Ubodzy tylko ludzie, którzy koni nie mieli, na plecach dźwigając gałęzie ścięte, wlekli je do chat opóznieni. Szczekanie mnóstwa psów dochodziło z daleka.

Hawnul chciał ich sam doprowadzić do bramy klasztornej, lecz brat Antoniusz wyręczył go, podejmując się tego.

— Spoczywajcie, jutro — rzekł Hawnul — do księcia, a ja tymczasem będę wam drogi trzebił. Jeżeli się przekonam, że Jagiełło do zgody namówić się nie da, narażać was nie będę.

Semko wspomniał teraz o pierścieniu Julianny, niegdyś danym Birucie¹⁵⁵, który mu na znak Witold powierzył, o powiedział o nim Hawnulowi.

— Być może — odparł po namyśle starosta — że i on pomoże do utorowania wam drogi, naprzód do Julianny, a przez nią do Jagiełły.

Ciemno już było i od śniegów tylko mały odblask drogę wskazywał, gdy rozstawszy się ze starostą, zwrócili ku klasztorowi.

Konwent z kościółkiem, na którym krzyża nie było, chociaż stał na kraju przedmieścia, nie ostatnią był budową w pustym polu. Otaczały go drewniane domki i szopy, w których się łatwo było domyślać nawróconych już chrześcijan, cisnących się bliżej ku swej starszyźnie i świątyni. W istocie znaczniejsza część tych chat do chrześcijan należała.

Nie śmieli oni jeszcze jawnie się uznawać nimi, wielu z nich dwie razem zmieszane wyznawało wiary, a w rzeczy żadnej, ale folgowano im w początkach, bo inaczej nawracać nie było podobna. Chrześcijanie ci nowi chodzili ze strachu na dolinę Swentoroha¹⁵⁶ do ołtarza Perkunasa, a potem przekradali do kościółka i powiadali się ze swej słabości.

Małymi uliczkami wśród płotów i chatek dostali się wreszcie podróżni do wysokiego częstokołu

opasującego plac dosyć rozległy. Parkan był tak wysoki, iż poza nim nic widać nie było, nikły nawet dachy budowli wewnątrz stojących.

Brat Antoniusz trafił do furty i zaczął pukać do niej po trzykroć każdy raz, trzy razy. Czekali potem. Wewnątrz słychać było chód ostrożny. Zapukano w ten sam sposób raz wtóry, a po przestanku raz jeszcze.

Naówczas głos się odezwał wewnątrz, na który Antoniusz ze wzruszeniem odpowiedział:

— *Laudetur Christus!*

Zaczęto odryglowywać furte, błysnęło światło za nią. Ponad wysokim parkanem okazała się głowa zakapturzona, rozpatrująca się w przybyłych. Na ostatek otwarto wrota i wpuszczono naprzód tylko starego zakonnika.

Wszystkie te ostrożności nie były zbytecznymi. Franciszkanie czuli się tu wśród wrogów, musieli czuwać pilno. Podstępem mogli napaść ich poganie, równie przez chciwość, jak nienawiść.

Starczyło kilka słów brata Antoniusza, aby natychmiast księcia z orszakiem jego wpuszczono.

Zakapturzony mnich w sile wieku, krzepki i rzeźwy ojciec Paweł, przełożony, wyszedł na spotkanie mazowieckiego księcia.

Cała ta posiadłość ojców niepodobną była do tego, czym są dzisiejsze klasztory. Kościółka wśród innych budowli skrytego odróżnić od nich na pierwszy rzut oka nie było podobna. Żadnego godła chrześcijańskiego na widok nie wazono się wystawiać, aby poganie, dostrzegłszy go, nie znieważyli.

Klasztor był długim budynkiem najprostszego, pierwotnego kształtu, ogromną chatą z bierwion sosnowych, z maleńkimi, klapami zamkniętymi okienkami. Ponad dachem, słomą nakrytym, plecione sterczały dymniki.

Częstokroć przy lada jakim zburzeniu ludu zmuszeni po kilka dni zamykać się w swej zagrodzie, franciszkanie trzymali tu i małą trzódkę owiec dla mleka, i krów parę. Wielkie szopy pod parkanami zawierały zapasy siana, zboża nawet, które sami młócić musieli, i żarna, w których sobie razową mąkę mielono. W pośrodku była studnia, aby wody od sąsiadów nie potrzebować, a dalej klasztorna łaźnia.

Pomimo wielkiego ubóstwa tej pierwszej kolonii chrześcijańskiej w Wilnie, nie zbywało tej chacie klasztornej na foresterii¹⁵⁷ dla gości. Chronili się tu często przejezdni lub ścigani chrześcijanie, którym przytułku nie godziło się odmawiać, choćby gościnność ta groziła klasztorowi pomstą i prześladowaniem.

Ojciec Paweł, powitawszy mazowieckiego księcia, poprowadził go do przestronnej izby gościnnej, tak ubogo opatrzonej jak klasztor cały. Wąskich stołów para, ławy przy ścianach, które razem za łoża na noc służyć musiały, wizerunek niewielki Chrystusa na ścianie, u drzwi gliniane naczynie z wodą święconą, ognisko w pośrodku, teraz wygasłe, to było wszystko, czym izba mogła

służyć księciu.

— Radzi byśmy was, Dostojny Panie — odezwał się przełożony — przyjąć jak najlepiej, ale ubóstwo nasze nie dozwala. Myśmy na nie ślubowali, a tu nam łatwo dochować przysięg, bośmy w kraju pogańskim i ledwie cierpiani przybysze. Jutro jednak, spodziewam się, gdy Hawnul wie o przybyciu Miłości Waszej, iż się postara o to, by potrzeby zaspokojone były.

Ojciec Paweł o tym ubóstwie swym i położeniu mówił z uśmiechem dobrodusznym na ustach, z pogodą na twarzy i spokojem, jaki daje ofiara dobrowolna żywota za wiarę. Dwaj za nim stojący ojcowie, z których jeden Litwinem był, równie jak brat Antoniusz, oblicza mieli wesołe synów prawych świętego Franciszka, którym każde cierpienie ducha rozpromienia.

— Ognie każemy napalić, ryby zgotować, chleb jest i piwo nasze klasztorne. Bądź Wasza Książęca Mość pozdrowionym, spoczywaj i przebacz — dodał ojciec Paweł.

Po nużącej podróży to, co ubogi klasztor mógł księciu Semkowi ofiarować, wydało się aż nadto wystarczającym.

Pobożny, jak wszyscy wówczas, zażądał tylko, aby mógł naprzód do kociołka pójść podziękować Bogu, iż go tu cało doprowadził. Ojciec Paweł i brat Antoniusz towarzyszyli mu.

W podwórku wewnętrznym, opasany zewsząd budowlami, stał maleńki kościółek drewniany na podmurowaniu z polnych kamieni. Bocznyimi drzwiami przez zakrystyjkę weszli do niego.

Ołtarz drewniany stał w pośrodku, dzieląc budowlę na dwoje, poza nim znajdował się chór dla mnichów, szczupły jak ich liczba. Sam kościółek, niewiele większy, starczył dla małej chrześcijan gromadki, czysty był, ale nieozdobny. Wszystko, co go przystrajało, własnymi rękami mnichów było wyrobione z drzewa i kory, ale z tą miłością i staraniem pobożnym, które najprostszemu wyrobowi nadaje pieszczone oblicze. Lampa od stropu zwieszona paliła się przed ołtarzem.

Klękli tu wszyscy na modlitwę. Brat Antoniusz odmówił ją półgłosem, całując ziemię z gorącością wielką stęsknionego za bożym domem zakonnika. Semko też pochylił się ręce rozkrzyżowawszy, prosząc Boga o opiekę nad sobą i niepewnymi losy swego poselstwa.

Mimowolnie myśl jego przeniosła się ku Polsce, wspomniał koronę, którą mu obiecywano, i westchnął do Boga, lecz gdy oczy podnosił ku krzyżowi, szukając w nim jakiej wróżby przyszłości swej, lampa przed ołtarzem prysnęła światłem wielkim i nagle zgasła.

Tom drugi.

Rozdział I

Nazajutrz do dnia zastukano do furty klasztornej i ludzie Hawnula, którzy przywykli byli zaopatrywać w żywność i wszelkie zapasy ojców franciszkanów, przywieźli, czego potrzebowano na stół książęcy. Pamiętał o tym Niemiec, że przyprawy korzenne stanowiły najprzedniejszy przysmak ówczesny, nie brakło więc ani szafranu, ni imbiru, gwoździków ani tak zwanych rajszych ziarenek, które rybę i mięsiwa osmaczać miały.

Jeden z braciszków był kucharzem, a przyjął podarek z wielką radością, równie jak ojciec piwniczy piwo, miód i tak zwane romańskie wino.

Obawy więc o głód nie było, lecz ani do obiadu, ani po nim Hawnul sam się nie zgłosił i nie dał znać o sobie. Sługa nie miał zlecenia żadnego i nie obiecywał go. Ojciec Paweł zaś twierdził, że Hawnul, którego tu różnie: wójtem, starostą i podskarbisem zwano, najczęściej wieczorami dopiero zwykł ich być odwiedzać. Chwalili go ojcowie jako człowieka, który więcej miał dla wiary pracować niż dla siebie, a była mu ona już wiele winną.

Chodziły od pewnego czasu pogłoski, o których i w klasztorze wiedzano, że Jagiełło miał postanowienie chrześcijaninem zostać, że się do tego nawet zobowiązał Krzyżakom, ale chrztem z ich rąk się brzydził. Nie lepiej dla nich byli usposobieni i ojcowie franciszkanie, pomni tego, że zakon teutoński czasu swych wycieczek na Polskę i Litwę nie oszczędzał ani kościołów i klasztorów, ni osób duchownych. Było tego przykładów mnogo.

Ojciec Paweł, przełożony, mówił o nich ze zgrozą i politowaniem razem, pojąć nie mogąc, jak się oni zakonem zwać śmieli, żadnej z cnót zakonnych nie mając, a na wszelką rozpasani swawolę. Rozpowiadano o ich łupieżach i morderstwach na Litwie rzeczy niemal do prawdy niepodobne — gdyby żywi świadkowie i ofiary nie były powszechnie znane. Temu też przypisywano wielki wstręt Litwy do wiary chrześcijańskiej, która z krwią i morderstwą przychodziła.

Przez cały dzień ten do wieczora trwały ciche w izbie gościnnej rozmowy, z których książę wiele się o dworze i osobach składających go dowiedział, zapoznając z liczną rodziną Jagiełły.

O mroku już niespodzianie przybył Hawnul, jak zazwyczaj, samotrzeć¹ tylko, z dwojgiem czeladzi, którą za furtą zostawił. Nie potrzebował on tu przewodnika, był jak w domu. Radość zabłysła na wszystkich twarzach, gdy go ujrano, a on też na swą gromadkę poglądał z tą pociechą wewnętrzną, jaką mu dawało przekonanie, iż był jej opiekunem nie słowem tylko, ale czynem.

Semkowi pilno było dowiedzieć się, jak stała sprawa, którą powierzył Hawnulowi.

— Jagiełło w nocy dopiero z łowów powrócił — rzekł Hawnul. — Otrzymał tu wiadomość o nowym napadzie Krzyżaków na granicy pomimo rozejmu świeżo zawartego. Sierdzisty był i zagniewany, mówić z nim nie pora była. Staralem się tylko dostać do wielkiej księżnej matki, która teraz jedną myślą jest zajęta wstąpienia do monasteru², dla ukończenia w nim żywota na modlitwie,

ale wprzódy córki za mąż chce wydać. Odwiedzimy ją od obleczenia sukni zakonnych, gdyż bez tej pani, która na syna ma wpływ wielki i zbawienny, trudniej nam będzie z nim poczynać. — Ponieważ Wasza Miłość nie chcesz tu dłuższego czasu spędzić w oczekiwaniu... — dodał Hawnul.

— Nie mogę — przerwał Semko wzdychając. — Uczyniłem i tak ofiarę dla Witolda wielką.

— Staralem się właśnie dla pośpiechu — ciągnął Hawnul dalej — mówić dziś z księżną matką i zwierzyłem się jej ze wszystkiego. Słuchała mnie pobladłszy, zaniemiała, lecz bez gniewu i złej woli. Gdym jej opowiadał o was, siedziała zadumana słowa nie mówiąc, rozważając, com przyniósł. Pani to jest rozumu i powagi wielkiej, ale tak bojaźliwa i nieufna jak syn, gdy o stanowczy krok chodzi. Nierychło więc mi odpowiedziała nawet, od tego poczynając, iż szczerości Witoldowej wiary dać nie było można. Widzi ona korzyści pojednania, lecz ono będzie hasłem nowej a okrutnej, zaciętej wojny z Zakonem, który za zdradę mścić się nie omieszka. W chwili, gdy Witold zbieży, potrzeba już stać w gotowości do odparcia napaści Krzyżaków. Księżna Julianna nie jest przeciwną temu, by Krewa z ojcowizną zwrócić synowi Biruty, lecz przewiduje trudność wielką w ułagodzeniu syna i skłonieniu go do przebaczenia i zgody.

— Wspomnieliście jej o mnie? — zapytał Semko. — Mówiliście, kto z tym przybył?

— Oznajmiłem tylko o pośle wiarogodnym od księcia, nie wymieniając imienia waszego — odpowiedział Hawnul. — Potem dopiero, gdy powątpiewać zaczęła, czy całe posłannictwo nie jest podstępem krzyżackim i zdradą, musiałem mianować was i o pierścieniu danym na znak powiedzieć. O Birucie posłyszawszy, zapłakała księżna i łzę otarła.

— Jagiełło — mówił dalej Hawnul — jutro znowu w lasy jedzie i nie powróci aż pod noc. Jeżeli chcecie, możemy jutro z południa we dwu do starej księżnej iść. Nikt wiedzieć nie będzie, kto jesteście, a ja do niej wprowadzę.

Po krótkim namyśle Semko się zgodził na to. Chciał o ile możności koniec rokowań przyspieszyć. Opanowywała go obawa, aby dla sprawy Witolda własnej swej nie wyrządził szkody. Bartosz z Odolanowa o posiłki się dopominał, a te bez rozkazu księcia wysłane być nie mogły.

Hawnul na wyprawę dnia następnego zalecił księciu strój przywdziać jak najmniej zwracający oczy i taki, który by raczej Rusina kazał się domyślać niż gościa z Zachodu. Rusi bowiem było tu wiele, gościli zawsze na dworze kniaziowie i bojarowie³, posłańcy od krewnych i powinowatych, a Litwini już z nimi oswojeni byli i niemal za swoich uważali. Z Nowogrodu⁴ też, Tweru⁵, Pskowa⁶, ze Smoleńska⁷ i od Kijowa przybywali kupcy, młodzi krewni księżnej, język ich i stroje nie raziły nikogo.

Umówiwszy się z Hawnulem, książę spokojniej oczekiwał jutra. Dla większego bezpieczeństwa starosta się obiecywał sam przybyć po Semka, zawieźć naprzód do swojego domu pod zamkiem, a potem pieszo do dworca wielkiej księżnej przeprowadzić.

Chociaż dzień następny wilgotny był i mglisty, Hawnul stawiał się o godzinie naznaczonej, a Semko, dla którego koń stał w pogotowiu, jechał z nim razem do miasta i zamku, który z dala widnym był grubymi mury, dworce i świątynię opasującymi. Długi czas kręcić się musieli uliczkami to

piaszczystymi, to błotnistymi, wąskimi i poplątanymi, nim się do zamku dostali. Tu już kilka znacniejszych budowli z drzewa i kamienia pod mury chroniących się widać było.

Stał też przy nich obszerny dwór starosty Hawnula, do którego naprzód zajechali. Gospodarz usilnie zapraszał, ażeby księżę wstąpił do niego.

Niepozorny zewnątrz dwór Niemca wewnątrz z wielką wspaniałością i wygodami był urządzony, ale, owe czasy wymagały, przepych ten był ruchomy, aby na znak najmniejszy czasu niebezpieczeństwa obnażyć z niego było można domostwo i ukryć te skarby. Znać było na wszystkim człowieka, który zachodnie obyczaje znał i miłował. Ponieważ trafiało się, że księżęta, bojarowie i znaczniejsi Litwini zachodzili do starosty, jawnych więc oznak chrześcijańskich nie było, ale Hawnul pochwalił się przed księciem na klucz zamkniętą kapliczką, całą świecącą od złota. Tu wiekuiста lampka paliła się przed obrazem Najświętszej Panny, o którym twierdził Hawnul, że go święty Łukasz⁸ malował, nadzwyczajną do niego przywiązując cenę.

Ze dworu Hawnula pieszo szli na dolny zamek, który w sobie i świątynię pogańską zawierał, otoczoną niewielką, ale bardzo starymi drzewy. Samego pogan chramu⁹ widać tylko było nieforemną wieżycę z polnych kamieni, przed wieki wzniesioną, i mur również niekształtny, opasujący świątynię, z której unosił się dym gęsty, słupem ogromnym wzbijając się w górę.

Starosta opowiadał, że tam płonął ogień wieczny, który Litwa za święty czciła i uważała, kłaniając mu się i znosząc ofiary.

Z dala nic więcej dojrzeć nie było można, oprócz przesuwających się około murów, między dębami postaci w sukniach długich, z szerokimi pasami białymi, w czapkach, w wieńcach, z laskami krzywymi w ręku. Mieli to być kapłani i wróżbici, którzy ognia tego dzień i noc strzegli.

W dolinie tej — wedle opowiadań Hawnula — odbył się obrzędem pogańskim, ze wspaniałością wielką, pogrzeb zmarłego Kiejstuta, w tym miejscu, gdzie dawniej ciała wszystkich zmarłych książąt palono.

— Pomożeli Bóg — dodał cicho — spodziewam się, że tu już Jagiełły palić nie będą, a po chrześcijańsku pogrzebiony zostanie i na miejscu bałwochwalczego ognia wzniesiem ołtarz Bogu prawdziwemu, a nad nim krzyż Pański. — Mówił to Hawnul ze wzruszeniem i łzami w oczach.

W głębi obszernego podwórca ku rzece, parkanami wysokimi oddzielone, stały teremy¹⁰ księżnej Julianny, w których ona z córkami i dworem swym przemieszkiwała. Dworce te w części z kamienia, częścią z drzewa pobudowane, malowane były zewnątrz jaskrawo, a na głównych ścianach około drzwi i wąskich okien złocenia widać było.

Hawnul, ukazując z dala budowy te, mówił i o znajdującej się tu cerkwi ruskiej, na której, jak na kościółku, krzyża nie było ani żadnej zewnętrznej oznaki.

— Jagiełło szanuje religię matki — mówił starosta — ale się na swoich duchownych oglądać musi, którzy już są niechętni i oburzeni, że tuż obok świątyni cerkiew stoi i księża chrześcijańscy chodzą koło niej, a szczególnie Nestor, kapelan księżnej, nie miły im, bo zuchwałym się okazuje.

Sam Jagiełło napominać go musiał i przestrzegać.

Semko przypatrywał się ciekawie, gdyż to, co tu widział, niepodobnym było ani do tego, co u Krzyżaków oglądał, ani co się w Polsce i na Mazowszu spotykało. Jednakże dawał się tu i ówdzie dojrzeć wpływ Zachodu, a więcej jeszcze Rusi, której znaczna część należała do litewskich książąt lub w ścisłych z nimi była stosunkach.

Zbliżali się z wolna ku dworcowi starej księżnej, pominąwszy wrota, u których na straży siedział stary odźwierny. Mniejsze podwórze, otaczające go, schludnie było utrzymane, a przed wnijściem stały ozdobnie wyrzynane słupy i ganki z balasami malowanymi.

— Muszę Miłości Waszej prosić — odezwał się Hawnul — abyście raczyli tu chwilę pozostać, nim się dowiem, czy u księżnej nie ma kogo z duchownych jej, boby niepotrzebnie, zobaczywszy go, mogli rozgadać.

Semko uczuł się trochę tym upokorzony, iż mu oczekiwać kazano, zarumienił się, bo gorąca krew łatwo się w nim poruszała, a nie chcąc stać w miejscu na oczach straży, podszedł dalej w dziedziniec, na który boczne okna dworca wychodziły. Niewiele tu było do widzenia, bo nawet otwory te przez ostrożność, aby do żeńskiego dworu księżnej męska czeladź nie zaglądała, wszystkie były gęstą, zieloną siatką zaciągnięte.

Budynek wyglądał jak więzienie, chociaż pomiędzy oknami na przestrzał umieszczonymi dostrzec było można jakichś zwawo się przesuwających postaci. Były to liczne Rusinki i Greczynki w służbie księżnej i córek jej zostające, które około krosien i posług różnych się krzątały.

Wszedłszy kroków kilka w tę stronę, Semko zatrzymał się jeszcze pod wrażeniem gniewu, który mu trudno przezwyciężyć było. Stał niedaleko tych okien tajemniczych, gdy w jednym z nich uchyliła się siatka zielona i ciekawa główka niewieścia ukazała.

Książę był w kwiecie młodzieńczego wieku mężczyzną, którego ród szlachezny łatwo było rozpoznać można, domyśleć się go nie tylko z rysów twarzy, ale z dumnej i swobodnej postawy. Zjawienie się jego tutaj dziwne, gościa zupełnie nie znanego, musiało młodzieuchne dziewczę zaciekawić, bo wielkie niebieskie oczy wlepiło w niego z zuchwałością dziecięcą.

Semko zobaczył piękną dziewczynę, która zawsze i wszędzie musiałaby na siebie zwrócić oczy każdego mężczyzny. Jak w księciu można było odgadnąć łatwo ród pański, tak i w tej twarzyczce, śmiało się wpatrującej w niego, każdy się mógł domyśleć nie prostej służebnej, ale dziecięcia domu. Piękność sama, delikatność rysów, nadzwyczajna płci białość, istotom w zamknięciu utrzymanym właściwa, wyraz oblicza dumny i niemal zuchwały, chociaż wesół i rozpromieniony, na ostatek strój, którego część widzieć się dawała: złoty wianuszek na głowie i kolce¹¹ bogate, białe pod szyją rąbki, na rękach kręgi złote, sukni bramowanie wytworne, mówiły, że dziewczę albo do rodziny książęcej należeć musiało, lub było z nią blisko pokrewne.

Zdumienie nadzwyczajne malowało się na twarzyczce dziewczęcia, zdającego się dziwić zuchwalstwu człowieka tak nieopatrznie podkradającego¹² się pod te ściany, ku którym pod najsroższą karą zbliżać się nie było wolno nikomu. Zgadywała, że obcym musiał być ten zabłąkany tu

człowiek.

Oczy pięknego dziewczęcia i Semka spotkały się z sobą wcale niestrwożone i nie unikające się wzajemnie. On i ona jakby się wyzywali, przypatrując sobie, kto pierwszy ustąpi.

Jasnowłosa, niebieskooka nieznajoma zmarszczyła się bardzo groźnie, nastawiła brwi srogo, podniosła dumnie różowe usteczka, rzuciła główką, sądziła, że się przelęknie zuchwały napastnik. Semko się tylko zalotnie do niej uśmiechał.

Obyczaj ówczesny wprawdzie oddzielał płcie po klasztornemu, zamykał kobiety, ale działał na nie, jak haremy¹³ na Wschodzie. Ośmielał je, gdy się zręczność nadarzała, uniewinniał i napastliwość mężczyzn, i prędkie uleganie urokom zakazanego owocu.

Pomiędzy ciekawym dziewczęciem a niemniej zajęтым tym zjawiskiem niespodzianym Semkiem odegrała się scena niema. Na uśmiech jego dziewczę przed chwilą tak groźne, nasepione strasznie, rozśmiało się odpowiadając, pokazało ząbki białe... ale nie uciekło... Stało jak przyklejone do okna. Semko uzuchwalony tym bardziej jeszcze położył ręce obie na piersiach, a potem jedną z nich ku oknu wyciągnął. Dziewczę niby się przestraszyło, niby oburzyło, zasłona opadła, twarzyczka znikła, ale po bardzo króciuchnym przestanku różek się jej podniósł, błysnęły zza niego oczy, a białe paluszki pogroziły...

Tak była piękną ta swawolnica, że księżę zapomniał nawet o swym upokorzeniu, o Hawnulu, bodaj o celu podróży. Zbliżył się ostrożnie. Zasłonę zieloną spuszczone, lecz nie skończyło się na tym jeszcze. Dziewczę podniosło ją znowu, pokazało się uśmiechnięte wesoło, do pół odkrywszy, z rączkami obiema, którymi żywo dawać zaczęło wyraziste znaki o jakimś niebezpieczeństwie oznajmujące. Semko zapatrzony w śliczny ten obrazek pozostał zupełnie obojętnym i w zamian za nie posłał od ust całusa.

Zielona siatka opadła szybko bardzo, ale zza różka jej ostrożnie uchylonego Semko dostrzegł wielkie niebieskie oko, które patrzyło na niego i śmiało się a młody pan, poruszony do żywego, gotów już był rozbijać okno i mur, aby się zbliżyć do czarownicy...

Miał już podbiec do ściany, gdy usłyszał chód, szmer i Hawnula zobaczył przed sobą.

— Chodźmy! Chodźmy! — zawołał głosem niespokojnym starosta. — Księżę się wkradłeś w zakazane miejsce. Tu u nas, jak w klasztorze mniszek, surowo zabroniono zbliżać się nawet mężczyznom.

— Zapomniałem o tym — odpowiedział Semko, jeszcze cały przejęty widzeniem, którego żałował — taką tu piękność najrzałem w oknie, że można było dla niej utracić zmysły.

Hawnul syknął, ręką podrzucając:

— A, źle się stało! — To pewnie jedna z naszych księżniczek, a kobiety, jeśli was widziały, będą o tym rozpowiadać i domyślać się nie wiem czego.

W przedsieni u wchodu do komnat starej księżnej stała straż ruska. Dwóch ludzi brodatych, w czapkach wysokich, z berdyszami¹⁴ w rękach i mieczami u pasa. Za sienią mała przedsień dzieliła ją od izby, w której księżna Julianna przyjmować była zwykła. U drzwi zawieszonych ciężkim kobiercem stało pachole, które zasłonę podniosło.

Komnata była przyciemniona nieco, ale czyniła wrażenie książęcego mieszkania. Ściany jej całe zawieszane były oponami wzorzystymi, podłoga wysłana kobiercami wschodnimi, w kącie wielki obraz złocisty świecił drogimi kamieniami. Lampa zawieszona od stropu gorzała przed nim. Sprzęty jedwabiami pookrywane, na stołach naczynia złote, emaliami ozdobne, zapach jakichś wschodnich woni, piżma i różanego olejku, przypominały kościół i kadzidła do nabożeństw używane.

Księżna przygotowana na przyjęcie Semka siedziała za stołem w wielkim krześle złoconym, ubrana ciemno, ale cała klejnotami okryta. Na głowie miała strój kamieniami bogato sadzony, od którego pod brodę i na piersi spływały gęste sznury pereł, całą szyję okrywające. Naramienniki też lśniły diamentami, a pas podobny, ręce w pierścieniach całe, nawet obuwie było od złota i drogich kamieni.

Wychudła, przeciągnięta, bladożółta twarz księżnej Julianny pełna była powagi i majestatu. Oczy jej wielkie, żywe, oprawne pięknie, patrzyły śmiało i pańsko. Słusznego wzrostu, wyschła, otuloną była tak szatami szerokimi, iż postawy ledwie się domyślać było można.

W drugim końcu izby obszernej stały dwie strojne służebne, nieruchome jak posągi, obie jednakie, obie ze złożonymi podobnie rękami i spuszczonej oczyma. Później na znak księżnej, jak automaty poruszywszy się, znikły.

Na pokłon księcia matka Jagiełłowa, nie powstając, poruszeniem głowy tylko i znakiem ręki powitalnym odpowiedziała.

Semko zbliżył się powoli. Majestat tej poważnej matki książęcego rodu mimo woli onieśmielał go i czynił na nim wrażenie... Szedł z poszanowaniem ku tej, która się królową zwać lubiła. Hawnul kilku słowami po rusku powiedzianymi księcia jej przedstawił.

Julianna przypatrywała mu się długo, bardzo ciekawie. Westchnęła potem.

— Witold was prosił — rzekła — słyszałam o tym od Hawnula. Podjęliście się bardzo ciężkiej sprawy przez miłość dla niego. Jagiełło mocno zagniewany przeciwko niemu i trudno, aby mógł mu przebaczyć. Jak tu się jednać, kiedy się lękać potrzeba, aby jutro nie być zdradzonym?

— Zdaje się — rzekł Semko powoli — że gdy książę Witold raz z Krzyżakami zerwie, zdrady z jego strony już się lękać nie można. Nie przebaczą mu nigdy. Witoldowi cięży sromotna u Krzyżaków niewola, nie żąda on więcej nic, tylko przebaczenia, pojednania i ojcowizny.

Księżna słuchała bacznie, potrząsając głową.

— Żal po stracie ojca tłumaczy go, że z bólu wielkiego do Niemców się przerwucił — dodał Semko.

— Ale Jagiełło niewinien jest krwi jego — żywo przerwała Julianna. — Na krzyż i Ewangelię poprzysiąc to mogę. Zemstę za Wojdyłły śmierć samowolnie popełnili jego powinowaci i ukarano by ich przykładnie, gdyby... — tu księżna spuściła głowę, przerwała i zadumała się.

— Jestem przyjacielem i posłem tylko — począł Semko. — Przychodzę do Miłości Waszej jako pośrednik zgody i pokoju. Witold na znak, iż mi powierzył tę sprawę, dał ten pierścień i w imię pamięci księżnej Biruty, która go nosiła, do serca się waszego odzywa.

To mówiąc ksiązę schylił się i pierścień zdejmując z palca, przed Julianną położył.

Oczy jej zatrzymały się na nim chwilę, wzięła go w wychudłe ręce, popatrzała smutnie i na powrót Semkowi oddała.

— Uczynię, co mogę — rzekła — syna, który mnie kocha, prosić będę, choć nie wiem, czy mi Bóg dozwoli wymodlić to przebaczenie. Trudno obrazy tak wielkiej i zdrady zapomnieć...

— Witold będzie pomocą wielkiemu księciu do pokonania Krzyżaków — dodał Semko. — Miał czas się im przypatrzeć i zbadać wszystkie ich tajemnice. We dwu z Jagiełłą skruszą potęgę Zakonu.

— O, ten Zakon! Ci Niemcy! — odezwała się zadumana pani. — Jak ich ten krzyż Pański, Zbawiciela naszego, który świętokradzko na piersi noszą, nie spali! I cierpi to Bóg!

Gdy się tak z wolna bardzo, przerywana przestankami, ciągnęła rozmowa, Semko pomimo całej zwróconej na nią uwagi dostrzegł, że zasłona we drzwiach przeciwnych poruszała się, drgała, odchylała ostrożnie, i zdawało mu się, że zza niej toż samo oko niebieskie patrzyło, które widział w oknie teremu.

W tejże chwili podniosła się opona i dwoje dziewcząt, w których rysach poznać było można pochodzenie wschodnie, wniosły na złotych misach nalane kubki, które Julianna Semkowi i Hawnulowi podać kazała.

Zmienił się teraz tok rozmowy, poczęła księżna dopytywać o Dawnutę Januszową, o jej pożycie z mężem i rodziną, potem samego Semka o wiek jego, o zajęcia, czy łowy lubił i czy już na wojnę chodził. Wspomniała potem o ojcu jego Ziemowicie, jak gdyby pragnęła a nie śmiała rozpytywać o smutną a krwawą historię drugiej żony jego, matki Henryka, która wówczas po całym świecie głośną, a różnie była rozpowiadana.

Semko, sromając się szerzej mówić o tym, zamilkł znacząco. Julianna też nie nalegała. Wrócił do pierwszej prośby swej za Witoldem, na co Julianna zadumana mało co już odpowiadała. Zarazem Semko własną też z Jagiełłą sprawę polecał, chcąc przyjaźni sąsiedzkiej i zgody, a zaręczając za to, że dotrzyma wiernie sojuszu.

Już odchodzić zamyślał ksiązę, gdy Julianna zatrzymała go, chcąc się dowiedzieć, co w Polsce słyhać było i kogo tam na tron prowadzić chciano. Odpowiadając na to, Semko miał zręczność napomknąć, że właśnie stan niespokojny Wielkopolski sąsiedniej zmuszał go do jak najprędzszego powrotu.

Nic mu nie przyrzekając, księżna, gdy się jej nisko klaniał żegnając, odezwała się z cicha:

— Zatrzymajcie się a czekajcie, aż wam dam znać. I ja pragnę zgody i pokoju. Dałby je Bóg.

Ręką pozdrowiła odchodzącego raz jeszcze, łagodniej mu się uśmiechnąwszy, i wyszli razem z Hawnulem, który w sieniach zaraz szepnął księciu, iż z przyjęcia jak najlepiej wróżyć można, gdyż księżna okazała się łagodną i przystępną, a nie zawsze taką bywała.

Powrót do domu starosty musiał być z pewnymi ostrożnościami połączony. Hawnul naprzód, do wrót doszedłszy, obejrzał podwórce, lękając się, aby którego z braci Jagiełłowych lub starszyny dworskiej nie spotkali. Służby wprawdzie kręciło się tu mnóstwo, ruch był na zamku wielki, lecz szczęściem sama czeladź tylko, niewolnicy, parobcy przed wieczorem się krzątali, nosząc drwa do łazien, obroki do stajen i zapasy do kuchen potrzebne.

Wśród tej gawiedzi różnorodnej i różnoplemiennej Semko z łatwością rozpoznawał niewolnika wszelkiego: Polaków, Niemców, Rusinów, Tatarów. Niektórych po kilku przeprowadzali dozorczy zbrojni, na znak zwierzchności białe laski mający w ręku. Inni pookowywani byli w dyby, a ci co w ucieczce zostali pochwytni, z pogolonymi włosami i brodami, skuci byli w łańcuchy.

Wielki przepych i bogactwo łączyło się tu wszędzie z jakąś dzikością i zaniedbaniem. Dworce samego Jagiełły, obszerne, na zewnątrz mniej się czysto i strojno stały niż starej matki jego. Dwór też, nawet bliżej stojący osoby pana, odziany był z prosta i niewytwornie.

Przeszedłszy nie postrzeżeni dziedzińce i wrota, zwrócili się znowu do domu starosty, który do siebie księcia na posiłek zapraszał, ofiarując się potem sam przeprowadzić go na powrót do klasztoru. W małej izbie, na ustroniu, nie chcąc, aby ich kto zszedł niespodzianie, przyjął Hawnul gościa wytwornymi łakociami i wyborym winem.

Pomimo iż Semko rad być mógł z dnia tego i nadziei, jakie mu Julianna czyniła, przez cały ciąg pobytu u Hawnula pozostał chmurnym i milczącym. Przyczyniało się może do tego i wspomnienie dziwnego spotkania z ową piękną twarzą, która na młodym panu uczyniła wielkie wrażenie, namiętność jakąś zbudziła.

Nie wahał się nawet dopytywać o nią starostę, a ten, z opisu wnosząc, domyślał się w nieznanym księżniczki Olgi¹⁵, najmłodszej siostry Jagiełłowej. Wszystko, co o dziewczęciu mówił Semko, zgadzało się z tym, co staroście o niej wiadomym było. Olga była chrześcijanką i Hawnul wiedział, że matka nie inaczej jak za chrześcijańskiego księcia wydać ją chciała.

Po krótkim wypoczynku, gdy się już nazad do klasztoru wybierać mieli, wbiegło pacholę, pilno szepcząc coś panu swojemu do ucha. Hawnul porwał się z siedzenia.

— Jagiełło powrócił i ja muszę do niego — rzekł żywo — racz się książę chwilę zatrzymać, a potem służba moja odprowadzi bezpiecznie do ojców naszych.

Zniknął natychmiast starosta, a po niedługim oczekiwaniu zjawił się milczący Niemiec, pokłonił i dał znak, że jechać mogli. Wkrótce, przebywszy przedmieścia, stanął Semko u furty klasztornej, gdzie

go powitał przełożony, dopytując o wrażenie, jakie na nim zamek i dwór uczynił.

Młody książę niewiele umiał powiedzieć, czuł nade wszystko, że mu to jego tajemne posłannictwo, z jego dumą i charakterem niezgodne, ciążyło wielce.

— Ojczy mój — rzekł w końcu ręce podnosząc do góry — niewiele widziałem, a mniej jeszcze rozumiem, co się u was dzieje. Proście Boga za mną, aby czas tej próby ciężkiej skrócił, bo zaprawdę, nie nawykły do skrywania się jak złoczyńca, gdyby to dłużej trwać miało, rzucę wszystko i popędzę do domu. Podjąłem się nie swojej rzeczy. Starszego tu i wytrawniejszego niż ja potrzeba było człowieka.

Do swobodnego rozkazywania w domu nawykły Semko czuł się niemal więźniem w tej małej zagrodzie i wyrzucał sobie, że się dał zakuć w taką niewolę.

Nazajutrz z rana poszedł jak zwykle na mszę świętą, zjadł, legł na postanie, ludzi swoich przywołał, o konie rozpytał i nakazał, aby do drogi na skinienie byli gotowi. Męczyła go zwłoka i upokarzające oczekiwanie. Niekiedy przychodziły mu na myśl niebieskie oczy wczorajsze, ale zbliżyć się do nich nie miał już nadziei.

— Choćby i siostrą Jagiełły była — mówił sobie — nie gorszy jestem od innych książąt, wziąć bym ją mógł, ale któż wie, czy istotnie księżniczką jest, a nie ulubioną jaką starej niewolnicą.

Bawił się dziecinnie myślami tymi, aby o istotnym frasunku zapomnieć, gdyż upływające nadaremnie godziny niecierpliwość i oburzenie zwiększały. Poganin ten śmiał jego, potomka Piastów, tak przyjmować, jakby zbiegiem był jakimś potrzebującym łaski jego! Gniew rosł coraz bardziej, gdy z południa nadbiegł Hawnul, żywo i wesoło a głośno dopytując już w podwórku o księcia. Semko znudzony i stęskniony wybiegł na jego spotkanie.

— Księżna Julianna mówiła już z synem — począł Hawnul. — Z początku gniewem się uniósł wielkim, nie chcąc ani słuchać o zdrajcy. Powoli go jednak ułagodziła. Namyślił się sam i wezwał mnie, naradzał się z braćmi. Skirgiełło¹⁶ i Korygiełło¹⁷ byli przeciw zgodzie, Wigund za nią, Jagiełło też skłania się do niej. Chce widzieć się i mówić z wami. Dobry to znak. Jedziemy na zamek. Jagiełło jednak słusznie obawia się, aby was tu widziano i mówiono o waszym pobycie, a za wczesnie zdradzono, że się z Witoldem układa. Musimy wszystko w jak największej zachować tajemnicy. Wejdziemy na zamek przez dom mój, z którego mam kryty chód do dworca Jagiełły.

Na konie czekać długo nie potrzebowali. Semko uradowany, że się chwila wyzwolenia dla niego zbliżała, spieszył. Hawnul, znający dobrze Jagiełłę, zdawał się mieć nadzieję pomyślnego końca.

Szybko przebiegłszy przedmieścia, zsiadli przed domem starosty pod murami. Hawnul, wprowadziwszy do wnętrza ciemną szyją jakąś i ciasnym przejściem, opatrzonym żelaznymi drzwiami, wprost Semka na dworzec wielkoksiążęcy wiódł.

Sieni pełne były zbrojnej służby, dziwacznie uzbrojonej i strojnej. Ustępowała ona, widząc Hawnula, który wszedł potem do komory dużej, przyciemnionej, różnej wcale od izb księżnej matki.

Nie widać tu było nie tylko przepychu, ale starania o wygodę, starodawna prostota i zaniedbanie panowało. Na ścianach powbijane rogi jeleni i łosiów dźwigały poczepiany oręż i myśliwskie przybory, podłoga prosta posypana była jedliną i jałowcem. Okna małe skąpo światło przepuszczały. Semko dostrzegł nad progiem we wgłębieniu ustawione dziwaczne bałwanki drewniane, niezgrabne, obudzające wstręt i obawę. Dla niego było w nich coś szatańskiego.

Drogi od drzwi do drzwi prostym suknem grubym były powyścielane. Na ławach miasto poduszek i kobierców wyszarzane, poskładane w kilkoro, wisiały wojłoki.

Wszedłszy do izby, nie zastali w niej nikogo.

Hawnul ostrzegł Semka, aby gdy wyjdzie Jagiełło, zbyt natarczywie nie przybliżał się do niego, gdyż księżę obawiał się tego i od wszystkich trzymał z daleka. Wpojono mu od dzieciństwa wiarę w czary i postrach trucizny, która się samym dotknięciem udzielić mogła.

Zostawując księcia samym, Hawnul wyszedł i natychmiast powrócił. Czekali w milczeniu.

Ze zwróconymi na drzwi oczyma stał księżę, za każdym szmerem spodziewając się wejścia Jagiełły, lecz upłynęło czasu dosyć, nim z wolna, ostrożnie zaczęły się uchylać podwoje, a w nich ukazała na pół postać mężczyzny średniego wzrostu, w sile wieku, z twarzą przystojną i czerstwą, która nieco przedłużonym swym kształtem rysy matki przypominała.

Z powierzchowności trudno w nim było poznać możnego władcę Litwy. Miał na sobie futerko szarym suknem bez żadnych ozdób pociągnięte, a prostym pasem rzemiennym ujęte. Szyja była obnażona, spadał na nią bujny włos ciemny.

Silnej budowy, krzepki, zahartowany, Jagiełło miał w twarzy dziwny wyraz męstwa zarazem i siły, a jakiejś obawy i niepewności. Oczy biegały żywo i niespokojnie, jakby czegoś niespodzianego szukając. W rysach tych była mieszanina wielu odcieni trudno godzących się z sobą, powaga, pewność siebie, zabobonna obawa i dobroduszna łagodność. Tej jednak zdawał się nie chcieć okazywać jawnie, czując się obowiązany swą dostojnością do wraźnia trwogi. Zmuszał się do surowości, która mu nie przystawała.

Wstąpiwszy na próg, miał już wniknąć, zawrócił się nagle, obrócił parę razy w kółko, rzucił coś z palców zgnieconego na ziemię, drzwi roztworzył szybko i przestąpiwszy próg, na którym się był zatrzymał, począł iść ku Semkowi, przypatrując mu się pilno, śledząc każdy ruch jego.

Księżę mazowiecki pozdrowił go. Jagielle usta się poruszyły, jakby jakieś szeptał zaklęcia. Hawnul stał z boku.

Uwiadomionym był już Semko, że księżę najchętniej i najłatwiej po rusińsku mówił, ale i polską ówczesną mowę łatwo rozumiał. Czesi, Polacy, Serbowie łużyccy i Ruś nie potrzebowali naówczas, spotykając się, tłumaczy; języki te w prostej mowie ludowej, a innej nie było jeszcze, bliżej były sobie niż dzisiaj.

Jagiełło potrzebował widać wprzód wpatrzeć się w gościa swojego i przez wzrok powziąć jakieś

wrażenie, które mu charakter odgadnąć pomogło. Nie spuszczał z niego oczu niespokojnych. Krok za krokiem szedł i stawał. Na pozdrowienie Semka nim odpowiedział Jagiełło, dał wprzód znak Hawnulowi, który się ku drzwiom w głąb cofnął.

Głos, którym się odezwał do gościa, był pospieszny, niewyraźny, bełkotliwy, tak że pierwszych kilku słów nie mógł ksiązę zrozumieć.

— Wszystko już wiem, wiem — dodał, zabierając miejsce na ławie i siedzenie w pewnej odległości od siebie wskazując Semkowi — przysyła was ten... Wojował ze mną krwawo, Niemcom służąc... Spotwarzył mnie przed ludźmi za Kiejstuta... Nieprawda, kłamstwo jest, no, a teraz pokoju chce? Ale i Krzyżacy mi obiecują przymierze i zgodę, oni szlą listy do mnie i do matki. Witold powróci, a jutro zbuntuje się znowu...

Rozpostarł ręce szeroko.

— Nie wierzę mu — nie mogę! No, i wy mi wrogiem byliście i jesteście. Wkoło wrogi! Miecza do pochew nie można położyć, nieustannie wojować trzeba a wojować i bronić się. Dopiero pobiwszy, pokój mieć będę.

— Ale do wojowania sprzymierzeńców potrzeba — rzekł Semko.

— Przymierze! — zawołał Jagiełło. — A komuż wierzyć? Piszą, pieczętują, przysięgają, byle się zrzeczność nadała, zdradzą.

— Wojowaliśmy z sobą o granice i o graniczne napaści — odezwał się Semko — choć ufam, że więcej tego nie będzie; nie możecie mi jednak zarzucić zdrady.

Jagiełło popatrzał nań i nieco się uśmiechnął.

— Wy? — odparł. — Wyście jeszcze czasu nie mieli na to.

W ten sposób ogólnikami zagajona rozmowa nadzwyczaj szła powoli, końca jej przewidywać było trudno.

Jagiełło wahał się i mierzył słowa ostrożnie. Czasem nagle wtrącił pytanie zupełnie obce sprawie, o którą chodziło. Zaczął Semka badać o Krzyżaków, czy co o ich zamiarach nie wiedział. Możliwi było na zachowanie przez nich rozejmu rachować? Wielkili był zjazd obcych gości? Czy się nie zbierali na jaką wycieczkę?

Sąsiedztwo Mazowsza z Krzyżakami usprawiedliwiało te pytania, a Semko nie taił się z tym, że u Krzyżaków był, gdzie się z Witoldem spotkał. Na przygotowaniach tych dosyć stracono czasu.

Na stole przygotowane już wcześniej stało wino i woda. Jagiełło zaprosił Semka, nie pijąc do niego i tłumacząc się tym, iż nigdy nic nie używał oprócz wody. Młody gość do tego napoju ochoty nie miał.

Zdawało się potem, że się tak próżno rozejdą, nic nie uczyniwszy, gdy Jagiełło, na którym

widocznie dobre jakieś wrażenie czynił Semko swą otwartością i obyczajem rycerskim, nagle zmienił ton, poweselał, zmiękł, zbliżył się do niego i przeszedł niespodzianie do przyjacielskiej poufałości. Ta zmiana nagła mogła być tylko zrozumiałą dla tych, którzy lepiej Jagiełłę znali, broniącego się pierwszym wrażeniem, a mającego serce miękkie i potrzebujące sobie jednać ludzi. Starał się poznać Semka, polubił go, przestał się lękać i stał się łatwym a przystępnym.

Rzuciwszy na bok wstępne wszelkie omówienia, Jagiełło zaczął mówić otwarcie.

— Prosiła mnie matka za Witoldem, wy także za nim mówicie. Niechże się stanie, jak żąda, ale on zdradzi mnie znowu! Zobaczycie! Spróbować potrzeba, wszyscy mnie do tego popychacie. Niechże wraca, dam Krewa i ojcowiznę, dam! A kto za niego zaręczy?

— Mieć go sami będziecie w ręku — odparł Semko uradowany.

Wielki książę poruszył się nie odpowiadając i uśmiechnął. Twarz mu się wypogadzała.

— Witold prosi, aby kogoś do niego posłać na Żmudź, on tam zjedzie dla omówienia się o szczegóły — dodał Semko.

— Dobrze, pošlę do niego Hawnula — odpowiedział Jagiełło. — Jemu jednemu wierzę. Tajemnicę trzeba zachować.

— Oznajmię mu więc łaskę waszą! — zawołał, dziękując, Semko.

Skinął tylko głową milczący Jagiełło, a po chwili namysłu rażno porwał się z ławy.

— Wpadniemy razem na tych łotrów Krzyżaków — zawołał — wówczas, gdy się najmniej będą spodziewali! Zadamy im klęskę! Pomścim się! Pomścim! Jest za co szukać odwetu!

Westchnął, oczyma potoczywszy dokoła.

— No, i ja dla siebie i brata o pokój was proszę — dodał Semko. — Uraz sobie zapomnijmy wzajemnych.

— Tak — roześmiał się Jagiełło — a gdy my padniemy na Krzyżaków, i wy z nami, wy z nami...!

Semko głową dał znak przyzwalający, że i na to by był gotów.

— Czyjej oni ziemi nie powydzielali — mówił żywo wielki książę — mojej, waszej, polskiej naokół schwycili, co mogli, na cudzym siedzą, na naszym. Napłynęło ich jak szarańczy, gorsi od Tatarów, bo rozumniejsi od nich. Wszystkie sztuki złe znają, wszelki duch nieczysty im pomaga.

Ożywiał się i ostygwał na przemiany, mówiąc, Jagiełło. Pierwsza nieufność względem Semka ustępowała, młode chłopię pociągało go ku sobie... Chytrości i kłamstwa w nim nie czuł.

Tak w chwili, gdy się może najmniej dobrego skutku poselstwa swojego spodziewał, Semko ujrzał u celu swych życzeń.

Wszystko zdawało się skończone, ale wielki książę nie odpuścił go od siebie. Raz otworzywszy się przed nim, potrzebował wynurzać; zaczął znowu na Witolda się uskarżać i wyliczać straty poniesione z jego powodu.

Semko mało co mówił. Zaczynało robić się późno i korzystając z pierwszego zwrotu rozmowy, książę mazowiecki żalił się, iż mu tak pilno było powracać nazad, dla doniesienia Witoldowi, aby się on przygotował już do wspólnego wystąpienia przeciw Krzyżakom. Chwili nie było teraz do stracenia. Skarżył się też, że własna sprawa jego na rozruchy wielkopolskie bacznym być kazała.

Jagiełło już był zawiadomiony o tym, co się w Polsce działo, a szczególnie w Wielkopolsce.

— Myślicie i wy tam pójść wojować? — zapytał. — Niemca Polacy podobno nie chcą?

Semko do starań o koronę nie myślał się przyznawać, tłumaczył się tym, że granic trzeba było pilnować.

— Pozwolicie mi więc — dodał w końcu — abym jutro wybrał się z powrotem.

Zawahał się nieco i popatrzał Jagiełło.

— Jutro? — Ja myślałem wziąć was na łowy z Wigundem. Wy takiego zwierza u siebie nie macie.

— Pilniejsze łowy czekają na mnie — rzekł Semko — a i ukazywać się tu nie godzi, gdyż Krzyżacy wszędzie szpiegów mają. Spieszyć mi potrzeba.

Nie sprzeciwiał się Jagiełło, ale powołał Hawnula, bo Semko choć drobny jaki znak mieć żądał i dowód, że poselstwo spełnił. Umówiono się więc o pismo bez pieczęci, dwuznaczne, które by tylko Witoldowi zrozumiałym było. Starosta przygotować je obiecywał. Wielki książę zaś dla pośpiechu Semkowi ofiarował pewnych ludzi orszak, mający go wprost do granicy przeprowadzić. Spuścić się na ich wiarę i milczenie było można, bo głowy i życia ręczyły.

W chwili rozstania znikły wszelkie ślady nieufności. Jagiełło stał się ożywionym, dobrodusznym, serdecznym. Semkowi w przyszłości braterską przyjaźń przyrzekał i chciał jej od niego. Już byli u drzwi, gdy Jagiełło matkę swoją przypomniał i Semka zatrzymał.

— Nie może to być, kniaziu — odezwał się — abyście odjechali bez pożegnania i wielkiej księżnie Juliannie się nie pokłonili. Jej my winniśmy zgodę. Bez niej by mi serce dla Witolda nie zmiękło. Idźcie, a pozdrówcie ją.

Przystał książę na to słuszne żądanie, przyszło mu na myśl, że może znowu swą niebieskooką zobaczy. Młodość przy najważniejszych sprawach nigdy o sobie nie zapomina. Hawnul jednak porę znalazł niewłaściwą.

— Jutro — rzekł po wyjściu z dworca i prowadząc Semka do siebie — nie będziemy się już potrzebowali tak bardzo z sobą ukrywać. Nikt nie wie, kto jesteście, a książąt obcych tu zawsze pełno. W biały dzień pójdziemy do księżnej.

Obiecywał tymczasem Hawnul podróźny orszak przygotować i szepnął, że podarki ma rozkaz wydać, pod które kilka koni także pójść musi. Nie mógł się tym obrazić ani dziwić Semko, gdyż podarki takie zwyczajem były, ale mu przykrym było, że on ich przywieźć z sobą nie zdołał. Hawnul rozumiał dobrze, iż tajemnie jadąc, obarczać się nimi nie było podobna.

Dar Jagiełły składał się z kilku naczyń i mis srebrnych, sukna szkarłatnego i sobolów. Gdy Semko za nie dziękował, starosta przerwał.

— Mała to rzecz, i gdyby nie to, że was obciążać się nie godzi, Jagiełło wspanialszy by się okazał. Nie znam pana, który by ochotniej dawał, a obojętniejszym był na to, co mu ludzie przynoszą. Bogactw siła mamy, a księżę nasz dla siebie nie potrzebuje ich wcale. Jak go dziś widzicie, takim zawsze jest, prostego obyczaju i życia. Najmniejszy z dworzan jego więcej potrzebuje i wymaga. Nie pije nic oprócz wody, je toż samo co czeladź jego, na łowach nieustannych przywykł do niewygód wszelkich, w sukniach wspaniałych się nie kocha. Najmilszym mu, gdy koło siebie wesołymi widzi tych, którym dobrze uczynił. Zaprawdę godzien chrześcijaninem być ten, który już ma wrodzone chrześcijańskie cnoty! O, gdybyście go jak ja znali!

Semko milczał. Rad był wierzyć temu, co słyszał, ale przypominając sobie pierwsze ukazanie się Jagiełły i początek rozmowy, późniejszej dobroduszości i wylania się zrozumieć nie mógł.

— Tak — dokończył Hawnul — aby go miłować jak ja, znać go, jak ja znam, potrzeba.

Rozdział II

Nazajutrz do dnia w kościółku Ojców Franciszkanów ksiądz Paweł przełożony mszę świętą dziękczynną odprawił, klęczał, słuchając ją, Semko, winszując sobie, dziękując Bogu, że go z lekkomyślnego przedsięwzięcia wyzwolił szczęśliwie.

— Bracie Antoniuszu — rzekł, wychodząc z nim razem po nabożeństwie — przygotujcie się. Bodaj nam dziś jeszcze wieczorem na powrót wyruszyć wypadnie.

— Czyż Miłość Wasza tak bardzo mnie teraz potrzebujecie? — odpowiedział z wahaniem i obawą staruszek. — Tutaj braci naszej maluczko, jeden niedawno rozstał się z tym światem, przenosząc do lepszego. Nierychło się doczekają posiłku nowego, a ludzi im potrzeba. Proszą mnie bardzo, abym pozostał z nimi. Po Wielkiej Polsce teraz za jałmużną chodzić próżno, gdzie ziemianom samym kawałka chleba brak.

— Więc chcielibyście pozostać? Wy? — zapytał zdumiony ksiądz.

— Ojciec Paweł życzy sobie tego. W kościółku mu zakrystiana brak, w klasztorze rąk. Jam, dzięki Bogu, silny jeszcze.

Semko zwrócił się ku przełożonemu, który stał milczący.

— Brat Antoniusz chce mnie opuścić — rzekł.

— Ale tylko za przyzwoleniem Miłości Waszej i zgodą — odparł przełożony. — Bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdybyśmy go pozyskać mogli. Młodszej braci przy nim raźniej by szło, bo to żywy przykład klasztornej cnoty.

— A! a! Ojczy, niedołęga jestem — wtrącił skromnie Antoniusz.

Semko nie sprzeciwiał się żądaniu, pomyślał tylko, że gdy mu Kaukis i Wiżunas równie się upomną o obiecaną swobodę, z powrotem w drodze kierować się ciężko będzie.

Za to Jagiełło dawał przewód swoich ludzi do granicy.

Do południa z zamku nie nadeszła wiadomość żadna, aż nadjechali Hawnul, a z nim dwu konnych, którzy podarki wielkoksiążęce wieźli. Wspaniałe były i kosztowne, i za nie godziło się podziękować. Ale Jagiełło do dnia już był na łowy do Miednik¹⁸ wyjechał, nie żeby podziękowań uniknąć, ale dla tej namiętności, jaką miał do łowów, do lasów, do życia w polu, gdzie mu zawsze milej niż z ludźmi było.

Śmiejąc się począł żalić Semko przed starostą, iż mu przyjdzie wracać samemu, bo go towarzysze opuszczają. Hawnul ucieszył się nowiną, iż szczupłej gromadce ojców jego przybędzie pomocnik nowy, którego już przed nim przełożony wychwalał. Co do Kaukisa i Wiżunasa, tych natychmiast

przywołano, aby wiedzieć, czy na nich rachować było można.

Przez czas pobytu swojego na Litwie wyuczył się był Hawnul języka, który tu razem z rusińskim był urzędowym. Mówił nim łatwo. Gdy Litwini przyszli i padłszy na ziemię, bili czołem księciu i jemu, począł ich pytać, czy chcą z panem powracać, wiernie mu służąc, lub jako oswobodzeni pozostać. W takim razie innych w ich miejsce dać obiecywał.

Spojrzeni po sobie wyzwoleni, jakby się wzrokiem naradzali, a po chwili krótkiej wahania oświadczył Kaukis za obu, iż do Płocka księcia odprowadzą. Nie przyznał się z nich żaden, że choć własny kraj ten do serca im mówił, po długich latach niewoli już się w nim obcymi czuli.

Oprócz nich przez Jagiełłę wyznaczeni dobrze z drogami obeznani Litwini i Rusini do granicy Semka prowadzić mieli, nie było więc obawy o powrót bezpieczny.

Jechali z pożegnaniem na zamek do starej księżnej.

Tu znaleźli wszystko w tym samym porządku jak pierwszym razem, ale niebytność Jagiełły trochę podwórce opustoszyła. Semko, przechodząc dziedziniec, wielką miał ciekawość zobaczenia pogańskiej świątyni, której mury tylko i wieżę z dala widać było. Hawnul na zbliżenie się nawet do niej dozwolić nie chciał.

— Mieszkamy wprawdzie na zamku razem z najstarszym ich kapłanem krewekrewejtą i jego duchowieństwem, mamy pod bokiem główną ich świątynię, ale pomiędzy nią a dworem od dawna już zaszczepiona nieufność; od czasu, jak cerkiew stanęła dla księżnej, a pop Nestor przy niej mieszka, podejrzewają książąt kapłani, lękają się ich, czując wiary swej koniec bliski. Nikogo też do swojego ognia i ołtarzy obcego nie przepuszczają. Na najmniejsze podejrzenie gotowi są na gwałt uderzyć, a tłumy i gmin mają za sobą, szczególnie lud prosty, który na zawołanie wejdałotów gotów chrześcijan mordować, nie oszczędzając nikogo. Sam Jagiełło lęka się krewekrewejty, obdarza go i łagodzić się stara, aby mu gminu nie burzył, bojąc się nawet chodzić do cerkwi matczynej. Świątynia jest pilno dzień i noc strzeżona przez sługi krewy, a przystęp do niej trudny. Nie ma też tam do widzenia nic, oprócz kamiennego ołtarza, na którym ogień się pali, i brzydkich bożyszcz ich z drzewa, z żelaza, a nawet z prostych dzikich kamieni, za bogi czczonych... Skarby, jakie mają, w sklepach pod świątynią się ukrywają.

Pytał Semko, czy prawdą było, że dziewczęta wejdałotki¹⁹ ogień wieczny obsługiwały, co Hawnul potwierdził, dodając, że surowo ich strzeżono.

W stronę świątyni wiodła ubita ścieżka, ale wielkiego zbiegowiska ludu widać na niej nie było. Stała o tej godzinie pustą prawie dolina Swentoroła²⁰, dym tylko ciągle podsycany ponad mur gęstym słupem się unosił.

Zbliżając się ku terenowi księżnej Julianny, Semko postrzegł stojącą z boku w dziedzińcu gromadkę dziewcząt, która jakby świadoma ich przybycia czekać się tam zdawała. Ale wszystkie one miały tak osłonięte twarze, iż rozpoznać ich nie było można. Na widok nadchodzących, krótką chwilę tylko postawszy w miejscu, pospiesznie przepłoszone pierzchnęły. Zza słupów wychyliło się potem jeszcze parę głów biało okrytych, aby się przypatrzeć obcemu, a Hawnul, udający, że tego nie

widzi, spiesznie księcia wprowadził do sieni.

W sieniach powtórzyło się toż samo. Straż stała przy drzwiach, a w lewo szło obejście dworzec otaczające, rodzaj korytarza małymi oknami oświetlonego. Tu znowu znalazła się kupka kobiet ciekawych, która równie prędko, przestraszona, uciekła w głąb domu.

Księżna Julianna, jak pierwszym razem spodziewająca się tych odwiedzin, nie chciała przed gościem dwa razy pokazać się w jednym stroju i klejnotach. Wdziała więc na głowę inne czółko, niemniej bogato wielkimi, krągło szlifowanymi rubinami i smaragdami wysadzane, w kształcie korony, i pierścionie na ręce kosztowniejsze jeszcze, i łańcuchy złote zamiast pereł. Suknia też ciemna była przetykaną złotem, a obuwie na kształt sandałów świeciło kamieniami. Długa zasłona biała spadała od czółka na ramiona. Nie bez myśli też zapewne księżna tym razem wielki krzyż złoty na piersiach zawiesiła.

Na stole przed nią przygotowane już stały w złotych czarkach i rogach wina słodzone, na miskach podobnych przysmaki różne, owoce w miodzie i małe placuszki.

Weselszą twarzą powitała teraz Semka, który zbliżywszy się dziękował jej za skuteczne orędownictwo u syna, przyznając mu wszystko. Słuchała Julianna z uśmiechem smutnym na ustach i dumą, dając poznać, że jej to miłym było.

— Powiedzcież Witoldowi albo nakażcie do niego — odpowiedziała — że ja to uczyniłam dla pamięci matki jego, a zaklinam go na miłość dla niej, aby syna mojego najmilszego nie zdradził, szanował go i był mu posłusznym. Dał się Jagiełło skłonić prośbom moim, ale mnie tu wkrótce nie stanie, a przemówić nie będzie komu. Czekam tylko, abym córki z domu oddała, aby do monasteru wstąpić, za którym tęskni dusza moja. Świat ten już nie dla mnie, Bogu służyć chcę resztę życia.

Staruszka mówiła powoli, pilno się przypatrując Semkowi. Spytała go potem o lata, znajdując bardzo młodym. Zagadnęła, czy już o małżeństwie nie myślał, a miał jaką narzeczoną.

Książę, zarumieniwszy się, odparł, że czasy były niespokojne i więcej do wojny niż do wesela gotować mu się należało.

Dziwnie trochę potem księżna odezwała się, że dla córek swych książąt chrześcijańskich, bogobojnych a statecznych trudno jej znaleźć było, a Jagiełło sióstr za lada kogo wydawać nie myślał. Wyglądało to trochę na swaty lub na coś podobnego, dając Semkowi do myślenia. Ale teraz mu o ożenku nie godziło się mówić ani je osnuwać.

Musiał potem książę kubek za zdrowie księżnej wychylić i słodczy pokosztować.

Właśnie gdy książę do stołu przystąpił, a księżna zwróconą była ku niemu, Hawnul zaś stał tak, iż w głębi znajdujących się drzwi widzieć nie mógł, zasłona w nich naprzód się nieco odchyliła, potem nagle, szybko podniosła i oczom Semka na chwilę ukazała się w całym blasku młodości swej niebieskooka dziewczyna, o której nie mógł zapomnieć. Okryta jasnozieloną suknią jedwabną, oszywaną paskami złotymi, z wianuszkami złotymi we włosach, widocznie zjawiała się tylko dla niego, wybrawszy chwilę, gdy matka jej zobaczyć nie mogła ani starosta, który zresztą byłby jej nie

zdradził. Uśmiech wesoly zaigrał na jej ustach, główką dała znak powitania czy pożegnania i zasłona spadła, ukrywając ją znowu.

Oprócz Semka, który stał osłupiały i zachwycony, nie postrzegł jej nikt więcej. Zuchwałe to wystąpienie dziewczęcia dowodziło, że więcej być musiała niż służką, córką domu i zapewne ulubienicą matki. Na twarzy młodego księcia odmalowało się takie zdumienie, że łatwo go zdradzić mogło. Jakoż Hawnul, domyślając się czegoś, niespokojnie odwrócił się ku drzwiom, ale tu już nie było nikogo, drżała tylko zasłona.

Księżna Julianna tymczasem zdawała się badać twarz Semka i chcieć odgadnąć charakter. To, co słyszano o ojcu, mogło wpłynąć na sąd o synu. Ziemowit słynął z okrucieństwa i popędliwości. Na młodej i pięknej Semka twarzy trudno było wyczytać, co się kryło w jego duszy, chociaż śmiałe i bystre spojrzenie, usta mające wyraz dumny i nakazujący, spadek krwi w nim zapowiadać się zdawały. Nie raziło to naówczas, gdy energia i siła były warunkiem panowania najgłówniejszym i zwycięstwa w nieustającej walce.

Semko wzruszony widokiem, który go tak niespodzianie przerzucił w inny świat marzeń jakichś, nie mógł już tu długo pozostać i zaczął żegnać księżnę a dziękować jej, na co ona z macierzyńską jakąś odpowiedziała czułością i pobłogosławiła na drogę.

Semko, po zrobieniu bliższej znajomości z Jagiełłą, z matką jego i, jak się domyślał, z córką, czuł się do tego domu i rodziny pociągniętym.

Hawnul uważał, że i księżna okazała się dla obcego przybysza czulszą, niż dla innych być zwykła. Wszyscy, co ją bliżej znali, opowiadali o jej surowości i wstręcie do obcoplemiennych. Dla księcia mazowieckiego okazała się prawie serdeczną. Zapytała go jeszcze o drogę, jaką miał przebywać, o bezpieczeństwo w podróży, o orszak towarzyszący i po błogosławieństwie, zdjawszy z palca pierścień z rubinem wielkim, podała go uśmiechając się księciu.

— Przyjmijcie go, proszę, ode mnie z błogosławieństwem — rzekła — a nie oddawajcie nikomu, chyba przy zrękowinach przyszłej waszej niewieście.

Tak się rozstali i Semko wyszedł dziwnie zmieszany, a Hawnul musiał to sobie wytłumaczyć wielką uprzejmością starej księżnej, której dziwił się zarazem i wieszował mu.

Semko chciał tegoż dnia jeszcze wybrać się w drogę, musiał więc spieszyć nazad do klasztoru, chociaż Hawnul puszczanie się przeciw nocy odradzał, jeźliby księżę nie chciał, do Trok dociągnawszy, na zamku nocować. Na wszystko godził się już Semko, byle nazad do Płocka podążyć, gdyż sprawy wielkopolskie i słowo dane Bartoszowi nagliły do powrotu.

Pożegnawszy więc starostę, brata Antoniusza, który już suknię zakonną wdział i ochoczo się krzątał około klasztoru i kościoła, obdarzwszy ojców, pomimo zbliżającego się wieczora Semko z dodanymi mu ludźmi i własną czeladzią gościńcem ku drogom wyruszył.

Podróż ta obiecywała się być daleko spieszniejsza, gdyż dodany przewód, złożony z ludzi doskonale z krajem obeznanych, świadomych dróg, oszczędzał czasu wiele. Semko też ani siebie, ani

towarzyszów swych nie szczędził, a koniom dawał ledwie tyle wytchnienia, ile było potrzeba, aby go do Płocka doniosły. Popasano krótko, z noclegów ruszano do dnia, omijano osady, a Jagiełłowa straż doskonale umiała wszędzie potrzebne znaleźć zapasy do życia.

Brakło Semkowi w drodze milczącego lub modlącego się zakonnika, do którego czasem mógł przemówić słów kilka albo z nim razem się pomodlić, ale miał teraz myśleć o czym, a w miarę zbliżania się do granicy niecierpliwość rosła.

Na kraju litewskich borów rozstali się z nim Litwini, Kaukis objął znowu dalszy przewód. Kaukisowi, Wiżunasowi i czeladzi pod gardłem nakazano, aby o podróży mówić nie śmieli nikomu. Groźba ta starczyła, aby im zamknąć usta. Znano surowość książąt i Semka, gdy był dzieckiem, popędliwość.

Rankiem mroźnym, przebiegłszy pędem uliczki miasta, Semko nagle, piorunem wpadł znowu na swój zamek płocki, jak gdyby z łowów powracał.

Z bramy już rzuciwszy okiem we wnątrz podwórców znalazł je wcale innymi, niż porzucił. Pełno tu było obcych ludzi, koni i wozów, gwar i ruch panował wielki. Poznał dworzan i czeladź mazowiecką brata Janusza, i orszak zbrojny Wielkopolan Bartosza z Odolanowa. Oczekiwano tu na niego.

Pierwszy, który go przy zsiadaniu z konia pochwycił, był brat Henryk, tak dziwacznie jak zawsze ustrojony, pół po duchownemu, na pół po świecku.

— Semko, co się z tobą stało?! — krzyknął, cisnąc się ku niemu. — Wszyscy o ciebie w trwodze wielkiej. Posłano w lasy szukać i trąbić! Myśleliśmy już, że cię dzikie bestie zdrapały gdzie albo Litwa w niewolę uprowadziła. Coś ty robił? Gdzieś bywał?

— Alboż nie jestem wolen robić, co chcę? — odparł szorstko Semko, zbywając się natrętnego chłopca, który szedł za nim.

W progu izby gościnnej zastąpili mu drogę Janusz, mierzący go oczyma niespokojnymi, i cały rozogniony Bartosz z Odolanowa.

— Nabawiłeś nas, Miłość Wasza, trwogą straszną — począł ostatni. — W takiej chwili, gdy każda godzina droga, gdy radzić trzeba i czuwać, was nam zabrakło, Miłościwy Książę. Wolelibyśmy sto kopij stracić!

Semko w czasie podróży już ułożył był sobie baśń dla wytłumaczenia niebytności swojej. Ludzie do niej zastosować się mieli. Kłamstwo stało się nieuchronnym, gdyż przyznać się do celu podróży nie mógł w żaden sposób i przed nikim. Janusz milczący mierzył go ciągle oczyma nieufnymi.

— Niepojętym sposobem obłąkałem się na łowach, zapędziwszy aż na samą litewską granicę — odezwał się Semko. — Ja i ludzie potraciliśmy głowy, śnieg drogi i ślady pozawiewał. Mogliśmy z głodu umrzeć, gdyby człowiek, któregośmy w puszczy spotkali, szczęściem na drogę nas nie wyprowadził. Smutno się łowy skończyć mogły!

Bartosz słuchał opowiadania milcząco, Janusz także, ale po obu poznać było można, iż powieści tej niewielką dawali wiarę, chociaż musieli ją przyjąć, jak była. Badać go nie śmiał nikt. On sam, opowiadanie chcąc prawdopodobniejszym uczynić, plątał się w nim coraz niezręcznie.

Henryk słuchający też z boku, a mniej mający względów dla brata, z dziecinną zarozumiałością ramionami poruszał i śmiał się. Oglądał się na stojących blisko i szeptał:

— Kłamie...

Po kilkakroć przerywanym i na nowo zaczynanym opowiadaniu księcia, które milczeniem przyjęto, Bartosz się pierwszy odezwał:

— Miłościwy Książę, wiem, że sami się z nami nie ruszycie, ale ludzi zbrojnych waszych nam potrzeba, na Boga miłego, aby Kalisza dostać. Domarat sam jeden ze swoim rodem trzyma się Luksemburczyka, inni o nim słyszeć nie chcą, Krakowianie go za granicę wyprowadzili, ale zamku mu ani powąchać nie dali. Musimy z czasu korzystać, Wielkopolska Piasta woła.

Semko słuchał marszcząc się. Wiedział, jak brat był przeciwnym wszelkiemu mieszaniu się w polskie sprawy, zamiast odpowiedzi odwrócił się ku niemu, jakby wyzywał do objawienia zdania. Janusz, który już siadł był za stół, podparł się i milczał.

— Słyszycie? — rzekł do niego Semko.

— Od wczoraj tylko tego słucham — chłodno odpowiedział Janusz — ale przy swym stoję. Niech Wielkopolanie robią, co chcą, nie nasza to rzecz. Nie pora się mieszać. Kto ma ochotę w kości grać, niech za kubek bierze, a ja kosterstwa²¹ ani życzyć ani do niego należeć nie myślę.

— Nie namawiamy was — wtrącił Bartosz — choć brat królem złą dla was rzeczą nie będzie.

Janusz usta wydał i ręką zamachnął. Nie miał wiary w obiecane królestwo. Zbyt wiele osób otaczało ich i słuchało rozmowy, aby ktokolwiek chciał się otworzyć z tym, co myślał. Jeden Bartosz nie taił się z tym, co czynił. Semko szczególnie zwracał uwagę na brata, w którym już teraz pewne zubożenie i oswojenie się z myślą o koronie dostrzegał.

Odolanowski pan, cały przejęty i rozgorączkowany, ciągnął dalej: — Zechcecie czy nie, okoliczności was zmuszą przyjąć osieroconą koronę, do której nikt prawa nad was większego nie ma. Oczyszczymy wam pole. Nie żądamy, abyście się sami mieszały do sporów i naszych waśni, ale posiłków na gwałt potrzeba i tych nam odmówić nie możecie.

Semko jeszcze milczał, dał znak Bartoszowi tylko, że nie pora o tym rozprawiać. Dwór z wolna rozchodzić się zaczął, zastawiono stół, rozmowa wzięła się o sprawach obojętnych. Henryk, nie mogąc doczekać, czego sobie życzył, zniecierpliwiony wybiegł. Bartosz milczał zmuszony, lecz widać było, że czekał tylko chwili, aby powrócić do tego, z czym przybył. Zostali wreszcie sami książęta, odolanowski pan i stary Socha. Natychmiast, okiem po izbie powiódłszy, Bartosz począł:

— Miłościwy Książę, po ludzi przybyłem. Wojewoda bez was dać mi ich nie chce, a ja pilno

potrzebuję.

Semko spojrział na Janusza, zachmurzonego i milczącego, potem na Sochę.

— Ludzi mam gotowych — odezwał się wojewoda — ale tych bez rozkazanego pańskiego dać nie mogłem.

Młody książę poruszył ramionami.

— Zaprawdę — rzekł — gdybym ja od Bartosza zażądał posiłku, pewno by mi go nie odmówił. Sąsiedzka to sprawa. Nie widzę, dlaczego bym nie miał przyjść w pomoc staroście. Sam mieszać się nie mogę ani też żądają tego po mnie.

Janusz z uwagą wielką słuchał brata i twarzą wyjaśniającą się potwierdzał słowa jego.

Bartosz obrócił się do Sochy:

— Panie wojewodo, słyszeliście? Macie ludzi pogotowiu?

— Znajdą się — odparł Socha.

— Rychło?

— Choćby jutro — rzekł stary chłodno.

— Na rany Pańskie, i dziś jeszcze byłbym im rad! — zawołał Bartosz. — Kalisza dobyć potrzeba!

Nie chcąc już czynnie należeć do układów z Bartoszem, Semko się zbliżył do brata i cichą rozpoczął z nim rozmowę.

W izbie gwar powstał, gdyż w tejże chwili na pomoc Bartoszowi wtargnęli dwaj z nim przybyli powinowaci jego Nałęczce, krwi gorącej ludzie, a Sosze chorąży nadszedł na odsiecz. Wzięły się więc rozprawy, w których ani Janusz, ni Semko udziału nie mieli, odpierając milczeniem, gdy się do nich odwoływano.

Natychmiast Henryk, który znowu się wcisnął do izby i stanął przy Bartoszu, oświadczał się z gotowością rzucenia natychmiast sutanny za płot i siadania na koń. Pozbywano się go milczeniem, co go jeszcze bardziej niecierpliwiło.

W parę godzin po przybyciu Semka Socha zmuszony do posiłkowania Bartoszowi musiał już wydać rozkazy. Ludzie się rozbiegli ściągać oddziały przygotowane, a na zamku tłumno było i gwarno, że się precisnąć ledwie mógł, kto z miasteczka przychodził.

Na to potrzeba było zręczności, gibkości i wprawy Bobrka, który wszędzie i zawsze wcisnąć się umiał, nawet tam, gdzie już dla nikogo miejsca nie było. Właśnie w chwili, gdy ludzie z Semkiem powracający z końmi do szop ciągnęli, klecha powracający z miasteczka znalazł się we wrotach, jednym wejrzeniem rozpoznał, co się tu działo, i zamiast do izby kanclerza, dokąd był powinien,

rączy się ku stajniom posunął.

Podróż księcia, której celu dotąd się nie mógł dobrać, była dla niego teraz zadaniem najważniejszym do rozwiązania. W czasie niebytności jego tropił po wszystkich kątach, szukając o niej wiadomości jakiejś, skazówki najmniejszej, ale nic zdobyć nie mógł.

Najszacowniejszym źródłem dla wyciągnięcia czegoś zdawała mu się bliższa znajomość zawiązana z Błachową i Uliną. Stara była bardzo pobożna, wziął ją na lep wielce skutecznych modlitw i zaklęć, przeciw wszelkim sprawom złego ducha, których umiejętnością się szczycił. Przy niej przybierał tak skruszoną i namaszczoną postawę, tak miodowymi do niej przemawiał słowami, tak pochlebiał zręcznie, iż Błachowa widziała w nim niemal świętego człowieka.

Starał się razem przypodobać pięknej Ulince, ale tu mu się nie powiodło. Instynkt jakiś budził w niej odrazę do tego człowieka, który jej śmierdział kłamstwem. Były chwile, gdy i ona się zasłuchiwała, gdy opowiadał o świętych mężach i niewiastach, o cudach i przygodach cudownych, lecz lada nuta fałszywa, wejrzenie kosę, zdradzało jej człowieka niebezpiecznego. Ostrzegała o nim matkę, która oburzała się przeciw podejrzliwości i mówić nawet nic nie dawała na świątobliwego klechę. Przyjmowała go stara wieczorami z poszanowaniem sukni należnym. Karmiła, poiła i słuchała, dziwiąc się córce, która jak najdalej siadała w kącie i ani słówkiem do pobożnej nie mieszała się rozmowy.

Od nieopatrznej starej dowiedział się Bobrek bardzo wielu rzeczy drobnych, małego na pozór znaczenia, z których wnioski pewne wyciągnąć umiał. Próbował, czy i o podróży tej Semka nie da się co wybać, będąc przekonany, że cel jej dla niewiast nie był tajemnicą, ale Błachowa z groźnego wejrzenia córki zmiarkowała, iż się nie godziło pisać ani słowa.

Bobrek kilką modlitewkami przeciw różnym chorobom do noszenia na sobie przysłużwszy się, ofiarował i cztery ewangelie do zawieszenia w izbie, i paciorki jakoby z Ziemi Świętej przywiezione, za co łaski wielkie pozyskał. Ulinki jednak niczym sobie zjednać nie mógł, brzydziła się nim. Obawiając się tylko gadatliwości matki, stała zawsze na straży, gdy przychodził. Ciekawość jego była jej podejrzaną.

Z tego, co Błachowa opowiadała czasem o młodości księcia, jego podobieństwie do ojca, porywczoci, korzystał klecha, by sobie stworzyć pewne wyobrażenie o charakterze.

Zabranie w drogę Kaukisa i Wiżunasa rodziło w nim podejrzenie, iż podróż mogła prowadzić ku Litwie, jakkolwiek przypuszczenie mało prawdopodobnym się zdawało.

Spostrzegłszy powracających ludzi księcia Bobrek podkraść się pod stajnię. Trafił wprawdzie, jak się spodziewał, na pytania czeladzi, gdzie bywali, co się z nimi działo itp., lecz odpowiedzi były tak krótkie i niewyraźne, iż z nich nic się wyciągnąć nie dawało. Musiał więc w pomoc wezwać oczy, przypatrując się przyjezdnym, aby z tego, co wieźli z sobą, coś wywnioskować. Zdejmowano właśnie z koni wory z futrem i podarkami Jagiełłowymi, które do skarbcza odwieźć miano. Bobrek zapamiętał to sobie. Dostrzegł także, iż do liczby koni, które wyszły z księciem, przybyło dwa małe, wołochate, krępe, podobne bardzo do tych, jakie w Malborgu widywał przypędzane ze Żmudzi i Litwy. Wszystko to dla niego miało znaczenie wielkie, choć pewności nie dawało.

Ze stajni z tą zdobyczą pobiegł co żywiej do izby kanclerskiej i zasiadł do pisania, obiecując sobie dobrze uszy nastawiać. Księża kanclerza tu nie było, a chłopak od usług nie wiedział nic krom tego, że księżę wrócił, że się był w lasach obłąkał i o mało tam nie umarł z zimna i głodu. Bobrek, słuchając, uśmiechał się sam do siebie, rękawem twarz zakrywszy. Długo zwieszony nad papierem, skrobiąc po nim, czekać musiał na powrót kanclerza. Spodziewał się, że ten może się z czym wygada.

— Dziękiż Bogu — odezwał się zwracając do wchodzącego — że księżę pan zdrowo i cało powrócił. Modliłem się co dzień na intencję jego.

— Obłąkał się, słyszę, na tych łowach, bez których oni żyć nie mogą — rzekł kanclerz.

— I staruszka zakonnika, który księciu towarzyszył, gdzieś po drodze zgubili, bo go nie ma — rzekł Bobrek.

— Co znowu? — bystro spoglądając na niego, odparł kanclerz. — Braciszek do klasztoru powrócił dawno.

Klecha zaczął pisać znowu, lecz dnia tego przed oknem tyle się osób coraz nowych przesuwało, tyle miał do podsłuchiwania i wypatrywania, że niedaleko się posunął w rozpoczętym paragrafie. Dotrwał jednak dla niepoznaki aż do mroku nad pulpitem, spodziewając się zawsze pochwycić jakie niebacznie wymykające się słowo. Złożywszy wreszcie przyrząd swój pisarski i pożegnawszy pokornie kanclerza ucałowaniem ręki, zamiast powrócić do Pelcza na miasto, Bobrek zaszedł do Błachowej, aby i jej powinszować szczęśliwego księcia powrotu.

Zastał ją samą. Ulinka, czego się domyśleć łatwo, była u księcia. Stara u ognia siedziała zamyślona, smutna, drzemiąca.

— Niech będzie Pan Bóg pochwalony za to, że nam drogiego księcia powrócił — odezwał się do starej — takeście się o niego troskali!

Błachowa ogień poprawiła.

— Albo to my nim długo cieszyć się będziemy? — rzekła cicho. — Czekali już tu na niego... Żeby tylko nie skusili na wojnę... Wojewoda, słyszę, po ludzi na wszystkie rozesłał strony, a Bartosz czeka! Tam, słyszę, w Wielkiej Polsce i na Kujawach gotuje się jak w garnku.

— No to co? — zaśmiał się Bobrek. — Może mu koronę uwarzą! Wszyscy jej życzą, wszyscy mu ją przepowiadają. A i to dobry znak, że Krzyżaków nie będzie miał przeciw sobie, bo wiadomo, że pieniędzy dali księciu na tę wojnę.

Błachowa zmilczała. Nie rozumiała ona wiele, a obawiała się wszystkiego.

— At! — przebąknęła biorąc kądziel. — Gdyby rozum miał, siedziałby spokojnie doma jak nieboszczyk ojciec i brat, darmo by się nie zrywał. Koronę jak koronę, a guza złapie pewnie, i jeszcze. Boże uchowaj, na nasze Mazowsze Niemcy najadą.

Bobrek niezgrabnie skreślił rozmowę, bo mu pilno było skorzystać z niej, nim Ulinka powróci.

— Co to tam ludziska plotą — rzekł — jakoby się księżę na puszczy obłąkał i tyle czasu głodem marł. Toć to baśnie być muszą.

Stara popatrzyła niespokojnie, nic nie mówiąc.

— Niechbym ja albo taki drugi klecha, co się z lasem nie zna, puścił się bez drogi, juści by go pewnie wilcy zjadły albo zbójcy zamordowali, ale księcia z tylu ludźmi!

Śmiał się Bobrek. Ośmielało go to, że był sam na sam ze starą.

— Oczywiście rzecz — dodał — że Miłościwy sobie jeździł, kędy mu było potrzeba, o czym ludzie wiedzieć nie powinni, więc teraz plotą Bóg wie co, ale kto by temu wierzył!

Błachowa schyliła się do ognia.

— To tam — rzekła sucho — nie moja sprawa.

Klecha głową tylko kiwnął, usiadł na ławce w kątku, nie rozpaczął jeszcze, że ze staruszki coś dobędzie.

— Wyście już pewnie swojego Siemaszka widzieli — ciągnął dalej — bo on was jak matkę miłuje i szanuje.

— Jam mu też tak jak matką była — odparła stara wzdychając — ano, mówię zawsze, moja dola taka, zem wychowałam, z czego się cieszyć nie będę. Ludzie mi go odbierają!

Domawiała tych słów, gdy Ulinka wpadła z twarzą zarumienioną, oczyma jasnymi, wcale inna, niż ją Bobrek w czasie niebytności księcia widywał. Spostrzegła gościa, który na widok jej prędko z ławy powstał. Twarzyczka się zachmurzyła.

— Przyszedłem powrotu księcia wam powinszować — rzekł wstając.

Dziewczę, nic mu nie odpowiadając, szepnęło coś na ucho matce, spojrzało z ukosa na natręta i poszło do okna, dając mu uczuć, że mógłby sobie precz iść.

Błachowa już na wychodnym ulitowała się nad zbiedzonym chudziną i dała mu miodu kubeczek, klecha wypił go, pokłonił się i poszedł.

— Dziewczysko jakby księżniczką była, ani chce na ludzi patrzeć, a prosta chłopianka.

W dziedzińcu Bobrek miał szczęście spotkać się z księciem Henrykiem, u którego był w łaskach. Przy nim on dworował teraz wcale inaczej, gdy ludzie na nich nie patrzyli, pobożnego nie udawał, uczył go piosnek swawolnych, prawil powieści, których się u Krzyżaków nauczył, o niewiastach i o szerokim świecie, pomagał mu do śmiechu. Pewien rodzaj poufałości zrodził się z tych stosunków, chociaż klecha z Henrykiem ostrożnym być musiał, bo w żartach popędliwym bywał i okrutnym, a parę razy go okrwawił.

Skloniwszy się księciu w sposób błazeński, że czapką aż po ziemi powlókł, Bobrek zawołał:

— Chwalić Boga, mamy księcia z powrotem. Ale kędy bywał, sza! Prawią, że się w lesie obłąkał i głodem marł. Niech zdrów wierzy, kto chce!

— A ty co myślisz, trutniu? — rozśmiał się Henryk.

— A cóż ja wymyśleć mogę, kiedy nitki pochwycić trudno. Gdyby niteczka choć mała, doszłoby się do kłębuszka.

Młode książątko wtórowało mu śmiechem.

— Patrzaj tylko, gdy nitkę schwycisz, aby się z niej sznurek nie skręcił, na którym byś mógł wisieć! — zawołał.

Bobrek pochwycił się za szyję i głowę skrył w ramiona, a księżę mówił dalej:

— To prawda, że Semko nas okłamuje, ale ja dojdę, gdzie on bywał.

Towarzyszył klecha młodemu panu aż do drzwi probostwa, lecz Henryk już na niego ani spojrzał i Bobrek od progu zawrócił się do miasta.

Gdy nazajutrz o zwykłej godzinie na zamek przyszedł, długo musiał stać we wrotach. Wyciągali właśnie kopijnicy, jechał chorąży, szły wozy z przyborami obozowymi.

W podwórzach tylko resztką starszyny i mały oddział doborniejszych ludzi się znajdował o dwór księcia Janusza.

Czerski i warszawski księżę siedział z bratem za stołem, tak chmurny jak wczoraj.

— Nie chcesz mi się przyznać, że cię tam ochota wielka ciągnie — mówił do brata — ale ja widzę i czuję, że Bartosz głowę ci zawrócił. Daj Boże szczęście, tylko uchwytaj biedy, ja ratować nie mogę i nie będę.

— Widzisz przecie, że nie czynię nic — odparł Semko — a za to, co ludzie robią, jam nieodpowiedzialny. Wstrzymywać trudno, kiedy serce mają do mnie.

— Serce? — rozśmiał się Janusz. — Bodajeś tak zdrów był! Oni serce mają do kogo? Ty w to wierzysz, młoda duszo? Im potrzeba chorągwi, nie więcej, a znajdzie się lepsza, cisną w kąt naszą.

Zamilkli, bo Semko, nadąwszy się, nie odpowiedział nic.

— Dwu nas na świecie jest — dołożył po chwili Janusz. — Niechże choć jeden rozum ma, a ocaleje.

— Nie liczysz Henryka — wtrącił Semko.

— Bo nie ma go co do rodu liczyć, kiedy księdzem ma być — rzekł Janusz.

— Prawda, ale mu sutanna bardzo cięży, choć głowy jeszcze nie wygolono — rzekł Semko.

— Dzieciak! Wyszumi się to! — odparł Janusz.

Semko głową potrząsał.

— To mu ją włożemy gwałtem — rzekł zimno Janusz. — Ojca wola święta, ja nie dam się jej przeciwzić. Księdzem musi być!

Stanowczo i silnie wyrzekł te słowa Janusz i zamilkł. W człowieku tym, na pozór bardzo spokojnym i łagodnym, czuć było wolę żelazną.

Siedzieli znowu milczący, spoglądając na siebie. Janusz pomrukiwać zaczął:

— Nie poszedłeś sam, aleś ludzi dał. Nie kijem, to pałką. Jużes palca umoczył. Wola twoja, chciałem wstrzymać, a nie mogłem. Teraz, gdyś już począł, Semku, nie rzuć tak lekko, jak chwyciłeś!

Semko obrażony się rzucił.

— Za lekkiego mnie masz?

Starszy powolnie wzrok zwrócił na brata.

— Nie wiem jeszcze, jakim jesteś — rzekł. — Kiedy baba garnek na targu kupuje, dzwoni w niego palcami, dzwoni, patrzy, ogląda, czy wypalony, ale póki w nim wody nie zagotuje, nie jest nigdy pewną, czy garnek wytrzyma. W tobie, Semku, też woda się jeszcze nie gotowała, w ogień nie był.

Dumną postawę przybrawszy, młodszy nic nie odpowiedział. Janusz wstał, aby się pożegnać.

— Bóg szczęść — rzekł poważnie. — Pomnij tylko, com mówił, w nieszczęściu ratować cię nie będę mógł, bo obu nam przepadać nie można.

— Ależ przy pomocy Bożej — wybuchnął młody — ja wcale ginąć nie myślę, ale chorągiew naszą o dwu orłach podnieść wysoko!

Dziwnie uśmiechnął się Janusz.

— Pamiętaj tylko — dodał — że tam przy orłach dwu siedzą też na chorągwi dwa puchacze. Nierad bym, ażeby orłowie ulecieli, a puchacze nam zostały, bo to ptacy, co krzykiem swym nieszczęście wróżą.

Wyszli razem do przedsieni, gdzie starszego pana, jak go tu zwano, zgromadzili się żegnać wszyscy urzędnicy dworu i dowódcy. Przybiegł też Henryk z miną zuchwałą i niewiele uszanowania okazującą. Raził oczy jego strój nie zgadzający się z powołaniem i postawa żołnierska.

Spojrzał nań Janusz z ukosa.

— Ty — rzekł, zwracając się powoli do niego — módl się za nas wszystkich, to twoja powinność.

— Za młody jestem do tego — żwawo odparł Henryk — to starszych rzemiosło. Tymczasem wolałbym w pole ciągnąć.

— Z procesją chyba — rzekł Janusz surowo. — Wiesz dobrze, do czego cię ojciec przeznaczył, ja teraz miejsce jego zastępuję i wolę poszanować potrafię.

Ostatnie wyrazy z wolna, dobitnie dopowiedziawszy, dalszej rozmowy już unikając, Janusz konia dosiadł, ręką skinął zgromadzonym i ruszył ku bramie.

Po odjeździe Janusza to, co przy nim ukrywać się starano, wyszło na jaw. Semka od potajemnego niby uczestniczenia w wyprawie na Kalisz nie było sposobu wstrzymać. Udział jego miał być tajemnicą, lecz wszyscy o nim wiedzieli. Nie ukrywał się z tym Semko.

Ludzie otaczający księcia sądzili o tym różnie. Zdania były podzielone. Cieszyli się ci, co nic do stracenia nie mieli, a coś zyskać na tym mogli, lecz znaczna część starszych frasobliwą była.

Mazowsze przez czas długi używało spokoju i nawykło do niego, — narażało się, mieszając do wojny, na najazd nieprzyjaciela; od Domarata obawiać się tego nie było można, lecz w pomoc jemu mogli nadciągnąć Węgrowie, Czechy, a słuchy chodziły o namówionych Sasach i Brandeburczykach. Nie można też było ręczyć za Krzyżaków, choć na tę wojnę pieniędzy dali, ażeby z niej nie korzystali.

Na wielu twarzach malowała się trwoga, Semko tylko, gdy raz się ważył na krok śmiały, wesoło i całym sercem brał się do dzieła. Tyle było do czynienia w Płocku dla jego bezpieczeństwa, że znaczna część dnia upłynęła, a Semko nie był gotów jeszcze. Bartosz niecierpliwy przynaglał.

Wszedł wreszcie Semko do sypialni zbroję wdziewać i zastał tu Błachowę i Ulinę, które z oczyma czerwonymi od płaczu skóry z posłania zdejmowały, oddając je czeladzi na drogę.

Rażnie, ochoczo, z piosenką na ustach wpadł młody pan, spojrzał na kobiety, ludzi rozpędził i do Uliny się naprzód obrócił.

— Nie psujcież mi serca! — zawołał. — Nie szlochajcie i nie płaczcie! Idę z dobrą myślą i nadzieją, powrócę, da Bóg, ze zdobyczą...

— Jam od pochodu nie odradzała i nie odwodziła — odezwała się Ulina — ale teraz nie dziw, że matce i siostrze smutno a straszno. Jak tu nie zapłakać myśląc o wojnie!

Zbliżyła się do niego i ręką pogładziła długie jego włosy. Semko nawzajem rękę położył na jej ramieniu.

— Kądziel prząść — rzekł — piosenki zawodzić, a czas przejdzie rychło.

Wtem Błachowa płaczem wybuchła.

— Sokole mój — zawołała — weźmij krzyżyk ten pod zbroję, a jadąc do kościoła wstąp i niech Bóg cię strzeże! Wojownika nie wstrzymać.

Semko siadł zbroję wdziwać. Ulina zbliżyła się pomagając mu ją zapinać, ale ręce jej drżały. Sam on przypasał sobie miecz i mieczyk wziął do pasa, a hełm w ręce. Przystąpił do dziewczęcia i pocałował je w czoło, próżno chcąc utaić wzruszenie.

Ulina ręce zarzuciła mu na szyję, stara schwyciła dłoń jego okrytą żelazną rękawicą, chcąc ją pocałować raz jeszcze, ale Semko wyrwał się nagle i drzwi zamknął, za którymi płacz słychać było.

W wielkiej izbie czekali nań wszyscy, i ci, co mieli zostać, i co mu towarzyszyli. Stał i Henryk, któremu stanowczo wzbroniono udziału w wyprawie, namarszczony i gniewny. Gdy Semko zbliżył się do niego, aby go pożegnać, chłopię przybrało minę dumną i posępną, nie przemówiwszy ani słowa.

U ganku stały konie i ludzie, lecz księżę nie siadł, wskazując na kościół, do którego poszedł pieszo. Wszyscy mu towarzyszyli tłumnie, oprócz Henryka. Ten, w boki się wzięwszy, pozostał u ganku, jak gdyby kościół, któremu go mimo jego woli chciano poświęcić, wstręt w nim obudzał.

W progu czekało na Semka duchowieństwo z krzyżem i wodą święconą, ze śpiewem i modlitwą. Chwila była uroczysta, wszyscy pochylili głowy. Młody księżę czuł jedno to, że powrócić z niczym srom będzie, a ta korona, którą mu obiecywano, tak wysoko jeszcze unosiła się w obłokach.

Z ganku na cały ten obrzęd zazdrosnymi oczyma patrzył Henryk; z wieży, na którą pobiegła Błachowa i Ulina, we dwie siadły, płacząc, patrzeć na gościniec, którym Semko w świat na boje miał ciągnąć. Widać już było na nim idące poczty zbrojne i wozy, konnych wojsko doganiających. W stronie, ku której dążyli, ciemna chmura leżała, daleki zasłaniając widnokrąg.

Przed mieszkaniem kanclerza stał zadumany Bobrek, spoglądając to na Henryka, to po podwórzach opustoszałych. Myślał już, czy warto było tu pozostać dłużej lub do Torunia powracać, aby z nowymi poleceniami w inną wyruszyć stronę, gdzie by więcej było do czynienia. Przepisywanie długie nudziło go bardzo, siedzenie w miejscu dokuczyło, a piękną Anchen ojciec tak pilnował i zamykał, że się do niej zbliżyć nie było sposobu. Szło o to tylko, jak się stąd wymknąć w sposób przyzwoity, aby móc w potrzebie powrócić.

Bobrek po namyśle dobył z kieszeni nożyka, ukłął się mocno w palec prawej ręki, zakrwawił szmatkę, grubo nią obwiązał niby skaleczony palec, twarz uczynił smutną i bolejącą, i poszedł piskliwym głosem prosić kanclerza o czasowe uwolnienie od skryptury dla bardzo zarżniętej ręki.

Nazajutrz rano był już na drodze do Torunia, wioząc tam doniesienie o tajemniczej księcia wyprawie.

Rozdział III

W oktawę Trzech Króli w obozie Wieka z Kępy i Bartosza z Odolanowa, dowodzących wielkopolskiej szlachcie, ruszono się żywo i zamasyście, przygotowywano do zdobywania miasta i zamku Pyzdr, pod którymi szeroko rozłożone obozem stały pozbierane zewsząd oddziały Nałęczów.

Warta i Prośna, które by w innej porze broniły nieco przystępu do stojącego na wzgórzu grodu murem opasanego, ścięte mrozami, nie przeszkadzały wojewodzie do osaczenia dokoła. Ale zamek, który król Kazimierz niedawno był wzniósł na nowo i silnie obwarował, i miasto opasane ścianami grubymi, z basztami potężnymi, bronić się chciały i ani słuchały wezwania, aby się poddały. Wiedzano tu, że Kalisz oparł się napaści Bartosza z Odolanowa, załoga i mieszczanie mieli nadzieję, że i oni potrafią go odeprzeć.

Oba wojska oblegające, choć liczne i czynne a śmiałe, niepodobne były wcale do tych zastępów w żelazo okutych, strasznymi kopijami uzbrojonych, których się najwięcej obawiano. Była to zbierana drużyna, różnobarwna, opatrzona w oręż najrozmaitszy, niezbyt sforna, nie zastrasżająca groźną postawą. Około wojewody tylko i Bartosza kopijników parę secin lepiej wyposażonych i karniejszych się znajdowało. Resztę tłumu stanowiła szlachta, ubodzy panoszę, rycerstwo kozuchowe, które nad obuch i lada jaki kord²² często nie miało nic więcej. Niektórzy blachą piersi jako tako przykrywali, rzadko się który całą zbroją mógł pochwalić. Ale szło to wszystko hałaśliwie, męźnie, z gorącością wielką. Wszyscy rozumieli to, iż walczyli, aby się Niemców pozbyć i ich druhów, a wobec Krakowian okazać z taką siłą, ażeby Wielkopolskę i wolę jej poszanować musieli.

Domarat z Grzymałami znaczył tyle, co poddanie się nienawistnemu Luksemburczykowi i przewodztwu panów krakowskich.

Wojewoda poznański Wicek z Kępy, Bartosz z Odolanowa, Sędziwój Świdwa z Piotrkowic²³ prowadzili te zastępy, które własnego pana, swoich praw i starego obyczaju polskiego się domagały.

O Semku chodziły tylko wieści głuche. Był wszędzie, a w istocie nigdzie go widać nie było. Czasem ukazywano sobie z przyłbicą zapuszczonego rycerza, zapewniając, że to był własny książę mazowiecki, a nazajutrz słyszano o nim o mil dziesięć stamtąd. Tam i tu z największą pewnością mieć go chciano, lecz w oczy nikt go jeszcze nie spotkał. Mazurowie tu i ówdzie spotykali się kupkami, lecz chorągiew ich nie powiewała nigdzie.

Pomimo to o Semku i Piaście była mowa ciągle i wszędzie. W synu surowego Ziemowita chciano mieć pana, który by nic obcego nie cierpiał na tej ziemi, a wszystko stare, wpływem cudzoziemskim zepsute, do dawnego przywrócił stanu. Spodziewano się, że nowe niemieckie swobody, nadane miastom, osadom i osadnikom miały precz pójść, a drobna szlachta odzyskać siłę i moc dawną rządu siebie, wybierania pana i gospodarzenia w domu.

Z Domaratem szli mieszczanie po większej części i co trzymało z Niemcami, z nowym światem i prawem nowym. Tu też zaciągano cudzoziemców, powoływano w pomoc Brandenburgów, Sasów,

Czechów, odzywano się do Węgrów, bodaj nawet do Krzyżaków, byle na swoim postawić, gdy w obozie wojewody poznańskiego nie było nikogo oprócz wielkopolskiej szlachty i Mazurów.

Mężny to był lud, ale do karności wojskowej nie wdrożony i w garść go ująć nawet wojewodzie i Bartoszewi bardzo było trudno. Każdy tu rozkazywać był rad, a słuchać mało kto. Mówiono dużo, krzyczano głośno, ale się wszystko rozprzęgało łącno. Prawda, że gdy się to wojsko raz bić zaczęło, walczyło zapamiętale, wściekle, choć bez porządku, a głos wodza niewiele tu ważył.

Obóz pod Pyzdrami, spojrzawszy nań, opowiadał o tym, z czego się składał. Począwszy od szkarłatem bramowanego namiotu wojewody, do szatry²⁴ i szałasów z gałęzi, do budki płóciennej na kołach, do podartej szmaty szarej, na dwu kijach rozwieszanej, wszystko tam widzieć było można, nawet najmniej spodziewane w obozie. Pułków i oddziałów rozeznac było trudno, a choć gdzieś stały małe chorągiewki dowódców, niewiele się przyczyniały do porządnego rozkładu obozowiska.

Było to pierwszego zaraz dnia po przyciągnięciu i rozłożeniu się pod Pyzdrami, które wrota zamknawszy, zapowiadały upartą obronę. Wszyscy mieli najlepszego ducha i szli z tą nadzieją, że się raz tylko rzucą gwałtownie ku murom, a mieszczuchy o łaskę prosić będą musiały. Na zamku zaś wiedzano, że ludu zbrojnego niedużo było.

Jądrzem a sercem obozu był namiot wojewody, obok którego skromniejszy Bartosza się znajdował. Tu się skupiali dowódcy, stąd rozkazy wychodzić miały.

Wicek z Kępy, wojewoda poznański, różnił się wielce od dziarskiego, a niespokojnego ducha, Bartosza z Odolanowa. Rycerski mąż, jak on, wodzem się czuł więcej niż żołnierzem, gdy Bartoszek wolał się bić sam niż drugich prowadzić. Miał też Wicek z Kępy postawę jakby stworzoną, aby tłumowi wrażeń poszanowanie, umiejętność rozkazywania i energię do niej potrzebną. Z dala mógł się lada warchoła oprzeć jego woli, zajrzawszy w oczy, nikt odezwać się nie śmiał.

Objąwszy dowództwo nad zbiegającą się zewsząd szlachtą, już samym imieniem swym i powagą urzędu wojewodzińskiego na stronę Semka i panoszków dobrze szalę przechylił. Wszystko, co lekko trzymało się Domarata, odpadło od niego. Nie wiedzano, że ci, co mu się oprą, ciężko odpokutować będą musieli.

Średnich lat, posiwiały, skromnej powierzchowności, nie błyszczał niczym wojewoda, lecz gdy w kogo oczy wlepił, a na niedorzeczne pytanie długim odpowiadał milczeniem, każdy i najmężniejszy zastygał od tego wzroku. Takiego właśnie dowódcy potrzeba było temu zbiorowisku i bystry Bartoszek z Odolanowa wiedział, dlaczego uprosił go, zmusił niemal do przyjęcia naczelnego dowództwa z urzędu mu należnego.

Wicek z Kępy długo do wojny domowej mieszać się nie chciał, a krwi braterskiej przelewać. Potrzeba było usilnych a przekonywających nalegań Bartosza, aby się dał skłonić do wystąpienia. Raz dowództwo objąwszy, nie cierpiał warcholstwa i trzymał je w żelaznej dłoni. A miał do czynienia z najniesforniejszym w świecie żywiołem, z drobną szlachtą wielkiej dumy pełną, czującą się tu panią, stanowiącą siłę i nie rozumiejącą posłuszeństwa.

Obok niego stał Sędziwój Świdwa, mąż odwagi wielkiej i rozumu niepośledniego, ale duchem i rącością do Bartosza więcej niż do wojewody zbliżony. Młodszy od wojewody, jak on nieprzyjaciel Domarata, Niemców i panowania obcego, Świdwa był umysłu przedsiębiorczego, ochoczego, a wojnę lubił dla wojny. Tu zaś ona mu się wydawała sprawiedliwą, bo oburzało to, że Domarat obcych przeciw swoim zwoływał.

— Wszystko temu łotrowi z Pierzchną przebaczyć można: rabunki, rzeź i pożogi, lecz żeby on, nasz, bratem się wczoraj zowiący, na nas, na braci, na krew własną Niemców, Czechów, Brandeburgów, Sasów i wszelakich żołdaków ściągał, za to przebaczenia nie ma. Na pierwszej gałęzi bym go, bez sądu, razem z Krwawym Diabłem powiesił.

Świdwa, wojewoda, Bartosz we trzech jedno myśleli, wszyscy sprzyjali Semkowi, a stanowili siłę wielką. Książę mazowiecki bez nich ani się mógł pokusić o koronę, z nimi przewidywano, że Wielkopolskę opanuje.

U szlachty wysoko noszone imię Semka w zniemczonych miastach i u tych, co trzymali z Niemcami, wrażało nieopisaną trwogę. Cień ojca Ziemowita, słynącego z surowości, przywiązanie książąt do starego obyczaju, unosiły się nad nim. Lękano się go jak piorunu! — mówi kronikarz współczesny²⁵ — lecz znaczniejsza część kraju wyzwalała go jak zesłańca Bożego, pogromcę tego żywiołu, który groził zalewem i wynaturzeniem całej Polsce. Spotkać ją mógł ten los, jakiego już doznał Śląsk oderwany, zniemczony, na którym rzadko ocalała, nie wytrzebiona szlachta drobna języka już swojego i rodu zapominała.

Panoszę gotowi byli zbytku, rzemiosł i handlu, i co życie osładzało a lżejszym je czyniło, wyrzec się, byle skóry swej na niemiecką nie zmieniać, a prawu teutońskiemu, które ich z lada przybłędami równało, nie ulegać.

Co żyło więc, ruszało się, kupy i gromady ciągnęły do obozu pod Pызdry, pod chorągwie wojewody, Świdwy i Bartosza.

Odolanowski pan, który może jeden z pierwszych ruch ten rozpoczął i dał mu mazowieckie hasło, a był w początku jego duszą, który rad był, że niesprawiedliwość, jakiej się na nim dopuszczano, pomści, kraj uratuje i do rycerskich popisów plac znajdzie szeroki, teraz spoglądając na obóz i żołnierza, co go składał, milczał trochę rozczarowany.

Bartosz, choć narodowej służył sprawie, był wychowawcą zachodniej rycerskiej szkoły, niepospolitym zapaśnikiem w turniejach, znawcą obyczajów nowych, z Francji i Niemiec przynoszonych. Był to mąż na swój wiek wykształcony, który między panami i książętami najświetniejszych dworów mógł wystąpić i iść z nimi o lepszą. Towarzystwo, jakie go tu otaczało, bardzo mu do smaku przypadać nie mogło.

Łatwiej je było znosić nawykłemu do niego wojewodzie i Sędziwojowi Świdwie.

Wicek z Kępy zaledwie namiot jego rozbito i chorągiew Nałęczów wywieszono, nim się miał czas w położeniu rozpatrzyć, nim obmyślił, co pocnie około miasta oblężonego, już sam został oblężonym przez szlachtę, tłumnie nabiegającą z radami i żądaniami. Nie było sposobu zamknąć się przed nią,

nimo straży u opłotków, ani uprosić o cierpliwość. Wszystkim Nałęczom i ich sprzymierzeńcom pilno było okazać gorliwość swą, męstwo i przebiegłość.

Jeden przychodził z doniesieniem, że Pyzdra znał jak własną wieś, że furtę wiedział w murze i miejsce, kędy ściany były pogruhotane i słabe. Inny ofiarował się wkraść potajemnie, dostać do Ojców Franciszkanów, a przez nich mieszczan skłonić do poddania bez krwi rozlewu.

— Miłościwi Panowie a bracia — odpowiadał wojewoda — na rany Pańskie, zostawcie wodzom dowództwo, a gdy przyjdzie do szturm, rąk nie żałujcie. Bez gąb się obejdziemy.

Z drugiej strony kupy wołały i domagały się, aby im wojewoda dozwolił się tylko rzucić na miasto, a w oka mgnieniu je zdobędą i gród poddać się będzie musiał. Zadanie to, gdy śmiejąc się, mówili o nim, zdawało się łatwym jak orzech zgryźć.

Tymczasem zebrani na naradę w namiocie wojewody, on, Świdwa i Bartosz, który już był miasto ze wszech stron objechał, wcale go za tak łatwą zdobycz nie uważali. Mury były grube i mocne, mieszczanie widocznie przygotowani do odpierania oblegających, chociaż ich siła przemagała. Sama obawa rabunku i zniszczenia dodawała im rozpaczliwego męstwa. Machin do burzenia murów nie miano, sporządzenie ich długiego potrzebowało czasu, szturm mógł wiele ludzi kosztować.

Wojewoda gotów był, ścisnąwszy Pызdry dokoła, dobywać je głodem i pragnieniem. Bartosz był za szturmem i ufał, że jeśli nie pierwszy, to drugi lub trzeci bramy otworzy. Świdwie pilno było tu skończyć, bo o Poznań chciał się upewnić i Kalisza też wyrzec się nie myślał.

Dnia tego niepodobna było przypuszczać szturm do miasta. Szlachta potrzebowała wypoczynku i po pochodzie była jeszcze nadto rozpuszczona.

Wiadomości od Domarata i Grzymałów nie pozwalały wątpić, iż przewagą Nałęczów ustraszyć się nie da i do ostatka walczyć będzie nie poddając.

Wojna ta braterska oprócz innych trudności i tym zastraszała, że na polu bitwy nieprzyjaciela od swoich niepodobna było odróżnić. Nałęczowie zawiązywali sobie na znak białe chusty, lecz to nie starczyło. Hasło bojowe było jedno. Z obu stron wołano: Maria! Tylko Domaratowi chcieli Marii z Luksemburczykiem, a wojewodzińscy Marii z Piastem, Semkiem...

Noc zapadła, gdy jeszcze mury, wrota i wały a baszty opatrywano. Na wezwanie pierwsze wojewody do poddania się nic nie odpowiedziano. Posłowie oczekiwani nie przybyli.

Nazajutrz jak dzień, obóz się poruszał jak mrowisko, szlachty utrzymać nie było podobna. Bez rozkazów, niektórzy na własną rękę drabiny przystawiali, próbując się drapać na mury, ale opór silny znajdowali wszędzie. Rzucano kamienie, spuszczano kłody. Jakby na żart za odgróźki wzięcia głodem w jednym miejscu wrzącym podpiwką oblano spinających się na mury.

Wojewoda widząc, że dłużej stracie ludzi daremnej zapobiec nie potrafi, wyruszył sam, dając trąbami znak do szturm.

Pierwsza ta chwila, gdy co żyło, runęło z ogromnym okrzykiem na ściany, zdawała się od razu

rozstrzygać o losie miasta, z takim męstwem rzucił się wszyscy, rąbiąc bramy, pracując na mury, strzelając do ukazujących się na nich mieszczan. Dziki wrzask ani rozkazów, ani odgłosu trąb, ani nawoływania wodzów nie dawał słyszeć. Szalonym tym wybuchem męstwa pokierować nie było można. Każdy na przedzie chciał być, tłoczono się niepotrzebnie, obalano i duszono.

Korzystając z tego, mieszczanie przypuścili oblegających niemal do blanków²⁶, a dopiero wówczas nagotowane kłody, koła zębate, kamienie, smołę i ukrop rzucać i lać zaczęli. Pierwszy zastęp napastników zgnieciono łatwo. Z jękiem walili się ludzie na kupy pod murami, inni odskoczyli.

Odparty szturm na krótko tylko popłoch sprawił, wściekły szal i pragnienie zemsty ogarnęło szlachtę. Ci, co pozostali, drugim nawrotem rzucili się po trupach i rannych na mury. Mieszczanie skryci bezpiecznie za nimi, nie poniosłszy strat prawie żadnych, oprócz kilku lekko postrzelonych, stali w miejscu. Zapasów do odpierania szturmów nie brakło. Ruszyły więc znowu głązy, gruz, drzewo i strzały gęste z kusz, które wielu raniły. Przy wrotach bój był najzaciętszy, lano ukrop i smołę na rąbiących i dobijających się do nich; tak że utrzymać się nie mogli, mimo tarczy, którymi się osłaniali.

Druga napaść została odparta jak pierwsza. Chociaż wrzawa, krzykami z obu stron podsycana, nie ustawała, wojewoda na gwałt kazał trąbić do odwrotu. Ludzi mu było szkoda. Należało obmyśleć środki, aby ich nie tracić darmo.

Znużeni kilkogodzinną walką cofnęli się powoli, ale rozwściekieni niepowodzeniem, wołając do pyzdrzan ukazujących się na murach, że kamień na kamieniu nie pozostawiają, mszcząc krew swoją.

Obrona murów daleko była łatwiejszą od szturmowania do nich. Tam się lada kto mógł przydać, bab nie wyjmując, które ukrop gotowały i lały; przyznać jednak musiano, że się mieszczaństwo dzielnie odcinało, do czego mu z gródka wysłani żołnierze załogi dopomagali.

Dnia tego już o ponowieniu napadu myśleć nie było można. Potłuczonych i ranionych znajdowało się wielu, a i na trupach nie zbywało. Musiano wywlekać spod murów, jednych dla pogrzebu, drugich dla opatrywania.

Około wojewody, Świdwy i Bartosza, który sam przy szturmie był i zawdzięczał twardej zbroi, że rany nie miał, zbiegł się znowu tłum z radami, żalami, narzekaniem. Winę jedni na drugich zwałali.

Bujak Nałęcz, który wyszedł cało, dowodził głośno i zapamiętale, że gdyby tak wczoraj zniecka zaraz na mury się byli rzucili i do bram, mieszczanie nie przygotowani przy pierwszym popłochu byliby się poddać musieli. Przez noc mieli czas naściagać kamieni i drzewa, a odparty szturm męstwa dodać musiał. Wojewoda z zimną krwią słuchał, zalecając karność i posłuszeństwo, dwie cnoty, których potrzeby nikt nie uznawał.

— Jutro my ich nauczymy! — wołano.

Zaczęli jedni kobylice budować, drudzy mocne drabiny wiązać, inni się zmawiali na pewne miejsca, które słabszymi się wydawały. Przebieglejsi chcieli w nocy ubiec jaką furtą podkradłszy się

i jak w Kaliszu piły na niej spróbować.

Nierychło po tej klęsce w obozie się uspokoiło. Nocą próbowali śmiałkowie podpełznąć do wrót, ale czujni mieszczanie spędzili ich raz i drugi.

Nazajutrz około południa ostrożniej podsunięto kobylice²⁷, zaczęto się dobijać znowu, ale pyzdranie też nocą nie spali. Bliższe murów szopy i budowle porozbierali, drzewa stosy powciągali na górę, kamieni nanieśli kupy. Nie dali się znowu. Ranionych było wielu, zabitych mniej, ale wysiłek ten żadnej nie przyniósł korzyści. Mieszczanie o poddaniu się słuchać nie chcieli.

Nie odjęło to męstwa oblegającym.

Trzeciego dnia nie dano też spoczynku pyzdranom, a wszyscy dowódcy zgodni byli, że bądź co bądź miasto zdobyć potrzeba, bo po próżnym pokuszeniu się o Kalisz odstąpienie od Pyzdr sprawę by popsuło i szlachcie odjęło serce.

Czwartego dnia znalazły się już tarany do wywalania wrót i kobylice kryte, a szlachta rozumiała lepiej, że głosu dowódców słuchać było potrzeba.

Bartosz ze Świdwą poszli sami kierować zdobywaniem głównej bramy. Taran zatoczony przed nią na próżno starano się zgruchotać. Stał on w takim oddaleniu, że rzucane belki go nie osiągały, a ogromny ciężar wahała lada czym zgruchotać go nie dopuszczał. Trzask wrót oznajmywał, że wkrótce paść musiały, gdy białą płachtę i gałąź zieloną wywiesili mieszczanie.

Tymczasem zewsząd na mury drapali się oblegający. Zatrąbiono, aby walkę wstrzymać, co z trudnością dokonać się dało. Potrzeba było czasu, aby roznamiętniony tłum pohamować. Na wyżkach nad wrotami ukazał się mąż z siwą głową odkrytą. Oczyma szukał dowodzących. Wojewoda podniósł rękę, w której żelazną trzymał rękawicę.

— Poddawajcie się bez zwłoki! — zawołał.

— Poddamy się Mości Waszej — począł wołać wysłany — ale nie mścijcie się na nas, miastu krzywdy nie czynicie. Niewinni jesteśmy. Otwarlibyśmy byli wrota dnia pierwszego, gdyby nie załoga zamkowa... Zmuszono nas, przysięgamy!

Wojewoda spojrział na swoich, wszyscy byli znużeni, czasu stracono dużo.

— Otwierać wrota! — powtórzył wojewoda.

— Słowo wasze, że nam krzywdy nie uczynicie!

Ogromna kupa szlachty zbiegła się dokoła dowódców, przysłuchując ciekawie rozmowie. Niektórzy krzyczeli:

— Kamienia na kamieniu nie zostawić! Padło dosyć naszych!

— Myśmy niewinni! — wołał stary wyciągając rękę. — Nie zechcecie nam uczynić miłosierdzia,

to dziej się wola Boża, bronić się będziemy do zdechu. Słowo wasze, wojewodo!

Tłum warczał i odgrażał się. Wicek z Kępy dał znak ręką, aby milczano. Uciszyło się jakoś.

— Załoga zamkowa siedziała nam na karkach! Niewinniśmy! — powtarzano z murów. — Ulitujcie się!

Świdwa pierwszy zawołał do wojewody:

— Miasta szkoda, czasu szkoda, dać im pokój!

Bartoszewi pilno było zamku dobyć. Porozumieli się wszyscy. Wojewoda naprzód odwrócił się do swojej szlachty:

— Miasto oszczędzić trzeba. Damy im spokój.

Chociaż mrucono, wojewoda nie czekał, rękę podniósł.

— Macie słowo! Otwierać wrota!

— Przysięgnijcież! — zawołał stary.

— Moje słowo tyle waży co przysięga! — dumnie odparł wojewoda. — Wrota otwierać!

Nastąpiła cisza. Zwołano dowódców, zalecono porządek. Sworniejszym tylko ludziom, którzy do zdobywania zamku byli potrzebni, dozwolono wniknąć do miasta.

Odsunięto tarany i kobylice, otworzyły się wrota na pół już rozbite, starszyzna miejska wyszła z głowami odkrytymi. Nie naciskano się zbyt do miasta; szlachta musiała szanować słowo pana wojewody. Ci tylko, którym języki świerzbiałały, podeszli do wrót ucierać się na słowa z mieszczanami, łając ich i przezywając. Koniec końców czeladź wytoczyła piwa beczek kilka, a przy nich zaczęto skłaniać się ku zgodzie i krotochwilne prawić żarty.

Starszyzna miejska, wójt, ławnicy, zaprzysięgali się, że ani myśleli opierać się wojewodzie, ale Spytek Grad dowodzący na zamku gwałtem ich do tego zmusił.

— Odpokutuje za to! — odgrażał się odpoczywający.

Gdy się to działo, w gromadce otaczającej wojewodę stał z przyłbicą spuszczoną mężczyzna, którego widziano czynnym w czasie szturmów, i pokazywano go sobie jako Semka, gdy drudzy, co tu na ostatku przyciągnęli, zaklinali się, że go widzieli z oddziałem w okolicach Kalisza. Widziano go tak wszędzie.

Ku zamkowi na górze, co najlepszego żołnierza wzięwszy, pojechali natychmiast Bartosz, Świdwa i wojewoda. Znalezione go zamkniętym, a na murach strażę. Obieżono dokoła. Ściany okrutne, grube, wysokie, daleko sposobniejsze były do obrony od miejskich, a ludzi do nich tylu nie potrzebowano.

Bądź co bądź wziąć było potrzeba. Szczęściem tu opasać mogli łatwo, tak że głodem oblężonych wziąć się spodziewano, bo starszyzna miejska pod wielką tajemnicą wygadała się, że zapasu żywności nie było wielkiego i studnia wyschła. Natychmiast żołnierza ściągnięto pod mury.

— Kto będzie miał ochotę zabawić się tu, nikomu nie zbronnio — rzekł wojewoda — ale wysiłków wielkich czynić nie ma potrzeby. Poddać się muszą niebawem.

Zatrąbiono do załogi. Wyszedł człek cały w żelazo zakuty, podniósł przyłbicę nieco i rzekł hardo:

— Nie poddamy się.

Bartoszewi zakipiało w piersi.

— To już sprawa nie z babami, warto popróbować.

Nie czekając, tarany i kobylice toczyć kazano na wzgórze pod zamek. Z murów załoga patrzyła na te przygotowania.

Nazajutrz Bartosz swoich ludzi z kuszami postawił przeciw zamku na dachach bliższych domostw, a sam szturmem zarządził. Ludzie ukazujący się na murach dla obrony od zręcznych łuczników kilka postrzałów dostali. Tymczasem główne wrota wybijano.

Drugiego dnia, gdy więcej ludzi pod zamek przybyło, szczupłej załodze jawnie rąk zaczęło braknąć, aby się dokoła opędzać mogła. Na zagrożone więcej miejsca zbiegali się ludzie, ale inne stały opuszczone. Bartosz umiał z tego korzystać zręcznie. Zamek był zagrożony. Gdyby nie nadchodząca noc, wrota spodziewano się opanować. W nocy oblężeni mieli czas je na nowo popodpierać i wzmocnić.

Dnia następnego spodziewano się na pewno zamku dobyć, gdy znad bramy zatrąbiono i Spytek Grad pokazał się na wyżkach. Nie przyznał się do tego, że już jeść prawie nie mieli co, a żądał, gdyby zamek oddał, aby mu cało z ludźmi, końmi, orężem i taborem wyjść dozwolono, nie napastując go.

Bartosz, który go znał, na próżno usiłował na stronę swą przeciągnąć, uparty Grzymalczyk przy swej chorągwi chciał stać wiernie.

Wojewodzie chodziło wiele o zyskanie na czasie, a obsadzenie co najwięcej zamków; on, Bartosz, wszyscy się w końcu zgodzili, aby załogę wypuścić. Szlachcie też zdobycie Pyzdr z zamkiem pochlebiało, a kupkę ludzi tych mało sobie ważyła.

Około południa więc otworzyły się wrota i Spytek Grad na czele swojego oddziału, który i dwuchset ludzi z czeladzią nie liczył, obstawwszy nimi wozy, na które zabrał, co tylko mógł, wyruszył z zamku w porządku między dwoma szeregami ciekawych, przypatrujących się i zaczepiających słowami. Ale na nie nie odpowiadano, aby od słów do pięści nie przyszło.

Bartosz natychmiast na pusty gród wprowadził załogę nową.

Nie jeden to był tryumf dnia tego, bo za ledwie w namiocie wojewody rada się zebrała, dokąd z miasta przyszli z podarkami ławnicy, gdy oznajmiono o nadciągających posłach z Poznania. Do nich przyłączyli się mieszczanie kilku znaczniejszych grodków, spiesząc z oznajmieniem wojewodzie, iż się poddają jemu, a Domarata chcą rzucić. Obawa szturmów i spustoszenia w razie oporu, wieści o znacznych siłach szlachty gromadzącej się pod chorągwie wojewody, zmuszały miasta do tego kroku. Choć powszechnie obawiano się Semka i jego sprzymierzeńców, przemagająca siła skłaniała do poddania się. Starszyzna miejska poznańska i innych osad na niemieckim prawie, wśród których Niemców i pół-Niemców było wielu, żądała od wojewody, aby natychmiast zajmował je i od zemsty Grzymałów bronił.

Niespodziane to powodzenie, które więcej powaga urzędu wojewody niż męstwo szlachty wywołało, wbiło ją w dumę i dodało ducha.

— Trzymać się tylko kupą — wołano — a dobra nasza będzie!

Wzięcie Pyzdr i nadchodzące poselstwa wszystkim serca rozgrzały. Bartosz z oddziałem pobiegł zaraz, jak się zdawało, dać o tym wiedzieć Semkowi. W istocie bowiem w obozie wojewody nie było go, a gdzie się znajdował, zachowywano w tajemnicy.

Sam wojewoda spodziewał się teraz, iż rychło zupełnie zwycięstwo nad Domaratem i Grzymałami odniesą.

Nie zwlekając, porywczy Świdwa z silnym oddziałem ruszył razem z posłami poznańskimi zająć miasto opuszczone przez Domarata. Zamek trzymał jeszcze wielkorządca, ale drewniany dwór na górze ponad nim miasto oddawał wojewodzie.

Zbyt wszakże łatwym wyobrażano sobie złamanie Grzymałów, którzy wcale o poddaniu się nie myśleli. Domarat poprzysiągł do ostatniej krwi kropli się bronić. Miał jeszcze w rękach obronne grodki: Wielen²⁸, Międzychód, Międzyrzecz, Zbąszyń, Kieplowo; a przy nim stali pokrewni: Grzymała z Oleśnicy, Jędrzej ze Swerzadowa²⁹, Wierzbęta ze Smogulca, Cedro z Morgonina³⁰, ludzie tak zapamiętali, jak on. Ci także klęli się, że gotowi w popiół obrócić wszystko, a broni nie złożą. Dla strwożenia Nałęczów, gdziekolwiek spotykali osady ich, dwory, żony, dzieci, grabili, odzierali, zabijali. Wojna wrzała zjadlejsza, niż kiedy była, okrutna, zbójcka, nielitościwa, wzmagająca się z obu stron zemstą za każdą łupież, mord i napaść.

Gdy Świdwa dwór wielki górny nad zamkiem i miasto zajmował, zamku samego nie mogąc tak otoczyć, aby przystępu do niego nie dopuścić, Domarat wyruszył z Poznania zbierać ludzi, robić zaciągi, aby przedłużyć wojnę. Spodziewał się, utrzymawszy czas jakiś, pomocy z Węgier od Luksemburczyka. Siły jego tymczasem, jak niegdyś Białego księcia, zwiększały się tymi wszystkimi, co samopas rozbójstwem się parali, a teraz na zawołanie do bezpieczniejszych szli rozbojów. Oprócz tego od Sasów i Brandenburczyków ludzi trochę mu przybyło, a z Grzymałów, co żyło, szło, bo w domu wysiedzieć nie mogło... Z Pomorza, z Kaszub, ludu też swawolnego zgromadził Domarat siła.

Zaledwie Świdwa zaciągnął na górny dworzec w Poznaniu i miał się czas cośkolwiek rozpatrzyć, gdy mu oznajmiono, że w Piotrkowicach jego, około Szamotuł, Domarat, zasiadłszy w domostwie

pańskim, dokoła włości pustoszy. Świdwa, porywcy z natury, walkę i rycerskie sprawy lubił dla nich samych. Byłby się bez innych pobudek tak jak Bartosz rzucił w ten wir, torując drogę Piastowi, królowi z ich ramienia, przy którym i oni się królować spodziewali, a teraz, teraz osobista zemsta dodawała bodźca nowego. Domarata i jego żołdaków trzeba było znieść koniecznie; osaczyć go znaczną siłą i jednym pokonać zamachem. Świdwa Domaratowej zbieraniny, złożonej z obcych, za tak bardzo groźną nie liczył. Łatwo jest zebrać takie wojsko, ale się ono łatwiej jeszcze rozbiega...

Gdzie był Semko? Pod Kaliszem, w okolicy Pyzdr, u siebie w domu? Nie wiedział nikt. Nie pokazywał się jeszcze, nie chciał z tym wydawać, że był czynnym. Kopijnicy jego, Socha chorąży, pokazywali się posiłkując wojewodę i Bartosza, on trzymał się w ukryciu. Kalisz nie poddał się był jeszcze, mówiono, że czekał w bliskości, aby go zająć, gdy się podda. Wojewoda i starosta czuwali nad swym Piastem zakrywając go, aby na wypadek klęski nie odjęła mu ona uroku.

Skazany na bezczynność prawie Semko się zżymał i niecierpliwił, chciał mieć udział w walkach; odkładano z dnia na dzień. Bartosz w końcu godził się na to, ażeby ksiązę szedł przeciwko Niemcom, gdyby oni wtargnęli, ale nie przeciwko tym, którym miał kiedyś panować.

— Krwi poddanych swych nie powinieneś ksiązę przelewać — mówił wojewoda hamując. — Oczyszczymy pole, warchołów rozpędzimy, przyjdzie pora, wystąpicie.

Sprawa nie szła tak gładko, jak się zrazu spodziewano. Kalisz, o który szło wielce, nie poddawał się.

Ksiązę, skazany na bezczynność, odbierał co dzień sprzeczne wieści, tak że jednego dnia i niepomiernie się cieszyć, i smucić musiał, gdyż mu i zwycięstwa, i klęski zwiastowano. Przybiegali ludzie z rozproszonych przez Grzymałów oddziałów, to posłańcy od Bartosza, od wojewody. Jednego dnia wyprawiony z pola bitwy od Szamotułów goniec zwiastował zwycięstwo odniesione nad Domaratem, którego Świdwa znienacka naszedł z wojewodą i Bartoszem, nim ludzie jego rano mieli się czas uzbroić, których rozproszono i rozbito. Domarat, więcej rozpaczliwego męstwa niż oględności okazawszy, wystąpił z na pół ledwie uzbrojonymi, rozespanymi ludźmi i straszną poniósł klęskę.

Ksiązę się uradował niezmiernie, zwiastowało to koniec walce, gdy w kilka godzin ledwie drugi goniec przybiegł zwiastując zwrot wcale niespodziewany. Po pierwszej utarczce, dla Domarata nieszczęśliwej, nadciągnął Wierzbęta ze Smogulca, Grzymała stojący niedaleko stamtąd obozem, ze stu kopijnikami i kilkuset piechoty; wpadł na rozbiegające się wojsko Świdwy, które goniło rozproszonych, i pobił nawzajem. Zwycięstwo było zupełne. Sam mężny Świdwa przed tą siłą świeżą i przemagającą musiał się schronić do Ostroroga, zameczku Grocholi³¹. Zmienił się więc pierwszy tryumf w nową niepewność, wszystko zostało zachwiane.

Zbieg z pola bitwy, który był jej świadkiem, opowiadał ze zgrozą, jak wśród wielkiego zamieszania czasu walki swoi swoich, nie poznając, mordowali, a jedni i drudzy krzyczeli:

— Za Marią!

Domarat, chcąc się pomścić na Świdwie, obiegnął zameczek w Ostrorogu z całą swą siłą, lecz

drugiego dnia już uląklszy się odsiecz, która z Poznania nadciągać miała, odstąpił od niego.

Uzuchwaliło Domarata zwycięstwo, i zaciągi jego a Grzymałowie rozpostarli się koło Poznania, Buku, Wronek po Wartę, niszcząc włości i mszcząc się na Nałęczach.

Wojnie tej końca już widać nie było, bo szlachta znękana o Domaracie i o Luksemburczyku ani słyszeć nie chciała. Spustoszenia szły na rachunek Niemca i jego stronników, Semko widział i czuł, że mimo klęsk stronnictwo jego rosło i zwiększało się. Głośno wykrzykiwano, że na tron prowadzić go będą.

Burza ta, która srożyła się nad nieszczęśliwą Wielkopolską, i Krakowianom groziła, bo póki by ona nie ustała, na przyszłość nic nie można było trwałego uradzić i postanowić.

Semko strzeżony pilno, na przemian karmiony nadziejami, zrażony niepowodzeniem, znękany i znużony, domagał się, by być czynnym, i czekać musiał ciągle.

Po wieściach o bitwie u Szamotuł przyszła wiadomość o zjeździe w Sieradziu³² Wielkopolan i Krakowian, z którego wyprawiono do królowej posłów naglących, aby jedną z córek dała Polakom, dla której by oni męża a króla wybrali sobie. Z odpowiedzią wyprawieni Węgrowie oznajmili, iż w miejscu Marii i Luksemburczyka nazaczyła Elżbieta dla Polaków drugą córkę Jadwigę, przyrzeczoną Wilhelmowi austriackiemu.

Zjazdom tym w Sieradziu, narodom, poselstwom, końca nie było. Zgadzałi się już wszyscy na przyjęcie Jadwigi, aby raz koniec położyć niepewności i rozerwaniu. Wielkopolanie nie zważając na to, że Wilhelmowi była przyrzeczoną, mężem jej chcieli mieć Piasta, to jest Semka. Doszło i to uszu jego. W ciągłej trzymanym obawie zmian i przewrotów, Semko zaczynał wątpić o swej przyszłości; nie dawał tego znać po sobie, chcąc wytrwać do końca, lecz w duszy słuszność przyznawał Januszowi. Cofnąć się teraz nie było można.

Semko jeszcze błędził ze swym oddziałem, uwodzony nadziejami coraz nowymi, gdy mu przyniesiono oznajmienie, że królowa dla uspokojenia kraju i położenia końca wojnie braterskiej wyprawiła pośredników do Poznania i Kalisza, wojewodę krakowskiego i kaliskiego z Mikołajem Bogorią³³ i innymi. Było to dla niego znakiem, iż nie mógł się już spodziewać czynnie wystąpić i że miecza z pochwą nie dobywszy, musiał powrócić do Płocka. Milczący, zamknięty w sobie, nakazał odwrót, ale z goryczą w sercu i żalem przeciwko tym, którzy go w pole wywiedli. Słyszał wprawdzie dokoła siebie, że teraz dopiero droga do tronu otwartą jest i nikogo innego na nim mieć nie chcą prócz Piasta, prócz niego, ale od Krakowa milczano.

Pierwsza wyprawa młodzieńcza, na którą szedł pełen zapału, zawiodła go boleśnie. Nie był zwyciężonym, lecz został beczynnym, co stanowiło także klęskę. Z brwiami namarszczonymi, co według Sochy bardzo go do ojca czyniło podobnym, Semko jechał tak upokorzony, iż po dniu nie chciał przybywać do swojej stolicy. Zdawało mu się, że każde wejrzenie, które spotka, urągać mu się będzie. Sama niepewność jutra stawała się brzemieniem okrutnym.

Późną nocą zatętniało na zwodzonym moście, w podwórcu ukazały się pochodnie, otwierano wrota wewnętrzne, podnoszono brony³⁴. Semko wjechał z przyłbicą spuszczoną. U drzwi z konia zeskoczył,

nie spojrzawszy na nikogo ze swojego dworu, i wprost wpadł do sypialni.

Jeszcze do drzwi jej nie doszedł, gdy Henryk, który na przybycie jego czatował, ze śmiechem szyderskim pospieszył go powitać. Semko zmierzył go takim wzrokiem strasznym, iż chłopię nie śmiało przystąpić do niego.

W sypialni czekała już Błachowa, zza drzwi wyglądała Ulina; obu im dał znak ręką, że chciał sam pozostać. Żałował się swym upokorzeniem i wstydem, pałał niemal zemstą ku tym, co go wciągnęli na plac boju, chociaż sam on właściwie wyrwał się przedwcześnie. Widzieć się z nikim, mówić nie chciał; jeden tylko kanclerz, który przyszedł go pozdrowić, został wpuszczony. Przed nim, jak przed ojcem swym duchownym, Semko wylał się z całym żalem i boleścią.

— Na pośmiewisko mnie wydali ludzie niesworni! — zawołał. — Musiałem beczynn timerzować, jak się zarzynali i pastwili nawzajem na sobie, obiecując co dzień zwycięstwo I koniec walce, a nazajutrz rozpoczynały się na nowo morderstwa i spustoszenia.

Kanclerz przerwał:

— Miłościwy Książę, o ile ja wiem, nic stanowczego nie zaszło, nic jeszcze nie jest straconym. Wszyscy zgodnie na tron chcą was powołać. W końcu marca nowy zjazd do Sieradzia zwołany.

Semko gorzko się rozśmiał.

— Ile już zjazdów było w Sieradziu? — zapytał. — Co na nich postanowiono? Zjeżdżają się tam, aby nowy zjazd zwołać.

— Na ostatnim królowa Elżbieta przyrzekła przysłać Jadwigę — przerwał kanclerz. — Będą dla niej wybierać męża i chcą was nim mieć.

— Jadwiga od dziecka jest zaślubioną Wilhelmowi austriackiemu! — zawołał Semko. — Jakże może być, aby jej innego męża dawano?

— Nie zaślubioną była, ale przyrzeczoną — odezwał się kanclerz. — Zaślubin dzieci kościół nie zna. Prawo świeckie może takie umowy przyjmować za dobre, ale kościelne za ważne ich nie ma.

Książę zamilkł nieco uspokojony.

— Korona nie przychodzi łatwo — dodał kanclerz — zdobywać ją potrzeba, czekać na nią i wytrwać. Głos powszechny jest za wami.

Dnia tego i następnych kilka Semko się nie pokazywał i nikogo nie dopuszczał do siebie. Siedział jeszcze zboląły, sam ze swym gniewem i żalem. Takim go zastał przybywający Bartosz z Odolanowa. Odprawić go, nie widząc się z nim, książę nie mógł, znał przywiązanie i ofiary, jakie poniósł dla jego sprawy.

Bartosz przybywał niemal wesół, najlepsze wioząc wiadomości. W Wielkopolsce stanął rozejm między wojującymi. Domarat musiał nań przystać. Przeznaczenie Jadwigi dla Polski łamało wszelkie

jego plany. Szło mu już nie o Luksemburczyka, ale o bezkarne wydobycie się z zawichrzenia, którego upór jego stał się przyczyną.

— Nigdy sprawa Miłości Waszej nie stała lepiej! — wołał Bartosz. — Wszyscy jesteśmy z wami, wszyscy za wami! W Sieradziu musicie być; mamy nadzieję, że was tam królem obwołamy! Bodzanta arcybiskup dał się nawrócić, jesteśmy go pewni! Pójdzie i on z nami!

— Bodzanta? — przerwał Semko. — Nie zwodzicie mnie?

— Mamy arcybiskupa w ręku — rzekł Bartosz — nie oprze się głosowi powszechnemu.

— A Małopolanie? A Kraków?

— O ileśmy ich wyrozumieć mogli, nie będą przeciwni. Gdy raz arcybiskup, arcykapłan, powagą swą na tron was powoła, muszą przyjąć króla lub państwo się rozłame na dwoje. My nie ustąpimy.

Książę, milcząc, podał mu rękę, wstępowała nadzieja do serca.

— Bartoszu — odezwał się powolnie. — Proszę was, bądźcie baczni, nie łudźcie mnie i samych siebie. Winni będziecie całego mojego żywota zatraceniu i sponiewieraniu. Po takiej klęsce w młodości człowiekowi ledwie ochota do życia zostać może.

Bartosz pewien siebie głośno zakrzyknął:

— Miłościwy Panie! Wszystko zależy od was samych! Arcybiskup i my obwołamy was, to nie ulega wątpliwości, lecz stać powinniście przy tej koronie i z nami, wspólnie jej bronić.

— Życie dam chętnie — rzekł Semko krótko i stanowczo.

— Kraj znudzony, bezkrólewie trwało zbyt długo, zniszczenie i zubożenie jest straszne, ku wam oczy wszystkich są skierowane, jak ku zbawcy. Obcy panujący dość się nam dali we znaki, zakosztowaliśmy owoców bezpieczeństwa życia, gdzie każdy warchoł chciał być panem, a w miejscu jednego monarchy mieliśmy stu łupieżców.

Zamyślony książę rzucił jeszcze pytanie o Bodzantę.

— Arcybiskupa pewni być możecie — począł Bartosz. — Mamy go i strzec będziemy, nadto dobrze czuje, czy przy kim jest przewaga i siła, ażeby się zwrócił gdzie indziej. Musicie jechać do Sieradzia. Wydane rozkazy, Wielkopolanie ściągają się gromadnie. Jeśliby jaki głos odezwał się przekorny, zagłuszam go. Przeciwno Jadwidze nie mamy nic, przyjmujemy ją dla was. Młodą jest, cudnej piękności i przynosi wam nowe prawo do tronu.

Semko żadnego znaku przyzwolenia ani wstrętu nie dawał. Słuchał pilno.

Kilkanaście dni dzieliło jeszcze od naznaczonego na zjazd dwudziestego ósmego marca. Bartosz, oznajmiwszy księciu, iż stawić się był powinien, nazajutrz biegł do Wielkiejpoli powoływać, naglić, wypędzać do Sieradzia i umawiać się, w jaki sposób Semka okrzyknąć miano królem, aby

Bodzanta zmuszony głosem powszechnym powagą swą potwierdził wybór i ogłosił Semka.

Słuchając rozognionego i przejętego tym Bartosza, księżę zdawał się być dobrej nadziei i myśli, ale po odjeździe jego, zostawszy sam, znowu wpadł w zwątpienie. Jątrzył go nielitościwy Henryk, który inaczej nazywać brata nie chciał, jak Jego Królewską Miłością. Kłaniał mu się do stóp, okazywał poszanowanie przesadzone, a im groźniejszy wzrok spotykał, im czuł, że go drażni więcej, tym z większą się nad nim pastwił rozkoszą.

Rozdział IV

Od dawna stary zamek w Sieradziu tyłu co teraz zjazdów tłumnych i narad nie był świadkiem. Stał on długo pustkami, nim się tego doczekał, że go sobie Wielkopolanie z Krakowianami dla wspólnych porozumień za najdogodniejsze miejsce obrali. Z Wielko i Małopolski dojechać tu było najłatwiej. Czasu bezkrólewia zbierano się często. Miasteczko jako tako mnogich, lecz niewymagających przybyszów mogło ugościć, na zamku starym izby przestronne, puste do obrad się nadawały, w potrzebie służył i kościół zgromadzeniom. Naówczas już było w obyczaju narady o losach kraju odbywać w domach bożych, co im i pewną uroczystość nadawało, i wstrzymywało od krwawych wybryków.

Wygód w tym Sieradziu panowie przybywający nie mieli żadnych, ale też nie rachowali na nie. Dostyc im było dachu nad głową, ścian od wiatru i zacisznego kąta. Dla znaczniejszych duchownych, książąt, urzędników i pisarzy izb było podostatkiem. Wprawdzie okna nie miały jeszcze błon szklanych, a na dole nie wszędzie się znalazły podłogi, ale ław starczyło wszystkim. Ludzie byli do niewygód nawykli, obyczajów miękkość zaledwie się czuć dawała, przez obcych przynoszona. Naród cały obozował jeszcze jak za tych czasów, gdy od najazdów musiał się bronić i czuwać, a od tych i teraz nie był bezpiecznym.

Marzec w tym roku kończył się dosyć suchymi i niezbyt mroźnymi dniami. Drogi już były oschłe, wiosna się bliska obiecywała. Rzeki płynęły jeszcze wezbrane, błota stały jak stawy ogromne, ale na łąkach gdzieniegdzie zieloność się pokazywała.

Na zamku już się przygotowywano na przyjęcie gości, sposobiąc drwa do kominów, izby oczyszczając po trosze, gdy na dwa dni przed oznaczonym wprost do wrót ciągnący ukazał się dwór pański, z daleka już kogoś znacznego obiecujący. Służba zamkowa przypatrująca mu się ze wzgórza, z pozorów starała się odgadnąć, kto to być mógł, godząc się na to jedno, iż przyjezdni na Niemców wyglądali. Można ich było wziąć za przybylców z daleka, gdyż ani jeden z orszaku nie miał na sobie ni stroju, ni broni, jakich powszechnie w kraju używano.

Dwór to był okazały, a sam pan konno jadący, którego łatwo odróżnić było, wyglądał książęco i świetnie. Lekka zbroiczka podróżna, hełm z podniesioną przyłbicą, pawimi piórami nasadzony szeroko, bogaty pas rycerski, oręż błyszczący, okrycie konia w złote wzory szyte, ozdoby rzędu, twarz dumna, głowa do góry podniesiona, wejrzenie śmiałe, okazywały męża czującego siłę swą i znaczenie. On i jego drużyna z niemiecka przystrojona i uzbrojona wjeżdżali na zamek jak do domu.

Straż też nie śmiała im drogi zapierać, choć nikt nie znał tego pana. Domyślano się jakiegoś książęcia. Oprócz Niemców, gdy cały dwór w podwórzu się znalazł, rozpoznać w nim było można Węgrów i Rusinów, ale polskiej twarzy ni mowy nigdzie. Sądzieli więc zamkowi ludzie, że jeden z zapowiedzianych posłów królowej Elżbiety przybywał, dla których tu gospoda naznaczoną była.

A był to książę Władysław Opolski, przez jednych „Rusinem” zwany, przez drugich „węgierskim wojewodą”. Starego Ziemowita mazowieckiego szwagier, wuj młodego Semka, mąż wielkiego

znaczenia na dworze nieboszczyka króla Loisa, rozumny i wykształcony, ale w którym już nie polskiego nie było oprócz wspomnienia rodu Piastów. Do wojny nieskory, wiekiem już ostygły, zubożniały na ogólne sprawy kraju, na które po niemiecku, po węgiersku, po „opolsku”, ale nie po polsku się zapatrywał, był tak powszechnie znieawidzonym, jak sam szlachty i obyczaju polskiego nie cierpiał.

Zagadką mogło się wydawać, że on tu przybywał, gdyż wobec królowej nie był zbyt przyjaźnie usposobionym za to, że mu ziemie, które trzymał, odbierano. W pomoc też siostrzeńcowi nie jechał pewnie, bo Semko był wybrańcem szlachty, co go już wujowi nienawistnym czyniło. Oprócz tego wychowanie, obyczaje, charakter młodego księcia mazowieckiego, wszystko ich od siebie odstręczało. Z góry patrzył Władysław na swych siostrzeńców, sam czując się mężem europejskiego wykształcenia, gdy tamci z prostotą swą i starymi polskimi obyczajami barbarzyńsko mu się wydawali.

Nie pytając nikogo, księżę zajął izby co najlepsze, a służba je natychmiast wedle nawyknień jego i pieszczonemu obyczaju urządzić zaczęła.

Wnet potem, jakby księżę za sobą pociągnął innych, zaczęły się na gościńcu ukazywać orszaki przybywających zewsząd panów, którzy na ten zjazd pospieszyli. Zaraz po nim przyjechał poseł królowej, biskup wesprymski³⁵, z dwoma mu towarzyszącymi panami węgierskimi. Starzec poważny, dwór butny, węgierskie stroje, madziarska mowa, dla której tłumacza z sobą wieźli. Ukazano im komnaty nieco opodal od księcia, aby się z sobą stykać nie potrzebowali.

Przybywali też panowie krakowscy: Jan z Tarnowa³⁶, Jaśko z Tęczyna, młody Spytek z Mielsztyna³⁷, Sędziwój Toporczyk, Dobiesław z Kurozwęk i mnodzy inni. Z tych dwu tylko na zamku się pomieściło, reszta w mieście, około fary, przy kościele Świętego Ducha na przedmieściu i u Dominikanów.

Wielkopolan nieustannie napływały tłumy, pomiędzy którymi Nałęczów lik wielki. Arcybiskupa Bodzantę wiódł Bartosz z Odolanowa.

Gdyby o tym skądinąd nie wiedziano, że arcybiskup przeszedł do Piasta obozu, sama ta oznaka by starczyła za wskazówkę. Wahał się długo Bodzanta, uległ nareszcie więcej konieczności niż przekonaniu.

Stroniąc zarówno od Krakowian i Wielkopolan, arcybiskup u dominikanów ze swym dworem obrał gospodę.

Z poczem znaczniejszym niż kiedykolwiek bądź, bo go większa część szlachty wielkopolskiej, garnąca się do niego, składała, z wielką strojnością i przepychem, który nad miarę go kosztował, stawiał się Semko do Sieradzia, na zamek ani chcąc, ani mogąc się dostać. Wiedział już, że tam mieszkał wuj i niektórzy z panów krakowskich, a z nimi przedwcześnie nie chciał się stykać.

Bartosz z Odolanowa, odwiódłszy arcybiskupa do klasztoru, natychmiast u Semka się stawił, ciągnąc za sobą Wielkopolan jak najwięcej, aby zawczasu okazać, z kim trzymać i przy kim stać będą.

Dzień następny cały był przygotowaniem do otwarcia narad i wzajemnym badaniem się, rozpatrywaniem w położeniu.

Miasto coraz się stawało pełniejszym, a że błotnista za zamkiem okolica nie dozwalała się rozpościerać szeroko, wszystko się w przedmieściach i w pobliżu ich skupiało.

Wielkopolanie głośno i dobitnie opowiadali, z czym i dla kogo przybyli; Krakowianie³⁸ słuchali i milczeli.

Zaraz po przybyciu na zamek wieczorem Władysław Opolski, który tylko z biskupem Mikołajem i Węgrymi się zbliżył, unikając i siostrzeńca, i panów krakowskich — zdziwił się nieco, gdy mu marszałek jego, Rusin Nikita, człowiek bardzo przebiegły, ostrożny, który kwoli panu swemu kilku się języków nauczył, a narodowości swej tak jak wyrzekł i zapomniał o niej, oznajmił, że niepoczesny klecha jakiś dopuszczonym do niego być pragnie. Składał się on tym, iż od mistrza krzyżackiego Czolnera pismo przynosił do księcia.

Po krótkim namyśle, bocznymi drzwiami, wpuścić go kazał Władysław. Dumny pan, zobaczywszy w progu stojącego bladego, mizernego, w sukience czarnej Bobrka, ani się poruszył z krzesła, ani go powitał. Wyciągnął rękę w milczeniu, pisma zapowiedzianego się dopominając. Z wielkim poszanowaniem i pokorą klecha wręczył je panu, który naprzód pilno począł przypatrywać się pieczęci, badając, czy naruszoną nie była.

Chociaż książę Władysław, co naówczas wyjątkowym było, pismo czytać umiał, godność jego nie dozwalała, aby sam sobie zadał pracę rozpatrzenia w nim. Do tego służyli lektorowie i kanclerze. Powołano więc księdza, Niemca Waltera, który w podróży notariusza i lektora pełnił obowiązki, razem pobożnemu księciu służąc za kapelana. W łańcuchu na szyi, w sukni wytwornie futrem obłożonej, na pana wyglądający duchowny spojrzał na zbiedzonego Bobrka z wyżyny swojego dostojęstwa dość pogardliwie, poszedł z listem do okna, tu na nowo pieczęć i napis na liście rozpatrzywszy, zręcznie go, nie naruszając mistrza pieczęci, otworzył.

List zawierał słów kilka. Mistrz polecał księciu obronę swą przed królową Elżbietą, która wyrzucała Krzyżakom, iż Semkowi pieniędzy dostarczyli na wyprawę przeciw niej i jej prawom. Czolner przysiągł najuroczyściej, a fałszywie, że nie wiedział, na co pieniądze były przeznaczone. W ostatku mistrz polecał oddawcę listu jako wiernego Zakonu sługę, przez którego ustnie czy na piśmie przesłać było można wiadomości i żądania. Czolner z wielką uniżonością i uszanowaniem ofiarował królowej swe posługi.

Milczącemu ciągle księciu, półgłosem odczytawszy to, kanclerz, gdy potem wejrzał na posła krzyżackiego tak nędznie wyglądającego, ledwie go uznał rozmowy godnym. Sam też książę wprost nie zwrócił się ku niemu. Pośredniczył lektor.

Bobrek stał trochę w cieniu, nie można mu się było lepiej przypatrzeć, lecz gdy wzięwszy ciche od pana instrukcje ksiądz Walter się zbliżył do niego, uderzony został wejrzeniem pełnym przenikliwości i rozumu, jakim go klecha powitał. Zrozumiał teraz, dlaczego Zakon go wyprawił.

— Królowa Elżbieta — odezwał się Walter — za złe miała bardzo Zakonowi pomoc daną

nieprzyjacielowi, ale na to księżę nie radzić nie może. Nie przybył on tu z polecenia królowej, ale jako księżę polski. Będąc przyjacielem Zakonu, chętnie jednak w tej sprawie przemówi. Właściwie z tłumaczeniem tym należało się zwrócić do biskupa Mikołaja.

— Jego Miłość nie przybywa tu zapewne w sprawie siostrzeńca — wtrącił Bobrek.

Kanclerz szepnął coś panu swojemu i zaniechał zupełnie odpowiedzi. Po chwili zwrócił się z pytaniem do klechy: — A nie wiecie, jak stoi sprawa księcia mazowieckiego?

— Wasza Miłość lepiej to możecie osądzić niż ja — szepnął Bobrek.

— Wyście bliżej — odparł ksiądz Walter.

Klecha podniósł głowę.

— Sprawa księcia Semka na oko stoi dobrze — odezwał się — głosów za sobą wiele i mocnych mieć będzie, ale głów mocnych mu braknie. Bartosz z Odolanowa rycerz wielki, a i pan wojewoda z Kępy nie mniejszego męstwa i rozumu, oba gdy kordy mają w dłoni, straszeni są, ale nie wszystkiego orężem dobić się można.

— Mówią, że arcybiskupa za sobą mieć będą — dodał kanclerz.

Bobrek skłonił głowę.

— Tak — rzekł — ksiądz arcybiskup niedawno z Zygmuntem był, dziś Semkowi służy, a komu jutro, to nie wiadomo. Bardzo mu żal dóbr spustoszonych i dziesięcin, gospodarz jest bardzo dobry.

Ostatnie słowa wyrzekł ze złośliwością, która uśmiech wywołała na usta kanclerza nieznaczny i wnet niknący.

— Widzę — dołożył ksiądz Walter — że wy niewielkie wróżycie powodzenie księciu mazowieckiemu.

— Cóż ja mogę wywróżyć? — odparł skromnie klecha. — Z dołu do góry patrzę, mało co widzę. To tylko do myślenia daje, że panowie krakowscy zimni są i pary z ust nie puszcniają, a u nich i głowy mocniejsze, i chytrość jest większa niż u Wielkopolanów. Tym się Krakowianie dadzą wykrzyczeć, a uczynią w końcu milczkiem, co zechcą. Oni sobie pana z cudzej ręki trudno, by narzucić dali.

Księżę Władysław z ręką do ucha przyłożoną ciekawie przysłuchiwał się tej rozmowie, nie dając żadnego znaku po sobie, jakie na nim czyniła wrażenie. Kanclerz pośredniczący między nim a klechą, wzięwszy od pana swego rozkazy, kilką słowami posłańca krzyżackiego odprawił. Chociaż powierzchowność wcale go nie zalecała, ksiądz Walter, znający się na ludziach, z tego, co z ust jego usłyszał, powziął o nim bardzo pochlebne wyobrażenie.

— Niemcy nasi — rzekł w duchu — rozumni są, dobrze ludzi wybierać umieją. Właśnie takich na wysłańców trzeba, z pozorów trzech denarów nie wart, a we środku rozum złoty.

W istocie, przypatrując się kręcącemu po zamku i mieście Bobrkowi, który mnóstwo ludzi znał, z każdym innym językiem mówił, umiał się przypocholebić wszystkim, z każdego coś wyciągnąć, trzeba było podziwiać zręczność tego gadu, co się wszędzie wśliznąć umiał i zewsząd wyjść cało.

Z Polakami Polak, Niemiec z Niemcami, z duchownymi pobożny i świadom łaciny, z wesołymi swawolny, z dumnymi pokorny, pochlebnik zręczny wszędzie Bobrek już pierwszego wieczora począł ściągać potrzebne wiadomości. Na dworze Semka miał znajomych sobie z Płocka dworzan, przez list Krzyżaków wcisnął się do księcia Władysława, pomiędzy panami krakowskimi, choć starszyny nie znał bliżej, dworzan miał wielu z Krakowa i świdnickiej piwnicy poprzyjażnionych. Biednego klechę sprzedającego błogosławione modlitewki i egzorcyzmy³⁹ na szmatkach pergaminu, ocierane o różne relikwie, nikt nie posądzał nawet o żadne niebezpieczne konszachty. Mógł więc krążyć wszędzie bez przeszkody, podsłuchiwać i wypytywać.

W wigilią wieczorem, chociaż nikt jeszcze przewidywać nie mógł, jak się jutrzejsze narady skończą i co na nich będzie postanowionym, już pewne znaki usposobień się objawiały.

Węgierscy panowie w ciągu dnia przybyciem księcia Władysława Opolskiego zaniepokojeni, bo go posądzali, iż stronę siostrzeńca popierać może, poszli wprost do niego w imieniu królowej spytać, co myśli. Na otwarte zapytanie biskupa Mikołaja książe opolski z dumą, z szorstkością pewną, ale z wyrazem, który o usposobieniu wątpliwości nie zostawiał, odparł ostro, że wcale nie myśli za wyrostkiem się oświadczać, gdy i wiekiem, i zasługami sam w razie opróżnienia tronu słuszniej czuje się do niego powołanym. Panowie węgierscy zdumieni się, słysząc go mówiącego w ten sposób, i zaprotestowali, że tronu nikt córce Loisowej nie zaprzeczał.

— Tak się Waszym Miłościom zdaje — odezwał się książe Władysław — ja co innego przewiduję, a w razie wszelkim nie myślę się moich praw wyrzekać.

Po chwili zaś namysłu książe dodał, iż spokojnymi być mogą, bo w żadnym razie siostrzeńca popierać nie będzie.

Wyszędłszy z tą dwuznaczną odpowiedzią panowie węgierscy tajemnicy z niej nie czynili. Poszła wieść po mieście o wątpliwym celu przybycia księcia opolskiego i już o niej głośno mówiono pod namiotami mazowieckimi, w obozie Semka, przy piwie.

— Nikt nie zgadnie, z kim trzyma Opolczyk — mówiono — bo królowej i jej córkom nie ma za co wdzięcznym być, ani się od nich czego może spodziewać. Żeby zaś pochlebiał sobie, iż go kto za króla zechce, trudno wierzyć, bo takim Niemcem jest, jak Luksemburczyk. Nie byłoby co mieniać siekierki na kijek.

Posądzano go, że warcholić chce, że z Niemcami spiskuje, a gorąca szlachta wprzód, nim wyrozumiała zamiary jego, wołała już, aby go przytrzymać i uwięzić, bo zdradę knuć musi. Niektórzy śmielsi gotowi byli tejże chwili na zamek wtargnąć ręką zbrojną, aby Opolczyka pochwycić. Zaledwie Bartosz z Odolanowa potrafił powstrzymać ich, odkładając do jutra, co wypadnie przedsięwziąć.

Bobrek, który od namiotu do namiotu się przesuwał, wszędzie coś chwytając, mógł się przekonać,

że królowa i jej córka wielu wprawdzie miała za sobą, ale większość ich swatała przyszłą królowę Semkowi, a Wielkopolanie o nikim innym słuchać nie chcieli krom Piasta.

Na zamku, gdzie wiekiem i powagą między krakowskimi panami rej wiedli Jaśko z Tęczyna i Dobiesław z Kurozwęk, wieczorem się zebrali wszyscy, nie wyjmując młodziuchnego, zapalonego królowej i królewien sługi Spytka z Mielsztyna.

Pomiędzy osiwiałymi mężami ten młodzian nie mający lat dwudziestu, a już dostojenstwem wojewody krakowskiego zaszczycony, był prawdziwie fenomenalnym zjawiskiem. Wprawdzie ludzie naówczas wcześniej za dojrzałych byli uważani, prędzej rozpoczynali życie i stawali obok starszych, zawsze jednak i wszędzie taki Spytak z Mielsztyna mógł uchodzić za wyjątkowego i w osobliwszy sposób obdarzonego człowieka.

Pan ogromnych majątności, znakomitego rodu, wychowany wykwiłtnie i po europejsku, pięknej bardzo twarzy i postaci, dzielny rycerz, niezmordowany szermierz w turniejach, w komnatach pańskich umiejący stanąć obok cudzoziemców, władający doskonale kilką językami, obok bardzo gorącego temperamentu miał rozum i wytrawność starą.

Słuchali go wszyscy, podziwiali, umiał przekonać i za serce pochwycić. Urok rozumu i talentu powiększała ta siła, jaką daje młodość, ten duch wielki, którego w tych latach nic jeszcze nie złamało, występujący w nim z całą swoją potęgą. W radzie Spytka zdanie ważyło tyle, co najstarszego z tych panów, a często bardzo przeważało, co on wnosił, bo nikt lepiej nad niego nie znał królowej, jej dworu i politycznych stosunków Elżbiety węgierskiej.

Gdy w obozie Wielkopolan głośno wykrzykiwano i spowiadano się z tego, czego szlachta chciała, gdy obok Bartosza z Odolanowa jawnie podnoszono chorągiew Semka i Piastów, tu cicho było i spokojnie. Nikt nie wyrokował o jutrze.

Dobiesław z Kurozwęk, doskonały do czynu, energiczny, gdy rozkazywać przyszło, nie był ani mównym, ani wymownym. Spytak młody, jakkolwiek gorący, miał się na baczności, by się nie zdradzić z niczym i nie wybuchnąć. Wszyscy na pozór stali twardo przy literze układów z królową, przy obiecanej córce jej Jadwidze, którą szczególnie zalecał i popierał Spytak. Co się tyczy narzeczonego jej Wilhelma rakuskiego, panowie krakowscy nie oświadczyli się wcale ani za, ani przeciwko niemu. O Semku również mówić nic nie chcieli.

Około południa Wicek z Kępy, wojewoda poznański, przyszedł na zamek, chcąc wy badać Krakowian. Przyjęto go uprzejmie bardzo, lecz gdy począł zalecać Piasta za męża dla przyszłej królowej, zamilkli wszyscy.

— Nie łapmy ryb przed niewodem — odezwał się w końcu Sędziwój Topór. — Naprzód potrzeba królowę mieć, niech nam ją dadzą, dopiero wówczas pomyślemy, komu ją dać, królowa jeszcze niedorośla. Czasu jest dosyć.

Wojewoda poznański nic więcej tu nie zyskał nad przekonanie, iż panowie krakowscy czekać chcą.

Dobiesław z Kurozwęk udał się tegoż dnia z pokłonem do arcybiskupa Bodzanty; chodzili tam i

inni. Starano się go wybadać, ale ostrożny pasterz, choć z Semkiem już trzymał, politykował, odwołując się do tego vox populi, w którym dla niego miał się objawić — *vox Dei*⁴⁰.

Zamiast na zamek, którego znaczną część zajmowali goście, arcybiskup ogłosić kazał, iż zgromadzenie zwołuje nazajutrz do dominikańskiego kościoła. Czynił to, jak powiadał, ażeby szlachta, szanując dom boży, sworniej i spokojniej do obrad przystępowała. Nie wszyscy może byli temu radzi, ale powaga arcybiskupa nie dozwalała się sprzeciwiać jego woli.

Od rana z miasta, co tylko w obradach udział wziąć miało, płynęło do dominikanów. Wielkopolanie naprzód gromadnie, tłumno, prowadząc z sobą Semka, który wpośród nich stanął, umyślnie popchnięty na czoło. U boku jego miejsca zajmowali Bartosz z Odolanowa, Wicek z Kępy i wielu innych.

Semko, choć może rad był w pięknym stroju niemieckim krojem wystąpić, odradzano mu to. Przyszły król szlachty musiał się odziać po polsku i po szlachecku, chociaż pańsko i dostatnio. Wziął szubę sobolową szkarłatem okrytą, kołpak z czaplim piórem, kord do boku tego kształtu, jak go wszyscy nosili, tylko w pochwach złotem kutych i sadzonych.

Bartosz z Odolanowa stał przy nim cały we zbroi.

Władysław Opolczyk, chociaż go uwiadomiono, że szlachta się na niego odgrażała, gotową będąc uwięzić, choć i to mu nie było tajno, że obcy strój razić będzie, wystąpił po niemiecku, w sukni na spód jedwabnej szytej w orły czarne⁴¹, w pasie rycerskim, w spodniach obcisłych i krótkim płaszczu gronostajami podbitym. Nakrycie głowy w kształcie zawoju ze spinką także obcą modą było zrobione. Czynił to dumny książę na przekór, aby okazać, że wcale o tłum ten nie dba, którym od dawna pogardzać się nauczył. Zajął też w kościele nie skromne miejsce razem z innymi panami, ale osobne siedzenie obok biskupa Mikołaja i Bodzanty, przy posłach węgierskich. Zaraz mu to palcami wytykać poczęto.

Bliżej w pierwszych rzędach zasiedli Krakowianie z Jaśkiem z Tęczyna, wśród których męska piękność młodzieńcza Spytka z Mielsztyna wszystkich oczy zwracała. Był może nadto piękny i świeży na krakowskiego wojewodę, ale godność tę nosić umiał jak przystało.

Na oko zaraz dwa obozy wielko- i małopolski niezmiernie się różniły od siebie.

Ze strony Wielkopolan, wpośród Nałęczów, z pewną dumą stał Lepiecha w swym starym kozuchu, podwiązanym ręcznikiem białym, który od dawna czystym nazwać się nie mógł. Strzępki około niego wisiały. Z twarzy jego mówiła buta starego ojczyca tej ziemi, który nic obcego nie znosi, choćby mu złotem kapalo.

Za nim, mniej więcej dostatnio, ale ze staroświecka i bez blasku a wytworności, występowali poważni Wielkopolanie, twarze ogorzałe, ręce namulane⁴², poorane czoła. Kordów wiele na sznurkach prostych, ale dłonie do nich potężne.

Zastęp Krakowian senatorską miał powagę i stroje. Tu narodowy strój mieszał się z dodatkami cudzoziemskimi. Niektórych szaty były polskie, ale tkaniny wschodnie, włoskie, flamskie⁴³ lub

francuskie. Więcej tu było widać oglądy i dostatku. Spytek z Mielsztyna, nawykły występować wytwornie na dworze Elżbiety, świecił od złota, jedwabów, łańcuchów i klejnotów. Książęcą miał postawę. Z Dobiesława z Kurozwęk złoto też kapało, lecz bez smaku na nim poczepiane, bo niedawno urosła, chcieli nadto popisać się ze swym dostatkim.

Na twarzach Wielkopolan malowała się niecierpliwość i gorączka, Krakowianie siedzieli ostygli i na pozór niemal obojętni. W tłumie szlachty gwar i szmer się rozchodził, senatorskie ławy milczały.

Na twarzy Bodzanty wyczytać było można jakby trwogę i niepewność. Biedny arcybiskup myślał, że dopóki króla nie będzie prawowitego, na przemiany mu z obu obozów będą dobra najeżdzać i pustoszyć. A szło mu wielce o siebie i o duchowieństwo.

Semko stał strwożony także, ale z twarzą męskiego wyrazu, w której pobłyskiwała niecierpliwość hamowana siłą.

Wśród szmeru zagaił arcybiskup modlitwę do Ducha Świętego. Po nim biskup Mikołaj odezwał się, prosząc o odpowiedź na poselstwo królowej.

Szło Wielkopolanom o to, aby pierwsi przyszedli do słowa i od razu Semka postawili jako wybranca do tronu. Świdwa począł mówić z tą rycerską godnością słowa niezbyt wyszukanego, która prosto za serce chwyta.

— Utrapią ta wielce korona nasza, ziemie wszystkie, domagają się rychłego postanowienia a ratunku. Zmiłowania proszą. Mieliśmy króla, któregośmy ani znali, ni widzieli; nastalo po nim krwawe bezkrólewie i nie ma mu końca. Kto miłościw, niech pomaga, aby wrócił spokój i ład. Za długo chodzimy w krwią obroczonej kapturach. Nie mamy wszyscy nic innego w sercu i nic powiedzieć nie możemy nad to jedno, że prosimy królową Jejmość, aby nam dała królownę, którą przyrzekła. Tej mężem musi być Piast, nasz, krew polska, nie kto inny jak Semko mazowiecki. Ten się u nas zrodził, z nami żył i miłować nas będzie, a dla obcych nie poświęci. Piast królem! Semko panem naszym!

Do ostatnich słów jakby chór głosów zrazu cichszych, potem coraz zwawszych, dobitniejszych, wybuchających gwałtownie, przyłączył się wołaniem:

— Semka chcemy! Semko królem niech będzie!

Poruszył się z miejsca Jan z Tarnowa, ale go zahuczano i do głosu przyjść nie mógł, a tu ponad tłumem Wielkopolan, z ręką na pół obnażoną, ogorzałą, włosem obrosłą, na ławę się podniósł Nałęcz Lepiecha i na jego skinienie ucichło. Oczy wszystkich ku niemu się zwróciły.

— Z dawien dawna — rzekł — myśmy sobie panów dawali, a zawsze u nas zrodzonych, do których nam tłumacza nie było potrzeba. Krew naszych Piastów przecie nie wszystka wsiąkła w groby. Na co nam szukać obcych, gdy swojego rodzzonego mamy. Młodym ten pan jest, nauczy się panować, silnym będzie, mądrym się stanie, naród przy nim cały zastępem się przygarnie. Sam Bóg go nam wskazuje, nie ma innego głosu prócz za Piastem!

Znowu wrzawliwie wywoływać zaczęto Semka, a tak uparcie i groźnie, że z panów krakowskich nikt się nie śmiał wbrew ozwać. Siedzieli wszyscy niemi, spoglądając po sobie, tylko Jaśko z Tęczyna brodę gładził i czekać się zdawał, aby się umysły uspokoiły a wrzawa ustała. Dobiesław z Kurozwęk i on coś szeptali do siebie.

Nie bardzo zważano na to, że Władysław Opolczyk, który przy posłach węgierskich siedział, bladł, zżymał się, poruszał, rękami dawał znaki. Chciał mówić, nie dopuszczano; dumny pan burzył się coraz mocniej, sierznił spoglądając na ten tłum ludzi, ubogo tak wyglądających, a sławiących mu czoło z takim zuchwalstwem i lekceważeniem. Wreście gniew ten pański urósł do tego stopnia, iż z siedzenia porwawszy się, ku Wielkopolanom pięść ściśniętą wyciągnął.

Odpowiedział mu naprzód głos szyderski, jakby śmiechem stłumionym, potem uciszać się zaczęło. Ciekawość się budziła, co też powie, czego chce.

Książę, który innym językiem jak po niemiecku mówić nie umiał, odezwał się z czymś głośno, krzykliwie, ale nikt go nie zrozumiał. Z ruchów tylko i postawy wnosić było można, iż protestował. Ktoś ze stojących bliżej wyrwał się z tłumaczeniem, że książę nie dozwala na ten wybór i głosuje przeciwko niemu.

Zaledwie to usłyszano, gdy ogromna burza powstała.

— A on tu jakim prawem mówi?! On głosu tu nie ma! Zdrajca ten, Niemiec! Uwięzić go i sądzić! Precz z nim do więzienia!

Nie dość było na wołaniu tym, od strony Wielkopolan rzucił się tłum, jakby chciał dokonać, co zapowiedział.

Książę stał dumnie, cale nieustraszony, wyzywający niemal. Twarz okryła mu się purpurą gniewu i wyrazem pogardy.

Byłoby może do gwałtu jakiego przyszło, gdyby przerażony tym obrotem arcybiskup Bodzanta, ręce obie wzniosłszy do góry, nie począł w Imię Pańskie wołać o pokój nakazując milczenie.

— Chce ci się wielkorządów nad nami — krzyczał Lepiecha, ręką wywijając ku księciu — myślisz, że w naszej mętnej wodzie złapiesz sobie rybę! Aleś ty ani Piast, ani nasz! Niemiec jesteś! Idź na Węgry panować! U nas dla ciebie miejsca nie ma!

Śmiechem mu zawtórowano.

Znowu Wielkopolanie, dając sobie znaki, ruszyli się.

— Uwięzić go, wziąć go, sądzić! Precz z Niemcem!

Ławy trzeszczały, bo je obalać zaczęto.

Bartosz z Odolanowa sam się wprawdzie nie ruszał, ale swoich podżegał. Opolczyk nie ustępował i nie okazywał strachu. Niebezpieczeństwo było tak jawne, tak wielkie, rozjątrzenie tak groźne, że

panowie krakowscy ruszyli się je hamować.

Bodzanta z rękami złożonymi błagał Opolczyka, aby ustąpił, ten głową potrząsał.

Głosy za Ziemowitem mazowieckim huknęły znowu tak silnie, przeważnie i zgodnie, że wybór jego nie zdawał się ulegać wątpliwości. Bartosz z dala dawał znaki arcybiskupowi, aby z tej chwili, gdy nikt przeczyć nie śmiał, korzystał i Semka ogłosił królem. Arcybiskup czuł sam, że głos jego mógł być stanowczym. Podniósł się błagając, aby się uciszono.

Z trudnością przychodziło rozkołysane uspokoić fale. Nareście milczenie nastąpiło. Na stojącego w swym miejscu Opolczyka nikt nie patrzył.

— Najmilsi bracia — podnosząc głos nieco drżący, rzekł Bodzanta. — Zgadźcie się więc wszyscy na to, ażeby Ziemowita, księcia mazowieckiego, wybrać, ogłosić i koronować na króla polskiego?

Cały kościół zatrzęsł się od gwałtownego wołania:

— Chcemy go! Żądamy! Niech będzie królem naszym!

Nikt się nie śmiał przeciwzić.

Bodzanta już miał wyrzec słowo, które na ustach jego zawisło, gdy poważny Jaśko z Tęczyna wstał i rękę podniósł do góry. Była to postać tak imponująca, takim namaszczone spokojem, tak nakazująca tłumowi, iż na znak przez nią dany uciszyło się wszystko cudownie. Wielkopolanie nie spodziewali się pewnie, aby miał odwagę wbrew tak dobitnie wyrażonej woli narodu sam jeden stawić opór. Oblicze zresztą wypogodzone nie zdradzało myśli. Nie było na nim śladu namiętności, niechęci, żadnej przepowiedni wrogiej.

— Nad przeważną radzimy sprawą — zaczął z wolna i spokojnie — od której losy przyszłego państwa naszego zawisły. Nie godzi się, mili bracia, rozstrzygać ją z takim pośpiechem. Może by nam potem przyszło długo i gorzko żałować tej skwapliwości naszej w stanowieniu uchwały. Wiecie wszyscy jako i ja, żeśmy się zobowiązali królowej naszej Jadwidze być wiernymi, królową naszą jest Jadwiga. O losach jej więc nie rozstrzygajmy, dopóki ona do nas nie przybędzie; czekajmy na nią. Naznaczmy dzień, niech na Zesłanie Ducha Świętego z Duchem Świętym do nas przybywa, naówczas radzić będziemy wspólnie z nią nad wyborem jej małżonka. Prosimy, błagamy, aby królowa nam ją przysłała na czas naznaczony. Jeżeli nie przybędzie albo ostatniej naszej nie przyjmie uchwały, naówczas dopiero przystąpimy do wyboru nowego króla. Tak radzę, a sędzę, że rada moja sprawiedliwą jest i dobrą.

Mówił Jaśko z Tęczyna tak powolnie, wodząc oczyma po zgromadzeniu, że słuchając go, pod wrażeniem spokoju, którym mowa była namaszczone, umysły znacznie się ukołysły — nikt nie miał nic do zarzucenia radzie wytrawnej i rozumnej. Nie odpychał on Ziemowita, nie zaprzeczał narodowi prawo do wyboru, ale zachować go chciał od zarzutu lekkomyślności.

Pierwszy arcybiskup Bodzanta, który własnej skwapliwości trochę się wstydził i utykał, przybrał

taką postawę, jak by na zdanie Jaśka przystawał. Starszyzna wielkopolska spoglądała po sobie wahając się, Krakowianie, korzystając z tej chwili zachwiania, coraz głośniejsze i stanowczo odzywali się za zdaniem kasztelana. Jąkając się, mrużąc oczyma, przemówił coś Bodzanta, więcej rękami okazując niż słowami.

Stało się, czego przed chwilą nikt przewidywać nie mógł, nikt się nie śmiało spodziewać, a co często trafi się w tłumie namiętym, który jak fala miota się na jedną i drugą stronę za lada powiewem.

Niektórzy z Wielkopolan chcieli uporczywie Semka okrzyknąć, wstrzymano ich tym, że sprawie księcia gwałtowność zaszkodzić może.

Starszyzna skupiła się dokoła, naradzając już nad urzędową odpowiedzią, jaką dać miała posłom królowej. Wielkopolanie radzi nieradzi, sami pewnie nie wiedząc, jak się to stało, ulegli zwyciężeni.

Słuchano spokojnie, jak Bodzanta wyrażał boleść długim bezkrólewem i klęskami jego sprowadzoną na osierocone królestwo. Oświadczył razem, że Polacy chcą przysięg złożonych raz dochować, ale obietnicami i zwłokami dłużej się ludzić nie mogą. Proszą więc, aby przeznaczona dla nich Jadwiga na uroczystość Zesłania Ducha Świętego do Polski przybyła, a z przyszłym małżonkiem swym stale w Polsce zamieszkała. Dodano żądanie, aby oderwane ziemie, kraje ruskie, Wieluń⁴⁴ i Dobrzyń odzyskano — a naówczas Polacy uznają Jadwigę swą królową. Lecz — gdyby w porę nie przybyła, naówczas zmuszeni będą, dłużej nie czekając — myśleć o swoim ocaleniu.

Końca tej odpowiedzi nie wysłuchawszy, Semko, który już zawiedziony nadzieją do ostatecznego zburzenia i gniewu był doprowadzony, wyrwał się pomiędzy otaczających go, rozepchnął tłum i poszedł ku drzwiom kościoła. Wzrok jego był piorunujący, chód gwałtowny. Bartosza usiłującego wstrzymać go odepchnął na stronę. Z zaciętymi ustami wyrwał się w ulicę, miotając rękami, nie patrząc na tych, co za nim gonili.

Mówić nie mógł, kroplisty pot biegł mu z czoła.

— Bodzanta! Arcybiskup! Zdrajca! — jąkał się niewyraźnie.

Bartosz z Odolanowa zaskoczył mu drogę.

— Na Boga! Na rany Zbawiciela! — zawołał. — Nie okazujże Miłość Wasza, że sprawę swą masz za straconą! Wszystkim serca upadną! Ja teraz jeszcze za arcybiskupa ręczę, iż będzie i wytrwa z nami. Sposób znajdziemy na to, aby się królowna innemu nie dostała. Myśmy pewni swego!

Semko szedł wprost do obozu, zawsze jeszcze z tym gniewem w sercu, jednakże prośby, zaklęcia, upewnienia uspokoiły go nieco. Bartosz, Świdwa i inni nie odstępowali go, dowodząc, że nie tylko nic nie było zachwianym, lecz przyszłość zapewniona.

— Nie okazuj tylko, Miłość Wasza, ani gniewu, ni zwątpienia, inaczej szlachta opuści nas, zachwieje się.

Błaganiem tym usilnym skłonili wreszcie Semka, iż twarz zasepioną nieco na przyjęcie nadbiegającej z kościoła szlachty rozpogodził. Bartosz szczególnie, wcale nie zrażony, pewien siebie i w nim ufność jakąś rozbudził. W sercu jednak gorycz została, choć stłumiona.

Bartosz był tu duszą wszystkiego, osią, na której obracała się sprawa. Natychmiast chciał powracać do klasztoru, aby arcybiskupowi nie dając czasu do rozmyśłu, trzymać go przy danym słowie. Dowodził, iż ustępstwo uczynione Krakowianom było rozumnym.

— Lepiej się stało, żeśmy nie szli przebojem! — wołał. — Okazaliśmy przez to, że zwłoki się nie lękamy. Wasza Miłość polegaj na nas — nie ustąpimy!

Ta odwaga i wierność Bartosza, który ustępować nie myślał, w końcu i Semka uczyniła pewniejszym.

— Idźmy więc dalej — rzekł. — Ja ofiar z siebie nie będę szczędził, lecz dochowajcie mi wiary! Przyszłoby na żywot cały o ludziach zwątpić, gdybyście mi zawód uczynić mieli.

Z tym hasłem przybył Semko do swoich namiotów, udając wesołość i zagrzewając swoich do wytrwania. — Czy w duszy miał to uczucie? Któż zgadnie? Czasem marszczyło mu się czoło i ściągały brwi, ale ustom uśmiechać się kazał.

Dowódcy gromadek powtarzali pocieszając się:

— Przy nas zwycięstwo. Nie śmieli nam się opierać. Władysław Opolczyk pojedzie precz jak zmyty. Uchwała i wybór stoją jak skała! Niech królownę przyszlą, nie dopuścimy do niej nikogo.

Szlachta dawała w siebie wmawiać zwycięstwo. — Semko, z wolna przyszedłszy do siebie, ostygłszy, razem z innymi obmyślał, jak do Zielonych Świąt mieli się gotować, zbroić i przedsiębrać środki opanowania przyszłej królowej. Znaczną część nocy starszyzna spędziła przy księciu, zagrzewając się, naradzając, a po trochu narzekając na powolność Bodzanty, który nie miał odwagi w porę podnieść głosu.

Bartosz od arcybiskupa przyniósł zapewnienie najuroczystsze, iż pozostanie wiernym sprawie księcia mazowieckiego. — Dobiegł on i do Krakowian, ale tu znalazł bardzo zimne przyjęcie. Dobiesław z Kurozwęk, o którego pozyskanie szło najbardziej, bo w jego rękach był Kraków, a posiadanie stolicy zapewniało koronę, odwoływał się do tego, co mówił Jaśko z Tęczyna. O Semku nikt ani wspomniał, a na naleganie Bartosza odpowiadano dwuznacznymi słowy. On i Świdwa obiegli wszystkich znaczniejszych panów, wszędzie przyjmowani tym chłodem i odkładaniem sprawy do przybycia królowej. Panowie krakowscy już się sposobili do opuszczenia Sieradzia, unikając widocznie zetknięcia się nawet z obozem Semka.

Władysław Opolski, który właśnie o tym czasie zakładał w Częstochowie klasztor paulinów i ofiarował mu do kościoła starożytny obraz cudowny, mający pochodzić z Konstantynopola, który później zasłynął na Jasnej Górze, zniechęcony tym, co go w Sieradziu spotkało, nazajutrz nie żegnając nikogo, pojechał oglądać swój konwent nowy i modlić się w kościele świeżo wzniesionym.

Semko, któremu nie starczyła już wyczerpana suma u Krzyżaków pożyczona, spieszył nazad do Płocka, mając zamiar powtórnie prosić o posiłek Zakonu. Szlachta do ostatka zaprzysięgała mu, że go nie opuści, i przeprowadzała odjeżdżającego z okrzykami.

Tłumny zjazd w Sieradziu, jak skoro posłowie węgierscy, którym spieszno było odwieźć odpowiedź królowej, wyruszyli stąd, rozpraszać się zaczął z równym pośpiechem, jak zgromadził. Arcybiskup powracał do Gniezna zasmucony, przewidując trudności nowe.

Na rozjezdnym Wielkopolskie zmówili się wyjechać na spotkanie młodej królowej, wiedząc, że Małopolska zbiera się pierwsza witać ją u granicy, chcąc otoczyć i opanować tak, aby żaden wpływ obcy nie mógł się tu precyzyjnie. Mieli za sobą szczęściem arcybiskupa, na którego liczyli, a bez niego koronacja odbyć się nie mogła. Bodzanta miał ich prowadzić.

Głośniejsze niż kiedykolwiek obwoływano Semka przyszłym królem, chociaż stronnictwo Domarata, rozejmem do czasu rozbrojone, trzymając się przy swych zamkach i grodach gotowało się do oporu.

Poprzedzała Semka do Płocka wieść umyślnie puszczona, iż został wybranym, miał być już okrzykniętym, a Krakowianie tylko wyjednali zwłokę do Zielonych Świąt.

Umyślnie urządził książę swój wjazd do Płocka tak, aby potwierdzić nim odgłos o zwycięstwie. Otoczony dworem, poprzedzany trębami, rozkazując wieść przed sobą Sławcowi chorągiew mazowiecką, mając u boku wojewodę Abrama, Świdwę i znaczny poczet Wielkopolan, w biały dzień, przy biciu w dzwony, uzbrojony po rycersku, Semko zajechał na zamek swój, wśród okrzyków zbiegającego się tłumu.

Henryk, który na ten dzień wdział suknię duchowną i łańcuch na szyję, witał go u wnijsia z szyderską unizonością. Zdawało się, że lepiej od innych był o wszystkim uwiadomiony.

Rozdział V

W sam dzień Wielkiejnocy rano starosta Hawnul na klęczkach słuchał mszy świętej w małym kościółku Franciszkanów Na Piaskach.

Widok tego nabożeństwa w drewnianym ubogim domostwie skrytego, obawiającego się zdradzić najmniejszą głośniejszą oznaką, przypominał pierwsze chrześcijaństwa wieki.

Franciszkanie modlący się w chórze po cichu byli to następcy, bracia tych trzech męczenników, których na górze nad Wilnem ukrzyżowano. Czas, który upłynął od tego wzburzenia pogańskiego ludu, nienawiści jego i wstrętu do chrześcijan nie uśmierzył i nie zagłuszył.

Stara wiara litewska, jeden z ostatnich w Europie szczątków odwiecznej religii i przyniesionej ze Wschodu, a na nowym gruncie, pod różnymi wpływami dziko rozrosłej, czuła się coraz bardziej zagrożoną przez opasujące ją zewsząd chrześcijaństwo i do rozpaczliwej gotowała obrony. Wprawdzie część społeczności stojąca u góry, jak wszędzie i zawsze, pierwsza straciła cechę narodową i przywiązanie do wiary, zubożyła pod wpływem obcym, ale lud trzymał się starych ołtarzów, z dzikim roznamiętnieniem gotów na ich obronę.

Musiano się więc wystrzeżać, aby niczym w tłumach nie wywołać rozdrażnienia. Ani pop Nestor na zamku, ani franciszkanie Hawnula na przedmieściu nie wazyli się jawniej występować z obrzędami swoimi.

I w dzień tej wielkiej uroczystości Zmartwychwstania Pańskiego, tryumfu Zbawiciela nad śmiercią, mała wiernych gromadka cicho się modliła. Chór zajmowali zakonnicy i braciszkwowie; w kościółku oprócz Hawnula było zaledwie kilku chrześcijan nawróconych potajemnie i Polaków, którzy się jako jeńcy wojenni na Litwę dostali.

Purpurowa chorągiew Pana, zwycięzcy, powiewała przy ołtarzu, przy niej paliła się wielka świeca paschalna, a ojciec Paweł z rozrzewnieniem radosnym powtarzał:

— Alleluja!

Po długim i surowym poście czekała na zakonników staraniem Hawnula przysposobiona biesiada w refektarzu⁴⁵. Tu wszystko było równie ciasne, szczupłe, ubogie jak kościółek, ale twarze zakonników stojących na bojowych kresach promieniały radością.

Dwa razy do roku szczególnie radość ta, uczuciem religijnym wywołana, objawiała się dobitniej: u żłobku nocą Bożego Narodzenia i u grobu Pańskiego, gdy anioł zwiastował Mariom, że Chrystus zmartwychwstał.

Dnia tego cieszyli się mocniej jeszcze niż zwykle zakonnicy, bo właśnie w pomoc im przybył z klasztoru w Pyzdrach ojciec Anioł, którego przyjmowali jak wysłańca z lepszego świata.

Ojciec Anioł, niegdyś rycerz i szlachcic zawołania Sulimy, który był wdział habit wskutek ślubu uczynionego na polu bitwy, niemłodym już był, ale wielkiej energii i poświęcenia człowiekiem, jakby stworzonym na apostoła. Spod zakonnej pokory dobywały się resztki rycerskiego ducha. Umysł miał otwarty i nieobcy był sprawom kraju, który kochał tak, jak gdy walczył w jego obronie z kordem w dłoni.

Drugi dopiero dzień cieszyli się ojcowie przybyciem ojca Anioła, a nie mieli jeszcze czasu dosyć się z nim nagadać o wszystkim, o czym się od niego dowiedzieć spodziewali. Nabożeństwo wielkotygodniowe prawie bez wytchnienia ich dzień i noc w kościele trzymało.

Starosta Hawnul już o przybyciu nowego zakonnika był zawiadomiony i tak ciekawy jak ojcowie tego, co on im przynosił z sobą. Przy stole więc, do którego Hawnul zasiadł z nimi, zaczęła się bardzo żywa rozmowa o stanie Korony Polskiej. Sprawa jej obchodziła gorąco znaczniejszą część braci pochodzenia polskiego. Hawnul dopytywał troskliwie o starania Semka, o losy Luksemburczyka, praktyki krzyżackie, działania Władysława Opolskiego itp.

Ojciec Anioł, sam Wielkopolanin, Nałęczom powinowaty, umiał z tego wszystkiego dobrą zdać sprawę. Widział on jednak z okna klasztornej sprawy kraju inaczej może niż inni jego współbracia.

— Czy księżę mazowiecki królem zostanie, nie wiem. Wyroki Opatrzności są nieprzeniknione — mówił — ale to dla mnie jawne, że Małopolanie, panowie krakowscy, lękają się Semka, aby przy nim znowu Wielkopolska góry nad nimi nie wzięła, a z czasem i stolicy po staremu do Poznania nie przeniosła. Mamy już u siebie arcybiskupią. Naówczas Małopolska istotnie by maleńką się stała. Nasz pasterz Bodzanta trzyma z Mazurem, ale jeśli Małopolanie mu do korony przeszkodzą, i on się łącznie na innego zgodzi. Na dzień Zesłania Ducha Świętego przybywa królowna do nas wyznaczona, wtenczas się dopiero rzeczy wyjaśnią. Wielkopolanie chcą jej dać Semka za męża.

— Lecz — przerwał Hawnul, z wielkim zajęciem chwytający każde słowo mnicha — słyszałem, że królowna ma już od dawna zaręczonego z sobą przyszłego męża Wilhelma austriackiego.

Ojciec Anioł poruszył ramionami.

— Wszyscy u nas na to jedno się zgadzają, ażeby za króla nie przyjmować, tylko takiego, który by u nas mieszkać mógł i królować, Rakuszanie⁴⁶ zaś siedzieć tu nie może.

— Więc Semko? — przerwał Hawnul.

— Nie wiem — odparł skromnie mnich — lecz boję się, aby go panowie małopolscy nie usunęli. Boją się go, a siłę mają i przebiegli są. Zda mi się, że sprawę przeciągną i kogoś ze swojego ramienia na tron poprowadzą.

— A kogóż? — pytał starosta.

— Bóg jeden wie. Wybór będzie od nich zależeć. Warunkiem pierwszym jest, ażeby w Krakowie siedział, sam rządził i nikomu wielkorządów nie powierzał. Obrzydły wszystkim one.

Kilka pytań jeszcze zadał ciekawy Hawnul ojcu Aniołowi i widać było, że umysł miał czymś mocno zaprzątnięty. Zamyślał się, wzdychał, oczy w ziemię wlepił, poruszonym był więcej niż zwykle. Zakonnicy wnosili z tego, że jakaś sprawa ważna na ramionach jego ciążyła.

W istocie Hawnul chodził myślą obarczony dziwną, która mu czasu nabożeństwa, właśnie gdy ojciec Paweł wesoło wyśpiewywał Alleluja, jak promień z nieba padła na duszę. Jakiś głos tajemny usłyszał w sobie, który mówić się zdawał: „Wstań a idź, prowadź do chrztu Jagiełłę i na tron polski, połączony z Litwą”!

Wydawało mu się to zuchwałym, niezrozumiałym, dziecinnym prawie i niemożliwym, lecz teraz słuchając powieści ojca Anioła, zaczynał przewidywać, że marzenie to ziścić by się mogło, że to był może jedyny sposób zmuszenia Jagiełły, którego kochał, do przyjęcia chrześcijańskiej wiary. A w duszy brzmiało mu ciągle, z wielkanocnym Alleluja: „Wstań a idź, wstań a prowadź pana twojego do chrztu i na tron”! Słowa te oblegały go, dźwięczały w jego uszach, nie dawały mu o niczym innym myśleć, nic zrozumieć.

„Wstań a idź”! — mówił głos wewnętrzny. Z pokorą pobożnego człowieka Hawnul opierał się tej pokusie, nie czując się do tak wielkiego dzieła godnym powołania.

Tajemnym pragnieniem całego jego życia było ochrzcić Jagiełłę, uczynić go równym innym monarchom chrześcijańskim. Teraz do tego otwierało się pole. Dwie połączone razem korony przeciwko Zakonowi! Z nich dwu rosła niezwyciężona potęga.

Upojony tą myślą Hawnul wyjechał żegnając mnichów, wprost dążąc na zamek, do dworca swojego. Tu zamknął się z myślami nie dającymi mu spokoju.

„Wstań i idź”! — powtarzało się w jego duszy. Był to jak rozkaz z góry, jak głos Boży, miał siłę, której oprzeć się Hawnul nie umiał.

Jagiełły, który jeśli nie był na wojnie, zawsze prawie na łowach w lasach siedział, i teraz nie było w Wilnie. Z braci dwu gdzieś na Rusi siedziało, inni byli po zamkach rozpierzchli. Stara tylko królowa z córkami modliła się i wzdychała do monasteru w teremach swoich.

Nad wieczór Hawnul, nie mogąc już wytrzymać, przeżegnał się, westchnął i szedł do wielkiej księżnej.

Właśnie gdy przechodził podwórcę, około świętego ołtarza Litwy jakiś uroczysty obchód wiosenny się odbywał. Dym ogromnym słupem wzbijał się w powietrze, brzmiały pieśni, a ludzie w wieńcach zielonych przemykali się około murów. Hawnul spojrział w tą stronę, na żywe jeszcze bałwochwalstwo, mające tu swych kapłanów, wieszczów i pobożnych wyznawców, zadumany nad tym, jakiej siły było potrzeba, ażeby obalić gmach ten prastary, mający korzenie głęboko w ziemi utkwione.

U drzwi wielkiej księżnej, lękając się, aby jakiego nabożeństwa jej nie przerwał, stanął, oznajmując się przez sługę.

Właśnie się modlitwy skończyły. Stara Julianna, która chodziła mało, bo jej sił brakło, siedziała już w krześle z paciorkami w rękę. Lubiła ona dosyć starostę, chociaż gorliwa Rusinka miała za złe, że jeden obrzęd z Krzyżakami wyznawał.

Hawnul począł od pytań o zdrowie, zmuszony zwykłych starym skarg wysłuchać, potem nowin z Tweru, od Połocka⁴⁷ i z Rusi.

— Ja też od Lachów miałem wiadomości — rzekł starosta, zbliżając się do staruszki i spozierając, czy sług w bliskości nie ma. — Gdybyś mnie Wasza Miłość wysłuchać raczyła, dużo bym miał do powiedzenia. Z dawna dręczy mnie myśl, z której bym się rad zwierzyć, tak mnie ona opanowała.

Julianna słuchała sparta na rękę.

— Polacy króla nie mają — odezwał się żywo Hawnul — mieć tylko będą młodą królowę, dziewczę zaledwie dorastające. Muszę dla niej szukać męża, a dla siebie króla.

I uniósł się nagle starosta.

— A, a! Miłościwa Pani! Na tym tronie pana by naszego posadzić, a połączyć dwa państwa i całą tą potęgą na Krzyżaków uderzyć!

Julianna poruszyła się nieco, głową potrząsnęła, zadumała, uśmiech niedowierzania przesunął się po jej ustach.

— Człowiecze! — rzekła. — Co się tobie śni? Alboż to może być? Oni jego za króla nie zechcą. Długie wieki z nimi wrogamiśmy byli. Ruś im także nie chętna. To świat inny, a to inny. Modlim się inaczej. Dla Jagiełły żony na Rusi szukać potrzeba i panowania na Rusi. Tam się nam chrzcić, zdobywać i granice posuwać.

Hawnul spokojnie dał jej mówić.

— Miłościwa Pani — począł, gdy zamilkła. — Na Rusi kniaziów wszystkich pokonać i znieść, aby sobie państwo zdobyć szerokie, trudniej będzie, niż się z Polską pod krzyżem Chrystusowym pojednać. Tu dla Jagiełły bez wojny, bez trudu, bez nieprzyjaciela tron gotowy, żona młoda, państwo mocne i wojsko dzielne do pokonania Zakonu.

Wielka księżna, nie odpowiadając długo, w myślach się pograżała. Potrzebowała się oswoić z tą rzeczą tak nową, której nigdy dotąd nikt przypuszczać nie śmiał.

— Ale oni tam Semka prowadzą — rzekła.

— Nie wszyscy — żywo odparł Hawnul. — Właśnie ci, co najwięcej mocy mają i rozumu, obawiają się go i nie życzą. Dla nich Litwa tak potrzebna, jak nam Polska. A, gdyby pan nasz dał tylko znak, rzekł słowo...

— Czyście z nim już o tym mówili? — spytała księżna.

— Nie! — zawołał Hawnul. — Dotąd nie. Dziś dopiero Pan Bóg mnie tą myślą natchnął, a od niej, jak bym wina się napił, głowa mi się zawróciła. Pokoju mi nie daje!

Wielka księżna ciekawie wpatrywała się w stojącego przed nią starostę, który postawę miał natchnioną i przejętą.

— Wyście dobrym i wiernym sługą naszym — odezwała się z dobrocią — wiem, że kochasz syna mojego, dlatego nawet niemożliwe rzeczy byś rad spełnić. Polska i my, ogień i woda! Jakże to połączyć w jedno?

— Miłościwa Pani, przecież Litwinki były tam już na tronie, były Rusinki, czemuż by pan nasz nie mógł być?

— A wiesz, jak się im tam działo? — odparła Julianna.

— Inny jest los niewiasty a mężczyzny — rzekł Hawnul. — One tam szły słuchać, nasz pan pójdzie rozkazywać.

Wtem księżna, jakby naumyślnie, coś zupełnie obcego wrzuciła w rozmowę, mówiła o Tatarach i wojnie z nimi. Hawnul zamilkł.

Pierwszą myślą jego było przez matkę trafić z tym do Jagiełły, znajdował tu opór, ale nim się nie zrażał. Ufał w to, że Julianna, choć w pierwszej chwili odtrąciła to, co jej przynosił, musiała po namyśle ulec wielkiej pokusie, przyszłość świetną i piękną otwierającej dla jej syna. Chciał już pożegnać księżnę, zostawując jej myśl, rzuconą, aby czas miała się z nią oswoić, gdy go staruszka wstrzymała.

— Tak! Tak! — wyjąknęła zadumana. — To by była potęga wielka bardzo! Samym postrachem, nie dobywając oręża, zgniótłby tych nienawistnych mnichów... Ale jemu królować w tej Polsce zaburzonej, niespokojnej, gdzie bojarowie i panowie nieustannie przeciw swym królom głowy podnoszą!?

— Przeciwno buntującym się mieć będzie Litwę — odezwał się Hawnul.

— Obcy ludzie, wiara, obyczaj, wszystko zachodnie, nie nasze — mówiła księżna — on by tam był nie swój, a nie swojego pana poddani nie kochają.

— Naszego pana musieliby umiłować, bo dobrym jest — mówił Hawnul. — Przecie między Rusią a Polską tyle jest podobieństwa, co różnicy, mowa prawie jedna, tłumacza nie potrzeba. Rusi już zawojowali dosyć i trzymać będą.

To mówiąc Hawnul zamilkł nagle, zdawało mu się bowiem, że za pierwszym zamachem zbyt nalegać był nie powinien. Pokłonił się i pożegnał księżnę.

Jagiełło dnia następnego nie powrócił, a starosta nie poszedł do księżnej matki. Z południa dworzanin przyszedł go do niej wezwać. Szedł Hawnul natychmiast, a że od granicy dostał języka, od tego począł.

Stara księżna mówić mu długo nie dała o tym. W twarzy jej malowało się jakieś rozmarzenie, oczy jaśniej świeciły.

— Snu mnie pozbawiłeś — odezwała się. — Niedorzeczną baśń splotłeś, a ta mi pokoju nie dała.

Spoglądała nań wyzywająco.

— Miłościwa Pani — rzekł Hawnul. — Gdybym ja to za baśń miał, nie ośmieliłbym się mówić Miłości Waszej o lada śnie moim. Ja wierzę w to mocno, że byle pan nasz chciał, baśń i marzenie mogą się sprawdzić na jawie.

Staruszka głową potrząsała.

— Swatowi by się za te dziewosłęby piękny ręcznik złotem szyty należał — dodała.

— Swat by ręczników się wyrzekł i sam by ostatnią koszulę oddał, byle wesela doczekał — odezwał się wesoło starosta.

Księżna poczęła poważnie:

— Wielkie to dzieło! Straszno do niego rękę przyłożyć nie wiedząc, jak się skończy. Nam dla godności naszej nie można próbować, czegośmy niepewni, czy dokonamy. Z takiej wysokości spaść!

Spojrzała na Hawnula.

— Ja bym też nie prowadził pana mojego, sam wprzód nie rozpatrzywszy drogi — rzekł starosta.

— Jak? Co ty myślisz? — ciekawie pytała księżna.

Hawnul podumał chwilę.

— Pojechałbym sam na zwiady do Krakowa jako kupiec, jak Niemiec. Znalazłbym ludzi, co by mi pomogli. Musiałbym podróż tak odbyć, aby nikt o niej nie wiedział ani się dorozumiał, po co jadę. Tu w Wilnie będą sądzili, że do Rygi do brata się wybrał.

— Jak ty to wszystko już obmyślał! — dziwując się przerwała księżna i urwała prędko.

— A z Jagiełłą wprzód o tym nie mówiłbyś? — zapytała.

— Sam nie wiem. Uczyniłbym, jak mi Wasza Miłość rozkaże — mówił, ośmielając się, Hawnul.

Nim odpowiedź nastąpiła, dano znać na nabożeństwo wieczorne w kaplicy, wstała księżna, a starosta ją pożegnał.

Nocą Jagiełło powrócił; o brzasku zbudzono Hawnula, wołając do pana dla spraw skarbowych. Jagiełło obdarzający ciągle, szczodry bez miary, jak zwykle żądał od Hawnula dla swych ulubieńców pieniędzy, futer, podarków. Oszczędny Niemiec opierał się, jak mógł. Spór zawsze się tym kończył,

iż starosta więcej, niż chciał, dać musiał i Jagiełło śmiał się z niego.

Nie mówili o niczym, bo wielki ksiązę unikał poważniejszej rozmowy.

Wiosna i zieleniejące lasy, ocieplone powietrze, śpiewające słowiki, świat do nowego rozbudzony życia, sprawiały zawsze na umyśle wrażliwym Jagiełły to wrażenie, iż się czuł odmłodzonym i szczęśliwym. Przerywał nawet zwykłe swe milczenie trwożliwe wesołym żartem, a w poufałym gronie śmiał się swobodnie. Obca dopiero ukazująca się twarz zamkniętym go w sobie i poważnym czyniła. Hawnul nie wątpił, że stara księżna zwierzy się pewnie z tego, co jej przyniósł, nie mogąc wytrwać w milczeniu.

Stało się, jak przewidywał.

Wieczorem, przyszedłszy do Jagiełły po służbie, zastał go uśmiechniętym szydersko.

— Cóż to? — począł, przyzwawszy Hawnula bliżej, tak aby dwór słyszeć ich nie mógł. — Ty, Niemcze paskudny, chcesz mnie zrobić królem polskim?

— Tak jest — rzekł śmiało starosta — ja tego bardzo sobie życzę.

— Garścią łapiesz skowronki! — odparł, śmiejąc się, Jagiełło.

— Powiedzieć to łatwo, a zrobić?

— Zrobić byłoby może trochę trudniej, ale gdybyś Wasza Miłość chciał tylko...

— Chciał? Śmieszny człowiecze — przerwał Jagiełło — a któż by nie chciał potęgi, podwójnej korony, zwycięstwa nad wrogami i pięknej żonki młodej!

Podniósł rękę ksiązę i śmiejąc się jeszcze, z lekka odepchnął starostę.

— Nie róbże mi oskomy daremnie!

Hawnul pokłonił się i chciał go w rękę pocałować.

— Puśćcie mnie na zwiady — zawołał — puśćcie! Proszę! Sprawię się dobrze i przyniosę gościńca — koronę.

Jagiełło nagle spoważniał i posmutniał.

— Dowiedzieliby się ludzie i urągali potem z wielkiego księcia litewskiego. — Głową potrząsnął. — Semkowi mazowieckiemu wolno wyciągnąć rękę i nic nie dostać, ale synowi Olgierdowemu⁴⁸ nie godzi się!

— Ale żywy duch o tym wiedzieć nie może — gorąco począł Hawnul — ani żem był posłany, ani z czym! Kupcem pojedę i powrócę kupcem. To nie Waszej Miłości sprawa, a moja.

Książę wciąż głową potrząsał.

Wtem nadszedł młodszy brat Wigund i rozmowa natychmiast przerwana została. Jagiełło dał znać Hawnulowi, żeby tajemnicy nie zdradził, nawet przed ulubionym jego bratem. Odchodzić jednak nie dał staroście i gdy jedzenie przyniesiono, zatrzymał go przy sobie. Mówiono o łowach. Wigund się przechwalał, Jagiełło trochę z nim drażnił. Wstał potem prędko, wody się napiwszy, i Hawnula do swej sypialni poprowadził.

— Milcz ty mi z tym, o czym mówiłeś matce — rzekł grożąc. — Zakląłem i ją, ażeby nie powtarzała tego nikomu, ale niewieście usta zamknąć trudniej niż mężczyźnie zemsty zabronić. Naprawdę pojechałbyś ty na zwiady? Aż tam? Do samego Krakowa?

Wlepił oczy w niego. Starosta odpowiedział stanowczo:

— Pojadę.

Przeszedł się po izbie Jagiełło.

— Kto tobie to poddał? Kto naraił? — odezwał się niespokojnie. — To zdrada może?

— Miłościwy Panie — począł Hawnul — znacie mnie, że nie kłamię. Jestem chrześcijaninem, do Boga mego modlę się gorąco i mogę wam poprzysiąc, że przy modlitwie słyszałem głos...

— Głos? Głos słyszałeś?! — krzyknął przestraszony wielki książę cofając się.

— Nie głos ludzki, ale duszy mojej, mówiący mi wyraźnie: „Idź i czyn to”!

Hawnul, śmiało w oczy patrząc Jagielle, w piersi się uderzył.

Z twarzą zmienioną książę stał przed nim strwożony, oglądając się i szepcząc jakieś zabobonne zaklęcia. Obawiał się czarów i wszelkich zjawisk nadzwyczajnych, sił niewidomych, w których istnienie wierzył mocno. Zapewnienie Hawnula, że czasu modlitwy głos jakiś w sobie słyszał, zmieniło zupełnie usposobienie księcia. Lękał się już przeciwie temu rozkazowi z góry, a nie ufał, czy on pochodził od jakiej siły czystej, czy od wrogiej potęgi.

Hawnul zamilkł, mowy już o tym nie było dnia tego. Na dzień następny łowy były około Trok zapowiedziane, ale wielki książę wysłał brata, a sam pozostał w domu. Z rana kazano przyjsć Hawnulowi znowu.

Po krótkim wstępie Jagiełło kazał sobie powtórzyć wczorajsze opowiadanie i zasepił się znowu. Wahał się jeszcze: wysłać ma czy nie Hawnula? Znalazł nareszcie środek, który mu się wydał najbezpieczniejszym.

— Nie bronię ci jechać — rzekł — ale cię nie posyłam. Jedź, gdy chcesz. Ja o tym wiedzieć nie powinienem, o niczym!

Zaczął zaraz rozpytywać o drogę, sposób dostania się do oddalonego Krakowa, o osoby, do

których Hawnul przystęp się mieć spodziewał, i dokończył powtórzeniem:

— Jedź, ale nie posłany przeze mnie, a wracaj rychło, bo będę sądził, że ci tam głowę z karku zdjęli. U nich wojna, wszyscy tam podejrzani; gościńce, na które teraz żaden kupiec się nie waży.

Hawnul miał na wszystko uspokajające odpowiedzi. Stosunki jego handlowe, związki przez franciszkanów z Polską, zapewniały mu przejazd bezpieczny. Wielki książę już mu się nie sprzeciwiał.

Podróż więc pozostawioną została, z tym warunkiem, iż Hawnul opowiadać miał, że się wybiera do Rygi.

Zyskawszy pozwolenie, starosta, w którym raz powzięta myśl gorzała, nie dając mu spoczynku, natychmiast zajął się jej wykonaniem. Franciszkanie mieli mu w tym być pomocą. Brat Antoniusz musiał się znowu poświęcić i towarzyszyć staroście. Najlepszy to był przewodnik, gdyż znał wszystkie konwenty⁴⁹ swojego zakonu, a drogi pomiędzy nimi niejedną raz pieszo przebywał. Męstwo też miał tego rodzaju, co nie wyzywa na niebezpieczeństwa, ale je spokojem niewzruszonym rozbija.

Wybrać się w taką podróż, w tym czasie, bez żadnej siły na obronę od rabusiów i włóczęgów, było niepodobieństwem; a zbyt licznym orszakiem, dającym się bogactwa domyślać, nie godziło się drażnić i kusić łotrzyków. Hawnul więc musiał zebrać sobie towarzystwo liczbą nie uderzające, a mężne, rachując na to, że świadomość gościńców od złego spotkania uchroni. Orszak miał się składać przeważnie z Rusinów wypróbowanej wierności i posłuszeństwa.

Gdy w parę dni potem wszystko było w gotowości, a Hawnul przyszedł pożegnać wielkiego księcia, Jagiełło zaniemiał na chwilę. Żał mu było najwierniejszego ze sług swoich narażać na zgubę, ale starosta nalegał. Rozstali się oba smutni.

W Wilnie dość długo nie dostrzeżono nawet, że starosta się oddalił. Orszak podróżny zawczasu wyprawiony czekał na niego i brata Antoniusza w lesie. W dworcu Hawnula na pozór wszystko w dawnym zostało porządku, jak gdyby gospodarza nie brakło.

Przez pierwszych kilka dni unikano tak zręcznie wielkich gościńców i osad znaczniejszych, popasając i noclegując po lasach, że z ludźmi się prawie nie spotykano. Ku granicom się zbliżając, rozsluchać się było trzeba i posłać na zwiady, któredy bezpieczniej puścić się mogli. Pomimo oporu Hawnula brat Antoniusz oświadczył się z gotowością wyprzedzenia orszaku choćby sam, ale na usilne naleganie przyjął od starosty najsilniejszego z ludzi, starego smoleńszczanina Petruka.

Tymczasem obozowano w głuchej i zapadłej puszczy, a Hawnul niecierpliwie wyglądał powrotu wysłanego, bo swatanie na tron polski Jagiełły pokoju mu nie dawało. Pilno mu było z tym uprzedzić innych i pozyskać sobie zwolenników.

Drugiego dnia powrócił brat Antoniusz z Petrukiem, wioząc z sobą jeszcze niepozornego biedniaka klechę, którego niegdyś w drodze spotkał, potem w Płocku — a uważał za stworzenie dobrodusznego, którym można się było wygodnie posłużyć.

Sama sukienka duchowna dla starego zakonnika już go czyniła zaufania godnym. Nie zwierzył mu się jednakże, spotkawszy z nim nad granicą, z kim jechał, mówił tylko o kupcu niemieckim. Bobrek za lichą zapłatą ofiarował się prowadzić go do Krakowa, dokąd sam miał potrzebę.

Ze spotkania tego i pozyskania sobie świadomego kraju klechy brat Antoniusz i Hawnul, szanujący wszystko, co ze stanem duchownym było w styczności, oba się radowali.

Bobrek powiadał, że właśnie w tamte strony musiał jechać, ciesząc się, że mu podróż darmo przyjdzie na cudzym koszcie i coś jeszcze przynieść powinna w dodatku. Od pierwszego wejrzenia, z węchem sobie właściwym, wietrzył już, że ten mniemany kupiec przekradający się bez towarów do Krakowa coś innego, nie handel, mógł mieć na celu. Przystał więc od razu bardzo do starego braciszka franciszkańskiego zakonu, okazując ubogim prostaczkiem, i brat Antoniusz wziął go chętnie.

Bobrek doskonale dróg świadomy ofiarował się z pomocą, za której ręczył skuteczność. Świadomymi jemu drożynami mieli dostać się przez Mazowsze w Sieradzkie, a stamtąd do Krakowa.

Hawnulowi przedstawiając się z tą samą pokorą, co bratu Antoniuszowi, łatwo go sobie pozyskał. Pomimo że się starosta za prostego kupca podawał, dość było baczniejszego wejrzenia na niego i podróżne przybory, dostatek, poważną postać, aby utwierdzić w podejrzeniu, że wysłaniec ten był jakąś ważną osobistością, o której bliżej się czegoś dowiedzieć Bobrek spodziewał w podróży.

Hawnul był jednak ostrożnym i ani nazwiska swego, ani położenia nie zdradził, mianując się kupcem z Rygi.

Natychmiast klecha począł z nim po niemiecku rozmawiać i o Zakonie napomykając, zbadać się starał, jak dla niego jest usposobionym. Starosta ani z miłością, ani ze wstrętem się nie wydał, co w oczach Bobrka już go podejrzanym czyniło. Obietnicę nagrody za przeprowadzenie potwierdził starosta upewniając, iż będzie sowita, jeżeli ich bezpiecznie do celu doprowadzi.

Dla Bobrka nie było to trudnym, gdyż niejedyn raz przez te puszcze się przedzierał. Przewiódł ich naprzód ostrożnie ponad Wizną, którą właśnie Zakon w zastaw zajmował, ciągnąc potem manowcami mimo Brańska⁵⁰ i Czerska⁵¹, tak aby pominąć oba. Stały tu jeszcze bory wszędzie prawie nie tknięte, przez które dla świadomych prowadziły drogi mało komu znane, na drzewach znaczone zaciosami różnymi. Tak szczęśliwie dostali się aż pod Chęciny⁵², skąd musieli zwrócić pod Wiślicę, a nie śmiejąc nigdzie ani się zatrzymywać, ni spoczywać długo, zdążyli nareszcie pod sam już Kraków, do Proszowic⁵³.

Tu Hawnul potrzebował wytchnąć nieco, obmyśleć, co miał dalej przedsiębrać, a przewodnika już niepotrzebnego rad się był stąd pozbyć. Ale Bobrka łatwiej było wziąć, niż się z nim rozstać. W ciągu powolnej podróży poznał on lepiej Hawnula i nic mu z głowy nie mogło wybić, iż mąż to być musiał jakiś wielkiego znaczenia, dostatku, rozumu, który prostym kupcem tylko się dla niepoznaki mianował. Nie potrafił jednak, z różnych stron ostrożnie i zręcznie zagadując, badając, podchwytyjąc, dojść, co go prowadziło do Krakowa i to w towarzystwie starego zakonnika.

Hawnul umyślnie unikał wszelkiej wzmianki o Litwie i o dworze tamtejszym. Milczenie jego,

wstrzeźliwość i oględność utwierdziły tylko w przekonaniu, że to być musiał tajemny poseł jakiś. Zbijało go z tropu, że Niemcem był.

Gdy starosta, wynagrodziwszy szczodrze klechę w Proszowicach, odprawił go, Bobrek sądząc, że dowodem zaufania wzajemne pozyszcze dla siebie, odezwał się z cicha:

— Wdzięchen jestem Miłości Waszej, że mi pozwalasz stąd pospieszyć zrazu do Krakowa, gdyż sprawę mam tam pilną, z którą, prawdę rzekłszy, zostałem wysłany.

— Przez kogo? — zapytał z roztargnieniem Hawnul.

Bobrek zbył odpowiedź dwuznacznym ruchem jakimś, jak gdyby mu nie wypadało zdradzać tajemnicy, i dodał:

— Posłano mnie ostrzec Krakowian, aby się na bacności mieli, bo mazowiecki książę Semko ma się podobno kusić o to, aby miasto ubiec, w stolicy się z wojskiem rozłożyć i nie dopuścić kogo innego do korony.

Hawnula wiadomość ta tak mocno obeszła, iż omal poruszeniem, jakie okazał, nie zdradził się, zaczynając rozpytywać niecierpliwie:

— Może to być! Pewnaż to jest?! Nie są plotki próżne?

— Najpewniejsza w świecie rzecz — odparł Bobrek. — Kilkuset kopijników uzbroili, ściągawszy co najlepszych, najmężniejszych, a dowodzi nimi Bartosz z Odolanowa i książę arcybiskup dopomaga. Nie wiadomo jeszcze, jakim sposobem zamierzają się dostać do miasta, ale gdy raz Kraków opanują, pewnie go już z rąk nie wypuszczą.

Na twarzy Hawnula mimowolnie odmalował się przestach wielki.

— Spiesz więc i jedź, aby o tym oznajmić — rzekł do Bobrka, który stał, pilno mu się w oczy wpatrując. — Nie sądziłem, abyś tak ważną sprawę miał poleconą, bo z nią prędzej trzeba było podążać.

— Nic jeszcze straconego nie ma — przerwał Bobrek. — Mazury i Wielkopoleanie dopiero przed samymi Zielonymi Świątkami mogą tu przybyć, a w Krakowie dosyć podszeptać, co grozi, aby się wszystko w oka mgnieniu uzbroiło. Semka i panowania Wielkopolan jak ognia się tu lękają.

I Bobrek się uśmiechał.

Klecha, ponieważ tak dobrze płacącemu panu i w Krakowie był gotów służyć, a szpiegować go razem, dodał na odjezdnym, iż rad by wiedział, gdzie go w mieście miał szukać. Baczny Hawnul jednak odpowiedział, że gospody pewnej nie ma i będzie się o nią musiał starać, a przez brata Antoniusza, który do swej braci się uda, języka o nim dostać będzie można.

Bobrek z Proszowic, wóz sobie wieśniaczy najawszy, pospieszył do Krakowa.

Tym niespodzianym wynurzeniem się na samym odjeźdźnym Bobrek trochę nastraszył starostę i dał mu do myślenia, gdy się okazało, że ów klecha chudzina biedny, bez chleba i roboty, tajemnym jakimś był posłańcem. Od kogo, nie mógł odgadnąć Hawnul.

Zabiegi więc o koronę były żywe i w pełnym ruchu; jedni ją pochwyć, drudzy nie dopuścić do niej starali się; chcąc co zyskać, spieszyć było potrzeba. Hawnul nie taił przed sobą, że zadanie trudnym było.

Wypocząwszy zaledwie w Proszowicach, wdziawszy szaty takie, aby oczu nie zwracały, starosta następnego ranka podążył do Krakowa. Brat Antoniusz bardzo go z sobą do franciszkanów pod zamek ciągnął, ale Hawnul wolał stanąć u dawniej z nim w stosunkach będących bogatych mieszczan Keczerów, z którymi niegdyś handlował. Zwierzyć się komuś, a najprędzej im musiał, z czym jechał, gdyż inaczej do znaczniejszych panów stojących tu u steru, Dobiesława z Kurozwęk, Jaśka z Tęczyna i innych, dostać by się nie mógł, a bez, zalecenia im i wiary by nie pozyskał.

Z małym pocztem swym szczęśliwie przebywszy bramy, w których listy swe kupieckie pod pieczęcią ukazał, jechał starosta wprost na rynek do kamienicy pana Stanisława Keczera. Osobiście go nie znał Hawnul i przed wrotami stanąwszy, a o gospodarza pytając, który na ratuszu był, czekać musiał, aż go stamtąd sługa przyprowadził.

Wkrótce nadszedł pan Keczer, jak z postawy i stroju wnosić było łatwo, człowiek zamożny i poważny. Starosta wziął go poufnie na stronę.

— Z wielką ufnością przybywam do was — rzekł — bo nie życzyłbym, aby o mnie wszyscy wiedzieli. Wam więc tylko zwierzam, iż jestem Hawnul, niegdyś ryżanin, dziś starosta i wójt wileński, na Litwie. Możecie mnie przyjąć gospodą?

Wiedziano tu bardzo dobrze, jakie było znaczenie Hawnula na litewskim dworze; przesadzano może nawet wpływ jego i moc, rozpowiadając, że w Wilnie wszystko się działo przez niego i że on nie prawą Jagiełły ręką, ale obiema był.

Keczera słynącego z bogactw i znaczenia człowieka pochwycił ochotnie bardzo.

— Dom mój na usługi wasze! Bądźcie w nim jak u siebie. Pozdrawiam was.

To mówiąc wprowadził go do izby paradnej, usadowił na pierwszym miejscu, wina podać kazał, konie i ludzi zabrać, żonę i córkę mu przywiódł dla powitania i troskliwie zajął się pomieszczeniem gościa.

Starosta prosił wszystkich usilnie, aby w nim nie widzieli kogo innego tylko kupca, który sukna miał na sprzedaż, imienia jego nie rozgłaszając.

Po śniadaniu, gdy kobiety odeszły, a Antoniusz od progu już do swojego klasztoru stęskniony pospieszył, siedli na poufną rozmowę. Począł starosta ubolewaniem, iż kraj tak wielki i piękny spokoju nie miał, a Polska sobie króla dostać nie mogła.

— Tak — rzekł Keczer — prawdziwie to nieszczęśliwa dola nasza, iż Bóg własnym monarchom

nie dał po mieczu potomstwa. Stąd płynie wszystko. Ze śmiercią Kaźmierza skończyła się dla nas szczęśliwość wszelka. Bóg wie, kiedy spokój odzyskamy i czy dostaniemy takiego pana, jakiego by nam potrzeba.

— Po drodze wszędzie prawiono mi — odezwał się Hawnul — że księżę mazowiecki Semko jest tak jak wybranym, na króla.

— Temu nie dawajcie wiary — odparł Keczer. — Wiemy dobrze, iż nasi panowie go nie chcą i nie dopuszczają do korony. My też jego i szlachty wielkopolskiej obawiamy się. Z nim; by razem Wielkopolanie rozkazywać tu przyszli, miasta straciłyby swobody i popadły w nędzę. Niech Bóg uchwala!

— Więc jeśli nie on, to któż? — zagadnął Hawnul.

— Wielu jest za Wilhelmem rakuskim, któremu Jadwiga była przyrzeczona. Pan ma być obyczajów bardzo gładkich, serca dobrego, choć miękko wychowany. Przeciwno niemu to jest tylko, że Niemiec krwią i obyczajem, a w Polsce mieszkać i nie zechce, i nie może, my zaś króla dla siebie potrzebujemy koniecznie. Znajdują się i tacy, co może by chcieli małoletnią królowę trzymać tu nie zaślubioną nikomu jak najdłużej, aby sami za nią rządzili. Na ostatek i Władysław Opolski jako opiekun i wielkorządca ma takich, co z nim trzymają.

Keczer wstrząsł się cały.

— Bóg jeden nas z tej niepewności wyrwać może.

Wtem Hawnul wstał.

— Miły panie — rzekł — dla was nie byłoby na świecie lepszego pana, a dla Polski króla, jak mój pan, litewski księżę Jagiełło.

Keczer stanął chwilę niemy, zdziwiony, nie mogąc zebrać myśli.

— Poganin! — zawołał sądząc, że starosta mówił to w żarcie.

— Matka chrześcijanka, Rusinka, nigdy się swej wiary nie zaparła — rzekł Hawnul. — On od młodu oswojony z nią, na pół już chrześcijaninem jest, a ochrzciłby się ochotnie. Mało na tym, ale z nim cały kraj wielki nawróciłby się, wy byście mieli zasługę, żeście mu chrzest przynieśli, a wam Litwa połączona dałaby potęgę wielką. Wasza królowna stałaby się pogan apostołem!

Keczer słuchał coraz bardziej przejęty myślą tą, dla niego nową, mówić nie mógł. Potrzebował długiej rozwagi, nim wyjąknął bojaźliwie:

— Nie nasza to sprawa o tym sądzić i stanowić, lecz gdyby to mogło się stać... Zaprawdę wielkie by to było dzieło. Cud!

W ręce uderzył.

— Jaka by to potęga urosła!

— Tak, potęga wielka, którą by niepocziwych Krzyżaków trzymać można na wodzy i Ruś a sąsiednie kraje podbijać!

Długo w milczeniu patrzyli na siebie. Keczer coraz mocniej przejmował się tym i poruszał.

— Na żywego Boga — rzekł — gdyby się to ziścić mogło, co za dobrodziejstwo dla Polski!

Hawnul począł z wolna:

— Jagiełłę, jak wiecie, znam od lat wielu, przy jego boku stoję nieodstępnie, patrzę na czynności. Dla panów waszych, dla was nie ma drugiego króla, który by nad niego był lepszym. Szczodry jest aż do zbytku, łaskawy, dobry, dla swoich powolny; pobożnym będzie, bo dziś już, Boga prawdziwego ledwie przeczuwając, boi się go i czci...

— Poganin — zamruczał z boleścią Keczer.

— Tylko z imienia — dodał starosta — i to właśnie dla waszej sławy dobre. Krzyżacy go chcą ochrzcić. Nie wielkąż to będzie zasługą, gdy wasza Polska ogromny ten kraj, dotąd trwający w bałwochwalstwie, prawdziwemu Bogu odda?

Milczeli chwilę.

— Pięknie by to było, gdyby nasi panowie tę myśl wielką i szczęśliwą chcieli wziąć do serca — rzekł Keczer.

— Nikogo nie mają przecież, jeżeli Mazura nie chcą, a Wilhelm mieszkać tu nie może — odezwał się Hawnul.

— Powinni Jagiełłę wziąć, mieć będą swojego, własnego. Jeżeli Małopolska da mu koronę, będzie z nim panowała.

Nierychło postrzegł się Hawnul, że jak na pierwsze wystąpienie może za gorąco się wziął do sprawy. Obawiał się ją pośpiechem popsuć. Zwrócił więc zrećźnie tok jej i rozpytywać zaczął o osoby w Krakowie i tej części Polski największe mające znaczenie.

Keczer, doskonale znający stosunki, wyliczał mu panów najmożniejszych i takich, co za sobą prowadzili największe zastępy rycerstwa. Starosta słuchał. Nie wznawiał już myśli swej ani się z nią nabijał, aby od razu nie zdradzić, że ona była celem jego podróży. Keczer i tak już mógł się tego domyślać.

Nie nacierali na siebie wzajemnie, pozostając tak do wieczora na rozhovorze na pozór obojętnym, a w istocie obu ich nauczającym. Keczer mało znał Litwę, Hawnul Polskę ze słuchów oddalonych tylko.

Nieznacznie krakowianin przejął się myślą starosty i nabrał przekonania, że należało choć

spróbować się z niej zwierzyć któremu z panów: Dobiesławowi z Kurozwęk lub Jaśkowi z Tęczyna. Pierwszy siłę miał po sobie, rozum — drugi. Nim Hawnul się odkrył z tym, iż życzyłby sobie myśli się zwierzyć któremu ze starszyzny, sam Keczer wniósł, iż mu się to zdało dobrym. Starosta nie napraszał się.

— Możecie to uczynić od siebie — rzekł — ale wcale nie ode mnie. To, com mówił, jest prostym wymysłem mojej głupiej głowy. Po drodze człowiek, nic do czynienia nie mając, marzył sobie. Niech Bóg uchowa, aby posądzić mnie miano, iż mi kto polecił albo z tym słał! Głową bym to mógł nałożyć!

Pomimo tych zapewnień Keczer się uśmiechnął chytrze. Znajdował Hawnula prostodusznym i nie dosyć przebiegłym. Miał słuszość. Pomimo najlepszych chęci starosta na każdym zdradzał się kroku.

Kupiec patrzył mu w oczy.

— Kto by tam miał was posądzać! — odparł. — Lecz gdyby z panów który wziął sprawę do serca i chciał was wezwać, czyżbyście nie chcieli o tym pomówić i nauczyć co czynić?

Hawnul się zmieszał, czuł się pochwyconym, ręce rozpostarł, ramionami wstrząsnął, milczał.

— Cóż? — odezwał się namyśliwszy. — Ja im to samo tylko, co wam, powiedzieć mogę. Bardzo bym nierad, aby się to z ust do ust rozniosło, żem ja się nie do swej rzeczy wmieszał. Mniejsza, gdyby mnie posadzono, ale pana!

Keczer go pochwycił za rękę.

— Nie obawiajcie się! — rzekł żywo. — Ja od siebie tylko i z siebie mówić o tym będę, wy możecie dostarczyć informacji. Zostańcie w cieniu i na boku.

Milczeniem przyjął Hawnul to zapewnienie.

Oba wśród gorącej rozprawy zapomnieli o jednym, to, że z panów, których potrzebowali, żaden, pod ten czas nie znajdował się w Krakowie; wszyscy znaczniejsi z pocztami świetnymi wybrali się do Nowego Sącza, na obiecaną im oczekiwać królową.

Hawnul więc musiał pobyt swój w Krakowie przedłużyć.

Rozdział VI

Na probostwie u Świętego Floriana, świeżo bardzo ozdobnie i chędogo z muru wzniesionym przez gospodarnego Bodzantę, który, choć arcybiskupstwo wziął, dawniejszej swej prebendy nie puszczał, przygotowywano się na jego przyjęcie. Przybycie do Krakowa było zapowiedziane.

Ksiądz wikariusz Chotek, prawa ręka arcybiskupa, chodził zakłopotany, zajęty, opatrując wszystkie kąty, a miano obszerności zabudowań z probostwem połączonych znajdując, że miejsca było za mało na wygodne postawienie wszystkich koni i ludzi, którzy orszak Bodzanty składali.

Ruch na probostwie od dni kilku już był tak znaczny, iż odbywając się niemal u samych bram miejskich uwagę mieszczan musiał zwrócić na siebie. Badano ludzi z wiosek do probostwa należących, sprowadzonych dla stróży i posługi, co by to znaczyć miało, ale ci prostaczkowie mało co powiedzieć umieli.

Ksiądz Chotek zaś porywczy i niezmiernie opryskliwy na zadawane mu pytania niecierpliwie fukał.

— Cóż ma być? Co? Arcybiskup przybywa na spotkanie królowej i królewnej! Chcieliście, aby głowa Kościoła przyjechał samowtór lub samotrzeć, bez pocztu i ludzi? Toć i służbę z sobą mieć musi, dwór i duchownych, a jak się przynależy, i ludzi zbrojnych dla bezpieczeństwa i dostojenstwa. Gdy mi to wszystko to zajędzie, głowa pęka, gdzie pomieszczę.

Na to mu nie odpowiadano, ale w bramie od Świętego Floriana ksiądz Chotek dostrzegł jakąś nadzwyczajną pilność, której dawniej nie było. Nie tylko Viertelniczy⁵⁴, ale zbrojni mieszczanie się tam ukazywali, chodzili, stawali w oknach, we wrotach, straż nieustannie się kręciła, z rąk berdyszów nie puszczał.

Nad strażą miejską podówczas starszym był niejaki Wróbel, imieniem Szymko, który też całą siłą zbrojną Krakowa, składającą się i z ludzi płatnych a czuwających ciągle, i z czeladzi miejskiej, zwoływanej w potrzebie, dowodził. Każda baszta i brama miała swoją broń, cekhauz⁵⁵ i ludzi, na obronę jej stawić się obowiązanych, gdy hasło wydano.

Wróbel bardzo znaczny z dala, bo przerastał głową najszluszniejszych, a brodę i wąsy szczególnie miał jak miotły ogromne, krzykacz z głosem donośnym jak trąba, ruchliwy i przy duchu ciągle się to chłodzący, to zagrzewający piwem, które dla niego cebrami noszono, w tych dniach powziął upodobanie osobliwe do bramy od Świętego Floriana i prawie z niej nie schodził. Głos jego czasem aż na probostwie słyhać było.

Był to kat na ludzi podwładnych, a kto z nich w jego ręce się dostał, ledwie żyw wychodził. Często przypadał na niego dozór przy wyświecaniu z miasta, chłóście i targaniu końmi a „biciu kołem, sam się o to napraszał, bo w tych krwawych zabawkach miał upodobanie. Lękano się też go w mieście, a na sam głos pochwycony z dala kostery chowali kubki i kości, niewiasty podejrzane cisnęły się do

kątów, waśniący i bijący się wnet milkli i znikali.

Gdy trudnego coś a niebezpiecznego było do spełnienia, nie komu, tylko jemu to poruczano. Zwraçało więc uwagę świadomych, że Wróbel od kilku dni ciągle prawie u tej bramy siedział, nie schodząc z niej na chwilę.

Pospolity lud w mieście, który przyczyny pilności tej szczególnej odgadnąć nie umiał, mocno się dziwił. Niektórzy trwożyć się zaczęli widząc, że około wrót przygotowania jakby do obrony od napaści czyniono, gdy nikt o żadnym niebezpieczeństwie nie słyszał. Uważano i to, że stary Dobiesław z Kurozwęk, pan krakowski, kilka razy do ratusza konno dojeżdżał, z panami radnymi i wójtem się naradzał, a potem, jak na zwiady, aż pod bramę Floriańską się puszczał.

Naówczas Wróbel, najczęściej siedzący nad cebrem piwa, rzucał kubek i jak nawałnica po wschodkach spadał na dół, stawał wyprostowany przed starym panem i dawał mu, z powinnym poszanowaniem, jakieś znaki porozumienia.

Kilka dni tak zeszło na probostwie w oczekiwaniu na przybycie arcybiskupa, a we wrotach przy straży pilnej dniem i nocą.

Tymczasem w Nowym Sączu zebrani panowie dowiedzieli się, że królowa z królowną na naznaczony dzień przybyć nie będą mogły, dla wielkiego wód wylewu. A tak, co miał wręście koniec być położony wszelkiej niepewności i osierocone królestwo spodziewało się ujrzeć wkrótce na tronie córkę Ludwikową, znowu wszystko odłożonym być musiało, wszystko zachwiane zostało.

Panów i starszyznę rozpacz niemal ogarnęła z powodu zwłok tych nieskończonych. Niektórzy do Krakowa popowracali zniechęceni, inni pobiegli do Koszyc⁵⁶, kędy się królowa zatrzymała, i tam wymogli od niej stanowczą nareście obietnicę, iż Jadwiga królowna nieodzownie na Święty Marcin miała przybyć do Polski.

Powrócili z tym przyrzeczeniem Dobiesław z Kurozwęk pierwszy, potem młody Spytek z Mielsztyna, Jaśko z Tarnowa, Wicek z Kępy, Sędziwój z Szubina, wszyscy, co obawiając się Semka, królownę mieć chcieli, i ci, co królownej żądali dla niego, bo każdy prawie co innego myślał.

Zwłok tyle i zawodów ze strony królowej Elżbiety wielu już do rozpaczki niemal przyprowadzało. Spytek z Mielsztyna, gorliwy obrońca królowej i królownej, ledwie mógł narzekających uspokoić.

Z Koszyc właśnie powrócili posłowie, gdy w Krakowie się ten niepokój objawił.

Hawnul, doczekawszy na ostatek przybycia kasztelana i z nim przedniejszych panów krakowskich, miał nadzieję poselstwo swe tajemne rychło sprawić. Keczerowi w początku niełatwo było do którego z nich się docisnąć. Wszyscy strapieni nową zwłoką i zmuszeni czekać do jesieni głowy i ochotę do sprawy publicznej tracili.

Przybył dla rozmowy z innymi i stary Jaśko z Tęczyna, ten który Semkowi koronę prawie z rąk wyrwał w Sieradziu.

Keczer trafił naprzód do niego.

Mąż wielkiej powagi, ale i dumy nie mniejszej, Jaśko z Tęczyna, mając sobie oznajmionym mieszczanina, nie posądzał nawet, aby o ważniejszych sprawach śmiał z nim mówić. Pieniężnego interesu, handlu jakiegoś, sporu mógł się domyślać. Tymczasem rajca krakowski, dworzan i służbę liczną widząc dokoła, musiał prosić pana o rozmowę na osobności.

Podniósł brwi zdziwiony pan z Tęczyna.

— Jakież ty tajemnice mi przynosić możesz? — ozwał się z uśmiechem.

Keczer bywał pod czas żartobliwy i wesół, skłonił się bardzo nisko.

— Trafiło się ślepej kurze znaleźć ziarnko — rzekł — niech Miłość Wasza da mi posłuchanie, a potem osądzicie, czy biedota mieszczanin prawo miał was na osobną prosić rozmowę.

— Dla samej ciekawości zaprawdę gotowem słuchać — odparł kasztelan, ludzi odprawiając skinieniem. — Praw, proszę.

Keczer rozpoczął. Nie poszło mu wyłuszczenie sprawy tak składnie jak innemu, co by słowa umiał ustawić, wygładzić i poprowadzić je jak żołnierzy do bitwy sworno, a z ładem. Jąkał się nieco, wygadał zanadto, a nie powiedział dosyć, pozadzierzgiwał węzłów dużo, nie umiając ich rozplatać, lecz słuchający rozumny pan lepiej to zrozumiał, niżeli było powiedziane. Keczer, skończywszy, niepotrzebne jeszcze dodatki czepiał, bo mu się zdało, że go nie rozumiano, gdy Jaśko z Tęczyna namarszczony, po milczeniu poważnym, wykrzyknął:

— Gdyby się to stać mogło, mój Keczerze, coś tu mi przyniósł, dałbym cię ozłocić! Zmiłuj się, dajże mi człowieka tego, o którym powiadasz. Zbawcą by naszym był, gdyby...

Nie dokończył kasztelan składając ręce.

— Myśl z nieba przyniesiona — zamruczał — a nikomu z nas ona nie powstała w głowie, bo któż by mógł przypuszczać, że to możliwe!

Keczer prędko się zastrzegł, że ten „człowiek”, jak go zwał kasztelan, wcale nie chciał być ani mianowanym, ani widzianym, ani znacznym.

— Niech będzie jako chce, ale mi go daj! — wołał Jaśko z Tęczyna. — Niechaj przyjdzie wieczorem. Zbiorę u mnie kilku, abym sam nie był, posłuchamy, rozważymy... I powtórnie ręce zaciskając dodał:

— Myśl to wielka, a gdyby w tym wola Boża była!

Wstał z krzesła żywo, Keczerowi ręce obie kładąc na ramiona. Oczy mu się paliły.

— Idźże, proszę cię, wieczorem mi go daj!

Keczer, już się ku drzwiom mając, zawrócił się, pokłonił i uśmiechnął.

— Miłościwy Panie — rzekł — widzicie, że i mieszczanin krakowski może przynieść za nadrą coś takiego, co pańskiego ucha godne...

Jaśko z Tęczyna skłonił głowę.

Tegoż wieczora Hawnul szedł na dworzec pana z Tęczyna. Skromnie się odziewał zawsze, w Krakowie zaś umyślnie chadzał tak, aby niczyjego na siebie nie zwracał oka, lecz tego wieczora przystroił się czarno w jedwabie i aksamity, na szyję wdział łańcuch złoty i miecz przypasał, którego mu największy pan mógł pozazdrościć. W tym stroju postawą i twarzą na posła możnego pana wyglądał.

W izbie małej na dworcu kasztelana nie było więcej nad cztery osoby, z gospodarzem, licząc. Pomiędzy nimi jeden duchowny bardzo malutkiego wzrostu, twarzy bladej, rozumnego wejrzenia. Był to słynny swojego czasu lekarz, uczeń szkoły w Montpellier⁵⁷, teraz biskup krakowski, Jan z Radlic, dla wzrostu powszechnie Małym zwany, od duchowieństwa, któremu go król Lois narzucił, nie bardzo lubiany, ceniony przez rozumnych ludzi. Dobiesław z Kurozwęk sędziwy i Jan z Tarnowa dopełniali szczupłego grona.

Keczer, wprowadziwszy Hawnula, sam się natychmiast cofnął.

Powierzchnowość starosty, oblicze jego rozumne i myślące, postawa pańska, uśmiech łagodny, dobrze dlań wszystkich usposobiły. Wiedziano i tu o nim, jako o powierniku i ulubieńcu Jagiełły.

Powitany przez gospodarza, zaczął od tego Hawnul, iż wytłumaczył bytność swoją przypadkową, zastrzegł jak najuroczyściej, że żadnego zlecenia nie miał i mieć nie mógł, nie wiedząc, jaki stan rzeczy tu zastanie. Myśl, którą podawał, była własnym jego natchnieniem.

— Miłociwi Panowie najlepiej osądzić potraficie, czy możliwym jest, aby się dwa wielkie państwa, dotąd nieprzyjazne, połączyły, przy czym by Chrystusowi i Kościołowi tysiące dusz przybyło.

Biskup Radlica poruszył się, oczy podnosząc do góry.

— Ale jestże wielki książę wasz przygotowanym do przyjęcia naszej świętej wiary? — odezwał się pierwszy.

— Matka, co go wychowała, jest chrześcijanką — odparł Hawnul — on w duszy chrześcijaninem już jest, a cnoty ma wielkie.

Wszyscy milczeli, Hawnul się ożywił.

— Urodziłem się chrześcijaninem — rzekł — wśród pogan wiarę tę wyznaję i krzewię, nie dziwna więc, że mnie ta myśl unosi, iż Jagielle tron ofiarując i rękę waszej królowej, dalibyście Kościołowi państwo całe, Ojcu Świętemu całe stadko owieczek nowych, a szatanowi i zakonnikowi niemieckiemu z paszczy byście je wydarli.

Wspomnienie o Krzyżakach, tych nieprzyjaciołach Polski, z którymi ojciec Kazimierza bojować musiał, we wszystkich się piersiach odbiło.

Jaśko z Tarnowa zawołał:

— Złamaną by była na zawsze ich potęga, kto wie, odzyskalibyśmy może Pomorze!

Zarzucono pytaniami Hawnula, dowiadując się szczególnie o charakter Jagiełły, z widocznym niepokojem o to, że nawykły do rządzenia krajem pogańskim, bez wszelkich ograniczeń prawa, szlachcie i panom mógłby ująć ich przywilejów i swobód.

— Pan to jest serca dobrego, sprawiedliwy, łagodny — odparł Hawnul. — Na tron go biorąc, wszakżebyście prawa swe zastrzegli, a on przysięgą je stwierdził.

Badano potem o Litwę i Krzyżaków.

— Mistrz Czolner — rzekł starosta — układy rozpoczął już o przymierze z Jagiełłą, kładąc chrzest za warunek. Jeżeli ten go sobie pozyszcze, a Litwa się z Zakonem połączy, dla Polski będzie to groźnym. Odwrócić może to niebezpieczeństwo tylko połączenie Litwy z Polską.

Nikt na to nie odpowiedział. Spojrzano po sobie. Zadawano znowu pytania różne. Hawnul na wszystkie odpowiedzieć umiał, nalegając szczególnie na zasługę Polski względem Kościoła, na chrzest pogan i na siłę, jaką by zyskali w nich Polacy.

Tak do północy prawie trwały badania i ciche rozmowy, a gdy na ostatek Hawnul, żegnając się, oświadczył, że musi powracać do Wilna, uproszono go o jeszcze jedną naradę.

Gdy wyszedł, wszyscy przytomni długo stali przygnieceny myślą tą, która w chwili zwątpienia spadała jakby z niebios przez Opatrzność zesłana. Nie śmieli wierzyć, aby nadzieja tak łudzająca, tak promienna, mogła się ziścić.

— Zaprawdę — zawołał Jaśko z Tęczyna — Wielkopolska nie śmiałaby nam już narzucać swojego Semka ani królowa Rakuszanina!

Pozbyć się wroga, zyskać wiekuistego sprzymierzeńca, ochrzcić cały kraj, wyrwać Niemcom pastwę, na którą czyhają. Wszystko to wydawało się tak wielkim, tak świetnym, a panowie krakowscy czuli się powołanymi do takiego dziejowego cudu, który świat miał zdumieć, że serca im wzbierały dumą.

Wszyscy widząc ważność niezmierną tej myśli, która zdradzona zawczasu mogła być podstępnie podkopaną, zobowiązali się uroczystym słowem do zachowania jej w tajemnicy. Potrzebowali się naradzić nad tym, komu ją ze swoich powierzyć mieli i co przedsiębrać, aby przeprowadzić do skutku rzecz tak trudną, której tylu nieprzyjaciół musiało stawać na przeszkodzie.

Jaśko z Tarnowa wnosił, ażeby z Hawnulem wysłać kogoś, co by na miejscu sprawdził położenie, uposobienie wybadał, starał się widzieć Jagiełłę i wyrozumieć warunki. Na to potrzeba było kogoś

wybranego bacznie, a znalezienie człowieka, zachowanie tajemnicy, wszystko niezmiernie nastęrczało trudności.

Późno w noc rozeszli się wszyscy od kasztelana, pod brzemieniem zadania, które tak wiele obiecywało.

Nazajutrz rano stary pan z Tęczyna, po namyśle krótkim, uznał koniecznym przypuścić do tajemnicy młokosa, jak go między sobą starsi nazywali, który pomimo wieku swojego tak ważne zajmował stanowisko.

Cóż tu się mogło podówczas dokonać bez wiadomości i współudziału Spytka z Mielsztyna?

Osiemnastoletni chłopak ten był nie tylko ulubieńcem królowej, nie tylko zwał się panem wojewodą krakowskim i nosił piękne imię, władał ogromnymi majątkościami i należał do jednego z potężniejszych rodów w Małopolsce, był to rzeczywiście zdumiewających zdolności i na swój wiek dojrzałości, powagi a razem energii i męstwa człowiek. Można było w sędziwszym gronie uśmiechać się z tego tonu, jaki sobie nadawał chłopak, którego za ledwie się na rumianej twarzyczce wąsik wysypywał, lecz gdy usta otworzył, a mówić począł, trzeba mu się było zdumiewać i poszanować go.

Dlatego Jaśko z Tęczyna nie mógł kryć przed nim ważnej sprawy, która bez jego przyczynienia się do skutku by nie przyszła.

Dwór Spytka odpowiadał jego charakterowi i wiekowi. Był pański, książęcy prawie, do zbytku liczny, wystawny, świetny, a z fantazją pańską dobrany. Z całej niemal Europy pościągani otaczali go ludzie wszelkich powołań, spełniający przy sobie jego najrozmaitsze obowiązki. Sekretarze, lektorowie, łowcy, sokolnicy, lutniści, śpiewacy, płatnerze, mistrze turniejowi, kuchmistrzowie, szatni, pościągani byli z Włoch, Francji, Niemiec, Węgier, Holandii i Anglii nawet.

Spytek miał na wszystko czas i po młodemu wszystko go nęciło i zabawiało, każda nowość pociągała. Zabawy i rozrywki najrozmaitsze nie przeszkadzały mu naradzać się nad sprawami kraju i równie gorąco je brać do serca, jak polowanie z sokoły i rycerskie gonitwy.

Podwórzec dworu przedstawiał obraz tak ożywiony i malowniczy, ze swymi końmi, wozami, namiotami, ludźmi w strojach najosobliwszych, z wrzawą i ruchem, które o żywym temperamencie pana domu świadczyły, że stary Jaśko z Tęczyna zatrzymał się chwilę, aby rzucić okiem na to osobliwe zbiorowisko ludzi.

Wszyscy oni zdawali się spieszyć i gorączkowo spełniać swe obowiązki, aby młodemu a niecierpliwemu panu dogodzić. Wesołość twarzy i głosów przekonywała, że ten pan, dla którego uwijano się tak żwawo, nie musiał być ani zbyt surowym, ni strasznym.

Ogromna sień we dworcu była pełną jak podwórce, ale tu, wśród dworzan i służby, znaczniejszą część ciżby stanowili klienci przybywający ofiarować swe usługi, ludzie przynoszący podarki lub osobliwsze przedmioty na sprzedaż. Możny pan płacił dobrze, miewał fantazje, napraszano mu się więc ze psy, ptakami, końmi, bronią itp. Ledwie się tu można było przecisnąć, a drzwi czeladź pilnować musiała, aby się nikt nie wdarł nie powołany.

Kasztelan a pan z Tęczyna nie potrzebował się ani prosić, ni czekać, otworzono mu drzwi do wielkiej izby, w której znalazł kilku wybranych, poufalszych, oczekujących także na posłuchanie.

Sala ta przestronna, cała w oponach po ścianach, w kobiercach, z ławami wysłanymi wygodnie, lśniła od przepychu.

Nie było w niej gospodarza, głos jego dochodził żywy, poruszony z drugiej obok komnaty, w której prowadzono rozmowę bardzo roznamiętnioną. Jaśko z Tęczyna rozpoznał w niej gruby stłumiony głos Dobiesława z Kurozwęk.

Gdy drzwi otworzył, znalazł ich tu dwu w istocie, w niewielkiej komnatce stojących przeciwko sobie: starego pana krakowskiego z obliczem zarumienionym i młodego Spytkę, w wytwornym stroju rannym, z oczyma iskrzącymi się życiem, który zdawał się gwałtownie o coś Dobiesława naglić i napierać. Ujrzawszy Jaśka z Tęczyna, zwrócił się młody pan z Mielsztyna i urywając rozmowę, z poszanowaniem go przyjął. Twarz mu drgała jakimś poruszeniem niemal gniewnym.

Jeszcze nie usiadł pan Tęczyński, gdy Dobiesław z tą flegmą, jaką daje wiek, zwrócił się ku niemu.

— Wiecie — rzekł — że wieści chodzą, jakoby Semko mazowiecki jechał z arcybiskupem i Bartoszem z Odolanowa w pięćset kopijników Kraków zajmować?

Kasztelan głową dość obojętnie potwierdził, że już miał o tym wiadomość.

— Wszakże wiem, żeście przeciwko temu stosowne przedsięwzięli środki — odezwał się spokojnie.

— Mnie to oburza! — wykrzyknął namiętnie młody Spytek. — Co za zuchwalstwo targnąć się chcieć na stolicę, koronę chcąc wziąć gwałtem dlatego, że mu ją drobnej szlachty odartej gromadka ofiaruje. Więc my już tu nie znaczymy nic? Wielkopolska ma nam prawa dyktować?!

— Ale mamy królowę, jeżeli króla nie mamy — dodał Spytek, patrząc w oczy Jaśkowi z Tęczyna, który milczał — a dla naszej pani pewnie Mazura za męża nie wybierzemy!

Zwrócił się do Dobiesława:

— Panie kasztelanie, potrzeba środki takie przedsiębrać...

— Uspokójże się, gorąca krwi — przerwał powoli pan z Kurozwęk — od dawna środki są przedsięwzięte. Nie ma niebezpieczeństwa.

— Jak to nie ma! — zawołał Spytek. — My przeciwko pięciuset kopijnikom Bartosza z Odolanowa nie mamy wcale kogo postawić! Siła, jaką rozporządzamy, jest nie wystarczająca. Ta czeladź mieszczańska, od szydła i hebla... to się nie na wiele zdało.

Dobiesław spod wąsa się uśmiechał.

— Dostateczna będzie na odparcie siły, która, powiadam wam, gdy przed nią bramy zamkniemy,

nie może się ważyć szturmować. Semka prowadzi arcybiskup i nie dopuści do starcia.

— Ale ja... — gwałtownie wtrącił młody Spytek — ja nie wierzę waszym mieszczanom i ich straży! Mogą się dać podejść, przekupić, uchylą wrota, wpadnie ich tu garść i Kraków przepadł!

Jaśko z Tęczyna słuchał, młody pan oczyma go wyzywał, aby się odezwał i dał swe zdanie. Dobiesław także obracał się ku niemu. Miał się stać rozjemcą między kasztelanem a wojewodą.

— Nie bardzo się ich lękam — rzekł powoli pan z Tęczyna — chociaż Bartosz z Odolanowa nie jest do lekceważenia. Nie tylko rycerz odważny, ale człowiek zuchwały i przedsiębiorczy... Ufam jednak, że trwożliwego ducha arcybiskup obu ich powstrzyma i nie dopuści do jakiegoś szalonego kroku.

— Toż samo twierdzę — rzekł krótko Dobiesław, który wymownym nie był. — Czuwam i nie boję się.

— Arcybiskup dziś tu przybywa — przerwał Spytek. — Semko ma być z nim, otwarcie czy skrycie. Ja pierwszy pojedę naprzeciw pasterzowi, aby go powitać, ale zarazem oświadczyć, że my Semka znać nie chcemy!

Jaśko z Tęczyna brodę pogładził.

— Żywość swą uśmierz nieco — rzekł — nie mamy potrzeby mówić o Semku, bo dotąd możemy nie wiedzieć o jego staraniach i wymaganiach. Sądzę nawet, że nieświadomość ta lepiej nam przysłała. Nie puścim nikogo, a Semka... my nie znamy!

— Mamy królowę — powtórzył Spytek — mamy panią, a o panu pomyślemy wraz z nią, gdy na ostatek ona tu przybędzie.

Jaśko z Tęczyna wstał i poszedł przymknąć drzwi na pół otwarte. Potem, nie siadając już, zbliżył się do Spytka, okiem pytając Dobiesława.

— Słyszeliście już co od niego?

— O czym? — żywo odezwał się niespokojny Spytek.

— O naradzie wczorajszego wieczora.

— Ale ja nic nie wiem — z wielką niecierpliwością rzekł gospodarz — pan Dobiesław nie mówił mi nic.

— Nie miałem czasu — odparł stary powolnie — zakrzyczeliście mnie tym Semkiem.

Spytek z natężoną ciekawością przybliżył się do Jaśka z Tęczyna.

— Dla naszej przyszłej królowej — rzekł cicho — męża nam rają.

Gospodarz rozśmiał się.

— A, już — zawołał — to trochę za wcześnie. Gdybyśmy ją mieli!

Kasztelan z wolna, spokojnie, jak był zwykły, rozpoczął opowiadanie, którego młody pan słuchał z uwagą wielką. Twarzyczka jego chmurzyła się, posępiała, marszczyła, wyrażała zdziwienie, a gdy Jaśko dokończył, pomimo popędliwości swej Spytek nie zebrał się na żadną odpowiedź. Myślał i widać było, że z tym wnioskiem tak nowym a niespodzianym oswoić mu się było trudno. Może on burzył jakieś osnute plany młodzieńcze! Na ostatek dość nieśmiało rzekł Spytek:

— Nie wiem, co odpowiedzieć na to. Zdaje mi się wszakże, iż swaty są za wczesne. Nasza królowa przyszła jest za młodą jeszcze, a co gorsza, my jej nie mamy. Nie godzi się odtrącać tak wielkiej myśli, lecz dziś możemy my cokolwiek przedsięwziąć na jej korzyść? Dziś wszystko na tym leży, by nam dano tę naszą królowę.

— To nie przeszkadza, byśmy się zabezpieczyli od Semka — odezwał się pan z Tęczyna — a najlepszą tarczą przeciw niemu będzie dla nas Jagiełło.

— Nie przeczę — odparł młodzieniec — wy czyńcie, co wam rozum i doświadczenie dyktuje; co do mnie, ja naprzód chcę wyteńczyć wszystkie siły, aby pozyskać Jadwigę. Ona lepiej nas od Semka obroni nad zastępy wojowników. A będziemy ją mieli w Krakowie, naówczas nam jej Wielkopole nie wydrą. Potrafimy bronić.

Zamilkli wszyscy na krótką chwilę i Spytek się zadumał, lecz zaraz przerwał i otrząsł myśli natrętne, wracając do pierwszego przedmiotu i ku Dobiesławowi się pochylając:

— Kasztelanie, dziś przede wszystkim Semko! Semko! Precz tego zuchwałego przywłaszczyciela odegnąć potrzeba, którego nam narzuca Wielkopolska... te panoszę odarte i ściertiałki⁵⁸! Ja się zbroję, odziewam, dwór mój cały sadzam na konie i staję w gotowości.

Dobiesław się uśmiechał.

— Nie sądzę, abyście byli potrzebni. Ja z moją załogą i mieszczany starcze.

Spokój ten, jaki kasztelan okazywał, nie uśmierzył niecierpliwości młodego pana, który więcej się pono Semka lękał, niż myślał o Jagielle. Sprawa ta zdawała mu się tak jeszcze daleką, tak nie na czasie, iż zbywał ją prawie obojętnością. Zawiódł się więc kasztelan stary, przybywając tu z nią i rachując na poparcie młodego wojewody.

Dobiesław z Kurozwęk wziął za kołpak i zabrał do odjazdu, a gospodarz niespokojny poszedł go odprowadzić, po drodze jeszcze zalecając pilność największą. Wróciwszy dopiero zwrócił się ku milczącemu gościowi swojemu. Jaśko z Tęczyna wznowił rozmowę o Jagielle, z wielkim przejęciem nawracając Spytkę, który słuchał, nie zaprzeczał, a jednak goręcej się tym zająć nie chciał.

— Panie mój — rzekł w końcu — jam młody i może wiek mój winien, że w oddaloną przyszłość patrzeć nie umiem, a zajmuję się tym, co tuż jest przede mną. Wy, ojcowie, radźcie o przyszłości,

naszą sprawą, abyśmy jej sobie przez takiego Semka wydrzeć nie dali!

Na wspomnienie księcia mazowieckiego twarz mu krwią zapłynęła.

— Nie rozumiem, dlaczego wy, kasztelanie, mojego oburzenia nie podzielacie przeciw temu gwałtowi, jaki nam chcą zadać, wy, coście przecie sami koronę mu z rąk wytręcili — począł znowu Spytek. — Semko — to panowanie nieokrzesej drobnej szlachty wielkopolskiej, to tyrania nad nami! Ma w swych żyłach krew ojca, dziki będzie jak on.

— Lecz nie ma obawy, zaprawdę — odpowiedział Jaśko — ażeby nam go narzucono.

— Czuwać musimy! — zawołał uparty Spytek.

Nie mogąc więcej wymóc na nim, Jaśko z Tęczyna, zalecając tajemnicę, pożegnał rozgorączkowanego.

Zaledwie odjechał ode drzwi, gdy Spytek, narzuciwszy lekką suknię zwierzchnią i wdziawszy czapkę z piórem, z mieczykiem małym, siadł na konia, którego mu podano. Nikomu sobie towarzyszyć nie kazał i żywo puścił się na miasto.

Ulice pięknego tego dnia majowego roiły się ludem, który i z okolic napływał, i w samym mieście zdawał się ciepłem słonecznym z wnętrza domów wyciągnięty.

Grodzka i Floriańska szczególnie, rynek, Sukiennice pełne były czeladzi, mieszczan, kupców, przekupniów, wozów i konnych.

Nie było to życie spokojne dni zwykłych, w których szczególnie o chleb powszedni zabiegają wszyscy i nim są zajęci; wśród tłumów widać było na pół uzbrojonych, niosących zbroje i miecze, spieszących z nimi ku bramie Floriańskiej lub biegnących do domostw. Jednych, jak młodzież, zdało się to bawić, drugich niepokoić. Starsi stawali i dopytywali troskliwie, co by to znaczyć miało.

Im bliżej ku wrotom, tym tłok był większy i ruch wyrazistszy, a wrzawa krzykliwsza. Z dala już widać było Wróbla wydającego rozkazy i wiertelników niknących w ciemnych wnijściach, a ukazujących się potem w oknach i basztach. Pomimo dnia wrota były zamknięte. Straż gęsta przy nich stała.

Znano młodego wojewodę nadto dobrze, aby na widok jego, gdy w bramę samą wjechał i skinął, nie otwarła się ona natychmiast. Lecz zaledwie próg jej przebył, równie szybko zamknięto wrota z trzaskiem, tak że koń Spytka młody i żywy poskoczył z nim przestraszony.

Spytek wprost pojechał na probostwo Świętego Floriana.

Tu również jak w mieście było ludno, nadciągały bowiem właśnie wozy ładowne i dwór arcybiskupi.

Ksiądz Chotek, zajęty rozmieszczeniem, uwijał się, głosem donośnym wydając rozkazy. Wojewoda zatrzymał się chwilę przed bramą, przypatrując wozom i czeladzi arcybiskupiej, gdy ksiądz Chotek

zobaczył go i pozdrowił.

— Gości się spodziewacie? — odezwał się do niego Spytek.

— Nie, panie wojewodo, gospodarza tylko — rzekł żywo wikary. — Ksiądz arcybiskup przybywa dziś wieczorem.

Gdy to mówił, młody pan już zsiadł z konia i pierwszemu lepszemu pacholęciu, jakie się nastreczyło, dając go trzymać, zbliżył się do księdza Chotka.

Odwiedziny te wojewody, w tej właśnie chwili, nie były bez znaczenia, a wikary, choć wiele miał do czynienia, zmuszonym był je przyjąć.

— Dwa słowa, ksiązę kanoniku — odezwał się wojewoda, wstępując na ganek probostwa i czekając, gdzie by go wejść prosił wikary.

Ten pospieszył drzwi otworzyć na prawo i ręką wskazał wielką komnatę sklepioną, oknami wąskimi oświetloną; weszli do niej razem. Wikary patrzył w oczy gościowi, oczekując rozwiązania zagadki tych odwiedzin. Spytek z całą żywością swych osiemnastu lat począł natychmiast:

— Arcybiskup przybywa dziś — nieprawdaż?

— Tak jest, panie wojewodo.

Gość tylko spojrzał na księdza.

— Nie sam pono? — spytał.

Ksiądz Chotek pochylony nieco odprostował się, pytanie mu się dziwnym wydało.

— Jak to, nie sam?

W istocie z należyty orszakiem.

— W pięćset kopijników — rozśmiał się Spytek — jak na pasterza, to w istocie orszak okazały bardzo.

Wikary ramionami poruszył, odpowiedź była trudna, pomyślał.

— O liczbie ludzi nie wiem — rzekł — ale, że pod te czasy zbrojnych mieć musi, to nie dziwota...

Spytek szydersko usta ścigał.

— Mój ojciec — rzekł — ja tu umyślnie przybyłem was ostrzec i arcypasterza, którego szanuję. Pod te czasy, gdy arcybiskup musi jeździć z ludźmi zbrojnymi, my też pilnować się i czuwać jesteśmy obowiązani, szczególnie nad grodami nam powierzonymi. Ostrzeżcie Jego Miłość, iż tej siły zbrojnej, podobno znacznej, my nie tylko do miasta nie wpuszczymy, ale jej pod bramami jego jak

groźby długo cierpieć nie będziemy.

Wikary milczał jeszcze, nieco strwożony tym, co słyszał, gdy Spytek dodał:

— Otwarcie wam powiem, mój ojciec. — Chodzi tu pogłoska, pewno niepłonna, że w orszaku arcybiskupim ma się znajdować Bartosz z Odolanowa, a drudzy twierdzą, ksiązę Semko mazowiecki.

Żywo przerwał ksiądz Chotek:

— Nic nie wiem! Nie wiem, ale nie sądzę, ażeby ksiązę Semko, jeśliby w istocie miał towarzyszyć arcybiskupowi, chciał się z tym taić. Przecież to do tronu wybrany!

Wojewoda nie dał dokończyć wikaremu i parsknął śmiechem urągliwym:

— Semko mazowiecki na tronie? Zaprawdę nigdy on nie siędzie na nim! Ani on, ani Wielkopoleanie tu rządzić nie będą nigdy!

Wikary stał zmieszany tym gwałtownym i zbyt otwartym wystąpieniem, gdy wojewoda obojętniej dorzucił:

— Przybyłem z przestrogą. Jesteśmy w gotowości do odparcia wszelkich zachcianek: niech więc nadaremnie nie próbują.

Okiem rzuciwszy po obszernej komnacie, której całą ozdobą był krzyż i parę małych obrazków na ścianach, wojewoda skłonił się nieco i zabrał do wyjścia. Ksiądz Chotek, nie mogąc jeszcze przyjść do siebie, towarzyszył mu milczący. W progu Spytek się obejrzał, jakby wyzywając do odpowiedzi, ale wikary, żywego jak on temperamentu, lękał się wdać w rozprawę z wojewodą, która by łatwo w spór przejść mogła, mruczał coś po cichu, niewyraźnie.

Wojewoda, wpadłszy w podwórze, począł się przypatrywać przybyłym wozom, na których łatwe były do rozpoznania namioty, zapasne kopie i przybory wojenne; poruszył znacząco ramionami, siadł na swego konia, rzuciwszy chłopcu pieniądz srebrny, i nazad ku Floriańskiej udał się bramie.

Ksiądz Chotek nie był wprawdzie zawiadomiony ani o Bartoszu z Odolanowa, ani o księciu Semku, wiedział tylko o poczcie zbrojnym, domyślał się go z wozów przybyłych, ale — coś podobnego przeczuwał. Ostrzeżenie Spytka utwierdziło go w tym przekonaniu. Zachmurzył się przewidując, że słabość Bodzanty, dającego łatwo sobą zawładnąć, gotuje mu nowe zawikłania i trudności.

Tymczasem poprzedzające arcybiskupa podwody, konie, czeladzie ciągle przybywały. Liczba ich, do pomieszczenia trudna, coraz bardziej zasępiła czoło wikarego.

„Bylebyśmy nie odpokutowali za to — mówił w duchu. — Króla koronować i namaszczać, rzecz to arcybiskupia, ale go ludziom narzucać”...

Spojrzenie ku Floriańskiej bramie przekonać mogło księdza Chotka, że w istocie o wciśnięciu się do miasta inaczej jak siłą ani myśleć nie było można. Mury i baszty pełne były ludzi zbrojnych, a ku

wieczorowi liczba ich się jeszcze podwoiła.

Zmierzchać zaczynało, gdy goniec konny nadbiegł oznajmując przybycie Bodzanty. Uderzono we dzwony u Świętego Floriana i na znak ten jedne po drugich wszystkie w mieście odzywać się zaczęły.

Arcybiskup jechał na wozie odkrytym, wysłanym suknem szkarłatnym, przez krucyfery⁵⁹ poprzedzany, otoczony dworem mnogich konnych. W prawo i w lewo tłoczył się lud z przedmieść ciekawy, a Bodzanta podniesioną ręką go błogosławił.

W orszaku jego ksiądz Chotek, który w komży ze święconą wodą na spotkanie pasterza wyszedł przed probostwo, dostrzegł zaraz dwóch rycerzy w całych zbrojach, z zapuszczonymi przyłbicami. Oba oni jechali nie przodem, ale wśród innych, przeto otoczeni tak, jakby nie bardzo chcieli być widzianymi. Za arcybiskupem i za nimi las cały kopij widać było.

Na pierwszy rzut oka poznał ksiądz Chotek prawdę słów wojewody; orszak arcybiskupi był za silny na obronę osoby jego, żołnierz ten inne musiał mieć przeznaczenie. Nie zaciągając nawet na podwórze probostwa pułk kopijników wprost się posunął krokiem wolnym ku bramie Floriańskiej, tak jakby miał zamiar wniknąć do miasta. Lecz dowodzący, pomiędzy którymi byli i dwaj z zasłoniętymi twarzami rycerze, spostrzegli zawczasu, że brama była zawartą i strzeżoną. Zatrzymali się więc; krótki czas trwało jakieś wahanie, potem kilkudziesięciu kopijników posunęli się naprzód, wprost na wrota.

Na murach stali milczący ludzie, ponad ramionami których gdzieniegdzie sterczały berdysze. Kopijnicy podnieśli głowy. Kilku z nich podjechało do samych wrót i uderzyło w nie z lekka kopiami. Wrota zatętniały głucho. Ponieważ oddział nie ściągnął się cały jeszcze, a coraz nowe mu przybywały posiłki, wkrótce plac cały przed bramą, dokoła jej pod murami, zapełnił się tym ludem zbrojnym.

Znad bramy nie odzywano się, a i kopijnicy, którzy z koni zsiadać poczęli, między sobą tylko się nawoływali.

Czas jakiś trwało obustronne wyczekiwanie.

Wtem mała furta otworzyła się żywo, trzech ludzi w strojach mieszczkańskich wyszło z niej i obejrzawszy się zmierzało ku probostwu. Niełatwo było przecisnąć się między ludźmi i końmi, lecz może w nadziei, że coś dobrego z sobą niosą, puszczono ich dalej.

Arcybiskup, pomodliwszy się w kościele, właśnie powracał na probostwo, gdy mu ksiądz Chotek dał znać o posłach z miasta.

Gdyby nie wiedziano o zamiarach, z jakimi arcybiskup przybywał i kogo z sobą prowadził, twarz biednego kapłana, trwożliwie złożone ręce jego, wejrzenie nieśmiałe i niespokojne byłyby go zdradziły.

Na czele poselstwa stał radny miasta, który od pocałowania ręki arcypasterza rozpoczął i

westchnął ciężko.

— Przychodzimy powitać Waszą Pasterską Miłość, pokłonić się Jej i prosić o błogosławieństwo.

Tu otarł pot orator i zadławił się.

— Mamy też zlecenie od pana krakowskiego — dodał — tyczące się orszaku zbrojnego Miłości Waszej.

— Właśnie — odezwał się głosem trochę niepewnym Bodzanta — nie mam go tu gdzie pomieścić. Spodziewałem się, że mi ludzi moich na gospody do miasta wpuścicie.

Mówiący zamilkł trochę.

— Rozkazanie jest dla wszystkich — rzekł po namyśle — w ogóle zbrojnych do miasta nie puszcząć. Nie możemy uczynić tego.

Mówił jeszcze, zakłopotany wielce, orator miejski, nie śmiejąc ostrzej i stanowczo przeciwko duchownemu wystąpić, gdy szmer się dał słyszeć w dziedzińcu, potem w sieni i malutka, z twarzą cierpiącą, postać biskupa krakowskiego Jana z Radlic ukazała w progu. Natychmiast czując, że to go może od ciężkiego uwolnić obowiązku, poseł miejski cofać się zaczął do progu.

Wstał ksiądz Bodzanta i serdecznym uściskiem przyjął biskupa, którego około siebie posadził. Rozmowa zaczęła się cicha, tak cicha, że jej posłowie nawet, stojący opodal nieco, słyszeć nie mogli. Bodzanta wydawał się strwożonym i niespokojnym.

— Ludzi moich nie chcą wpuścić do miasta — rzekł.

— Tak, i przybycie ich zrobiło tu niepokój wielki — odpowiedział Radlica. — Nie będę wam taił tego. Siłę nawet całą zbrojną miejską zwołano na obronę.

Bodzanta poruszył się niespokojnie.

— Powszechnie utrzymują — dodał biskup — że prowadzicie z sobą Semka mazowieckiego.

Twarz arcybiskupa okryła się rumieńcem, załamał ręce, nie umiał nic odpowiedzieć.

— Jeśli tak jest, a nawet gdyby to tylko było posądzenie fałszywe, miasto pozostanie zamkniętym, gotowe jest bronić się i siłą odpierać.

Arcybiskup milczał, wpatrując się w Radlicę.

— Ma więc tu ten wybrany od narodu nieprzyjaciół tak zawziętych? — zapytał cicho.

— Niestety — mówił dalej biskup spokojnie — ma ich dosyć. Prawie wszyscy Krakowianie słyszeć o nim nie chcą, a najsilniejsi z nich, Dobiesław z Kurozwek i młody wojewoda, są najzawziętymi. Nie kuście się, o rzecz niemożliwą — dodał Radlica.

— Zawczasu więc tu — począł arcybiskup smutnie — wieść tę przyniesiono, puszczoneo...

— Od dni kilkunastu bramy są strzeżone — odparł biskup.

Zaczęli szeptać po cichu.

Gdy się to działo na probostwie, z szeregów kopijników dwaj przyłbicami zakryci rycerze wystąpili, zsiadli z koni i żywym krokiem biegli tu także. W ganku jeden z nich rzucił pytanie, czy sam był arcybiskup, i po otrzymaniu odpowiedzi weszli naprzeciw do izby nie zajętej. Kilku księży znajdujących się tu natychmiast, zobaczywszy ich, ustąpiło.

Pierwszy, który hełm zdjął i rzucił go na stół ze szcęką wielką, był ksiązę Semko. Twarz jego pod przyłbicą rozgrzana, okryta potem, była straszną wyrazem gniewu do najwyższego stopnia podnieconego. Drżał cały, słowa nie mogąc wyrzec. Tak samo dwie rękawice żelazne ściągnął i cisnął precz.

Spod drugiego hełmu ukazała się męska spokojniejsza twarz Bartosza z Odolanowa, który czoło miał zmarszczone, lecz panem był siebie.

— Zatem zdradzono nas! — krzyknął ksiązę. — Wszystko stracone, a ja znowu na urągowisko ich będę wystawiony! Lecz, na Boga, nie o koronę idzie, o cześć!

Głos mu drgał przerywany:

— Pięciuset takich ludzi, jakich my z sobą mamy, starczy na zdobycie bramy. Siłą ją weźmiemy!

— Niepodobieństwo — rzekł zimno i powolnie Bartosz. — Naprzód potrzeba wyczerpać wszelkie środki.

— Żadnych nie pozostało.

— Czekam na wiadomość z miasta — dodał starosta — nie straciłem nadziei.

Semko rzucił się rozpaczliwie na ławę.

— Wszystkie te skryte i tajemne roboty, zyskiwania ludzi, rachuby na nieopatrznych nie zdały się na nic. Miecza dobyć i mieczem trzeba zdobyć, czego inaczej mieć nie można.

— Na to czas przyjdzie — odparł Bartosz — lecz Kraków, gdybyśmy go dziś w ten sposób posiadli, jutro by nam był wydarty, a sprawie Miłości Waszej stałaby się krzywda.

— Sprawie mojej już się nic gorszego stać nie może nad to, co jest! — wybuchnął Semko. — Mam ją za straconą!

— A ja wierzę w nią i trzymam za wygraną, nawet gdybyśmy Krakowa nie mieli w ręku.

Książę przerwał gwałtownie przekleństwem jakimś bezmyślnym. Patrzył nań Bartosz, jak gdyby

czekał uspokojenia, lecz to nie przychodziło.

Czas upływał, mrok wieczora coraz gęstszy zapadał. Z podwórców dochodziły wykrzyki żołnierzy i szmery. Siedzieli w ponurym milczeniu, gdy ksiądz Chotek, drzwi uchylwszy, wezwał ich do arcybiskupa.

Rozdział VII

Bobrek, przybywszy do Krakowa na zwykłą gospodę, która wszystkim jemu podobnym wysłańcom krzyżackim służyła, nie próżnował ani godziny. Natychmiast przestrogę o nadciąganiu Semka przesłał panu krakowskiemu, który skądinąd już będąc zawiadomionym, miał się na baczności.

Obowiązek więc swój spełnił, ale było w nim coś natury kreta, który nawet bez potrzeby musi się kopać pod ziemią, coś knuć i komuś szkodzić. Starał się więc korzystać ze swojego pobytu w Krakowie dla wywiedzenia się o położeniu, o usposobieniach, o tym, jak tu stała sprawa Semka i co myślano z trzynastoletnią królewną a przyszłą królową. Wieści chodziły, że matka jej Elżbieta na usilne nalegania panów małopolskich godziła się na to, aby im dać swobodę, nie wiązać Wilhelmem rakuskim i zostawić wybór męża i panującego.

Dla panów Zakonu teutońskiego było rzeczą największej wagi, kto mógł być tym przyszłym mężem młodziuchnej królowej.

Pomimo zabiegów i starań, aby się czegoś dowiedzieć pewnego w tej mierze, Bobrek nic nie pochwycił, bo albo jeszcze stale nie było nic postanowionego, albo się z tym tajono. Można się było domyśleć, że panowie małopolscy, w których rękę miała pozostać królowa, chcieli zwlekać z wydaniem za męża, aby jak najdłużej w miejscu jej rządzić.

Bobrkowi szło o to, aby zawiózł Krzyżakom pewność, iż w każdym razie Semko tym wybranym nie będzie, a w Krakowie zapewniono go najmocniej, iż głównie Spytek z Mielsztyna, z nim Jaśko z Tęczyna i inni byli jego nieprześląganymi przeciwnikami. Dowiedział się też wypadkiem, że przybywający Semko, oprócz nadziei opanowania Krakowa, miał i drugą, że od tutejszych Żydów potrafi dostać pieniędzy.

Abram i Lewek, dwaj najmajętniejsi ówczesni Izraelici, którzy oprócz tego, co sami mieli, władali tym, co w rękach ich współwyznawców było, zobowiązali się zawczasu dostarczyć księciu mazowieckiemu sumę, jakiej potrzebował.

Bobrek, dowiedziawszy się o tym, nie tracąc czasu, w towarzystwie Bieniasza udał się do Lewka, który sprawę tę miał w rękę. We dwu razem usiłowali przekonać bogatego kapitalistę, że gorzej swych grzywien umieścić nie mógł jak na Mazurach; bo Semko, według ich powieści, żadnej nadziei nie miał dostania się do tronu, a i Mazowsze samo zagrożonym było, zajechanym być mogło, brat zaś Janusz zupełnie od wszelkiego współnictwa z bratem się cofał.

Lewek, człek małomówny, a przenikający rzeczy, w początkach podejrzewał łaskawych doradców, iż cel jakiś uboczny mieć mogli, okazując taką troskliwość o jego pieniądze. Odpowiedział nieco szydersko, zapierając się wręcz tego, żeby myślał o pożyczaniu grosza księciu mazowieckiemu, wreszcie, uśmiechając się, dodał, że nikomu to przecie nie mogło szkodzić, gdyby on własne pieniądze utracił.

Zbył ich tym Żyd, grzecznie się natrętom opędziwszy, lecz poszedł na zwiady, przekonał się, że

Semka sprawa źle stała, i wiedział już, jak ma postąpić. Gdy nazajutrz rano wezwano go na probostwo Świętego Floriana potajemnie dla układów o pieniądze, Lewko, przyodziawszy się tak, aby niekoniecznie w nim poznać było można Żyda, stawił się księciu.

Bartosz był nieodstępny tutaj i przy układach także miał pomagać. Sam Semko czuł się do nich niezręcznym, powierzywszy staremu i doświadczonemu wojewodzie Abramowi.

Wchodząc poznał Lewko po twarzach, że tu nie najlepiej stać musiała sprawa. Wszystkie oblicza chmurne były i zasepione. Na zapytanie wojewody o przyrzeczone pieniądze Lewek odpowiedział naprzód ciężkim westchnieniem.

— O pieniądź gotowy — rzekł — nigdy nie było trudniej. Wiadomo, że my ani roli, ani kopalni nie mamy. Grosz nam przychodzi z handlu, a handel z powodu niepokojów w kraju wcale nie idzie. I pieniądź więc nie przyływa. Chcąc go dostać, ciężkim warunkom poddać się potrzeba.

Socha więc żądał tych warunków, na co Lewek, cokolwiek się zawahawszy, odpowiedział, że głównym było, aby książę Kraków zajął. Naówczas pieniądze by się znaleźć mogły pewnie, ale bez tego trudno, aby mu usłużyli.

Niespodziewane wymaganie wszystkich wprowadziło w chwilowe osłupienie. Potrzebowali właśnie pieniędzy, aby z ich pomocą starać się dostać do Krakowa, a tu dawano za warunek, aby wprzód miasto zdobyto. Socha i gorący Bartosz na próżno starali się Izraelitę przekonać o niedorzeczności tego żądania. Lewek najspokojniej, ale niewzruszenie stał przy nim, oświadczając w końcu pokornie, iż książę mógł u kogo innego szukać pieniędzy, jeżeli chciał, a u Żydów inaczej jak po wjeździe do Krakowa dostać ich niepodobna będzie.

Po półgodzinnym próżnym sporze Lewek, pokłoniwszy się, oddalił. Dognał go w ganku Bartosz, usiłując obietnicami różnymi skusić, ale znalazł niezachwianym.

Właśnie gdy się to odbywało, z drugiej strony rozmaitymi drogami starano się trafić do miasta i wyjednać otwarcie bram, a przekonywano się, że żadna siła w świecie nie potrafi wymóc tego na mieszczanach.

Od wczorajszego wieczora Kraków był jakby podżegnięty jakimś duchem wojennym, który wszystkich umysły opanował. Głoszono, że Semko był nieprzyjacielem swobód miejskich, że był najstraszniejszym mieszczństwa wrogiem. Zapał ogarniał wszystkich, gotowano się jak przeciw napaści tatarskiej bronić przeciw niemu i arcybiskupowi. Rozgorączkowanie dochodziło do dawno nie widzianego stopnia, co żyło, nawlekało zbroje, opatrywało się w miecze, berdysze, siekiery, oszczepy. Nie potrzeba było ani naglić, ni napędzać. Czeladź porzuciała warstwy, kupczyki uciekali ze sklepów, co żyło, uzbrajało się i gromadziło na murach i basztach. Ochota bojowania była niesłychana. Wprawdzie zaciągi te nie miały ani zbyt rycerskiej postawy, ani wprawy, ani umiejętności wojowania, lecz w obronie miasta, wedle słów Wróbla, każdy dobrym był, kto mógł tłuc silnie.

— Byle pięści! — mówił stary piwem popijając.

Tych zaś pięści garnęło się więcej może, niż na razie było potrzeba, a widok potężnych kopijników leżących obozem u Floriańskiej bramy wcale nie ustraszał. Prawda, że grube mury, potężne rondele⁶⁰ i wieżyce od nich dzieliły.

Czeladź miejska tymczasem, przy ciepłe majowym, zażywała przyjemności koczowania po ulicach, siedzenia pod murami i wywoływania a odgrazania się głośnego przeciw rycerstwu, co zawsze dla gawiedzi jest miłą rozrywką. Młodzież, zamiast skórzanych fartuchów powdziejawszy stare blachy, pookrywawszy głowy żelaznymi garnuszkami, w ręce ująwszy młoty i obuchy, cieszyła się swym bohaterstwem.

Wróbel i inni dowódcy, nie mogąc liczyć na wprawę i doskonałość żołnierza swego, dumni byli jego liczbą. Z księdzem arcybiskupem przybyło co najwięcej pięciuset żelaznych mężów, miasto przeciw nim mogło postawić kilka tysięcy.

Przez cały ten dzień, przy ogromnym szczęku, brzęku, szafunku głosów i poruszaniu się nieustannym, sposobiono się do obrony. Inne wrota miejskie na wszelki wypadek miały strażę i gromadki obrońców, ale główne siły skupiały się przy bramie Floriańskiej.

Nie ludząc się tym wielkim zapałem żołnierza ochotnika, Dobiesław z Kurozwęk czuł, że gdyby się stan miał przeciągnąć, i zapal musiał ostygnąć, i zbiegowisko powoli by się rozsypało. Trzeba więc było przyspieszyć koniec jakiś wystąpieniem stanowczym.

Na probostwie spierano się jeszcze w niepewności, co poczynać miano, gdy na ratuszu już rada się zebrała i z południa uchwalono wysłać do Bartosza z Odolanowa, bo księżę był za nim ukryty i jego się zapierano, z rycerskim wypowiedzeniem albo raczej wyzwaniem. Krok to był śmiały, lecz konieczny. Zebrano ludzi, uzbrojono ich pięknie i posły te, z pewną okazałością, uroczyście udały się na probostwo. Mieli oni polecenie nie z arcybiskupem mówić, ale z dowódcą kopijników.

Samo już przybycie tych od mieszczan wyprawionych, rycerskiej postawy ludzi zaniepokoiło księcia i Bartosza. Gdy spytali się o dowódcę, chwila wahania nastąpiła, kogo im postawić. Sam Bartosz się ofiarował, księżę w sąsiedniej izbie zza drzwi miał się przysłuchiwać rozprawie.

Wybrany przez Dobiesława z Kurozwęk, towarzyszący czerwonemu, wąsatemu i potężnemu wzrostem Wróblowi niejaki Jonasz Mroczek słynny był z wyparzonej gęby i łatwego słowa. Przygotował się on dobrze do spełnienia tego, co mu zlecono, a piękna rycerska i pańska postawa Bartosza nie odjęła mu odwagi. Pokłoniwszy się nieco, zabrał głos natychmiast:

— Miasto stoliczne wyprawiło nas tu z pozdrowieniem i oświadczeniem zarazem, iż nagromadzenie takie siły zbrojnej u bram swych widzi dla siebie niebezpiecznym, a dla handlu i spraw swych szkodliwym. Uprasza więc ono dowódcę, aby odstąpił od bram i od Krakowa się oddalił.

Spojrzał Mroczek na Bartosza, który węża pocierał.

— A cóż będzie, jeżeli my, nie mający żadnych nieprzyjacielskich zamiarów, waszmościów groźbie nie ulegniemy? — zapytał pan z Odolanowa.

Niedługo myślał Mroczek.

— Mamy zlecenie naówczas mir wam wypowiedzieć — rzekł sucho i stanowczo. — W stanie tym nieznosnym oblężenia trwać nie możemy, będziemy więc sobie radzić, jak się nam zda. Groźba za groźbę, my się też do oręża weźmiemy.

— Jak to?! — wykrzyknął Bartosz. — Moglibyście na spokojnych ludzi napaść i...

— Z niewoli uwolnić się wszelki środek dobry — rzekł Mroczek. — Nasza rzecz, co poczniemy, a z tym się naprzód chwalić nie będziemy. Co mi zlecono, to oświadczam wam, jeżeli nie ustąpicie natychmiast, mir wypowiedziany. Miejcie się więc na baczności.

Mroczek, dokończywszy tego przemówienia, nie znajdował potrzebny tłumaczyć się więcej, skłonił się nieco, Wróbel też, inni za nimi i gdy Bartosz stał jeszcze zaniemiały z podziwienia nad tym zuchwalstwem, oni mierzonym krokiem, nie myśląc już więcej rozprawiać, wyszli z izby w takim samym porządku, jak przyciągnęli, wracając do bramy, która się szybko otworzyła i zamknęła za nimi.

Księżę, który za drzwiami z gniewu trząsał się słuchając, wybiegł do pierwszej izby wściekły. Bartosz ramionami z lekka poruszał.

— Nie ma tu co stać — rzekł — trzeba co rychlej ciągnąć dalej, mamy co innego do czynienia.

— Jak to? Ulec groźbie, uciekać?! — przerwał Semko.

— Pokażemy gdzie indziej, że się nie lękamy boju, lecz tu nie opłaciłoby się już wojowanie. Są na baczności, siły nagromadzili — mówił Bartosz.

— Lecz odstąpić na ich rozkaz, natychmiast! Srom! Hańba! — wołał Semko. — Tego nie dopuszczę!

— Postojemy więc do jutra rana — odparł Bartosz — jeżeli Miłość Wasza tego żądasz, lecz pójdę i wydam rozkazy, aby zbroi nikt się nie ważył zrzucić przez noc i koni rozsiodływać... Mir wypowiedziany... Gawiedź ta, sposobną chwilę upatrzwszy, może nam spaść na karki, otoczyć, a stracić z najlepszego żołnierza, choćby niewielu szkoda niepowetowana, potrzebni są nam na Kujawy.

Semka myśl sromotnego cofania się przywodziła do rozpacz. Bartosz spokojniej się zapatrywał na to. Wyszedł natychmiast przywołując sotników⁶¹ i oznajmując im, że mir wypowiedziany, a czujność przez noc ma być jak największa. Nazajutrz do dnia wyruszyć miano.

Arcybiskup i Bartosz nie byli bez stosunków z miastem. Pojedynczym ludziom, zwłaszcza duchownym, na probostwo przychodzić nie można było wzbronić. Miano tu więc wiadomości dokładne o tym, co się działo w mieście i kto był przyczyną tego zuchwałego wystąpienia. Duchowni panowie, trwożliwego ducha, nie omieszkali Bodzanty nastraszyć przynosząc mu wiadomość, iż w mieście postanowiono napaść nocą na kopijników i wyrzezać ich bez miłosierdzia. Słowo jakieś w

ulicy na wiatr rzucone, doszedłszy do uszu kanonika Alberta, urosło na probostwie w trwogę i groźbę.

Wyprawiono powtórnie kopijnikom rozkazy, ażeby nie śmieli odpoczywać i rozdziewać się.

Widok sąsiednich murów mógł poniekąd utwierdzać w przekonaniu, iż wycieczkę z miasta zamierzono, gdyż roił się tam lud, tłoczył, ścisnął, wywoływał i zdawał przygotowywać do wystąpienia. Ludzie z ciężkimi kuszami na ramionach przechadzali się pod bramą; głos Wróbla brzmiał jak trąba.

Bartosz nie miałby obawy najmniejszej w polu, lecz tu, w ciasnym miejscu zamknięty pod murami, nie mogąc się rozwinąć, nie wiedząc ani godziny, ani strony, z której napastowany być mógł, musiał się mieć na baczności. Znał on swych ludzi, znużeni byli podróżą, chciwi spoczynku, jadła i napitku, beczki z piwem wypróżniały się, a w głowach szumiało.

Pod wieczór więc strażę potrzeba było ustawić i nie spuszczać oka z bramy. Niepokój ten może by był ustał później nieco, gdyby w mieście się ludzie uspokoili, tu zaś przeciwnie z nocą ruch się zwiększał. Z gwaru wnosić było można, że poza wrotami w ulicy Floriańskiej znaczne siły stały nagromadzone. Światło od pochodni po murach migąło, głosy się wyrwały ciągle, brzęk nie ustawał.

Bartosz nie zdjął zbroi z siebie, postanowiwszy czekać tak do dnia, a księżę rzucił się na ławę, wsparłszy na rękę, i niewiele też zażył spoczynku. Lada wykrzyk od bram, poruszenie jakieś, niespokój między końmi i ludźmi, wszystkich zmuszał porywać się na nogi. Bartosz wybiegał na ganek.

Wszystkie wiadomości z miasta przynoszone zgodne w tym były, że najwięcej do oporu ze strony krakowian podbudził ich Spytek z Mielsztyna. Chociaż Dobiesław równie był czynnym, jemu przypisywano największą zaciętość przeciwko Semkowi, gdyż on się z nią najmniej tał.

Księżę też poprzysiął zemstę. Tej nocy jeszcze zerwał się i pobiegł do Bartosza dopytując go, czy—li po drodze dóbr i dworów Spytko nie było lub choćby nałożyć drogi przyszło, czyby zawrócić nie można pochodu przez nie, aby je zniszczyć. Malował się w tym ów ojcowski gwałtowny a popędliwy charakter księcia, który w pierwszej gniewu chwili gotów się był ważyć na wszystko, a urazy przebaczyć nie umiał.

Bartosz takiemu jątzeniu nieprzyjaciela był przeciwnym, ale Semko nie dał się powściągnąć.

— Nie zechcecie wy ze mną, pójdę sam. Zemstę mieć muszę i będę.

Nie mógł zataić Bartosz, że prawie na drodze leżał Książ Wielki⁶², jedna ze znaczniejszych rezydencji pana na Mielsztynie, a księżę poprzysiął natychmiast, że go w perzynę obróci. Próżnym było odwozić od tego, choć Bartosz przekonywał, że pilniejszym mieli opanować Kalisz i Brześć Kujawski, zając Kujawy i Łęczyckie, gdzie już na nich czekali przyjaciele. Według Semka jedno drugiemu nie przeszkadzało, chciał ciągnąć na Książ, aby go zniszczyć i spalić. Śmiał się mówiąc o tym, tak myśl pomsty upajała go rozkoszą jakąś.

Noc majowa niedługa dla tych, co ją bezsenne, we zbrojach, przy koniach, czuwając spędzić musieli, wydała się wiekuiłą. Kilka razy popłoch rzucano i ludzie, co ledwie znużeni przysiedli, porywali się nagle, a gdy trwoga okazała się próżną, znowu ją lada szmer podejrzany wznawiał.

Z ukazaniem się brzasku na niebie wszystko zaczęło się sposobić do drogi, wydane już były rozkazy. Czekać jednak musiano białego dnia, gdyż arcybiskup nie chciał tu sam pozostać, a bez mszy wyruszyć nie mógł. Tabory wojska, namioty, oręż musiano na wozy znowu mieścić w części i na długą podróż się sposobić.

Bodzanta jechał uciśniony na duszy, samotny, upokorzony, może wyrzucając sobie, iż dał się ująć dla Semka, którego przyszłość teraz wydawała się bardzo niepewną. Sam on zdawał się wątpić o niej, chociaż gorączkowo dobijać się jej bądź co bądź postanowił.

Jeden Bartosz wcale nie tracił nadziei i męstwa, widział wszystko jasnym i wróżył zwycięstwo. Zdobycia Kujaw był pewnym, za tym miało iść Łęczyckie a potem Wielkopolska się też musiała poddać. Domaratowe stronnictwo osłabione nie zdawało się strasznym, choć arcybiskup wróżył, że ono teraz tajemnie przez Krakowian do nowego życia powołanym zostanie.

Słońce wschodziło na pięknym niebie wiosennego poranka, gdy z bólem w sercach, z gniewem w piersi, ruszyli ci, co tu z najlepszymi przybyli nadziejami, Semko z przyłbicą spuszczoną, sromem na czole, Bartosz z twarzą odkrytą, arcybiskup na swym wozie blady, z różańcem w ręku. Kilku duchownych odprowadzali go do bramy, ledwie ich widział załzawionymi oczyma. Jechał otoczony tą siłą zbrojną, czując się jeńcem i trapiąc w duszy.

Ażeby widokiem odciągającego wojska się napaść, tłum ogromny zebrał się, mimo rannej godziny, na murach, w bramie, w przedmieściu. Wesole okrzyki, w których uchodzącym brzmiało dotkliwe szyderstwo, wyrywały się kiedy niekiedy z tej ciszy. Cieszono się i klaskano.

Wielki ciężar spadał z ramion tym, co się gotowali do obrony miasta, bo siła, którą mieli teraz przed sobą, wcale była nie do pogardzenia. Z wejrzenia na tych dobranych ludzi łatwo w nich poznawano sam wybór i kwiat wojska mazowieckiego i wielkopolskiego. Pięciuset takich kopijników na owe czasy stanowili już znaczną siłę.

Oglądając się na mury, Bartosz byłby może dostrzegł i poznał pomiędzy ciekawymi i Dobiesława z Kurozwęk, i młodego wojewodę. Oba oni tam byli, a Spytek uśmiechał się zwycięsko... Czy Semko poznał swojego wroga, trudno zagadnąć, lecz powtarzał ciągle idącemu przy sobie Bartoszowi:

— Na Książ! Na Książ!

Powolnie odbyło się to przeciąganie kopijników pod murami i idących za nimi wozów, podwód, a potem wlokących się ciurów i całej tej obozowej hałasty, której nigdy żadnemu oddziałowi zbrojnemu nie braknie.

Ostatki ciągnęły drogą jeszcze, gdy z wolna wrota się otworzyły i tłum za nimi stojący wysypał z okrzykiem zwycięskim.

W istocie zwycięstwo to było bezkrwawe, łatwo odniesione, które w niepospolitą pychę wbiło mieszczan krakowskich, tak że długo o nim zapomnieć nie mogli i chlubili się jako dziełem wielkim. Szczęściu jednak więcej byli winni niż własnym zabiegom i ofiarami wielkimi nie okupili go. Przywrócenie tylko powszedniego porządku kosztowało nieco czasu, bo czeladź duchem wojennym zagrzana niełatwo się dała napędzić do cichej pracy. Wielu też bohaterom tych dni, którzy mieli zwierzchność powierzoną nad młodszymi, głowy się pozawracały.

Oprócz innych we Floriańskiej bramie widzieć było można w kącie przyczajonego Bobrka, który też życzył sobie być świadkiem naocznym tego odegnania Semka od wrót stolicy. Złośliwe stworzenie każdy widok cudzego upadku radował i nasycał. Mówił sobie, choć niesłusznie, iż i on się przyczynił do tego zwycięstwa nad księciem mazowieckim.

Nie miał tu już nic do czynienia, oprócz szpiegowania Hawnula, który pozostał dla niego zagadką. Potrzebując powrócić nazad ku Toruniowi, miał niejaką nadzieję, że potrafi znowu nastreczyć się staroście i na koszcie jego podróż odbywać. Wiedział, że Hawnul się u Keczerów znajdował, lecz chciał odegrać rolę prostaczka dobrodusznego i poszedł się wywiadywać niby o niego u brata Antoniusza, do klasztoru Franciszkanów pod zamek. Nie miał tu najmniejszej trudności w znalezieniu starego zakonnika, który zawsze czymś zajęty w kościele robił porządek i wyszedł do niego z miotłą w rękę. Najcięższe i najwstrętliwsze dla drugich roboty jemu były najmiłsze.

Czy w ciągu razem odbywanej drogi brat Antoniusz poznał lepiej klechę i domyślił się w nim jaszczurczej natury, trudno było się domyśleć, bo go powitał zwykłym swym uśmiechem łagodnym.

Klecha patrzył na miotłę w rękach starca z podziwieniem i czciał ją — nieszczerą, lecz dobrze odegraną.

Po pozdrowieniu Bobrek się uśmiechnął przypochlebiając.

— Mnie już czas powracać do Wielkiejpoli — rzekł — nie wiem, co się dzieje z kupcem naszym; gdyby i jemu o te czasy przypadł powrót, mógłbym mu posłużyć może.

Brat Antoniusz nie zaraz odpowiedział, osadzał mocniej miotłę, którą w rękach trzymał.

— Nic nie wiem — odparł — prawdopodobnie ja tu pozostanę.

— A gdzieżby się dowiedzieć o niego? — zapytał Bobrek.

Po namyśle zakonnik wskazał mu dom Keczera.

Króciuchno tu zabawiwszy, klecha zwrócił się ku rynkowi. Hawnul był tu jeszcze. Przyjął go chłodno, z chmurnym dość czołem, oświadczając, że o wyjeździe z powodu spraw handlowych dość zawikłanych nic jeszcze stanowczego nie wie, a czekać na siebie nie radzi.

Usiłował mu się przymilić klecha, lecz Hawnul był w usposobieniu jakimś niezbyt łagodnym i do rozmowy nie okazywał ochoty. Pozyskać sobie nie mogąc niczym, klecha pożegnał go tym, że jeśli by nie odjechał, przyjdzie się dowiedzieć jeszcze.

Tymczasem sznurkował po mieście. Jako klecha i zawsze niby do stanu duchownego się przygotowujący, miał on stosunki rozliczne z miejscowymi kapłanami. Udawało mu się nieraz od nich zdobyć ważną jakąś wiadomość, lecz nigdy tak szczęśliwie jak teraz mu się nie powiodło.

Biskup krakowski Radlica, który się znajdował u Jaśka z Tęczyna pamiętnego wieczora, gdy do niego Hawnula wezwano, tak był przejęty wielkością myśli tu przyniesionej, iż zapomniawszy o obowiązku zachowania tajemnicy, zdradził się z nią przed jedynym przyjacielem, osiemdziesięcioletnim kanonikiem Robiczkiem. Człowiek to był świątobliwości wielkiej, całkiem oderwany od świata, pędzący życie w praktykach religijnych, cały w Bogu, lecz wiekiem i samym tym usposobieniem zdziecinniały. Podzielił się z nim biskup wiadomością tą, aby się staruszkowi dusza rozradowała. Ze złożonymi rękami, z uniesieniem przyjął cudowną nowinę ksiądz Robiczek, ale mu ona piersi wezbrane szczęściem rozsadzała.

Miliony dusz zyskane Chrystusowi!

— Gdyby to mogły oglądać jeszcze oczy moje, a potem zamknąć się na wieki! — tak wołał starowina, a gdy drżący od radości, przejęty cały wrócił do swej celki i zastał w niej chłopaka, co mu posługiwał, pocałował go w czoło i rzekł na ucho: — Ciesz się!

Nie zrozumiał tego chłopak, ale dobrodzieja w rękę pocałował, a ten na kolana padłszy naprzód to szczęście swe wylał na modlitwie wdzięczną Bogu duszą. Zdawało mu się, że to już było rzeczywistością, że musiało się dokonać wprędce, że w tym widział palec Opatrzności nad Polską.

Wstrzymywał się potem, jak mógł, staruszek z rozpowiadaniem o tym, co Polskę czekało, że ona apostołem Chrystusowym stać się miała, lecz gdy jednego ranka przywłókł się do niego Bobrek, całując go po rękach a udając dobrodusznego biedaczka, aby coś od niego wyłudzić, pocziwy starowina, zawiązawszy z nim rozmowę o Wielkiej Polsce, o Mazurach, o Krzyżakach, o Litwie, gdy o tej wspomniał, uniósł się i zawołał:

— Bóg wielki! Nieszczęścia nasze na to nam posłużą i na to je Bóg zesłał opatrzny, abyśmy pogan tych my jemu przywiedli do wielkiej Piotrowej owczarni!

Wyrwało się to mimo woli z ust staruszkowi, wpadło do ucha Bobrkowi, który pobladł i tak zręcznie się wziął do badania Robiczka, iż ten mu w końcu wszystko wyśpiewał, jako to rzecz była pewna i niezawodna, bo stamtąd nawet już posły przybyły.

Domyśleć się, kto był tym posłem, Bobrek mógł łatwo. Zrozumiał wszystko, lecz tak był odurzony zrazu niespodzianą zdobyczą, wielkością połowu — potem go jakaś trwoga przejęła o Zakon, iż nawet radości, jakiej się staruszek spodziewał, okazać nie umiał. Zamruczał coś niedowierzająco, ksiądz Robiczek go upewnił, że to rzecz, co się spełnić musiała — i tak się rozeszli.

Spokojnego charakteru, umiejący panować nad sobą klecha, gdy wyszedł z celi staruszka, uczuł się jakby pijanym, uszom swym nie wierzył jeszcze. Największe nieszczęście, jakie mogło kiedy grozić Zakonowi, było w istocie bliskim spełnienia?

On jeden wiedział o tym, obowiązkiem jego było biec na złamanie karku, aby wołać ratunku i bić

na trwogę. Nie miał chwili do stracenia. Zdawało mu się najprostsza rzeczą, dla zapobieżenia temu, pochwycić Hawnula na drodze, bodaj go zabić, aby układy się zerwały.

Przerażony, sam nie wiedząc jak przebiegł ulice i znalazł się w domu Bieniasza, w którym gdy padł na ławę, a gospodarz go pytać zaczął, co mu się stało, jak oszalały rwał się za włosy, mówić nic nie mogąc. Zażądał tylko swojego węzełka, aby tegoż dnia jeszcze jechać stąd.

Niemiec gospodarz widział z obejścia się z sobą gościa, iż coś nadzwyczaj ważnego zajść musiało, gdyż rano był zupełnie spokojnym i wcale o wyjeździe nie myślał, lecz dowiedzieć się od niego nic nie mógł. Bobrek sam chciał być w posiadaniu wielkiej tajemnicy, aby ją pierwszy przywiózł Zakonowi. Nalegał, prosił, błagał, aby mu wyjazd ułatwiono, i spieszył tak, że pod noc wybrał się z miasta mimo grożącej burzy.

Hawnul miał się jeszcze w Krakowie zatrzymać, mogło się więc udać klesze wyprzedzić go, dostać się do Torunia i urządzić gdzieś zasadzkę, co by porwała posła. Wedle ówczesnego bardzo pospolitego obyczaju badania na mękach, przez ogień i wodę, wyciąganie stawów itp., prawdy się z niego dowiedzieć mogli Krzyżacy. Zgładzić go zresztą potrzeba było.

Najgłówniejszym dla Bobrka stawał się pośpiech. Ubiec musiał Hawnula. W powrocie nie jedną, ale kilka na niego zasadzek można było postawić tak, aby w którą z nich wpaść musiał koniecznie. Koń, którego mu dostarczono w Krakowie, wprawdzie drogo kosztował klechę, lecz to, co wiozł, mogło go opłacić. Miał jeszcze z sobą tyle grosza, że mógł go ważyć i wierzchowego, gdyby padł, innym zastąpić. Z tymi myślami, w gorączce, biegł klecha znajomymi sobie drogami, bezpieczeństwo swe nawet poświęcając dla pośpiechu.

Hawnul tymczasem zmuszony był pozostać w Krakowie. Po długich naradach wypadło z nich wysłać z nim duchownego, który by chciał się poświęcić trudnemu, ale najwyższej wagi zadaniu zbadania w miejscu Jagiełły i spraw litewskich w ogóle. Wybór trudny paść miał na Dobrogosta z Nowego Dworu⁶³, lecz i sprowadzić go, i skłonić do tego było potrzeba. Starano się to z największym dokonać pośpiechem, gdyż Hawnul naglił, a mimo to czasu upłynęło dosyć, nim trzymana w największej tajemnicy wyprawa ta dokonać się mogła. Szczęściem Hawnul miał zręczność z pomocą zakonników Świętego Franciszka posłać wiadomość o sobie uspokajającą, sam zaś czekał widząc, że sprawa obiecywała, iż starania jego dla niej nie będą nadaremne.

Nim mógł z Krakowa wyruszyć, przyszła tu wieść o zniszczeniu i łupieży Księża Wielkiego, przez zemstę nad Spytkiem. Ciągający na powrót Semko nie pominął go i dokonał, co postanowił. Było to jakby pierwsze wypowiedzenie wojny Małopolanom i groźba, której nikt się nie uląkł.

Spytek z pańską obojętnością odebrał wiadomość o spaleniu swojego dworu, rozpędzeniu ludzi, pożarze miasta i wsi okolicznych. Duma nie dozwalała mu okazać nawet, że strata poniesiona wielką była i dotkliwą. Ubolewali nad nim oburzeni przyjaciele, Spytek pogodną twarzą i milczeniem zbywał klęskę.

Daleko ważniejszym według niego było, iż Semko szedł na Kujawy z siłą dosyć znaczną i mógł je opanować, a miał z sobą tego Bartosza, który był duszą wszystkich o koronę zamachów, i arcybiskupa, który mógł powagą wszystko uświęcić i skrzepić.

Hasłem odtąd stało się dla panów krakowskich — obalenie księcia mazowieckiego siłą czy jakimkolwiek bądź środkiem. Im więcej okazywał energii, tym dla nich był straszniejszym. W milczeniu wszyscy do tego podali sobie rękę.

Hawnul, zmuszony czekać beczynnie, wystawiony był na prawdziwe męczarnie. Do Krakowa dochodziły wieści najrozmaitsze, które wstrząsały nim i odbierały nadzieję. Cel podróży zdawał się chybiony, czas stracony, a gniew Jagiełły nieuchronnym, poniekąd zasłużonym, bo Hawnul winnym był powzięcia myśli zuchwałej, namowy do niej i uczynionego kroku.

Biedny starosta pędził dni prawdziwie męczeńskie, bo nawykły do pracy trapił się próżnowaniem, na które był skazany.

Keczer, gospodarz, był w mieście zajęty, znajomości nie życzył sobie zawierać Hawnul, szedł na miasto z rana, wstępował do franciszkanów na mszę i nabożeństwo, na cichą krótką rozmowę z bratem Antoniuszem, krążył potem po mieście i najczęściej spotykał się tam z jakąś niemiłą wiadomością.

Zewsząd przychodziły nowiny o powodzeniach nadzwyczajnych księcia mazowieckiego. — Rósł w oczach ten wybrany król przyszły. Brześć Kujawski i Kruszwica już były w jego rękach, całe Kujawy zajął we władanie. Poddawali mu zamki trzymający je, sami lub przez swoich. Abraham Socha z ludźmi książęcymi jedne po drugich zajmował.

Posłyszawszy o tym starosta, niemal zrozpaczony pobiegł do Jaśka z Tęczyna, zdawało mu się, że tu już nic do czynienia nie ma, że wszystko stracone.

Kasztelan przyjął go z tą powagą i krwią zimną, która go nigdy nie opuszczała. Te same wieści niepokojące doszły już były do niego i innych panów krakowskich, których Hawnul znalazł zgromadzonych w znacznej liczbie w dworze pana na Tęczynie. Dobiesław, Spytek z Mielsztyna, Jaśko z Tarnowa, biskup Radlica zebrani byli w wielkiej izbie, o czym dowiedziawszy się, starosta chciał iść nazad, gdy go młody Tęczyński zatrzymał, a po chwili wprowadził do komnaty, w której wszyscy zgromadzeni byli.

W chwili tej wielka izba gościnna kasztelana przedstawiała obraz istnie wspaniały i uderzający.

Ci po większej części sędziwi i poważni panowie, naradzający się nad losami kraju z czołami posępnymi, siedzieli i stali, jakby senat starego Rzymu w godzinie niebezpieczeństwa, nie zdradzając sobą ani obawy, ani niepokoju, ni najmniejszej niepewności jutra. Wszystkich oblicza, nie wyjmując młodziuchnego Spytka, tchnęły męstwem i żelazną wytrwałością. Nie czuć było żadnego zamieszania i tego niebezpiecznego podrażnienia, które w chwilach stanowczych odejmuje panowanie nad sobą i wypadkami. Jak sam gospodarz, tak wszyscy zdawali się zbrojni, przygotowani, niemal chłodni, choć im klęskę po klęsce przynoszono.

Kasztelan wystąpił parę kroków przeciwko Hawnulowi, na którego licu widoczna była trwoga i strapienie.

— Miłościwy Panie — odezwał się, zbliżając ku niemu, starosta — darujcie mi, że przychodzę

niepokoić was. Czuję się tu niepotrzebnym! Nie mam już ani na co czekać, ni się czego spodziewać! Mówią, że Wielkopolska jest w rękach Semka, zajął Kujawy, zabrał Łęczyckie pono, zamki mu się poddają, nikt oporu nie stawia — wszystko stracone!

Gdy to mówił Hawnul, inni panowie, którzy już go znali z widzenia i byli wtajemniczeni, otaczać go poczęli i przysłuchiwać się. Jaśko z Tęczyna nie przerywał mowy i nie dawał znaku po sobie, ażeby ona wrażenie czyniła na nim. Słuchał cierpliwie.

Gdy Hawnul, ciężkim westchnieniem skończywszy, spojrział na otaczających i spostrzegł twarze nieporuszone, chłodne, majestatycznie poważne i spokojne, nie mogąc tego inaczej wytłumaczyć sobie, sądził, że są zrezygnowani na wszystko, że istotnie ratunku już nie ma.

Jaśko z Tęczyna, jak zwyczaj miał, pogładził brodę i nie spieszył z odpowiedzią — na ostatek począł z wolna:

— Straconym nic nie jest — rzekł — na zajęcie Kujaw, niestety, byliśmy przygotowani, jesteśmy na daleko więcej, chociażby Semko zajął całą Wielkopolskę, a arcybiskup go królem ogłosił — nic to nie znaczy!

— Jako? — podchwycił Hawnul. — Lecz jeśli go ogłosi królem?

— My go nim nie uznamy — rzekł kasztelan z wolna — Stolica jest tu, koroną w rękach królowej; prawo za nami! Nie pierwszy to raz Kraków będzie stanowił o całej monarchii i od jego posiadania zawisać będą jej losy.

Dobiesław z Kurozwęk przerwał krótko i niewyraźnie:

— W Wielkiej Polsce nie koniec, dopiero teraz się o nią walka rozpocznie. Zobaczymy, jak się dokona.

Hawnul spozierał po tych twarzach, widział je wszystkie równie wypogodzone. Trochę męstwa w niego wstąpiło.

Spytek dodał, przybliżając się do Hawnula:

— Widzicie, że my powodzenia Semka wcale do serca nie bierzemy. Dajemy mu przed czasem siły wyczerpać, rzucać się i wytężyć; wszystkiemu temu w czas się koniec położy.

Zdumiony słuchał starosta.

— Byle za późno nie było — rzekł — zajęcie Kujaw da mu nowe siły.

— Bądźcie spokojni — rzekł — Domaratowi sprzymierzeńcy i on sam, chwilowo bezczynni, ockną się. Rozkazy są wydane. Nie mamy trwogi.

Zamilkł Hawnul, a kasztelan kończył z wolna:

— Nie zapadła żadna zmiana w postanowieniach naszych, aniśmy stracili nadziei doprowadzenia sprawy do dobrego końca. Wkrótce będziemy mogli dać wam towarzysza podróży. Spodziewamy się Dobrogosta, który pojedzie z wami.

Więcej jeszcze niż słowa podziałał na Hawnula widok tych ludzi powagą wielką odzianych, tak patrzących w przyszłość okiem niezmaconym, iż obudziliby wiarę w każdym nawet mniej do wierzenia usposobionym jak on.

— Wszystko, co mówicie, prawdą jest — dodał młody Spytek prawie wesoło. — Semko mój Książ bezbronny złupił i spalił, wziął Brześć Kujawski, opanował Kruszwicę, zajmuje Kujawy.

Słyszymy, że ma zwołać znowu do Sieradzia ludzi sobie przyjaznych. Zapewne go tam królem okrzykną, ale to nie obroni od spustoszenia Mazowsza i losu, jakiego doznał Biały⁶⁴...

Jaśko z Tarnowa zwrócił się do starosty:

— Jagiełło był także z mazowieckimi w sporze o granicę i wojował z nimi.

Dlaczegoż by teraz także nie miał korzystać i wtargnąć do dzielnicy Semka?

Hawnul nie wiedział, co odpowiedzieć, lecz rada złą nie była, gdyby obawa napaści krzyżackich nie utrudniała wykonania.

— Gdy margrabia brandenburski⁶⁵ najedzie Mazowsze, a Domarat będzie grody na powrót odbierał, czemu byście wy nie mieli wtargnąć? — rzekł Jaśko z Tęczyna. — Trzeba złamać tego napastnika, który gwałtem chce zdobyć koronę, a ta mu nie należy.

— Nigdy on nie będzie królem u nas — rzekł pan z Tarnowa. — Nigdy! Pamiętajcie to sobie!

— Nigdy! — powtórzył Spytek.

— Nigdy! — poczęli wtórować inni cichymi głosy.

To — nigdy — jak wyrok nieodwołalny zabrzmiało surowo, strasznie — i po nim nastąpiło milczenie długie. Hawnul uczuł się pewniejszym przyszłości.

— Powracać mi pilno i nagle potrzeba — odezwał się cicho — miłosierdzia waszego proszę, nie trzymajcie mnie tu dłużej!

Kasztelan zbliżył się do niego.

— Cierpliwości, parę dni, a wszystko się skończy po myśli; idźcie w pokoju, a nie wątpcie, że to, cośmy postanowili, stać się musi.

Hawnul powiódł oczyma po siedzących, którzy głowy z lekka skłonili, i wyszedł z dworca kasztelana.

„Nigdy”! brzmiało mu w uszach jeszcze, a obraz tych ludzi, co je wyrzekli zimno, stanowczo i z mocnym postanowieniem obronienia słowa swego, stał przed jego oczyma.

Coś mówiło mu, że ten areopag⁶⁶ cichy i na zewnątrz nie dający znaku życia, omylić siebie i jego nie może.

Rozdział VIII

Jeszcze był Hawnul z Krakowa nie wyruszył, gdy Keczer jednego ranka szepnął mu, że dnia wczorajszego przybył do miasta poseł Semka mazowieckiego do panów krakowskich, a mówiąc to dziwnie trząsał głową, dźwigał ramionami i uśmiechał się w sposób osobliwy.

Chociaż męstwa mu po ostatniej bytności u Jaśka z Tęczyna przybyło wiele, starosta zbyt wielką przywiązywał wagę do sprawy swojego pana, ażeby go przybycie to wysłańca z Wielkopolski poruszyć nie miało.

Nie tyle może co jego, innych też, szczególniej mieszczan krakowskich, obeszła wiadomość o pośle księcia mazowieckiego.

Od czasu, jak miasto mogło się pochłubić, iż od wrót swych śmiałym wystąpieniem odparło Mazura, czyn ten heroiczny, co chwila przypominany, podnoszony, wbił w pychę krakowian, a zarazem wyrobił w nich nadzwyczajną niechęć i nieprzyjaźń dla Semka. Nazywano go wrogiem, odgrazano się nań. Obawiały się inne miasta panowania jego, lecz Kraków czuł, że byłby wystawiony na zemstę, i dopuścić nie mógł do panowania. Wszystko, co stamtąd szło — niepokoiło.

Gdy się dowiedziano, że pan stolnik kujawski Lasota ze Stawiszyna⁶⁷ do Krakowa przybył w poselstwie, poruszyło się wszystko ogromnie.

Stolnik zajął był gospodę w rynku u mieszczanina Stano, a jak się tylko dowiedziano o tym, natychmiast dom poczęły otaczać gromadki nie tylko ciekawe, ale nieosobliwie usposobione dla Kujawiaka.

Wiedział jednak, kogo tu posyłał Bartosz z Odolanowa, bo ten i ludzi dobierał, i wszystkim rozrządzał, a Semko do oręza się rwał tylko. Lasotę ze Stawiszyna posłać było można nie tylko do zburzonego przeciw księciu Krakowa, ale na dno piekła, pewnie by się ani uląkł, ani zawahał. A we wszelki ukrop palce maczać było dlań najulubieńszym.

Mężczyzna lat średnich, miał jeszcze cały ogień młodości, męstwo szalone, pewność siebie niczym nie zachwianą, tego ducha potężnego, który poszanowanie nakazuje, a słabych przejmuje trwogą. Człowiek był zresztą prosty, rozumu chłopskiego, otwarty, serca dobrego, ale groźbą nie dający nic wymóc na sobie. Znane jego męstwo pokierowało wyborem Bartosza. Słusznego wzrostu, gibki, zręczny, silny, Lasota miał twarz wesolą ludzi, co się nigdy niczego nie boją. Nikt mu ducha nie potrafił odjąć, swaru nie rozpoczynał, ale gdy mu się on narzucił, nie ustąpił nikomu. Niezbyt majątny Lasota nie występował okazale, służbę miał niewielką, przepychu około siebie nie cierpiał, lecz nosił się, jeździł i okazywał zawsze przystojnie i schludnie.

Zaledwie przybył do miasta, wiedziano już, bo się z tym nie taił, że do panów miał zlecenie od arcybiskupa. Mianował się bowiem przez niego, a nie przez Semka wysłanym.

Jaśko z Tęczyna i Spytek mieli tak dobre wiadomości o tym, co się działo w Kujawach i

Wielkopolsce, że o nadciągającym pośle i o tym, z czym jechał, zawczasu byli ostrzeżeni. Nie było dla nich niespodzianką przybycie Lasoty.

Nazajutrz po przybyciu dano znać stolnikowi kujawskiemu, iż jeżeli ma co do oznajmienia od Bodzanty, może rano z tym do pana wojewody Spytka z Mielsztyna się udać, dokąd i inni przybędą. Posłowi tego Semka, który Książ spalił, chciano pokazać może, iż pan na Mielsztynie przez to nie zubożał. Na spodziewane przyjęcie stolnika wydane być musiały rozkazy, gdyż zawsze okazały dwór wojewody dnia tego wystąpił w godowych szatach z nadzwyczajnym przepychem.

Lasota ze Stawiszyna, jeżeli bywał kiedy na dworze książęcym w Płocku, który za bardzo wspaniały uchodził, mógł się tu przekonać, że Spytek z Mielsztyna nie tylko księciu mazowieckiemu nie ustępował bogactwem dworu, ale go o wiele przewyższał. Dnia tego całe podwórcze zajmowali liczni dworzanie i czeladź wojewody, postrojeni, butni, czując, że ich na okaz postawiono. Począwszy od węgierskiego stroju do francuskiego żadnego tu nie brakło, od sędziwego marszałka dworu do paziów i trefnisiów, nikogo z tych, co do pańskiego należeli domu.

W wielkiej gościnnej komnacie zgromadzeni już byli Jaśko z Tęczyna, Dobiesław z Kurozwek, Jaśko z Tarnowa, biskup Radlica, kilku prałatów, podostatkiem Leliwitów⁶⁸ i Toporczyków⁶⁹. Oprócz młodego pana domu wszystko prawie starszyzna wiekiem równie jak dostojnością. Grono poważne naokół po ławach rozsiadłe.

Komu innemu może byłoby to zgromadzenie odjęło męstwo, ale Lasota należał do tych, którzy rosą na duchu, gdy potrzeba. Wszedł więc w skromnym swym ubraniu staroświeckim, obejrzał się dokoła, na powitanie gospodarza pokłonem odpowiedział i wcale nie zmieszany, postąpiwszy kroków kilka, kołpak na stole położył.

— Zaszczycił mnie arcybiskup — rzekł — wysyłając do Miłości Waszych z poselstwem.

Odpowiedziano uroczystym milczeniem.

Lasota głowę nieco podniósł, z wolna potoczył okiem po przytomnych, którzy siedzieli poważnie, ze wzrokiem ku niemu skierowanym.

— Wzywa on Miłości Waszych na zjazd do Sieradzia, na Święty Wit⁷⁰, aby o sprawach utraconej Korony tej się naradzić, a raz im stanowczy położyć koniec. Czas wielki, bo niepokój nam siła krwi kosztuje. Pasterz nasz, jak ma z urzędu prawo, uprzejmie wzywa wszystkich ludzi dobrej woli.

Stolnik spodziewał się może, iż oświadczenie to wywoła sprzeciwienie się jakieś, namiętne wystąpienie, wyrzuty, sposobił się do odpierania, zatrzymał nieco, czekał.

Wszyscy siedzieli nie okazując, aby ich to bynajmniej obeszło. Lasota wcale nie wiedział, co się gotuje, przyzwolenie czy opór. Nie odpowiadał nikt długo. Starsi panowie spoglądali na Jaśka z Tęczyna, a ten szeroką dłonią brodę gładził.

Po długim przestanku stolnik, nie wiedząc jak zakończyć, powtórzył:

— Arcybiskup wzywa na dzień Świętego Wita.

Naówczas kasztelan poruszył się nieco:

— My tego zjazdu żadnej potrzeby nie widzimy. Radzić nie ma nad czym. Oczekujemy królowej, która nam jest przyobiecana, ta przybędzie i wszystkiemu koniec. Bez niej zaś nic uczynić nie możemy, próżne rady, zjazdy daremne.

— Królowej nie ma się co spodziewać — rzekł Lasota. — Jawna rzecz, że królowa dać jej nie chce, zwłócząc od miesiąca do miesiąca. Tymczasem kraj bezpański...

— Przysięgliśmy — odparł krótko Dobiesław z Kurozwęk — przysięg łamać nie mamy we zwyczaju. Czekamy na królowę.

I dodał w końcu głos podniósłszy:

— Na żadne zjazdy jechać nie myślimy!

Lasota spojrział na siedzących, czy miał tę rześką odpowiedź uważać za wyraz ogólnego przekonania. Nie mówiąc nic siedzący głowami mu zawtórowali. Stolnik stał trochę milczący.

— Zda mi się, że choćby i radzić nie było co, zawsze wezwanie arcybiskupa poszanować by należało — rzekł sucho.

— Arcypasterza szanujemy w kościele — odezwał się Jan z Tarnowa. — Kapitułę zwoływać może, ano my do niej nie należymy.

Wystąpienie było trochę ostre i Jaśko z Tęczyna wejrzeniem zaraz uśmierzył siedzącego przy sobie Leliwitę. Stolnik wąsa poprawiał.

— Posłem jestem, co mi dano, przynoszę — rzekł. — Wolno jednak może powiedzieć, że gdy zjazd dojdzie, bo z pewnością przybędzie wielu, gdy postanowi co, naówczas ci, co nań nie zjadą, winni będą sami, gdy się przeciw ich myśli stanie.

— A cóż się stać może? — rzekł dumnie Jaśko z Tęczyna. — Wielkopolscy panosza i władcy⁷¹ okrzykną sobie Semkę może, jako już było? A my, jakeśmy go nie znali, tak znać nie będziemy.

Uśmiechali się niektórzy, stolnik kujawski odparty nie stracił wcale śmiałości, z jaką przyszedł.

— Jeszcze mi raz wypada powtórzyć, że posłem jestem, co Wasza Miłość postanowicie, nie moja rzecz, lecz nie należałoby wziąć do namysłu?

— Do Świętego Wita czasu dosyć — odezwał się Spytko z Mielsztyna. — Sprawiliście poselstwo, reszta...

— Nie moja rzecz, tak — przerwał Lasota. — Wiem ci to, proszę tylko o odpowiedź, jaką mam zanieść Jego Przewielebności.

Obejrżeli się po sobie siedzący, a że się rozumieli dobrze i ustnie porozumiewać nie potrzebowali, zgodnie na Jaśka z Tęczyna zdali odpowiedź.

Kasztelan zwrócił się do posła.

— Pokłon od nas zanieście pasterzowi — rzekł — i powiedźcie, że na zjazd stawić się nie możemy. Próżne to są narady, na których nie zyszczemy nic. Nie jedziemy.

— Nie jedziemy! — powtórzyli wszyscy zgodnie.

Lasota stał jeszcze. Nastąpiło milczenie, powolnym ruchem ręki sięgnął po swój kołpak na stole; wtem na znak dany przez wojewodę służba w barwie jego, z cudzoziemska obcisło ubrana, z włosami trefionymi na ramionach, w kaftanach z rękawami długimi, wniosła dzbany i kubki pozłociste. Sam Spytek wziął jeden z nich i podał go z uprzejmością gościowi, który popatrzawszy nań, skłonił się i nie przyjął.

Na twarz wojewody krwawy rumieniec wystąpił, było to obrażającym dla niego. Lasota, nie tłumacząc się i nie zważając na gniew Spytka, wkoło się pokłoniwszy, z dumą i obojętną krwią zimną, zwrócił się do wyjścia.

Widział dobrze, że tu już dłuższe rozprawy nie doprowadzą do niczego, musiał godność swą poselską wynieść stąd bez szwanku. Cisza panowała w izbie, gdy wychodził, gospodarz, kubek postawiwszy, po krótkim namyśle przeprowadził go do progu. Tu stolnik, zwracając się ku niemu, pokłonił się raz jeszcze i kołpak natychmiast na głowę wdziawszy, już się nie oglądając, nie patrząc na dwór wojewódzki, ustawiony na drodze, pojechał do gospody.

Po wyjściu jego czas jakiś panowało milczenie.

— Bodzantę jak niewolnika trzymają — odezwał się po przestanku długim Jaśko z Tęczyna. — Biedny ksiądz uczyni, co mu każą. Wątpliwości nie ma, że Semka obwoła.

— Może go i ukoronować, i namaścić — wybuchnął Spytek — przeto on nam królem nie będzie!

— Tego nie uczyni — odezwał się Jaśko, zwracając się do biskupa Radlicy. — Wasza Miłość pošlijcie do niego z dobrą radą, niech się nie waży! Koronę może dać, a infulę stracić.

— Korony przecie nie ma, bo ta w Budzie — rzekł ktoś z boku.

— Złotnicy w Płocku ukuć mu gotowi nową — odezwał się inny.

— Ksiądz arcybiskup — przerwał mały Radlica — nie zdaje mi się, aby się na ten krok ważył. Mogą wymóc na nim, ażeby ogłosił go królem, gdy wielkopolskie kozuszki okrzykną, ale korony mu nie włożą. Powolnym jest i słabym, lecz przez to samo do ostateczności tej doprowadzić się nie da.

— Warto duchownego posłać z przestrogą — potworzył pan z Tęczyna. — Niech się na zemstę królowej nie naraża. W ostatnim razie Węgrowie przyjść mogą, a ci dobrzy arcybiskupich nie poszanują.

Rozmowa stała się powszechną. Pomimo tej groźby, którą Lasota przyniósł z sobą, i widocznego już zamiaru przyjaciół księcia mazowieckiego, chcących go królem ogłosić, nimby przybyła królowa, panowie krakowscy zbytniego frasunku nie okazywali. Poszeptano między sobą poufnie i zgromadzenie rozpraszać się zaczęło z takim spokojem, z jakim tu przybyło.

Stolnik kujawski też wracał do gospody, kręcąc węża i nie okazując, ażeby to, co go tu spotkało, było dlań niespodzianką. Mógł się domyślać zawczasu odpowiedzi, znając usposobienie Krakowian. Nie pozostawało mu nic już do czynienia, oprócz osobnego widzenia się i pomówienia z biskupem Radlicą.

Zlecił mu ksiądz Bodzanta, aby ująć się go starał i wpływu jego użył na panów krakowskich. Wpływ ten wszakże był tak mały, iż wcale nań rachować się nie godziło. Skromny, nauce oddany, rodem się nie odznaczający, niezamożny Radlica, więcej tu miał nieprzyjaciół niż zwolenników. Duchowieństwo i panowie patrzyli nań jak na narzuconego im siłą przez nieboszczyka króla człowieka nowego, niegodnego stanowiska, jakie zajmował. Zwykle stolica ta biskupia dostawała się komuś z możnych lub krwią z nimi spowinowaconych. Słynny lekarz, znakomity uczony, jak mały był wzrostem, tak mniejszym się jeszcze ludziom wydawał na krakowskiej stolicy. Nie miał prawie przyjaciół, a wrogo nań patrzyło nie tylko duchowieństwo podwładne, ale ta starszyzna, wśród której z urzędu zasiadał.

Prawdziwy męczennik, wziął brzemień na ramiona, *onus pro peccatis*⁷², i nosił je z pokorą, a stałością ducha, jaką mu dawała pobożność i wielkie w nauce zamiłowanie. Zostając pasterzem nie wyrzekł się on ani ksiąg, ani powołania, które ukochał. Widywano go szukającego chorych, nawiedzającego ubogich, przewiązującego rany, przyprawującego leki ręką własną. Człowiek był zacny, cichy, łagodny, wielkiego ducha, lecz wszystkie cnoty jego i przymioty nie mogły prześlagać zazdrosnych i niechętnych.

Z pogardą odzywano się o tym Małym, któremu szyderską nazwę nadano od wzrostu, i pozostał małym dla tych, którzy wielkości jego nie umieli ocenić.

Na dworcu biskupim ksiądz Radlica, znacznieszą część większych komnat zostawując pustkami, mieścił się w mniejszych izdebkach, pełnych ksiąg, flaszek, słoików, osobliwości wszelkich i przejętych wonią medykamentów, którym naówczas wielką moc przypisywano. Całe półki zajmowały tu, jak w aptece, kosztowne balsamy, eliksiry, maście, driakwie⁷³ przywożone z dalekich krajów. Obok tej farmacji swej biskup miał komnatę, w której grubym murze zagłębione okno z ławami i pulpitem najmilszym dlań było siedzeniem, gdy mógł sam pozostać. Tu światło mając do czytania dobre, zagłębiał się w dziełach Alberta Wielkiego⁷⁴ i starych ojców nauki, których rękopisma nabywał. I dostojęństwo, które piastował, tym jednym mu zawdzięczało za wszystko, co dla niego ponosił, iż dawało możność kupowania ksiąg, których inaczej nabywać by nie mógł.

W otwartym oknie tym, przy którym w podwórzu, na krzewach pod nim, ptactwo świergotało, pochylonego nad ogromnym foliantem zastał tegoż dnia nad wieczór przybywający Lasota. Jak każdego z gości, biskup przyjął go uprzejmie bardzo, wyszedł do niego ze swej ulubionej kryjówki, posadził przy sobie i zapytał o zdrowie arcybiskupa. Sam się natychmiast, zadawszy to pytanie, rozśmiał smutnie.

— Widzicie, *medicus* u mnie spod biskupiej sukni zawsze patrzy.

— Jego Miłość — rzekł Lasota — dzięki Bogu ma się dobrze, ale trosk ma wiele.

— Komuż na nich zbywa — westchnął biskup — ludzka to rzecz, ludźmi jesteśmy.

— Ksiądz Bodzanta zlecił mi pozdrowić pasterza — mówił dalej Lasota — i prosić go, abyś z urzędu swego i przez wpływ przyczynił się u panów małopolskich.

Biskup nie dał mu dokończyć, mierząc go ciekawym, zdziwionym wejrzeniem.

— Mój wpływ? — rzekł. — Dziecko moje, któż tego nie wie, iż ja tu żadnego nie mam! Nie żałę się na to ani narzekam, lecz nie godzi się do tego odwoływać, co nie istnieje.

— Jednakże... — przerwał Lasota.

— Nie ma żadnego na to sposobu — mówił biskup. — Ja nie mogę nic, chyba przy łasce Bożej choremu czasem pomóc, a biedaka zdrowego słowem Pańskim zagrzać.

— Gdybyś Wasza Pasterska Miłość przemówić chciał do nich.

— To by był groch na ścianę, dziecko moje — rzekł biskup łagodnie. — Powiedzcie ojcu naszemu Bodzancie, że panów tutejszych pozyskać dla tego, kogo on prowadzi, żadna siła ludzka nie potrafi: są to mężowie żelazni i woli niezłomnej.

Westchnął biskup.

— Radziłbym raczej, aby pasterz powagi swej nie narażał, podejmując, co się dokonać nie da. Powiedzcie mu poufnie, że Semko nigdy tu królem nie będzie. Lękają się w nim surowego i mało ogłodzonego człowieka, boją wpływu Wielkopolan, na tron go nie puszcza.

— A jeśli Bodzanta ogłosi królem? — spytał Lasota.

— Zważać na to nie będą — odparł biskup. — Dlatego życzę, niech siebie dla niego nie poświęca. Nie chrześcijańska to rzecz zemsta, lecz jej wielu z serc wyrzucić nie może. Semko wydał Krakowianom wojnę, paląc Książ; tego mu nie przebaczą, lecz gdyby nie postąpił sobie nawet tak mściwie, nie przyjęliby go nigdy.

Lasota milczał słuchając.

— A jednak — rzekł — siła wielka prowadzi księcia mazowieckiego i bądź co bądź królem go mieć chce.

Biskup spuścił oczy.

— Nic wam dopomóc nie mogę — dodał. — Nikomu źle nie życzę, Bogu wszystko oddaję, ale sam siły nie mam. Zawieźcie to wyznanie słabości mojej, której się wyznać nie wstydzę, ojcu naszemu.

Zachmurzyło się czoło posłowi — siedział chwilę milczący, wstał powoli i całując rękę biskupa, pożegnał go.

Wszystko, co tu spotykało nieszczęśliwego posła, może przewidywanym być mogło, nie spodziewał się on powodzenia. Inaczej jednak wyobrażał je sobie. Sądził, że stoczy walkę burzliwą, że spierać się z nim będą lub grozić. Na to był przygotowany, na ten chłód niemal pogardliwy, jakiego doznał, na dumną obojętność, jaką go odprawiono, nie rachował. Bolało go upokorzenie. Tym dumniej musiał, wychodząc od wojewody i opuszczając dworzec biskupi, podnosić czoło, aby ludzie nie widzieli gniewu, który w piersi jego kotłował.

„Cóż dalej? — mówił sam do siebie. — Do księdza Chotka na probostwo, aby i tam jeszcze zjeść taki przysmak, jakim mnie wszędzie częstują?”!

Ruszył wprost za Floriańską bramę. Ksiądz Chotek się go spodziewał, a na wstępie zarzucił pytaniami o biednego swojego arcybiskupa.

— Zaprawdę biedny jest — rzekł Lasota — bo mu się nie wiedzie w niczym. Spodziewajmy się jednak, że lepiej będzie, gdy króla dostaniemy.

Wikariusz ręką machnął w powietrzu.

— Daleko do tego! — zawołał.

— Nam się widzi blisko — rzekł, dodając sobie męstwa, którego nie miał, Lasota. — Ogłosimy królem Semka, arcybiskup go nim uzna, a panowie krakowscy niech czynią, co chcą, uznać będą musieli.

— Znacie ich? — zapytał ksiądz Chotek.

Na to pytanie dłużnym został odpowiedzi stolnik.

— Nie, nie znacie — dodał żywo⁷⁵ ksiądz wikary. — Mierzycie tutejszych ludzi wielkopolską piędźią; to całe inny ród, obyczaje, serca i głowy. U was liczba rządzi, mrowisko, a u nas jak u pszczoł królowe — panowie. Waszych tysiąc gęb nie starczy na tutejszą jedną głowę!

Mówił żywo bardzo, a Lasota słuchał, jakby nie przekonany i nie pokonany.

— I liczba też coś znaczy — odezwał się — zobaczymy, kto wygra.

— Z góry wam zapowiadam, że nie wy! — zawołał gwałtownie wikary. — Księdza arcybiskupa rad bym wstrzymał, ubłagał, aby się nie posuwał za daleko i króla nie ogłaszał.

— Nic nie pomoże! — zimno rzekł Lasota.

Ksiądz Chotek, lękając się powiedzieć za wiele, zamilkł całkiem.

Z jakimi nazajutrz myślami odjeżdżał stolnik kujawski, popróbowałszy na różne strony, czy mu się

nie uda namówić, aby szlachta na zjazd przybyła, można było wnosić z tego, że na ludzi nie patrzył i zapytany nie chciał odpowiadać.

Lecz Kraków i przedniejsi panowie nie byli dla niego wszystkim. Zdawało mu się, że mniejszą szlachtę, uboższą, owych panoszków i władcyków, których znał w Wielkopolsce jako żywioł ruchawy i czynny, potrafi zyskać, podbudzając ich przeciwko panowaniu wielkich rodów i bogatej starszyny.

Puścił się więc pan stolnik szukać tych małych dworków i mniejszych ludzi, lecz z wielkim podziwieniem swym znaleźć ich tu nie mógł. Małopolska, a szczególnie te okolice, które przebywał, wcale inaczej wyglądały. Pańskie majątności zajmowały obszary ogromne, ubożsi posiadacze do wielkich rodzin należeli i z nimi trzymali, właściciele drobnych kawałków ziemi, szlachty lub półszlachty, których tyle znajdowało się w Mazowszu i Wielkiej Polsce, tu prawie nie było. Nie było więc kogo jednać.

Przyjechawszy do wsi, zaczynał od tego Lasota, że pytał, czyja była; okazywało się najczęściej, że albo klasztorna, kościelna, lub Leliwy jakiego, Topora, Sreniawity, Różyca. A z tymi nie było co mówić. Głowy tych rodów siedziały w Krakowie.

Przewędrowawszy kawał Krakowskiego nadaremnie, stolnik kujawski dopiero poznał dowodnie, jak wielka była różnica tych ziem od Wielkopolski, i zwątpił, aby stąd na zjazd on i jego pomocnicy mogli kogo sprowadzić. Nie chcąc się jednak przyznać do chybionego celu podróży, jak był przyrzekł, udał się zdać z niej sprawę do Płocka.

Dawno już tu nie bywał Lasota, mało go pamiętał, lecz dostawszy się do miasta, spostrzegł, że tu musiano na bliskie a szczęśliwe ukończenie sprawy rachować, bo wszystko było w ruchu i niezmiernej krzątaninie.

Płock, jeżeli nie na stolicę, to na obóz wyglądał. Rycerstwo przybywało, ludzi spędzano i uzbrajano, broń zakupioną z Pomorza i od Krzyżaków przywożono ciągle. Była ona lichą wprawdzie, a drogo kosztowała, ale się bez niej obejść nie mogli.

Nie tylko na zamku, ale poza jego murami, w mieście i na przedmieściach, sotnicy, dowódcy parobków i młodzież dobierali do oddziałów i liczyli. Konie pędzono stadami, a i żywność ściągano z wiosek, bo jej dla tego wojska wiele było potrzeba. Stary wojewoda Socha, chorąży równie posiwiały pod hełmem, inni starzy dowódcy młodych wdrażali do wojennej sprawy.

Im bliżej zamku, tym ruch stawał się większy i żywszy. W podwórcach, które nigdy za dawnych czasów zbytku nie widziały, stali teraz postrojeni rycerze, dwór poprzybierany kosztownie, tłumy czeladzi na nowo ściągniętej, niezbyt zręcznej, ale już postrzyżonej, pomytej i poodziewanej.

Przyszły król musiał się okazać, jak przystało na możnego pana. Nie było to nigdy w obyczaju książąt mazowieckich, u których patriarchalna panowała prostota, lecz w chwili tej koniecznością się stało, występować tak, aby w ludziach wzbudzić poszanowanie. Nalegał na to Bartosz z Odolanowa, który wszystkim władał.

Semko już, zaszedłszy tak daleko, cofać się nie mógł. Młody pan nie był rad ani z siebie, ani z

wypadków, ani z, obrotu sprawy, lecz raz dawszy się wciągnąć, musiał iść do końca. Bartosz i inni panowie starali się go przekonać, iż cel niezawodnie osiągniętym zostanie. Semko czasem dawał temu wiarę, niekiedy przeczucia miał złe i dręczył się nimi.

Janusz po przestroгах bezskutecznych nie dawał znaku życia. On do niczego mieszać się nie chciał. Książę od pierwszego wystąpienia, rzucony w ten wir i zamieszanie, niewiele miał czasu do rozmyślenia. Wypadki powiązane z sobą jak łańcuch nie rozerwany się plotły. One go wyrwały z Płocka i nazad tu pędziły; na przemiany wprawiały w gniew okrutny, jak pod Krakowem i Książem, to w dumę i nadzieję, jak w tej chwili po owładnięciu Kujawami.

Bartosz umiał wszystko, nawet to, co najmniej pomyślnym było, wystawić w świetle najlepszym. Miał moc zaszczepienia swojego męstwa i zapału w drugich.

Stolnik kujawski, zajechawszy na zamek, tłok tu zastał tak wielki, iż ledwie z ludźmi swymi wcisnąć się potrafił, a jemu samemu do księcia było trudno się dobić. Szlachty pełne były izby, stoły dla niej nieustannie musiano zastawiać.

Właśnie dnia tego wielka się rada odbywała. Bartosz przybywał od arcybiskupa Bodzanty z zapewnieniem, iż nie będzie się wahał, po okrzyknięciu królem Semka, koronować go.

Nie zważał i lekcewazył to, że korony owe stare, z Rzymu niegdyś przywiezione, w Gnieźnie się nie znajdowały i że je chyba nowymi trzeba było zastąpić.

O przybyciu Lasoty, wprzódym go do księcia dopuszczono, dowiedział się Bartosz z Odolanowa i wybiegł przeciwko niemu. Spojrzeli na siebie, starosta odprowadził go na stronę, gdzie w wielkiej sieni rozmówić się mogli, nie zwracając na siebie oczów.

— Coście sprawili? — zapytał żywo Bartosz, mierząc go byстрым wejrzeniem.

— Na konium się strząsał, gębę sobie wystrzępiłem, słońce mnie napiekło, pył mnie nadusił — rzekł stolnik — ano, więcej podobno nic.

Bartosz słuchał nie przerywając.

— W Krakowie o zjeździe ani chcą słuchać, ni wiedzieć, wszyscy odradzają ogłoszenie króla, lękają się, a Małopoleanie znać go nie będą. Namordowałem się dużo bez skutku: biskup Radlica, duchowieństwo, wszyscy nam źle wróżą.

— A ty myślisz, stolniku, że ja, gdyś w poselstwie jechał do nich, spodziewałem się, że nam przywieziesz co lepszego? — odparł Bartosz. — Wiedziałem, że się nas boją i nie chcą. Trzeba iść przebojem.

— Z Małopolski żywa dusza nie przyciągnie na zjazd — dodał Lasota.

— Kto wie? — rzekł odolanowski pan. — Ktoś się tam znajdzie przecie, o to się postaramy.

— Cóż księciu powiem?

— Żeś poselstwo sprawił i że Krakowianie milczkiem je przyjęli — rzekł Bartosz.

Gdy we dwu potem do wielkiej izby weszli, gwar w niej panował i ścisk taki, że u drzwi musieli się wstrzymać, nim się cizba przerzedziła. Stoły stały nakryte, a pomimo okien pootwieranych nieznośna woń jadła, napojów i tyłu zgromadzonych ludzi powietrze czyniło ciężkim. Gorąco też było dla wielkiego ścisku. Szlachta siedziała, stała, chodziła, podnosiła kubki, ciągle wznosząc zdrowie księcia i odkazując się przeciw nieprzyjaciołom jego.

Wśród cizby tej książę Henryk, dziwacznie przystrojony, snuł się od jednej do drugiej gromadki podsłuchując, wyśmiewając gości, drwiąc z nich, zabawiając się z nimi i kubki wypróżniając. Pozwalał sobie wiele, ale jako młokosowi i bratu książęcemu uchodziło wszystko.

Semko, który w poważniejszym gronie siedział na wysokim krześle, w postawie dumnej, w bok się wzięwszy, spoglądał czasami na brata z gniewem w oku, lecz nie próbował go odciągać ani naganiać, bo wiedział, że tym by do nowych pobudził wybryków.

Semko nie był tym młodym chłopakiem, jakim go widzieliśmy przed kilką miesiącami, wahającym się jeszcze, czy ma się poddać marzeniom, czy przykładem ojca i brata precz je odtrącić. Z twarzy widać było upojenie, rodzaj szału i rozpromienienie nadziejami. Przybyło mu wiary w siebie.

Nie mówiono tu o niczym innym, tylko o dalszych podbojach i zabieraniu zamków w Wielkopolsce, o ujmowaniu sobie dowódców, tak jak Jakusza Kuligę⁷⁶ w Kruszwicy ujęto; o przyszłym zjeździe w Sieradziu i co po nim czynić należało, aby Małopolan zmusić do poddania się. Kalisz i Łęczyca były według Bartosza najpilniejsze, i te naprzód opanować musiano.

Na pomoc brata Janusza nie rachował nic Semko, lecz Konrada księcia oleśnickiego spodziewał się ująć sobie książę, a Bartosz gotów był nawet Odolanów mu dać za kopijników kilkuset do prowadzenia dalszej wojny.

Jedni utrzymywali, że Domaratowi już się nie będą śmieli porwać, drudzy przewidywali uparte trzymanie się ich, a nawet przywołanie Zygmunta w pomoc.

Wśród żywej tej rozmowy książę postrzegł z dala stojącego z Bartoszem Lasotę i zwrócił się ku niemu znak dając, aby się przybliżył. Szedł z nim i Bartosz czujny, aby stolnik ze zbytnią się nie zdradził goryczą. Wyprzedził nawet odezwanie się jego, chcąc mu wskazać, w jaki sposób mówić należało.

— Stolnik wraca — rzekł — sprawiwszy dobrze poselstwo. Panom krakowskim nie chce się do Sieradzia, ale bodaj będą musieli.

— Cóż mówią? — przerwał, pochylając się, książę.

— Ba, żebyż oni mówić chcieli — odezwał się Lasota — ale oni milczeć wolą, a może i nie wiedzieli, co powiedzieć.

Semko czekał na jaśniejsze tłumaczenie, gdy Bartosz wtrącił:

— Dosyć na tym, że się im oznajmiło, niech czynią, jak im lepiej, my się na nich oglądać nie będziemy.

Niezupełnie odpowiedzią tą zaspokojony książę wstał z siedzenia i skinąwszy na stolnika wprowadził go do bocznej komnaty. Bartosz byłby poszedł za nim chętnie, lecz wstrzymał go stary Socha, który o załodze, jaką trzeba było wzmocnić Kruszwicę, chciał się z nim naradzić. Lasota, mając już skazówkę daną, wiedział, co ma mówić, a co zataić.

— Panowie krakowscy źli są i niechętni — rzekł — ale to najlepszy dowód, że się słabymi czują. Wszyscy tam potrwożeni zjazdem w Sieradziu, więc tym mocniej trzeba się nam gotować. Widzą, że ulec będą musieli.

Książę, którego Bartosz w złudzeniach utrzymywał, skłonny był wszystko widzieć teraz składającym się po myśli. Nie zachmurzył się wcale.

— Widziałeś tego wroga mojego, Spytka? — zapytał.

— Jakby naumyślnie u niego poselstwo mi sprawiać przyszło — rzekł Lasota.

— Złościł się, narzekał? — podchwycił Semko.

— Nie — rzekł Lasota — przeciwnie, chciał po pańsku lekce sobie ważyć. Mowy o tym nie było.

Książę się rozśmiał.

— O, dojadłem temu młokosowi! — zawołał.

— I nieprędko stratę wydycha.

Lasota począł potem w ogóle mówić o swej podróży, nastając na to, że się Semka lękano, co było znakiem, iż siłę w nim czuli. Pochlebiało to księciu, który po niedługiej rozmowie powrócił razem z posłem do izby. Wszczęły się znów przerwane rozprawy i dotrwały do późna.

Semko w końcu znużony, a zniecierpliwiony dokazywaniem Henryka, który jadalni do nocy nie opuszczał, wysunął się do sypialnej komnaty i rygle za sobą zamknął. Potrzebował spoczynku i obrachowania się z samym sobą. Przez cały ten czas prawie nie dano mu rozmyśleć się i rozważyć własnych czynności. Miał ciągle przy sobie kogoś, który mu ostygnąć nie dozwalał.

Odetchnął wolniej, znalazłszy się w samotności, chłodzie i ciszy. Padł na siedzenie u stołu, nie wołając o światło, nie oznajmując służbie. W ustach i w głowie brzmiały jeszcze wykrzyki, którymi go cały dzień karmiono, prorocstwa, jakimi mu się przypochlebiano. W ciągu dnia wszystko to podnosiło go i rozgorączkowywało, teraz następowało nieuchronne znużenie i cisnące się wątpliwości. Przypominał słowa i przestrogi Janusza. Smutno mu na duszy było.

Wtem z wolna uchyliła się zasłona we drzwiach, sądził że Ulina przychodziła go nawiedzić, ale w miejscu jej ukazała się Błachowa. Szła powoli, z rękami na piersiach założonymi i głową zwieszoną smutnie. Semko przywykły był tymi czasy widywać ją prawie zawsze smutną, lecz tego dnia wydała

mu się jeszcze bardziej w myślach pogrążoną i strapioną. Stała przed nim, patrząc długo i nie odzywając się, jakby nad zmęczonym dzieckiem się litowała.

— Co tobie, Błachowa? — odezwał się książę.

— Mnie? Cóż ma być? — z wolna zamruczała stara wzdychając. — Mnie? Albo to o moją dolę chodzi teraz? Ja się troskam i płaczę nad waszą.

Książę przymuszonym przerwał jej śmiechem.

— Jest czego płakać! — zawołał szydersko.

Zzymnęła się stara.

— Ale bo ciebie tym królestwem zaślepili — rzekła — a co u nas się dzieje! Czy ty wiesz?

Pomilczała i nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnęła dalej:

— Ta gawiedź wszystko wypła, wyjadła, rozniosła. Nie ma nigdzie nic, ani w spichrzach, ni w gumnach, ni w spiżarniach. Zapytaj, co się w skarbcu zostało! Jak wymiół. Nigdzie grosza, nigdzie ziarna, nawet srebrne naczynia w zastawie u Żydów. Konie, wozy, żelastwa rozchwytną rozbójnicy.

Semko się rozgniewał trochę i zwrócił żywo do niej:

— Cóżes ty chciała, aby ludzie darmo służyli? Aby przyszły bez wojowania Kujawy i zamki? Wojsko kosztuje, przyjaciół ujmować trzeba.

Błachowa głową potrzasała.

— A jak z tego posiewu nie będzie ziarna? — odezwała się. — Co naówczas?

— To być nie może! — gorąco zaprzeczył Semko. — Nic nie wiesz... nie rozumiesz nic... Tylko co nie widać, jak mnie królem ogłoszą.

Spojrzała nań długo stara.

— Wszak już raz tak było? — odparła. — Daj Bóg, by znowu gęby im kto nie zamknął, gdy będą mieli okrzyknąć...

— Naówczas inni ludzie byli tam! — zawołał Semko.

— A teraz gdzie się oni podzieli? — zapytała Błachowa.

Książę rozmową tą był rozjątrzony, strzepnął rękami i nagle spytał:

— Ulina gdzie?

— Siedzi w oknie podparta na rękę — poczęła stara tęsknie. — Alboli z tej co się to zrobiło! Miły

Boże! Cieszyła się, radowała, padła teraz na nią tęsknica czarna i przygniotła. Dziecka nie poznać, oczy jej zapadły, liczko do reszty wybielało, słowa z niej nie dobyć, a zechce zaśpiewać, to się rozpłacze.

— Ona, ona też — dodała Błachowa po małym przestanku — czuje coś złego.

Jakby wiedząc, że o nią pytano, powolnym krokiem, niosąc kaganek zapalony w rękę, wsunęła się Ulina do izby. Szła powoli, zadumana, zmieniona, z włosami rozplecionymi, z wianuszkiem zsuniętym na czoło, odziana bez starania, opuszczona i zboląła.

Książę i matka patrzyli na nią.

Nie mówiła nic, kaganek postawiła na stole, potoczyła wzrokiem dokoła, machinalnie poprawiła przywiedły wianek, założyła ręce na piersiach i zdawała się czekać, aby matka nazad ją zabrała z sobą.

Semko pilno się jej przypatrywał.

— O — rzekł cicho — biada mi z wami, dopóki się wszystko nie skończy, oczy sobie wypłaczecie. I w porę, właśnie gdyście się radować powinny.

Ulina ramionami ruszyła.

— Niech, niechby się to skończyło — rzekła smutnie — lepszy najgorszy los niż ciągła bojaźń pioruna, który ma uderzyć, a nie bije.

— Z jasnego nieba? — zawołał, wesołość chcąc udąć, książę.

Obie niewiasty milczały; popatrzyły na siebie tylko. Semka niecierpliwiły te obawy i skargi.

— Jakbyście się zmówiły — rzekł — aby mi psuć serce i odejmować odwagę. Wiecie, że wszystko mi się powodzi, że rychło musi się dokonać, co postanowiono.

— A co potem dla nas będzie lepszego? — odezwała się Ulina. — Do księcia teraz dostąpić trudno, cóż to będzie do króla?

Semko wstał żywo, zbliżył się do Uliny, pogłaskał ją po główce i przysunawszy się szepnął:

— Nie bądź zazdrosna, wszystko się złoży jak najlepiej, a Ulina jak była, tak zostanie przy mnie z Błachową.

Dziewczę głowę podniosło.

— Albo mi to Ulina w myśli? — odparło obrażone. — My możemy nazad do chaty pójść i tam żyć a płakać, a co będzie z tobą?

Niedowiarstwem tym zniecierpliwiony Semko odwrócił się gniewny.

Cisza była w komnacie. Ulina, oparłszy się ręką o stół, nie ruszała się z miejsca, stara Błachowa powoli poszła ku pościeli i poczęła ją bezmyślnie przygotowywać na noc. Semko dumał. Kaganek niejasny słabym światelkiem blado sypialnię rozjaśniał. Smutek zawisł nad wszystkimi.

Księżę uczył go też w sercu. Miałoż to spokojne życie jego się skończyć, a wichry i burze roznieść tę domową ciszę. Jak błyskawica mignęło przeczucie najazdu, wojny, wygnania, niewoli, lecz natychmiast otrząsł się z tych myśli czarnych, podniósł głowę i śmiejąc się, rzekł Ulinie:

— Gdy królem zostanę, wydam cię za księcia!

Dziewczyna spojrzała nań oczyma wielkimi, rozszerzonymi, strząsnęła się, jakby dreszcz ją przeszedł, i nie mówiąc nic, nie oglądając się, wyszła z izby krokiem powolnym.

Matka niespokojna podążyła za nią.

Rozdział IX

Na kilka dni przed Świętym Witem Bobrek znajdował się jeszcze w Toruniu, w domu matki.

Przybył tu niespodzianie, chory, z febrą, która go niemiłosiernie trzęsała, wylękły, zmieniony i zbiedzony, tak że stara, której się już zdawało, że dla syna niewdzięcznego w sercu nie ma nic oprócz żalu srogiemu, zobaczywszy go, ulitowała się i zapomniawszy, ile cierpiała od dziecka tego, przyjęła je jak marnotrawnego syna.

Zwłóknął się milczący do łóżka, dając czynić z sobą, co matka rozkazała, poddał się leczeniu, które sprowadzona stara baba rozpoczęła od zamawiania choroby, i parę dni leżał w gorączce, mało okazując przytomności.

Zamawianie czy zioła, które pił posłuszny, cudownie poskutkowały. Przyczyniła się do tego i troskliwość matki, która od łóżka jego nie odstępowała. Dopóki chory był, nie mówił prawie nic i stara cieszyła się, iż może syna odzyskać, tak się jej okazywał powolnym. Razem ze zdrowiem jednak dawna natura i obyczaj powróciły. Otworzywszy oczy i przypomniawszy sobie, gdzie był, zapytał naprzód o dzień tygodnia i miesiąca.

Dowiedziawszy się o nich, zerwał się niecierpliwie i począł mruczeć niezrozumiałe przekleństwa. Chciał spróbować wstać, lecz dnia tego jeszcze na nogach utrzymać się nie mógł.

Matka w rozpaczy niemal starała się przekonać go, iż długi czas jeszcze nie będzie się mógł ruszyć z jej domu. Bobrek nie chciał tego słuchać. Dawne zuchwałstwo mu powracało.

— Dla głupiej febry przebytej ja bym tu miał siedzieć — zawołał — kiedy pilne sprawy każą iść gdzie indziej?!

Zaczął się domagać jadła, napoju, potem obwinał się i głowę zatopiwszy w poduszki, zasnął. Drugiego dnia, nim matka wstała, był już na nogach, odział się, a choć blady, żółty i osłabiony, upierał się jechać. Matka prosiła, by został, na próżno.

— Wy nic nie wiecie — rzekł do niej — mnie już jedno nieszczęście spotkało, jeżeli panom drugi raz źle usłużę, wszystkie moje zasługi przepadły.

Począł chodzić po izbie, mówiąc jakby sam do siebie:

— Kilka nocy w lesie, na deszczu i rosie, w błocie stojąc, śpiąc w błocie, dla tego łotra, co się nam wysliznęła z garści, żelazny by człowiek nie wytrzymał. Dwóch nas odchorowało I Żebyśmy go byli wzięli! Ale nie... Przesunął się nam pod nosem. Darmo ludzie stali, a kto będzie winien? Bobrek!

Matka, słysząc urywane słowa, zapytała go o te nocne czaty, chcąc się dowiedzieć coś więcej, potrząsnęła głową, nic mówić nie chcąc.

— Tyle tego — rzekł — że mnie teraz jechać znów trzeba.

Potwierdziło się to, co mówił, gdyż tego samego dnia przybył z zamku kompan komtura na zwiady do domu matki. Do wiedziawszy się o chorym, poszedł z nim do izby osobnej i siedział na rozmowie długo. Gdy wyszedł, Bobrek zapowiedział ostro i stanowczo matce, że nazajutrz do dnia jechać musi.

Wiedziała biedna stara, że mocy nad nim nie ma i zatrzymać go nie potrafi, starała się tylko wyprawić tak na drogę, aby mu nie zbywało na niczym. Nie okazując najmniejszej wdzięczności, klecha przyjmował to jak należne sobie, na matkę nie spojrzął, a tak był już podróżą swą zajęty, że nie słyszał, co mówiła do niego, i widzieć się jej nie zdawał. Pocieszało ją to nieco, że Bobrek już dnia tego i silniejszym był, i zdrowie odzyskiwał cudownie. Wielka potęga woli działała w nim.

W przekonaniu, iż napój go pokrzepić powinien, poprzedzającego wyjazd wieczora domagał się wina gotowanego z korzeniami, wypił go dużo i zasnął tak twardo, że matka miała nadzieję, iż zaśni ranek, a podróż odłoży. Zbudził się jednak do dnia i jak postanowił, wnet do podróży przygotował. Zimno bardzo podziękował matce za gospodę, siadł na konia i na zamek naprzód pojechał.

Komtur przyjął go surowo.

— Jedź natychmiast, abyś w Sieradziu był i wszystko widział na oczy, co się tam dzieć będzie! Masz na dworze księcia znajomych.

— Zlecicie mi co?

— Uszy i oczy nastawić — odparł stary Krzyżak.

Klecha chciał mu się tłumaczyć z tego, co miał na sercu, i rozpoczął uniewinnianie swe, gdy komtur przerwał mu:

— Dość tego! Łaska Boża, że nasi ludzie jeszcze nie wpadli sami w ręce nieprzyjaciela. Do zasadzek wyjście się nie zdali, niewiele do czego innego, ano, starajcie się sławę swoją naprawić.

Odprawiony tak Bobrek ruszył natychmiast z Torunia, z gniewem w sercu przeciwko światu całemu, nie wyjmując i Krzyżaków, którym służył tak gorliwie. Pocieszało go, że chociaż czyniono mu wyrzuty, przecież się nim posługiwać musiano, nie mając kim zastąpić. Tym razem nawet komtur dla bezpieczeństwa dodał mu człowieka, który osłabionemu chorobą miał być pomocą. Mało co spoczywając, nie żałując ani koni, ni sługi, Bobrek spieszył tak, że w wigilią Świętego Wita w Sieradziu stanął.

O gospodzie myśleć tu co nie było, tak wszystkie domostwa wielkopolscy panoszę zajmowali. Wielka ich część leżała obozem naprzeciw zamku. Książę Semko ze dworem swym na pół siłą wprowadził się do niego i rozgościł.

Bobrek, konia i sługę rzuciwszy na łaskę Bożą, powlókł się do zamku, o kanclerza pytać, gdyż spodziewał się, że z księciem jako kapelan przybyć musi. Lecz dopytać o kogokolwiek bądź łatwo nie było w tym tłoku ludzi i niezmiernym poruszeniu, jakie się tu czuć dawało.

Na pierwszy rzut oka poznał Bobrek, iż sama niemal drobna wielkopolska szlachta i Mazury składali tłum, wśród którego krakowskich panów i Małopolan wcale widać nie było. Na zamku trafił mu się chłopak od posług księdza kanclerza, który na ten raz bardzo mu się przydał. Pacholę było głupawe, ciekawe i gadatliwe.

— Prowadź mnie do pana swego — rzekł klecha.

— Nie wiem, gdzie go szukać — odparł chłopiec — poszedł do arcybiskupa, do Dominikanów a Bóg wie, kiedy wróci.

— Arcybiskup w klasztorze?

— A jakże, i nie sam — dodał chłopak.

— Przywiózł z sobą dwu jeszcze, bo tu, powiadają, trzech ich musi być.

Uśmiechnęło się pacholę.

— Będziemy mieli koronację.

— A korona? — wtrącił żartobliwie klecha.

— Żyd ją przywiózł — szepnęło chłopię cicho, palec do ust przykładając. — Żyd złotnik z nią tu siedzi na zamku.

— Gdzie?

Chłopak wskazał ręką na mury.

— Ciekawa by rzecz zobaczyć! — zamruczał Bobrek.

Na to pacholę głową pokręciło tylko.

— Dziś jeszcze o tym mówić nie wolno.

Oczekując na kanclerza, klecha nie miał nic lepszego do robienia, jak sznurkować po kątach. Chłopak mu izbę pokazał, w której Żyd z koroną się miał znajdować. Śmiało, jak gdyby do tego był uprawnionym, wtargnął do sklepionej o jednym oknie komory Bobrek. W kącie jej na ławie, w ciemnym płaszczu, siedział mężczyzna blady, z długą brodą, w czapeczce na głowie, którą na widok klechy nieco uchylił i natychmiast nakrył znowu. Lękliwym okiem spoglądał na przybyłego.

Klecha ciekawym był sprawdzić powieść o koronie; nie widział innego środka nad próbę rozpoczęcia rozmowy w ten sposób, aby zdawać się mogło Żydowi, iż on o wszystkim jest zawiadomiony.

— Wy tu sami myślicie nocować — zapytał — mając przy sobie takie drogocenne rzeczy?

Żyd drgnął, pomyślał.

— No? A gdzie bezpieczniej być ma jak na zamku?

— Oddalibyście lepiej podskarbiemu — dodał Bobrek.

Zamiast odpowiedzi siedzący na ławie głową potrząsnął znacząco.

— Boicie się o zapłatę? — uśmiechając się rzekł klecha, z wolna zaczynając przechadzać po izbie.

Niechętny do rozmowy, głową tylko dał znak potwierdzający. W twarzy jego niepokój malował się wielki.

— A wy kto? — zapytał.

— Do dworu należę i do księdza kanclerza — rzekł Bobrek.

Po chwili milczenia Żyd po cichu się odezwał:

— Jak myślicie? Będzie ona potrzebna?

Spojrzał nań bystro klecha, nie przygotowanym będąc na to pytanie, ramiona mu drgnęły.

— Ci, co ją gotować kazali, musieli być pewni, że się przyda.

Parę razy przeszedł się jeszcze Bobrek po izbie. Oko jego dostrzegło pudła ciemnego, które Żyd pod płaszczem ukrywał starannie. Nie było więc wątpliwości, iż koronę nawet przygotowano. Sprowadzenie dwóch biskupów miało także znaczenie to, iż się do koronacji przysposabiano.

Dla wysłańca Krzyżaków były to wiadomości niepomysłne, ale ważne. Nie miały się tu znaleźć nikt, co by zapobiegł ogłoszeniu Semka? Panowie krakowscy tak sobie to lekceważyli?

W tych myślach zatopiony Bobrek się wysunął z izby w korytarz i otwierając drzwi, o mało nie potracił żywo przechodzącego człowieka, który się obejrzał. Poznał w nim jednego z wikariuszów kościoła na Wawelu, znajomego z Krakowa, którego zwano księdzem Płazą. Ten równie podobno był zdziwiony, widząc tu Bobrka niespodzianie, jak on, że go tu spotkał.

— Co wy tu porabiacie? — zapytał.

— Ja? Alboż to trudno odgadnąć — odparł pokornie Bobrek. — Biedny klecha szuka chleba i roboty, więc gdzie dużo ludzi ciśnie się, próbuje, czy go do czego nie użyją, a ksiądz wikariusz?

Nie odpowiadając na pytanie, ksiądz Płaza stanął zamyślony.

— Co tu słyhać? — rzekł. — Ja tylko co przybyłem.

Bobrek rad był się do kogoś przyczepić, zbliżył się więc do wikarego, gotów go objaśnić i razem

wybadać.

— Alboż nie wiecie, na co się zanosi? — odparł. — Zebrali się królem Semka mazowieckiego ogłosić.

— Sami Wielkopolanie, dla siebie? — odparł wikary. — To nie może być!

— Na pewno się to ma stać — podchwycił Bobrek — bo nawet koronę przygotowali.

— Być nie może!

— Wiem to dowodnie. Arcybiskup dwóch biskupów nawet wezwał, bo ich potrzebuje do asystencji — mówił klecha.

— A gdzie arcybiskup? — przerwał wikary żywo. — Ja go właśnie szukam.

— Nie na zamku, ale u Dominikanów gospodą stanął — rzekł Bobrek. — Chcecie, to was tam zaprowadzę. Potrzebujecie się z nim widzieć?

Ksiądz Płaza głową tylko potwierdził i szybko iść począł, klechę prowadząc za sobą. Widać było w nim zakłopotanie wielkie.

— Głowy potracili! — począł mówić na wpół do siebie, wpół do klechy, który go nie odstępował. — Przez samo poszanowanie dla swojego księcia nie powinni go na pośmiewisko wystawiać! Nie dziwię się szlachcie wielkopolskiej, ale księdzu Bodzancie...

Bobrek słuchał pilno i chciwie.

— Dobrze by było, żeby go kto przestrzegł — dodał cicho.

— Jeżeli to pomoże! — odparł ksiądz Płaza przyspieszając kroku.

Łatwo już było zmiarkować klesze, iż ksiądz wikariusz musiał być posłanym z Krakowa w tym celu, aby arcybiskupa, jeżeli się da, powstrzymać od narażenia się na prześladowanie, na skargi, które przeciw niemu pójść mogły do Rzymu. Inaczej bytności jego tutaj wytłumaczyć sobie było trudno.

Doszli tak do klasztoru księży Dominikanów, równie zapełnionego gośćmi jak zamek. Szła starszyzna witać gnieźnieńskiego pasterza, około którego gromadziło się duchowieństwo z miasta i okolicy. Mazury swojego biskupa płockiego⁷⁷ szukali. Był tu już Bartosz z Odolanowa i wiele rycerstwa przyprowadzonego przez niego. Chciano arcybiskupowi okazać, jak licznych miał Semko zwolenników.

Arcybiskup przyjmował gości w refektarzu, wraz z dwoma biskupami zasiadając. Cisnęli się wszyscy do niego, całując po rękach i prosząc o błogosławieństwo. Bodzanta pomimo tej czci, jaką go otaczano, twarz miał smutną i zakłopotaną. Oglądał się niespokojnie.

Ksiądz Płaza, klekąc zostawiwszy w korytarzu, sam wśliznął się do refektarza, lecz wprędce się przekonał, że tu z arcybiskupem na osobności, jak sobie życzył, rozmówić się niepodobna będzie. Musiał czekać. Ze dworu księdza Bodzanty nie znał nikogo, prócz jego kapelana, ale i tego tu wyszukać łatwo nie było. Zwrócił się więc na korytarze, pytał i błądził, póki kapelana tego nie wynalazł.

— Mój ojciec — szepnął mu — jestem posłany umyślnie z Krakowa, dla widzenia się z księdzem biskupem. Rzecz niemałej wagi, dzisiaj koniecznie na osobności z nim mówić muszę... Proszę was, abyście Jego Miłości o mnie donieśli.

Kazano się księdzu Płazie w celi, która była przeznaczona dla księdza Bodzanty, zatrzymać, lecz dobra godzina upłynęła, niżeli się go tu doczekał.

Arcybiskup wszedł znużony niezmiernie, rzucając oczyma dokoła, a ujrawszy księdza Płazę obrócił się zaraz ku niemu. Byli sami, bo kapelan wyszedł, aby drzwi zamknąć i nie dopuszczać nikogo. Po ucałowaniu ręki wikary zbliżył się do siedzącego arcybiskupa, który pot z uznojonego czoła ocierał i wzdychał.

— Jestem wysłany z Krakowa — rzekł.

— Od kogo?

— Bez mała od wszystkich, co tam rej wodzą — odparł ksiądz Płaza — ksiądz Radlica razem z panem krakowskim, z wojewodą i innymi przysłali mnie do was.

Arcybiskup spojrział strwożony.

— Nikt z nich nie będzie? — spytał.

— Nikt — odparł ksiądz Płaza. — Wiedzą dobrze, iż Wielkopolanie królem chcą obwołać Semka, a na to się oni nigdy nie zgodzą. Wiadomo i to, że Wasza Miłość jesteś w ich ręku i że możesz zmuszonym być ogłosić, kogo oni okrzykną.

Z boleścią Bodzanta, oglądając się trwożnie, ręce podniósł ku niebu.

— Tak jest, niestety! — zawołał stłumionym głosem. — Nie mogę się opierać, zajadą mi Łowicz, zniszczą dobra, samo Gniezno nie pewne... Co ja mam czynić? Co czynić?

— Ojciec a pasterzu — przerwał Płaza — ale toż samo grozi wam od margrabiego brandenburskiego, od Małopolan, którzy górę wezmą nieochybnie... byle siły zebrali...

— Rozum każe bliskiego naprzód uniknąć niebezpieczeństwa — odezwał się rozpaczliwie arcybiskup. — Co czynić? Widzicie sami! Jestem przymuszony! Nóż mam na gardle!

Ksiądz Płaza westchnął.

— Rozumieją to dobrze w Krakowie, sądzą, że Wasza Miłość oprzeć się nie możecie — począł —

lecz, na miłościwego Boga, za daleko się nie posuwajcie!

Bodzanta załamał ręce.

— Ale jak i gdzie możliwy kres i miara? Nie dosyć, że go będę musiał ogłosić, bo to się i beze mnie stanie, że go okrzykną, lecz chcą, bym koronował!

Płaza pokląkł przed arcybiskupem.

— Na Boga, zaklinam was, tego nie czyńcie! — zawołał. — Znajdzie się tysiąc środków do odroczenia koronacji. Korona królewska w Budzie.

— Koronę inną zrobiono i przywieziono tu; dwóch biskupów przywołano, wszystkie przygotowania poczynione.

— Lecz korona nie błogosławiona w Rzymie, nie przysłana przez papieża, nie jest koroną! — zawołał ksiądz Płaza. — Nikt dotąd nigdy bez zezwolenia Stolicy Apostolskiej nie włożył jej na skronie! Możecie i powinniście odroczyć ten obrzęd, a zyskawszy na czasie, ocalicie samego księcia od wstydu i siebie od prześladowania. Nigdy Małopolanie go nie uznają. Składają się przysięgą uczynioną królowej... czekają na córkę jej Jadwigę.

— Może być małżeństwem połączona z księciem Semkiem, gdy królowa w Koszycach Wilhelma się rakuskiego wyrzekła.

— Semka panowie krakowscy nigdy na tronie nie ścierpią! — zawołał ksiądz Płaza.

Biskup rękami twarz zakrył sobie, drżał cały. Szanując wzruszenie jego ksiądz wikary milczał czas jakiś.

— Miłość Wasza — dodał — znajdziecie jakikolwiek bądź powód do odroczenia. Z tym mnie posłano, błagam o to, aby smutnych następstw i straszego rozdwojenia na kraj nasz nie sprowadził niebacznym krokiem Wielkopolan. Jawna jest rzecz, że albo oni przewodzić chcą i prawa dyktować, lub zamierzają się oddzielić od Krakowa i reszty ziem polskich... Znowu by więc monarchia ta, tyłą krwi i trudu zlepią i połączona, rozsypała się i poszła na łup wrogom...

Bodzanta, słuchając, łzy ocierał.

— Bracie mój — rzekł — wszystko to niejeden raz ja sam mówiłem sobie w godzinach utrapień moich, lecz jak się oprzeć przemocy? Oni mścić się będą.

— Gdyby się nawet ośmielili — rzekł ksiądz Płaza — nie potrwa to długo.

— Straszne brzemie na ramionach moich — zajęczał arcybiskup. — Biskup Scibor płocki nie oprze się, owszem mnie jeszcze przynaglać będzie; Mikołaj z tym tu przybył, aby być Semkowi posłusznym, ja jeden, jeden...

Ksiądz Płaza słuchał bacznie.

— Do obrzędu koronacji wiele braknie, a gdyby cokolwiek bądź wedle zwyczajów Kościoła i kraju nie dostawało, byłaby nieważną. Tym się Miłość Wasza obronicie... Ogłoszenie króla, gdybyście byli do niego zmuszeni, bez namaszczenia nic ważyć nie będzie... Musicie, ojcze i pasterzu, oprzeć się koronacji. Od Łokietka już koronowali się wszyscy w Krakowie. Nie dopuszczano drugiej koronacji Loisowi w Gnieźnie, w Sieradziu co ona znaczyć będzie?

Arcybiskup uderzony był ostatnim argumentem.

— Więc chyba odłożyć ją do Gniezna? — wyjąkał wahając się.

— Odłożyć w jakikolwiek bądź sposób, zyskać na czasie! — wołał ksiądz Płaza.

Zadumał się ksiądz Bodzanta. Utraponemu arcypasterzowi ta zwłoka była pożądaną. Gniezno mogło do niej być dobrym pozorem.

— Tak — rzekł — uprę się przy Gnieźnie, lecz jeśli zażądam natychmiast go tam prowadzić?

— Gniezno nie jest bezpieczne — odparł ksiądz Płaza. — Domarat i siły markgraфа poruszają się. Oni nie wazą się do Gniezna, wy obstawajcie przy nim. Jeżeli nie Kraków, to Gniezno.

Bodzanta pomimo zachmurzonego czoła odetchnął wolniej.

— Zdaje mi się — dodał ksiądz Płaza — iż zawczasu tego warunku objawiać nie potrzeba, dość będzie wystąpić z nim w ostatniej godzinie. Ukoronowanie musi się odbywać w stolicy, jeżeli nie w królewskiej, to choć arcybiskupiej, u grobu świętego męczennika Wojciecha.

Przekonanym zdawał się ksiądz Bodzanta, milczał, westchnął raz i drugi.

Rozmowa byłaby się przeciągnęła jeszcze, gdyby kapelan nie oznajmił przybycia kujawskich kasztelana i stolnika, którzy z innymi powitać Pasterza spieszyli. Cofnął się więc ksiądz Płaza, przykląkszy do pocałowania ręki, a arcybiskup pochylił się mu do ucha i szepnął:

— Bądź spokojny, a daj mi świadectwo, żem zmuszony! Nie władam sobą. Bezpieczeństwa Kościoła i mienia duchowieństwa mojego bronić muszę.

Wikary, wychodząc, we drzwiach się rozminął z nadciągającymi Kujawiakami. W korytarzu przyczajony czekał na niego Bobrek, rad mu z oczów wypatrzyć, co z sobą przynosił. Niełatwym to było, gdyż ksiądz Płaza, mimo energicznego charakteru, dosyć był w sobie zamknięty.

Gdy z klasztoru wyszli, klecha zagaił ubolewaniem nad uciskiem, w jakim arcybiskup zostawał, lecz wikary zamruczał coś niewyraźnie i nic nie odpowiedziawszy, udał się do fary, gdzie spodziewał się znaleźć na probostwie pomieszczenie.

Na zamku przez całą prawie krótką tę noc czerwcową światła nie wygasaly, sposobiono się na dzień jutrzejszy, a ksiązę do późna u siebie starszyznę przyjmował, dla której stoły zastawione były. Na dzień następny wszystko zawczasu zostało obrachowane.

Z goryczą przekonali się przyjaciele księcia mazowieckiego, że Krakowianie nawet dla zaprotestowania przybyć nie raczyli i, jak poprzednio, spierać się o wybór nie myśleli, chociaż łatwo go mogli przewidzieć. Był to rodzaj wzgardy i lekceważenia, który szlachtę wielkopolską w jej miłości własnej ranił boleśnie.

Czuli wszyscy, iż wybór przez to pod zupełną niebytność tych, którzy znaczną część kraju przedstawiali, tracił na wadze i znaczeniu — gniewał się i odgrażał Semko, nadrabiał ufnością w swe siły Bartosz, lecz w duchu pojmowali to, że ciężkie na barki wzięli zadanie. Cofać się już nie mogli. Semko mniej niż inni skłonny był do tego, dla sromu samego, choć widział jasno, że przyjaciele, czyniąc go narzędziem swoich namiętności, nad niebezpieczny skraj go zaprowadzili.

Jak dzień, poruszać się wszystko zaczęło. W kościele dominikańskim po rannym nabożeństwie przygotowywano wszystko na przyjęcie księcia uroczyste. Obok tronu arcybiskupiego ustawiono drugi dla niego, pozłocisty i okazały. Wedle myśli Bartosza, Semko nie miał go zająć, przybywszy do kościoła, lecz dopiero po okrzyknięciu jako wybranego króla podnieść miano uroczyste na ten tron dla niego zgotowany.

Szlachta, której pilno było zająć miejsca najbliższe biskupów, zawczasu kościół napępniać zaczęła. Bartosz z Odolanowa i co było ze starszyny a urzędników przyszli też dla nakazania i utrzymania porządku. Wszystkim pilno było i na wszystkich twarzach niecierpliwość się malowała.

Księżę w orszaku okazałym, we zbroi, w płaszczu szkarłatnym, przybył konno, a dla natłoku wprowadzono go przez zakrystię.

Na widok swojego wybrańca szlachta niecierpliwa już była gotową okrzykiem go powitać, lecz kierując nią Bartosz dał znak i szmerem tylko znaczącym pozdrowiono wchodzącego.

Arcybiskup z towarzyszami czekał na to, by mu znać dano. Błady i drżący wszedł otoczony duchowieństwem i modlitwą do Ducha Świętego obrady zagał. Zaledwie się ona skończyła, gdy zasiadłszy na tronie, Bodzanta głos zabrał, ale z początku mówił tak cicho, drżący i niepewien, że nikt go oprócz najbliższej stojących nie słyszał.

Uroczysta, grobowa niemal cisza panowała w kościele. Arcybiskup mówił o nieszczęśliwym położeniu kraju, który się domagał pana i rządu, wspominał o poprzednim zjeździe, o zwłokach, którymi królowa na próżno ich uwodziła, i wezwał zgromadzonych do obmyślenia dla ojczyzny ratunku.

Po nim w rubaszny a rzeźki sposób odezwał się Bartosz z Odolanowa, przypominając uchwałę zjazdu i naglącą potrzebę wybrania głowy. Zalecał Piastów krew, potem wyraźnie Semka, księżęcia mazowieckiego i kujawskiego.

Szmer i okrzyki mowę mu już przerywały, znajdowano jednak właściwym przedłużyć narady pozornie, nimby do uchwalonego i umówionego proklamowania króla przyszło... Mówiło kilku, nikt nie przeczył, żaden głos ani zwłoki, ani nowej narady, ani nieobecności Małopolan nie wspomniał. Spozierano po sobie. Hasło było dane, aby dopiero na znak Bartosza huknął tłum cały, jako jeden mąż, Semka królem ogłaszając. Ten i ów wtrącił coś: skarżyli się na bezkrólewie, bezrząd i wojnę

domową.

Bodzanta siedział, bledniejąc w miarę, jak się stanowcza zbliżała chwila. Bliżej niego stojący duchowni widzieli, jak mu się ręce trzęsły i wargi drżały. Oczyma o litość błagającymi bojaźliwie oglądał się dokoła.

Na ostatek po przeciągnięciu pozornych onych obrad, gdy wszyscy na jedno zgodni byli, Bartosz podniósł głos zapytując tłumu, kogo by królem mieć chciał.

Zatrząsł się kościół od wybuchu zgodnych głosów.

— Semko królem naszym! Semko!

Wykrzykiwano jeszcze, gdy z pierwszych rzędów kilkunastu się wyrwało przygotowanych biegnąc do księcia. Wstrzymali się jednak, gdyż arcybiskup powstał. On jeszcze raz słabym głosem zapytał zebranych o wolę narodu, i okrzyk powtórzył się po raz drugi, z nową siłą.

Naówczas Bodzanta podniósł rękę do góry, nakazując milczenie, i wśród chwilowego uciszania ogłosił: — Książęcia Ziemowita mazowieckiego i kujawskiego królem Polski...

Okrzyki radosne, szalone wtórowały mu, kapłani szli ku wielkiemu ołtarzowi, aby rozpocząć pieśń dziękczynną, gdy przygotowana szlachta rzuciła się ku Semkowi, na swoim miejscu stojącemu jeszcze, i pochwycając go na ręce wzniosła nad głowy... z wołaniem: — Niech żyje król nasz Semko! — Nieśli go tak do przygotowanego tronu i uroczyście posadzili na nim.

Biskupi z Bodzantą śpiewali już pieśń dziękczynienia.

Stało się tedy — król został uroczyście ogłoszonym przez arcybiskupa, okrzykiem, na tron wzniesionym.

Około tronu stanęli wszyscy znakomitsi panowie mazowieccy, kujawscy i wielkopolscy, tworząc mu orszak wspaniały. Chorąży mazowiecki rozwinął nad głową księcia chorągiew o dwóch orłach i dwu puchaczach. Na twarzy Semka widać było dumę zwycięzcy i radość doścignionego celu — wielką siłę a razem i troskę wielką, choć pokrytą pozorem wesela... Dla niego nie był to koniec starań o koronę, lecz dopiero krok pierwszy do jej zdobycia, a razem wypowiedzenia wojny tym wszystkim, którzy odwracali się od niego.

W tłumie radość była nie do opisania — bo dla szlachty znaczyło to zwycięstwo odniesione nad współzawodniczą Małopolską; zwycięstwo gromady nad wybrańcami, ubogich kozuchów władczych i panoszących nad złotogłowy pańskimi.

Pomimo iż wszystko skończonym się zdawało, nie odchodził nikt, tłum się nie rozpraszał.

Arcybiskup z dwoma towarzyszami i klerem, po odśpiewaniu hymnu, wszedł do zakrystii. Bartosz z Odolanowa czekał tu już na niego. Pocałował go w rękę cały przejęty i uniesiony.

— Ojciec nasz dobrotliwy — zawołał — dokonajmy rozpoczętego dzieła. Na co zwlekać.

Koronę mamy przygotowaną, obrzęd włożenia jej na skronie wybranego natychmiast się odbyć może. Prosimy cię, błagamy!

Arcybiskup stał blady.

— Dziecko moje — odezwał się — to jest niepodobieństwem. Koronacja ma swe prawa i formy przypisane, my do spełnienia ich nie jesteśmy przygotowani. Niepodobieństwo!

Spojrzał na asystujących sobie biskupów, którzy sprzeciwiać się nie śmiejąc milczeli. Znać było jednak po nich, że niekoniecznie w zupełności zdanie arcypasterza podzielali.

— Niepodobieństwo — szepnął ksiądz Bodzanta.

Bartosz stał chwilę w niepewności wielkiej.

— Zatem jutro — przebąknął z pewnym rozdrażnieniem w głosie.

— Jutro? Ale to ani czas, ani miejsce — dodał, wahając się, Bodzanta. — Koronacja w Sieradziu nie miałaby znaczenia... Musi się ona odbyć, jeżeli nie w Krakowie, to w Poznaniu lub w Gnieźnie.

Bartosz poruszył się tak gwałtownie, że zbroja na nim szczęknęła.

— W Poznaniu?! W Gnieźnie?! — powtórzył rozpaczliwym głosem. — Zwłoka by była niesłychana! Ojczyzna, to także niepodobieństwo...

Stali wszyscy milczący. Scibór, biskup płocki, po cichu coś Bodzancie szeptać zaczął, lecz arcybiskup zdawał się nie słuchać i nie słyszeć.

Drżał i powtarzał:

— Niepodobna! Nie żądajcie niemożliwych rzeczy... Cóż by znaczył ten pośpiech? Jak gdybyśmy nie byli pewni swego, obawiali się! Koronacja nie może się tak odbyć. W Gnieźnie...

Jak skamieniały stał Bartosz z Odolanowa. Był on prawie pewien, że skłoniwszy arcybiskupa do ogłoszenia króla, z koronacją najmniejszej nie będzie mieć trudności. Namyślał się, co miał począć.

— Nad tym się naradzić potrzeba — zawołał w końcu — odroczyłem zgromadzenie do jutra.

Arcybiskup się nie sprzeciwiał. Obejrzał się tylko, dając znak oczekującym klerykom, ażeby z niego zdjęli obrzędowe szaty, i wdychając, do modlitwy uklęknął.

Starosta, który łatwo męstwa nie tracił, po małej chwili z pogodnym prawie czołem wyszedł do kościoła i poszeptawszy coś z księciem, siedzącym jeszcze na tronie, odezwał się do szlachty zwracając, iż zgromadzenie do jutra odracza.

Z nowym wołaniem, czapki podrzucając wesoło, tłum z wolna z kościoła począł odpływać. Niektórzy szli pierwsi panu się swojemu pokłonić do kolan i życzyć szczęśliwego panowania. Semko

skłaniał się ku nim i dziękował, uśmiechał uprzejmie, lecz brwi miał namarszczone groźnie i troskę na czole...

Ruszyli się wreszcie otaczający księcia i on sam nazad przez zakrystię, gdzie u bocznych drzwi kościoła stał pysznie przystrojony, pod złotem szytą deką, wierzchowiec nowo ogłoszonego króla.

W zakrystii Bodzanta i biskupi pierwsi złożyli powinszowania, ale księżę nie zatrzymał się tu długo, z powagą, milczący wyszedł na podwórze, dosiadł konia i dokoła otoczony wiernymi swymi, wśród okrzyków, które na widok jego wznosiły się, pociągnął ku zamkowi. Przez całą tę drogę zasianą ludźmi powtarzało się: — Żywię I Niech żywię! — i towarzyszyło mu aż w progi zamkowe.

Semko nie mówił nic do swych towarzyszków. Wszystko to wydawało mu się jakby snem dziwnym, niemal strasznym. Radość tłumił zrodzony w nią razem niepokój.

Bartosz, choć tryumfował i wiedział, że wszystko to jego dziełem było, jechał także posępny. Opór Bodzanty zepsuł mu wszystko. Odłożenie koronacji samo obwołanie zachwiać mogło. Należało ubłagać, przekonać, zmusić bodaj arcybiskupa, ażeby natychmiast do niej przystąpił. Dopiero wpadłszy na zamek, gdy mu znowu kłaniali się jako panu swemu ci, co go tu przeprowadzili, Semko usta otworzył.

— Mówiliście z Bodzantą? — zapytał z pewną nieśmiałością Bartosza.

— Krótko bardzo, gdyż czasu na to nie było — odparł pan odolanowski — ale natychmiast jadę do niego.

Semko znużony wszedł do drugiej komnaty. Sam chciał być chwilę z sobą. Siadł na ławie. Trwoga jakaś ogarniała go mimo woli. Przez okna otwarte dochodziły z dala wesole, szalone, powtarzane kupkami, rozlegające się dokoła okrzyki, słuchał ich i drgał. Wszystko teraz zależało od Bodzanty, potrzeba było na nim wymóc koronację niezwłoczną... Polska namaszczoneму królowi poddać się musiała...

Bartosz z Odolanowa, czasu do narad i rozmyśłów nie chcąc zostawić Bodzancie, siadł na koń i z jednym sługą pobiegł do klasztoru dominikanów.

Arcybiskup odpoczywał, był cokolwiek osłabiony, nie wpuszczono go do niego. Wszedł do plockiego biskupa Scibora, którego znalazł krokami wielkimi przechadzającym się po celi. Biskup plocki był duszą i ciałem oddanym Semkowi, lecz nie dosyć miał energii, aby mógł wystąpić stanowczo przeciw arcybiskupowi. Musiał go oszczędzać.

— Ojczy — zawołał od progu Bartosz — ogłosiliśmy króla, nie dosyć na tym, musimy go ukoronować i namaścić, inaczej nie zechcą poszanować wyboru Małopolanie.

Zzymnął ramionami ksiądz Scibor, okazując, że to nie zależało od niego.

— Na Boga! Cóż się naszemu arcypasterzowi stało? — zawołał Bartosz. — W połowie dzieła nie dokonanego rzucić je...

— Nie moja to rzecz — odparł żywo Scibor. — Macie mnie, tu, gotów jestem przy koronacji służyć, lecz nie do mnie ona należy. Mówcie z arcybiskupem.

— Cóż powiada Bodzanta?

— Że w Sieradziu ani czas jest, ani miejsce po temu...

Bartosz cały się rzucił ręce łamiąc.

— Niepojęta rzecz! To są zabiegi czyjeś, w tym tkwi zdrada! — krzyknął poruszony.

— Umawialiście się z nim wprzód o koronację? — zapytał biskup.

— Mowy nie było o rzeczy, która musiała nastąpić jako dopełnienie aktu ogłoszenia. Arcybiskup wiedział, żeśmy przysposobili koronę...

Ksiądz Scibor głowę spuścił, nie odpowiadał. Rozgorączkowany Bartosz nie ustępował. Postanowił czekać bodaj u drzwi księdza Bodzanty, ażeby go wpuszczono do niego. Tymczasem upływały godziny, wieczór nadchodził. Pukając i naprzykrzając się, starosta w końcu został wpuszczony.

Bodzanta siedział z zaciśniętymi ustami, blady, przygotowany widocznie już na to przyjęcie.

W imieniu swym i księcia Bartosz zaklinać go począł. Bez tej korony włożonej na skronie, bez błogosławieństwa Kościoła, bez namaszczenia, wszystko, co się dokonało, nie miało znaczenia!

Bodzanta zawsze słaby, wahający się, bojaźliwy, tym razem okazał siłę przekonania niewzruszoną. Odpowiedział łagodnie, pocieszając, lecz dowodząc razem, że koronacja była w Sieradziu niemożliwą, a w Gnieźnie odbyć się tylko mogła, gdy Wielkopolska uspokojona zostanie. Nie taił tego, iż żadnego od niego ustępstwa spodziewać się nie mogli.

Bartosz próżno uniżał się i groził, narzekał, straszył gniewem króla, ksiądz arcybiskup milczał, lecz ugiąć się nie dawał. W końcu, odkładając naleganie do jutra, Bartosz musiał na zamek powrócić, gdzie ksiązę na niego czekał z gorączkowym niepokojem.

Ukrywać postanowienie Bodzanty nie było podobna. Starosta starał się tylko wytłumaczyć Semkowi, iż zwłoka ta nie nadwerężyła wyboru i wcale mu szkodzić nie mogła.

Semko prawie nie słuchał. Nie chciał się ponizac do zebrania u arcybiskupa o ten obrzęd, do którego zmusić się go spodziewał. Wyrozumiawszy opór Bodzanty, wydał po królewsku rozkaz Bartoszowi, ażeby się nie ważył więcej mówić z nim o tym ani go prosić.

Na zagładzenie przykrego wrażenia, jakie uczyniło nagłe cofnięcie się arcybiskupa, przyszła nazajutrz wiadomość radosna, iż Pietrasz Małocha⁷⁸ poddał zamek łeczycki.

Semko postanowił, podziękowawszy szlachcie, nie widząc się z arcybiskupem, natychmiast z Bartoszem ciągnąć pod Kalisz.

Dumne to znalezienie się względem Bodzanty dawało wyobrażenie o charakterze Semka, dla którego mała wina zacierała pamięć wielkich zasług. Nie mógł mu przebaczyć książę tego zawodu, który uczuł boleśnie. To powołanie na tron wydawało mu się teraz niemal krzywdą wyrządzoną i pozbyciem się tylko umiejętnym nalegań Bartosza.

Raz powziąwszy myśl ruszenia pod Kalisz, książę ani godziny zwlekać jej nie chciał. Zostawił szlachcie Bartosza, aby jej wyjazd nagły koniecznością wojenną wytłumaczył, a sam tejże nocy z całym orszakiem swoim wyciągnął z zamku. Szlachta tymczasem ucztowała, okrzykując króla swojego, ciesząc się, spodziewając koronacji, i jak piorun spadła na nią wiadomość rano, że Semko biegł Kalisz zdobywać. Arcybiskup przebudzony dowiedział się o tym z ust kapelana, zdumiony stał chwilę, bo go strach ogarnął zrazu, lecz kląkł na modlitwę spokojniejszy, nie potrzebował się już naleganiom opierać.

Tegoż dnia Wielkopolanie trochę zawiedzeni w nadziejach, widząc, że w Sieradziu robić już co nie mają, rozjeżdżać się zaczęli. Wszystko pierzchało stąd z pośpiechem większym jeszcze, niż przybyło.

Ksiądz Płaza po mszy u fary, uspokojony odjazdem księcia, natychmiast wybierać się zaczął z powrotem do Krakowa. Na wsiadany już przywłókł się do niego Bobrek. Twarz miał wesołą, ale mówił smutnie.

— Tom się darmo trząśł, aby do tego Sieradzia dobić — rzekł szydersko — nikt nawet jednej modlitewki u mnie nie kupił... Te władzyki wielkopolskie grosza przy duszy nie mają. — O zielonej paszy, na chudych szkapach się tu przywlekli, krzyknęli raz i drugi, napili się piwa i jazda nazad do swych zagród. A księcia czy króla nagle nie stało — dodał z uśmiechem. — Nie wiedzieć teraz, jak go zwać, a i on sam nie pewien, czym jest...

Zniżył głos Bobrek i dodał:

— Złamanego bym denara⁷⁹ nie dał za tę jego koronę.

Tom trzeci.

Rozdział I

Rok niespełna upłynął od opisanych wypadków, a Polska jeszcze króla ani królowej nie miała.

Pusto było na płockim zamku i smutno. Ogłoszony królem w Sieradziu Semko niepewien był, czy się nawet na własnym księstwie utrzyma. Stara Błachowa siedziała przy kądzieli łązy ocierając, a wychudła i blada Ulina chodziła po izbie z rękami załamany. Na tym zamku odbijały się teraz wszystkie gromy, które jeden po drugim uderzały w tego, co na nim panował.

Rozległ się tu naprzód odgłos z Sieradzia, iż Semka królem obrano; lecz króla tego nikt znać nie chciał oprócz tych, co przy nim stali, gdy był księciem. Od tego czasu jak po błyskawicy były już tylko pioruny.

Domaraty i Grzymały porwali się znowu do broni. Wszyscy się Semka lękali, nikt go nie chciał. Semko się dał ściągnąć do Krakowa i wymóc na sobie zawieszenie broni zdradliwe w chwili, gdy Mazowsze zalać mieli Węgrowie, gdy całe pułki obcego ludu padły na spokojny kraik, niszcząc go ogniem i mieczem. Jagiełło z Litwinami najechał Drohiczyn¹, w Wielkiej Polsce dawne zdobycze przychodziły na powrót w ręce Domarata, który głowę podnosił. Nie pomogło bohaterskie rzucanie się Bartosza z Odolanowa, odbiegali przyjaciele, uchodziła szlachta strwożona.

W tej chwili na zamku płockim nie wiedzano nawet, gdzie się Semko ukrywał. Ukazywał się on tu niespodzianie i znikał, nie chcąc walki zaprzestać. Przybywał milczący, z obłąkanym wzrokiem, padał na łożo, zrywał się jęcząc przez sen niespokojny, nagle konia podawać kazał i znikał.

Straszno było zbliżyć się do niego, niebezpiecznie przemówić. Za najmniejszą winę karał okrutnie i jak ojciec rzucał obuchem o ściany. Po nocach chodził przez izby puste, sam mówiąc do siebie. Stara Błachowa nie śmiała podnieść zasłony od jego komnaty. Ulina stawała w progu, patrzyła z politowaniem i zakrywając oczy, uchodziła. Szalonym był niemal boleścią.

Nawet zuchwały Henryk nie śmiał mu się pokazywać na oczy. Gdy po raz pierwszy pozwolił sobie go królem powitać, Semko, chwyciwszy go za barki, cisnął o drzwi tak, że rozbite poleciały razem z młokosem na podłogę.

Pocieszać go nikt nie śmiał, radzić mu nikt się nie ważył, a pomoc nie było komu. Brat Janusz pozostał wiernym słowu swojemu; ocalił siebie, nie czyniąc kroku dla ratowania brata. Mazowsze jego poszanowali umyślnie najezdnicy Węgrowie Zygmunтови, nie tknięto jego dzielnicy, siedział spokojnie w Czersku lub w Warszawie.

W Krakowie zawsze jeszcze spodziewano się przybycia królowej Jadwigi, a Elżbieta coraz nowymi zwłoki uwodziła panów krakowskich, którym się cierpliwości przebrało.

Wśród smutnej ciszy zamkowej, w której oprócz załogi, garstki pozostałych dworzan, kilku księży i księcia Henryka nie było nikogo, czasem przywłókł się ranny lub zbłąkany rycerz z jaką wiadomością, której ciekawie zbiegano się słuchać i rozchodzono, wysłuchawszy ze zwieszonymi

głowami. Niekiedy z miasteczka przyszedł rzemieślnik, który coś od przejezdnych słyszał i dowiadywał się na zamku, czy i oni już wiedzieli o tym. Wieści chodziły niepewne, dziwaczne, jedne od drugich mniej prawdopodobne, nazajutrz odwoływane.

O księciu mówiono, że z oddziałem swym i z Bartoszem to tu, to ówdzie się pokazywał i znikał. W Wielkopolsce Domaratowi Węgrowie brali górę.

Jednego majowego wieczora, gdy się go najmniej spodziewano, cicho, ukradkiem, z małą garścią ludzi zajechał Semko na zamek. Nie wjechał do dworca na koniu, zsiadł w bramce i przeszedł pieszo. Służba przestraszona pozrywała się na nogi, bo pan był straszny i surowy. Ale tym razem szedł do swych komnat znużonym krokiem, obojętny, nie przywożąc z sobą nawet gniewu. Rozsiał go po lasach i polach, wyczerpała się namiętność, przyszło po niej znużenie. Wyglądał jakiego bądź końca.

Zamek stary ze swym spokojem i ciszą wydał mu się gniazdem szczęśliwym i w progu zadumał się, dlaczego to łatwe szczęście swoje postawił na kość jedną, aby kupić sobie lata całe wzburzonych nadziei, zawodów i klęsk. Rady ojca i nauki brata na myśl mu przyszły za późno. Królem był niecały jeden dzień w życiu, a pokuta za tę koronę zdała mu się trwać wieki. Nie widać było jej końca. Postradał wszystkie nadzieje, nagle odrastały one znowu! W Polsce nie było króla ni królowej, któż mógł przewidzieć, czy znużeni nie odwołają się do niego?

Z tymi myślami wszedł do dworca, w którym dopiero przybycie jego życie zamarłe rozbudziło. Czeladź, dwór, służba, urzędnicy poruszali się jedni drugim oznajmując: „Książę! Książę”!

Przez puste jeszcze komnaty Semko szedł do swej sypialni. Tu na niego czekała już Błachowa z rękami rozpostartymi i cień tej dziewczyny, która się zwała Ulina, a dziś była tylko jakby widmem młodej siostrzycy. Na niej się odbiły wszystkie te boleści i przewroty, odbolała je i płaciła życiem. Na twarzy wychudłej tylko oczy jeszcze pałały.

Obie niewiasty z trwogą wychodziły na spotkanie Semka, nie wiedząc, co przyniesie z sobą, gniew straszny, niemy, narzekanie czy przekleństwa. Znały go tak dobrze od dziecka, że teraz spojrzawszy, odgadły, iż wracał wysilony, zdrętwiały znużeniem.

Błachowa zbliżyła się troskliwie, rękami drżącymi poczynając rozpinać zbroję. Ulina podeszła z uśmiechem smutnym, rękę mu kładąc na ramieniu. Semko dawał z sobą czynić, co chciały. Żadna skarga się nie wyrwała z ust jego. Srogie ciosy, które w niego biły teraz ciągle, kamiennym go jakimś uczyniły, niemal obojętnym na to, co go jeszcze czekać mogło.

Błachowa tymczasem obyczajem starych bab słowami pieszczonymi dziecko swe witała, na które on nie odpowiadał. Ulina milczała.

Pytać nie śmiała żadna, ani co z sobą przynosił, ni czy przybywał na długo. On wodził oczyma jakimiś zgasłymi po ścianach. Tu w tej sypialni ojcowskiej nie zmieniło się nic, a na świecie tak wiele. Pytał sam siebie, dlaczego nie pozostał na tym gnieździe, w którym mu tak dobrze być mogło...

Wspomnienia tego burzliwego roku przesuwają się przed nim krwawe, czarne, groźne.

Zapukano do drzwi i Ulina spiesznie się cofnęła. Błachowa powoli składając na stole pozdejmowane żelastwo, spojrzała ku drzwiom. Wchodził ksiądz kanclerz na powitanie pana. I na tym Bogu oddanym, cierpliwym człowieku rok ostatni pozostawił ślady drapieżne. Postarzał nagle, suwał nogami, spojrzenie było nieśmiałe.

Księżę łagodniej niż zwykle powitał go skinieniem głowy. Kobiety obie odeszły, zostali sami. Ksiądz stał, nie śmiejąc przemówić, aby słowem nieostrożnym nie wzbudzić jakiego wspomnienia i nie wywołać burzy.

— Przybyłem, jak widzicie — odezwał się Semko smutnie — nie wiem na jak długo. Potrzebuję spoczynku, a potem i robić pod czas nie ma co, czekać trzeba.

Kanclerz spojrzał, jakby chciał zapytać: — Na co? — I księżę w myśl jego odpowiedział:

— Tak, więcej może teraz poczekać waży, niż się gwałtem dobijać. Królowa Elżbieta zwodzi Polaków, córki im dać nie chce, nie da jej może, króla potrzebują, skąd go wezmą? Wojowali ze mną, a w końcu, któż wie? Zwrócić się ku mnie będą musieli. Właśnie w tych czasach znowu obiecane jest przybycie Jadwigi, ale czy ona przybędzie? Czy ją królowa da im?

— Królowa Elżbieta — odezwał się kanclerz cicho — wiarołomną jest i przewrotną niewiastą.

Kto może przewidzieć, co ona uczyni, gdy u niej słowo, przyrzeczenie i przysięga nie ważą nic?

— Widzicie więc — rzekł Semko — nie wszystko stracone jeszcze, czekać trzeba...

Posłałem do Krakowa, dadzą mi tu wiedzieć, czy królowa przyjedzie i co postanowią ci, co czekają na nią.

— Tak, czekać — powoli mówił kanclerz — ale niemniej i myśleć o sobie.

Semko zdumiony popatrzył na kanclerza, nie zrozumiał dobrze, jakie to w ustach jego miało znaczenie.

Ten zatrzymał się nieco z tłumaczeniem.

— Byłem ja zawsze przeciwnym — rzekł po namyśle — temu niebezpiecznemu dobijaniu się o koronę.

Stało się, teraz już do ostatka trzeba próbować, azali się z tej toni nie da wybrnąć.

Znowu przestał mówić na chwilę.

— Zaszła jakaś niepojęta dla mnie — dodał — zmiana w usposobieniach Zakonu krzyżackiego. Ci ludzie zaprawdę o obrotach wszelkich spraw lepiej są od innych zawiadomieni. Coś takiego zajść musiało lub grozić im, co ich ku Waszej Miłości skłania. Wiem to, że są gotowi przyjść w pomoc.

Przynajmniej dali to do zrozumienia.

Semko, który był z sił opadłym i znużonym, posłyszawszy to, zerwał się z siedzenia szybko.

— Sprzyjają przecie Zygmuntowi brandeburskiemu! — zawołał.

— Ale wiedzą o tym, że panowie polscy stanowczo się przeciwko niemu oświadczyli — rzekł ksiądz. — Nie wchodzi on w rachunek, tak samo jak Wilhelm rakuski. Krakowianie i tego nie chcą.

Zadumał się Semko.

— Któż wie — mówił kanclerz — zwrot jakiś szczęśliwy może nastąpić. Zakon, to wiem z pewnością, domyśla się, że skarb księcia jest wyczerpany, i gotów by go zasilić. Wprawdzie może nowej ziemi w zastaw zechcą, ale to ich obyczaj.

Gotowość pożyczania i pomocy zawsze coś znaczy.

— Skądże o tym wiecie? — zapytał ksiązę, ożywiając się nieco.

— Jest u mnie znowu przejazdem, gościną ten biedny klecha — mówił kanclerz — który do uzyskania pierwszej pożyczki się przyczynił. Mały to człek, lecz się o wielkich ociera; ten mi napomykał...

Kanclerz zawahał się nieco. Semko, już znowu ostygłszy, z niedowierzaniem pewnym ostatnią wiadomość przyjął.

— Poniekąd daje się tłumaczyć to skłanianie się Krzyżaków ku Miłości Waszej — ciągnął kanclerz. — Jest jakaś wieść głucha, prawdziwa czy fałszywa, nie wiem, jakoby tam część jakaś polskich panów o Jagielle myślała na tron polski...

— Plotkę tę słyszałem już, noszą ją niektórzy po świecie — rzekł Semko — ale mi się niedorzeczną wydaje.

— Dzieją się czasem cuda — przerwał kanclerz — za nic ręczyć nie można. Dla Zakonu sama ta myśl, że Jagiełło mógłby zasiąść na polskim tronie, jest najstraszniejszą groźbą. W takim razie...

— W takim razie mnie by woleli — dokończył Semko. — Macie słusność, że bodaj z fałszywego strachu korzystać należy.

Ksiązę zdał się odżywać i wychodzić z odrętwienia.

— Ja — dokończył kanclerz — patrzę z dawna na rycerzy krzyżowych, a jedno to powiedzieć mogę, iż rządkom ich widział mylących się w rachubach.

Rozpoczęta w ten sposób rozmowa ten skutek miała, że z wolna, wywodzić poczęła księcia z tego stanu zniechęcenia i odrętwiałości, z którą powrócił do domu. Ożywił się nieco, lecz jakby bronił nadziejom tylekroć zawiedzionym i poddawać im nie chciał — nie uniósł się radością wielką.

Oczekiwał na wieści z Krakowa. Czasu miał nieco swobodnego, dokuczał mu niedostatek i pozaciągane długi, bo w ciągu roku Żydzi krakowscy namówić się dali i dostarczyli mu pieniędzy. Dlaczegoż nie miał spróbować porozumienia z Zakonem? Błysnęła mu znowu daleka nadzieja.

Kanclerz nie namawiał do niczego, lecz rad był choć chwilową ulgę jakąś sprawić utrapionemu panu swojemu. Dnia tego nic nie postanowiono jeszcze.

Nazajutrz Semko oznajmił, że będzie czekał na wiadomość o przybyciu królowej lub, jeźliby nie przyjechała teraz, o tym, co postanowią Małopolanie. Odgrażali się oni wyborem króla, a w razie wyboru Semko zawsze wyobrażał sobie, iż największe mieć będzie prawo. Władysław Opolski był może więcej znienawidzonym od niego, nad ich dwu nie było nikogo.

Zamiast spodziewanego posła z Krakowa przybył nazajutrz Bartosz, wioząc o nowych morderstwach i rabunkach w Wielkopolsce smutne nowiny. Czeladź Dobiesława z Golańczy² napadła na dwór w Gołaczowie, złupiła go i zniszczyła; Przybko z Przysieki chwycił dwu swych wrogów; inni poranili śmiertelnie Marcina z Zwanowa³, w Obornikach⁴ wójta zabito... morderstwom nie było końca.

Bartosz opowiadał o tym niemal z radością, gdyż im większe panowało zamieszanie, tym się spodziewał rychlejszego końca, a dla niego jeden był tylko możliwy — to jest wybór Semka.

Tylekroć zawiedziony w ciągu roku, księżę mniej już się nauczył rachować na wszystkie te prorocтва. Odolanowski pan, choć doznał również strat ogromnych, choć ofiary poniósł ciężkie, starszy, wytrawniejszy, znosił je obojętniej.

Nie ukrywano przed nim tego, że Krzyżacy okazywali pewną skłonność zbliżenia się do księcia, a Bartosz nie tylko z nimi, ale z nie wiem jak nienawistnym wrogiem byłby się związał, byle mógł na swym postawić. Głosował więc śmiało, aby pieniędzy wziąć od Zakonu i silnie się z nim sprzymierzyć.

Kanclerz musiał zapewne podszeptać coś o tym Bobrkowi, gdyż klecha nie oddalał się z Płocka, siedział u Pelcza — starał się zbliżyć do pięknej Anchen, a raz na dzień na zwiady do zamku przychodził, gdzie się już z nim wszyscy oswoili.

Wreszcie jednej nocy nadbiegł posłaniec z Nowego Sącza; wedle rozkazania, zbudzono Bartosza, dano znać księciu i taka była niecierpliwość dowiedzenia się, co z sobą przywiózł, iż natychmiast zerwali się wszyscy, słuchać opowiadania jego.

Posłem tym Nałęcz był, jak znaczniejsza część tych, co się przy Bartoszu trzymali, a zwano go Zamechem; człowiek zręczny, gładki i do chwytania języka szczęśliwy.

Księżę, z komnaty wyszedłszy, ledwie opończą okryty, gdy zobaczył Zamecha, naprzód go spytał głosem niespokojnym:

— Przybyła Jadwiga?

— Nie! — rzekł Zamech.

Bartosz z księciem, uśmiechając się, spojrzeli na siebie.

— Cóż się stało, mów — odezwał się Semko zbliżając.

— Radzono długo i burzliwie — rzekł Zamech — a że narady tajemne nie były i mnie się na nich być dostało. Chciano jeszcze jedno poselstwo, bodaj ostatnie, do królowej wyprawić.

— Jak? Po co — przerwał Semko — gdy już jednych posłów uwięzić kazała?!

— Tak, a przecież Spytek z Mielsztyna, młokos, który u królowej jest w łaskach, i Piotr z Szczekocin⁵ kasztelan lubelski ofiarowali się jechać do niej.

— Spytek! — zgrzytając zębami z nienawiścią, krzyknął Semko.

— Byłoby może przyszło poselstwo do skutku — dodał Zamech — gdyby nie Przesław Wawelski⁶. Ten był w ostatnim poselstwie do królowej i objawił jej, czią swą zaręczając za to, że Polacy więcej żadnych posłów do niej nie wyprawią, a jeśli Jadwigi im nie da, wprost sobie króla wybiorą. „Moja cześć — rzekł — waszą czią jest, mówiłem to, coście mi powiedzieć kazali. Jeżeli nowych posłów wyprawicie, słowo własne złamiecie, czi waszej ujmę uczynicie” ...

Dla obrony więc czi swej zgromadzenie się zgodziło — słowo strzymać i posłów nie wyprawiać.

Semko w ręce uderzył radośnie.

— Na tym stanęło? — zapytał Zamecha.

— Tak jest — zakończył poseł — ale się inaczej obróciło przecie, niż postanowiono. Sędziwój z Szubina, któremu szło o bratanków uwięzionych przez królowę, na swoją rękę pobiegł ją ostrzec, że nie przyśle—li Jadwigi a rychło, korona jej przepadnie.

Zmarszczył się Semko trochę.

— Myślicie, że co wskóra? — zamruczał.

Zamech stał, nie śmiejąc odpowiadać. Bartosz też milczał.

— Królowa córki swej, dziecka trzynastoletniego⁷, dać nie myśli pewnie — przerwał sam Semko. — Gdyby chciała ją do Polski odprawić, dawno czas miała sama ją odwieźć lub wysłać. Po tylu zwłokach... nie wierzę! — zawołał Semko.

Zamech milczący długo potrząsał głową.

— Jeśli prawdę mam rzec — odezwał się — w Nowym Sączu inaczej o tym sędzono. Spytek z Mielsztyna nagłace wyprawił do królowej ostrzeżenie, iż dłużej Polacy czekać nie chcą i nie będą. Sędziwój też... Tak w Krakowie wszyscy się Jadwigi spodziewają, a wyglądają jej jak zbawienia i

liczą na to, że przybyć musi.

Bartosz począł posła wypytywać więcej, a księżę natychmiast się oddalił. Wziął go więc do izby swej dla lepszego zbadania, a gdy nazajutrz z księciem się zszedł, nie taił, że i on jest tego przekonania, iż Jadwiga przybyć musi.

— Jak gdybyś mi rzekł — odparł gorzko Semko — że my już żadnej nadziei mieć nie możemy.

— Jak to?! — gorąco podchwycił Bartosz. — Męża przecie dla królowej muszą wybrać, a nie mają dla niej nikogo krom was.

Tyle razy to już słyszał Semko, iż przyjął z niedowierzaniem i zimno.

— Słyszeliście o Jagielle — odparł krótko. — Z nienawiści dla mnie gotowi poganina wziąć.

A po namyśle dodał:

— Aby temu zapobiec, jeden środek jest. Z Krzyżakami się związać.

— Bodaj z diabłem! — wykrzyknął Bartosz.

Bobrek, który tegoż dnia około południa przyszedł wedle zwyczaju pozdrowić kanclerza, w dziedzińcu już potrafił się dowiedzieć o powrocie Zamecha i o tym, co on przywiózł. Książdz kanclerz powitał go uprzejmie. Po krótkim wstępie zwrócił się wprost doń:

— Nie od rzeczy by było dla rozmówienia się w sprawie Wizny, około której są różne trudności, aby księżę z mistrzem się zjechał.

Bobrek się tego trochę spodziewał.

— Każecie mi się dowiedzieć? — spytał.

— Nie od rzeczy by było — powtórzył kanclerz. — Księżę może być stąd powołany wkrótce gdzie indziej.

— Zatem mam jechać?

Skinął kanclerz potakująco. Bobrek w rękę go pocałował i zniknął.

W kilka dni potem Semko z Bartoszem wyruszyli nie wiedzieć dokąd i nie stało ich w zamku tak cicho, że nikt się nie dopatrzył, kiedy i jak wyjechali.

Mistrz Czolner czekał na nich w Toruniu.

Tym razem spotkanie i widzenie się było tak przed oczyma ciekawymi zakryte, iż nikt na zamku się gości nie domyślał. Przybyli w małym poczcie, wysiedli w mniejszym podwórku, a Krzyżacy zaprowadzili ich ciemnymi korytarzami do izb, w których oprócz mistrza i marszałka Wallenroda nie

było nikogo.

Czolner i marszałek oba mieli twarze zasepione i czoła pofałdowane. Nie skrywali się nawet z gniewem, który w nich wrzał. Czolner, zaledwie powitawszy księcia, począł rozmowę wybuchem:

— Księżę nie powinienes zrażać się niepowodzeniem. Wiecie, co wam i nam zagraża. Osnuta jest najpiekielniejsza zdrada. Poganina tego Jagiełłę chcą na tronie osadzić. Myśmy go już mieli w ręku! Litwa była naszą.

— Jestże to prawdą? Mogłoby się to spełnić? — przerwał Bartosz.

— Nie wątpię, że niemało trudności mieć będą! — krzyknął Czolner. — W Rzymie i wszędzie, gdzie możemy, zapobiegać będziemy!

Tu zwrócił się do księcia:

— Wy powinniście teraz właśnie starać się o to, aby go nie dopuścić. Polacy Zygmunta nie chcą; zapowiedzieli jemu i królowej, że siłą mu się będą opierać, Opolskiego nie chcą także; was muszą wziąć... Wy...

Bartosz podjął się tu być rzecznikiem swojego pana.

— Wasza Miłość wiesz — rzekł do mistrza — iż księżę czynił, co mógł, wycieńczył się, kraj mu spustoszone, wyczerpały się środki...

— My pomożemy mu — niech idzie z nami — podajmy sobie ręce! — począł mistrz. — Jagiełły na tron dopuścić nie można. On i Mazowsze pochłonać zechce, i Zakonowi pokoju nie da.

Nigdy jeszcze tak otwartymi Bartosz nie widział Krzyżaków; obawę teraz mieli tak wielką, iż ukrywać jej nie umieli.

Czolner natychmiast się oświadczył, że pieniędzy gotów jest pożyczyć, żądał wprawdzie zastawu, lecz obiecywał nie tylko nimi zasilić księcia, ale go silnie popierać. On i Wallenrod utrzymywali, że mężem Jadwigi nikt nie mógł być, tylko Semko, już królem wybrany. Gotowi byli nareszcie przeciwko przyjazdowi królowej zabiegać, jeżeli on im grozić miał poślubieniem jej Jagielle.

— Rzecz ta jednak w Polsce dotąd wcale prawie nie znana — odezwał się Bartosz, — Tam jeszcze o Jagielle głucho.

— Tym gorszy znak! — krzyknął Czolner. — Może się nie udać, co głośne zawczasu, a co tajone, najniebezpieczniejsze. O Jagielle nie mówi nikt, ale ci, co najprzebieglejsi są, o nim myślą. My wiemy o wszystkim. Jeździł Hawnul do Krakowa, ten Niemiec zdrajca, ten chrześcijanin, co się poganom zaprzedał! Posłali potajemnie Polacy do Wilna. Układają się, zdrady przeciwko nam, przeciw Chrystusowi, przeciw Bogu knują! Odstępcy! Synowie szatana!

To mówiąc nie posiadał się już z gniewu mistrz i pohamować nie mógł.

Przez cały czas pobytu na toruńskim zamku mowy o czym innym nie było. Czolner najłagodniejsze ofiarował warunki pożyczki, Wymagając od Bartosza i od księcia, aby energicznie popierali sprawę swoją.

Na próżno malowano im trudności, poniesione straty, na ostatek najdotkliwsze — odebranie im arcybiskupa Bodzanty, którego stronictwo przeciwne najazdem i zniszczeniem dóbr, opanowaniem Żnina⁸, zmusiło do odstępstwa. Na arcybiskupa wcale już rachować nie mogli. Krzyżacy namawiali do wojny, potajemnie ofiarując posiłki, wskazywali drogi i ludzi, którymi w Małej Polsce stronników sobie zjednać było można.

We wszystkim tym jednak rozważny Bartosz nie widział żadnej podstawy do działania. Niepowodzenie czyniło go mniej śmiałym, gdy Krzyżacy roznamiętnieni, a cudzymi rękami usiłujący się posłużyć, gotowi byli popchnąć Semka znowu do najzuchwalszych kroków.

Narady więc, oprócz umowy o pieniądze, nie doprowadziły do niczego. Krzyżacy dawali je w przekonaniu, że w jakikolwiek sposób książę je zużytkuje, popierając sprawę własną, Jagielle będzie szkodził i utrudniał zdobycie korony.

Wyczerpawszy wszystkie zasoby, Semko rad był, bądź co bądź, pozyskać zasiłek od Zakonu i upewnić się, iż będzie popartym przez tę potęgę. Stał więc układ i Semko z Bartoszem powrócili do Płocka, zyskawszy grosz na potrzebne dla samego ubezpieczenia się na Mazowszu zaciągi.

Bartosz natychmiast wyruszył znowu gromadzić kopijników. Semko pozostał jeszcze w Płocku. Ani jeden, ani drugi nie wazyli się wszakże na żaden krok stanowczy. Jagiełło wydawał się im czasem jak nieprawdopodobny strach jakiś, rzucony tylko dla wzniecenia popłochu. W Polsce wcale o nim nie mówiono.

Jeszcze niepewien był, co pocnie i gdzie się obróci, Semko, gdy z bardzo małym poczem, tajemnie nadciągnął książę Janusz.

Bracia nie widzieli się z sobą od dawna, stali na przeciwnych sobie krańcach. Janusz nie mieszał się do niczego, wiadomym było, że z królową Elżbietą zawarł rodzaj przymierza i zobowiązał się nigdy przeciwko jej interesom nie czynić nic. Na próżno Semko kilkakroć odwoływał się do niego. Przy najeździe Mazowsza Węgrowie posiadłości jego nie tknęli, tak jak w Kujawach części trzymanej przez Opolczyka. Semko miał ciężki żal do brata, chociaż ten zawczasu mu zapowiedział, że o sobie tylko myśleć będzie.

Przybycie Janusza przykrym było dla Semka, musiało też dla obu być nim równo. Lecz spokoju ducha księcia czerskiego nic zachwiać nie mogło. Przybywał tak chłodny, jakby sobie nic do wyrzucenia nie miał, i wyrzutów się żadnych nie spodziewał. W Płocku czuł się jeszcze zawsze jak w domu i głową rodu.

Zmieszany wyszedł ku progowi na przyjęcie go Semko. Janusz naprzód baczenie się twarzy jego schudłej, ogorzalej i zmęczonej przypatrywać począł. Uścisnęli się zimno. Starszy brat zrzucił płaszcz i siadł za stół odpocząć. Starsi ze dworu, którzy się stawili na powitanie, odeszli natychmiast, braci zostawując sam na sam z sobą.

Nierychło Janusz począł rozmowę drażliwą. Spytał o Henryka — potem od jak dawna Semko do Płocka powrócił.

— Obawiałem się nie znaleźć was — rzekł w końcu — lecz czas, byście się już w pole nie kwapili, nie macie co robić na nim. Wszystko skończone; co wam dobrzy druhowie nawarzyli, wypiliście i długo jeszcze pić będziecie.

— Nie straciłem nadziei — odparł Semko.

— Upór wielki, tym drożej go przypłacicie — rzekł Janusz. — Jeszcze byście może ratować się mogli teraz, gdy jutro, kto wie, czy nie będzie za późno.

Semko rozdrażniony zerwał się żywo.

— W Nowym Sączu przecież i Małopolanie, i wszyscy oświadczyli się, że króla wybrać muszą.

Janusz ramionami ścisnął.

— Wierzaj mi — rzekł — że wybiorą go chyba, gdy królowę mieć będą, a ta niezawodnie przyjedzie.

— Elżbieta posłów uwięziła!

— Wypuści ich i Jadwigę pośle. Chybaby szaloną była.

Chwilę pomilczał Janusz.

— Przybyłem z tym do ciebie — rzekł zimno — abym ci dobrą przyniósł radę. Ratuj się, czyniąc w czas pokój i zgodę.

— Nie mogę — zamruczał Semko.

Wniście starego Sochy przerwało tę pierwszą między braćmi rozmowę. Janusz zwrócił się do niego:

— Że młodzi szaleją, to nie dziw — odezwał się — ale i ty stary...

Wojewoda się nie uniewinniał.

— Pana opuścić w jakiej bądź doli nie mogłem — rzekł po namyśle.

Henryk, który teraz rzadziej Semka nawiedzał i zamiast dawnego zuchwalstwa okazywał mu rodzaj milczącej wzgardy, stawił się dla powitania starszego. Dopełnił tego z przesadzoną uniżonością, jakby okazać chcąc tym lekceważenie dla Semka. Janusz podroślemu i zmężniałemu przypatrzył się milcząco.

— Spodziewam się — odezwał do niego — że suknia już nie ciąży?

— Zawsze równie — rzekł Henryk.

— Zbroja też nie lżejsza, wierzaj mi — sucho odparł Janusz — a przeto jej nam zrzucić, jak tobie sutanny twej, nie wolno.

Uśmiechnął się książę Henryk. Uśmiech ten zastępował słowo i znaczył wiele, ale Janusz go nie podniósł. Obrócił się do Sochy z obojętnym pytaniem, potem Semka zagadnął o obronę plockiego zamku, czy o niej myślał na wypadek wszelki. Na pytanie to wojewoda odpowiedział, iż mieli na teraz zawieszenie broni, a w przyszłości nadzieję zawarcia pokoju.

— Bóg by go dał — rzekł książę Janusz. — Wojna jest piękną rzeczą, ale dużo kosztuje, a rzadko co przynosi oprócz ran i żalu.

— Sławy nie liczysz — dumnie odezwał się Semko.

Janusz potrząsnął z lekka głową.

— Jak nie wszystkie potrawy każdemu smakują, tak i sława — dodał. — Nie karmi ona. Jam jej przynajmniej nie pożądał nigdy. Pokój mi miłszy. Wiem, że to się zowie nierycerskim, lecz nie wszystkim rycerzami być. Wielcy bohaterowie złymi bywają gospodarzami, a u nas jeszcze gospodarzyć trzeba wiele.

Wszyscy słuchali Janusza spokojnie spowiadającego się ze swych przekonań; Henryk tylko twarzą dawał poznać, że ich nie dzielił.

— Ty jako przysły sługa Boga pokoju i miłosierdzia — rzekł Janusz, zwracając się do niego — powinieneś zawczasu uczyć się cenić więcej trud cichy niż rycerskie rozrywki.

Nie śmiejąc spierać się ze starszym, Henryk zmilczał, lecz odszedł dalej, aby okazać, że nauki nie przyjmuje.

Książę Janusz po krótkim przestanku wszczął już rozmowę inną, dopytując o zniszczeniu, jakie w tej części Mazowsza poczynili Węgrowie. Były one tak dotkliwe, tak wielkie, że Socha, począwszy o nich, przejął się boleścią i gniewem. Całe osady stały pustkami, tysiące ludu rozpierzchło się, poginęło, poszło w niewolę. Ogromne stada bydła, koni, niezliczone wozy łupów uprowadzono. Socha wzdychał i ręce załamywał.

— Macie owoce bohaterstwa waszego — rzekł Janusz zimno — bo dotąd nie zyskaliście nic więcej. Kraju mi tego żal, bo długich lat potrzeba będzie, aby się rany zabiły. Obok was księciu Władysławowi Opolskiemu włos nie spadł z głowy... A, a! Biedne Mazury moje!

Wszystko to, co mówił Janusz, jak gorący żar padało na Semka, który stał milczący, bladł i w rękach mieczyk swój cisnął, jakby go chciał potrzaskać w kawałki. Nie odzywał się, aby nie wywoływać nowych wymówek i w nadziei, że brat nie podsycany sam przerwie raz mowę. Ale Socha zbolały nie ustawał w opowiadaniu.

Pobył księcia Janusza w Płocku nie był długi, drugiego dnia jeszcze wziął Semka na stronę,

usiłując przekonać, że powinien był błąd naprawić i zaniechać wszelkich starań o koronę.

— Mazowska mi naszego żal — rzekł — bo nad tobą zalić się nie mogę, masz, czegoś pragnął i co ci przepowiadałem.

— Tak jest — dodał poważnie. — Piastowie korony nosili, ród ich panował Polsce, lecz rody upadają jak grody... i wolę Bożą w tym szanować trzeba. Darmo przeciwko niej się miotać. Semku mój, póki czas, ocal się i nie daj wichrzycielom przewodzić nad sobą!

— Stanie się, co przeznaczono — rzekł Semko. — Przed czasem cofnąć się nie mogę...

— A po czasie za późno będzie!

Wstał książę Janusz i po ojcowsku objął brata za szyję. Drgnęło w obu serce przy tym pożegnaniu. Semko przeprowadził go z poszanowaniem. Podali sobie ręce w milczeniu.

Henryk nadszedł też pokłonić się starszemu, który z właściwym sobie uporem na odjeźdźnym jeszcze mu powołanie i sukienkę przypomniał.

Po odjeździe Janusza dni płynęły jednostajnie na płożym zamku, do którego rozpierzchła, przerzedzona szlachta nie napływała teraz, chyba ze skargami i prośbami. Nawet Bartosz z Odolanowa mniej był czynnym, czując się nie dosyć silnym, aby do walki stawać z Grzymałami, popieranymi jawnie i tajemnie przez Małopolan i stronnictwo królowej.

Bezczytność nużyła człowieka krwi gorącej, młodego, czującego, że go wywiedziono w pole. Krzyżacka pomoc obiecana, za którą ziemią płacić było potrzeba, nie na wiele mu się zdała; nic począć nie mógł, a oczekiwanie i niepewność wyczerpywały siły. W godzinach zwątpienia przychodziły na myśl rady braterskie, nauki ojcowskie za późno, bo dziś poddać się było niepodobna bez strat tak wielkich, iż przyszłość odbierały.

Krzyżacy trzymali zastawem znaczną część kraju, ojcowskiej spuścizny; oprócz tego znaczne sumy dłużnym był Semko lichwiarzom krakowskim, przy zajętych Kujawach utrzymać się nie było podobna ani Drohiczyzna od Jagiełły odzyskać. Wszyscy ci, co dotrwali przy księciu do końca, straciwszy mienie, oglądali się na niego, aby im nagroził ubytki. Musiał więc nieszczęśliwy trzymać się do końca — i paść całkiem zniszczony lub dźwignąć się przynajmniej do dawnego bytu.

Gorzkie to były godziny rozmyśłów i żalów nad własną dolą. Drogo opłacał tę chwilę zwycięstwa, gdy szlachta go na barkach wyniosła, sadząc na tronie, którego posiadać nie miał.

W tych myślach i nasłuchiwaniu, co przychodziło z Małopolski, upłynęło całe lato, zbliżała się jesień. Z Krakowa posłańcy zgodnie jedną powtarzali piosenkę: — Jadwiga przybyć miała nieochybnie. Tym razem przyrzeczenie królowej Elżbiety, której nikt już nie wierzył, spełnić się miało nie przez jej dobrą wolę, ale dlatego, że Polska dla niej inaczej byłaby straconą.

Przybycie Jadwigi znaczyło dla Semka tyle, co kres wszelkich nadziei. Mógł walczyć jeszcze, lecz chyba dlatego, ażeby trzymając się, doczekać zagłady łatwo przewidzianej.

Książę w końcu lata, gdy Krzyżacy wcale mu znowu jawnie pomagać nie chcieli, a dokuczliwe długi coraz nowych ofiar wymagały, rozpaczliwie zadumany, nie wiedział już, w którą rzucić się stronę, gdy dnia jednego, wychodząc z kościoła, ujrzał przed sobą we drzwiach u kropielnicy stojącego starego mnicha. Podał mu on, uśmiechając się, wodę święconą.

Ze zdumieniem i radością jakąś, poznawszy w nim brata Antoniusza, Semko się zatrzymał.

— Wy? Tutaj? Znowu? — zapytał go. — Cóż porabiacie?

— Po drodze zaszedłem — odezwał się staruszek, który zawrócił się i począł za księciem iść ku zamkowi. — Jakiś czas przebywałem w Krakowie u braci, ale u nas posłuszeństwo pierwsza cnota. Gdzie indziej mnie potrzebują. Wziąłem sakwy na ramiona.

— Zatrzymajciez się i spoczniście u mnie — rzekł Semko. — Kanclerz was przyjmie gospodą.

Stary mnich obejrzał się bacznie dokoła. Z dala szli nieliczni teraz, dwór i dworzanie książęcy, kilku siwych niedobitków po ojcu odziedziczonych i młodzież nowo zaciężna. Bliżej ich nie było nikogo, mogli więc mówić swobodnie.

— Gdybyś Miłość Wasza miał trochę czasu — rzekł brat Antoniusz cicho — rad bym pomówić.

Bystro spojrział nań Semko. W tym zrozpaczonym położeniu najmniejsza zmiana, najlżejsza nadzieja była mu pożądaną. Pomyślał, że może zakonnik przybywał do niego z jakim poselstwem, z jakim promykiem nadziei.

— Chodźcie ze mną, ojcze — odezwał się głosem, w którym wzruszenie czuć było — jestem sam teraz. Będziemy mogli rozmówić się.

Byli już u progu dworca i książę wprost poprowadził Antoniusza do swej sypialni.

Staruszek szedł, oglądając się po zamku, z tym weselem nigdy nie zamąconym niczym, które go cechowało. Za wszystko Boga chwalił. Semko przyspieszał kroku, wyobrażał sobie już, że zakonnik coś mu ważnego przynosi. Zwrócił się ku niemu z oczyma ciekawością wyjaśnionymi.

— Miłość Wasza przebyłeś wiele — rzekł stary po namyśle. — Bóg łaskaw, że zsyłając krzyże, ocalił wam życie, a dał doświadczenie. Niech będzie błogosławiony!

Po tym wstępie stary podniósł nań wejrzenie.

— Co się przecierpiało, trzeba za to dziękować Opatrzności — dodał — aleby czas było, abyś Miłość Wasza o spokój swój na przyszłość postarać się chciała.

— Mój ojcze — rzekł zawiedziony tymi czczymi słowy Semko — starać się bym rad, lecz poniżać się, żebrać nie mogę. Będzie, co Bóg da, cześć trzeba ocalić.

Zakonnik myślał trochę.

— Spróbuj Miłość Wasza — rzekł — ja podam środek...

— Jaki? — zapytał zdziwiony ksiądz.

Antoniusz, jakby zmuszonym był każde ważyć słowo i bał się nazbyt powiedzieć wiele, stał zadumany znowu.

— Jaki? — powtórzył Semko.

— Dałem na to słowo, że imienia tego nie wyjawię, kto Waszej Miłości pomocnym być chce; dowiedcie się go sami. Tyle tylko mi zlecono, abyście nazaczyli czas i miejsce, najlepiej kędy ku granicom Mazowsza, w pustym uroczysku, gdzie by dobrej woli a i mocy niemałej człowiek zjechał się z wami na rozmowę.

Dziwne trochę żądanie to, o którym Antoniusz mówił z pewnym uśmiechem łagodnym, tak księcia zdumiało, iż długo nie mógł odpowiedzieć na nie.

— Ojciec mój — rzekł po namyśle. — Wy w świętobliwości waszej nie podejrzewacie nikogo. Ja muszę się obawiać wszystkiego, nawet zasadzki. Macież pewność, że mnie tam nie wiodą, aby się pozbyć, pochwycić, uwięzić?

Mnich ręce podniósł do góry.

— Możecież przypuścić, żebym ja się dał do tak niecnej sprawy użyć za narzędzie?

— Mimo waszej woli.

— Nie — energicznie odparł brat Antoniusz. — Znam i wiem, komu wiarę dać mogę. Każecie? Towarzyszyć wam będę.

Semko w domysłach był zatopiony.

Trudno mu było odgadnąć, kto mógł i dobrze życzyć, i mieć sposób ratowania go. Brat Antoniusz stał i czekał.

— Mój ojciec — rzekł Semko — zaręczenie wasze wielką ma wagę u mnie, a jednak...

Zakonnik rękę przyłożył do serca.

— Wasza Miłość i cześć swą, i mienie, i przyszłość możecie ocalić od niepewności i narażenia na losy...

Schylił mu się do kolan.

— Posłuchajcie mnie, naznaczcie czas i miejsce.

Semko zadumał się długo, przeszedł po izbie raz i drugi.

— A jeśli ratunek okaże się niemożliwy, jeśli mi postawią warunki takie, na które przystać nie będę mógł?

— Naówczas Miłość Wasza nie straciecie na tym nic, oprócz kilku dni i daremnej przejażdżki.

Namyślał się jeszcze książkę chwilę.

Lecz nie miał już nic prawie do stracenia, a mógł coś uzyskać. Nie należałoż próbować?

— Za czternaście dni na Murawim Ostrowiu — rzekł w końcu.

Staruszek złożył ręce.

— Bogu niech będą dzięki — szepnął.

— Ja idę dziś jeszcze, aby wyprawić, gdzie potrzeba.

I natychmiast opuścił komnatę, o kiju spiesznie krocząc do bramy.

Rozdział II

Murawi Ostrów leżał na granicy, w lasach Mazowsza, a nazwanym był, jak się domyślać łatwo, od położenia swojego na wzgórzu w widłach dwóch rzeczulek, które u stóp jego rozciągające się błoto łączyło.

Wyniosłość była ledwie znaczna, dość rozległa, prawie cała odwiecznymi porosła drzewami. Ponad rzeczulkami i moczarem gęsto zarastały łożyny, wierzby, krzewy bujne, w pośrodku stare sosny i dęby nie dopuszczały już krzakom żyć pod sobą, tu ledwie miejscami borówki i brusznice żyć mogły. Gałęzie starych olbrzymów prawie nie dopuszczały światła i to tylko, co się bez niego obchodzić mogło, drzemiąc w mroku, blade rozpościerało wici. Część ta lasu majestatyczną była i piękną. Wiosną znaleźć było łatwo i zwierza, latem pustował Ostrów, bo tu pożywienia on nie znajdował, czasem tylko stada łosiów i kóz, gdy strumienie powysychały, przychodziły się w nich orzeźwiać.

Ludzie rzadko się tu zabłąkiwali.

Ostrów położony był dość odlegle od gościńców i rzek większych, osad w okolicy nie było.

W końcu sierpnia, na dzieńznaczony, Semko, który niecierpliwie czekał na to, gubiąc się w domysłach najrozmaitszych, znalazł się wieczorną porą na Murawim Ostrowiu. Towarzyszył mu, jak przyrzekł, brat Antoniusz, a oprócz niego służby kilkoro, która namiot i zapasy wiozła podróżne.

Nie zastali nikogo. Semko, sam wybrawszy miejsce wśród najstarszych drzew, niedaleko rzeczki, gdzie pasza dla koni była dobra, namiot duży rozpostrzeć kazał i szałasysposobić. Ludzie, nawykli czasu łowów do podobnych noclegów, szybko i umiejętnie wzięli się do roboty. Rozpalono zaraz ognisko, wyszukawszy suche gałęzie sosnowe, i płomień syknął wesoło. Latem czy zimą ogień na popasie i noclegu musiał się palić. Wstrzymywano się tylko od nakładania go, gdy mógł zdradzić przed nieprzyjacielem.

W lesie panowała cisza, tej porze roku właściwa, gdy już znacznie większa część ptactwa milknie. Górą kołysały się zielone gałęzie, powolnie, jak senne — a szum ich tonął w tym uroczystym milczeniu samą swą jednostajnością.

Księżę oczekiwał na jadło, które dla niego przygotowywano, a brat Antoniusz, będący, jak większą część roku, z suchotami — jadł kawałek chleba z solą, który mu najlepiej zawsze smakował, gdy szelest się dał słyszeć z dala, a potem stąpanie koni po miękkim pokładzie leśnej ziemi nie bardzo się rozlegające.

Spoza drzew ukazało się kilku jeźdźców. Z nich jeden tylko, dawszy znak towarzyszom, aby zostali opodal, gdy księcia zobaczył, dobiegł do obozowiska sam i z konia skoczył.

Semko, którego ciekawość wielka paliła, patrzył pilno, lecz przybywającego poznać nie mógł. Dopiero gdy konia rzuciwszy, pieszo się zbliżył, czapkę zdejmując przed księciem, wpatrzywszy się

w niego przypomniał... starostę Hawnula. On to był w istocie. Książę, któremu pamięć po nim dosyć dobra została, uczuł się spokojniejszym, widząc, że z nim miał do czynienia. Łatwo się mógł domyśleć, że przybywał w sprawie Jagiełły.

Wspomnienie Litwina, który był jego współzawodnikiem i odbierał mu koronę, ścisnęło serce Semkowi. Pomimo przykrego wrażenia tego powitał Hawnula z uprzejmością, lecz razem dumą człowieka, który pamiętał, że choć chwilę królem się sądził. Hawnul podchodził ku niemu zmieszany widocznie, mierząc go niespokojnymi oczyma, pragnąc myśli odgadnąć.

— Niech mi Wasza Miłość przebaczy — zawołał — żem ja trudził aż tutaj; Bóg świadkiem, iż pragnę dobra, i sądzę, że pokój i przyszłość szczęśliwą przynoszę...

Milczał książę, skłoniwszy głowę tylko, Hawnul witał starego, który na widok jego radośnie się uśmiechał.

— Bracia was pozdrawiają — rzekł. — Ojciec Paweł śle wam słowo serdeczne.

Zakonnik ręce podniósł uweselon.

Tymczasem drużyna księcia łowiecką stawę przygotowywała i na ziemi rozłożyła przybory. Semko wskazał ręką, poszli wszyscy do tego leśnego stołu i na siedzeniach naprędce uklepanych miejsca zabrali. Brat Antoniusz tylko dojadający chleba siadać nie chciał, a wkrótce się z różańcem na stronę oddalił.

Hawnul widząc, że Semko nie zechce począć rozmowy, pierwszy ją zagaił.

— Miłościwy Książę, naprzód wam to oświadczyć muszę, że choć za wiadomością pana mego tu przybywam, nie jestem jego posłem. Moja to własna żądza zgody i pokoju mnie tu przygnała. Lecz pod przysięgą też zeznam wam, iż to, co przyrzeknę w imieniu pana mojego, on dotrzyma.

Zamilkł nieco i mówił dalej:

— Wyciągnięto was, Miłościwy Panie, i zawiedziono. Co się stało, próżno boleć nad tym. Królowa Jadwiga przybywa. To nie ulega wątpliwości. Między panami, co ją otaczają i będą pierwszymi jej kierować krokami, znaczniejsza część zobowiązała się dać jej za małżonka pana mojego. On Polsce przynosi nową siłę, bogactwa, zasługę wobec Kościoła, pokój i, da Bóg, długie lata szczęśliwości.

— Wszystko to — rzekł cicho Semko — jeszcze jest nadzieją tylko i niepewnością. Królowej dotąd nie ma, królowa Elżbieta oszukiwała Polaków tylekroć, że jej wierzyć nie można. Jagiełło w wojnie srogiej z Zakonem i on sam niepewnym, czy się utrzyma.

— Zadamy cios Zakonowi straszny tym, coście wy sami przygotowali — rzekł Hawnul — odbieramy im Witolda. Jagiełło silniejszym się stanie, niż był. Nie mamy o to obawy. W Polsce uczyniliśmy starania. — Tu Hawnul się uśmiechnął. — Jedni dla Kościoła i Polski, drudzy dla złota nam pomogą. Mamy czym nagrodzić tych, co posiłkować będą.

Mówił to z taką pewnością, iż Semko, słuchając, zwiesił głowę.

— Gdyby korona, którą wam ofiarowano, do osiągnięcia była — dodał starosta — nie odwodziłbym was od niej ani śmiało odbierać — lecz, Miłościwy Książę, macie nieprzyjaciół więcej niż druhów. Boją się was. Ktokolwiek królem będzie, wy jej nie osiągniecie. Z nami zawierając przymierze, wyrzekając się tego, co niepodobne, możecie odzyskać, coście stracili, i zdobyć więcej, nie wyjmując z pochew oręża.

Semko dumał. Jechał tu wprawdzie, nie żywiąc żadnej nadziei, od dawna jej pozbawiony, teraz, gdy z nim w układy wchodzić zapragnął Hawnul, rachował, że przecież coś go do tego skłaniać musiało; odzyskiwał przekonanie, że siłę jakąś mieć musiał.

— Jeżeli nie mam, jak mówicie, żadnego już środka dobiecia się korony, dlaczegoż ująć mnie chcecie? — zapytał.

— Dlatego — zawołał Hawnul — że nieprzyjaciół, wstępując w próg nowego państwa, Jagiełło mieć nie chce I Możecie bezskutecznie trapić nas walką.

Książę poruszył głową.

— Stawcie się — rzekł — w położeniu mym. Byłem obrany i okrzyknięty królem. Pamięć tego dnia się nie zatrze. Naprawdę, bez władzy, ałem tym królem po dziś dzień. Jestem z krwi tych panów, co długie wieki Polską władali. Korona z prawa na kądziel zejść nie mogła. Miałżebym się rzec tego, zapomnieć, żem walczył, uznać się zwyciężonym? Lepiej umrzeć i ginąć, niż srom znosić. Pokój bym miał, cześć bym postradał!

Książę ożywił się mówiąc, głos mu drżał. — Hawnul dał ochłonąć.

— Zwyciężonym być, bolesna rzecz — odezwał się — ale któryż rycerz nim nie bywał? Wy zaś, Miłościwy Panie, zwyciężonym nie jesteście, nie będziecie, poświęćcie siebie dla Kościoła, dla nawrócenia pogan, dla sprawy Chrystusa! Bóg wam to nagrodi, ludzie ocenią, Polska wdzięczną będzie!

Hawnul mówił żywo i z gorącością człowieka, który wielkim celem, jaki miał przed sobą, był olśniony. Głos jego drżał, wyrazi siłę miały, jaką daje duch możny. Książę zawahał się z odpowiedzią. Nie śmiało pytać, co w zamian otrzymać może od Jagiełły. Starosta dał mu się rozmyśleć i wyczekawszy nieco — począł powoli:

— Jagiełło w domu tym na pierwsze czasy potrzebuje pokoju; zresztą nieochybną czeka go wojna z Zakonem. Krzyżacy, ochrzcić nie mogąc i uczynić sprzymierzeńcem i hołdownikiem, wszystkie siły zwrócą przeciw niemu. Wojna w domu byłaby nieszczęściem. Nie bądź więc, książę, nieprzyjacielem, ale sprzymierzeńcem, naśladowaj brata. Odzyskasz całą swą dzielnicę.

— Trzymam Kujawy — wtrącił książę.

— Jestem pewien, że albo wam je Jagiełło zostawi, lub innym wynagrodzi nadaniem.

Starosta, pomilczawszy chwilę, nieśmiało, wahając się, dodał niższy głos:

— Widziałeś, Miłość Wasza, będąc w Wilnie młodą i cudnej urody siostrę Jagiełły, Aleksandrę...

Semko drgnął zarumieniony.

— Jagiełło jej rękę z wianem książęcym wam da z pewnością. Będziecie mu bratem najmilszym, jak ona jest z sióstr najdroższą. Staniecie przez to tak blisko tronu, że wam ani panowie małopolscy⁹, ani w świecie nikt serca Jagiełły odebrać nie potrafi. Będziecie mu doradcą, bratem.

Spojrzał książę, słuchając, na Hawnula już nie posępnym wzrokiem, którym go witał, lecz rozjaśnionym nadzieją. Na myśl mu przyszedł obraz tego złotowłosego dziewczęcia. Miałożby ono wyrokiem Bożym być mu przeznaczonym i losem wskazanym. Serce mu uderzyło. Składało się tak wszystko, iż widzieć w tym mógł wolę Opatrzności. Duma jednak poddać się tak skoro nie pozwalała, ona jedna teraz jeszcze zamykała mu usta.

Hawnul nie zrażał się milczeniem upartym i sam mówił dalej.

— Księżniczkę Olgę Aleksandrę ja znam od dzieciństwa. Mała to rzecz, że najpiękniejszą jest z rodzeństwa i że w krasie równej nie ma u nas. Daleko więcej znaczy, że ma serce litościwe, że dla sług i niewolnic jest dobrą, że wszyscy ją kochają, a ona dla najbiedniejszych jest najlepszą. Chrześcijanka gorliwa, pobożna, pracowita...

Hawnul z uniesieniem długo począł mówić o przymiotach i cnotach księżniczki.

— Jagiełło ją nad wszystkie swe rodzeństwo miłuje — dodał — możecie więc być pewni, że los jej i wam zapewni świetny.

Zatopiony w myślach Semko słuchał spokojnie, nic nie odpowiadając, wtrącił czasem krótkie pytanie, nie dające poznać po sobie nic oprócz ciekawości. Wszakże Hawnul miał prawo wnosić z samego milczenia, że myśl, którą przyniósł, ujęła Semka za serce.

Długo po ukończeniu wieczerzy siedzieli jeszcze, aż noc zapadła... i ognisko tylko rozłożone im przyświecało. Dla Hawnula czeladź jego opodał szaląs przygotowała. Rozeszli się, nic wprawdzie nie postanowiwszy, bo Hawnul nalegać nie mógł, lecz starosta udał się na nocleg z sercem nadziei pełnym. Po drodze przechadzającego się jeszcze z pacierzami spotkawszy brata Antoniusza, Hawnul pochylił się do ręki jego i szepnął:

— Ojcze, módl się, abyśmy nie wracali z niczym.

— Cały wieczór do Boga wzdycham o to — odparł staruszek.

Pozostawszy sam, Semko siedział u ogniska długo. Sen go nie brał. Myślał a ważył i rozważał, co czynić.

Jeden wstyd tylko hamował go jeszcze. Opatrzność widocznie łaskawa podawała mu rękę do wyrwania się znad brzegu przepaści; lecz potrzeba było mieć męstwo i stateczne postanowienie, aby

oprzeć się nowym pokuszeniom Bartosza i tych, co z nim trzymali. Zerwać z przeszłością, wrócić na ojcowskie i braterskie tory: wyrzec snu o koronie na wieki! Dziś był to już sen tylko złoty, który się skończył krwawo i czarno.

Pobożny Semko westchnął do Boga. W duszy mówiło mu coś, że Piastów panowanie i ród się kończył.

Dlaczegoż nie zginął w boju?

Marząc i usypiając, budząc się do nowych rozmyślań o swej doli, Semko dotrwał na posłaniu do rana. Zerwał się, słysząc drobnych ptasząt ćwierkanie, i poszedł błędzić po ostrowiu.

Tu go spotkał także już rozbudzony i modlący się brat Antoniusz, a w chwilę potem nadszedł Hawnul.

— Książę Miłościwy — rzekł — zbiegłem tu niemal życie ważąc, godziny mam policzone; zatem pokornie proszę was: stanówcie, z czym mam powracać.

Stał Semko milczący długo, słowa gotowe w duszy przez usta mu przejść nie mogły.

Na ostatek, wzdychając, rękę wyciągnął Hawnulowi i szepnął:

— Dziej się wola Boża.

— Amen — dodał pobożny starosta, skłaniając głowę i podnosząc ją wnet z obliczem rozjaśnionym. Z uczuciem ucałował rękę księcia.

— Życie moje stawię na to — zawołał — że Miłość Wasza postanowienia swego żałować nie będziesz! Uczyni Jagiełło dla was, co tylko w mocy jego; przysięgą jestem gotów to stwierdzić. Lecz, książę, dochowaj mu wiary.

— Cóż mam czynić? — zapytał Semko.

— Na teraz nic jeszcze takiego, co by układ zawarty zdradzać mogło. Jadwiga przybywa; wszyscy spieszą, przyjmować młodą królowę, jeżeli Miłość Wasza zapragniesz, choćby potajemnie, możesz się znaleźć w Krakowie. Jestem pewien, że panowie małopolscy zażądadzą zgody i zapomnienia sporów i zgodą opłacą. Wasza Miłość, co uzyskasz od nich i od królowej, to my strzymamy święcie, a w rachunek to wchodzić nie będzie. Dziś więcej do czynienia nic nie ma.

Semko dał znak zgody. Jeszcze raz podał rękę Hawnulowi. Dobył potem krzyż, który nosił na piersiach, pocałował go i rzekł:

— Na ten znak Zbawiciela przysięgam wam, iż umowy dochowam.

— A ja na tenże znak klnę się, iż pan mój święcie spełni, co ja w jego przyrzekłem imieniu.

Semko zawahał się chwilę. Obraz pięknej Olgi stał mu przed oczyma. Na palcu miał pierścień,

który mu Julianna dała na odjeźdnym, przeznaczając go na zrękowiny. Zdjął go powoli.

— Weźcie pierścień ten — rzekł — a bądź co bądź, ja nim ślubuję księżniczce Oldze i od tej godziny niech będzie narzeczoną moją.

Hawnul, mało co się zawahawszy, pierścień przyjął i starannie zawinąwszy włożył do kaletki.

— Pierścień ten będzie razem zadatkiem przymierza — dodał — zależy jednak na tym, Miłościwy Książę, aby to, cośmy tu z pomocą Bożą umówili, zostało do czasu tajemnicą. I dla was, i dla Jagiełły przystoi to, byśmy się nie zdradzali; nim nadejdzie błogosławiona godzina.

Wiele jeszcze mamy do przewyciężenia — westchnął Hawnul — lecz przy tej samej łasce Boga, która nam dotąd drogę torowała, cel osiągniemy.

Widząc ich dwukrotnie podających sobie ręce, brat Antoniusz zbliżył się rozradowany.

— Mamli już Bogu dziękować? — zapytał.

— Tak, ojczy! Zmówcie modlitwę... — rzekł Hawnul.

Nie zwlekając staruszek podniósł oczy ku niebu i gorąco odmawiać ją zaczął. Książę i Hawnul stali przy nim, w skupieniu ducha powtarzając wyrazy dziękczynne.

Ranek jesienny, parny, ale pogodny ozłocił w tej chwili przeciskającym się przez gałęzie promieniem słonecznym to gronko ludzi pobożnych, marzących o lepszej przyszłości.

W godzinę potem starosta był już w drodze do Wilna. Semko sam, bo mu Antoniusza zabrał Hawnul z sobą, wracał, po drodze łowiectwem się zabawiając, do domu.

W Płocku zniknięcie to Semka nagle wielki niepokój zrodziło. Błachowa, Ulina, wszyscy, co o celu podróży nie wiedzieli, złąkli się nowego rzucenia w wojnę, niebezpieczeństw i nowej klęski po tylu już doznanych. Kanclerz jeden był wtajemniczony i oczekiwał powrotu z niepokojem tym większym, iż się niewiele spodziewał po jakichś tajemniczych układach.

Radość więc była wielka, gdy po tych dniach oczekiwania nagle wpadł Semko na zamek żywo, śmieiej, z podniesioną głową, takim, jakim go nie widziano od dawna. Co sprawił, o tym się od niego nikt dowiedzieć nie mógł, lecz wnoszono z twarzy a humoru, że nic się złego nie stało.

Pytającemu kanclerzowi powiedział:

— Mój ojczy, zamknięte mam usta przyrzeczeniem milczenia, powiem wam tylko, Bóg łaskaw! Pomódlcie się, aby nim był do końca.

Najniezrozumialszym było wypogodzenie czoła i odzyskana swoboda dla Błachowej i Uliny. Widziały, że Semko rad był czemuś, a nie mogły domyśleć się, co go tak wesołym czyniło. Odzyskały i one trochę otuchy.

W położeniu jednak nie zmieniło się nic, Bartosz jeszcze wojować musiał, jeżeli nie w nadziei zdobycia czegoś, to w obronie resztek, jakie mu pozostały, i własnej skóry. Czyhano na nią ze wszystkich stron, bo nikt się tyle nie naraził Grzymałom i stronnikom królowej, co on, musiał więc mieć się na baczności.

Po niebytności dość długiej jesienią już późną zjawił się Bartosz z małym oddziałem w Płocku. Nie zrażony niczym dotąd, przybywał i on znużonym, zniechęconym, złamanym. Spodziewał się od księcia wymówek i przygotowany był na nie. Była to godzina wieczery. Semko siedział za stołem z Sochą, z chorążym swym i kanclerzem, kilku szlachty niedobitków mieściło się u szarego końca. Gdy Bartosz wszedł, rzuciwszy tylko okiem na Semka poznał, że książę był mniej niż zwykle ponurym, mniej gniewy tajemne dławiącym w sobie.

Wskazano mu miejsce za stołem.

Bartosz, chwalić się nie mając czym, o swojej wyprawie nie powiadał wcale. Szlachta opisywała straszne znęcanie się i okrucieństwo Grzymałów. Przy wieczery czas cały zszedł na tych powieściach, jednych od drugich krwawszych i straszniejszych. Semko milczał na łokciu sparty.

Skończyła się wieczerza, zdjęto obrusy, stary wojewoda i kanclerz ruszyli pierwsi od stołu, pociągnął za nimi chorąży, na ostatek i biedne władcyki. Sam został z Bartoszem Semko.

Chwili tej odolanowski pan najbardziej się lękał. Sam na sam przychodziły wymówki i żale, teraz książę słowa nie rzekł. Spytał tylko, co by słyszał o przybyciu Jadwigi, kiedy się jej spodziewano.

— Niestety — odparł Bartosz — pewnym to już jest i wszystkim wiadomym, że młoda królewna w październiku przybędzie do Polski.

Westchnął, zzymając się, rycerski pan.

— Głoszą ją cudem piękności, ale co nam po tym, kiedy w rękach Krakowian trzymana będzie i dostąpić do niej nie potrafimy.

Semko okazał obojętność zupełną. Zdziwiło to Bartosza, gdyż znał go namiętym, a takim jak teraz nie widział od dawna.

— Stracona sprawa nasza — odezwał się książę po krótkim milczeniu — nie mamy się co łudzić. Wy jedni wiernieście zostali przy mnie do końca, ufajcie, że o tym nigdy nie zapomnę.

— Cóż, gdy nas przemożono i niemal w garści mając zwycięstwo, straciliśmy je.

— Wolą losu, nie winą naszą — przerwał Semko. — Z tym walczyć nikt nie podola.

Bartosz coraz większe okazywał zdumienie, nie mógł pojąć, skąd przyszło to zdanie się na wolę Bożą w człowieku, który niedawno zaprzysięgał walczyć do końca i nie poddać się nigdy. Wprawdzie on sam stracił był już wszelką nadzieję, lecz w Semku, tak gwałtownym i niepohamowanym, ta powolność była dlań niezrozumiałą.

— Nie pozostaje nam pono nic — odezwał się — jak z orężem w dłoni dotrwać do końca. Może przy ogólnym uspokojeniu coś wyjednamy.

— Z orężem w dłoni? — rzekł Semko pytająco. — Tak, ale chyba na własną obronę, bo drażnić ich już dziś na nic się nie przydało.

Bartosz uszom prawie nie wierzył.

— Wy zostańcie w Płocku — odezwał się Semko — należy wam spoczynek, a tu będziecie bezpieczni.

Zwrócił wnet, nie czekając odpowiedzi nawet, i począł badać, co słyszał o przybyciu Jadwigi, czy ono pewnym było i na kiedy je obiecywano. Odolanowski pan wpadł na myśl, że księżę może rachować na przypodobanie się młodej pani, i nie przyznając do posądzenia, dodał zaraz:

— Powiadają, że królowna czy królowa, bo nie wiem, jak ją zwać mam, wielce jest rozmiłowaną w swym narzeczonym Wilhelmie rakuskim, z którym się od dziecka wychowywała. Są, co upewniają, że chociaż kłamliwa królowa Elżbieta zezwoliła, by związek był rozerwany, na pewno przyjdzie do skutku.

— A jakżeby Polacy tym królem mieli się zaspokoić, gdy on u nich mieszkać i panować nie może? — zapytał Semko.

Zapytanie to utwierdziło jeszcze Bartosza w powziętej myśli. Nie miał on nic przeciwko niej, ale znając usposobienie panów krakowskich, nie wierzył, aby ona mogła najmniejsze mieć prawdopodobieństwo ziszczenia. Zamilkł więc, a Semko tylko nawiasem rzucił życzenie, iżby choć potajemnie rad być świadkiem przyjazdu młodej królowej.

— Potajemnie? — podchwycił Bartosz. — Trudnym będzie, boć nadto ludzi zna Miłość Waszą i zbyt wiele oczów na każdy krok Jej patrzy, lecz choćby jawnie, któż tego wzbronić może? Jedzie wszakże Opolczyk, czemu byś Miłość Wasza nie miał? Jakieś zawieszenie broni się liczy, więc uczynić nic ani zechcą, ani mogą.

Semko dnia tego nie przedłużał rozmowy, lecz nazajutrz we cztery oczy wznowił ją z Bartoszem. Ten zmianie, jaką znalazł w księciu, wydziwić się nie mógł, patrzył i słuchał nie dowierzając. Nie postanowieniom się dziwił, bo te konieczność nakazywała, ale nadzwyczajnemu spokojowi i obojętności. Wybuchów gniewu, narzekań, do których był nawykły, z ust jego nie słyszał.

„Co się z nim stało? — powtarzał w duchu. — Co się z nim stało?”

Ani kanclerz, ani wojewoda wytłumaczyć mu nie umieli. Rzecz była zdumiewająca, niepojęta, ale szczęśliwa i Bartosz lękał się tylko, aby nagle nie wróciła natura dawna.

Nawet przed tym powiernikiem swym, w którym miał największe zaufanie, księżę się nie zdradził i nie wydał.

Stara Błachowa i Ulina, widząc go tak zmienionym, domyślały się, odgadły, iż zmiana jakaś zajść

musiała. Szczególniej dziewczę o tego brata zazdrosne¹⁰ a podejrzliwe, najmniejszą drobnostkę postrzegające i chorobliwe z niej wyciągające wnioski, po powrocie z ostatniej wycieczki zobaczyło, że książę, na palcu pierścienia księżnej Julianny nie miał. Obudziło to w niej domysły.

Jednego dnia spytała księcia, co się z nim stało. Semko spojrział bystro na nią i obojętnie odparł, że go zgubił na łowach. Ulina potrząsała główką; z twarzy mu czytała, że kłamał. Milcząca a smutna szpiegowała teraz każdy krok jego.

W końcu września zaczęto robić przygotowania do jakiejś podróży, w której i Bartosz księciu miał towarzyszyć. Przenikliwie dziewczę domyśliło się jej celu. Jednego wieczora, śmiało mu patrząc w oczy, odezwała się z przekąsem:

— Chce ci się więc bardzo zobaczyć piękną królowę?

Semko spojrział na nią ruszając ramionami.

— A gdyby tak było? — spytał.

— Już bym się nie dziwowała — rzekła Ulina. — Staraleś się o koronę, za którą zapłaciłeś drogo, choć ci jej nie dali, tylko na dzień, możesz się starać i o królowę, której i na godzinę ci nie dadzą! Złe ci było w spokojnym domu z nami?

Semko, słuchając, marszczył się.

— Wy baby więcej od nas rozumu macie, was by słuchać potrzeba! — odezwał się szydersko, lecz ujrawszy, że dziewczynie łzy się w oczach kręciły, ulitował się nad nią. Wstał i pogłaskał ją po główce, obejmując za szyję.

Dziewczę jakby o wszystkim zapomniało, co miało na sercu, przycisnęło się ku niemu i przymknęło oczy. Nastąpiła chwila milczenia i, jak zwykle, stara Błachowa pokazała się w progu. Można było być pewnym, że każde czulsze zbliżenie się ich wywoła ją zawsze z kąta. Ulina nie zważała na matkę i nie odsunęła się od księcia, który też w miejscu pozostał, spojrzawszy tylko na starą, jakby jej wyrzucał tę niewiarę.

Błachowa nie powiedziała nic, zaczęła się po izbie krzątać, porządkować, sprzątać po kątach, aż póki się nie doczekała, że książę powrócił na swe siedzenie, a Ulina, głośnym pocałunkiem pożegnawszy go, nie odeszła do swej kądzieli.

Przygotowania do podróży nie dozwalały wszystkim odgadnąć jej celu, książę jechał z małym dworem najzaufańszych, wahał się nawet, czy ma kanclerza brać z sobą, lecz choć się chciał w Krakowie skryć, aby o nim nie wiedziano, przeczuwał, że Żydzi wierzycciele znajdą go i napastować będą. Naówczas kanclerz mógł mu być potrzebnym do nowych z nimi układów.

Przed samym wyjazdem niespodzianie gość go nawiedził, który sam naprzód nie zjawił się na zamku, lecz Bobrka wysłał przodem. Klecha przybył pewnego dnia do kanclerza szepcząc mu, że jeden z braci zakonnych z Malborge, wysłany od mistrza, chciałby się widzieć z księciem. W godzinę

potem zajechał na zamek ubrany po rycersku, lecz bez żadnych oznak, które by w nim Krzyżaka poznać dawały, towarzysz marszałka Wallenroda, Malcher Sundstein¹¹. Był to jeden z tych, których Zakon do posłannictw swych dyplomatycznych używał, człowiek przebiegły, w którym więcej było przymiotów prokuratora niż rycerza. Książę przyjął go na osobności.

Wysłaniec Czolnera począł od jakichś drobnostek tyczących się praw handlu i przewozu w części Mazowsza, którą Zakon trzymał zastawą. Były to tak małej wagi sprawy, iż trudno mógł pojąć książę, iż dla nich Sundsteina wysłano do niego.

W kilku słowach ułatwione zostały punkta sporne.

Naówczas Malcher rozmowę wszczął obojętną o sprawach Mazowsza i Polski, o przyjeździe królowej i usiłował wybadać Semka, który się z niczym wydawać nie chciał. Namawiał on księcia, aby się starał zbliżyć do młodej pani, której przyjazd zapowiadano, i ręczył mu, że Zakon popierać go będzie.

— A jakimże sposobem wy mnie tam pomocni być możecie? — spytał ciekawie Semko.

Sundstein się uśmiechnął.

— Wierz mi, Miłość Wasza — rzekł — że my wszędzie mamy tak samo przyjaciół, jak wrogów. W Polsce też, choć druhowie Zakonu lękają się zdradzić i nie występują jawnie, lecz silni i czynni.

— Książę — dodał rycerz Malcher — powinienesz jechać do Krakowa i próbować, azali tam sobie młodej pani i kogo ze dworu pozyskać nie potrafisz.

— Dobra by to była rada — odparł Semko — gdybym Ja jak wy, obok wrogów, mógł liczyć na jakichkolwiek przyjaciół. Nie mam ich tam, a tacy ludzie jak wojewoda Spytek są zaciętymi przeciwko mnie.

— Może stać się jednak, iż księcia będą przenosili, pomimo to, nad Wilhelma i nad poganina, który żadnego prawa znać nie zechce, a jak niewolników ich w garść by wziął żelazną. Jedź, książę!

Semko się nie chciał wydać z tym, iż wyjazd jego był już postanowiony, odpowiedział, że się namyśli i rozpatrzy.

W ciągu dalszej rozmowy Malcher nalegał silnie. Semko przekonał się z niej, iż Zakon o zabiegach Jagiełły był zawiadomionym, lecz spodziewał się je zniweczyć. Na samo wspomnienie Litwina burzyła się w rycerzach krew, widzieli niebezpieczeństwo. Książę rad był zbadać Sundsteina, kogo Krzyżacy mieli za sobą w Krakowie, lecz poseł złożył się tym, iż to było tajemnicą samemu tylko wielkiemu mistrzowi wiadomą.

Po długich i silnych naleganiach, którymi Krzyżak starał się w Semka wlać otuchę i zachęcić go do podróży, odjechał on nareszcie, zapewniwszy jeszcze księcia, że Zakon gotów jest być mu pomocą.

Cicho i niepokaźnie Semko w ostatnich dniach września wyruszył z Płocka, wraz z Bartoszem, kanclerzem i małym poczem zbrojnym. Cały jego oddział nie wyglądał wcale na książęcy, ludzi miał

niewielu i uzbrojenie, choć doskonałe, ale niepokażne.

Przodem wyprawiony komornik¹² polecenie miał w stolicy znaleźć gospodę dla księcia wygodną, lecz na ustroniu, tak by na siebie zbytnio oczów nie zwracał. Spodziewano się, że przy tak licznych zjeździe łatwo będzie Semkowi ukryć się w tłumie. Rycerski strój ówczesny w wielu uroczystych razach dozwalał występować z przyłbicą zapuszczoną. Na to rachował Semko, który w uzbrojeniu swym unikał wszelkich oznak zewnętrznych, godeł i figur, po których poznać by go można. Tarcze jego były bez orłów, hełmy bez klejnotów, z piórami tylko. Służbie zakazano brać z sobą suknie, na których europejskim zwyczajem szyte były herby książęce. Deki dla koni, bogato ozdobne, nie miały też godeł żadnych. Bartosz musiał się zastosować do pana, któremu towarzyszył.

Rozdział III

Pierwszych dni października roku tego stolica pod Wawelem widok przedstawiała nadzwyczajny, na jaki wieki czekać było potrzeba, nimby się mógł powtórzyć. Godziny szczęśliwe rzadkie są w życiu ludzi, rzadsze w narodów życiu. Są chwile dla pewnej części ludności, dla jakiegoś stanu i gromadki pomyślne i radosne. Naówczas cieszą się wybrani, urągają wyłączeni, patrzą obojętnie nie mający żadnego w tym udziału. Secin lat potrzeba na to, ażeby się cały naród cieszył i czuł szczęśliwym jak jeden człowiek, a tak radowała się cała ziemia polska przybyciu królowej swej Jadwigi.

Całe dwa lata skończyły się od śmierci Ludwika, dwa wieki przeżyte w zaburzeniach, trwodze, niepewności, napadach, łupieżach i domowej wojnie. W Wielkiej Polsce dwa obozy stały zajadle przeciwko sobie, niszcząc siebie i ziemię nieszczęśliwą, Wielko i Małopolska rozdzieliły się i niemal odpadły od siebie, Ruś była zajechna, na pograniczach srożyły się rozboje. Nigdzie nikt życia, mienia, jutra nie był pewnym. Dobra duchownych, majątności szlacheckie i pańskie płonęły i pustoszały, włościanie się rozbiegali, handel ustał, gościńce zarastały trawą, miasta ubożały.

Temu wszystkiemu miało koniec położyć przybycie królowej Jadwigi. Niosła z sobą różdżkę oliwną. Wszyscy patrzali na nią, wyglądając jej jak Zbawcy.

Dziwne Opatrzności zrządzenie! Tam gdzie potrzeba było żelaznej dłoni, niezłomnej woli, bohaterskiego męstwa dla zwalczania zbudzonych żywiołów, Bóg zsyłał dziewczę—dziecinę, sła biutką, niedoroślą, trwożliwą, śliczną jak anioł, jak anioł dobrą, a jak ludzkie dzieci nieszczęśliwą i bolejącą. I ta istota wątła cudem Opatrzności miała przynieść z sobą pokój i szczęście!

Są w dziejach cudowne godziny. Naówczas wszystkie rachuby ludzkie kruszą się w proch, a z niebios zstępuje siła, czasem w postaci dziewicy* lub dziecka. Cudem też wówczas czuje naród cały, że przychodzi zesłaniec Boży, i wstrząsają się wnętrzości jego, i opromieniają czoła, biją serca, jednym hymnem dziękczynnym brzmia usta wszystkie.

Z takim uczuciem oczekiwano tu Jadwigi, córki tego króla, który tu po sobie najsmutniejsze zostawił wspomnienia, matki, która urąganiem się z łatwowierności narodu budziła wstręt i pogardę, — dziecięcia rodziców, dla których Polska nie była ojczyzną, ale towarem, a jednak to dziecko witano z miłością, z poszanowaniem, z zachwytem.

Na zimnych kartach dziejowych dziś jeszcze miga złoty promień tych dni jesiennych, dni ocalenia!

Wszystko to, co się tu działo i dziać miało, nie było rąk ludzkich sprawą, lecz prawym cudem jakimś. Żli ludzie zmuszeni byli do dobrego pomagać, idący oślep znajdowali drogę, kruszyły się serca uparte, miękkie piersi skamieniałe.

Kraków gotował się przyjmować swoją królowę i dzień a noc stroił dla niej. Wszyscy panowie, znaczniejsza część duchowieństwa już była pośpieszyła na granicę po ten skarb, który przybywał; pomimo to stolica była nabitą ludem, przyplływali goście co chwila, zapełniały się gospody, a ruch

nie ustawał. W ulicach krzątano się, aby je oczyścić i ozdobić, w rynku bielono i malowano, zasypywano doły i układano kamienie; na zamku panowało też samo gorączkowe oczekiwanie Zbawczyni. Tu stare Kaźmierzowskie komnaty ocierano z pyłu, myto i okadzano, aby z nich woń śmierci uleciała, a życie się odrodziło. Zawieszano opony, słano kobierce, wysypywano drożyny; ze skarbca dobywano, co w nim zostało nie złupionego i porzuconego z pogardą. W kościele na Wawelu zawieszano wieńce, ubierano ołtarze.

Wszędzie roił się lud, a bramy miasta, których niedawno strzeżono tak trwożnie, stały teraz otworem. Nie obawiano się żadnego wroga — przybywała królowa.

Królowa! Nie — ta królowa królem być miała, słabe jej białe rączki musiały tknąć też poświęconego miecza, tak jak w jabłku dźwignąć musiały ziemię, której panować miała. Ciężka korona musiała spaść na to czoło dziewicze.

Gdy zewsząd orszaki Toporów, Leliwów, Różyców, Sreniawów¹⁴, strojne w najbogatsze szaty i zbroje leciały na powitanie pani swej, zapomnieli wszyscy, kto był komu wrogiem, złali się w jedno ciało. Stało się na ten dzień braterstwo wielkie, które nie trwa niestety.

Panowie oznajmywali królowę chłopom, kmiecie biegli ją oglądać równie jak szlachta. Wszystkim przynosiła wybawienie od tyranii tej garści warcholów, która rodzi się w mętnej wodzie i z niej żyje.

Biły tak serca wszystkie, jak gdyby naród cały miał jedno tylko, począwszy od raba¹⁵ do ksiączęcia.

Dziwną sprawą niepojętej ducha potęgi obcy człowiek, który wpadał w to zaczarowane koło, czuł się pochwyconym na wysokości tego świętego szału i na chwilę musiał pieśń tę śpiewać co wszyscy.

Kto by był jednak dnia tego, gdy się Kraków na przyjęcie Jadwigi gotował, zobaczył z żółtą twarzą człowieka stojącego w bramie domu na Grodzkiej ulicy, odzianego w kleszą suknię czarną, oczyma gadziny rzucającego na ludzi i przysłuchującego się radosnym śmiechom i okrzykom z żółciowym szyderstwem, poznałby w nim wroga. Dlatego może to stworzenie z trwogą jakąś wyglądało bojaźliwie i kryło się za najmniejszym szelestem, ale wnet znowu oczy złe wytrzeszczało na przechodniów.

Był to Bobrek, nie sam jeden może szpiegujący dla Krzyżaków, co się tu działo, ale wysłany jako najwierniejszy sługa, by na wszystko ucho miał i oko. Bobrek był zawsze najzręczniejszym szpiegiem i kłamcą, umiał, gdy mu żółcią zapływało serce, udawać miłość i pokorę, lecz teraz tak się w nim burzyło wszystko, iż sobą być zapomniał. Szczęście tych ludzi bodło go jak mieczem w piersi, poilo trucizną. Stał, drżał i nie umiał już nic, tylko przeklinać i zżymać się. Krył się przed znajomymi, bo czuł, że byłby się zdradził.

O kilka kamienic dalej gospodę zajmował Semko, kryjąc się z sobą, nie chcąc być widzianym. Dla niego też obraz to był nowy, a mimowolnie pamięć mu przywodziła ten dzień jeden królestwa jego i te okrzyki, które się wówczas o uszy jego obijały, porównyując je do tego, co się tu działo.

Tam przy nim byli tylko ludzie, tu działała siła jakaś niewytłumaczona, niepojęta, straszna. Czuł on, że tej potędze nic się oprzeć nie może ani on sam nawet śmiał się przeciwko niej buntować. Marzenie

jego królewskie rozwiało się w oczach, mgłami zapłynęło. Z niepokojem w sercu patrzył i słuchał.

Przy nim stał Bartosz z Odolanowa.

Milczący oba, kiedy niekiedy spoglądali na siebie, badając wzajemnie. Bartosz, w którym teraz biło serce polskie, stał oczarowany, upokorzony. Kiedy niekiedy z ulicy dolatywał ich okrzyk, piosenka, śmiech. Żadnej nuty fałszywej, nigdzie jęku. Ci, co cierpieli, milczeli, wiedzieli, że ich jęk w niczyjej by się nie odbił piersi, a szczęście tysięcy by go pochłonęło.

Smutno było Semkowi skazanemu w murach na niewolę. I on, i Bartosz rwali się dusznie do wielkiego tłumu, do tych, co pobiegli na spotkanie, lecz im tam nie było wolno się pokazać. Mieli na sobie nie odpokutowane grzechy.

Co chwila drzwi się odmykały, jeden z dworzan książęcych wchodził i tym głosem poruszonym, drżącym, upojonym, który daje gorączka oszalałym tysiąców, zwiastował jakąś nowinę. Nowiny te o podróży, o pochodzie królowej, biegły cudem po rosie, w powietrzu, z ptakami i przylatywały w mgnieniu oka. Podawane z ust do ust piorunem prześlizgały się milami. Zamruczano je w jednej bramie, natychmiast odbijały się na drugim miasta końcu.

Nie mówiono, tylko o królowej.

Petrek i Szymek, komornicy książęcy, wiedzieli już, że królowa była biała i piękna jak lilia, że uśmiech jej czarował, wejrzenie rozbierało, że starzy srebrnobrodzi wojewodowie i kasztelani na kolana przed tym dzieckiem padali; że miała na sobie płaszcz złotogłowy, na głowie wieniec z lilij złotych, że przed nią jechał starzec w szkarłatnym kapeluszu z sznurami i modlił się a płakał, że za nią szło cudnych dziewic dwanaście i poważnych matron lik wielki, a wieziono; skarby mnogie.

Białe gołębie z zielonymi w dzióbkach gałązkami leciały przed nią. Obłok woni promienistej ją oblewał.

Prawiono cuda i wierzono w cud. Oczy wszystkich miały go oglądać.

Niekiedy wśród momentu ciszy zdawało się, że słyhać z daleka dzwony wszystkich w Polsce kościołów bijące Bogu na chwałę i jakby pieśń niewidzialnych chórów, płynącą powietrznymi szlaki.

W nocy nikt nie spał, we dnie zapominano¹⁶ o głodzie i pragnieniu. Nie pytano o nic, tylko, kiedy przybędzie królowa. Każdy się lękał stracić tę chwilę uroczystą i nie znaleźć miejsca na dwoje spragnionych oczu.

Bartosz i Semko rozmawiali z sobą wejrzeniami.

— Wszystko, co żyło, wyciągnęło z Krakowa — odezwał się po długim, ołowianym milczeniu Semko. — Gdyby tak byli opuścili miasto i bramy, gdyśmy z Bodzantą przybyli...

— Bodzanta! Bodzanta! — westchnął Bartosz. — Ten pojechał też spotykać królowę—króla, której za dni kilka koronę włoży na skronie. Cień, słyszę, tylko z niego pozostał, tak go ta wojna

wycieńczyła na duchu i na ciele. Stary klecha nie miał nigdy własnej woli, kto chciał, mu ją narzucał.

Semko dał znak oczyma i Bartosz mówić poprzestał. Po co było te trupie wspomnienia przeszłości wywlekać?

Zapadał wieczór. Dnia tego już nie mogła przybyć królowa. Kanclerz wszedł do izby krokiem powolnym, pogrążony w myślach, a tuż za nim wpółzgięty, zmałały, wcisnął się Bobrek. Przynosił on, jak mówił, przypadkowym spotkaniem schwycone po drodze pozdrowienie dla księcia od mistrza Czolnera. Chciał je sam złożyć u stóp jego. Z uśmiechem, który podobien był do poczwarnego wykrzywienia, przynosił Semkowi przypomnienie, że Zakon czuwał, patrzył i nim się opiekował.

Zimno przyjął pozdrowienie księżę. Było mu ono obojętnym.

— Strach patrzeć, jak tu ludzie potracili głowy — odezwał się Bobrek — a cóż to będzie, gdy królowej doczekają! Ciekawe panowanie młodej pani...

I śmiał się, ale słowa jego jak szelest suchych liści prześliznęły się prawie nie słyszane. Bartosz jeden ciekawie na tego mizernego klechę spoglądał.

— Długo tu myślisz mieszkać? — zapytał księżę obojętnie. — Możeszli odnieść mistrzowi pokłon wzajemny ode mnie?

— Jeśli Miłość Wasza rozkaże — jękając się odezwał Bobrek. — Ja tu, jak zawsze, z moim przywędrowałem rzemiosłem. Sprzedaję modlitewki i błogosławieństwa, piórem służę, kto użyć łaskaw. W wielkiej ludzi gromadzie coś się trafić może.

Semko popatrzał nań i coś szepnął kanclerzowi, który zbliżył się do klechy i cicho zapewne w nagrodę pozdrowienia coś u niego zamówić musiał, bo słyhać było, że zakończył dwoma kwartnikami¹⁷.

Dla klechy ważyło to tyle, co odprawa, został jednak chwilę w progu, bo oprócz smutku i zadumy nic tu jeszcze nie wyszpiegował. Lecz tak uparte przy nim milczenie panowało pomiędzy zebranymi, że Bobrek rad nierad, pokłoniwszy się, wysunąć musiał.

Naówczas dopiero kanclerz, zbliżywszy się, coś począł o przygotowaniach na przyjazd królowej—króla.

— Postanowiono — rzekł — iż jej prawie odetchnąć nie dając, koronować mają. Boją się pewnie, aby królowa Elżbieta na powrót jej nie odebrała, a na koronację z małżonkiem czekać nie chcą.

Wtem Bartosz przerwał:

— Głoszą niektórzy, iż jest wielu, co króla żadnego nie pragną; jak bajeczną Wandę, chcą ją mieć na zawsze dziewicą.

Semko w milczeniu poruszył ramionami, nastąpiło milczenie. Noc w końcu nadeszła i księżę sam z myślami pozostał.

W mieście nie było pokoju i nocą, lud podchmielony radością spać nie mógł.

Jak dzień, wrzawa się wzmogła, Semko obudził. Ulicę wysypywano zielenią, kosaćcami wonnymi i jedliną. Chłopcy z koszykami, wozy z gałęźmi przeciągały.

Lud strojny był od brzasku. Co kto miał, wdział najlepsze. Bogate mieszczki obwieszały się łańcuchy, oprawiły w klejnoty; otuliły w futerka kosztowne. Przed oczyma przesuwają się kabaty, żupany, jubki, płaszcze z Chamety, barchanów, atlasów, jedwabów, aksamitów, bawełny. Mieszczanie wyglądali jak panowie, parobcy jak panicze, dziewczęta jak władyczne córki. A śmiało się to wszystko i radowało, jakby każdy coś zyskał z tej wielkiej bryły szczęścia, która się toczyła.

Nagle na przedmieściach naprzód odezwały się dzwony, jedne po drugich uroczyście i wesoło, tłumy poczęły biec, stawać, pchać się, wdrapywać na drabiny i dachy. Jedne po drugich przejmowały pieśń wszystkie wieżyce i w powietrzu zawrzało nią.

W oknach głowy nad głowami.

Cicho, tylko dzwony biją.

Szmer poszedł: „Jadą, jedzie”...

I widać naprzód poczet konny, zbrojny, chłop w chłopa, cali w pancierzach, cali w żelazie, ręce w boki, na hełmach pióra wiewają. Konie w brzęczadłach, w okryciach, na łbach kity, u ogonów wstęgi, a z ramion i hełmów rycerzy powiewają jedwabne pasy, zwijając się w powietrzu. Jadą, jadą i końca im nie ma. Węgrowie, Polacy, trębacze, piszczałki, muzyka, bębny.

Choraży z proporcem rozpostartym, znów dwór strojny i piesi z berdyszami.

Otóż ona: Na białym koniu pod złotą oponą, śliczna, wysmukła, dziecię–dziewica, oczy to podniesie łzawe i uśmiechnie się, to spuści ku ziemi.

Piękna jak anioł, cud! Szmer ją wita... Lecz czemuż jedzie tak smutna, tak drżąca?

A oto starzec kardynał¹⁸, i Bodzanta i biskup Mały, i duchowni z łańcuchami i krzyżami na rękach. I dwanaście dziewic, i matrony jak królowe poważne, i poczet polskich panów tryumfujący.

Jadą dumni, mówić się zdając oczyma do ludu: „Mamy króla”!

Najpiękniejszy z młodzieży, na koniu najdzielniejszym z koni, białym jak mleko, to młodziuchny Spytek z Mielsztyna, na głowie z podniesioną przyłbicą szyszak złożony, na nim gwiazda. Oczy mu się śmieją, a do niego tłum się uśmiecha.

Z siwą brodą w sobolim kożuchu, na złotych szerokich strzemionach oparty, to Jaśko z Tęczyna. Obok cały w kamieniach drogich starzec, to pan krakowski.

Któż ich zliczy? Jadą pułkiem całym od złota i atlasów dumni, weseli, królikowie mali, a tłum im bije pokłony.

Oni mu dali królowę—króla.

Dalej Węgrowie przy wozach, na których skarby jadą. Straż je otacza. Ciągną kolebki, pałuby¹⁹, ogromne fury skórą kryte, dalej konie powodne, czeladź, stajenni, ciury.

Powoli, uroczyście wszystko się ku zamkowi toczy, a lud ciśnie ku kościołowi, do którego naprzód ma zajść królowa i gdzie jej arcybiskup z towarzyszami na szczęśliwe pobłogosławi panowanie. Lecz tu i dla dostojnych panów a starszyny miejsca zbrakło, i stoją w podwórzach zamkowych.

Dzwony biją radośnie, tłumy śpiewają — w ulicach szaleje ciżba. Trefnisie miejscy pstro i szachowano postrojoni²⁰ zwijają się błaznując, z okien słychać lutnie. Nieznajomi się witają — wszystko jakby bracia rodzeni.

W oknie domu z zagryzionymi wargami siedzi Bobrek. Zdało mu się przez ten czas cały, i jeszcze czuje, jakby go kto kasał i ciało mu wrywał. Zagadał do Niemców swoich, zaszwargotał i odpowiedzieć mu nie umieli — kiwali głowami tylko.

— Dzień wielki! — mruknął jeden.

— Takiego dnia baby wojsko by najtęższe pobiły — dodał drugi — ale takich dni na życie ludzkie dwóch nie ma.

— I na dwa życia rzadko jeden trafi — odpowiada drugi.

Bobrek milczy i żre się.

— Czy to im da siłę? — mruczy do siebie. — Zakon cicho siedzi, ale potęgę zbiera: żelazo po zamkach, złoto po piwnicach.

Rozśmiał się.

— Gdybym był królem sieradzkim Semkiem — zawołał — dziś bym umarł chyba!

Semko patrzył z okna, a gdy przeciągała królowa—dziewica, stał jak wryty i pobladł jak mur. Takiej niewiasty nie widział i nie marzył. Niepodobna do żadnej innej, jakby rodem była nie z tej ziemi.

Mijając dom, podniosła oczy spod rzęs ciemnych na niego — i wejrzenie to przejęło go do kości. Było jakby wyrzutem. On chciał aniołowi temu tron wydrzeć! Cofnął się mimowolnie.

Kanclerz stał za nim ze złożonymi rękami, jakby się modlił. Westchnął.

— Koronować ją chcą? Alboż ją już dziś nie ukoronowali czią tą wielką?

Bartosz z Odolanowa pierwszy raz w życiu poczuł się słabym — i rzekł w duchu, że przeciw tej sile jakiejś, co szła z tym pochodem, wojować żelazem było szaleństwem.

Co tam się tego dnia na zamku działo, nie wiedział nikt. Postawiono strażę, do pobłogosławionych przez Małego komnat niewiasty wprowadziły królowę i drzwi zaparto, aby się modliła, odpoczywała.

Któż wie? Aby płakała może...

Panów u siebie na dworcu młody wojewoda przyjmował, nie tylko polskich, ale i węgierskich, na których czele stał Emryk Bobek²¹, ojciec pięknej Elży²², jaśniejącej przy boku królowej.

Wojewoda Emryk, czysta krew starych wodzów Attyli²³, czarny mąż z ognistymi oczyma i śmiejącymi się usty, z krzywą szablą u boku i przewieszonym z ramienia płaszczkiem, pierwsze miejsce ma w gościnie. Przy nim starzy a swoi: Dobiesław z purpurową od zmęczenia twarzą, Jaśko z Tęczyna z brodą siwą, Jan z Tarnowa, Gniewosz z Dalewic i mnodzy inni. Wszystkim twarze promienieją, a oczy się śmieją.

Służba stoły zastawia, lutniści już w struny brzękają, trzech trefnisiów u drzwi na znak czeka, aby gości zabawiać, a tu rozmowa toczy się jak fala pod wiatru powiewem wesoło, kiedy niekiedy okrzykiem przerywana.

— Wojewodo! — wołał Florek z Zabrza, jednego z nim zawołania. — Wiecie, kogom widział w oknie, przyglądającego się wjazdowi królowej naszej?

— Któż cię zgadnie?

— Dwie kopy stawię, że nikt! — śmiejąc się, zawołał Florek i zatrzymał się nieco.

Spytek uderzył go po ramieniu.

— Może cię tak bardzo zdumiało przybycie tu Semka mazowieckiego? — rzekł z trochę ironii, bo prawie pewien był, iż Florek miał go na myśli.

Zagadnięty w ten sposób głowę spuścił.

— Widzę, żeście lepiej uwiadomieni, niż sądziłem — dodał. — Przegrałem dwie kopy.

— Alem ja ich nie wygrał — odparł Spytek — nie stawiałem nic.

— Cóż wy myślicie o tym przybyciu mazowieckiego, co poczniecie z nim. Przecież za Książ musicie żądać wynagrodzenia, a wątpię, żeby mu na wszystkich wierzycieli resztki księstwa starczyły — odezwał się Florek.

— Co się czasu wojny straciło, tego trudno poszukiwać na kim — rzekł Spytek dość obojętnie. — Ani od ciebie dwu kop, ani od niego za pogorzel o nic się upominać nie będę.

— A jeśli się spotkacie?

— Gotowem mu rękę podać, jeżeli się królowej pokłoni i wyrzeczce dawnych rojeń — dodał

Spytek. — Dziś dla zgody i pokoju każdy gotów coś poświęcić.

Gospodarza odciągnięto w tej chwili, a Florek pozostał zdumiony i zamyślony.

Biesiada u wojewody, na którą coraz liczniejsi przybywali goście, zgromadziła wkrótce wszystkich najznakomitszych dostojników, a nie było słyhać u stołów nic, tylko pochwały młodej pani i uwielbienia dla niej. Wszyscy byli zgodni, jedno uczucie ich ożywiało.

Znaczniejsza część, nie wyjmując gospodarza, rada była przyspieszyć dzień koronacji, aby nowa jaka przeszkoda nie zmusiła do wyczekiwania w tym stanie bezkrólewia i niepewności, który zabiegom i podstępom wrota otwierał. Postanowiono więc nie zważać na to, iż korony były w Budzie, aby na wydanie ich nie czekać. Złotnicy mieli natychmiast ukuć nową. Arcybiskup powolny we wszystkim nie czynił trudności najmniejszej, a przybyły kardynał Dymitr, arcybiskup strygoński²⁴ i ksiądz Jan biskup czanadzki nie sprzeciwiali się temu także. Wyznaczono już nawet dzień Świętej Jadwigi, piętnastego tego miesiąca, na uroczystość, do której gotowali się wszyscy.

Jaśko z Tęczyna i Spytek najgorliwiej sprawę tę popierali. U stołu układano się już o to, aby nadać obchodowi jak największą świetność. Wszyscy przybyli na spotkanie młodej pani zatrzymać się mieli, aby dnia tego towarzyszyć wspaniałemu orszakowi króla—królowej. Długo przeciągnęła się ta uczta hojna u wojewody, a gdy znużeni podróżą rozjeżdżać się do domów zaczęli, Jaśko z Tęczyna, Dobiesław z Kurozwek i Włodko z Ogrodzieńca²⁵ podczaszy zostali sami tylko na ostatku. Potrzebowali się naradzić jeszcze z sobą nad bezpieczeństwem, nad urządzeniem dworu i wyborem osób, które by jej zbyt tęsknić za matką i rodziną nie dopuszczały.

Wszyscy oni i ze czci, jaką mieli dla pani swej, i z obawy, aby obce wpływy na umysł jej nie działały, chcieli ją otoczyć tak troskliwą opieką, aby na zamek nic bez wiedzy ich docisnąć się nie mogło. Od pierwszego dnia widzieli, że wszyscy, co mieli jakiegokolwiek prawo zbliżyć się do młodej królowej, zabiegali już, aby jej łaski i zaufanie pozyskać. Snadź starali się zjednać sobie starsze panie dodane królowej i dwór jej niewieści.

Przewidywano też, iż biskup krakowski Radlica, który dzieckiem znał królową i ulubionym był jej ojcu — jej też nad innych stanie się miłym i prędzej zyska jej zaufanie. O tego nikt obawy nie miał, gdyż zacny biskup, sam podkopywany, nikomu szkodzić i nikogo by podkopywać nie potrafił.

— Dzięki Bogu, dotąd składa się nam wszystko po myśli — odezwał się Jaśko z Tęczyna — wielka teraz odpowiedzialność ciąży tylko na was, panie krakowski (zwrócił się do Dobiesława), bo zamku strzec potrzeba jak oka w głowie.

Stary kasztelan, który w tym względzie żadnego nigdy niedbalstwa do wyrzucenia sobie nie miał, krótko odparł, że mogą być spokojni. Włodko z Ogrodzieńca zaręczał też za siebie i innych urzędników dworu, iż nad królową czuwać będą.

— Łacno to przewidzieć — dodał Jaśko z Tęczyna — że póki królowa nie wybierze sobie lub my jej nie damy małżonka, będą się tu roić i kręcić ludzie z różnymi myślami.

— Staremu nawet Władysławowi Opolskiemu nie wierzę — wtrącił Spytek — bo wiem, że i on

władzy jest chciwy, i rodzaj opieki by rad objąć nad królową, na co my się żadną miarą zgodzić nie możemy.

— Nigdy w świecie! — gwałtownie zakrzyczał pan krakowski.

— Semko mazowiecki jest tu także — dodał Włodko z Ogródzieńca.

— Ale ten, sędzę, niebezpiecznym nie jest, siły nie ma, znękany, odłużony, jeżeli przybył, to ażeby robiąc pokój, mógł coś przy tym uzyskać — rzekł Jaśko.

— I zawrzeć z nim pokój, byle go dotrzymał, najbezpieczniej — odezwał się Spytek. — Nie groźny nam, ale mącić może, a my spokoju potrzebujemy.

— Władysław Opolski chytrzejszy i niebezpieczniejszy — szepnął Jaśko. — Na niego oko mieć potrzeba. Zechce się—li na zamek wprosić i w nim rozgościć...

— Nie puszczę go — rzekł Dobiesław węzłowato.

— Nie zapominajmy i o tym — ciągnął dalej pan z Tęczyna — że Wilhelm rakuski, choć go precz odprawiono i królowa Elżbieta zerwała z nim, ma być naszej pani miłym, ona jemu, i że za to ręczyć nie można, żeby się tu wcisnąć nie próbował, a ludzi sobie pozyskać.

— Królowa o nim zapomni — odezwał się Spytek — byle... byle go tu nie dopuścić...

— Nie sędzę, ażeby się ważył przybyć — mruknął Dobiesław.

— A gdyby... Wygnać go nie możemy ani wzbronić widzenia się — mówił gospodarz.

— Dość będzie czasu pomyśleć o tym, jeśliby on ośmielił się przyjechać do Krakowa — rzekł Włodko podczaszy.

— Stara ochmistrzyni, ulubiona Jadwidze Hilda — szepnął Spytek — Niemka, rodem z Wiednia, mówią, że mu sprzyja...

— Będzie się nad tym czuwało — rzekł Dobiesław.

Gdy się to działo we dworcu pana wojewody, ci, co mieli poleconym sobie patrzeć i słuchać, jak Bobrek, nie tracili czasu. Było ich zapewne wielu, lecz nikt od klechy czynniejszym nie był. W nim gorliwość dla Zakonu zwiększała nienawiść ku Polsce.

Nie ma zajadlejszych wrogów nad tych, co się swej narodowości wyrzekłszy, w sumieniu gryzieni, zniszczyć by ją chcieli, aby o swej podłości zapomnieć. Przenikliwemu klesze dosyć było się rozpatrzyć nieco i nasłuchać w tym, co Semka otaczało, aby powziąć przekonanie, że Krzyżacy na niego nie powinni byli rachować. Nie rozumiał on, co mogło mściwego i gwałtownego człowieka ukołysać tak i rozbroić, lecz czuł, iż się on już Zakonowi nie przyda.

Choć w tajemnicy dotąd trzymano swaty Jagiełłowe i myśli połączenia go z Jadwigą, Bobrek

wiedział o tym bardzo dobrze, iż większość panów i duchowieństwo stała przy tym i mocno postanowiła małżeństwo doprowadzić do skutku. Potrzeba było znaleźć coś na odwrócenie niebezpieczeństwa, na postawienie przeciw Jagielle, a nie było nikogo, co by się tak nadawał jak młody Wilhelm, narzeczony niegdyś Jadwigi. Z półsłówek tu i ówdzie pochwytyanych klecha zmiarkował, iż był on miłym królowej. Trzeba było tylko znaleźć kogoś, co by jej uczucie rozbudził na nowo i ofiarował się mu służyć.

Nazajutrz zręczny służka krzyżacki był na zamku z modlitewkami, trafił do dwu kleryków będących przy dworze pani, zrobił znajomość z, nimi i szukał człowieka, którym by się mógł posłużyć.

Widzieliśmy już, że Dobiesław z Kurozwęk pilno nad zamkiem czuwał, a Jaśko z Tęczyna i biskup Radlica nad samą królową. Na urzędników jej dworu, o których się pilno wywiadywał Bobrek, wcale nie mógł liczyć. Byli to ludzie wielkiej powagi i sumienności. Do niewiast przystęp był trudny, a gadatliwości ich lękał się Bobrek. Szukając tak człowieka przedajnego i słabego — nim przyszło do koronacji — klecha już sobie upatrył kogoś, który zdawał mu się jakby stworzony do zdrady.

Był nim podkomorzy krakowski, z urzędu swego będący przy młodej królowej, Gniewosz z Dalewic²⁶. W nim Bobrek znalazł wszystkie znamiona powolnego narzędzia do podstępного knowania.

Ubogiej rodziny szlacheckiej potomek, Gniewosz miał ambicję niezmierną i nie przybierającą w środkach. Chciało mu się z bogacić, podnieść, stanąć na równi z innymi, jakimkolwiek bądź kosztem. Pochlebca zręczny, umiał się naprzód wkraść w łaski Dobiesława i zmarłego biskupa Zawiszy²⁷, którym służył do najbrudniejszych spraw, nie dbając, co ludzie powiedzą. Lekceważył sobie języki, a stał o oczy — występować świetnie, na pozór równać się przepychem dworu, szatami, wystawnością życia z daleko możniejszymi od siebie — było głównym jego celem.

Wcisnąć się pomiędzy Leliwów i Toporów, choćby go odpychano i dawano mu czuć, co ich od niego dzieliło, szaty ich naśladować, stół mieć podobny, konie tej samej maści, suknie krojem cudzoziemskim, kawalkatora²⁸ cudzoziemca, lutnistę choćby jednego, wozy tak samo kryte, stół podobnie zastawny i wobec mieszczan a gawiedzi nie ustępować magnatom, Gniewosz miał za obowiązek i jedyny cel życia. Zawsze w długach, obarczony lichwą, nie pytał, skąd weźmie, byle dostał.

Pięknej dosyć powierzchowności, oblicza wesołego, dowcipny, bo zręcznie sobie cudzy dowcip umiał przywłaszczać, uniżony i przymilający się mocnym, zuchwały ze słabymi, dosyć dotąd szczęśliwie idąc, dobił się do podkomorstwa. Na ubożego szlachcica było to już dość znacznym, lecz jemu nie starczyło. Przemyślał ciągle nad sposobami dźwigania się wyżej jeszcze. Przykład miał na krakowskim panu.

Bobrkowi łatwo było zasięgnąć wiadomości o charakterze człowieka, którego w Krakowie znali wszyscy Żydzi, lichwiarze, roztrucharze²⁹, kupcy, bo im zalegał w znacznych sumach. Wiedzieli oni z doświadczenia, że na słowie jego polegać nie było można i że za pieniądze gotów był na wszystko. Zmuszony żyć w mieście i przy dworze, trzymać konie i ludzi, stroić się, gości przez pychę

przyjmować, udawać pana, Gniewosz potrzebował ciągle i rzucał się na wszystkie strony.

Mógł więc klecha zmiarkować, że najłatwiej mu będzie zyskać sobie jego, myśl mu poddać, zaświecić nadziejami wielkimi i pokierować tak, jak Zakonowi było potrzeba.

Bieniasz, u którego klecha stał gospodą, był z podkomorzym znajomy. Szło tylko o to, ażeby zajętego teraz służbą ściągnąć do Niemca. Bobrek był pewien, że po krótkiej rozmowie zyskać go sobie potrafi.

Właśnie Gniewosz potrzebował na przyjmowanie Węgrów i na koronację pieniędzy, a że długów miał wiele, nikt mu, ich dawać nie chciał inaczej jak na zastaw. Było to zresztą zwyczajem w czasach onych, że wobec utrudnienia w poszukiwaniu sądowym należności nie dawano inaczej jak pod zastawy, nawet panującym i książętom, którzy srebra swe a inni zamki i włości w długach dawać musieli, aż do spłacenia ich. Krzyżacy naśladowali w tym powszechny obyczaj.

Gniewoszowi tych trochę sreber, jakie miał, nie chciało się pozbywać, aby dom z oznak pewnej zamożności nie ogołocić. Latał więc za pieniędzmi. Bobrek urządził się tak, ażeby go pod pozorem pożyczki ściągnąć do Bieniasza domu. On sam gotów był mu wyjednać zasiłek jakiś, gdyby się dał pozyskać.

Nic nie kosztowało klechę, że nie mogąc swoich panów wydać, musiał się tu kłamstwem posłużyć. Dużo wprzód, nim zasada, że cel uświęca środki, wygłoszoną została przez inny zakon — Krzyżacy ją wyznawali. Słudzy ich pewni byli rozgrzeszenia postępując sobie nie wedle sumienia, ale wedle potrzeby.

Gniewosz z Dalewic dał się na krótki czas z zamku sprowadzić do Bieniasza domu, klecha, który dotąd słyszał o nim tylko, a widywał go z daleka, zobaczywszy wchodzącego, był w początku powierzchownością jego wielce zmieszany. Nie odpowiadała pojęciu, jakie miał o nim. Dworak i pochlebca wyglądał z pozoru na tak wyszlachetnionego człowieka, miał tyle powagi, otwartości, rycerskiej buty, iż Bobrek sądził, że go oszkalowano.

Lecz próbować było potrzeba. Stawił się klecha jako pośrednik lichwiarza naprzód, potem, gdy Bieniasz się oddalił, odważył się wprost wystąpić z tym, co przynosił. Zniżył głos, a że czasu było niewiele, bo podkomorzy się spieszył, począł od tego, iż należał do sług księcia rakuskiego Wilhelma, który był i nie przestał być narzeczonym Jadwigi.

— Pomagając mu, możesz Miłość Wasza być pewnym wdzięczności, fortuny, najwyższych urzędów. Królowa go kocha, idzie o to, aby zamiary panów, co ją inaczej chcą żenić, zniweczyć.

Myśl ta od razu tak przylgnęła do człowieka, iż ani się zawahał oddać na jej usługi.

— Cóż mam czynić? — zapytał.

— Naprzód się do królowej starać zbliżyć i dać jej poznać, że chcecie Wilhelmowi i jej być pomocą. Sprowadzić go tu łatwo, a gdy się raz na zamek dostanie — wszak ślub już byli raz wzięli, albo go potajemnie powtórzą, lub się bez niego obejdą. Naówczas panowie radzi nieradzi królem go

uznać muszą.

Gniewosz płonął cały i drżał z niecierpliwości.

— Mogę wam na to złożyć przysięgę — dodał klecha — że będziecie wynagrodzeni tak, jak ważna ta usługa zasługuje. Weźmiecie, co zechcecie.

Gniewoszowi szło już tylko o to, jak ma postępować, a o samą posługę ani się spierał. Ofiarował jej siebie całego.

— Rzecz jest łatwą — rzekł mu Bobrek — bo królowa kocha narzeczonego, to wiedzą wszyscy. Spytek i Jaśko chcą jej narzucić — kto wie kogo! Poganina jakiegoś, dzikiego niedźwiedzia, obrzydliwą poczwarę. Porozumiecie się łatwo z młodą panią.

Składało się to tak po myśli i charakterze chciwego a niesumiennego Gniewosza, iż klechę by był ucałował, gdyby nie duma. Jednym słowem został wtajemniczony, miał drogę wskazaną.

Spytał Bobrka, czy księżę Wilhelm, gdyby mu dano znać, przybyć zechce. Na to Bobrek, choć nie wiedział nic, na wiatr, najzuchwalej dał słowo.

Daleko w krótszym czasie, niż się spodziewał, klecha sprawił, co chciał, a oprócz tego załatwił podkomorzemu sprawę pożyczki, chociaż nieco mniejszej, niż sobie życzył. Wiedział pewnie, że Krzyżacy gotowi byli zapłacić za niego, byle się powiodło wprowadzić Wilhelma, a odeprzeć Jagiełłę.

Gniewosz wyszedł z kamienicy Bieniasza z takim uczuciem, iż mu się zdało, jakby urósł na pół łokcia, niósł głowę wyżej jeszcze, oczy mu się uśmiechały, dumnym był z tego, że miał stanąć przeciw tym wszystkim, przed którymi płaszczył się dotąd, pochlebiał im i pogardę często okazywaną znosić musiał.

Ludzie tacy jak podkomorzy czasu tracić nie zwykli. Do młodej pani przystęp tych dni był trudny, otaczano ją ciągle — przygotowania do koronacji, rozmieszczanie dworu na zamku, urządzanie życia nowego, przybywanie gości, posłów i posłańców, cały jej czas zabierało. Z urzędu swojego podkomorskiego mógł jednak zabrać bliższą znajomość z paniami, które towarzyszyły Jadwidze. Od służby już wiedział, że do starej Hildy, która młodą dziewczeczkę wychowywała, była przywiązana i największe zaufanie w niej miała.

Przy pierwszej zrzeczności Gniewosz poszedł zapoznać się z ochmistrzynią³⁰. Nie wydała mu się ani tak starą, ani tak dziką, jak mu ją odmalowano. Niemka, rodem z Wiednia, owdowiała od dawna, bezdzietna, pani Hilda była przywiązana do swej wychowanki jak do własnego dziecięcia. Kochała ją bałwochwalczo. Była to zresztą, jak się od razu mógł przekonać Gniewosz, niewiasta prosta bardzo, żywego temperamentu, pobożna i zabobonna, rozmiłowana w pieśniach i muzyce, i nimi może starająca się brak wykształcenia zastąpić.

Jadwiga wzięła ją z tego dworu austriackiego, wśród którego jakiś czas się wychowywała. Pozbawiona prawie matki, bo królowa Elżbieta mało się córkami swoimi zajmowała, królewna z

potrzeby przywiązania kochała swą Hildę.

Miłość ochmistrzyni dla tego przybranego dziecka była ślepą do najwyższego stopnia i bezwzględna. Królowa mogła od niej pożądać najdziwniejszej, najszkodliwszej rzeczy, a Hilda nie wahałaby się jej życzenia zaspokoić, nie oglądając na nic. Sprzeciwić się jej nie miała siły. Kto służył jej pani z takim samym zaparciem się siebie, był jej miłym, kto się ważył jej opierać, nieprzyjacielem. Ochmistrzyni przejęła też wszystkie upodobania swej wychowanki.

Na wielkich dworach całej Europy pieszczony obyczaj coraz bardziej brał górę. Rycerstwo przeradzało się w poetyczną jakąś komedię życia, pełną pieśni, miłosnych marzeń, wymyślanych najdziwniej obrzędów i praw. Strojono się, bawiono, słuchano muzyki i przypatrywano rycerskim turniejom, coraz więcej schodzącym na dworskie igraszki.

Obok tej strony idealnej życia rozwiążność obyczajów była tak wielka jak pobożność, która z nią szła niepojętym sposobem w parze. Świat to był dziwny, zupełnie do dzisiejszego niepodobny, jeszcze średniowieczną gorącością temperamentów, rozkielzaniem fantazji i wiarą głęboką a ascetyzmem nacechowany. Najsprzeczniejsze się w nim łączyły wady i przymioty: kradziono przez pobożność relikwie świętych, zamarzano się głodem, a piękne panie liczyły dziesiątkami wielbicieli, dla których tylko pozornie były okrutne.

Miłosna pieśń rozlegała się szeroko. Na dworze Jadwigi z nią razem przybywali lutniści, śpiewacy, bo bez nich obejść się nie było podobna. Niemłody już, lecz mistrz w swym rodzaju, Handslik³¹, pieśniarz sławny, dowodził gromadce. Królowa lubiła go dawniej, cóż dopiero teraz, gdy jej miał w tym kraju obcym przypomnieć Wiedeń i Budę.

Gniewosz, dostawszy się do mieszkania Hildy, której usługi swe ofiarował, umiał ją sobie od pierwszych słów, choć bardzo złą niemczyzną powiedzianych, pozyskać. Zaręczał jej, że cześć i miłość dla tej pani, którą tu wszyscy otaczali takim poszanowaniem, sprowadzała go do niej, ofiarował się być pomocą, wiernym sługą, czekał na rozkazy.

Hilda uszczęśliwioną była, że kogoś znalazła wśród obcych, co mógł i chciał pierwsze kroki wśród tego nieznanego świata ułatwić. Wylała się przed nim zaraz z wielkim niepokojem o tę panią swą, tego anioła, którego musiano rzucić tak na postawę w kraj nieznanym, między ludzi nowych... samą jedną.

Gniewosz umiał zawiązać rozmowę i potakiwaniem zyskać zaufanie. I on bolał nad losem królowej, ale miał razem nadzieję, że ona swą wolę mieć będzie i o przyszłości stanować. Bardzo zręcznie podkomorzy napomknął z daleka, z lekka, ostrożnie o Wilhelmie, dając do zrozumienia, że dla niego nie było tajemnicą przywiązanie Jadwigi do niego.

Ochmistrzyni Hilda, która już była przełęczoną tym, że o innym jakimś mężu dla jej wychowanki mówiono, chwyciła się Gniewoszewego słowa namiętnie. Miało ono stanowić węzeł między nimi. Współczuciem tym pozyskał sobie ochmistrzynię. Na razie więcej Gniewosz uczynić nie mógł, nic nie nagliło.

Dawne jego stosunki z Dobiesławem i synem jego biskupem Zawiszą, pokorne dworowanie innym

panom, pilne spełnianie ich rozkazów, dawało na teraz wielką swobodę. Nikt z tych, co się przyczynili do wyniesienia go na podkomorstwo, posądzać go nawet nie mógł, aby śmiał coś czynić na swą rękę, przeciwko ich woli. Gniewosz zresztą, im zuchwalej zabierał się knuć, tym pozornie powolniejszym się dla wszystkich okazywał.

W ciągu tych dni, które przybycie dzieliły od koronacji, wszystko było na zamku w tak gorączkowym ruchu, iż nikt bliżej postępowania pojedynczych osób śledzić nie mógł. Podkomorzy więc miał zręczność, oprócz Hildy, zyskać sobie dwie starsze panie z orszaku Jadwigi, a w ludziach i służbie się rozpatrzyć.

Wszyscy przybyli w ogóle przynosili z sobą bardzo wybitne uprzedzenia przeciwko krajowi, który nauczono się od czasu Kaźmierza i na dworze Loisa, nie cierpiącego cuchnących Polaków, malować jako barbarzyński. Cały ten dwór pieszczony, wydelikacowany, zepsuty, czujący się niby wyższym nad ludzi, wśród których go rzucono, wzdychał do odzyskania dawnych stosunków z księciem rakuskim i sprzyjał mu.

Gniewoszowi łatwo było przekonać się, że znajdzie sprzymierzeńców i pomocników. Zadanie wydawało się łatwym, a dla niego stanowiło o przyszłości. Wiedział on równie dobrze, iż pomiędzy panami snuto jakieś inne przyszłości plany. Nie zwierzano mu się z nimi, lecz z każdym dniem tajemnica powołania na tron Jagiełły mniej była skrywaną.

Od pierwszych dni po przybyciu Jadwigi widocznym było, że ci, co tu władali, mieli zamiary różne i dzielili się na obozy. Największa siła była przy tych, co za Jagiełłą głosowali. Sprawa kraju, jego potęgi, obrony, wzrostu była w dokonaniu myśli tej, która nieszczęśliwą Polskę nagle miała uczynić silniejszą, niż kiedykolwiek była. Obok tych, co z Jaśkiem z Tęczyna zwali to natchnieniem Bożym, była i garść mniej dbałych o dobro ogólne, a więcej o własne. Ci głosowali za tym, aby królowej nie wydawać za mąż i czcząc ją a padając przed nią, rządzić za nią.

Miał mniejszą jeszcze gromadkę przyjaciół książę Władysław Opolski, który spodziewał się zamek opanować fortelem, królowę wziąć w opiekę, która by była niewolą, i sam rządzić za nią. Milczący Niemiec nawet po zaślubieniu Jadwigi z Jagiełłą nie wyrzekł się knowań, które spełzły na niczym.

Wielkopolanie niektórzy może jeszcze marzyli o Semku, lecz i przybycie jego potajemne do Krakowa, i sposób zachowania się nie dozwalały na niego rachować.

Na ostatek Gniewosz także spodziewał się później znaleźć sprzymierzeńców i pomocników.

Tak około smutnej wygnanki, której z takim pośpiechem gotowano się na skronie włożyć koronę, czyniąc ją „królem”, snuły się niewidoczne nici pajęczce najrozmaitszych zabiegów... Wszyscy jednak uznawali ją panią i dosyć było widoku tego ślicznego dziewczęcia, by serca zjednać, tak że nikt nie pomyślał ani praw jej zaprzeczać, ani ją z nich wyzuwać. I zarówno wszyscy żądali namaszczenia, błogosławieństwa kościoła, przysięgi, aby umocnić na tronie młodą swą panią.

Rozdział IV

Przebrzmiały śpiewy i dzwony na Wawelu, obrzęd, na który z taką oczekiwaną niecierpliwością, odbył się uroczyste, wśród tego wesela, które znamionowały przybycie Jadwigi.

Wszyscy, co z uwielbieniem przypatrywali się temu aniołowi ukoronowanemu, gdy w szatach królewsko–kapłańskich, z koroną na czole, z berłem i jabłkiem w dłoni, z rozpuszczonymi na ramiona włosami, stał przed wielkim ołtarzem, promienisty, cudnie piękny, widzieli także w ciągu całego obrzędu nie radość na twarzyczce, nie blask zwycięski w źrenicach, ale trwogę i smutek.

Oczy zdawały się zachodzić łzami, rączki drżały, dźwigając ciężkie władzy znamiona, zdawała się upadać pod brzemieniem tych szat złotych.

A gdy na tronie zasiadła przy ucztach, otoczona gronem najpierwszych mężów, najdostojniejszych radców swoich, gdy zabrzmiały tu wesołe pieśni i grzmiące trąby, i okrzyki radosne, widzieli, jak dwa pereł strumienie pobiegły po białej twarzyczce.

Gdy potem wreszcie, odprowadzona przez cały orszak dziewczic i matron, poszła spocząć do swej sypialni, nie widział nikt, jak się rzuciła w objęcia Hildy i wybuchnęła płaczem długim.

Wśród tego tłumu, tej wrzawy czuła się samą, sierotą nieszczęśliwą, dzień jej triumfu był jakby pogrzebem nadziei, rozstaniem z przeszłością całą.

Tu nic, nigdzie nie przypominało jej narzeczonego, z którym ona czuła się połączona przysięgą, wspomnieniami młodości — sercem.

Znali się i kochali od dzieciństwa. Wszystkie marzenia królowej, od czasu, jak się marzyć nauczyła, snuły się około szczęścia z Wilhelmem, z młodziuchnym rówieśnikiem, wychowanym jak ona, wypieszczonym jej za męża.

Tu od czasu przybycia nikt jego imienia nie wspomniał, nikt się nie ważył szepnąć, że żył, pogrzebiono go ciszą grobową.

Matka wprawdzie kazała jej jawnie wyrzec się go dla korony i sama się zaparła wszelkich zobowiązań tylekroć i niedawno za poręką Opolczyka powtarzanych, ale sam na sam z płaczącą córką pocieszała ją tym, że byle tron otrzymała, Wilhelma na nim posadzi.

Tu, teraz — nie widać było ani promyka nadziei.

Klękali przed nią wszyscy, ale o jej szczęściu nikt nie myślał i nie mówił.

Jedna Hilda, objawszy ją płaczącą, zrozumiała, co łzy te znaczyły, i umiała ją pocieszyć. Szepnęła cichutko:

— Nie płacz, mamy tu przyjaciół. On przybędzie.

I nagle podniosła główkę królowa, wlepiając oczy w Hildę niedowierzająco. Łzy jeszcze nie były oschły, lecz na samo to wspomnienie usta się uśmiechać chciały.

— Cierpliwości, królowo moja — szepnęła stara. — Wszystko czego pragniesz, stać się musi.

Piękna Elża, córka Emryka, wojewody, i inne dziewczątka, które pani do sypialni towarzyszyły, nie mogły pojąć, jakim cudem Hilda kilka czarownymi słowami taką zmianę sprawiła.

Jadwiga podniosła się z na wpół dziecięcą wesołością, tak nagłą jak był smutek, poczynając o swym znużeniu, o obrzędzie, o wszystkim, co mu towarzyszyło.

Każda z dziewcząt miała coś do powiedzenia, jakiś szczegół zabawny, jakieś spostrzeżenie, jakąś obawę, przebytą w ciągu uroczystości.

Jadwiga skarżyła się na ciężką swą koronę, na jabłko, które jej rękę zdrętwiło, na płaszcz, co się zsuwał z ramion.

Inne opisywały postawy panów, co towarzyszyli obrzędowi, co nieśli znamiona władzy, i śmiały się z tego ogromnego miecza królowej, którego by rączki jej podźwignąć nie mogły.

Piękna czarnooka Elża nazywała żartobliwie panią swą — królem, i zapytywała, czy ten, którego ona weźmie za męża, będzie się chyba musiał nazywać — królową?

Lecz na wspomnienie to zachmurzyło się piękne czoło.

Elża, chcąc naprawić, co powiedziała, pocieszyła zaręczając, iż wie od Spytka, narzeczonego swojego, że za mąż swojego króla tak rychło wydawać nie myśla.

Lecz i to zapewnienie nie rozjaśniło czoła królowej.

Więc druga, Ofka, coś wspomniała o lutnistach i pieśni, i polskim cytarzycie, który śpiew niezrozumiały nucił, tak jakoś tęskny, jakby nie weselnym był.

W sypialni zamkniętej, pomimo oddalenia od komnat, w których ucztowano, słychać było wrzawę, szum tłumu i dźwięki muzyki, fletnie i trąby. Niektórym z dziewcząt nóżki jeszcze drżały do tańca, lecz oczy się do snu kleiły. Hilda rozbierała z pomocą służebnych swą panią; dziewczę spletało włosy. Podawano nocne ubranie, zdejmowano klejnoty ciężkie.

Zadumana królowa spoglądała czasami na Hildę, która dawała jej znaki porozumienia, pociechy. Złożyła ją potem, otulając w łożu wspaniałym, i kołysała objawszy jak dziecko, szepcząc do ucha:

— Królowo, zawołasz, przyjdzie...

Z tych wszystkich ludzi nowych lub mało znanych Jadwiga już wybrała sobie takich, co się jej zdali godniejszymi wiary. Jaśko z Tęczyna, Zawisza z Oleśnicy³², Spytka z Mielsztyna mieli dla niej

twarze, co przyjaciół zwiastują, stary biskup Małeńki, którego ojciec jej kochał, był jednak najbliższym. Lecz na samą myśl zwierzenia się jednemu z nich lice jej okrywał rumieniec.

Tymczasem wyprzedzano się, aby zabawić młodą panią, która nic innego do czynienia nie miała, oprócz przyjmowania hołdów, pokłonów, podarków, przypuszczania ludzi do ucałowania jej ręki. Co dzień starsze panie podszeptywały jej, kogo do stołu swego zaprosić miała, a każda z nich opiekowała się szczególnie jednym z otaczających. Za Spytkiem, uśmiechając się, mówiła przyjaciółka Elża Emrykówna, rozumna matka jej za Jaśkiem z Tęczyna, który szczególnie miłym był królowej i kochał ją jak ojciec. Sama Jadwiga prosiła ciągle biskupa, aby jej nie opuszczał i nie zapominał o niej. Podskarbi Dymitr z Goraja³³, podkomorzy Gniewosz, o którym cicho szeptała Hilda, że był bardzo królowej oddanym, byli też częstymi na zamku gośćmi. Wciskał się i Władysław Opolski, który ze swym milczeniem, twarzą ponurą, dumną postawą i chęcią rządzenia się niemiłe czynił wrażenie na Jadwidze.

Wkrótce po koronacji dopełniający jej obrzęd odbył się w rynku krakowskim, gdzie hołd i dary złożyli królowej mieszczanie.

Wszystko to zabawiało na chwilę, dawało zapomnieć o troskach i osieroceniu, lecz z powrotem na zamek do pustych komnat biednej pani tęskno było. Czuła się straszliwie samą pomimo liczego dworu. Część dnia zapełniły modlitwy i kościół, drugą przyjmowanie gości, których zawsze bywało pełno, resztę dziewczęta i ona zaczęły spędzać u krosien. Wieczorem Handslik i lutniści śpiewali pieśni, które Wiedeń przypominały, i ła się kręciła w oku.

Pora roku nie dozwalała ani poznać pięknych okolic Krakowa, ani przedsięwziąć wycieczek; jesień ostra i zimna zwiastowała nadchodzącą długą zimą. Rzadko z dala na horyzoncie Elża mogła zobaczyć i pokazać królowej Tatry, sinym łańcuchem oddzielające od Węgier, stojące tam jak mur na straży.

Tak się zaczynało panowanie młodej pani.

Dla swych gości, dla tych, co ją tu otaczali taką czcią i miłością, czasem posuniętą aż do uniesień i bałwochwalstwa, Jadwiga starała się okazywać twarz wesołą, a jednak wszyscy czuli w niej stłumiony smutek. Wyraz ten mimowolnej tęsknoty w twarzyczce może jej dawał urok nowy, czarował, lecz cóż jej było po tych hołdach, gdy o swą przyszłość drżeć musiała. Jedna tylko Hilda знаła głąb jej serca i przyczynę, dla której oczy piękne tak smutnie, błagając litości, patrzyły.

Codzienny gość na zamku wojewoda Spytek, który tu równie dla królowej, jak dla swej Elży przychodził, dnia jednego przy biskupie Radlicy począł mówić o tym, iż główny niegdyś nieprzyjaciół Jadwigi, ten, co się starał o koronę i był nawet już królem obrany, ten, którego za męża chciano narzucić jej, znajdował się od niejakiego czasu w Krakowie. Na wspomnienie o tym, iż jej go za męża narzucić chciano, zarumieniła się mocno królowa czternastoletnia; oczy jej nabrały wyrazu energicznego, dziecinnej jakiejś śmiałości i odważyła się odpowiedzieć:

— Maż kto prawo narzucić mi męża?

Pytanie to zmieszało nieco biskupa, do którego więcej niż do Spytko zdawało się wystosowane.

Biskup był człowiekiem prostodusznym i prawdomównym.

— Miłościwa Pani — rzekł — narzucić nikt nie ma prawa, ale gdybyś chciała wybrać takiego, który by królestwu mógł być szkodliwym i groźnym, niestety, oprzeć by się mogli ojczyznie tego kraju.

Jadwiga pomyślała i zwróciła się do Spytka:

— Książę mazowiecki jest tu? A jam go nie widziała. Jak sądzicie, cóż go tu sprowadziło?

— Nie wiem, ale sądzę, iż pewnie chęć poddania się i pojednania — rzekł Spyttek. — Ja jestem ten, do którego on podobno żal ma największy, tak przynajmniej sądzę z tego, że mi przez zemstę spalił i złupił część znaczną dóbr moich, ale pierwszy bym za tym głosował, aby z nim zrobić zgodę. Biedny jest, stracił wiele...

— Mówisz jak dobry chrześcijanin i jak poczciwe dziecko tej ziemi — przerwał biskup. — Zemsta jest rzeczą pogańską.

Jadwiga go słuchała z ciekawością.

— Ale książę mazowiecki żadnego nie zrobił kroku? — spytała.

— Dotąd nie — odpowiedział biskup — sądzę wszakże, iż użyje arcybiskupa, który niegdyś go królem ogłosił, aby teraz pomógł mu do pojednania z naszym królem ukoronowanym.

Jadwiga nic nie odpowiedziała. Z całej tej rozmowy w myśli jej tylko pozostało, co powiedział Radlica, że narzucić jej męża nie mogli, ale odebrać go, nie dopuścić byli w prawie. Całe więc szczęście jej zależało od dobrej woli panów Rady. Ci się jej zdawali tak dobrzy, przywiązani, wylani, i myślała — nie mogli odebrać jej tego, bez czego by żyć nie potrafiła.

Komuś zwierzyć się musiała. Biskup Radlica jako dawny i poufalej znajomy zdawał się najbliższym. Czekwała, aby byli sami. Co dzień z rana ktoś ze dworu potrzebował jego rady lekarskiej, której zacny pasterz nie odmawiał. Ze swej katedry przychodził pieszo na zamek, wstępując do komnat królowej i jej służby. Hilda szczególnie nieustannie się na jakieś dolegliwości skarżyła, a najmniejsze cierpienie ją przerażało.

Raz Radlica znalazł się u królowej, gdy świeżo z kościoła powróciła. Służebne przyniosły mu polewkę, a młoda pani siadła przy nim uśmiechając się.

— Mój ojciec — rzekła cicho — mój ojciec, miałabym prośbę do was...

Biskup z głosu drżącego, z nieśmiałości, z którą wyraziła te wymawiała, mógł wnieść, iż szło w istocie o coś nadzwyczaj ważnego.

— Rozkazujcie! — rzekł żywo.

— Nie znam dobrze położenia mego — mówiła Jadwiga nieśmiało i wahając się, a głos jej coraz cichszym się stawał. — Wiecie, że w dzieciństwie byłam przyrzeczoną i zaślubioną księciu

Wilhelmowi. Niedawno jeszcze na nowo umowa ta potwierdzoną została, ręczył za jej spełnienie książę opolski. Potem, potem matka przymuszona umowę tę unieważniła, a potem jeszcze po cichu zaręczyła mi, że ona musi przyjść do skutku... Ja tego wszystkiego nie rozumiem, mój ojciec (łzy się jej w oczach kręciły), ale wiem, że od dziecka nawykłam kochać go i uważać jak męża... Ja... (tu głosu jej zabrakło) — ja bym żyć bez niego nie potrafiła... A jakże można nas rozdzielać? Kościół pobłogosławił, ja obrączkę jego dotąd na palcu noszę. On jest moim, ja jego...

Biskup słuchał z natężeniem i współczuciem, lecz na twarzy jego malowało się przykre zakłopotanie, a gdy mówić przestała, potrzebował długiej chwili do namysłu, nim się zebrał na odpowiedź.

— Królowo moja — rzekł po cichu. — Ja wiem i wiedziałem to wszystko... Tak... tak było... ale dziś wy jesteście panią kraju, który w mężu Twoim szukać musi dla siebie też króla, jakiego mu potrzeba.

— A Wilhelmże nim być nie może? — odparła Jadwiga. — Wilhelm...

— Pani moja — począł biskup składając ręce. — Ja spełna nie wiem, co panowie Rady postanowią. Nie spieszą oni z daniem męża pani, którą kochają...

— Jeśli w istocie mają przywiązanie do mnie, mogliby chcieć widzieć mnie nieszczęśliwą i wiarołomną?

Biskup pomyślał trochę.

— Wiarołomną, nie — rzekł. — Ten ślub w dzieciństwie zawarty nie był właściwie ślubem... Kościół...

Jadwiga powstała żywo z siedzenia.

— Ojciec mój! — zawołała rumieniąc się. — Ślub dla innych mógł być nieważnym, ale jam sercem przysięgła...

— Uspokój się, uspokój! — odezwał się ksiądz Radlica, widząc ją zburzoną. — Ja nie wiem nic... ja tu nie mam wpływu, niestety. Ubolewać mogę, radzić, ale pomóc...

Biedny mały biskup ręce rozłożył.

— Nie mam tu siły ani wpływu — rzekł — trzeba mówić z innymi.

— Z kim? — spytała królowa siadając.

Radlica potrzebował znów chwili namysłu, nim odpowiedział.

— Z kim? Zaprawdę, zaprawdę. Oni wszyscy kochają swą panią i życzą jej dobrze, lecz... kraj i Polska...

Spuścił głowę.

— Jaśko z Tęczyna poważnym jest mężem; Jan z Tarnowa, Sędziwój z Szubina...

Przez chwilę milczała królowa i brwi jej się zbiegły, czoło białe zmarszczyło.

— Mielizby już kogo? — przerwała żywo. — Przybycie księcia mazowieckiego oznaczałoby...

Radlica tym razem zaprotestował prędko.

— Mazowiecki? Nigdy w świecie! — rzekł. — Nikt go tu nie chciał i nie chce. Uchodzi za potomka rodu, który się odznaczał gwałtownością i surowością. Acz młodego, boją się go wszyscy. Przyjaciół nie ma.

Królowa odetchnęła swobodniej.

— Nieprawdaż — rzekła, wyciągając białą swą rączkę ku biskupowi. — Wy, coście byli ojca mojego przyjacielem, nie opuścicie córki jego. Wy...

— Królowo moja! Cały oddaję się na twe posługi, lecz słabą pomoc mieć będziesz ze mnie...

Dano znać o przybyciu Jaśka z Tęczyna i królowa wraz z biskupem wyszła do drugiej komnaty na jego przyjęcie. Był on tu gościem codziennym i miłym, lecz z nim Jadwiga tak szczerze i otwarcie mówić nie mogła, jak z małym biskupem, bo kasztelan wojnicki, mimo poszanowania dla niej, tak się z nią obchodził, jakby w niej prawie widział dziecię, niedorosłą dziewczkę.

Wprawdzie wiek królowej to usprawiedliwiał, lecz w istocie dojrzała była życiem, smutkiem, losem swym i szczególnymi darami Bożymi, jakimi wyposażoną została. Są łaski stanu, jak je Kościół nazywa, a taką łaskę miała Jadwiga, gdy jej Opatrzność przeznaczała stanąć u steru wielkiego królestwa i rozstrzygać o losach jego. Wzrok jej sięgał głębiej i myśl szła dalej, niż Jaśko przewidywał.

Zwyczajem swym począł od zapytania, co by jej mogło najmilszą sprawić rozrywkę. Królowa zapłoniła się, uśmiechnęła.

— Bawię się ciągle — rzekła — dla urozmaicenia dajcie mi co robić? Naznaczcie pracę jaką?

— Cóż? Chyba szycie dla kościoła? — odparł Jaśko. — Jeżeli Wasza Miłość rozkażecie, pan Dymitr ze skarbcu wyda miarę pereł, choćby taką — jaką owies dla koni zwykli mierzyć... Jeżeli ich w skarbcu nie stanie, my dosypimy, ile będzie potrzeba.

Podziękowała Jadwiga. Biskup stał z boku zadumany, może o jakim elektuarium³⁴ lub cudownej driakwi. Po chwili królowa spytała Jaśka, czy i on wiedział o pobycie w Krakowie księcia mazowieckiego.

— Tak jest, zaprawdę, wiem i ja, że się on tu znajduje — odparł Jaśko — i domyślam się, że jużci tu z wojną nie przybył, tylko z pokojem. Nie wypada nam jednak szukać go pierwszym, jak gdybyśmy

my więcej niż on pożąдали spokoju tego.

— A! Pokój i bezpieczeństwo dla ludzi tak wielką jest rzeczą — odezwała się Jadwiga — że się schylić po nie wahać się nie³⁵ można.

— Więc, Miłościwa Pani, byłabyś za tym, aby przeszłość puszczając w niepamięć — rzekł Jaśko — starać się zbliżyć do niego?

— Wy lepiej wiecie pewnie, jak to uczynić potrzeba — odezwała się królowa — lecz dlaczegoż by mój pokrewny, choć daleki, polski książę, nie miał być na zamku przyjętym?

Pan z Tęczyna pomyślał trochę.

— On by sam o to powinien prosić królowę — rzekł.

— A jeśli lęka się odmowy i upokorzenia, nie godziż się, by silniejsza, bo królowa, mu ich oszczędziła?

Wyrazy te tak się pięknymi i szlachetną myślą natchnionymi wydały Jaśkowi, iż ręce złożył, z uwielbieniem dla tej, co je wyrzekła.

— A! Tyś była na królowę stworzona! — zawołał w uniesieniu, żywy rumieniec skromności wywołując na jej twarzyczkę.

— Tak — rzekł po krótkim namyśle — poślę do niego kogoś, co mu oznajmi o tym, że miłościwie będzie przyjęty.

Po krótkiej rozmowie o kilku osobach, które królowej dla złożenia hołdu przyprowadzić chciano, odszedł Tęczyński z Radlicą. Lecz niedalej jak w przedsieni zwrócił się do biskupa.

— Słyszeliście — rzekł. — W tej pani jest szczególna łaska Boża, dająca jej rozum nad wiek. Nie wiem, czy drugą taką istotę wydała ziemia kiedy. Wszystko ma razem, piękność anielską, serce szlachetne, rozum dojrzały, a te doskonałości mieszczą się w niedorosłym, ledwie rozkwitającym dziewczęciu! Nie cud—że to? A nie jestże drugim cudem, iż ona się nam właśnie dostała?

Biskup potakiwał milczący, ale smutnie. Wrażenie rozmowy niedawnej ciążyło na nim; nie śmiał jednak zwierzyć się z niej panu wojnickiemu. Czuł się za słabym, aby dobrowolnie mieszać się do tych spraw, które więcej energii, niż on jej miał, wymagały.

Rozstali się tak w progu, a kasztelan wojnicki wrócił do swojego dworca z postanowieniem spełnienia woli pani. Chciał to jednak wykonać w ten sposób, aby jej godność na tym nie cierpiała. Potrzeba mu było zręcznego pośrednika, którego szukał w myśli, gdy Spytek z Mielsztyna nadszedł.

Młode panie na ten raz sprawy innej nie miało nad pokazanie kasztelanowi nabytego świeżo, wielkiej ceny i piękności bachmata. Spytek, choć poważnym być umiał, młodym być nie przestał. Bawiło go to, co i drugich. Zajęty swoim rumakiem, z gorącością począł go zachwalać Jaśkowi, gdy ten mu przerwał:

— Byłem u królowej. Wiecie, że dowiedziawszy się o Semku, chce wspaniale sama, pierwsza rękę mu podać do zgody?

— Ja jej o nim mówiłem — rzekł Spytek — byłem pewnym, że to uczyni.

— Łamię głowę, kogo mam użyć za pośrednika.

— Zaprawdę! — wykrzyknął Spytek. — W myśl naszej pani nie ma nikogo nade mnie. On mi Książ spalił, ja się pomszczę rycersko, sam, pierwszy przynosząc mu zapomnienie krzywdy i dobre królowej słowo.

Jaśko z Tęczyna, który czuł mocno każdy czyn szlachetny, przystąpił do młodego gościa, aby go uścisnąć. Spytek się uśmiechał wesoło.

— Biorę to na siebie — rzekł.

Semko z Bartoszem właśnie nad tym jeszcze radzili, jak skłonić arcybiskupa, aby przemówił do królowej za księciem. Zawsze bojaźliwy, a wystraszony klęskami, jakie poniósł, arcybiskup wymawiał się — nie okazywał gotowości wielkiej. Semko nadto był dumnym, aby go prosić. Chciano użyć Radlicy, jako poufałego na zamku, gdy tegoż dnia Spytek na swoim bachmacie z kilką dworzan zajechał przed gospodę księcia.

Bartosz, który wyjrzał oknem, zobaczył go i oczom prawie nie chciał wierzyć. Semko zerwał się, spozierając na miecz i sądząc, że wróg, bo za takiego miał wojewodę, może z zemstą jakąś przybywać.

Wtem drzwi się otworzyły i Spytek, z twarzą jasną, wszedł pozdrawiając księcia.

— Przynoszę — rzekł — Miłości Waszej nowinę, która, jak sądzę, miłą Jej będzie, jak miłą mnie jest, że ją mogę sam zwiastować. Królowa nasza dowiedziała się o pobycie Jego w Krakowie. Wiem to, że na zamku by przyjęła Miłość Waszą uprzejmie.

Stał Semko zmieszany wielce i niemal upokorzony.

— Czasu wojny — dodał Spytek — mogliśmy sobie być przeciwnikami, dziś trzeba o tym zapomnieć. Ja z dobrym sercem przychodzę i ze słowem dobrym.

— A ja — rzekł Semko podając rękę — równym je przyjmuję. Proszę, abyście mi urazy i szkody przebaczyli.

— Rzeczy to już stare — rzekł wesoło Spytek. — Kiedy Wasza Miłość na zamku być zechcecie?

— Choćby jutro — odparł książę.

— Ja się tam znajdę — rzekł Spytek — abym był Waszej Miłości, jeśli potrzeba, pomocnym.

Podziękował Semko, lecz na myśl mu przyszło, że może ta jego „pokora” zbyt być publiczną i w

istocie upokarzającą. Ośmielił się odezwać z cicha:

— Wszak ci zbyt wielu świadków nie powołacie? Wolałbym...

Spytek nie dał mu dokończyć.

— Wybierz księżę godzinę albo ranną bardzo, lub spóźnioną, naówczas unikniemy niepotrzebnych oczu gawiedzi.

Raz jeszcze podziękował mu księżę ujęty szlachetnością tego, którego za nieprzyjaciela nieprześląganego uważał. Świadek tej sceny Bartosz widział w tym także prawdziwie rycerską wspaniałomyślność.

Z tym wszystkim nawet powodzenie dla Semka było niemal poniżającym. Czuł on to mocno. Spadł już tak nisko, że nawet zemstą go nie chciano zaszczyścić. Nie okazał jednak boleści, jakiej doznał. Znosił z jakąś dumą wewnętrzną wszystko, czym go los dotykał.

Nazajutrz nie mógł się inaczej stawić przed królową, jak w poczcie bardzo skromnym, bez żadnej wystawy, która by jego pochodzenie i stanowisko, o które się dobijał, cechowała. Nie miał z sobą ani licznego orszaku, ani szat, ani wytwornych przyborów. Znajdował też, że zwyciężonemu, wyrzekającemu się dobrowolnie wielkich nadziei, schodzącemu znów do tego bytu, który mu ojciec ukazał, brat doradzał, przystało lepiej wyrzec się wszelkich błyskotek. Ofiara ta kosztowała go, lecz nie byłże teraz pokutnikiem, co za grzechy swe musiał cierpieć?

Królowa zawczasu została uwiadomiona. Dnia tego więc dwór jej, matrony, dziewice, urzędnicy, ona sama po królewsku wystąpić chciała. Musiała być nie Jadwigą, ale owym królem Polski, jakim jej być kazano.

Semko, który widział ją w dzień wjazdu, potem czasu koronacji w kościele, w rynku, gdy ją miasto przyjmowało za chwyconym był jej pięknnością. Uczucie to młodzieńcze truło mu nawet wspomnienie pięknej Olgi, która była dlań przeznaczoną. Czymże przy tej cudnej pani była piękność Litwinki całkiem ziemską, czysto ludzką, gdy w Jadwidze Semko, jak wszyscy anielskiego coś uznawali.

Myślał i gryzł się tym, że los jakby dla większego urągowiska zbliżał go w ustach i myślach ludzi do Jadwigi, że ich żeniono, że trocha lepszej doli mogła go była z tym aniołem połączyć.

Teraz nawet jeszcze Bartosz uparty znajdował, że było można próbować zjednać ją sobie, że Wilhelma nie chciano, a Jagiełły obawiano się także. Lecz Semko już się tym ludzi nie dawał, wiedział, że walczyć nie może.

Z rana on i Bartosz z Odolanowa przybrali się bardzo skromnie i znaleźli się w kościele na mszy, na której królowa była przytomną. Tuż za nią Semko szedł do zamku i Spytek go wprowadził.

Stała się jednak rzecz nie przewidziana, nie dopuszczono Bartosza, który z gniewem wielkim zaraz precz z zamku odjechał. Czyją to było sprawą, nie wiadomo, dosyć że mieć go tu nie chciano.

Śliczna dnia tego, z weselszą twarzą, z oczyma jasnymi, uśmiechnięta, uprzejmości pełna królowa

powitała Semka jako powinowatego sobie księżęcia, ani mówiąc, ni dopuszczając nic wspomnieć o przeszłości. Mówiła o sobie, o kraju tym, o Krakowie, o zamku, ze zręcznością wielką unikając wszystkiego, co by podrażnić mogło.

Semko musiał się dziwić temu majestatowi, jaki sobie umiało nadać dziewczę młodziuchne. Wydała mu się w istocie królową.

Rozgorzał dla niej tak jak wszyscy zachwytem wielkim, lecz razem było w nim uczucie nierówności, myślą się już nie podnosił do córki Ludwika. Był dla niej zbyt prostym chłopem, jak się sam zwał w duchu.

Jadwiga widocznie zjednać go sobie życzyła. Po pierwszej chwili ceremonialnego przyjęcia, gdy księżę oświadczył, że widział ją w czasie wjazdu, a potem przy uroczystych obrzędach, spytała go wesoło, czy wyczytał na jej twarzy, jak była przestraszona i zmęczona.

Semko odpowiedział tylko, że niemniej była piękną zawsze.

Naówczas Jadwiga, zwracając się ku swoim towarzyszkom, wśród których były bardzo piękne też twarzyczki, dodała z uśmiechem, że przy tamtych mogła zgasnąć. Wszystkie dziewczęta pospuszczały oczy, ale niejedna potem, podnosząc je, na pięknego księcia mazowieckiego zwróciła.

Od królowej dowiedział się po raz pierwszy Semko, że i brat jego Janusz spodziewanym był w Krakowie, i dlatego nakłaniała go, ażeby i on dłuższy tu czas pozostał. Księżę, choćby dlatego, aby móc patrzeć na piękną królową, pobyt swój gotów był przedłużyć. Nie sprzeciwiał się też temu. Po krótkim pierwszym spotkaniu zaproszony, ażeby na zamku bywał, odjechał Semko tak oczarowany, jak wszyscy, co się do młodej zbliżali pani.

Z tym uspokojeniem, które powiększała nadzieja, iż królowa w układach dla niego będzie powolną, powrócił księżę do gospody. Ale tu czekał nań Bartosz do wściekłości doprowadzony daną mu przez urzędników dworu suchą i dumną ode drzwi od prawą. Zaledwie Semko się ukazał w progu, gdy pan z Odolanowa grzmiącym głosem użalać się zaczął.

— Taki los czeka tych, co się dla księżąt poświęcają! wołał. — Panowie zyskują łatwe przebaczenie, na nas spada pokuta i kara!

— Nie czyńże mnie wymówek — odezwał się Semko urażony. — Wiesz sam, że ja nic winien nie jestem. Słowem mym rękę ci za jedno, to, że ja cię nie opuszczę.

Bartosza to wszakże nie mogło uspokoić, burzył się przeciw wszystkim, posądzał Spytka, odgrażał się zemstą już bezsilną. Gotów był Polskę porzucić, kraj opuścić. Na ostatek, lękając o osobę swą, natychmiast z ludźmi swoimi chciał się z Krakowa wynosić. Księżę się oparł.

— Ja rękę za twoje bezpieczeństwo — rzekł — jesteś ze mną. Gdyby mieli złe zamiary jakie, nie czekaliby do dziś dnia.

Trudno było zażegnać tę burzę w człowieku nie nawykłym do upokorzenia, już dawniej niechętnym Małopolanom, a teraz dotkniętym osobiście. Księżę musiał użyć wszelkich środków, na jakie mógł

się zdobyć, aby wymóc na nim cierpliwość. Zniechęcony Bartosz starał się nawzajem księcia zrazić, dowodząc mu, że wszystko to, co go spotykało, było uknutą zdradą i podstępem. Najwięcej bolało Semka, że przepelnionego serca nie mógł przed nim wylać, bo Bartosz równie królowę, jak innych obwiniał o fałsz i chytryść, i wszystko w niej wydawało mu się tylko podstępem.

Bartosz, który wprzód wszędzie towarzyszył panu swojemu, od tego dnia krokiem nie chciał się ruszyć. Bytność na zamku zmuszała Semka w sprawie przyszłych umów o pokój jechać do Jaśka z Tęczyna i Dobiesława z Kurozwęk, odwiedzić Spytka. Żadna siła już dawnego towarzysza broni skłonić nie mogła, aby z nim razem jechał.

Miał słusność może, gdyż panowie małopolscy tym, których za pierwszych sprawców wojny domowej uważali, przebaczyć nie chcieli. Zarówno prawej ręce Domarata, sędziemu poznańskiemu, zwanemu Krwawym Diabłem, Pietraszowi z Małochowa, który po dwakroć zdradzał, jak Bartoszowi, który ogień gasnący podpałał i utrzymywał, nie mogli ich win darować. Na pierwszą wzmiankę o Bartoszu marszczyli się Małopolanie i znać go ani wiedzieć o nim nie chcieli.

Księcia za to przyjmowano z czcią należną i okazując dlań powolność, którą on może nie bez przyczyny wpływowi królowej przypisywał. Ona potrzebowała na te pierwsze dni królowania swojego łaskawość okazywać dla wszystkich, jakby jej od losu pożądała dla siebie.

Niebawem zapowiedziany książę Janusz przybył także do Krakowa, lecz nie doznawszy klęsk wojny zawarciem dawnej umowy i przymierza, wyposażony ze skarbcza królestwa dwoma tysiącami grzywien rocznie, wcale inaczej mógł i musiał wystąpić. Ze znacznym poczem, ze dworem, w kilkadziesiąt koni, zajechał po książęcemu.

Wiedział on już o Semku i przybywającego zimno i uroczyście przywitał. Wymówki za późne były, nie czynił też ich Janusz. Spytał tylko, czy krok jaki do królowej przedsięwziął, i dowiedział się z widoczną radością, iż sprawa braterska nie tak źle stała, jak się lękał.

— Dobrze mieć rozum, choć późno! — odezwał się do Semka. — Spodziewam się, że po doświadczeniu, które wiele kosztowało, zechcesz mnie naśladować i siedzieć spokojnie.

Na to wszystko dumny Semko nie odpowiadał wcale — poskarżył się tylko, iż mu Bartosza z Odolanowa ostro odprawiono. Janusz nie dziwił się temu.

— Jużci on był hubką, a ty próchnem — rzekł. — Wiedzą, że gdyby nie podpalił, nie byłbyś gorzał.

Królowej Janusz nie znał jeszcze, więc rozmowa naprzd o nią potraçała i spytał Semka, jaką była.

Z wielkim uniesieniem, nie mogąc się wstrzymać, mówić o niej począł młody książę, co Januszowi się nie podobało. Potrząsał głową i brał to za nowy dowód niestateczności brata.

— Dziewczyna jako drugie — rzekł — a nie trzeba sobie oskomy czynić, bo mleka z miską dla kotów nie stawiają. Kogo innego tam zaproszą na te gody.

— Wiem o tym — przerwał dumnie Semko — ale dlatego brzydką ani złą nazwać jej nie mogę, że

jej nie dostanę. Zobaczysz sam...

Zimny z natury swej, wiekiem ostygły Janusz wcale w po chwały nie zdawał się wierzyć. Nazajutrz na zamek jechali już oba. Książę Czerski, choć poważnie występował, zbytku się nie dopuścił żadnego, wolał za mniej dostatniego uchodzić, a swoją wiejskością i naturą leśną niemal się chlubił. Była w tym duma, inaczej tylko przystrojona niż zwykle.

Królowa przyjęła teraz ich obu tak samo jak wprzód Semka, usiłując wielką uprzejmością zjednać sobie. Janusz był mniej wrażliwy, a podejrzliwszy, pokorniej się stawił, a chłodniej razem. Patrzał i słuchał, chciał przeniknąć, co pod tą pięknoscą i dobrocią się kryło. Nie zdołała go wesołością, starając się, natchnąć Jadwiga ani rozchmurzyć, ani poufalszym uczynić. Stał z dala, nie ujęty, a uniżony, więcej obcy niż Semko, którego już sobie pozyskać potrafiła.

Gdy potem wyruszyli z zamku, a znaleźli się w ulicy, Semko pierwszy zapytał brata:

— Cóż królowa?

Janusz głowę skłonił.

— Królowa — rzekł cicho. I więcej dobyć już z niego nie mógł młodszy.

Była ogromna różnica w postępowaniu dwóch braci. Semko, więcej na los zdając a marząc, w królowej się rozmiłowując, sprawę swą niemal zaniedbywał. Janusz był chłodny, sprawiwszy na zamku, co nakazywał obyczaj, nie spieszył już tam, ale natomiast począł pilno ujmować sobie takich ludzi, jak Jaśko z Tęczyna, Dobiesław, Spytek i inni Leliwitowie. Zapraszał ich do siebie, jeździł i odwiedzał, przyjaźnił się, jednym sokoły obiecywał, drugim psy, innych na łowy do lasów swych zapraszał, nie zapominając o tym, aby mu owe dwa tysiące grzywien na żupach wielickich ubezpieczono.

Słuchając Semka prawiącego o nadzwyczajnej piękności królowej, o jej rozumie, o tym uroku, jakim wszystkich ujmowała, Janusz się uśmiechał prawie szydersko. Nie zaprzeczał niczemu, lecz sam wcale o królowej nie mówił, a gdy był zmuszonym wspomnieć, okazywał tylko przesadzone poszanowanie.

— Król—królowa! powtarzał i kończył na tym.

Dla tego chłodu może i pewnej nieśmiałości gburowatej, którą okazywał na zamku, Jadwiga była dlań jeszcze bardziej ujmującą i uprzejmą. Otrzymał wszystko, czego tylko żądał.

Panowie szanowali go wielce i wyrządzali cześć wielką. Lecz, jak tylko książę Janusz dopiął celu, grzywny dostał, umowę miał stwierdzoną, natychmiast niespokojnie się do Czerska nazad począł wybierać. Dzień odjazdu byłznaczony.

Semko przyszedł do niego wieczorem.

— Jedziesz ze mną? — spytał brat starszy.

— Nic nie zrobiłem jeszcze — odparł Semko — nie mam spieszyć czego.

— Do domu? zawołał jakby z przestachem książę Janusz. — Do Płocka? Po wojnie? Powiadasz, że spieszyć nie widzisz potrzeby? Siedziałeś tu tyle czasu na próżno i nie zyskałeś dotąd nic.

Poruszył ramionami Semko.

— Patrzajże, aby gdy wrócisz, nadto do roboty nie było.

— Królowa piękne oczy ma, ani słowa dodał lecz nie karmią one, a człowiek, zapatrzywszy się w nie, głupieje.

Nie tłumaczył się Semko, a w istocie nie tylko oczy, ale cała królowa miała dlań wdzięk taki potężny, iż mu się stąd oddalić trudno było.

Zwlekał prawie dobrowolnie układy, aby mógł dłużej pozostać, i może łudził się jakąś prózną nadzieją.

Lecz, gdyby nie miał jej nawet, gotów był siedzieć, aby tylko bywać na zamku, słówko dobre pochwyć i pokarmić się nim.

Janusz widział to i rozumiał, miał może litość nad młodością, a nie widząc w tym nic nad słabość nieszkodliwą, milczał.

Skłoniwszy się po raz ostatni do kolan królowej, pożegnawszy miłościwych panów, co najspieszniej kazał do drogi się sposobić i następnego dnia o brzasku już go w Krakowie nie było.

Młodszy brat miał tę pociechę, że nazajutrz przed nim wielki rozum Janusza wychwalali wszyscy, oświadczając się dla niego z poszanowaniem.

Straciwszy w Bartoszu pomocnika, Semko sam do układów niezdolny, więcej marzyciel i rycerz niż zabiegły o dobro swe gospodarz, zasiadywał się w stolicy bezmyślnie, nawykając do tutejszego życia, zabawiając się na zamku, słuchając muzyki a pieśni, a mniej coraz tęskniąc do domu.

Rozdział V

Jednego wieczora, gdy po rozejściu się panów, którzy do późna przy królowej dworowali, wróciła Jadwiga do komnat swych, zastała starą Hildę zmieszaną mocno, z zapłakanymi oczyma. Otarła je spiesznie, lecz ślady łez nadto widoczne pozostały, aby się zaprzeć ich mogła.

Przestraszyła się młoda pani. Wiedziała, że stara ochmistrzyni nad sobą pewnie by nie płakała, stać się więc coś musiało, co ją dotykało.

Ją? Królowę, przed którą klękali wszyscy?

Były same ze służebnymi, Jadwiga natychmiast dziewczętom oddalić się kazała i czekać powołania.

— Hildo moja! zawołała, z czułością zbliżając się do piastunki. Hildo! Płakałaś? Co ci jest? Co się stało? Mów.

— A, nic! Królowo moja, dziecko moje! Nie płakałam!

I to mówiąc ocierała oczy jeszcze.

— Ale ja wszystko wiedzieć powinnam. Juścić nikt ci nie śmiał uchybić ani się sprzeciwić.

— A nikt! żywo odparła Hilda.

— Ale płakałaś?

— Tak! Tęskno mi się czegoś zrobiło — zamruczała stara.

Królowa, jak była od dzieciństwa nawykłą, pogłaskała ją po twarzy.

— Mów mi szczerze, co masz na sercu.

Hilda stała, a w sercu jej coś musiało dolegać ciężko, bo pomimo usilności, aby łyzy wstrzymać, zaczęła popłakiwać znowu.

Niepokój królowej wzrastał. Nalegała coraz mocniej. Ochmistrzyni namyślała się długo, na koniec zaprowadziwszy Jadwigę za zasłony opasujące jej łożo, cicho mówić zaczęła: Jak tu nie płakać!

— Jak nie płakać, królowo moja! Oni, ci bezduszni ludzie, chcą cię na pastwę wydać...

— Mnie? przerwała Jadwiga. Mnie?

— Tak, ciebie. Wiem o wszystkim. Spisek od dawna uknuty. Ani chcą słuchać o Wilhelmie, sprzedali cię za wielkie pieniądze pogańskiemu królowi, którego sprowadzą, aby moją śliczną

różyczkę zaślubił.

Jadwiga, ściągnąwszy brwi, przysłuchiwała się.

— Ale ja mam męża! — zawołała z oburzeniem. — Ja jestem królową! Królowa rozkazuje, a nikogo słuchać nie ma obowiązku!

Hilda załamała rękę.

— Królową? Ty? Tak nazywają cię oni i kłaniają się, ale trzymają w niewoli. Mówię ci, spisek uknuli dawno, zapłacili ich złotem ogromnym, przekupił, oddadzą cię gwałtem temu dzikiemu, straszemu, do zwierzęcia podobnemu królowi pogan; jak niedźwiedź porośłemu włosom...

Jadwiga trzęsła się, słuchając, lecz nie ze strachu, z oburzenia.

— Kto ci poplótł te baśnie? — przerwała. Ja nie chcę znać nikogo oprócz Wilhelma! Ty wiesz! Nam ślub dano, gdyśmy byli w kolebce.

— Oni i do Rzymu pošlą pieniądze, aby ślub papież rozwiązał — poczęła Hilda. — Osnuli od dawna wszystko. Ja wiem o tym najpewniej.

— Od kogo? — przerwała Jadwiga.

Hilda cichy już głos zniżyła jeszcze, przybrała fizjognomię przestraszoną.

— Na Boga, nie trzeba go zdradzać! — rzekła. — Jeden tu tylko jest człowiek, co ci sprzyja, który wie o wszystkim i ostrzegł mnie.

Królowa powtórzyła: — Kto? kto?

— Podkomorzy twój, Gniewosz — szepnęła stara. — Jeżeli chcesz, on ci to sam powtórzy i poprzysiąże.

Przypomniała sobie Jadwiga człowieka, który ze szczególną troskliwością i nadskakiwaniem jej posługiwał. Hilda tymczasem płakała, oczy tarła i rozpaczała. Z wolna i na mężnej, a nie dowierzającej królowej zaczynało to robić wrażenie. Za pytała o tego króla pogan, kto by był. Hilda wymieniła jej Jagiełłę, a królowę uderzyło to, że nieraz już Jaśko z Tęczyna i inni w rozmowach z nią napomykali to imię, oddając litewskiemu księciu pochwały wielkie. Zachmurzyła się.

— Słuchaj, Hildo — rzekła — ja z tym podkomorzym sama mówić muszę. Nie wierzę spiskowi. Jaśko z Tęczyna kocha mnie jak ojciec, biskup Jan wiedziałby o tym i ostrzegłby mnie, on wie, że ja ślubowałam Wilhelmowi.

To mówiąc, królowa przypomniała sobie niedawną z Radlicą rozmowę i zachmurzyła się więcej jeszcze. Niepokój wkraadał się do serca. Hilda przesadzała może w troskliwości swej, lecz w tych mrokach i tajemnicach coś się ukrywać musiało.

„Jestem królową” dla uspokojenia siebie powtórzyła w duchu Jadwiga.

Chciała coś więcej zdobyć ze swej starej piastunki. To, co ona mówiła, wyglądało na jakąś baśń i zmyślenie, tak brzmiało dziko i strasznie.

Król ten pogan miał być panem ziem bardzo rozległych, zamieszkanych przez dzikich ludzi, którzy krew jeńców wojennych pić byli zwykli a niemowlęta pożerać. Cała ta ziemia zamarzała, lodowata, śniegami okryta, lasami zarosła, była w ręku pogan, którzy nienawidzili chrześcijan i imienia Chrystusa. Jagiełło miał być zabójcą własnego stryja i kilku braci pełnym złości, mściwym i okrutnym. Opowiadano o nim, że mało się różnił od niedźwiedzi i ryczał jak one. Chodził okryty skórąmi świeżo ze zwierząt przez się zabitych zdartymi, jadł mięso surowe. Lecz, że miał skarby ogromne, potrafił nimi przekupić panów polskich, którzy mu postanowili sprzedać piękną swą królowę.

Hilda dodawała, że poganin miał tych żon, niewolnic i nałożnic bardzo wiele. W tym opowiadaniu nadto czuć było baśń, jakby na przestraszenie dziecięciu utworzoną, by Jadwigi sama przesada jej nie uspokoiła nieco.

Zadumana, utuliwszy ochmistrzynię, królowa nazajutrz po wołać do siebie kazała Gniewosza, który już był do tego przy gotowany.

Nim jednak na osobności przy Hildzie rozmówić się z nim mogła, nadeszli panowie Rady, przybył biskup Radlica, a spojrzawszy na ich spokojne oblicza, w poczciwe twarze, królowa niemal się zawstydziała swojej łatwowierności. Uderzyło ją tylko, że właśnie dnia tego zeszli się w liczbie znaczniejszej, z uroczystością jakąś i jakby ważną sprawę przełożyć jej mieli.

Między panami znajdował się i arcybiskup Bodzanta, który teraz posłusznym im był i spełniał, co mu wskazano. Oprócz tego poznański biskup Dobrogost z Nowego Dworu, mąż po ważny, rozumny, a młodej królowej wielce miły, także się tu znajdował.

Zobaczywszy tak poważne grono, bo do krakowskich dołączyli się i inni wojewodowie i kasztelanowie, Krzesław z Kurozwek³⁶, Jan z Tarnowa, Wincenty z Kępy, królowa, choć uspokojona w pierwszej chwili, domyślała się, że nie z samą czołobitnością przychodzili.

Bodzanta, który pierwsze miejsce zajmował, a głos miał miękki i łagodny, zagaił naprzód tym, jak wszyscy pragnęli panią swą widzieć szczęśliwą, wielką otoczoną sławą i w gronie monarchów świecącą jako gwiazdę.

Rumieniła się słuchając go, a oczekując końca, gdy Bodzanta po długiej mowie nie odważył się na żadne słowo jaśniejsze, co by wytłumaczyło myśl jego i Rady.

Wówczas siwą gładząc brodę odezwał się po nim Jaśko z Tęczyna:

— Bóg miłościwy, który nam dał klejnot drogi, nie dla nas samych go przeznaczył, ale większe i potężniejsze zgotował mu losy. Królowo nasza, przychodzimy ci zwiastować, że po tężny monarcha, władający ogromnym krajem sąsiednim, dotąd w błędach pogańskich pograżony, z całym ludem

swym ofiaruje się przyjąć religię chrześcijańską, byleś mu oddała rękę swoją.

Mówiąc to patrzył na Jadwigę, która zaczęła blednąć, zbieleła trupio, lecz w tejże chwili krew powróciła na twarz jej, oczy nabrały blasku i prostując się, obróciła ze zdumieniem tylko do kasztelana.

— Ja mam męża! — rzekła głosem silnym, w którym drgało uczucie. — Jestem z nim połączoną i nigdy innego mieć nie chcę ani będę!

Zgromadzenie całe milczało. Słowa królowej były tak stanowcze, wyrzeczone z taką siłą, że nikt w początku nie ważył się podnieść głosu.

Spozierali jeszcze pomieszani po sobie, gdy Dobrogost z Nowego Dworu, biskup poznański, począł łagodnie:

— Miłościwa Pani. Ślub ten, gdy powołana zostałaś na tron polski, został przez królowę Elżbietę uroczyście unieważniony.

— Alem ja go zachowała w sercu — odparła poważnie Jadwiga. — Nikt mnie z przysięgi rozwiązać nie może. Nie znam i znać nie chcę powtórzyła innego męża nad niego!

Bodzanta odważył się przemówić, głos swój czyniąc jak najserdeczniejszym.

— Królowo a pani nasza, idzie tu o wyrwanie szatanowi dusz krociów, o nawrócenie pogan tysiąców tysięcy. Nie ma ślubu, od którego by Rzym nie uwolnił, gdy tym nawrócenie całego narodu okupić można.

Królowa spuściła oczy; milczała chwilę.

— Żadna siła do wiarołomstwa mnie zmusić nie może — rzekła.

Panowie otaczający znowu czas jakiś milczeli, aż Jaśko z Tęczyna zaczął z wolna:

— Rzecz to zbyt wielka i ważna, aby ją w jednej chwili rozstrzygać i jednym słowem odpychać. Miłość Wasza masz czas do namysłu, a pobożne Jej serce skłoni Ją pewnie do spełnienia wielkiego dzieła. Będzieli nawrócenie pogan kosztować nawet ofiarę wielką, nigdy nadto opłacić nie można, co się Chrystusowi i Kościołowi przynosi.

Jadwidze dwa strumienie łez pociekły po policzkach, na przemiany blednących i rozplamionych. Jaśko, ulitowawszy się, mówić przestał, a Jadwiga wnet podniosła oczy i całe swe odzyskała męstwo.

— Zrzeknę się raczej korony i królestwa, niżbym wiarę ślubowaną złamać miała — dodała głosem drżącym.

— Być może — począł z cicha biskup Dobrogost — iż Miłości Waszej ludzie złej woli a nieświadomi będą odstraszać prawie dziwy o tym królu pogan. Lecz ja, com był na Litwie i na

oczy go swe oglądał, poświadczyć mogę, iż matkę mając chrześcijankę, przygotowany jest do przyjęcia chrztu, a pan zresztą natury łagodnej, dobry i uprzejmy; ani tak dziki, ni tak okrutny, jak by poganin być mógł, gdyby od kolebki i z mlekiem wiary świętej nie zakosztował.

Z oczyma na rąbek sukni spuszczoneymi obojętnie słuchała królowa. Mało ją to obchodzić się zdało.

Bodzanta znowu przemówił:

— Błogosławieństwo to boskie osobliwe nad wami, Miłościwa Pani, iż wam na progu tronu daje zaraz palmę zwycięską, apostolską zasługę. Wieki i narody będą czcić pamięć waszą.

— Ojczy mój — przerwała królowa — nie czuję się godną wielkości tej, a w sumieniu mym tylko chcę być czystą.

— Miłość Wasza — wtrącił Wincenty z Kępy, wojewoda poznański — nie będziesz niczym związaną, jeśli przyjmiesz poselstwo Jagiełły, które on tu wyprawić zamysła. My odepchnąć go nie możemy, pożądanym jako sprzymierzeniec, groźnym by był dla nas jako wróg.

Oczyrna przelękłymi powiodła królowa po przytomnych, dowiadując się o poselstwie, i nie rzekła nic.

Wtem marszałek Mikołaj z Brzezia³⁷ dodał:

— Posłów się od nikogo w świecie nie odmawia. Wolno ofiarę przyjąć lub nie, warunki ważyć, lecz pogardzić sąsiada dobrą wolą i wyciągniętą dłonią nie godzi się.

Wszyscy potwierdzili to.

— Jak to? Więc wysłał już posły? — odezwała się królowa zdumiona.

— Nie, ale nam o nich oznajmiono — rzekł Jaśko z Tęczyna. Niepokój, który owładnął królowę, łyzy dobywające się spod powiek, poruszenie dowodzące ciężkiej męczarni, skróciły posłuchanie.

Jaśko z Tęczyna przybliżył się, schylając do kolan jej.

— Niech się Miłość Wasza uspokoi, niech obawę wszelką odegna. Życzymy szczęścia Jej, nie zadamy gwałtu. Sama Miłość Wasza przy pomocy Bożej ujrzysz i przekonasz się, iż w Jej rękach zbawienie dusz tysięcy. Nie dasz im ginąć! Nie odepchniesz próśb i błagania naszego.

Z kolei wszyscy szli żegnać zdrętwiałą z bólu i przerażenia królowę, niemą, zbladłą, osłabłą. Biskupi zbliżyli się także z błogosławieństwem i słowami pociechy. Radlica przystąpił ostatni.

— Ojczy mój, na rany Boże — szepnęła do niego — nie opuszczaj mnie, zatrzymaj się...

Mały biskup dał znak swym towarzyszom, iż przy królowej musi pozostać. Po wyjściu Rady rzuciły się łyzy obficie, łkać poczęła i sparłszy się o poręcz tronu, długo przemówić nie mogła. Chustynka, którą trzymała w ręku, cała była zwilżoną. Nagle oderwała ją od zapłakanych oczu,

powstała z wyrazem siły i nieugiętego męstwa i schodząc z tronu, zbliżyła się do biskupa.

— Nie! — rzekła. — Nie zmusi mnie nic! To okrucieństwo, te niesprawiedliwość, to się stać nie może! Słyszałam w dzieciństwie historię o smoku pod Wawelem, któremu dziewicę na —pastwę dawano. Wzięliścież mnie od matki, od rodziny, od męża, aby w paszczę rzucić smokowi?

Biedny mały biskup żegnał ją krzyżem świętym, po cichu się modląc na intencję uspokojenia.

— Królowo moja, dziecko moje, spokoju, cierpliwości, męstwa I Nie stało się nic, Bóg łaskaw...

— Więc na toście mi dali berło w dłoń, abyście wy mi rozkazywali?! — wołała zburzona coraz bardziej pani. — Matka moja zaręczyła mi, że ślub z Wilhelmem zawarty się utrzyma. Ja nie chce znać tego króla pogan, tych pogan wszystkich! Ja jestem nieszczęśliwa, wy mnie zgubić postanowiliście!

Wybuchnęła płaczem, ale łzy znowu gniew osuszył.

— Nie! Jam królowa! Rozkazywać sobie nie dam! Możecie mnie dręczyć, nie potraficie złamać!

Nóżką tupnęła w podłogę. Biskup stał z załamanymi rękami, szepcząc:

— Dziecię moje, uspokój się.

— Tyś pasterzem moim — przerwała Jadwiga — byłeś przyjacielem ojca, ty litość mieć będziesz nade mną, nie dopuścisz, by mnie męczyli. A, i Jaśko z Tęczyna, ten, któregom jak ojca szanowała, w którego serce wierzyłam! I on, i wszyscy! Wszyscy!

Biskup wyrzekającą jak mógł uspokoić się starał. Sama ona, dla swej godności królewskiej, nie chciała zbyt wiele okazywać obawy, otarła łzy, odzyskiwała powoli męstwo.

Radlica mruczał po cichu:

— Wszystko się jeszcze zmienić może. Poselstwo nie znaczy nic... Panowie Rady więcej wazą korzyści kraju i chrześcijaństwa niż szczęście twe, lecz... oni nie są winni złej woli... radzi by wszystko pogodzić... Czas boleść złagodzi, zatrze wspomnienia.

Królowa spojrzała na Radlicę z wyrzutem.

— Więc i ty?

Biskup natychmiast zamilkł. Szepnął, ażeby szła spocząć i z troskliwością lekarza poprowadził chwiejącą się ku jej komnatom. Tu na nią czekały panny jej, które odprawiła skinieniem. Pobieгла szukając Hildy. Oczy miała już suche, a wargi spieczone. Ujrawszy ochmistrzynię, rzuciła się jej na szyję.

— Mówiłaś prawdę! Ten, co mnie ostrzegał, był najpoczciwszym i najlitościwszym z ludzi. Tak jest! Spisek uknuto. Śmieli mi go dziś publicznie zwiastować.

To mówiąc porwała się nagle i z niezmierną siłą woli poczęła mówić do Hildy:

— Dziś, tak, dziś jeszcze chcę mówić z podkomorzym. Spisek na mnie potrafię zniweczyć. Jestem sama, alem królową! Nie zmuszą mnie, nie złamią! Widząc ją tak poruszoną, Hilda sama uspokajając czuła się w obowiązku. Przynęła sprowadzić podkomorzego. Zareczyła za niego, iż gotów jest się dla królowej swej poświęcić, a od niego wiedziała, że znajdzie też innych, którzy sprawę Wilhelma przeciwko panom krakowskim popierać będą.

Nowym męstwem natchnęło to królowę, która oczy obmywszy, aby ślady łez ztrzeć, siadła zadumana.

Tegoż wieczora, sprowadzony przez Hildę, wpadł do komnaty królowej Gniewosz, który począł od tego, że na klęczkach poprzysiągł jej wierność.

— Wierz mi — odparła Jadwiga — że ja i mąż mój potrafimy ją nagrodzić.

Wprzód, nim Gniewosza się doczekała, Jadwiga plan już miała osnuty. Nimby posłowie przybyli i otrzymali odpowiedź, Wilhelm mógł przyjechać do Krakowa. Zabronić mu tego nie ważyliby się panowie. Raz dostawszy się na zamek, przyjęty w nim jako mąż królowej, odpędzonym być już nie mógł. Polska go przyjmując musiała za króla swego.

— Jedź — rzekła do Gniewosza — sam jedź, poszlij, kogo chcesz, dam listy, niech Wilhelm przybywa jawnie! Jestem królową i być nią potrafię, nie dam się jak niewolnica zakuć w ich kajdany.

Podkomorzy ofiarował się pod pozorem choroby zniknąć na czas z Krakowa, sam dobiec do Wiednia, a nie powracać, póki by Wilhelma nie skłonił do przybycia. Z gorącością nadzwyczajną przysięgał służyć ponawiając przysięgi. Nie wzbudził może upodlającą służbistością swą zaufania wielkiego, lecz nie miała nikogo, komu by powierzyć mogła sprawę swoją. Jeden on mógł ją ocalić. Ze łzami w oczach zaklinać go poczęła. Gniewosz na klęczkach ponawiał uroczyste zaręczenia.

Tegoż dnia przez Hildę wysłała Jadwiga list tajemnie przy gotowany przez jednego z pisarzy dla ochmistrzyni, w wyrazach ogólnych, który pochwycony nawet zdradzić by jej nie mógł.

Dziwnym się to wydać może, lecz było rzeczywistym, że pieniędzy na podróż dla Gniewosza królowa nie miała. Opatrywano wszystkie jej potrzeby, dawano nawet na rozkaz jałmużnę, podskarbi wypłacał, co mu zlecono, lecz królowa sama skarbonki żadnej nie posiadała. Musiała więc ze swych posażnych klejnotów wziąć kosztowny naszyjnik, który Gniewosz potajemnie u Żydów zastawić miał i pieniędzmi tymi podróż opędzić.

Nigdy w życiu podkomorzy nie był szczęśliwszym jak dnia tego, wychodząc z zamku i schodząc na miasto do przyjaznego mieszczanina i kupca bogatego, który miał nie opodal od zamku kamienicę. Zwał się on Franczek Morsztejn, a mimo nie mieckiego nazwiska był już na pół Polakiem, bo rodzina jego od wieku przeszło osiadłą była w Krakowie³⁸. Gniewosz, wiecz nie grosza żądny, choć na pana chciał wyglądać, u Franczka często znajdował ratunek, a miał w nim zaufanie wielkie.

Sam on bez niczyjej pomocy nie mógł tego dokazać, o co się kusił. Był zaś pewien, że Franczek i

tajemnicy dochowa, i wielce mu użytecznym być może. Może też w niemieckiego pochodzenia mieszczaninie dorozumiewał się sympatii dla rakuskiego księcia. Zmuszonym był na koniec z nim się i tajemnicą, i pracą podzielić.

Franczek Morsztein należał do najmajątniejszych kupców i mieszczan stolicy. Miał on tu znaczenie, stosunki i powagę, jaką daje bogactwo. Powszechnie miano go za jednego z najzamożniejszych, a teraz, gdy Wierzyków³⁹ nie stało, Morsztein prawie tyleż, co oni wprzód, znaczył w stolicy.

Franczek był w sile wieku, zdrowo i zażywnie wyglądającym, poważnym mężem, którego wcale niepiękna twarz miała coś w sobie oryginalnego i bystro przenikającego. Mówić pięknie ani umiał, ani się starał o to, ale odgadywał i rozumiał łatwo, i nikt go nie oszukał nigdy.

Franczek przyjmował u siebie podkomorzego dosyć chętnie i mile, ale w sprawach pieniężnych wiedział, że się z nim mieć potrzeba na baczności. Gdy szło o grosz, stawał się twardym.

Jak wielu zamożniejszych kupców i mieszczan owego czasu, Morsztein dom miał na stopie bardzo stosunkowo okazałej. Izb dość w nim przestronnych, obitych, powyścielanych, poubieranych było bogato. Dawał—li uczy, występował szumnie, ani muzyki, ani trefnisiów, ni dań u stołu, ni napojów nie szcędząc. W handlu był bardzo ścisłym i obrachowanym, lecz gdy się należało okazać, szczodrym.

Gdy podkomorzy późnym wieczorem pod kamienicę Morszteinowską zajechał, spojrzął naprzód w znajome okno, czy się w nim świeciło. Ujrawszy światło, zakolatać kazał do bramy. Wpuszczono go zaraz, a pan Franczek, który był zwierzchnią suknią zdjął dla spoczynku, włożył ją na przyjęcie podkomorzego.

Gniewosz z nim przybierał wprawdzie ton protekcyjnalny i poufały, lecz starał się zawsze miłość własną głaskać, aby człowieka tak potrzebnego nie zrażać.

— Franczek, miły panie — zawołał od proga — powinniście mi być dziś radzi!

— Zawszem wam rad — skłaniając się i wskazując ławę, rzekł Morsztein.

Podkomorzy obejrzał się dokoła. Piekło go, by co prędzej do rzeczy mógł przystąpić.

— Nikt nas nie podsłucha? — zapytał. — Tu o gardło chodzi.

— O gardło? — niedowierzająco podchwycił Franczek.

— Nie kłamie, tak jest. Sprawa gardłowa — powtórzył Gniewosz.

Popatrzył mu w oczy mieszczanin, pomyślał i do bocznej komnaty zajrzawszy, powrócił z uspokajającym ruchem ręki.

— Krótko wam powiem, z czym do was przychodzę — począł, do ucha niemal przystąpiwszy, podkomorzy. — Królowę naszą chcą panowie zmusić, aby ślubowała litewskiemu księciu Jagielle. Ona tego się obawia. Była dzieckiem połączona z Wilhelmem rakuskim. Aby wniwecz obrócić

zabiegi panów naszych, posyła mnie do Wiednia. Trzeba tu Wilhelma sprowadzić.

Z namarszczonym czołem i brwiami ściągniętymi słuchał Franczek, chwytając wyraz każdy. Twarz posępna rozjaśniła się i chwyciwszy za rękę podkomorzego, ścisnął ją, potakując głową. Czekał dalszego wyjaśnienia.

— Pierwsza rzecz, pieniędzy mi na podróż potrzeba odezwał się Gniewosz, razem z za kaftana dobywając naszyjnik. Oto jest zastaw, który mi królowa dała. Pożyczycie nań pieniędzy?

Morsztein wziął na dłoń wspaniałą, wysadzany błyszczącymi kamieniami klejnot, zbliżył się ku światłu z nim i nie potrzebował dużo czasu, aby się o jego wartości przekonać. Kiwnął głową.

— Dam! rzekł.

— To jedno — mówił, siadając, podkomorzy — ale na tym nie dosyć. Dajcie radę w dodatku. Gdy przyjedzie, co z nim pocniemy?

Franczek krótko się namyślał.

— O to nas głowa boleć nie powinna — rzekł. — Królowa go sprowadza, pomyśli, jak przyjąć.

— Pozostawię go w moim domu, jeżeli od razu na zamek nie wpuszczą — dodał Gniewosz.

— U mnie też gospodę mieć może — rzekł Morsztein, ręką na drzwi i komnaty dalsze wskazując. — Jedzicie rychło?

— Choćby jutro — odparł Gniewosz. — Wyciągnę z Krakowa, jakobym do domu naglącać jechał, a puszcę się do Wiednia. Ufałem w to, że wy mnie i królowej posługi nie od mówicie, w razie więc, gdyby co pilnego przypadło, Hilda ochmistrzyni królowej zesze kogo do was, a wy...

Franczek nie dał mu dokończyć okazując, iż rozumie. Naszyjnik na rękę zważył, przypatrzył mu się i poczęli się umawiać o potrzebne pieniądze. Morsztein zamknął klejnot królowej w szafie i jął się liczyć szerokie grosze praskie⁴⁰, ale zarazem pomrukiwał:

— Sprawa dla was i dla mnie dobrą być może, ale i nie bezpieczną... Królowę za sobą mamy, to jedno dobre, lecz...

— Sądzicie, że się nam może nie powiedzie? — rozśmiał się zarozumiały Gniewosz. — Królowa, książę, my i z nami wszyscy ci, co rozum mają, a dzikiego człowieka za pana nie chcą...

Morsztein milczał długo.

— Królowa ma lat czternaście. Książę rakuski piętnaście, a Jaśko z Tęczyna i pan Mikołaj, i inni...

— Spytek wojewoda mało co starszy — śmiał się Gniewosz — ale co tu wiek znaczy?

Franczek podniósł głowę.

— Młodość jak ogień dobry pali się gorąco a krótko, starzy jak pierzyny ciepło dłużej trzymają.

Gniewosz głową pokręcił.

— Niedoczekanie tych przekupionych mądraków, aby nam poganina narzucili. Zobaczycie, my z królową Wilhelma na tron wprowadzimy, a naówczas! — Gniewosz się uderzył po kalecie i rękę podniósł do góry.

Mniej zdawał się ufać tym nadziejom Morsztein, lecz obawy też nie okazywał. Dumał, rachując wszystkie możliwe wypadki przyszłości.

Nazajutrz podkomorzy, opowiedziawszy się głośno, że mu do domu pilnym było, znikł z Krakowa.

Na Jadwigę nie nalegano zbytnio. Jeden tylko po drugim przychodzili biskupi, wszyscy oprócz neutralnego Radlicy starając się jej okazać, jak wielkiego dzieła apostolskiego do końca mogła.

Milcząca, smutna, słuchała królowa, nie sprzeciwiając się im.

Mniej przenikliwy arcybiskup uważał to za dobry znak, sądząc, że uległa i dała się przekonać. Dobrogost bystrzejszy niepokoił się milczeniem, które dla niego wcale co innego wyrażało. Po gwałtownym pierwszym wybuchu nie mogło nastąpić tak nagle poddanie się. Nie zgadzało się to z charakterem Jadwigi, który już dosyć się energicznym okazał.

Jaśko z Tęczyna, Mikołaj z Brzezia, Jan z Tarnowa, Wincenty Kępa i wszyscy panowie zgodnie, natychmiast po posłuchaniu u królowej, nie wahali się wyprawić do Hawnula gońca, aby poselstwo przybywało. Spytek z Mielsztyna, którego narzeczona, piękna Elża, starała się nawrócić na stronę królowej, mniej był czynny, ale oporu nie stawiał. Jego zdaniem spieszyć z wydaniem królowej nie było potrzeba. Nie był on za Wilhelmem ani przeciw Jagielle, stał na uboczu.

Jaśko z Tęczyna, który mimo całej czci swej dla królowej i pragnienia szczęścia jej, widział w połączeniu z Jagiełłą dzieło Opatrzności, nie odstępował od pierwotnej myśli.

Wszyscy biskupi, nie wyjmując Radlicy, odprawiali modły na intencję nawrócenia Litwy. Naglono na małego biskupa, aby on, najbliższym będąc Jadwigi, starał się ją nawrócić też i zjednać, lecz biskup krakowski litował się dziewczęciu, odkładał i nie śmiał naglić, na powolne licząc oswojenie się z tą myślą.

Dotąd trzymane w tajemnicy swaty Jagiełłowe nagle gruchnęły po mieście i kraju. Zdumienie było wielkie, ale nie wszyscy widzieli w tym przyszlą wielkość i siłę. Sarkało wielu.

Już dlatego, że Małopolska wiodła na tron litewski księcia, Wielkopolanie przeciwni mu byli. Znowu więc o Semku napomykać zaczęto.

Bartosz odepchnięty i obrażony wyjechał z Krakowa gniewny, lecz wprędce zjawił się z powrotem. Przywoził on nowe nadzieje: pokusy. Zdaniem jego, jako skoro Wilhelm nie był mężem

Jadwigi, Piast nim być był powinien. Zaręczał za to, iż Wielkopolska gorąco wystąpi za starym panów swych rodem. Oprócz tego Wielkopolanie nie chcieli Jagiełły, składając się tym, że cała potęga krzyżacka na Polskę runie, że i Polski, i Litwy nieustannie strzec i bronić przeciwko niej będą musieli.

Semko nie dał mu się ani na chwilę uwieść i rozmarzyć; wstrzymywało go uroczyste słowo dane Hawnulowi, a razem i ten urok, jaki dla niego miała królowa. Narzucać się jej nadto był dumnym; czekał i roił, choć sam czuł, że marzenia spełzną próżne.

Pan z Odolanowa rachował na swój dawny wpływ, kilka dni nie dawał księciu spokoju, na ostatek prawie bez pożegnania Kraków opuścił. Semko mówić z nim już o nadziejach korony nie chciał.

Przedłużony pobyt był tym wytłumaczony, że powolnie prowadzone układy z królową dotąd nie były zawarte. Kanclerz przez biskupa Radlicę wyjednał warunki korzystne, między innymi i spłatę długów zaciągniętych u Żydów w Krakowie.

Przez nich Bobrek, który wciskał się wszędzie, zawiadomionym był o obrotach Semka, nie rachując już wcale na niego. Słał stąd doniesienia do Malboga, starając się pozawiazywać stosunki między tymi, których przeciw Jagielle spodziewał się podburzyć.

Z duchowieństwem wcale mu się nie powiodło, gdyż całe i zgodnie głosowało za połączeniem z Litwą. Tu się dlań szerokie otwierało pole do apostołstwa, nawracania, a pierwszymi nauczycielami religii nie mógł być kto inny, jak Rusini i Polacy. Duchowieństwo tak zakonne, jak świeckie, z zapałem przy gotowywało się do wielkiego dzieła nawracania. Radlica z innymi pomimo współczucia, jakie miał dla królowej, prosił Boga, by połączenie z Jagiełłą przyszło do skutku.

Z panów ci tylko, co, jak Gniewosz, upatrywali w tym korzyść własną lub przez niechęć dla wyżej położonych przeszkadzać im byli radzi, dawali się pociągnąć na stronę Wilhelma. Znaczniejsza część jednak, która wiedziała, jak Jagiełło był do rozrzutności szczodrym, po nim się spodziewała więcej i ku niemu się zwracała. Wielkie korzyści, jakie kraj miał osiągnąć, nie przeszkadzały rachować i na osobiste widoki.

Przez Gniewosza klecha wprowadzony do Hildy, pokorą swą, usłużnością, uwielbieniem udanym dla młodej pani, gotowością do ofiar, pozyskał ją sobie. Wprawdzie na dworze do posług królowej było dwóch kleryków, Michno i Jaśko, którzy załatwiali wszelkie pisanie i czytali, gdy było potrzeba; Bobrek po mimo to umiał się użytecznym uczynić i niezbędnym. Dwaj klerycy nie znali tak Krakowa jak on, nie mieli tej przebiegłości i takiego kunsztu opanowywania umysłów. Znajomość języków zalecała też Bobrka, a za charakter zdawała się ręczyć pobożność, którą się chlubił i popisywał.

Z licznym dworem męskim Jadwigi, nawet z muzykantami, faworytem starym lutnistą Handslikiem, flecistami Gromkiem i Aułem, z dworzanami pokojowymi Zbramirem, Dobkiem z Częstowicz, Derśławem, Sasinem podkoniuszym i innymi, Bobrek w kilka dni był na stopie poufałej. Wodził ich po najweselszych piwiarniach i browarach, robił znajomości niewieście zabawiające, wtajemniczał w to życie stolicy, którego sam był doskonale świadom. Przed nimi uchodził za miejscowego. Od podchmielonych dowiadywał się rzeczy, których by inaczej nie dostał. Wiedział już o usposobieniu

królowej i o mocnym jej postanowieniu opierania się związkowi z Jagiełłą, gotując pomagać czynnie księciu Wilhelmowi, jak skoro przy będzie.

Podróż Gniewosza do Wiednia i powrót jego z Wilhelmem obrachowane były tak, że książę powinien był poselstwo Jagiełłowe uprzedzić. Goniec do⁴¹ Hawnula prawie równocześnie wyjechał z Gniewoszem.

Książę Wilhelm mógłby być może, natychmiast puszczając się w drogę, stanąć w Krakowie, gdzie go Jadwiga z utęsknieniem i niepokojem oczekiwała, lecz na przeszkodzie temu znalazł się charakter młodego pana i chęć wystąpienia z takim przepychem, z taką wytwornością, która by, w jego przekonaniu, Polaków olśniła, oczarowała, zmusiła do dania mu pierwszeństwa przed dzikim poganinem.

Gdy Gniewosz z Dalewic zjawił się w Wiedniu z listem królowej, przyjęto go z wielką gorącością i natychmiast zaczęto czynić wielkie przygotowania do podróży. Lecz nie tak to łatwo było zadość uczynić wymaganiom Wilhelma. Naprzód kazał szyć szaty nowe, umyślnie na to wystąpienie przeznaczone, potem barwę⁴² dla całego dworu. A że liczni domownicy księcia co dzień jednakowo występować nie mogli, że on sam musiał zagasić tam wszystkich, naprzód więc zaczęto krajać, szyć, haftować, bramować, próbować, radzić, dobierać barwy, a sam młody pan w ważnych tych zadaniach rozstrzygał. Oprócz tego lik⁴³ i dobór koni był rzeczą ważną, uprzężę, siedzenia, kolebki, rzędy; wszystko, co w Wiedniu starczyło, gdzie znano młodego księcia, nie wystarczało dla Krakowa. Ludzi też należało i najpewniejszych, i najśmielszych, i najpokaźniejszych zszeregować, starszyzną im naznaczyć.

Podkomorzy, który pewien był, że się Wilhelm natychmiast puści z nim w drogę, przesiadawszy tu tydzień, przekonał się, że wyjazd przeciągnąć się musi. Książę wychodził do niego co rana utrefiony, woniejący, z pańską wdzięczną twarzą, której starał się nadać powagę nad wiek, opowiadał mu o niezmiernej pracy, jaką miał z przygotowaniami, i starał się mu dowieść, że było najwyższej wagi rzeczą w Krakowie tak się okazać, by od razu odnieść zwycięstwo.

O sercu Jadwigi Wilhelm wcale nie powątpiewał, wierzył w nie, polegał na nim, lecz szło mu o tryumf nad Radą, nad panami, a zaćmienie blaskiem swej osoby wszystkich królów i książąt świata. O zwycięstwie tym nie wątpiło książętko, lecz właśnie dla odniesienia go Wilhelm musiał postępować bacznie.

Dnie za dniami upływały.

Jednego dnia poruszenie było nadzwyczajne z powodu, że sukna flamskiego ceglastej barwy dla dworu zabrakło. Szukano go po całym Wiedniu i nie znaleziono. Wypadek ten doszedł przypisywaną mu ważnością niezmierną do rozmiarów niesłychanych. Ruch był rozpaczliwy. Książę z nieubłaganą pedanterią młodzieniaszka upartego obstawał przy swej barwie.

Innym razem w obramowaniu sukien rysunek był chybiony. Wilhelm kazał pruć i szyć na nowo.

Lecz to, co się tyczyło jego własnej osoby, zajmowało go więcej jeszcze. Na wszelki wypadek książę chciał mieć z sobą, co tylko zamarzyć się dawało. Namioty, kolebki, uzbrojenia rozmaite,

klejnoty tak obfite, by ich po dwakroć jednych kłaść nie potrzebował. Przybory myśliwskie do turniejów, do gonitw, a na ostatek wszystkie wykwinne do stroju narzędzia, przybory, wonie, w znacznej ilości przysposobione być musiały. Lekarz nadworny wioził aptekę, bo i choroby, i rany trzeba było przewidzieć.

Książę brał z sobą nadwornego poetę Suchenwirtha⁴⁴, dwóch przedniejszych trefnisiów Bubę i Hekse, karła, dwóch hajduków olbrzymich itp. Muzyka ograniczała się do pary lutnistów tylko.

Dwór taki, który przy wjazdach, wycieczkach, w podróży nawet musiał się okazywać ze wspaniałością godną tak wykwinne gusta mającego pana, cały musiano na nowo obszywać i muskać, wprawić go do pewnego ładu i nadać mu po wagę należyłą. W Wiedniu wszystka ta gawiedź mogła sobie pozwalać wiele, nie ciągnęło to żadnych złych skutków, nie uwłaczało panu, lecz za granicą każdy krok być musiał obrachowany.

Zawsze książę Wilhelm tak był pewien, że w ten sposób zmusi panów polskich do schylenia głowy przed sobą, iż wybierał się, jakby już w Krakowie miał pozostać. Powoływała go Jadwiga, prawo jego do swej ręki uznawała, cóż znaczył jakiś opór i fantazja gburowatej szlachty polskiej, o której Wilhelm miał jak najniepochlebniejsze wyobrażenie!

O kraju tym chodziły w ogóle wieści, od czasów jeszcze Kaźmirzowych, na dworze cesarskim i w Wiedniu rozpowszechnione, malujące go na pół barbarzyńskim. Wiedziano, że Kaźmierz wiele uczynił, aby wywieść go z tego stanu, lecz była to zawsze kraina dzika.

Gniewosz po upływie tygodnia, widząc, że końca nie ma przyborom, zażądał posłuchania, starał się raz jeszcze nalegać na pośpiech i odebrał odpowiedź dumną, iż książę nie może ruszyć, aż cały dwór jego nie będzie godnym towarzyszenia mu. Dłuższy pobyt podkomorzemu wydał się niebezpiecznym, prosił więc o listy i postanowił wyprzedzić Wilhelma ofiarując, gdy do Krakowa przyjedzie, dom swój na mieszkanie.

Książę zdumiał się mocno, posłyszawszy to, i odparł z godnością, że spodziewa się, jak mu przystało, stanąć na zamku gospodą. Musiał podkomorzy wytłumaczyć, że choćby się mogło stać po woli księcia, zawsze o to starać się wypadnie, bo zamek jest pilno strzeżony, a z licznym dworem nikogo tam kasztelan nie zwykł był puszczać. Dał do zrozumienia Wilhelm wyrazem twarzyczki, że co do jego osoby wyjątek uczyniony być musiał. Nie wstrzymywał zresztą Gniewosza, bo natarczywość tego posła już go trochę niecierpliwiła.

Odprawiony z podarkiem podkomorzy, trochę rozczarowany, puścił się nazad do Krakowa. Książę wprawdzie wydał mu się pięknym i nader gładkim, wypieszczonym młodzienaszkiem, lecz piętnastoletnie chłopię taką przywiązującą wagę do stroju, wdzięczenia się, występowania, nie zdawało mu się stworzonym do walczenia z energicznymi panami radnymi.

Zaledwie z siodła zsiadłszy, podkomorzy biegł do Hildy i królowej, malując tu w barwach jak najżywszych uszczęśliwienie księcia, jego niecierpliwość, przywiązanie do Jadwigi i obiecując rychłe przybycie.

Tymczasem z drugiej strony wieści przyszły zasmucające, że poselstwo Jagiełły w drodze już było.

Mogła więc lękać się królowa, że ono uprzędzi przyjazd Wilhelma, i tak się stało w istocie. Dnia jednego nadbiegli gońce oznajmujący, iż uroczyste poselstwo litewskie noclegowało o pół dnia drogi od stolicy.

Rozdział VI

Wieści najdziwaczniejsze poprzedziły panów litewskich. Ciekawość do najwyższego stopnia rozbudzoną była w Krakowie. Na zamku przestrach panował. Jadwiga chodziła blada i pomieszana, próżno szukając w kimś z otaczających pomocy, obrony jakiejś, otuchy.

Radlica nawet, uspokajając ją, nie umiał nic nad to więcej powiedzieć, że posłów odpychać się nie godziło.

Tymczasem panowie Rady, nie wyjmując trochę obojętniejszego w tej sprawie Spytka z Mielsztyna, gotowali się na jak najwspanialsze przyjęcie wysłańców Jagiełłowych. Wiedzano już, że nimi byli dwaj bracia księcia, Skirgiełło i Borys⁴⁵, kilku znaczniejszych bajorasów, a przewodnikiem ich i duszą poselstwa całego był ów Hawnul, który pierwszy powziął myśl zuchwałą połączenia dwóch krajów. Jaśko z Tęczyna, Jan z Tarnowa, duchowieństwo, oczekiwali z żywą niecierpliwością Litwinów, lecz razem z niepokojem wielkim. Od tego, jak się owi na pół dzicy ludzie wydać mieli i okazać, bardzo wiele zależało.

Wiadomym było wszystkim, że pogańska Litwa, choć nie ochrzczona, choć odosobniona, tak już dziką jak przed laty nie była. Przez Ruś wciskało się tam chrześcijaństwo, wojny obeznawały ze światem, obyczajem zachodnim i europejską ogładą. Pomimo to obawiano się, aby posłowie nie zastraszyli sobą i królowej, i dworu jej pieszczonemu. Goniec, który na noclegu oglądał orszak poselski, opowiadał o nim tylko, że był nadzwyczaj wspaniały i liczny, i że sypano pieniędzmi po drodze.

Na spotkanie książąt wyjechał stary Dobiesław z Kurozwęk z synem, ciekawy Spytek, który miał wieczorem ponieść o nich wieści na zamek, i wielu innych panów.

Jechał Skirgiełło we zbroi i rycerskim ubraniu nader wspaniałym, z wielką dumą i butą, z twarzą surowego charakteru, z ponurym wejrzeniem, i ten wcale sobie nie mógł pozyskać ludzi powierzchownością. Natomiast Borys, z cudzoziemską bardzo wykwinicie ubrany, oblicza niespokojnego, ożywionego, podobniejszym był do kogoś z Zachodu przybywającego niż do gościa z Litwy.

Algimunt⁴⁶ i bajorasowie przyodziani też byli tak, iż nie razili niczym dzikim. Nie różnili się oni strojem od znanych tu Rusinów, a futra, pokrycia ich, suknie, rzędy na koniach aż do zbytku były bogate i wspaniałe. Złoto kapało z pokryć koni i świeciło na rzędach. Służba na wpół z ruska odziana, w części tylko zdradzała czapkami, pasami, krojem kozuchów i uzbrojeniem pochodzenie swoje.

Poselstwo wjeżdżające, któremu za tłumacza i pośrednika Hawnul służył, stawiło się nadzwyczaj okazałe i świetnie.

Kraków, który się wysypał w ulice dla widzenia go, cały był pod wrażeniem jakiejś potęgi, której

piętno mieli na sobie ci ludzie. Uderzało wszystkich umyślnie na jaw wydobyte bogactwo, zbytek nieco jaskrawy, trochę dziwaczny, lecz niewątpliwy. Wschodnie jedwabie, szkarłaty, kobierce, szyte opony ciężkie, wspaniałe i kosztowne futra sobole, kunie, rysie, gronostajowe, króla godne były.

Więcej dzikości, a mniej okazałości spodziewano się po nich. Zdumiał też panów Borys swą europejską ogładą i Hawnul Niemiec oswojeniem z obyczajami zachodnimi. Jeden Skirgiełło wśród nich najmniej mógł pociągać ku sobie.

Dobiesław z Kurozwek zawczasu przysposobił dla poselstwa gospodę, dał przystawów⁴⁷ do posługi i wszystko, cokolwiek do życia potrzebować mogli panowie, dwór, czeladzie i konie. Było odwiecznym zwyczajem, który się utrzymywał długo, a trwa do dziś dnia na Wschodzie, iż posłów od granicy podejmowano kosztem tego, do którego przybywali. Oprócz tego dawano podarki, przyoblekano w szaty kosztowne przy posłuchaniu. Na dworze polskim na synów Jagiełły wschodni ten obyczaj utrzymywał się jeszcze. W gospodzie znaleźli książęta już stoły zastawione i wszelkie wygody, jakich tylko mogli potrzebować. Szlachta ruska, której z nimi łatwo się było zrozumieć, pełniła obowiązki przystawów, lecz oprócz niej ciekawość gromadziła tu tłumy. Trochę ona zawiedziona tym została, że posłowie niezbyt obco i dziwnie wyglądali.

Spytek z Mielsztyna, wiedząc, z jakim tam niepokojem królowa czekać będzie na wiadomość, pospieszył wprost na zamek. Piękna Elża Emrykówna przykazała mu, aby się stawił przed wszystkimi. Być może, iż go tu kto wyprzedził do przedsieni i na podwórce, ale nie do komnat królowej.

Jadwiga z różańcem poświęcanym w rączkach, drżąca, blada, siedziała na swym krześle złocistym otoczona pannami i matronami, niema, przysłuchując się każdemu szmerowi, jaki ją dochodził z dala. Dziewczęta szeptały cicho, nie śmiejąc przerwać modlitwy i marzenia. Było to więcej marzenie niż modlitwa. Usta rozpoczynały ją czasem, lecz myśl natrętna zamykała je. Zadumana patrzyła nie widząc. Myślała o młodości swej i Wilhelmie, który nie przybywał.

Wśród tej ciszy oczekiwania Spytek wszedł i na widok jego królowa zbladła bardziej jeszcze, usta jej zadrżały, pytać go nie śmiała. Elża Emrykówna dała znak, aby się zbliżył. Pytano go oczyma gorejącymi od ciekawości, tylko w wejrzeniu królowej więcej było niepokoju niż żądzy dowiedzenia się czegoś.

— Posłowie przybyli — rzekł powolnie Spytek. — Poselstwo podobne do zwykłych i tym się chyba różni od innych, że niezmiernie bogato i wspaniale występuje. Bracia Jagiełły, chrześcijanie oba, Skirgiełło, niepiękny i niemiły, Borys, człek bywały i gładki. Prowadzi ich Hawnul, Niemiec, który tu już pono bywał, a ten nie ma nic w sobie dzikiego, jak w ogóle posłowie na pogan nie wyglądają i nie są podobno też nimi.

Królowa, ze spuszczoneymi słuchając oczyma, nie rzuciła żadnego zapytania, bo niepokoju swego głosem ni słowem nie chciała okazać. Za to Elża i matka jej, starsze panie z orszaku poczęły badać Spytka. Chciały wiedzieć, jak wyglądał orszak, jak mówili ludzie, jakie nosili szaty itp.

Spytek opowiadał jeszcze, gdy marszałek Mikołaj z Brzezia wszedł dla oznajmienia Jadwidze, że nazajutrz uroczyste posłuchanie posłom dać chciano i czyby nic przeciwko temu nie miała.

Z energią i niecierpliwością królowa podniosła główkę.

— Jutro? Kiedy chcecie. Jak najprędzej potrzeba je przyjąć i odprawić. Jak najprędzej.

Z drżącego głosu mógł marszałek wnioskować, iż raczej pozbyć się natrętnych posłów niż przyjmować ich chciała.

— Gdybyś Wasza Miłość — odezwał się Mikołaj z Brzezia widząc poruszenie królowej — nakazała odłożyć dzień, dwa, zastosujemy się do Jej woli.

— Alboż ja mam wolę jeszcze? — odparła dumnie, z urazą królowa. — Poselstwo to... jest mi niemiłym, to wiecie. Nie żądałam go. Ja nań inaczej jak odrzuceniem prośby Jagiełły odpowiedzieć nie mogę. Wy czyńcie, co chcecie...

Marszałek z przykrością wysłuchał wymówek, skłonił głowę.

— Jutro więc...

— Jutro, dziś, rządźcie sami, stanówcie sami! — zawołała Jadwiga i dała znak pożegnania.

Wysunął się marszałek, Elża objęła królowę, przykląkłszy przed nią, i cichymi pocieszała słowy. Spytek za marszałkiem pospieszył.

Nazajutrz czyniono od rana przygotowania na zamku w wielkiej sali, w której tron stał pod baldachimem. Zawieszano ściany oponami, wyściełano podłogi, przyozdabiano królowej siedzenie. Ona sama, choć we łzach cała, opierając się i ręce łamiąc, musiała się poddać przystrojeniu królewskiemu, wdziać tę ciężką koronę i ten płaszcz, co jej uginał ramiona.

Zbliżała się chwila, gdy posłowie przybywać mieli, a na sali już część panów i dworu się znajdowała, gdy Jadwiga, dotąd pomieszana i płacząca, odzyskała odwagę i majestat królowej. Mówiła sobie w duchu: „Niech czynią, co chcą, żadna siła mnie nie zmusi... Obcy łez nie będą widzieli”. Oczy jej oschły, czoło się wypogodziło, bladość tylko na licu została. Cudownie piękna, bo i boleść przyczyniała się do nadania tragicznego blasku jej twarzyczce, wyszła w orszaku swych pań, dworzan, dziewic, postrojonych najwspanialej, do wielkiej sali i zasiadła na tronie. Obok niej pierwsze siedzenie zajmował arcybiskup, biskup, Dobiesław jako pan krakowski, wojewodowie, kasztelanowie, urzędnicy dworu.

Każdy z nich wysadzał się dnia tego na strój, który powagę podnosił, a o bogactwach Polski mógł dać wyobrażenie Litwinom.

Trąby i fletnie dały znać o przybywających. Jadwiga długo podnieść na nich oczów nie śmiała.

Szli i oni w szatach okazałych, Skirgiełło w złotogłowie i gronostajach, Borys w zbroi złoconej i szmelcowanej, z łańcuchami ciężkimi na szyjach.

Za nimi dwunastu służby w jednej barwie niosło skrzynie i pudła, misy srebrne, naczynia złote. Były to dary Jagiełły. Skarb polski za Kaźmirza był jednym z najmoźniejszych na północy, lecz ci, co

go oglądali, zdziwić się mogli kosztownym darom litewskiego pana.

Naczyń tych i klejnotów robota wytworna nie była po dobłą do tej, jaką złotnicy francuscy i niemieccy wykonywali. Złoto okrywały szmelce kolorowe, jaskrawe, dziergane jak koronki na tle jasnym, kształty naczyń były dziwaczne, lecz kamienie ogromne, oprawy ciężkie nadawały im charakter jakiś osobliwy, a po swojemu piękny. Dary te, które u stóp tronu składano, choć królowa okiem na nie rzucić nawet nie chciała, zdumiały ilością swą i ceną.

„Za to złoto, szafowane hojnie, kupić ją chciano”! — myślała, słuchając brzęku naczyń składanych na kobiercu.

Skirgiełło jako główny poseł przemówił po rusku.

Język ten i Jadwidze, i wszystkim był zrozumiały, gdyż słowiańskie mowy, bliższe kolebki, podobniejszymi były do siebie.

W mowie swej od Jagiełły ofiarował królowej w zamian za rękę nawrócenie swoje i kraju całego, o które Krzyżacy tak się starali, uwolnienie jeńców, przyłączenie do Polski swych krajów wszystkich, odzyskanie Pomorza, Dobrzynia i Chełmna⁴⁸, krajów od Korony oderwanych. Na ostatek, ponieważ małżeństwo z Wilhelmem pod zakładem dwóchkroć sto tysięcy było przyrzeczonem, i tą poręką Jagiełło zapłacić się ofiarował.

Zaprawdę, słuchając tych obietnic mogła królowa zblednąć i zadrzeć, tak one były ponętne dla Polski, a tak musiały wszystkie serca skłonić ku Jagielle, oprócz biednego jej serca. Jak szmeru niemiłego słuchała Jadwiga tej mowy, postanowiwszy ani odpowiedzieć, ani dać znaku żadnego przyzwolenia na nie. Zamknęła się w niezłomnym, pogardliwym milczeniu. Cóż ją obchodzić miało, co się tu działo? Dała więc odpowiadać za siebie panom, którzy podziękowawszy posłom, prosili w imię królowej o czas do namysłu.

Skirgiełło i Borys łatwo mogli zmiarkować, jakie były uczucia Jadwigi.

Lecz widzieli w niej, wedle swojego obyczaju, naprzód słabą, nie władnącą sobą niewiastę, dziewczę niedorośle i dziecię, którym rozporządzała matka.

Dano im do zrozumienia, że obrzęd krakowski był tylko ceremonią, a wszystko rozstrzygnąć się miało na Węgrzech.

Po kilku przemówieniach, których królowa czekała niecierpliwie końca, posłowie, nisko się pokłoniwszy, opuścili salę, a Jadwiga natychmiast porwała się z tronu męczeńskiego i wyszła ze swym dworem, płacz tłumiąc w sobie i gniew.

Podskarbi Dymitr biegł za nią pytając, co z darami uczynić rozkaże.

Odwróciła się, surowo patrząc nań:

— Do skarbcza je weźcie sobie, ani wiedzieć, ni tknąć ich nie chcę, do skarbcza!

Dnia tego Dobiesław z Kurozwęk i Mikołaj z Brzezia wielką ucztą przyjmowali poselstwo na zamku, ale Jadwiga wyjść ani na chwilę nie chciała. Musiano poszanować jej wolę.

Biskup Radlica, niespokojny, zaczął panów upominać o to, iż królowę, drażniąc, o chorobę ciężką przyprawić mogą. Co dzień widział wzrastający niepokój, Hilda mówiła z płaczem o nocach bezsennych. Biskup chciał przepisać leki, lecz królowa przyjęcia ich odmówiła. Wszystko to grożącym być zaczynało.

Dni parę upłynęło spokojniej i mogło się zdawać Jadwidze, że opór jej powstrzyma może panów, litość w nich obudzi. Litowali się wszyscy, lecz nikt nie myślał zrzec się myśli, która o przyszłej wielkości i potędze miała stanowić. Najbardziej oddani młodej królowej, jak Spytek z Mielsztyna, uznawali się zwyciężonymi ofiarą, jaką im przynoszono, a odrzucić jej nie było podobna. Na próżno piękna Elża, narzeczona Spytka, starała się go nawrócić, znajdowała go zamkniętym, milczącym, lecz niewzruszonym. Składał winę na drugich.

Obrady u Dobiesława z Kurozwęk, u Jaśka z Tęczyna trwały już dni kilka. Królowa o skutku ich nie wiedziała. Dopiero gdy postanowienie powzięto, przyszli z nim panowie Rady do młodej pani. Nie ulegali jej, lecz starali się przynajmniej osłodzić to, co byli zmuszeni zwiastować. Najłagodniejszy Jaśko z Tęczyna i arcybiskup oświadczyli Jadwidze, że nic sami nie chcąc wyrzekać, poselstwo odprawiają do królowej matki.

Jadwiga, usłyszawszy to, ochłonęła z obawy, podniosła oczy. Zdało się jej to wybawieniem, nie wątpiła, że kochająca ją matka, sprzyjająca dotąd Wilhelmowi, ona, co jej samej zapewnienie dała, iż poślubić go musi, posłów odprawi odmową.

— Matka moja wie najlepiej, że mnie wiąże przysięga — rzekła — niech z jej ust to posłyszają.

Śmielej spojrziała i odetchnęła.

Jaśko z Tęczyna dodał, że i dla przewodu, i dla porozumienia z królową, oni także posłów swych wyprawią z nimi.

— Kogo? — zapytała królowa niespokojnie.

Arcybiskup wymienił podczaszego Włodka z Ogrodzieńca, Mikołaja Bogorię i Krystyna z Ostrowa⁴⁹. Z tych pierwszy tylko bliżej był królowej znanym i pomyślała natychmiast, że widzieć go musi. Ona też chciała mieć od siebie posła, ale kogóż wybrać miała?

Nazajutrz podczaszy Włodko przybył z rana, posłano po niego. Zastał królowę mężną i spokojną. Podeszła ku niemu sama.

— Jedziecie z posłami? — spytała. — Tak? Chcecież być moim zarazem do matki?

Włodko oświadczał się z gotowością. Nie bardzo mu ufała pani, bo miała czas się dowiedzieć, że szedł jednomyślnie z innymi, lecz był to mąż szlachetny; obowiązek sumienia na kazywał mu poselstwo sprawić w myśl królowej.

— Nie wiem, jak trzymacie o tym wszystkim, co się tu dzieje — rzekła z powagą nad wiek swój — ani chcę wiedzieć, co w sercu macie. Żądam słowa od was, że matce mej powiecie, co jej pośle przez was.

— Miłościwa Pani — odparł podczaszy — to obowiązek...

Jadwiga patrzyła w ziemię.

— Powiedzcie matce mej, iż przypominam jej słowo mi dane, zaręczenie, iż od męża mojego nie będę rozdzieloną. Powiedzcie, że chcę i dotrzymam przysięgi, a żadna moc postanowienia tego nie złamie.

Podczaszy milczał, pochylił się z pokorą, szeptał coś, zmieszany był.

Jadwiga wzrokiem go zmierzyła.

— Mam słowo wasze.

— Dotrzymam go.

Nazajutrz posłowie odjeżdżać mieli. Sama pozostawszy, Jadwiga stawała się dziecięciem. Szła skarżyć się Hildzie i płakać. Zmuszona być królową, czuła w sobie męstwo, lecz siły nie wystarczały.

— Oni ślą do matki! Ja nie mam posłać kogo! Włodko powie, com poleciła, lecz bronić mnie nie będzie, nie poprze!

Załamywała ręce. Myślała o Gniewoszu, ten oczekując niemal co dzień Wilhelma, oddalić się nie mógł, nie było wysłać kogo. Naówczas Hildzie na myśl przypadł przybłąkany do dworu klecha. Nie wspomniała jednak o nim, póki nie wybadała. Bobrek kręcił się zawsze blisko, aby się łatwo dać znaleźć. Na pierwszy szept Hildy z radością wielką podjął się tajemnego poselstwa. Jego rzeczą było, jak powiadał, uczepić się jadących, wprosić do jakiegoś orszaku. Miał już na myśli Hawnulę. Zbiegł z tym co żywiej na miasto. Kłamstwo nigdy go nie kosztowało, a pokorę mistrzowsko odgrywać umiał. Lecz niełatwo było przystęp uzyskać do człowieka, który tu teraz był wszystkim.

Skirgiełło i Borys byli Jagiełły posłami jawnymi, tajemnym i głównym Hawnul. On się umawiał z panami, on wszystko prowadził.

Kraj jego szaty całując i okazując nadzwyczajną radość z widzenia tego, którego dobroczyńcą swym nazywał, schwycił w sieni na przesmyku Hawnulę Bobrek.

Starosta przypomniał go sobie, lecz zimno go przyjął.

— Panie, mam was prosić o łaskę wielką! zawołał.

— Mów a żywo, bo czasu do stracenia nie mam odrzekł Hawnul.

Naówczas szybko, zręcznie splótł Bobrek bajkę, jako na dworze starej królowej miał brata, który tam chorzał, a on z obowiązku chrześcijańskiego odwiedzić go pragnął. Stręczył się za sługę bodaj, za pachółka w podróży.

Hawnul, za ledwie chwilę pomyślawszy, przystał na to, aby się klecha do jego orszaku przyłączył, a Bobrek do kolan mu się pochylił, oczy w niebo podniósł. Strzelisty akt uczynił do Boga, życzył mu nagrody za miłosierdzie od Pana w niebiosach.

I gdy posłowie litewscy wyjeżdżali z Krakowa, prowadzeni przez Polaków, kierując się ku Nowemu Sączowi, Bobrek pokornie szłapał z nimi na koniku patrząc tylko, czy po drodze nie uda mu się coś pochwycić do kieszeni lub pamięci.

Młoda królowa, nawet w tych, co ją musieli poświęcić dla Polski, obudzała żywe współczucie jako ofiara. Wprawdzie w Polsce miłość wypieszczona, wystudiowana, truwerów⁵⁰ i minnesingerów⁵¹, dworów miłosnych, trybunałów sentymentu⁵², nie przyjęła się nigdy i nie zakwitła. Wyjątkowo może śpiewano o niej na wrocławskim dworze, lecz rycerstwo polskie nie miało ani czasu, ni usposobienia bawić się w miłości żadne. Pojmowano przywiązanie, rozumiano obowiązek, krew szalała często w chwilowym rozpasaniu, lecz nie spędzano dni i wieczorów na roztrząsaniu zadań serdecznych, jak na Zachodzie. W wolnej chwili wołano trefny⁵³ żart, opowiadanie dowcipne, nad pieśń latającą w obłokach.

Mówiono też sobie, że królowa swego ulubionego Wilhelma, rozstawszy się z nim, zapomni, a małżonka ukocha i będzie z nim szczęśliwa. Jej wiek nie pozwalał dziecinno przywiązania brać tak poważnie, aby dla niego kraj poświęcić.

Z dniem każdego połączenia Litwy z Polską wydawało się potężniejszą dźwignią przyszłości. Wszystko musiało przed nim ustąpić.

Gniewosz, ile razy próbował zjednać kogo dla królowej, znajdował prawie zawsze litość dla niej, lecz najgorętszą przy tym żądzą przyjęcia ofiar Jagiełły. Sprawa jego nie potrzebowała rzeczników, sama mówiła za sobą.

Jedynym środkiem niedopuszczenia Jagiełły było połączenie pospieszne z Wilhelmem, na mocy owego ślubu w dzieciństwie. Na nie rachowała Jadwiga, a Wilhelm, oczekiwany ciągle, nie przybywał. Przychodziły dni zwątpienia, w których Jadwiga, sądząc się opuszczoną, płakała.

Nie przypuszczała, aby ją cokolwiek bądź zmusić mogło do oddania ręki Litwinowi; a to, co jej o nim opowiadano, ciągle zwiększało jeszcze odrazę i wstręt nieprzełamany. Z miasta przynoszono opowiadania, jakoby zaczerpnięte od litewskich posłów dworu, wystawujące Jagiełłę jako potwornego człowieka, dzikiego, lubującego się w przelewaniu krwi, zamkniętego w sobie, małomównego, popędliwego, podejrzliwego, żyjącego mięsem surowym, dnie i nocę spędzającego w lasach, w których bałwochwalskie spełniał obrzędy. Śmierci Kiejstuta i wielu innych przypisywano jemu. Krzyżacy i ludzie Wilhelmu sprzyjający wymyślali coraz nowe potwarze.

Niecierpliwość Jadwigi, żal jej do Wilhelma, który na zawołanie dla ratunku jej nie spieszył, dały się uczuć i Gniewoszowi, nie wiedzącemu już, jak miał siebie tłumaczyć i jego uniewinniać.

Wreszcie wieczora jednego nadbiegł goniec do Gniewosza wyprawiony, oznajmujący przybycie księcia nazajutrz i żądający dlań gospody. Gniewosz, ostrożny i zabiegliwy, własny dom swój niedaleki od zamku, opróżniony i oczyszczony, ofiarował. Wspanialej by było u Franczka Morszteina, lecz podkomorzy zazdrosnym był, lękał się, aby kto innym umysłem młodym nie zawładnął.

Gdy Hilda wpadła do komnaty królowej, zdyszana, uśmiechnięta i po cichu chciała jej szepnąć wesołą nowinę, Jadwiga, która się z twarzy ochmistrzyni domyśliła już, co przyniosła, porwała się od krosien, zmieniona radością, szczęśliwa, zwycięska i powitała ją sama wykrzykiem:

— Mów głośno! Wiem, co przynosisz! Nie chcę tajemnic żadnych. Niech świat cały słyszy! Mój mąż przybywa! Mój mąż? Kiedy?

— Jutro!

Twarz młodej pani zabłysła jak różyczka, uśmiech powrócił, nadzieja, szczęście. Rzuciła się Elży Emerykównie na szyję, wołając po dziecinnemu:

— Słyszysz? On przybywa! Przybywa! Ciesz się!

Narieczona Spytką rada by była podzielać radość swojej pani, lecz wiedziała od niego, jak mało nadziei mieć mógł rakuski książę. Posmutniała jej twarzyczka, przewidywała teraz rozpoczęcie walki i dnie ciężkie dla Jadwigi.

Ona tryumfowała, w jej przekonaniu wszystko było skończone, jak skoro Wilhelm przybywał. Prawa jego poszanować musiano, a ona była królową.

W mgnieniu oka w tych smutnych przed chwilą izbach królowej wszystko nową postać przybrało. Ona sama odżyła. Wołała, aby jej przygotowano najpiękniejsze na jutro szaty i klejnoty, chciała być piękną dla niego, chciała się wydać królową. Nie wahała się nawet z szyderską uciechą kazać sobie przynieść kanaki⁵⁴ i manele⁵⁵ bogate, które widziano między podarkami Jagiełły.

Cały jej dwór cieszył się z nią, biegał, śmiał się. Ruch w komnatach nadzwyczajny, jeszcze mniej zwyczajna wesołość tych, co nie wiedzieli o niczym, zdziwiły i zaciekawiły.

Musiano się czegoś ważnego, stanowczego a pomyślnego dla królowej domyślać.

Lecz czujny i surowy Dobiesław z Kurozwęk, który całą duszą Jagielle był oddany, zawczasu już miał wiadomość, że Wilhelm przybyć może, kazał pilnować. Goniec wyprawiony do Gniewosza został podsłuchanym i kasztelan biegł do Jaśka z Tęczyna na radę, jak począć, gdy się książę zjawi.

Zbiegli się i inni panowie Rady. Nie można było krępować królowej, trzymać jej w niewoli ani bez przyczyny księcia po tężnego domu wypędzać z kraju. Musiano postępować z oględnością wielką.

Wieść ta wszystkich panów zafrasowała mocno. Domyślali się, że narieczony mógł być przez Jadwigę wezwanym. Dobiesław z Kurozwęk nie powinien był dopuścić go na zamek, na to się godzili wszyscy, lecz mogliż wzbronić im widzenia się z sobą?

— Wobec dworu, publicznie — zawołał Jaśko z Tęczyna — nie możemy mu zaprzecić drogi na posłuchanie, na rozmowę, lecz rozgościć się na zamku, potajemnie tam przebywać nie pozwolimy! Ze wszelkim poszanowaniem dla księcia, czci królowej strzec musimy; zbliżenia się nie dopuścimy, boby zasiadł potem w zamku i dopominał się praw swoich.

Zburzenie umysłów było nadzwyczajne. Dobiesław z Kurozwęk, gdyby to od niego tylko zależało, wprost chciał go zmusić do odwrotu. Jaśko z Tęczyna obawiał się do ostateczności, do rozpacz przywołać biedną królową. Spytek obstawał przy umiarkowaniu i przeciw wszelkim gwałtownościom głosował.

Narady przeciągały się do późna i stanęło na nich, co kasztelan wojnicki pierwszy wnosił: strzec Wilhelma, krok w krok za nim chodzić i śledzić, na posłuchanie tylko, na ucztę, na rozmowę przy świadkach wpuszczać do zamku.

— Jeżeli księżę więcej zapragnie, a dopuści się zamachu jakiego, naówczas — mówił Jan z Tarnowa — z poszanowaniem należnym wyświecimy go z miasta i z pocztem odprowadzimy precz do granicy, tak jakeśmy już Zygmunta Luksemburskiego wywiedli.

Godzili się wszyscy na to.

Kasztelan rozesłał ludzi na zwiady. Przyniesiono wieść, że dom Gniewosza na gospodę przygotowano, marszałek Mikołaj z Brzezia natychmiast posłał po niego.

Wezwany, po namyśle, stawiał się podkomorzy. Winien on był panu krakowskiemu i innym, którym dawniej służył i pochlebiał, wyniesienie się swoje. Dotąd był też dla nich z tą uniżonością dawną, która tylko przy obcych stroiła się w poufałość. Dziś potrzeba było zrzucić maskę i stanąć okoniem przeciw dawnym opiekunom. Gniewosz nie wahał się, mając za sobą królowę, wypowiedzieć wojnę tym, którym był winien wszystko. Miał na to dosyć czoła i zuchwalstwa.

Wpadł na radę panów już z tą przygotowaną butą, która była wyznaniem winy.

— Myślicie u siebie gospodę dać księciu Wilhelmowi? — zapytał kasztelan wojnicki, mierząc go surowym wejrzeniem.

— A dlaczegóż by nie! — odparł podkomorzy, przybierając niezwykle dumną postawę.

Dobiesław, którego zdrada ta więcej niż innych obchodziła, bo Gniewosz mu zawdzięczał wydrapanie się do podkomorstwa, zawołał szorstko:

— Dlatego nie powinieneś być czynić Wilhelmowi posługi, iż my Wilhelma znać nie chcemy!

Podkomorzy ramionami rzucił.

— Jestem na posługach u królowej, nie u was — rzekł. — Królowa widzi mile Wilhelma, spełniam jej wolę.

— Tak, jakżeście spełniali naszą — dorzucił Dobiesław — dopóki wam z tym dobrze było. Pomnijcie, że patrzeć trzeba końca.

Z lekceważeniem wysłuchał tej ostrej nauki Gniewosz.

— Waszym Miłościom dobrze czynić, co się wam zda, bo się dorabiać nie potrzebujecie — rzekł. — Jam chudy pachół, jako wiecie, u bogatego księżątka zarobić mogę i tego się nie wstydam.

— Ba, i od królowej! — dodał Dobiesław pogardliwie.

Gniewosz stał upokorzony, lecz dmąc się i trzymając w bok.

— Od królowej też! — powtórzył cynicznie.

— Jemu gdyby diabeł co dać chciał, wzięłby i od tego — szepnął, odwracając się, pan krakowski.

Mikołaj z Brzezia surowo patrzył na podkomorzego.

— Miejcie się na bacności — rzekł — abyście służąc rakuskiemu, nie narazili się potężniejszemu komu...

— To moja rzecz — odparł podkomorzy. — Grzechu w tym przecie srogiemu nie ma, że gospodę dam w domu cudzoziemskiemu panu, prawo tego nie broni, a królowa żąda.

Zastawiał się tak królową, iż panowie, widząc go już zupełnie przez nią zjednanym, nie chcieli nawet dłużej z nim rozprawiać.

I stała się rzecz w gościnnym polskim dworze prawie bez przykładna. Gniewosz stał jeszcze, wyzywając wszystkich i gotując się zuchwale bronić swojej sprawy, gdy wszyscy przytomni panowie, gospodarza nie wyjmując, powstawali z ław i siedzeń, dali znaki i z wolna wychodzić zaczęli do drugiej izby. Nikt na Gniewosza nie spojrział, nikt nie przemówił ani go pożegnał, ani zdawał się widzieć, że tu był. Obojętnie, w milczeniu wychodzili powolnymi krokami, zostawując go w pośrodku komnaty samym.

Ten znak wzgardy tak wyrazisty, tak dobitny, obelżywy dla podkomorzego, pomimo jego cynizmu i nawyknięcia do tego iż go nigdy bardzo nie szanowano, oblał go krwią sromu. Zaczerwienił się, drgnął, stał jeszcze krótką chwilę w miejscu jak wkuty, nieruchomy, czekając, czy się kto może nie zwróci. Gdy ostatni z nich przestąpił próg izby i drzwi za sobą zatrzasnął, Gniewosz wzgardliwie popatrzał na nie, głowę nakrył i z wolna skierował się do wyjścia poświstując, co było też obrazą domu, ale świstania tego nikt nie słyszał, tak jak już teraz Gniewoszem z Dalewic nikt się nie zajmował.

Nie miał więc nic do stracenia podkomorzy i nie potrzebował się już taić z usługami swymi dla Wilhelma. Nazajutrz w poczcie małym dworzan królowej, przez nią wyprawionych, wyjechał na spotkanie.

O kilkoro staj za bramami zetknął się z orszakiem, który był w istocie nadzwyczaj wspaniały,

liczny i wytworny. Jagiełłowe poselstwo odznaczało się bogactwem, dwór Wilhelma smakiem wykwinnym i kunsztem a ładem, z jakim był urządzony.

Książę chciał od pierwszego swojego zjawienia się w murach stolicy zaćmić wszystko, cokolwiek kiedy to miasto widziało. Na ostatnim noclegu dwór przywdział szaty i barwę najpiękniejszą.

Sam książę strojny jak laleczka, zręczny, piękny, wymuskany, woniami oblany, z miną pańską i dostojną, z przybraną dumą, na ślicznym koniu, pod nakryciem szytym spływającym aż do ziemi, jechał w szatach lśniących świeżością, a skrojonych tak, aby postawę jego uwydatniały. Usta mu się mimowolnie uśmiechały myśląc, jakie piorunujące na ludziach uczyni wrażenie.

Od ochmistrza dworu aż do ostatniego ciura wszystko równie było starannie wyświeżone, każdy miał miejsce wedle znaczenia i dostojęstwa.

Przodem jechali zbrojni z mieczami dobytymi, z tarczami herbowymi, straż pierwsza, dalej książę ze swym dworem najbliższym, za nim kapelan, lektor, poeta Suchenwirth, chudy, kościsty, z długą szyją, rysami jak od siekiery wyrąbanymi, a oczyma ciekawymi; trefnisie pstro poubierani, pomniejsi urzędnicy, straże znowu i niezliczone wozy, przy których piesi ludzie szli z halabardami⁵⁶. Na wozach widać było malowane skrzynie, pudła, wory, sakwy, sprzęt różny i oręż. Pochód umyślnie rozciągnięty, aby się ogromniejszym wydawał, długim sznurem włókł się gościńcem i zamykał konną strażą.

Wśród powozów szły podziw obudzające kolebki malowane i złożone, skórami i sukniami poobplekane, różnej budowy, mniejsze i większe wózki, konie powodne i liczne psy myśliwskie w bogatych kowanych obrożach od srebra i złota. Sokolnicy na rękach nieśli zakapturzone sokoły i rarogi⁵⁷.

Gdy orszak ten począł wjeżdżać w bramę, końca jego w ulicy do niej wiodącej nie było. Ludu mnóstwo poczęło się zbiegać zewsząd, aby patrzeć na to widowisko niespodziane, bo bardzo mało kto o nim był uprzedzony.

Gawiedź nawet w początkach nie wiedziała, kto przybywał. Przypatrywano się z ciekawością nadzwyczajną, ale w osłupiałym milczeniu. Nikt nie dał znaku życia.

Oprócz Gniewosza, który tuż jechał za księciem, nikt nie wyruszał na spotkanie. Nie takiego zapewne przyjęcia spodziewało się książątko i czoło mu się trochę zachmurzyło.

Gawiedź biegła z orszakiem przypatrując się, dziwując, ale i wyśmiewając po trosze z różnych niezwykłych strojów i przy borów.

Książę, tak noga za nogą przejechawszy znaczną część miasta, nie spotkawszy, nawet przypadkiem, żadnego z panów polskich, bo ci się umyślnie po swych dworach i gospodach pozamykali, zbliżył się na ostatek do domu Gniewosza, który na pierwszy rzut oka wydał mu się mizernym bardzo. Lecz spodziewał się co najwięcej przenocować tu może i dostawszy na zamek, już go nie opuścić.

Gniewosz nie powiedział mu, że od rana bramy zamku na Wawelu stały zamknięte i strażą silną

opatrzone. Królowa, której o tym doniesiono, cała była wzburzona wołając, że ją jak niewolnicę zamknięto, ale Mikołaj z Brzezia odparł z uszanowaniem:

— Miłościwa Pani, strzeżemy cię jak skarb najdroższy, którego sobie wydrzeć nie damy.

Chociaż gospoda w domu Gniewosza była tylko chwilową, jak się księciu zdawało, niemniej potrzebował w niej wozy swe pootwierać i niezliczoną mnogość rozmaitego sprzętu, bez którego obejść się nie umiał, kazał dobyć.

Nagie ściany raziły go, musiano oponami je okryć, a że nowy strój przywdziać musiał księżę, bo w podróży pozostać nie dozwalał zwyczaj, ściągnięto kufry i otworzono.

Gniewosz, zaledwie z konia zsiadłszy, stawił się jako po średnik na usługi.

Na zamku przez wysłanego na miasto Dobka z Czesiowic, dworzanina królowej, natychmiast się dowiedziano o przybyciu Wilhelma. Królowa od rana była przystrojona i z niepokojem oczekiwała. Zdawało się jej, że Wilhelm natychmiast będzie mógł na zamek przybyć. Wezwany pan Mikołaj z Brzezia oświadczył, iż na to potrzeba było zezwolenia pana krakowskiego, a wkrótce i Dobiesław sam zjawił się ponury i milczący przed królową.

Na jej rozkaz, wydany stanowczo głosem pełnym już rodzącego się gniewu, kasztelan krakowski odrzekł spokojnie, iż księżę cudzoziemski mógł tylko za wiedzą i w przytomności panów Rady być na posłuchanie wpuszczonym. Próżne było wołanie królowej i jej wymówki. Ciągłe z największą uniżonością kasztelan się tym tłumaczył, że pozwolenie od niego nie zależało.

— Stróżem tu tylko jestem, ale pod rozkazami.

— Jam królową! — powtarzała młoda pani.

— Bez Rady jednak Wasza Miłość, rozstrzygać nie możecie.

Z niecierpliwością nakazała Jadwiga powołać Radę do siebie.

Jechali na zamek panowie wszyscy, duchownych nie pomijając, których zabrali z sobą, bo ich powaga i głos na młodej pani największe czyniły wrażenie. Milczący, smutni, majestatyczni weszli do komnaty, w której Jadwiga już na nich czekała. Chciała gwałtownie upomnieć się u nich o swe prawa, lecz głos jej łkanie przerwało.

— Powiedzcie mi: niewolnicą jestem czy królową? — krzyknęła.

Arcybiskup starał się ją ubłagać, aby spokojną była. Jaśko z Tęczyna zaręczył, że publicznie i uroczyście księżę Wilhelm będzie wpuszczonym, lecz stałego pobytu na zamku stanowczo odmówić mu muszą.

— Posłowie pojechali do królowej matki, rzecz jest nie rozstrzygniętą, nie godzi się, aby pobyt księcia Wilhelma sławie pani naszej miał ujmkę czynić.

— Jest mężem moim — sucho odpowiedziała Jadwiga.

Na próżno usiłowała zmiękczyć panów Rady, milczeli nieporuszeni. Arcybiskup i mały Radlica nie stanęli po jej stronie. Musiała ulec przemocy i wyszła gniewna, okazując taką siłę duszy, że nawet Jaśko z Tęczyna mocno się tym zafrasował. Takiego oporu nie spodziewano się po słabym dziewczęciu.

Jeszcze starszyzna naradzała się, nie wychodząc z posłuchalnej komnaty, gdy wszedł do niej wysłany przez Jadwigę z miną zuchwałą Gniewosz, domagając się w imieniu pani, aby na jutro posłuchanie naznaczone zostało. Panowie ulegli prośbie, lecz że nikt z Gniewoszem mówić nie chciał nawet, wysłano z tym jednego z dworzan, a Gniewosz odszedł struty i zawstydzony.

W jego domu tymczasem rozgospodarował się książę z całą pedanterią swą nieubłaganą, zabierając stroić, odpoczywać i obiadować.

Gniewosz właśnie rozmyślający nad rozłożonymi szatami i ich wyborem przyszedł smutną zwiastować nowinę, że na zamek dopiero nazajutrz książę będzie dopuszczonym na posłuchanie uroczyste, ale pozostać na nim panowie na żaden sposób dozwolić nie chcą. Oświadczenie to z nie dowierzającym uśmiechem przyjął Wilhelm, wcale sobie inną rokując przyszłość. Przewidywać zaczynał wprawdzie, że układy, przełamanie trudności, mogą się przeciągnąć, nie wątpił, że się skończą szczęśliwie. Gniewosz opowiadał mu o energicznym wystąpieniu królowej. Piękne chłopię uśmiechało się.

Nie było przyjemnym to położenie, ale miało urok jakby przygodny z pieśni starej w życie wcielonej. Ten zamek strzeżony przez starców zazdrosnych, ta wyrywająca się ku niemu królowa, przeszkody do przewyciężenia, zabiegi tajemne, wszystko to podniecało wyobraźnię. Był w swych oczach bo haterem, którego Suchenwirth miał opiewać, a po nim mnodzy poeci. Książę dumnym się czuł z tego losu wybranych.

W jego pojęciu jednak przygodzie brakło pewnych ozdób.

Panowie Rady powinni byli przecie przyjść do niego z pokłonem, nalegać, aby mógł okazać wymownie miłość swą i stałość, a dać im patetyczną odprawę. Tymczasem nie było nikogo, nie zjawił się nikt oprócz odartej gawiedzi otaczającej dwór i oblegającej bramę. Panowie nie chcieli wiedzieć o nim. Dolegało mu to trochę, lecz zmienić się musiało.

Gniewosz tymczasem wysiłał się na usługi i nie odstępował. Miał za to szczęście być przytomnym pańskiemu obiadowi, na który ani on, ani nikt z dworu zaproszonym nie był, gdyż książę z nierównymi sobie nie zwykł był siadać u jednego stołu.

Uroczyście podawał stolnik misy, z których musiał sam naprzód próbować potraw, tak samo podczaszy maczał usta w napoju. Chociaż książę przybył zaledwie, srebrne naczynia, kosztowne puchary, obrusy szyte, wszystko było już podobywane i wedle praw niezmiennych podane i ustawione.

W czasie, gdy książę się posilał, nadworny poeta stał przy nim, otaczała znaczna część dworu, a

dwaj trefnisie starali się rozweselić.

Lecz sami zmęczeni podróżą, trochę pomieszani przyjęciem zimnym, potrzebowali odzyskać humor w drodze postradany.

Powtarzali przestarzałe gadki, książę ich nie słuchał, ginęły marnie. Na ostatek Bube wlaź w ką i dał za wygrane.

Zdjęto obrusy, wymieciono kości, a książę przeniósł się ku oknu, z którego widok zamurowany ścianami, więzienny, nie wiele go mógł rozerwać.

Na wieczór przygotował się lutnista i znowu trefnisie, lecz książę odprawił wszystkich. Suchenwirthowi kazał sobie od czytać na nowo wiersz na swój herb i godło, napisany w podróży. Poeta zabawiał go czas jakiś, lecz postrzegł w końcu, że książę, myślami będąc gdzie indziej, nie słuchał go już.

Tak dzień ten tym smutniej się zakończył, że książę Wilhelm pomimo trzykrotnego najsumienniejszego rozważania wyboru sukni na jutro, pomiędzy aksamitem a atłasem, dotąd stanowczego wyroku nie wydał. Całą noc zadanie to największej wagi spoczynku młodemu chłopięciu nie dało.

Rozdział VII

Piękną jak anioł była dnia tego królowa, bo jej szczęście, jak ból, wdzięku dodawało zarówno; piękną tylko inaczej niż tych dni powszednich, gdy smutna, znękana czekała i tęskniła.

Chciała być dla niego piękną.

Serce jej biło do tej laleczki książęcej, ślicznej, strojnej, rozmiłowanej w sobie, umiejącej miłość tę słabemu, niewieściemu narzucić sercu. Widziało go zawsze od dzieciństwa tym wypieszczonym chłopaczkiem, prawie niewieście miluchnym, dbałym o piękność swą, delikatnym, prawiącym cicho słodkie słówka i słuchającym ich z rozkoszą.

Szlachetne, wielkie serce niewieście przywiązało się do tej istoty wdzięcznej a chłodnej.

Miłość nie jestże prawie zawsze ubóstwieniem i bałwochwalstwem z jednej strony, a chłodnym przyjmowaniem z drugiej?

Wilhelm kochał ją tak, jak samolub pieszczony miłować może, trochę zmysłami, więcej wdzięcznością za to, że ona go ubóstwiała. Kochał w niej także koronę i kraj, który mu niosła w posagu.

Ona z poświęceniem niewiasty gotową była cierpieć dla niego, on jej cierpienie i ofiarę miłym uśmiechem przyjmować. W jego przekonaniu to, co on dla niej uczynił teraz, przedsiębiorąc podróż, stając do walki, narażając się na niewygody i niewczasy, było już ofiarą, która starczyła za wszystkie, jakie królowa poświęcić mu mogła.

Z rana tego dnia w niepewności wielkiej książę wybrał na ostatek aksamit, włosy mu trefiono długo, najmiłszą wonią skropiono suknie. Dwór przypuszczony do oglądania już ustrojonego książęcia był w zachwyceniu. W istocie też Wilhelm miał postać wielce wdzięczną, a każdy jego ruch obmyślany, wyważony, obrachowany był, aby uwydatnić ten cielesny wdzięk, któremu brakło tylko wyrazu i duszy.

Zimno patrzyły oczy, nieustannie na siebie zwracana uwaga śmiało nie dozwalała postawić kroku, szedł sztywnie, uśmiechał się wyuczonym śmiechem, marszczył wedle pewnych prawideł.

Ze dworu najwspanialsze postacie towarzyszyły mu na zamek.

Na widok jego, gdy wchodził na salę, lice królowej zarumieniło się, poruszyła się, jakoby biec chciała naprzeciw, serce jej biło, powaga królowej przykuwała do tronu.

On szedł milczącym krokiem, uśmiechnięty dumnie, wprost ku niej. Na powitanie całe grono mężów poważnych wstało. Skłonił im lekko główką. Mimo woli zmierzył ich oczyma.

Strojni byli bogato, wspaniale, ale jakże w oczach wykwintnisia wydali się dziko i niesmacznie! Z

tych twarzy nasepionych lub uroczyście wypogodzonych siła jakaś nieokiełznana patrzyła. Był to świat niedojrzały, pierwotny, który pogardliwe tylko wzbudzić w nim mógł uczucie.

Wilhelm szedł tak aż do stopni tronu, a białą rączką ciągle go witała królowa. I widać było oddech przyspieszony, który piersi jej poruszał. Mieniła się wszystkimi blaskami szczęścia.

Książę byłby się może ośmielił zbliżyć bardziej jeszcze, lecz po obu bokach tronu stali ludzie zbrojni dziwacznie, jakby na straży, i patrzyli nań zjadliwymi oczyma.

Rozmowa cichym, stłumionym głosem rozpoczęła się po niemiecku.

Patrząc na niego, królowa zapomniała o wszystkim, o po łożeniu swym, o tym, co ją otaczało, o tych co ją słyszeć i rozumieć mogli. On stał naprzeciw niej, jednego jego widziała.

Wilhelm poetycznie, sucho i sztucznie, wyrazami może od Suchenwirtha pożyczonymi⁵⁸, powiedział jej o swojej tęsknicy, o radości, z jaką ją oglądał. Ona radowała się temu, iż teraz wszystko złe skończyć się musiało. Śmiało powiadać mu zaczęła o poselstwie do królowej matki, które nic innego przynieść nie mogło nad to, co matka jej przyrzekła i jemu. Zachęcała go, aby wytrwale czekał i bądź co bądź pozostał tutaj.

Oczy mówiły więcej niż usta. Ręce chciały się zbliżyć i ucisnąć, ale tyle tych dzikich oczu spod nawisłych brwi patrzyło na nich.

Cicho szeptała królowa: — Zobaczymy się gdzie indziej, swobodniej. Cierpliwości Wilhelmie.

Tak na cichych szepciach przeszło to pierwsze posłuchanie, a książę uśmiechem ust dowieść się starał, że ono go nie zrażało.

Królowa niespokojny wzrok rzucała na siedzących dokoła, trwożyli ją ci niemi świadkowie, ale miłość dodawała męstwa.

Zdawało się księciu, że przecież ci panowie Rady coś mu grzecznego i pochlebnego powiedzą, uczczą w nim wielkiego pana, w końcu przekonać się musiał, iż się do tego nie po czuwali obowiązku.

Nastąpiło ciche pożegnanie. Niemi mężowie ruszyli się z ław jako jeden, wstali, skłonili głowy, i gdy królowa jeszcze mu ręką znaki dawała, a on jej głową i dłonią do piersi przyłożoną odpowiadał iść trzeba było ku drzwiom. Książę dokonał tego pochodu mistrzowsko, z nieporównanym wdziękiem, z ułożeniem postawy, która giętkość kibici na podziw niezgrabnych widzów wykazywała. Jeszcze raz ode drzwi skłonił się Jadwidze stojącej na tronie... i znalazł się w przedsieni.

Cizba dworska zebrana rozstąpiła się przed nim, nałożył czapkę z piórami na główkę i siadł na konia z tą samą zręcznością, z jaką umiał chodzić po kobiercach.

Był pewnym, że zostawia po sobie niezatarte wrażenie na tych ludziach, którzy podobnej doskonałości, takiego pana i do tego wysokiego stopnia wypięknionego nie widzieli człowieka.

Widok Jadwigi poruszył go nieco. Była tak śliczną, a takim uczuciem przyjęła go.

Z jakimi myślami dojechał książę do dworu Gniewosza, co się snuło po tej ślicznej, splotami włosów czarnych okrytej główce, nikt z jego dworu nie odgadł, postrzeżono tylko, że za topiony był w sobie.

Powiernik poeta Suchenwirth czekał na niego w progu i odprowadził do sypialni, — książę spojrział nań, lecz spowiadać się przed nim nie chciał. Padł na siedzenie. Sparł się na łokciu i długo patrzył na podłogę. Poeta szanował tęskne zadumanie.

Na zamku królowa to promieniała radością, to rzucała się niecierpliwa. Brwi jej się ściągały i usta zaciskały.

„A, ci starzy opiekunowie, co sobie taką władzę nade mną przyznali”! — zawołała w duchu.

— Hildo — odezwała się, widząc nadchodzącą piastunkę — przybył mój! A, jaki piękny! A, jak serdeczny! A, jak ja go miłuję duszą całą! I on tu jest, tu, w tym mieście, niedaleko za tymi murami, a te ściany przekłete dzielą nas! Zbliżyć się do niego nie mogę! Jemu na zamek nie wolno!

Hilda coś jej na ucho szepnęła, — uspokoiła się królowa.

Odżywione uczucie próżnować nie mogło. Zaledwie parę godzin upłynęło po posłuchaniu, gdy już jeden z dworzan biegł w poselstwie do dworu Gniewosza i przyniósł odpowiedź.

Królowa ze stołu swego posłała potrawy Wilhelmowi. Książę odwdzieczył się słodyczami, których całe skrzynie wiozł z sobą.

Poselstwa te, choć krzywiąc się na nie, przepuszczano z zamku i na zamek, lecz pilno patrzono na krok każdy.

Dobiesław z Kurozwęk, najwięcej odpowiedzialny, nie ruszał się prawie z zamku, obawiając się więcej może, niż na leżało, i domyślając nad to, wszystkie boczne furty i wychody kazał pozabijać i pozamykać, klucze poprzynosić sobie. Na wałach widoczne i niewidoczne chodziły straże. Zamek był jak obleżony.

Pan krakowski obawiał się wszystkiego. On i podskarbi Dymitr z Goraja, który z urzędu ciągle się tu znajdować musiał, wspierając się wzajemnie, chodzili dokoła, podglądając każdy ruch, szczególnie tych ludzi ze dworu królowej, których po dejrzewano o knowanie i stosunki z Gniewoszem.

Podkomorzy zaś, nigdy tak pokorny i uniżony, teraz chodził wyzywająco na nich spoglądając, z podniesioną głową, z miną taką, jakby się z ich próżnych usiłowań chciał naśmiewać.

Nie śmiano Wilhelma wprost wygnąć z Krakowa i zakazać mu pobytu, a przedłużone jego przebywanie stawało się w końcu nieznośnym, bo nieustanną było trwogą. Lękano się wykradzenia królowej lub wkradnięcia się na zamek pod jakim przebraniem Wilhelma. Jedno tylko cokolwiek mogło uspokajać, to dosyć trwożliwy charakter młodzieniaszka, który ani osoby swej, ani godności

nierad był narażać.

Gdy u Jaśka z Tęczyna radzono nad tym, jak się pozbyć Wilhelma, we dworze Gniewoszowym rozmyślano nad tym, jak do królowej się zbliżyć.

Tymczasem powrót posłów z Budy od królowej uwagę powszechną na nich zwrócił. Wilhelm uznał sam potrzebę za chowania się cichego i niedawania znaku życia.

Zaledwie królowa o powrocie posłów się dowiedziała i chciała posłać po Włodka z Ogrodzieńca, niecierpliwa dowiedzieć się, co jej przywieźli, gdy klecha usłużny, mało co się przebrawszy i zaledwie z kurzu otrząsłszy, przybiegł do Hildy.

Stara, spojrzawszy nań, domyśliła się, że nie musiał nic pomyślnego nieść im, bo stanąwszy w progu, przybrał postać zbolałą i zrozpaczoną. Podbiegła do niego ochmistrzyni, oczyma wyzywając, aby mówił.

Bobrek ręką okazał, że wszystko było stracone.

— Na królowę Elżbietę się zdać — rzekł — to jak na piasku pisać. Co dzień ona co innego myśli i czego innego chce. Nikt jej nie wyrozumie, bo każdemu mówi inaczej, a co wczoraj odpychała, tego nazajutrz się chwyta. Gdyśmy przyjechali, a za biegłem do niej przez zaufanych, aby córki nie oddawała na łup poganom, zaręczyli mi wszyscy, że nigdy tego nie uczyni; potem przyszli posłowie z darami, zaczęli polscy panowie przynaglać i prosić, aby zdała na nich pieczę nad ukochaną królową i wyrzekła się wszystkiego, pozwalając panom krakowskim, aby tak postąpili, jak dla nich lepiej będzie. Mają więc katowie rozwiązane ręce i czynić mogą, co chcą.

Bobrek, mówiąc, oczy sobie zakrył, a choć nie płakał, w istocie tak był zły i gniewny, że gotów był wybuchnąć łzami razem i przekleństwa.

Ochmistrzyni stała osłupiała.

— Nic nie pomogły starania i zabiegi — dodał, — stara serca nie ma, nad własnym dzieckiem się ulitować nie umie. Trzeba samym myśleć o sobie.

O złym skutku tym poselstwa Hilda nie chciała już zawiadamiać królowej; nie było z czym śpieszyć. Opuściła ręce, dała znak klesze, aby się oddalił. Ten stał uparcie.

— Nie zawiadomicie o tym pani? — zapytał.

— Dowie się ona aż nadto rychło — zamruczała Hilda.

— I potrzeba, żeby zawczasu wiedziała a myślała, co czynić, — odezwał się Bobrek. — Wiem, że książę Wilhelm tu jest. Musi się znaleźć sposób wprowadzenia go na zamek lub dla królowej wyjścia do niego. Dostyc, aby parę dni żyli z sobą a oświadczyli to publicznie, małżeństwa już naówczas nikt nie rozerwie.

— Ale na zamek nikogo nie wpuszczają i nie wypuszczają bez wiadomości kasztelana, wszystkie

furty są strzeżone — zawołała Hilda.

Klecha pogardliwie ruszył ramionami.

— Na wszystko są sposoby — odparł — ale ich szukać po trzeba. Z oblężonego grodu wymykają się ludzie, z więzień uciekają.

Rzuciwszy tych słów kilka staruszce, które, pewien był, iż królowej powtórzone zostaną, Bobrek się wymknął. On też czasu nie miał do stracenia, chcąc posługiwać księciu Wilhelmowi i czując, jak mu użytecznym być może. Gniewosz był nadto widocznym i na oku go miano, jego nie podejrzewano i mało nań zważano.

Tylko ze smutku swej starej królowa dorozumieć się mogła, iż coś nie pocieszającego kryje się przed nią. Nie zdradziła się Hilda, chcąc swej pani za wczesnego oszczędzić frasunku.

Nazajutrz też rano zjawił się w podwórzu Włodko z Ogrodzieńca, zobaczyła go Jadwiga i niespokojna powołać kazała do siebie.

Podczaszy nie widział potrzeby tajenia tego, co wkrótce wszystkim wiadomym być miało.

Jadwiga wybiegła z Elżą Emerykówną naprzeciw niemu.

— Widzieliście matkę moją? — wołała.

— I przywozimy wam pozdrowienia od niej — odezwał się Włodko dosyć niewesołym głosem.

Bystro spojrziała nań królowa.

— Mów, co mi przynosicie! Z czym powracacie?

Podczaszy zdawał się wahać.

— Królowa matka zdała rozstrzygnięcie o wszystkim na panów Rady — rzekł powoli. — Zgadza się na to, co oni postanowią.

Chwilę stała jak piorunem rażona biedna królowa jakby nie rozumiejąc, co usłyszała, — wydała okrzyk bolesny, zakryła sobie oczy i sparta na Elży wyszła, nie spojrzawszy na podczaszego.

Prawie tej samej chwili Gniewosz przybiegł do Wilhelma zwiastować mu to, co zwał zdradą i przeniwierstwem królowej matki. Nie uczyniło to jednak nadzwyczajnego na Wilhelmie wrażenia. Ufał Jadwidze i swojemu dostojeniu, przy miotom wyższości, z którą nic o lepsze walczyć nie mogło. Wiadomość przyjął z dumnym ust wykrzywieniem, jakby mówił: — Zobaczymy!

Gniewosz też wcale nie myślał tracić nadziei, według niego teraz dopiero mieli rozpocząć działanie. Należało czas jakiś pozostać na stronie, pozornie beczynnie, a przygotować kroki stanowcze. Królowę porwać lub do niej się na zamek dostać musiał książę.

Zamknięto wrota dworu, ludziom książęcym wzbroniono się pokazywać, można było sądzić, że arcyksiążę albo się wyrzekł już wszelkich nadziei, lub sam jeszcze nie wie, co pocźnie. Nie bardzo też zwracano nań uwagę, bo panowie wszyscy, niezmiernie uradowani wyjednaniem słowa królowej, żywo się teraz zajmowali odprawą posłów. Ci, co trzymali z Jagiełłą, byli w tak przemagającej większości, iż nie ulegało wątpliwości, że oni zwyciężyć muszą i na króla go powołać.

Odjeżdżającym Skirgielle i Borysowi, a więcej jeszcze Hawnulowi, tajemnie zaręczono, że Jagiełło może korony być pewnym, jeśli warunki podane przyjmie. Należało wszakże w tak ważnej sprawie, choćby dla uprawiania jej, zjazd zwołać jeszcze, a z niego wzajemne wyprawić poselstwo.

Nieszczęśliwa królowa, którą odpowiedź matki do rozpaczy prawie przywiodła, chorobą się wymówiła od powtórnego przyjmowania braci Jagiełłowych.

W zamku płacz był i narzekanie.

Z Panami Rady Jadwiga mówić nie chciała, zbywała ich milczeniem zimnym. Nie zwierzała się już nawet przed Radlicą, lecz przywiedziona do tego stanu, z którego sama tylko własną wolą się ratować mogła nie wyrzekła się walki i obrony. Postanowiła wytrwać i przemoc siłą zwyciężyć.

Z obojętnością słuchała tego, co się dokoła niej działo, o czym jej donoszono. Zjazd zwołany do Krakowa nie obchodził ją wcale ani wszelkie zabiegi tych, co jej Jagiełłę narzucić chcieli. Postanowiła pozornym spokojem, milczącym poddaniem się czujność stróżów swych uspić. Gniewosz poddał ten tryb postępowania.

— Nie pomoże nic — szeptał, — gdy go przypuszczono do królowej — z nimi na słowa szermować i chcieć ich przekonywać. To są ludzie uparci, co nad nikim litości nie mają. Niech sądzą, że się po ich woli stanie. Tymczasem znajdziemy sposób albo na zamek się dostać, lub z zamku Miłościwą Panią z tej wydobyć niewoli.

Na pozór więc po przyjęciu tej rady podkomorzego wszystko się uspokoiło, zaniemiało, zdrętwiało. Królowa chodziła smutna, milcząca, nie wybuchając z wymówkami ni narzekaniem. Zdawała się, acz niechętnie, ulegać przemocy.

Przybywającym duchownym, arcybiskupowi, Dobrogostowi poznańskiemu, Radlicy, ciągle jej usiłującym dowieść, jak świetną Bóg jej przeznaczył apostolską sławę, nie odpowiadała nic, słuchała ich ze spuszczonymi oczyma, lecz nigdy słowo się jej nie wyrwało, które by świadczyło, że zmieniła przekonanie. Posłuszna występowała, przyjmowała, spełniała swe obowiązki królowej z powagą i chłodem, który czasem litościwego Jaśka z Tęczyna przerażał.

Czuł on wyrzuty sumienia, rozważając los tej niewiasty, wiernej swej przysiędze, a tak nieszczęśliwej, lecz losy tysiąca ludzi zależały od łzawej tej ofiary. Spełnić się ona musiała!

Wilhelma opowiadano chorym. Nie okazywał się nigdzie, bardzo rano tylko, z mniejszym, ale zawsze właściwym dostojęstwem orszakiem, w stroju ściśle do pory dnia i miejsca za stosowanym, udawał się na mszę świętą do klasztoru księży Franciszkanów, najbliższego od dworu Gniewosza. A że do obowiązków dostojęstwa należało szczodre sypanie jałmużny, książę brał z sobą

podskarbiego, który ją ostentacyjnie rozdawał i klasztorowi też zasiłek dając pański.

Księża czuli się w obowiązku tego dobroczyńcę konwentu uroczyście przyjmować w progu z wodą święconą i pacyfikałem⁵⁹, a raz czy dwa ośmielili się nawet zaprosić do refektarza. Księżę, któremu nudziło się dość w samotnym dworcu Gniewoszowym, rad, że mógł być czczonym i że go honorowano, chętnie zaszczycał dzieci świętego Franciszka odwiedzinami swoimi.

Było zawsze znamię ubogich mnichów tego zakonu, że swe ubóstwo nosili wesoło i surowe życie barwili dziecinną prawie swobodą ducha.

Gwardianem⁶⁰ naówczas był ojciec Franciszek, mnich nie zmiernej łagodności i dobroci, prostoty wielkiej i ducha promiennego, który nawet męczeństwo umiałby być znieść, nie tracąc tego wesela dobrodusznego, które się na ustach jego zawsze złemu i dobremu uśmiechało. Znano go z tego, iż pobożnie sobie wszystko ziemskie lekceważył i w żart obracał. Powiadano, że za klauzurą dla mnichów nie mniej surowym był, lecz w obejściu się ze światem nastawał na to, aby synowie Franciszka świętego nigdy nie okazywali, jakby stan ich im dolegał.

— Szczęśliwi powinniśmy być i wesołą twarz okazywać zawsze, bo nam się dobra częśćka dostała w podziale.

Ojciec Franciszek był wielce gościnny. Księżę Wilhelm jego i zakonników polubił bardzo.

Wiedziano na zamku przez Bobrka o każdym kroku młodego pana, dowiedziała się też królowa, że nabożnym był w tym kościele⁶¹, który od zamku stał niedaleko, tuż pod murami.

Na bliższe porozumiewanie się Rakuszanina z królową choć kasztelan miał oko, wiele rzeczy przed nim ukryć umiano, a przygotowania do zjazdu zwołanego i ciągle narady nad warunkami, jakie postawić miano Jagielle, wszystkie umysły zaprzętały. Jaśko z Tęczyna wreszcie nie był za tym, ażeby królowę trzymać zbyt surowo i drażnić ją na próżno. Wolał przez szpary patrzeć na to, co dziecinną rozrywką nazywał.

— Gdy potrzeba będzie — mówił — wystąpiemy, choćby na klęczkach, i uprosić ją teraz... niech się rozerwie i wczasu zażywa...

Dobiesław głosował już z dawna, ale sam jeden, za gwałtownym księcia wydaleniem. Spytek równie litościwy jak kasztelan, opierał się.

— Będzie czas na to — mówił — królowa sama, gdy ujrzy konieczność, podda się jej.

Zwołanie zjazdu do Krakowa tyczyło się i Wielkopolski. Tu znowu Bartosz zabiegał i był czynnym. Chociaż Semko, siedząc w Krakowie, do niczego się mieszać nie chciał, odpychał narzucone nadzieje, Bartosz biegał i budził Nałęczów, pewien, że księżę, gdy sam się przekona, że ma się na kim opierać, da się wyrwać z tej beczynności.

Semka mało kto teraz rozumiał, a i on sam siebie może nie wiele. Czarem i urokiem była dla niego królowa; nie miał najmniejszej nadziei pozyskania jej, a oderwać mu się stąd było trudno. Jadwiga

też wolała go nad innych, może dlatego, że on się jawnie do dziewosłębów nie mieszał. Zapraszano go na zamek, a gdy Handslik śpiewał, patrząc w oczy królowej, słuchając pieśni, Semko się zapominał i w jakimś błogim rozmarzeniu godzinami siadywał, słowa nie mówiąc. Posądzano go, że w tym pięknych dziewic orszaku, jaki otaczał królowę, księżę mógł sobie upodobać którąś, lecz dla żadnej nie okazał nigdy najmniejszej skłonności. Złamany na duchu nieszczęśliwym po kuszeniu o koronę, był jakby zdrętwiały.

Przyszłość swą miał już naprzód oznaczoną, spokojny byt na zamku plockim z Jagiełłą siostrą nic więcej. Nie było to teraz ani wielkim szczęściem dla niego, ani złem wielkim. Mówił sobie, że dolą mazowieckich książąt było na dzielnicach swych dogasać.

Pomimo tego zobojętnienia jawnego, w Wielkiej Polsce, już na przekorę panom małopolskim, aby kogoś stawić przeciw Jagielle, znowu Piasta i Semka dobyto. O Januszu mowy być nie mogło, a Opolski wstręt obudzał i obawę. On jeden pozostał. Wielkopolanie ci, co się na zjazd wybierali, wzięli z sobą imię tego, którego w Sieradziu królem ogłosili.

Zacząli się ściągać wezwani do Krakowa, lecz co przewidzieć było łatwo, Wielkopolan nie przyjechało wielu. Niektórzy powiadali, że gdy ich lekceważono i na ich wezwanie nie stawano, oni też mogli się odstrychnąć. Inni, ponieważ wojna domowa nie była całkiem zażegnana, nie chcieli odstąpić swych zamków, aby ich przeciwnicy nie zagarnęli. Gdy dzień naznaczony nadszedł, ledwie mała gromadka się znalazła z Wielkopolski, a ta, namówiona przez Bartosza, cała poszła pokłonić się Semkowi, głosząc, że jego wybór popierać będzie.

Niespodziany ten zwrot, którego Semko nie mógł przewidywać, gdy nagle jednego rana już ostyłego i wyrzekającego się wszelkich nadziei zachwycił, wprowadził w zdumienie nadzwyczajne i strachem nabawił. Nie marzyło mu się już nawet o tym.

Nagle tłum ten, dobrze mu znany z Sieradzia, hałaśliwy, wesół, butny, gdy zaległ całą gospodę, a Lepiecha z Bartoszem i Lasotą wpadli do komnaty, niosąc księciu pokłon i nową błyskotkę, nowe jakieś nadzieje, Semko jakiś czas myśli zebrać i opamiętać się nie mógł.

Lecz nie był on już tym niedoświadczonym młodzieniaszkiem, którego łatwo dawniej ująć było, miał w charakterze siłę i postanowiwszy raz coś, nie cofał się. Pierścień jego miała siostra Jagiełły, on słowo litewskiego księcia związany był przyrzeczeniem i nie ufał już w tę Wielkopolan siłę, która z przebiegłością Krakowian walczyć nie mogła. Sam on na siebie tym nieszczęsnym rozejmem, którym go podstępnie wzięto, doświadczył, że im nie podoła. Stał więc przed Bartoszem, Lepiechą i Lasotą niemy a smutny. Słuchał ich, lecz Bartosz postrzegł, że w nim nic nie zadrgało.

Lepiecha, rękę podnosząc do góry, obiecywał mu, że się złamać nie dadzą i za nim wołać będą, i Piastów krwi wierni zostaną. Wtórował mu Lasota, popierał Bartosz, aż gdy wszyscy skończyli i na księcia kolej przyszła, Semko im rzekł:

— Bóg płac za dobre serca wasze. Czyńcie, co one wam do radzą, ja nie mogę nic poczynać, bom związany, a i siły nie czuję po temu, abym z Jagiełłą szedł o lepszą, który im stokroć więcej przynosi.

Lepiecha wołać zaczął że tym prawem i chana tatarskiego na tron by wynieść można dla jego

skarbów i mocy, a krwi panów swych stać się wiarołomnymi; oni zaś wiernymi zostać chcą tym, co są kością ich kości, krwią ich krwi.

Dziękował księżę, lecz chłodno, nie zapaliło mu się lice jak niegdyś, nie rozgrzało serce. Pomniał tę chwilę, gdy go na tron wznoszono, aby potem bezsilnym dać na łup przeciwnika.

Burzliwie rozpoczęły się narady, lecz koniec ich było przewidzieć łatwo tym, co znali, kto je wiodł i nimi rządził. Starzy i młodzi panowie krakowscy byli jedną ławą, zgodni z sobą, a szli pod wodzą kilku. Działo się, jak przewidzieli. Dali się wykrzyzczyć przeciwnikom i wszystko, co chcieli, wypowiedzieć, dali wyburzyć, dozwolili odgrażać aż do znużenia. Wstali dopiero ze swym Jagiełłą, gdy tamci znużeni byli, a popierali go tak, iż nawet z gromady nieprzyjaciół część odciągnęli. Dodać potrzeba, iż całe bez wyjątku duchowieństwo mieli za sobą, Kościół i sprawę wiary świętej.

Zawahał się niejeden, gdy wymowni a namaszczeni biskupi głos podnieśli, w imię Boże zaklinając o wyrwanie piekła mnogiego pogańskiego ludu. Z czymże było stawać przeciwko tak wielkiemu dziełu i czym taką zdobycz zrównoważyć?

Donoszono królowej każdego dnia o naradach, łudziła się, po trosze nadzieją, jeśli nie zwycięstwa, to rozerwania zdań, w końcu musiała ulec przemocy i uznać, że sama tylko ratować się może, na nikogo nie rachując. Nie złamało to mężnej niewiasty, nie ugięła się. Wilhelm był dla niej mężem, słowo mu dane w dzieciństwie świętym; szło o to, aby się z nim połączyć, a naówczas żadna siła oderwać go od niej nie będzie mogła.

Ostatniego dnia tak znaczna większość była za litewskim księciem, iż ci, co przeciw byli, zwyciężonymi się uznając, zaczęli rozjeżdżać. Pierwsi, pobici na głowę, Wielkopolanie, już nie pokazując się Semkowi, pierzchnęli. Bartosz nawet nie przyszedł do księcia, i on ostatnią nadzieję rzucił na progu izby.

Do królowej poszli wysłani duchowni tylko z Bodzantą na czele.

Nim dała im posłuchanie, wiedziała już Jadwiga o wszystkim i silne powzięła postanowienie, jawnej zaniechawszy walki, w jakikolwiek sposób wiary małżonkowi dotrzymać.

Na próżno mały biskup ciągle jej to powtarzał, że Wilhelm mężem jej nie był i że błogosławieństwo w dzieciństwie ani jej, ani jego nie wiązało. Królowa spierać się z nim nie chciała, ale potrzasała głową i dawała mu poznać, że nie była przekonana. Tak samo z tą wolą niezłomną przyjęła przybywających biskupów.

Bodzanta ze zwykłą swą łagodnością, pocieszając, słodząc przykry wyrok, zwiastował jej w imię narodu postanowienie, iż rękę miała oddać Jagielle. Wszystko, co tylko powiedzieć za tym było można, słyszała już Jadwiga, a nic nie mogło ją zwyciężyć. Nie uśmiechała się jej wielka sława pogan nawrócicielki.

Po Bodzancie głos zabrał Dobrogost, mówił Radlica. Słuchała blada, niema, nieporuszona jak posąg, nie okazując już ani gniewu i oburzenia, ani, jak wprzód, skarżąc się na przemoc i niewolę. Podobną była do winowajcy, któremu głoszono wyrok, a on nie miał prawa ani się odwołać od

niego, ani obronić przeciw spełnieniu. Podniosła oczy w górę, załamała ręce, usta zadrgały, nie powiedziała nic.

Biskupi czekali, azali nie zechce się bronić, nie będzie prosić o miłosierdzie. Przygotowani byli oni i panowie Rady, choćby na kolanach ją prosić, przebłagać, wymodlić przyzwolenie. Przeciw wszelkiemu oczekiwaniu Jadwiga pozostała milczącą, posągowo nieruchomą.

Wówczas Bodzanta zabrał głos powtórnie, wzywał błogosławieństwa niebios, zaręczał, iż wszyscy modlitwami wspierać ją będą.

Milczała królowa.

Chwilę jeszcze potrąwszy przy niej, duchowni, naradziwszy się z sobą, postanowili, nie nacierając więcej, dać Jadwidze czas oswojenia się z tą myślą i poddania konieczności.

Królowa natychmiast wyszła do swych komnat. Tu czekał na nią sam jeden Spytek, do którego żal miała tym większy, im więcej na nim dawniej pokładała nadziei. Spojrzała na niego z wyrzutem.

— Królowo a pani — odezwał się, ręce na piersiach składając, Spytek — nie wyrzucajcie mi niewdzięczności ani zdrady. W chwili gdy na skroń Twą włożono koronę, wzięłaś na siebie obowiązek cierpienia dla niej. Nie ma litości ten obręcz zimny.

Przyklęknął przed nią Spytek, ręką odtrąciła go od siebie.

— Zostałam sama — rzekła — sama będę o swej sile szukać ratunku.

— Miłościwa Pani, tu już nie ma żadnego. Naród cały pada przed Tobą na kolana, błaga. Kościół prosi.

Jadwiga potrząsnęła głową.

— Mam więc być wiarołomną? Nigdy!

Spytek mówił, narzekał, przekonywał, nie odpowiadała więcej.

Oprócz bardzo szczupłej garsteczki powierników nikt nie umiał myśli i zamiarów królowej odgadnąć. Ci, co się pocieszali tym, że czas podziela i złamie ten opór, niepokoili się pomimo to, bo od przybycia Jadwigi nie widzieli w niej najmniejszej zmiany. Jedynymi wyrazy broniła się dawniej i teraz od nacisku, ta tylko była różnica w postępowaniu jej, że wprzód otwarcie i namiętnie występowała, teraz wszystkich zbywała milczeniem.

Nawet przyjaciółka jej Elża Emrykówna, dla której nie miała tajemnic, straciła zaufanie. Posługiwała się starą Hildą, nie odstępował jej Gniewosz, urągając się panom, którzy z nim całkiem zerwali. Wśród dworzan snuł się Bobrek.

Natychmiast po zjeździe Dobiesław z Kurozwęk wniósł, aby księcia Wilhelma bodaj gwałtownie oddalić z Krakowa. Jaśko i inni przeciwni temu byli, nie chcąc drażnić Jadwigi.

Bystrzejsze i młodsze niż pana Dobiesława oko byłoby do strzegło może żywej wymiany posłańców pomiędzy zamkiem a dworem Gniewoszowym; podarków, które noszono i oddawano, mających rozmaite znaczenia.

Poeta Suchenwirth wkładał się na zamek i wieczorami deklamował w małym kółku, po śpiewie i muzyce Handslika, wiersze przez siebie ułożone na cześć Wilhelma. Lutnista królowej wieczorami schodził do Gniewosza i wygrywał tęsknemu panu pieśni, które stanowi duszy jego odpowiadały.

Stara Hilda wykładała się nawet, przenosząc własne słowa swej pani do Wilhelma i czułe jego a krasomówne odpowiedzi.

Oprócz tego Gniewosz bardzo zręcznie obie strony umiał tak usposabiać, podniecać, a obu się tak przypochlebiać, że się stał królowej niezbędnym. Książę obiecywał mu, gdy wszystko szczęśliwie do końca doprowadzonym zostanie wyposażenie dobrami ogromnymi i najwyższymi dostojęstwami. Z góry też spoglądał podkomorzy na wszystkich i we własnym interesie popierał sprawy Wilhelma.

Przystała na to królowa, zgodził się książę, że musieli, uspiwszy czujność Dobiesława, połączyć się z sobą albo na zamku, lub w dworze Gniewosza.

Podkomorzy dowodził, że daleko było łatwiej Wilhelmowi przebranemu się wkraść na zamek, ukryć się tam pod opieką Hildy w komnatach królowej, a gdy rzecz będzie dokonana, publicznie naówczas oświadczyć miała Jadwiga, że mąż jej był z nią, a żadna moc rozłączyć ich nie potrafi.

Suchenwirth poeta, któremu marsowe i groźne oblicza polskie tym więcej dawały do myślenia, że mowy ich gwałtownej i namiętnej nie rozumiał, a rzucanie się i butę widywał co dzień, szeptał księciu, że niebezpiecznym było narażać się na starcie z nimi.

— Ci ludzie, dzicy, okrutni, niepohamowani, gotowi są rzucić się na Miłość Waszą, zamordować nawet! Wpaść im w ręce na zamku, znaczy stawić życie. A nie będziesz miał książę nikogo do obrony prócz tego jednego (wskazywał Gniewosza), który nie podoła zbójcom.

Książę uderzony był tą Suchenwirtha przestrogą. Znajdował ją trafną. Daleko bezpieczniej było, zdaniem jego, żeby królowa się wykradła do dworu Gniewoszowego, naówczas ona była zakładem przeciwko gwałtom. Nie śmieliby na dwór napaść. W ostateczności zaś bronić się mogli i przerznąć zbrojną ręką.

Tak pierwszy plan podkomorzego upadł, a Wilhelm pozostał przy drugim.

Lecz i ten wymagał czasu, przygotowań, obmyślenia. Gniewosz z Hildą mieli naprzód opatrzyć i wybrać furkę, którą by królowa wymknąć się mogła z zamku niepostrzeżona, z jedną ochmistrzynią i podkomorzym. Należało oznaczyć, najdogodniejszą godzinę dnia, taką, ażeby niebytność Jadwigi na zamku rychło dostrzeżoną być nie mogła i nie uderzono przedwcześnie na trwogę.

Zakochany książę, przy całej swej namiętności młodzieńczej, był rozważnym. Gniewosz, w duszy już nierad zwłokom, nazywał go inaczej, tchórzem. Szło mu o to, aby i dostojęstwem swemu, wpadając w ręce lada jakiej gawiedzi, nie uczynił ujmy; oprócz tego, poetyczna strona przygody,

którą Suchenwirth miał opiewać, musiała także być obmyślaną i piękną. Na ostatek porwanie się zuchwałe musiało też być tak zawczasu wyrachowanym, ażeby zawód był niemożliwy.

Biegano z tym, radzono, umawiano się, a czas upływał.

Królowa była stęsknioną. Naówczas Gniewosz, nimby wielki zamach przyszedł do skutku, wpadł na myśl tę szczęśliwą, że Jadwiga mogła, wracając z przejażdżki, bo tej jej wzbronić by nie śmiano, wstąpić do klasztoru franciszkanów, do którego łatwo się było dostać księciu.

Z niezmierną radością przyjęła królowa myśl tę, obdarzając za nią podkomorzego bogatym łańcuchem i gwałtownie dopominając się, aby ją przyprowadzić do skutku.

Księżę, gdy mu to przyniósł Gniewosz, uradował się niezmiernie, myśląc tylko natychmiast, jak mu się ubrać wypadnie i jak wystroić dwór swój, aby warunkom niby niespodzianego spotkania i widzenia się z panią swych myśli odpowiedzieć.

Suchenwirth, wezwany do rady, nie odznaczył się rycerskim duchem, choć sprawy rycerzy zwykł był opiewać, zamyślił się głęboko. Zdaniem jego mogło być niebezpieczeństwo, zasadzkę ktoś przygotować by gotów. Ostrożności wymagało położenie. Na ten raz jednak troskliwy o swojego bohatera poeta nie przemógł, zwyciężyła namiętność. Księżę był stęskniony, znudzony, spragniony widzenia swej pani.

Gniewoszowi polecono wprzód jednak pójść zbadać gwardiana, a w razie gdyby to przyjść miało do skutku, ułożyć się, aby wspaniałe przyjęcie w refektarzu czekało na królowę. Wszystko, co do niego potrzebnym być mogło, księżę miał do starczyć: naczynia, słodczyce, owoce, napoje.

Podkomorzy ze zleceniem tym udał się natychmiast do klasztoru, bo wiedział, jak królowa niecierpliwą była.

Ojciec Franciszek powitał go ze swą rubaszną, serdeczną wesołością i poszanowaniem, jakie u boku królowej zostającemu przynależało.

— Ojcze gwardianie, — odezwał się Gniewosz, — ja tu do was z prośbą śmieszłą. Chciałbym pożyczyć na kilka godzin refektarza.

Gwardian się przeżegnał.

— Nie rozumiem, — rzekł.

— Rzecz jest taka, że mój księżę nudzi mi się i w małych izbach dusi, chciałby sobie ucztę wyprawić. Mogą być dostojni goście.

Odchrząknął.

— Chociażby i księciu, ja na bankiet naszego wieczernika, gdzie krzyż wisi, a ubóstwo i post mieszka, dać nie mogę, — odparł gwardian.

— Co to nie mogę? — przerwał Gniewosz. Gwardian ma władzę monarchiczną, co chce, to robi. Chyba, ojcze, nie chcesz. A zważ no tylko, księżę nie bez tego, żeby i naczynia, i zapasów nie dostarczył, myślicie, że je potem będzie odbierał. Co by to konwentowi z tego się mogło okroić! He!

Ojciec Franciszek, który się uśmiechał zawsze, i tym razem rozśmiał się, ale spojrzał tak w oczy Gniewoszowi, że podkomorzy się zarumienił i zmieszał. Gwardian nie potrzebował nawet skarcić go odpowiedzią, bo sam on spostrzegł, iż więcej siebie skrzywdził poddaniem tej myśli, niż zakonnika obraził.

— Nie to chciałem powiedzieć — poprawił się niezgrabnie — ale właściwie, iż konwent i zakon zasługę by mieli u tego domu, do którego księżę Wilhelm krwią należy.

Ojciec Franciszek, przebierając paciorki u pasa, słuchał milczący. Gniewosz się schylił mu do ucha.

— Kto wie, — rzekł cicho, — nasza królowa też, biedaczka, osamotniona, trzymana jak niewolnica na zamku, może by zaszła na jaką chwilkę się tu rozerwać.

Gwardianowi oczy pojaśniały.

— Sądzicie, że królowa przybyłaby tu? Możeż to być?

Podkomorzy głową skinął.

— Z pewnością, — rzekł.

— A cóż na to panowie powiedzą? — spytał gwardian zaszępiiony.

— Zmiłuj się, ojcze, cóż oni mają lub mogą zarzucić przeciw temu? — zawołał Gniewosz. — Nie żadna to schadzka tajemna. Ludzi i oczów dosyć będzie na to patrzyło. Żeby królowa nie miała prawa zabawić się, rozerwać, posłuchać muzyki, pieśni a choćby i zatańczyć?!

Ojciec Franciszek głową pokręcał.

— Nie bardzo to przystało zakonnemu refektarzowi, — odparł, — ażeby w nim świeckie wyprawiano festyny, ale panom tej ziemi i głowom ukoronowanym wiele się dopuszcza, bo one za wielu cierpieć muszą i trudzić się. Gdybym pewnym był, że królowa przybędzie i że księżę i ona mieć będą orszak z sobą.

— Za to ja wam ręczyć mogę, — rzekł Gniewosz.

— Dobrze by było, aby księżę Wilhelm gości więcej zaprosił — dodał ojciec Franciszek. — Im świadkowie liczniejsi będą, tym lepiej.

Podkomorzy przystał i na to, chociaż nie bardzo wiedział na razie, kogo by mogli wezwać, bo księżę nadto dumnym był, by lada mieszczanina lub szlachetkę do swojego towarzystwa przypuścić. Gwardian, choć nie z wielką ochotą, zgodził się refektarza dozwolić. Lecz za tym szło, że potrzeba

było i do kuchni książęcych ludzi wpuścić, i dla kredensów obmyśleć miejsce, bo książę Wilhelm nie mógł się obejść bez występu i tego ceremoniału, który musiał go otaczać wszędzie.

Podkomorzy, pokonawszy trudności wszystkie, wyszedł w końcu uradowany, spiesząc oznajmić panu swemu naprzód, że wszystko się składało jak najpomyślniej, a potem chcąc królowej dać znać, że na przyszły czwartek znaleźć będzie mogła księcia u franciszkanów. Ponieważ i gwardiana zaspokoić było potrzeba, zapraszając kogoś na te gody, nie mógł podkomorzy innego uczynić wyboru, jak księcia mazowieckiego.

Wilhelm lekce sobie bardzo ważył to książątko, nierad był nawet robić z nim znajomości, bo słyszał, że Semko się o koronę dobijał, lecz dowiedziawszy się, że nie miał już na nią żadnych widoków, zgodził się w końcu na to, aby i Semko znajdował się, jakby przypadkiem, przy pierwszym u franciszkanów spotkaniu. Świadek ten nie był mu miłym, ale mógł być potrzebnym dla królowej.

Bobrkowi powierzył Gniewosz staranie o to, aby księcia skłonić do przybycia na chwilę do klasztoru. Klecha wywiązał się z polecenia bardzo zręcznie, nie mówił nic o Wilhelmie, napomknął tylko, iż wie o królowej, a był pewien, iż Semko, który starał się ją widywać jak najczęściej i o łaski jej się dobijał, skwapliwie pospieszy na spotkanie.

Parę dni pozostawało do przygotowania wieczornego przyjęcia, książę Wilhelm zajął się nim z wielką niecierpliwością, żądając, aby bądź co bądź wystąpić jak najwspanialej.

Rozdział VIII

Na dwadzieścia cztery godziny przed naznaczonym dniem kucharz księcia Wilhelma z pomocnikami swymi już gospodarzył w kuchni zakonnej, która nigdy jeszcze tyle i takich przyborów do przyrządzania potraw nie widziała.

Brat Protazy, który się miał za jednego z największych mistrzów sztuki, stał z rękami w tył założonymi, milczący, badając tajemnice tych potraw wymyślnych, o jakich nigdy nie słyszał.

Siekano najrozmaitsze mięsa, pieczono najdziwaczniejsze ciastka, zwane naówczas tortami, lecz nade wszystko w podziw wprawiała niesłychana ilość przypraw i ingrediencyj⁶², których wiedeński kucharz do wszystkiego potrzebował. Pieprz indyjski, cynamon, gwoździki, muszkatołowa gałka, kubeba⁶³, cukier, pomarańcze genueńskie, tartofoli sycylijskie⁶⁴, rajske ziarnka, w takiej ilości i z taką rozrzutnością były użyte, iż pobożny brat Protazy powątpiewał, czy wymysły te nie były grzesznym szatana poddmuchem. Greckie wina, których parę baryłek przywieziono, obudzały także zdumienie przedziwnym smakiem i ogniem swoim.

Nie mniej wytwornymi były naczynia stołowe, srebra, szyte obrusy, misy, solniczki przedziwnej roboty, na których stały napisy łacińskie, kubki i weneckie szkła różnobarwne.

Braciszkanie i starsi nawet zakonnicy niektórzy przysuwali się przypatrywać tym osobliwościom, wzdychając i myśląc może, ile to pieniędzy wyrzucono marnie na te światowe próżności.

Książę od południa był tym tylko zajęty, jak wystąpi, a że mu szło wielce, aby włosy utrefione z rana nie utraciły połysku i świeżości, kazał je powtórnie czesać i smarować.

Fioletowo z czarnym dla oznaczenia serdecznej żałoby, po naradzie ze Suchenwirthem, ubrał się książę i jeden tylko łańcuch złoty włożył na szyję, ale złożony z kilkadziesiątu tak cieniuchnych jak nici. Luksemburski Zygmunt zwykle na piersiach nosił smoka złotego. Wilhelm miał misternie wyrobioną różę liśćmi otoczoną, które ze smaragdów się składały. Obuwie ze spiczastymi nosami było złotem kute, lecz kosztowniejszy jeszcze szmelc rubinowy⁶⁵ okrywał blaszki. Wilhelm do malowania był pięknym w tym stroju, co mu czyniło wielką przyjemność, bo Suchenwirth i Gniewosz mówili to głośno, a wejrzenia całego dworu potwierdzały.

Zawczasu chciał być w klasztorze pierwszym, aby tam przyjąć królową i rzucić okiem na urządzenie refektarza. Bez ogródki przyznał się poecie, iż lęka się, aby woń po starych mnichach do ścian przylgła i zapach prostych ich potraw nie zatrąwały tam powietrza. Dla odwrócenia tej klęski i aby atmosfera odpowiadała poezji tej chwili, z podróżnych skrzyń dobyto dwie pokojowe kadzielnice, które we dwu przeciwnych końcach wielkiego refektarza ustawić miano.

Z wiernymi swymi kilku, gdyż służba go wyprzedziła, książę udał się wreszcie do klasztoru, na którego progu powitał go ojciec Franciszek prowadząc do odświętnie przystrojonego refektarza. Ażeby w nim więcej było dla gości miejsca wolnego, gdyż królowa ze dworem swym żeńskim

przybyć obiecywała, stoły przysunięto do ścian, a ławy okryte podano naprzód.

Książę dosyć ze wszystkiego był rad, chociaż mało mu tego było i tylko ta okoliczność, że się w podróży znajdował, po cieszała.

Ponieważ wieczór wkrótce nadchodzący mógł ich tu zastać na zabawie, przysposobiono świec woskowych i kaganków łożowych obfitość wielką.

Suchenwirth niósł przygotowany wiersz nowy do odczytania, królowa z sobą miała przywieść Handslika, flecistów, lutnistów i serby. Zabawa obiecywała się świetna, a ustawione na stołach przekąski, owoce, słodczyce, wina korzeniami zaprawne, w pięknych naczyniach, najwykwintniejszym podniebieniem dogodzić mogły.

Książę przechadzał się już dość długo po refektarzu, układając zawczasu powitanie i rozmowę swą z królową, gdy w korytarzu dały się słyszeć głosy, chód i Wilhelm sądząc, że Jadwiga przybywa, rzucił się ku drzwiom na jej przyjęcie.

Doznał jednak nieprzyjemnego zawodu. W progu ukazał się książę Semko, a że Gniewosza nie było, nawet zapoznać ich z sobą musiał ojciec gwardian, co nie bardzo poszło gładko. Semko ostro się stawił i zasepiony. Wilhelm dumnie i zimno. Na pierwszy rzut oka wiedzieli już, iż z sobą się nie poprzyjaźnią. Książę mazowiecki niełacno przed kim kark ugiął, a Wilhelm miał się za pierwszego między książęty.

Oprócz tego wzajemnego ku sobie wstrętu i odrazy, książę Wilhelm nierad był, że zawczasu przybyły Semko powitania z królową będzie świadkiem i słodką tę chwilę zatruje.

Szczęściem dla ich obu ojciec Franciszek czuł się w obowiązku pośredniczenia między nimi i zatarł swą wesołością nie przyjemne wrażenie tego zetknięcia się dwu osobistości nie stworzonych dla siebie. Semko miał w sobie coś nieco dzikiego, mniej okrzesanego, wzrostem i postawą górował nad zręcznym i pieszczonym książętkiem, które z całą swą dumą i elegancją zmalowało przy nim.

Suchenwirth z wielką ciekawością przypatrywał się temu Piastowi, którego herbu i godeł ciekawym był bardzo. Dla niego rycerz każdy cały się wcielał w swe godło.

Wilhelm i Semko ledwie parę słów zimnych zamienili, ale się pilnie nawzajem przypatrywali sobie. Wtem dano znać, bo w ulicy rozstawione były czaty, że królowa jedzie. Natychmiast rzucając Semka, który nie wiedział jeszcze, co ma czynić, Wilhelm wybiegł ku furcie i stanął tu właśnie, gdy Jadwiga wchodzić miała. Towarzyszyła jej Hilda, kilka panien, wojewodzina Emrykowa, dworzanie i Gniewosz. Cały ten poczet liczniejszy, niżby była Jadwiga życzyła sobie, okazał się potrzebnym dla przyzwoitości.

Na widok Wilhelma rumieńcem okryła się śliczna twarz królowej, podała mu rękę drżącą, a wzruszenie nie dozwoliło jej usłyszeć wyuczonych słów kilku, którymi ją powitał. Trzymając się za rękę i cicho rozmawiając, przeszli korytarze ciemne nieco i Wilhelm wprowadził do refektarza.

Kto widział królowę na zamku, zobaczyłby ją tutaj, ledwie w tej wesołej z jasnymi oczyma, z usty

uśmiechniętymi dziewczecze poznałby tę smutną zadumaną panią, której zamek wydał się więzieniem.

Ledwie spojrzała na Semka, który ją witał u drzwi, pozdrowiła go i natychmiast zwróciła się do ukochanego. Oczy, co na nią patrzyły, nie onieśmiały jej, czuła się swobodną, bo nie było nikogo z tych groźnych, nachmurzonych starców, których ona katami i oprawcami zwała. Naprzeciw niej stał ten, któremu była poślubioną od dzieciństwa, mąż jej serca i wyboru, który jej przypominał słodkie chwile dziecinnych zabaw w Budzie i Wiedniu.

Była szczęśliwą. Zdawała się zapominać o jutrze, o niebezpieczeństwach, o wyroku, o niewoli. W tym posępnym refektarzu było jej dziwnie wesoło, jakby znowu wróciła do lat bez troski.

Twarz jej rozjaśniona wszystkim swą wesołością narzuciła, uśmiechali się wszyscy, oprócz Semka może, którego zazdrość ukąsiła żądłem swym w serce.

Książę mazowiecki, widząc się opuszczonym, zwrócił ku pannom królowej i wymuszoną począł rozmowę z piękną Elżą, nie spokojną trochę, kwaśno mu odpowiadającą. Ona i jej matka, posłuszne królowej, przybyły z nią, lecz to spotkanie z Wilhelmem napełniało je jakimś strachem. Obawiały się następstw nieprzyjemnych, królowa była przyrzeczoną Jagielle i zdawała się zapominać o tym.

Gniewosz tymczasem gospodarzył. Przybyłych z królową lutnistów jej z Handslikiem sadził w dobrym miejscu na ławie, a do tych się i Suchenwirth przyłączył. Panie zachęcał do łakoci.

Wilhelm z Jadwigą mogli swobodnie mówić z sobą, szmer w refektarzu cichą tłumiał rozmowę. Korzystali też z tego. Mężnej Jadwidze zobaczenie narzeczonego dodało jeszcze odwagi.

— Królowo moja — mówił Wilhelm, usiłując zdobyć się na jak najwykwintniejsze wyrażenie swych myśli. — Królowo moja, usychałem jak kwiat bez ciebie. Słońce moje...

— Mnie gniew palił i dręczył — odpowiedziała królowa — ale w tej chwili zapominam o wszystkim. Znowu razem jesteśmy i mam nadzieję, że się nie damy rozerwać.

— Ci okrutni tyrani! — odezwał się książę. — Do żadnego z nich przystąpić, przemówić, zmiękczyć ich nie można.

— O, próżno by było starać się o to! — przerwała Jadwiga. — Znam ich już dosyć! Poganin kupił ich złotem swoim, Wilhelmie.

I pochwyciła go za rękę.

— Wilhelmie, jam na wszystko gotowa! Przysięgliśmy sobie, mężem i żoną jesteśmy. Trwaj mężnie, ja skruszę te więzy!

— Życie gotówem dać dla ciebie! — zawołał książę ręce składając. — Jeżeli potrafisz z zamku wyśliznąć się po kryjomu, uciekniemy do Wiednia.

— Nie! — odparła energicznie Jadwiga. — Tu zostaniemy. Jam ich królową, tyś mężem moim, nic mi uczynić nie mogą. Mnie nie oderwą od ciebie, ty nie daj się ode mnie oddzielić.

— Nigdy! — zawołał, chwytając jej rękę Wilhelm.

Mówili długo jeszcze, mówili żywo, lecz Wilhelm, sam nic nie mogąc obmyśleć, ani się na nic waząc, przyjmował, co mu Jadwiga wskazywała. Ona kierowała wszystkim, zawczasu oznaczywszy, jakim sposobem w chwili najdogodniejszej połączyć się mieli z sobą. Królowa obiecywała, iż z zamku sama z Hildą i Gniewoszem się wymknie. Furta już była na to opatrzoną. Pod zamkiem czekać miał na nią książę. Lecz trzeba było uspić dozorców podejrzliwych, wybrać godzinę... Tym czasem mogli się zejść jeszcze, rozmówić i naradzić w tym samym refektarzu gościnnym.

Wilhelm się godził na wszystko.

Wśród tej rozmowy Hilda, która się obawiała, aby zbyt długo przeciągnięta nie obudziła niepotrzebnych podejrzeń o znowy, dała znak Gniewoszowi. Handslik stroił już lutnię. Jadwiga siadła słuchać, a Wilhelm umieścił się tuż przy niej, tak wdzięczną przybrawszy postawę, że panny dworu królowej napatrzeć się nie mogły ślicznemu młodzieniaszkowi.

Z drugiej strony stojący Semko, choć urodziwy i młody, nie pociągał już tak serc i oczu ku sobie.

Handslik w struny uderzył, stary a dowcipny pieśniarz wiedział, co wybrać: z mnogiego śpiewów liku, które miał w pamięci, począł smętną na poły, na poły wesołą pieśń, której niegdyś oni oboje słuchali, pamiętali oboje.

Królowej serce uderzyło i nie obawiając się oczu ludzkich, pochwyciła rękę Wilhelma, patrząc na niego. On całował jej białe paluszki.

Handslik śpiewał całą duszą, głos mu drżał, a łzy miał na powiekach, tak mu żal było tych dwojga dzieci, tak pragnął swoją królowę widzieć szczęśliwą. Pieśń brzmiała dziwnie w tych murach klasztornych, o które niedawno psalmy żałościwe się odbijały, brzmiała i przebrzmiała.

Aby nie dać się jej tęsknicą rozmarzyć, natychmiast drugi na skinienie wesołą śpiewkę zanucił. Furknęła jak ptaszek i zrobiło się wesoło.

Działo się wszystko wedle jakiegoś rozkazu danego wprzódy, czy tak rosło jakoś z siebie, ale nikt nie kierował, śpiewacy, fletniści spoglądali po sobie i poczynali. A gdy skończyli, ledwie trochę odpocząwszy, Handslik ręką po strunach przebiegał, szło tak dalej. Stary ten⁶⁶ lutnista, który kochał swą panią i tak pragnął dać jej chwilkę wesela po tylu dniach łez i boleści, rządził niewidomie wszystkim.

Po ostatniej śpiewce mrugnął na swoich. Grali posłuszni do tańca. Pannom królowej liczka się zarumieniły, nóżki zadrgały. Jadwiga nie wierzyła uszom. Mogłaż ona pójść płaszać? Z tą troską w duszy?

Sama nie wiedziała, jak się to stało.

Był to ten płas stary, który dziećmi tańczyli, a królowa Elżbieta pięknej parce przyklaskiwała. Podała rękę Wilhelmowi, poszli przez salę jak dawniej, ręka w rękę, śmiejąc się sobie.

Wesoła Elża, którą pierwszy strach opuścił, widząc przy sobie Semka, spojrzała nań wyzywająco. Ruszyli się drugą parą, Gniewosz wziął Dochnę, inny dworzanin Golde, pannę królowej.

Ojciec Franciszek, ujrzawszy to, pierzchnął z refektarza.

Pląsy te jednak nie trwały długo, sama rozbudzona do najwyższego stopnia wesołość sprowadziła smutek i niepokój.

Królowa usiadła z główką spuszczoną. Gniewosz tymczasem kazał roznosić słodycze, łakocie i wino, Czas ulatywał piorunem, wieczór nadszedł, zapalano świece i lampki, lecz królowę ogarnął niepokój, poruszyła się.

— Powracać muszę — odezwała się do Wilhelma. — Pojutrze zjedźmy się tu znowu. Tymczasem przygotowywać będę ucieczkę i przyniosę o niej wiadomość.

— Rozstać się znowu — jęknął namiętnie ksiązę — królowo moja!

— Potrzeba się rozstać, aby na zawsze połączyć. Jechać muszę! Noc nadeszła.

Skinęła na Hildę, panny ruszyły się od słodyczy, dwór cały gromadził się żywo. Kilką słowami ujmującymi Jadwiga chmurnego Semka starała się rozweselić.

— Dziećmi — rzekła do niego — wychowywaliśmy się razem. Nawykliśmy byli zwać się mężem i żoną, nie dziwujcie się, że nam tak miło, — tak miło znowu się zbliżyć do siebie.

Spojrzała nań słodkimi oczyma i rozbroiła.

Wszyscy szli już do wyjścia razem. Wilhelm pochylony do ucha królowej prowadził ją, karmiąc przysięgami miłosnymi. Był sam tak rozmarzony, że się stał nieco swobodniejszym i o dostojęństwie swym zapomniał.

U furty klasztornej stali ludzie królowej z pochodniami.

— Pojutrze, — szepnęła Jadwiga. Oczy więcej powiedziały.

Wilhelm został u furty, długo spoglądając na nią. Nie chciało mu się już powracać do pustego refektarza ani pomyślał o pożegnaniu z Semkiem, który po odjeździe królowej dłużej tu bawić nie chciał. Ksiązę, wydawszy rozkazy, sam natychmiast na dworzec Gniewosza powrócił, ciągnąc tylko Suchenwirtha za sobą. Poeta jechał zawiedziony i smętny, z urazą w sercu do Handslika, który mu przygotowanego wiersza nie dał wypowiedzieć. Wilhelm całą namiętnością swych lat piętnastu był rozgorzały. Niecierpliwił się i zżymał, na zamek patrząc, odgrażał. Siadł, powtarzając sobie jej słowa i uspokajając tym, że wkrótce połączą się na zawsze.

Suchenwirth przygotowywał *epithalamium*⁶⁷.

Szczęśliwie powróciła na zamek królowa, a że wszyscy więcej potrzebowali dla niej i dla siebie tać się niż chwalić z tą wycieczką do klasztoru, nie rozeszła się o niej wieść nazajutrz szeroko.

Stary Dobiesław z Kurozwęk usypiał wiedząc, że zamek jest pilno strzeżony. Temu milczeniu przypisać trzeba, iż królowa w parę dni potem mogła znowu przed wieczorem od wiedzieć refektarz franciszkanów.

Lecz jak nic się nie powtarza w świecie, tak i ta pierwsza chwila wesela nie była do drugiej podobną. Handslik nie śpiewał z takim uczuciem i swobodą, przeczuwał on z rozmów, które go doszły, że nie tak łatwo będzie wyzwolić panią kochaną. Wojewodzina Emrykowa nie odstępowała królowej, przypominając potrzebę prędkiego powrotu, nawet Gniewosz miał jakieś obawy.

Wszystko się spiknęło, aby zatruć im chwilę tak upragnioną. Jadwiga znajdowała przeszkody mnogie, mówiła mu wzdychając, że jeszcze raz może znajdą się tu, ale chyba za tydzień, aby nie zwracać uwagi, a potem spodziewała się... móc ujść z zamku... Gniewosz przygotowywał wszystko i strażę miał od ciągnąć.

Tak się rozstali, a Wilhelm wrócił więcej strwożony niż na pełniony nadzieją. Suchenwirth pomnażał bojaźń jego, gdyż sam lękał się niezmiernie polskiego okrucieństwa. Cały tydzień teraz czekać było potrzeba na nowe widzenie się z królową! Szczęściem posły biegały, a Hilda przynosiła własne słowa Jadwigi. Wszystko dotąd szło po myśli. Panowie Rady nie dawali znaku życia.

Tydzień zółwim przechodził krokiem. Na dzień naznaczony Wilhelm wspanialszą jeszcze niż pierwszą ucztę zgotować kazał; spodziewał się wiele po tym dniu z taką oczekiwanym tęsknicą. Nie dano już znać Semkowi, bo go tu mieć nie chciał Wilhelm; niecierpliwy na parę godzin wyprzedził królowę, przyprowadził swoich lutnistów i śpiewaka; nawet trefnisie mieli rozkaz być na zawołanie. Stoły zastawiono najprzedziwniejszymi łakociami, ale królowa przybywająca do furty po witała go niewesołą twarzą, była jakby wylęknioną i niespokojną.

— O ci stróże! O ci oprawcy! — zaczęła, wchodząc, mówić do niego. — Jak oni śledzą moje kroki!

Wilhelm się strwożył.

— Mielizby przeniknąć co? Zdradzono nas? — zapytał spieszenie.

— Nie, — odpowiedziała królowa ale w ciągu tego tygodnia co dzień mi przysyłano jednego z biskupów dla nawracania, co dzień któryś z tych starych przychodził. Słuchałam milcząca. Chcą ode mnie krzywoprzysięstwa! O mój Boże!

I białe rączki łamała.

Chciał Handslik, widząc ją tak smutną, począć zaraz pieśń, ale skinęła, by milczał. Nierychło stary śpiewak mógł rozpocząć, a po nim zaraz ksiązę swojemu kazał nucić piosnkę, którą umyślnie o dwojgu rozłączonych kochankach Suchenwirth napisał. Jadwiga podrażniona cierpieniem rozplakała się, słuchając jej.

Zagrano do tańca znowu, lecz królowa wolała pozostać z nim na rozmowie, a panny tylko i dwór płaśały. I tym nie szło tak jak pierwszym razem.

— Tych schadzek już dosyć. Wilhelmie mój! — w końcu odezwała się królowa. — Zejdźmy się, żeby się już nie rozchodzić na wieki...

W głosie jej czuć było łkanie.

— Gotowe wszystko. Gniewosz ci oznajmi dzień i godzinę, czekaj na mnie pod zamkiem. Oddaję ci się! Czyń, co chcesz! Uciekajmy! Skryjmy się, zostanmy! Tyś mąż i mężczyzna, mnie już opuszczają siły.

Młodzik, choć mąż i mężczyzna, z niepokojem posłyszał, iż nadal on sam miał podejmować wszystko. Lecz cofać się nie mógł, a namiętność w nim zastępowała męstwo. Jadwiga prędeej, niż się spodziewał, kazała się do furty prowadzić. Wieczór był ciemny, wiatr dał silny, pochodnie rzucały iskrami i gasły, a Wilhelm stał i patrzył jeszcze za odjeżdżającą, gdy ciemny mrok nocy go otoczył. Z jakimś przeczuciem smutnym zawrócił do refektarza, otulił się płaszczem, skinął na Suchenwirtha i dworzan i opuścił klasztor.

Przeczucie nie było daremnym: w istocie zbierała się burza nad tą parą rozmiłowaną. Dobiesław z Kurozwęk był ślepy, ale inni patrzyli za niego.

Za drugim powrotem przy pochodniach do zamku Dymitr z Górają podskarbi, mąż wielkiej przenikliwości i energii, chociaż do niego dozór nad tym skarbem nie należał, powziął jakieś podejrzenia. Dość mu było wziąć na spytki Zbramira, dworzanina królowej, aby się o wszystkim dowiedzieć. Wylękle pacholę opowiedziało o schadzkach u Franciszkanów z największymi szczegółami. Nakazawszy mu milczenie, podskarbi, jednej nie tracąc chwili, pobiegł do Jaśka z Tęczyna. Tu szczególnym trafem zastał i pana krakowskiego, i Spytka.

Ujrzawszy go wpadającego ze zmienioną twarzą, zdyszanego, porwali się wszyscy domyślając nieszczęścia jakiegoś. Dymitr zaledwie mógł mówić. Oburzało go to, iż dotąd nikt nawet o zabiegach Wilhelma i Gniewosza podstępnych knowaniach nie wiedział.

Począł więc z gwałtownością wielką. Równie jak on porywczy stary Dobiesław, usłyszawszy pierwsze słowa, zerwał się biec natychmiast i na trwogę w zamku uderzyć, a dworzan brać na męki. Ledwie go powstrzymać zdołano, bo królowej sławę oszczędzać było potrzeba i nie zrażać jej postępowaniem gwałtownym i okrutnym.

Niezmierną trwogą wszyscy byli przejęci. Domyślał się Dymitr, przeczuwali panowie, iż królowa miała zamiar małżeństwu z Jagiełłą zapobiec połączeniem jawnym z Wilhelmem. Nowego ślubu nie wahałby się być dać kapelan księcia.

Lecz nie można było wystąpić przeciw królowej, nie mając dowodów.

Najzimniejszej krwi a największej energii, Dymitr wszystko brał na siebie, byleby mu to zlecono i nie przeszkadzano. Dobiesławowi powierzono tylko, gdyby się okazało, że Wilhelm czyhał na porwanie królowej, aby go zmusił do wyjazdu choć by groźbą. Czekać miał wszakże, ażby wszystko na jaw wyszło. Z wielkim trudem udało się podskarbiemu wymodlić cierpliwość i oględność w postępowaniu. Najtrudniejszym do pohamowania był Dobiesław, który sobie wyrzucał, że zbytkiem

za ufania i nieogłędności zgrzeszył.

Podskarbi, którego koń stał u wrót, natychmiast na zamek powrócił. Środek, jakiego miał użyć, aby zapobiec ucieczce Królowej i połączeniu się jej z Wilhelmem, oparty był na znajomości charakteru Gniewosza i nikczemności, do której on był zdolnym. Przez bratanka swego kazał go zaprosić do siebie.

Dymitr z Goraja w potrzebie miał krew zimną⁶⁸, a panowanie nad sobą, które są najlepszą rękojmą zwycięstwa, gdy się ma z ludźmi namiętными do czynienia.

Wezwany do podskarbiego, Gniewosz chwilę się namyślał, czy miał iść lub się wymawiać, ale poróżniony ze wszystkimi nie chciał ostatecznie zrywać z ludźmi, którzy stali u steru. Z miną zuchwałą, jaką mu łaska królowej nadawała, stawiał się przed Dymitrem z Goraja.

Podskarbi był zupełnie ostyglým i z twarzy jego najmniejszego wzruszenia poznać nie było można.

— Chciałem mówić z wami — odezwał się podskarbi z powagą, jaką mu urząd i związki krwi z Leliwami i Toporami nadawały. — Chciałem pomówić z wami. Znałem rodzica waszego, ubogi był szlachcic, lecz człek zacny i poczciwy.

Ostro począł patrzeć Gniewosz.

— Trzymał on zawsze z nami — mówił dalej Dymitr — od gromady się nie oddzielał. Wyście sobie inną obrali drogę, szczęść Boże! Sądzę, że się chyba wyniesiecie precz od nas, bo tu wam żyć będzie niezdarnie.

— Dlaczego? — odparł Gniewosz.

— Dlatego, że jak wy przeciw wszystkim idziecie, tak was nikt nie zechce znać — ciągnął spokojnie podskarbi. — Kto ze swoimi w złym i dobrym nie trzyma, ten nam nie swój. Dokąd się myślicie wynosić?

— Ja się wcale wyojczyźniać nie chcę — rzekł Gniewosz. — Cóżem to ja zbrodnię popełnił, aby mnie wyświęcano?

— Uderzcie się w piersi! — odparł Dymitr. — Kraj cały pracuje na to, aby swą potęgę pomnożył, a wy knowaniem waszym na zgubę naszą się usadzacie. Jeżeli sądzicie, iżeśmy ślepi, mylicie się. Królowej nie dopuścimy się połączyć, mimo zmów u Franciszkanów. Wilhelm może spiski głową przypłacić, a i za waszą ja nie ręczę.

Wyrzekł to podskarbi z taką siłą i pewnością, iż Gniewosz strwożył się i zaniemiał.

Dymitr, widząc skutek słów swoich, mówił dalej:

— Znałem rodzica waszego, chcę was ratować od zguby.

Zamilkł i dał czas do namysłu podkomorzemu, który się w podłogę zapatrzył. Milczeli oba długo;

Gniewosz się zdawał zachwianym. Wtem podskarbi, ton zmieniwszy, rozpoczął żartobliwie:

— Rakuskie książątko wybrało się tu pono z niemałymi bogactwy w sprzętach, koniach, wozach, srebrze, klejnotach. Gdyby mu nagle uchodzić przyszło, co może być, wszystko to przyjdzie porzucić.

Gniewosz podniósł głowę i spojrzał tylko, chciwość w nim się odezwała. Dymitr z Goraja mówił dalej:

— Piękną byś wziął po nim puściznę. Ale ażeby was nie bogacić, bo nie ma za co, damy mu się wynieść ze wszystkim, co ma.

Podkomorzy mowę odzyskał:

— Macie do mnie żal wielki, a niesłuszny, jestem królowej sługą.

— A działacie tak, jakbyście byli jej nieprzyjacielem, — rzekł podskarbi. — Należy ją ochronić, nie dopuścić, aby się poświęcała dla człowieka, z którym żyć nie może, choćby nawet z pomocą waszą uciekła do niego. Naówczas my z należnym poszanowaniem skarb mu nasz odbierzemy.

— Zważcie, co dla was lepsze — dokończył Dymitr — czy za pobiec ucieczce królowej, a wziąć po Wilhelmie jego skarby, czy dopomagać do niej, nie dostać nic, a popaść pod sądy?

Podkomorzy już był sam snadź rozważył, co wybrać na leżało, i zbliżył się do podskarbiego.

— Mówcież, co mam czynić?

— Powinniście tylko oznajmić mi, kiedy królowa z zamku wyjść myśli i którą furta, więcej mi nie potrzeba. Wilhelma potem przepłoszyć będzie łatwo, a co po nim weźmiecie, nikt was o to nie spyta.

Gniewoszowi oczy się zaiskrzyły.

— Królowej bym zdradzić nie chciałem — wybąknął zafrasowany nieco.

— Nie zdradzisz jej, ale prawą drogę jej ułatwisz. Ona sama później wdzięczną będzie za to.

Łatwo się dał przekonać podkomorzy i poddał. Po krótkim namyśle oświadczył podskarbiemu, iż Jadwiga następnego dnia furta, którą mu nazwał, nad wieczór z Hildą się wybierała wyniść nie postrzeżona.

— Miałem ja być z nią — dodał — ale wolę towarzyszyć księciu, który pod murami na nią czekać przyrzekł.

Podskarbi z powagą wysłuchał powieści Gniewosza.

— Pomnijcie tylko, — dodał, — że mnie zwieść jeśli zechcecie, bezkarnie to nie ujdzie. Poblążyliśmy wam dotąd przez wzgląd na panią, lecz nadal nie oszczędzimy.

Zaklął się zdrajca i wyszedł. Z rozkazu podskarbiego każdy krok jego śledzono.

Dymitr z Górajka wiedział to, o czym potrzebował być uwiadomionym, a miał dosyć czasu, aby postępowanie przysze rozważyć. Królowej żal mu było. Na radzie u Jaśka z Tęczyna głosowano za tym, aby u furty zastąpili Jadwidze drogę wszyscy starsi panowie Rady i pokłękawszy, prosili ją uroczyście, by zamiaru swojego zaniechała. Dymitr się temu oparł.

— Srom będzie dla niej zbyt i rozgłos wielki — rzekł do Jaśka. — Dozwólcie mnie samemu znajdować się tam. Głową moją ręczę, że królowej nie dopuszczę dokonać tego. Pogniewa się, to na jednego mnie, a do wszystkich i do kraju żalu mieć nie będzie.

Zgodzili się wszyscy wreszcie na zdanie podskarbiego. Dzień upłynął do wieczora bez żadnej widocznej zmiany w życiu zamkowym. O swej godzinie była królowa w kościele, przy jeła potem Radlicę i kilku z panów, zabawiała się żeńskim dworem swoim. Może tylko z bliska się przypatrujący samej pani dostrzec mogli niepokoju na tej twarzy, zadumania, roztargnienia i obawy, jaką w niej każdy ruch żywszy obudzał. Chodziła do okien, spozierając na słońce, jakby co rychlej doczekać chciała zajścia jego.

Gniewosz powoływany parę razy przychodził, wcale nie dając znać po sobie, iż zmienił myśli i do zdrady się gotował.

Dwór żeński królowej jeszcze przy śpiewach około krosien i szycia się zabawiał, gdy Jadwiga z Hildą wysliznęła się z komnat swoich, okryła ciemnym płaszczem, przysłoniła głowę i przejściem, które stało puste, skierowała się ku drzwiom wychodzącym nie opodal od murów i bramy, tak że kroków tylko kilkanaście potrzebowała przesunąć się, aby znaleźć w sklepionej furcie, która prowadziła na ścieżkę za wały.

Nikogo nie napotkały po drodze. Część ta podwórca stała pustą; cień od dworców okrywał ją mrokiem. Furta, którą Jadwiga wyjść zamierzała, służyła dawniej dla czeladzi do wnoszenia i wnoszenia różnych zapasów, a teraz stała zaparta i zapewniono królowę, że nawet straży przy niej nie było. W małym wygłębieniu stały wrota dębowe, kute, zaparte drągiem, który w mur się zakładał. Ten zawczasu także miał być odjęty, a Hilda klucz trzymała w ręku, którym, jak mówiono, zamek łatwo otworzyć było.

Podchodząc ku furcie staruszka wyjrzała ostrożnie i nie zobaczyła nikogo. Spiesznym krokiem obie dostały się pod sklepienie, do którego parę schodków kamiennych prowadziło. Jakież było zdumienie królowej, gdy po obu bokach wrót do strzegła dwóch z halabardami stojących ludzi.

Zbladła, pochwyciła za rękę Hildę, zatrzymując się na krótko, lecz natychmiast przewyciężyła obawę i wahanie, posunęła się żywiej i krzyknęła na stojącą straż, aby otwierała. W mroku nie można było poznać ludzi, i oni też jakby nie po znali królowej, nie poruszyli się z miejsca i nie zdawali gotowi usłuchać.

Jadwiga z coraz większym poruszeniem podbiegła bliżej, jednemu ze stojących własną rączką wyrwała berdysz, którego on wcale nie bronił, i zamierzyła się nim uderzyć we drzwi. Nie rozrachowała ani sił swych, ani niepodobieństw dokonania tego, do czego ją rozpacz skłoniła.

Postradała pamięć, rozwagę, gniew i boleść w szal ją wprawiły.

Lecz było coś tak bohaterskiego w tym porwaniu się słabej istoty przeciw dzielącej ją od kochanka zaporze, że straż zdawała się gotową rozkazowi jej ulec.

Oburącz porwawszy berdysz, już miała uderzyć w drzewo, gdy zjawił się Dymitr z Goraja, z obnażoną głową stając wprost przed nią. Zobaczywszy go, królowej opadły ręce.

— Pani Miłościwa! Pani nasza! Co czynić zamysłasz? Na Boga!

Jadwiga milczała niema chwilę.

— Widzisz, — odparła gwałtownie, — niewolnica wasza wybija się na swobodę, gwałtem oddzieliłiście mnie od męża, idę się z nim połączyć. Otwierać wrota! Jam pani! Królowa! Kto śmie mi zapierać drogę?

Dymitr z Goraja ukląkł przed nią ze złożonymi rękami.

— Ja śmiem moim ciałem, a choćby trupem moim drogę tę zapierać. Ja! Miłość twoja może być wielką dla tego człowieka, ale węzeł ten stargany został wolą matki, wyrokiem Kościoła. Królowo, masz przed sobą inne i wielkie przeznaczenie. Miłość dla wiary i dla kraju twego musi w twym sercu zastąpić przywiązanie do człowieka! Świat cały patrzy na ciebie, tysiące dusz z twych rąk zbawienia wyglądają! Pani nasza! Ulituj się! Cóż pomoże to porwanie się przeciw wszystkim? Rozstawione są stráže, nie dopuszczą cię wyniść, a księżę Wilhelm to zuchwałe pokuszenie się życiem może przypłacić.

W połowie już tego przemówienia cała siła, na jaką się zdobyć mogła Jadwiga, po kilkodniowej wyczerpującej ją walce, opuściła biedną. Łzy rzuciły się jej z oczów, zadrżały pod nią nogi, Hilda podbiegła, aby chwiejącą się podeprzeć i podtrzymać. Dymitr z Goraja klęczący całował kraj jej szaty. Głos jego łagodniejszym coraz stawał się, błagalnym.

Nie było środka wydobyć się z zamku. Zakrywszy oczy biedna pani zwróciła się, sparta na ramieniu staruszki, i poczęła iść nie wiedząc, dokąd idzie. Podskarbi ujął jej rękę z drugiej strony, nie opierała się już, dając z sobą czynić, co chcieli. Być może, iż obawa o zagrożone życie Wilhelma przyczyniła się do złamania tego oporu.

W przedsienu zamkowej głos Hildy wywołał żeńską służbę, która na widok osłabłej pani przypadła ku niej i prawie na rękach ją niosąc, wprowadziła do komnat. Drżenie gorączkowe i zawrót głowy zmusił natychmiast Hildę, po rozdarciu sukien, położyć ją i okryć na łożu. Posłano po biskupa Radlicę, wzywając go do chorej.

Z zamkniętymi oczyma, blada, leżała królowa, trzęsąc się jeszcze, a niekiedy spazmatycznym wybuchając płaczem. Na pytania Elży i Hildy nie odpowiadała, tylko łkaniem. W takim stanie znalazł ją nadchodzący pospiesznie biskup, któremu Hilda musiała objawić przyczynę nagłej choroby.

Gdy na zamku zabiegano tak około królowej, Wilhelmowi stojącemu z kilku ludźmi i Gniewoszem pod murami, przybiegło dać znać pacholę podkomorzego, iż wszystko odkryte zostało, królowę u

wrót zatrzymano, a rozwścieczeni panowie, na życie Wilhelma się sprzyśniętzy, szukają go wszędzie po mieście.

Powracać do otoczonego już domu Gniewoszowego nie było sposobu. Sam podkomorzy nie radził, należało co prędzej gdzie indziej szukać tymczasowo schronienia, dopóki by burza nie przeszła. Gniewosz zaręczał za Morszteina i korzystając z mroku, sam księcia do niego poprowadził.

Wilhelm, któremu Suchenwirth i marszałek dworu towarzyszyli, przełękły był niezmiernie, nie mógł mówić, stracił przytomność. Zdał się na swych opiekunów. Gniewosz ofiarował się go nie opuszczać.

Morsztein, którego wywołano, zgodził się ukryć księcia, ale żądał, aby nic bytności jego tu nie zdradzało. Obawiał się nawet dwóch towarzyszków. Tu się potwierdziła smutna wiadomość o tym, że we dworcu Gniewosza splądrowano wszystkie kąty, szukając Wilhelma, i że cały jego dwór, spłoszony, rozbiegł się, kto konno, kto pieszo, tak że ledwie kilku ludzi podkomorzego zostało na straży. Szukano zbiega po mieście, od grażając się na życie jego.

Gniewosz, który mężnego udawał, ofiarował się biec, aby języka dostać i obmyśleć, co czynić. Morsztein dostojnego gościa zamknął tymczasem w swej sypialni i sam mu posługiwał.

Podkomorzy znalazł swój dworzec w takim stanie, jak mu go opisano. Z rana miał on już tę ostrożność potrzebną, iż swoich ludzi najzaufańszych w dworcu umieścił. Ci przy pozukiwaniu księcia na straży pozostali, aby szkody nie było; ludzie zaś Rakuszanina wszyscy uszli. Niektórzy z nich czasu pobytu pozawiazywali stosunki w mieście i pozbiegali do mieszczan, inni, koni się dorwawszy, nie oglądając się, uciekali do Wiednia.

Przepowiednia Dymitra z Goraja sprawdziła się, spadek po Wilhelmie cały, nie naruszony był w rękach Gniewosza, który cieszył się dobrze opłaconą podłością swoją.

— Co to rozum mieć? — mówił, zamykając komnaty i stawiając strażę. — Teraz, byle się stąd książątka pozbyć, panem będę! Wsi nakupię, ile zechcę.

Zacierał ręce.

— Strzegomi⁶⁹ nie zjeść w kaszy! — mrucał. — Górą Gniewosz!

Wielką tę radość jednak pohamował, wracając do Wilhelma. Miał zamiar, nie zwlekając, namówić go do ucieczki nocą, a nawet mu ją ułatwić, ale poczciwy, a nie wtajemniczony Morsztein oparł się temu, bo nad biednym młodzienaszkiem miał miłosierdzie. Wobec Wilhelma, który dotąd ze strachu przyjść do siebie nie mógł, Franczek zawołał, że teraz, gdy wszędzie za księciem, tropią i ścigają go, byłoby nierozumem puszczać się w drogę. Należało pozostać ukrytemu w Krakowie, a dopiero gdy wszystko ucichnie, przebranemu wykraść się za bramy.

Choć podkomorzemu pilno było się pozbyć Wilhelma, nie śmiał rozumnej rady odtrącać. Książę też gotów był i chciał pozostać w nadziei, że królowa go obroni, że się może zmieni położenie na szczęśliwsze.

Zostawując księcia znękanego na opiece Morszteina, Gniewosz na zamek wrócił, po drodze tylko zajrzawszy do dworu swego, będąc o skarby w nim zamknięte niespokojnym.

Na Wawelu panowało przerażenie i niepokój wielki. Królowa leżała chora. Dobiesław z Kurozwęk zarządził środki ostrożności nadzwyczajne, ludzie wszyscy byli na nogach, załoga na wałach, a panowie Rady wbiegali dowiadywać się o zdrowie Jadwigi. Radlica wywoływany nieustannie starał się ich uspokajać.

Tak zesłała cała noc, a siedząca u łoża Hilda, ile się razy zdrzemnęła, zrywała się obudzona jękiem i płaczem swej wychowanki. Biskup w drugiej izdebce obok noc spędził na modlitwie, nie kładnąc się także.

Nad ranem usnęła snem wielkiego znużenia królowa, ale dzwonek kościoła ją obudził. Powstała szybko i zażądała gwałtownie, aby jej szaty podano. Do Boga chciała iść na skargę przeciw ludziom. Biskup Radlica łagodnie jej to odradził i ofiarował się mszę świętą odprawić w komnacie.

Mały jej opiekun miał głos tak przenikający, prosił tak łagodnie a niewzruszenie, iż mu ulec było potrzeba. W rannych szatach czarnych, bo innej barwy wdziac nie chciała, klękała się modlić, ale ledwie poczęta modlitwa we łzy się rozplynęła. Po mszy klął Radlica, głośno jeszcze poczynając różne modły, które do stanu duszy królowej umiał zastosować. Wstała potem, jeśli nie pokrzepiona, to z większym poddaniem się ciężkiemu losowi, jaki ją spotykał.

Gniewosz, który się ukazał na chwilę, dopytującej go Hildzie oznajmił, że on księciu życie ocalił, ale Wilhelm musiał uchodzić, bo inaczej utrzymania go nie mógł być pewnym.

Dzień przeszedł w samotnej komnacie, na głuchym milczeniu. Królowa siedziała, przeciwko zwyczajowi swemu nic nie mogąc wziąć w ręce. Elza odpowiadała wzrokiem, była jakby skamieniała. Zbliżający się wieczór ten spokój pozornym wspomnieniem jakimś zamącił i powrócił płacz i dreszcze, ale Jadwiga nie dała się zaprowadzić do łożka, uklękała na modlitwę.

Gdy powstała chwiejąc się i słaniając, znalazła przed sobą w komnacie oczekującego biskupa Dobrogosta z Nowego Dworu. Królowa potrzebowała pociechy religijnej, a Radlica nie ufał sobie, aby skuteczną mógł jej przynieść. Mówił od serca, słowy bardzo prostymi, chciał wymowniejszych ust, co by go zastąpiły. Wybór poznańskiego biskupa był bardzo szczęśliwym. Królowa go ceniła wielce, był łagodnym i miał dar ten słowa, który jest darem ducha.

Dobrogost nie spieszył z rozpoczęciem rozmowy, dopiero gdy ujrzał ją nieco uspokojoną, odezwał się z prostotą i ojcowską troskliwością:

— Jeśli łzy ci ulgę przynoszą, płacz, we łzach jak w krwi ofiarnej jest tajemnica. Bóg je dał ludziom, aby go mieli czym przebłagać. Życie nasze od boleści się poczyna, w boleściach kończy, na ziemi w nim szczęścia szukać ślepi mogą tylko. Królowo moja! Ciebie Bóg do wielkiej powołał ofiary, aby ci dać zasługę wielką, a nie ma jej bez cierpienia. Chrystus cierpiał; on wzorem naszym. Ty także bólem swym wykupisz dusz tysiące i dasz je Bogu.

— A, ojczy mój! Na taką ofiarę sił mi braknie.

— Bóg je zesze! Módl się i proś Go o nie!

Rozpłakała się królowa. Biskup Dobrogost począł psalm odmawiać, a ona powtarzać go za nim. Skończył się szeptem cichym. Dobrogost księgę zamknął i mówił znowu:

— Męczennicą będziesz dla wiary świętej, nie ubłogosławiłże cię Bóg? Poświęcisz swą miłość dziecięcą dla miłości Zbawiciela. Ludy cię czcić będą i wieki głosić imię twoje.

Zadumała się, podnosząc oczy, Jadwiga, a biskup, szanując jej smutek, zamilkł.

Rozdział IX

Mroźny był dzień lutowy roku 1386; na kominie w znanym nam domu Bieniasza palił się ogień trzaskający, wesoły, jasny. Przed nim na niskiej ławeczce przenośnej, z rękami na kolanach opartymi, z twarzą w dłonie ukrytą, zgarbiony, skulony, zgięty we dwoje, nieruchomy siedział, niekiedy niecierpliwie tupcząc nogami, Bobrek.

Dalej na ławie, średnich lat, z długimi, do pół izby wyciągniętymi nogami, o ścianę oparty, odpoczywał człowiek niemiłego oblicza, pomarszczonego, z gębą zapadłą dla przedwcześnie straconych zębów. Włos twardy jeżył mu się i nieporządnie rozrzucony sterczał na głowie podłysiałej. Ręczyska ogromne trzymał na kolanach, a oczy miał machinalnie ku ogniovi zwrócone. Strój nie dozwalał poznać, kim był, lecz z kroju jego można było wnioskować, że pod zbroję go używał. Po zostawiła ona ślady, kędy szczelniej opięta przystawała.

Za tym nieznanym, w postawie skromnej, w sukni długiej mieszczańskiej przysiadł się gospodarz Bieniasz. Z długiego ich milczenia ponurego i westchnień, którymi je przerywali, widać było, że na nich wszystkich trzech ciężkie jakieś padło brzemie. Prawdą to jest, że małe ciosy wywołują skargi i jęki, a srogi raz milczeniem się zamyka.

Westchnieniem jeszcze cięższym niż poprzedzające i gniewnym splunięciem na podłogę przerwał wreszcie tę ciszę siedzący na ławeczce Bobrek i zerwał się z niej, stając przed mężczyzną, który na ławie na pół leżał, pół siedział.

— Postawili na swym, — zawarczał, — postawili, będą Jagiełłę mieli, a z nim wojnę nieustanną, bo Zakon się nie da słodkimi słówkami na lep wziąć. Jagiełło mu się zobowiązał, umowa była, miał chrzest przyjąć z ich rąk i Zakonowi hołdować. Złamał umowę, będzie wojna!

— Będzie? — odparł szepleniawo siedzący na ławie. — Nie będzie, ale jest, mistrz już teraz wtargnął na Litwę! Zrobimy mu krwawy chrzest i wesele! Cha! cha!

— Jagiełło tam posłał, — odezwał się Bieniasz, — mówią, Dymitra z Góraj, prosząc na chrzciny.

— Drwić z siebie Czolner nie da, — rzekł siedzący. Zdradził nas Witold, Andruszkę⁷⁰ mamy na jego miejsce. Piekło im pomagało do tej sprawy. Szatan wszystko poplątał. W garści mieliśmy go i Litwę całą. Hawnula, tego nikczemnika, zawczasu powiesić było potrzeba. On wszystkiego sprawcą i te mnichy czarne.

Mówił to z jakąś obojętnością, która się z ostrymi wyrazy sprzeczała, lecz spod tego chłodu tryskała żółć nagromadzona.

— Prędko się im zmieni to wesele na łzy i narzekania — ciągnął dalej.— Zakon wie, że teraz w początku on najśłabszy, a z Polską mieć będzie do roboty wiele i nierychło go stąd wypuszczą. Teraz całą siłą na niego, a jak Litwę zawojujemy, niechaj Polacy go sobie żywią. Na zdrowie!

Śmiał się szydersko. Bobrek słuchał niespokojny.

— Już to prawda, że wy wszyscy, których Zakon używał, żywił, płacił i posługiwał się wami, niewarcicie starego wiechcia. Coś ty zrobił, nieustannie się włóczęc i szpiegując?

— Co?! wykrzyknął Bobrek. — Więcej niż wy wszyscy, coście w Malborgu siedzieli próżnując, gdy ja szyi nastawiał. A wiedzielibyście wy co beze mnie?

— A zrobiłeś ty choć jedno z tego, coś obiecywał?

— Głową muru nie przebić — przerwał Bobrek, — beze mnie by gorzej szło. Czym tu było co zrobić? Takimi ludźmi bez głów jak ci, co Semka popierali? Kiedy w Krakowie wszystek rozum polski siedział, a w Wielkopolsce wszystka polska buta...

Siedzący na ławie ramionami trząsał i szeroką dłonią plasnął się po nodze.

— Mówić już nie ma o czym. A co się z Wilhelmem dzieje?

— Kto go wie? — rzekł Bieniasz. — Mówią, że jeszcze tu jest, a głupią nadzieję ma, że królowa coś potrafi, choć w ostatniej godzinie. Co? Jak? Pilnują jej jak oka w głowie! A on się tuła ścigany z kąta w kąt. Krył się u Morszteina, potem na Czarnej Wsi⁷¹, w Łobzowie⁷². Prawią, że gdy go raz szukali, nieboraczętko na bancie⁷³ w dymniku siedział, że się sadzami umazał cały.

— Gniewosz go zdradził! — zawołał Bobrek. — Gdyby nie on... Tego by powiesić bez sądu!

— I wszystko zabrał, a były skarby wielkie, — dodał Bieniasz wzdychając.

— Gniewosz jak Gniewosz, — mruknął siedzący, — królowa go zdradziła. Gdyby nie chciała Jagiełły, co by panowie poczęli?

— A jak mogła się oprzeć? — rzekł Bobrek. — Wszyscy biskupi i duchowni umawiali, prosili, błagali, a modlili póty, że musiała się zgodzić. Nie dawali biednej spoczynku.

Po krótkim milczeniu z ławy odezwał się bezzębny bardzo cicho:

— Jeszcze my na Opolczyka trochę rachujemy, człek skryty i zawzięty. Spodziewa się, że teraz, gdy wszyscy sądzą się bezpiecznymi, zamek może opanować. A ma garstkę jakąś za sobą, kto wie!

— Śni się jemu i wam! — krzyknął Bobrek. — Nigdy tego nie dokaże! Mają oni oko na niego.

— Nie ręczyć za nic, — szepnął bezzębny. — A z Semkiem co się dzieje?

Bobrek pogardliwie usta skrzywił.

— Ten już syt. Będzie miał, mówią, siostrę Jagiełłową, dziewczkę młodą i piękną, dadzą mu wiano za nią. Kujawy albo inną ziemię. Czego ma więcej pragnąć?

Zaśmiał się klecha.

— Jam tam koło niego i jego kanclerza się kręcił, wiem wszystko, a człowieka po dziś dzień nie rozumiem. Korony mu się chciało gorąco i odechciało rychło. Do Krakowa przybywszy, w królowej się daremnie miłował. Zrobili z nim, co chcieli. Teraz na Jagiełłę czeka, a potem z żonką do Płocka i wszystko skończone.

— Przecie rycerskiego ducha miał? — zapytał bezzębny.

— I ma go pewnie, ale ojcowskie rady a Janusza przykład rozumu nauczyły. W Krakowie tu patrzeć nań było potrzeba. Męczarnie cierpiał ten człowiek, rwąc się i hamując. Zawiało z Wielkopolski nadzieją, latał jak opętany, żeby się jej nie dał uwieść; zaleciało co z Litwy, korzył się i milczał; panowie go czym złudzili, roił, że mu jeszcze co dadzą. Królowa nań czasem łaskawą bywała, myślał może, iż Wilhelma za stąpi. Teraz z tego wszystkiego tyle tylko, że białą żonkę weźmie i królowi będzie powinowaty; ale panowie nie dopuszczą do tego, czego chce, żeby im się mieszał do rządów.

— Gdyby umiał! — rzekł Bieniasz.

— Nie, ja mówię wam, z tym człowiekiem skończone wszystko; dzieci będzie na kolanach kołysał, po lasach wilki bił i żonę całował, — zamknął Bobrek.

— A na zamku co się dzieje? — zapytał siedzący na ławie.

— Jam tam dziś był, bo wstęp mam zawsze, — rozpoczął ochoczo Bobrek. — Z klerykami królowej Michalonem i Jaśkiem družbę mam wielką, a i pani Hildy łaski. Jagiełło już na ślub jedzie, a królowa się jeszcze ze swoim losem pogodzić nie mogła. Posyłała, słyszę, Zawiszę z Oleśnicy, przysięgę od niego wzięwszy, że podarku żadnego od Jagiełły nie przyjmie, aby go na oczy widział i prawdę jej przywiózł o nim, bo go opowiadali jako dzikie zwierzę strasznym. Ale Jagiełło poznał, z czym przybył, i ująć go sobie umiał, a panowie też nagrozili mu; przybył z tym, że poganin niczego. Wilhelmowi przecie, co jak laleczka wyglądał, podobnym nie będzie. Chodzi królowa po komnatach i ręce załamuje, a godziny liczy chcąc je przedłużyć, taka ją ogarnia trwoga.

— Nie darmo! — przerwał bezzębny. — My lepiej od wszystkich Jagiełłę znamy... natura dzika, ponury, mruk... w lesie by siedział tylko, niedźwiedź prawy.

— A to pani jak gołąbka biała! — dodał Bobrek ręce składając. — Ani się ja dziwuję tym, co się w niej rozmiłowują, ale dziwię, że nad nią litości nie mają.

— Biskupi ją za to obiecali uczynić świętą, — rzekł Bieniasz.

Bobrek, nie mówiąc nic, skrzywił się dziwacznie.

— Kiedyż niedźwiedź przybędzie? — zapytał siedzący.

— Prawią, że jutro, — szepnął Bobrek.

Poruszył się krzyżacki posłaniec z ławy i z cicha z klechą naradzać zaczął. Bieniasz wstał i przeszedł się po izbie.

Wieczór był późny — i gość zażądał posłania; szli wszyscy kwaśni na spoczynek.

Nazajutrz wstał dzień jasny, zimowy, mroźny i wszystko w mieście się sposobiło na przyjęcie litewskiego księcia.

Znaczniejsza część tych, co go na tron prowadzili, wyjechała naprzeciw niemu, w mieście więc tylko kupiectwo i lud pospolity, a na zamku królowa z dworem swym i częścią duchowieństwa, które jej nie odstępowało, oczekiwali na przybycie Jagiełły.

Lecz jakże różne dziś było miasto od tego, które niegdyś na wjazd młodej królowej wysypało się całe z taką radością, z uniesieniem, z szaleństwem. Na Jagiełłę oczekiwano z trwogą, a choć wodzowie wiele sobie po nim obiecywali, pospolity lud widział w nim zawsze poganina, którego natury chrzest nawet obmyć i odnowić nie mógł. Lękali się, aby dla tego pana, który nie znał obyczaju ani nawyknień polskich, wszystko się cofać nie było zmuszone i uczyć litewskiej dzikości.

Zechceż on poszanować prawa? Nie spróbuje rządzić samowolą, jak u siebie w domu?

Milcząc, z obawą i niepokojem spoglądano w stronę, z której miał przybyć — z takim uczuciem jak na nadciągającą chmurę z burzą, minie—li ona czy zniszczy?

Jedni opowiadali siła dobrego o nim, złoto rozrzucił garściami, ziemię rozdawał milami; drudzy grozili, że w gniewie końmi każe rozrywać i bić kołem.

Semko, przyszły szwagier króla, z resztą panów w Krakowie pozostałą wyruszył na spotkanie Jagiełły do Sandomierza, z mniejszą niż inni trwogą, lecz niespokojny i upokorzony. Panowie krakowscy wzięli go pomiędzy siebie chętnie, a uprzejmy Spytek, jako księżęciu, pierwsze miejsce mu dawał.

Zastali litewskiego księcia na zamku jeszcze, w izbie, której jedyną ozdobą był ogień na kominię. Odziany prostym kozuchem baranim, siedział z dobrą myślą, w którą go wesołe rozmowy Krakowian wprawiły, za stołem, na którym jeszcze misy stały opróżnione i kubek z wodą przed nim, przysłuchując się, uśmiechając, z rzadka sam wtrącając słowo. Twarz jego, zwykle dosyć posępna, rozjaśniona była. Otaczający też panowie Rady czynili, co mogli, aby go rozchmurzyć.

Przyszły król odzywał się do nich krótkimi słowy, pospieszną, niewyraźną mową, po rusku. Oglądał się potem trwożliwie, czy go rozumiano, a rad był, gdy się o tym przekonał. W rozmowie więcej uszami niż usty brał udział. Książęta bracia, towarzyszący mu, siedzieli na ławach, dokoła stali panowie, dalej odpoczywali niektórzy, w kącie zabrawszy miejsca.

Trudno było poznać na pierwszy rzut oka w tym człowieku ubranym tak skromnie, niewybitnych rysów twarzy, tego, co miał przysłemu z dwóch wielkich narodów złączonemu państwu królować.

Wchodzącego z innymi Semka, który się przystroił okazale i szedł w niemniej świetnym orszaku, Jagiełło poznał na pierwsze wejrzenie — i uśmiechnął się. Rad mu był. Od czasu, jak się w Wilnie

widzieli potajemnie, on mu Drohiczyn wziął i część Mazowsza splądrował i zniszczył, lecz obiecywał sobie, że to nadgrodzi.

Szeroką, silną dłoń wyciągnął naprzód ku niemu, potem witał innych uprzejmie, z wielu się zapoznając dopiero, bo po raz pierwszy słyszał ich imiona. Królowi w kozuchu i prostych skórzniach wydali się aż do zbytku strojnymi przybywający, lecz nie mógł się na swój orszak poskarżyć. Żaden król piękniejszego pożądać nie mógł. Jaśko z Tęczyna i Mikołaj z Brzezia szeptali tylko na stronie, iż na wjazd do Krakowa prosić trzeba, aby przywdział szaty stanowi odpowiedniejsze. Hawnul im to przyrzekał.

— Na ten dzień i sobole włoży — mówił — i buty z nosami, ale nie żądajcie jednej rzeczy tylko, aby dla was i z wami wino lub miód pił, bo tego nie uczyni, i jabłek mu na stole nie stawcie.

Po chwili Jagiełło powstał z ławy i zwrócił się ku księciu mazowieckiemu, patrząc na niego z życzliwością wielką, ujął za rękę Semka i poprowadził do otwartej obok komory.

— Będiesz mi bratem — rzekł żywo a krótko, jak był zwykł — ale stójże wiernie przy mnie! Olga na ciebie czeka, — dziewczka młoda i krasawica!

Rozśmiał się i w twarz go pocałował.

— Dam wam wiano dobre, ziemi szmat, — mówił, ciągle się śmiejąc, — a gdy mi się znuży na dworze w Krakowie, przyjadę na łowy... Olga mi zwarzyć każe litewską strawę i u was będę mógł chodzić w kozuchu...

Semko, trochę zmieszany z początku, uczył się wreszcie do brocią tą ujętym.

— Możecie mi zaufać — rzekł — będę wam bratem i sługą wiernym.

Jagiełło obejrzał się za siebie trochę trwożnie i westchnął.

— Kto wie, komu tu z tych pięknych panów wierzyć można? Mówią tak gładko, kłaniają się tak nisko. Ja się ich lękam trochę. Semko mój, my musimy iść dłoń w dłoń, pamiętaj!

Po małym przestanku Jagiełło się obejrzał i znowu zaszeptał żywo:

— Dali ci oni biedy skosztować, a tyś im wierzył. Wodzili cię, wodzili, i tyle tylko, żeś dużo postradał, ale ja ci wszystko nagrodzę. Z Olgą życie będzie szczęśliwe. A na przyszłość, Semku, pamiętaj, co ja mówię zawsze i trzymam. Naprzód się nie wrywaj, w tyle nie zostawaj, środka się dźierz!*

Semko, milcząc, przyjmował rady i obietnicę. Zagadał jeszcze Jagiełło o łowach, spytał o lasy na Mazurach, potem o drogę do Krakowa i zwłóczył z wyjściem do panów, bo z mazowieckim księciem czuł się jakoś bliższym i poufalszym. Oba potem wrócili nazad do pierwszej komnaty, zajęli miejsce swe na ławie litewski książę. Semka przy sobie posadził, okazując widocznie, jak mu sprzyjał, i począł się znowu opowiadaniom przysłuchiwać i rozmowie.

W tym orszaku panów, którzy go w istocie sami przeciw wszystkim na tron wnieśli, z nadzwyczajnym przepychem i okazałością, przy huku trąb i bębnow, wjechał do przyszłej stolicy swej Jagiełło. Mała ilość Litwinów, która mu towarzyszyła, w większej części przybrana tak, aby się nie odznaczała powierzchownością, prawie niewidoczną była, utonawszy w licznie daleko znaczniejszej — polskich panów i ich dworów.

Miasto wysypało się na spotkanie, lecz stało nieme, nie wiedząc, czy się ma radować, czy trwożyć. Oblicze przyszłego pana nie wydawało się groźnym, więcej na nim malowała się nieśmiałość jakaś i niepewność. Oczyma rzucał żywo, ciekawie i prędko je odwracał.

Cały ten orszak przeciągnął wśród grodu i wężem powoli wjechał, długo się wlokąc, na Wawel, gdzie nań czekała królowa.

Dlaczego Semko przy pierwszym tym spotkaniu znajdować się nie chciał i wymknął się do swojej gospody? Oddanym był Jagielle; przecież ta piękna królowa z anielskim wyrazem twarzy zbolalej budziła w nim uczucie jakiegoś politowania i zazdrości, że świadkiem jej trwogi i bóleści być nie śmiał, nie mógł.

Lecz wieczorem dworzani z zamku przybiegli, do Jagiełły wzywając. Semko zawahał się nieco, ale odmówić nie było można. Jechał więc na Wawel do niego.

Wstępując na próg, znalazł Jagiełłę otoczonego duchowieństwem. Biskup Dobrogost, Bodzanta i Radlica przysposabiali go do obrzędu chrztu świętego, który miał ślub i koronację poprzedzić. Jagiełło stał z twarzą zmęczoną nieco i jakby wylękłą, potwierdzając skinieniem głowy i szeptami, co mu mówili biskupi.

Bodzanta zabierał się go żegnać, odchodzili z nim towarzysze jego. — Semko sam na sam pozostał z Litwinem. Ten stał jeszcze przy stole zadumany i w sobie zatopiony. Zwrócił się powoli ku księciu i pozdrowił go głową skinieniem.

Pierwszym słowem, które mu się z ust wyrwało, było żywe i niewyraźne:

— Pięknaż ta królowa moja! Takiej piękności anim ja śnił, ani widział kiedy... na królowę stworzona była...

Spuścił oczy.

— Ano... drżała i bladła niebożatko, patrząc na mnie. Semku, czym ja tak straszny?

Księżę, któremu wyrazów tych przykro słuchać było, potrząsał głową.

— Jej, jej nie jedno królestwo, ale wszystkie tego świata państwa nie żal położyć pod nogi.

Za frasunku jakiegoś uśmiech się wysunął na usta i szepnął cicho:

— A będziez mnie ona kochała?

Głową potrząsał i dumał.

Książę nie zebrał się jeszcze na żadną odpowiedź, gdy Jagiełło o różne drobne zaczął go rozpytywać szczegóły.

— Przywiozłem dary — rzekł — wyście ich nie widzieli? No, wydawały mi się piękne, gdy je Hawnul w Wilnie dobierał, ale gdy je oddawano, znalazłem je nickszemnymi! Patrzała na nie takimi oczyma... Dałbym jej cały skarb mój.

Dopiero Semko przebaknął, że w takiej chwili trwogi królowa nie mogła wagi przywiązywać do marnych rzeczy. Więcej patrzeć musiała na przyszłego męża.

Uśmiechnął się, ale smutnie, Jagiełło; nie powiedział nic.

Siedli potem rozmawiać poufnie jeszcze. O każdego ze starszych panów, choć mu Hawnul mówił już o nich, rozpytywać począł troskliwie i znowu słuchał już więcej, niż mówił, wyzywając tylko Semka, a coraz mu podszeptując:

— Bądź ty mi bratem wiernym! Ja nie wiem, komu wierzyć, ufać komu.

Książę ledwie późno w noc zdołał się uwolnić i pożegnać Jagiełłę.

Z trwogą jakąś i westchnieniem mówił o jutrzejszym chrzcie swoim i braci, jak gdyby się lękał jeszcze tych bogów, których się wyrzec musiał. Duchowieństwo tłumaczyło mu jego dawną wiarę jako cześć szatana, a Jagiełło tej złej mocy, nawet chrześcijaninem zostawszy, obawiał się zawsze i mrucał, że Panu Bogu świece palić trzeba, ale i diabłu nie zawadzi ją postawić.

Od tego dnia Semko nieodstępnie prawie musiał być na dworze przy królu, który nim już posługiwał się jak bratem. Służył jemu i panom nieraz za pośrednika, gdyż król nowy wielu rzeczy nie był świadom i zrozumieć ich nie mógł.

W dni kilka po koronacji i ślubie, gdy wszystkie uroczyste obrzędy szczęśliwie się odbyły, a z nowego pana niesłychanej szczodroty wszyscy byli szczęśliwi, bo obdarzał tak, iż zdawało się, że i skarb swój, i ziemie, jakimi rozporządzał, wszystkie rozda od razu, we dworcu Jaśka z Tęczyna znowu się ze brali ci, co tu dotąd rej wiedli. Dymitr z Goraja, najprzenikliwszy z nich wszystkich, przynosił im wiadomość niemiłą i trwożącą.

— Wilhelm uparty dotąd się znajduje w Krakowie, — mówił, — kto wie, co zamierza. Jego się nie obawiam, lecz są po szlaki, że mu tajemnie sprzyja Władysław Opolski, choć Jagielle się poddał i kłania. Knują coś i niedaremnie go tu chowają. Jagiełło jest podejrzliwy, zazdrosny, podszeptują mu już coś źli ludzie.

— Lecz gdzieżby Wilhelm się miał ukrywać? — przerwał Jaśko z Tęczyna.

— Gdzie? — Jeżeli mógł raz siedzieć w czeluściach komina, gdy go na Czarnej Wsi szukano, może teraz kryć się w lochu albo pod przybraniem jakim — dodał Dymitr z Goraja. — Gniewosz zdrajca, który z kolei wszystkich zdradzać gotów, może jego trzymać, a Jagielle donosić o nim.

— Na rany Pańskie! Stąd go wygnąć potrzeba! — krzyknął Mikołaj z Brzezia.

— Tak jest, naprzód go znaleźć musimy, — odparł, ciężko jęknąwszy, Dymitr z Goraja. — Czynię, co w mojej mocy. Straże stawię, ludzi rozsyłam, szpieguję. Donoszą mi, że w Łobzowie siedzi, pędzę do Łobzowa, łóżko jeszcze ciepłe, było ptaszę, ale już furknęło. Lecę do Morszteina domu, na stole kapelusz z piórem porzucił, poznaję go z opisu. Choć Franczek się wypiera, trzęsę od piwnic do strychu... zniknął...

— Ale któż mu pomaga? Kto ostrzega? — zawołał Jaśko z Tęczyna. — Koniec temu być musi. Zagrozić trzeba.

— I wrzawy przyczynić? — spytał Dymitr. — Aby król się dowiedział, królowę podejrzewał i w początkach zaraz to małżeństwo ledwie skojarzone się rozchwiało niezgodą? Musimy po cichu działać i ostrożnie, lecz...

— A na dworze królowej, — odezwał się milczący dotąd pan krakowski, — może tam ma kogo... Gniewosz...

— Za Gniewoszem chodzą moi ludzie — westchnął Dymitr.

— Lecz jestże on tu naprawdę? Czy to strachy tylko i baśnie, bo niczego pewni nie jesteśmy? mruknął Dobiesław.

— Jam pewny, że jest... chybaby dopiero dziś się wymknął, — odpowiedział podskarbi.

Naradzali się długo, a w końcu to tylko postanowili, iż cicho, a nie uwiadamiając króla, należało Wilhelma wytropić i strachem zmusić do ucieczki.

Okrutniejszy od innych Dobiesław z Kurozwęk po cichu mruczał:

— Choćby go i ubito... płakać nie będziemy...

Z tym odszedł pan Dymitr z Goraja.

W drodze, na zamek jadąc, skrzyżował się z Gniewoszem zdążającym do miasta i zatrzymał. Zwrócił się do niego:

— Wilhelm wasz siedzi tu, po kątach się kryjąc, i spiskuje, — rzekł, — jeżeli wy mu posiłkujecie...

Podniósł rękę i pogroził.

— Ja?! — zawołał podkomorzy. — Ja! A co by mi po tym było? Wiem, że Wilhelm jest, nie wiem, czego dosiada... ale ja w to palców nie maczam. Byłem sługą wiernym królowej, jestem wiernym sługą pana...

Ruszył ramionami i jechał dalej.

Podskarbi wrócił na zamek. Ledwie komnatę otworzył, gdy nadbiegł mały Zbramir, pachołę królowej, ten który pierwszy o schadzkach u Franciszkanów wszystko wyśpiewał. Chłopak był jak rozgorączkowany.

Grali przed godziną w warcaby z Bobrkiem i powaśnili się. Klecha, zwykle cierpliwy, przy grze stawał się złośliwym i gniewnym. Łajać się poczęli i wymyślać sobie, a że Bobrek język miał lepszy, Zbramir odszedł ze zmytą głową.

Złe chłopię biegło się mścić i szeptało podskarbiemu, że Bobrek to był, co z księciem Wilhelmem królowej dawniej stosunki ułatwiał, a i teraz nie jest obcym temu, co się dzieje.

Dymitr z Goraja dotąd wcale o klesze nie wiedział, lecz nie zasypiał, gdy potrzeba było działać. Miał swych ludzi, dwu wypuścił w tropy. Szczęściem było dla krzyżackiego szpiega, iż w Polsce, jak zawsze, tak naówczas nie posądzano nikogo, z bliska nie przypatrywano się ludziom. Ośmielony tym obracał się, suknią, która go obraniała od posądzeń, okryty, z bez przykładną zuchwałością. Łatwo więc było dwom obeznanym z miastem a milczkiem chodzącym ludziom podskarbiego połapać różne poszlaki. Wiedzieli w mieście niektórzy, iż do Bieniasza różni ludzie z Niemiec i od Krzyżaków zajeżdżali, a Bobrek tam był jak w domu. Skąd się klecha wziął, każdy powiadał inaczej, bo on też przed każdym kłamał w inny sposób.

Z wiadomości podskarbiemu przyniesionych złożyło się coś tak poplątanego, a podejrzanego, że nie mieszkając, szepnął, aby go po cichu ujęto i na wieżę „Dorotkę”⁷⁴ na zamek przy prowadzono.

Klecha wcale nie przeczuwał, co mu groziło.

Powracał wieczorem z miasta, gdy przed samą prawie kamienicą Bieniasza i w oczach jego, bo gospodarz nań czekał i stał nie opodal, dwaj pachołkowie chwycili Bobrka, gębę mu zatkali i w mroku, nie postrzeżeni, z nim zniknęli. Gospodarz przerażony, nie usiłując nawet ratować go, pobiegł pędem na górę.

Tu siedział jeszcze ów wysłaniec krzyżacki, który przybył, aby chrztu i koronacji być tajemnym świadkiem.

— Bobrka pachołkowie zamkowi pochwycili! — krzyknął wpadając do izby. — Biada mnie!

Bezzębny, który niedbale się na ławie wyciągał, zerwał się jednym skokiem i stanął wśród izby.

— Gdzie? Jak?

Powtórzył Bieniasz wiadomość głosem drżącym.

Wiesz, że pachołkowie nie miejscy⁷⁵ byli? — zapytał Krzyżak.

— Znam ich dobrze, imiona wiem... wątpliwości nie ma.

Stary potargał włosy.

— Na twój dom już czyhają, — rzekł, — i ja tu nie mam co robić dłużej, pójdę do Greka.

To mówiąc począł żywo z ławy zbierać odzież i uzbrojenie.

— Na tym nie koniec — zamruczał. — Jeżeli na zamek go wzięli, to o coś podejrzewają, a ja Bobrka tego od szczenięcia znam. Gdy go na męki wezmą, wszystko, co wie i czego nie wie, wyśpiewa.

Bieniasz ręce załamał.

— Nie, już ty na zamku nie masz nikogo? — dodał Krzyżak i ręką pokazał, jak by głowę urywał.

Gospodarz drżący rękami wywijał.

— Chcesz ty być cały i żebyś po staremu chleb od nas miał...?

Tu znowu stary rękami obiema pokazał sobie na szyję.

— Nikt się za tego psa nie upomni — rzekł. — Służył on nam, ale kto wie, komu jeszcze i komu szczerze? Nie pożałuje go nikt, nawet matka rodzona!

Krzyżak dobył worka rękami drżącymi, rozwiązał go na stole, garść srebrnych pieniędzy wyjął z niego i wcisnął je milczącemu Bieniaszowi.

— Idź zaraz, jutra nie czekaj, póki go na spytki i na męki nie wezmą, póki nie wyda nas i was... Idź!

Namyślał się jeszcze Bieniasz, lecz Krzyżak, który się sam odziewać zaczął, popchnął go i zmusił niemal, aby natychmiast spełnił rozkaz jego.

Wkrótce potem w gospodzie Niemca nie było nikogo, a Bieniasz nie powrócił aż późną nocą i wróciwszy, nie położył się na spoczynek, dopóki całego dzbana wina nie wypił wzdychając i jęcząc. Padł potem jak kłoda na posłanie.

Nazajutrz rano z sędzią krakowskim i pisarzem kroczył pan Dymitr z Goraja do „Dorotki”, w której Bobrek był zamknięty. Stróż więzienny, na dany rozkaz wzięwszy pęk kluczków, powlókł się przed nimi przodem z kagankiem, bo więzienie było ciemne. Odparł drzwi powoli, mrużąc i sam naprzód ze światłem wszedł, ale kroków ledwie parę postąpiwszy, krzyknął. Kaganek o mało mu nie wypadł z ręki.

W ścianie lochu hak był wbity dość wysoko. Na nim, kawałkiem grubego sznura za szyję ujęty, wisiał już żółty i ostygły klecha. Barłóg słomą świeżą wysłany pod nogami jego cały był zmięty i rozrzucony, jak gdyby śmierć poprzedziła jakaś walka czy rozpaczliwe miotanie się.

Dymitr z Goraja stanął, zzymając się i rzucając gniewnymi oczyma; stróż głosem drżącym, przestraszony, tłumaczył się, że gdy wczoraj więźnia przyprowadzono, już mu z oczów bardzo źle patrzyło, rozpaczliwie, rzucał się i bił o mur głową, oczywistym było, że w tym szale sam się

musiał obwiesić.

Kazano odciąć trupa i opatrzyć odzież jego, czy nie miał przy sobie pisma jakiego. W istocie znalazły się w kieszeni jednej zwitki pergaminowe, ale po rozpatrzeniu ich przez pisarza okazały się modlitewkami i egzorcyzmami. Zresztą nie miał więcej nic.

Zawiedziony w nadziejach swych, nakazawszy milczenie o tym wypadku, podskarbi powrócił, zmuszony innymi środkami starać się powziąć wiadomość o księciu Wilhelmie. Po mimo najusilniejszych zabiegów nie powiodło mu się nic nad próżne chwycić pogłoski. Zdawało się, iż Wilhelm, to tu, to ówdzie się przenosząc, siedzi w Krakowie. Morsztejn, któremu na ratuszu zagrożono, pod przysięgą zeznawał, że od dłuższego już czasu nic o nim nie wie. Nie zaprzeczał temu, iż mógł się znajdować w Krakowie, lecz gdzie i kto go ukrywał, powiedzieć nie umiał.

Gniewosz, nie bez złośliwego szyderstwa, zapewniał podskarbiego przy każdym spotkaniu, iż Wilhelm pewnie się znajduje w Krakowie, lecz takich ma przyjaciół, którzy umieją przed oczyma wszystkich go ukryć.

Powszechna stąd urosła baśń, powtarzana wszędzie, że Wilhelm nie chciał Krakowa opuścić ani się wyrzec nadziei.

W Wiedniu tylko wiedziano dobrze, iż postradawszy skarby znaczne, zawiedziony, zrozpaczony, chory, biedny Wilhelm z gniewem i upokorzeniem, samotnie i tajemnie powrócił i wyprawy swej nie mógł przebaczyć losowi, co go naraził na nią. Suchenwirth podać obiecywał do nieśmiertelności dzieje tego złamanego serca, zaniedbanych pukłów pięknych włosów, do znanych niewygód i niewdzięczności ludzkiej.

Gniewosz z Dalewic, jak przyrzekł sobie, wkrótce potem wioski nabywać zaczął i urósł ze spuścizny po Wilhelmie na wielkiego pana, którym mali i wielcy pogardzali.

Rozdział X

Na zamku w Płocku znowu było cicho i pusto, lecz zdawał się on na nowe oczekiwać życie. Znać było wszędzie staranie, aby ślady zaniedbania i czasu, nieopatrności ludzkiej i wojennych dni zatrzeć. Mury były poobielane, ponaprawiane dachy, piaskiem powysypywane podwórza, sienie wysłane liśćmi zielonymi. Krząłali się jeszcze gdzieś zmiotłami ludzie, a nieliczny dwór pozostały okazywał się kiedy niekiedy na przedsieniach w odzieży nowej.

Zmieniła się bardzo postać zamczyska od tych chwil, gdy tu częstym gościem bywał Bartosz z Odolanowa, szlachta wielkopolska i rycerstwo, zbierane zewsząd dla obrony i na wojnę. Nie widać już było wojennych przyrzędów ani tej czujności około bram miasta i grodu jak dawniej. Miasto miało to oblicze czasów spokoju, podobne wiosce, jakie wszystkie polskie miasta rolnicze przybierały, gdy od groźby najazdu były wolne. Pługi i radła wlokły się ulicami, wozy z sianem i zbożem zalegały rynek. W miejskich wrotach prędzej róg pastuszy i kołatki krów usłyszeć było można niż trąbę straży. Stały też one nie strzeżone, otworem, a zajrzawszy do baszt, prędzej w nich kozę było można znaleźć niż człowieka.

Jedne tylko wrota dworu kotlarza Pelcza były dzień i noc zamknięte i strzeżone od czasu, gdy książę Henryk pozwolił tu sobie wtargnąć i pochwyił piękną Anchen, córkę Niemca, którą mu wprędce odebrano. Duchowieństwo, którego suknię nosił, nie dopuściło jawnego zgorszenia i młode księżatko od brata Janusza surowo zostało zagrożone, jeśliby się dopuściło nowego jakiego wybryku.

Krótko to skutkowało, bo najmłodszy z mazowieckich książąt coraz głośniej zapowiadał, że ciężącą mu sutannę zrzuci i żony sobie szukać będzie. Tymczasem po całych dniach na probostwie go i na zamku nie było, a szukać musiano po lasach, po chatach i oddalonych osadach.

I tego dnia też nie znajdował się książę Henryk w domu, chociaż wiedział, że Semko po weselu w Wilnie z Olgą Aleksandrą, siostrą Jagiełły, wyposażony bogato, miał właśnie młodą żonę przywieźć do Płocka.

Oczekiwało tu na wiadomość o zbliżaniu się księcia mające przyjmować duchowieństwo, urzędnicy i dwór, który na miejscu pozostał. Czekala na to dziecię swe stara Błachowa, ale nie z taką w sercu radością i pociechą, jaką by mieć mogła, gdyby drugie jej dziecię, ukochana Ulinka, jak niegdyś, śpiewając wesoło, z nią razem wyglądała umiłowanego brata.

Ulinka, piękna niegdyś Ulinka, wychudła i blada, leżała w łóżku od kilku miesięcy, a żadne leki, zamawiania, okadzania, żadne nabożeństwa i modlitwy pomóc jej nie mogły. Choroba była osobliwa, której nikt nie znał, nie rozumiał i poradzić nie umiał na nią. Schła tak powoli, w oczach marniała, życie z niej wychodziło i ochota do niego. Jadła jak ptaszę, nie sypiała po całych nocach, a gdy zasnęła znużona, przez sen mówiła coś niezrozumiałego albo nawet śpiewała piosenki tak smutne, że się matce serce krajało.

Ona wiedziała i powiadała, że żyć nie będzie, a nie narzekała na to.

Patrząc na jedyne dziecię, które tak schło i ginęło, Błachowa też umierała powoli. Siadała przy niej z kądzielą, ale wrzeczono z rąk jej wypadało, oczy nici nie widziały; pochylała się, aby zimne jak lód lub gorące jak żar całować czoło, a łzy na nie padały.

Czasem zjawiał się Semko, na krótko. Ulinka się zrywała z łóżka, chwielej osłabła, ubierała się do niego w dawne suknie, które matka ściągać musiała, tak teraz na wychudłej leżały niezgrabnie. Wychodziła do niego na rozmowę, ale musiała stać oparta o ścianę, bo się jej w głowie zawracało i męciło. Semko bolał i użalał się nad nią, gniewał na tych, co ją tak nieskutecznie leczyli, obiecywał zdrowie, potem, wnet zapominając się, prawił jej o sobie, pięknej jak anioł królowej, o obiecanej mu siostrze Jagiełły, hożej także i ślicznej, i śmiał się. A tak był nawykły wszystko, co myślał, powiadać przed nią, że nie tał nic, nie dostrzegając, jak błada bledła mocniej jeszcze i oczy jej zwiększone zachodziły to płomieniem, to łzami. Potem żegnając, gdy przyszedł pogłaskać ją po czole, dziewczę chwyciło jego rękę cisnąc ją do ust i zduszone łkaniem uciekało.

Teraz od dawna już Ulinka nie wstawiała, ale mówiła o tym, że chce koniecznie choćby raz wstać jeszcze, aby przybywającego powitać i zobaczyć kraśną żonę jego, a potem, mówiła, położyć się i zasnąć.

Oczekiwany książę nie przybywał, choć wszystko było w pogotowiu. Po kilkakroć pieczono kołaczki białe, które szcerstwiały.

Wieczór jak burza wpadł na zamek Henryk trąbiąc, aby ludzi postraszył i ściągnął zwodniczo naprzeciw siebie do bramy. Śmiał się widząc nadbiegających tych, co ani obowiązku, ani wielkiej ochoty witać go nie mieli. Zeskoczył z konia w podwórce; psy, które go otoczyły, biczem rozpędzając. Kanclerz wyglądał oknem, obrócił się ku niemu.

— Kiedyż się Semka doczekacie? — zawołał do niego.

Książę poruszeniem mu odpowiedział tylko, iż nie wiedzą, a Henryk miał z jakimś żartem niezdarnym wystąpić, gdy we wrotach ukazał się z wolna nadciągający Janusz.

Jechał powoli na koniu ciężkim, sam podstarzały i otylszy, niż był, z twarzą zadumaną. Zobaczywszy go, Henryka wesołość odstąpiła, cofnął się spośród dziedzińca. Starszy książę wjeżdżał, rozglądając się dokoła, i konia do samych przedsieni poprowadził, gdzie, na widok jego, co było dworzan się zbiegło. Nie mówił słowa, witał starszyznę głowy skinięciem. Henryk zbliżył się, z boku podchodząc z ukłonem, w którym czuć było upokorzenie jakieś. Z Januszem się obejść tak nie śmiał, jak z innymi. Książę spojrzał nań bacznie, na strój jego myśliwski i ramionami poruszył.

Marszałek stary, posiwiwały w usługach ojca, o kiju, wprowadzał Janusza do dworca. Ten szedł z wolna, jakby chciał się rozpatrzyć, czy wszystko było w porządku należyтым. Dwór wyglądał odświeżenie, czysto i świeżo... woń kosaćców rozsypanych po podłogach czuć w nim było i zapach jałowcu, którym kadzono, ze smółką.

Do wielkiej komnaty bocznymi drzwiami naprzeciw Janusza wyszła z oczyma czerwonymi pokłonić się stara Błachowa. Schyliła mu się do kolan. Uderzył ją z lekka po ramionach.

— Semka tylko co nie widać — rzekł — przybyłem i ja, aby było komu przyjąć go u progu błogosławieństwem.

Popatrzał na podnoszącą się staruchę.

— A córka? — zapytał.

Błachowa się rozplakała i fartuchem zakryła oczy. Janusz nie badał już więcej.

Wieczór nadchodził i jakby na ten dzień zmówili się goście, usłyszano konie w podwórku, a po krótkiej chwili wszedł Bartosz z Odolanowa.

Lata przebyte w boju i tę męską a rycerską postać uczyniły pokorniejszą, mniej butną, a zdawały się okrywać, żałobą. Nie szedł już tak śmiało, jak dawniej, z głośnym słowem i kipiącym do walki męstwem. Znać było zwyciężonego, choć i teraz czoło niósł górą pomarszczone i oczu się nie wstydził pokazać. Walczył aż do ostatka, aż mu towarzyszków do boju i przeciwników nie stało. Obrany ze wszystkiego, postradawszy grody, mienie, zapasy, przetrwał wszystko nie skarżąc się, wierny Semkowi, który się w końcu odwrócił od natrętnego wichrzyciela i jemu wszystkie swe przypisywał klęski. Bartosz przybywał teraz szczęścia mu wieszować, którego nie miał, do starego gniazda ocalałego, gdy on swoje utracił.

Książę Janusz zmarszczył się, ujrawszy go pomyślał chwilę i pozdrowił stojącego u drzwi.

— Znowuśmy tu razem — rzekł do niego — ale stanęło na moim, nie na waszym. Przeciw doli rozum nic i męstwo nic; co napisano, spełnić się musi.

Westchnął stary.

— Tak, Bartoszu, — dodał, — czasy panowania naszego przeszły, więc nie opierając się woli Bożej, w kąt musimy, dogorywać w ciszy. Kto inny nas zastąpi. Kto inny.

Bartosz zbliżył się nieco.

— Miłość Wasza nie odbierzesz mi tej czci, żem ja wam krwi i potu nie żałował. Prawda, — mówił, — ciągnąłem was, woli Bożej nie znając, alem też i sam szedł a walczyłem do zdechu. I straciłem Odolanów i Koźmin, i com miał, a nie wypominam wam tego, bom nie dla was, ale dla Piastów i dla Wielkopolski naszej bił się. Ano z Piasty i Wielkopolska padła. Poznań królów nie będzie mieć ani Gniezno korony.

Westchnął.

— Ale przyjdzie czas, — dodał proroczo, — że jak Kraków wydarł nam berło, tak jemu wydrą panowanie i koronę inni, i będzie pustką a trumną tylko!

Z bólem dokończył Bartosz i stanął naprzeciw Janusza, który słuchał go zimno, z tą rezygnacją dawno już w spuściznie po ojcu wziętą, która go nigdy nie opuszczała.

Stary książę, wysłuchawszy, rzekł, jakby chciał myśl jego w inną skierować stronę:

— Semkowi się poszczęściło jeszcze! Król—brat da mu część Kujaw, może więcej, a co lepiej, dał mu siostrę, którą kocha, za nią wianem dostanie braterską miłość Jagiełły!

— I dziewczka, słyszę, piękna — dodał Bartosz.

— Królowna każda piękna — odparł nieco szydersko Janusz.

Nie czekano już dnia tego Semka i starszy, rozporządzając się jak w domu, wieczerzę podawać kazał.

Henryk stał dotąd nadąsany na uboczu. Janusz przystąpił do niego, popatrzył długo.

— Nie spieszy ci się, widzę, suknię wziąć — zamruczał.

— Wolałbym żonkę, — zuchwale odparł Henryk.

— Nie co wola, ale co mus, człowiek robi, — surowo rzekł Janusz. — Książęciu dla żony trzeba działu i ziemi, a tych nie masz.

— Boście wy mi je wzięli — odparł Henryk dumnie.

— Nie myśmy zabrali, ale ojciec ci ich nie dał, a ojcowska wola święta — odezwał się Janusz i odwrócił od niego, umyślnie przerywając rozmowę.

Na twarz Henryka wystąpiły płomienie i szepnął półgłosem:

— Wszystkiemu temu nie koniec, jeszcze zobaczymy!

Lecz starszy brat słuchać go już nie chciał. Podawano wieczerzę i Janusz, nie zapraszając nawet młodszego, zasiadł do niej, swojej starszyźnie wskazawszy miejsce w końcu stoła. Henryk sam zajął siedzenie przy bracie, rozparł się i z jednej misy z nim czerpać zaczął nie mówiąc nic.

Z drugiej strony opodal nieco siadł Bartosz z Odolanowa, z braćmi dwoma, których przywiódł z sobą. Oni teraz los jego dzielili, wygnani z Wielkopolski i skazani⁷⁶ razem z Pietraszem z Małochowa na wygnanie i wydziedziczenie. Łacno było zgadnąć, że przychodzili przypomnieć się Semkowi, dla którego wszystko utracili.

Wieczera przeszła milcząco i ledwie słowem jakim przez starszego księcia przerywana.

Miała się już ku końcowi, a na niebie noc była gwiazdzista i zamek stał od dawna zaparty, z bramą spuszczoną, gdy z dala posłyszano trąbkę, a Henryk i domownicy poznali głos rogu Semka, który się w ten sposób zawsze oznajmywał.

Wszyscy podnieśli głowy zdziwieni, gdyż książę z żoną młodą przybywający powinien się być zapowiedzieć zawczasu. Henryk i Bartosz zerwali się od stołu, biegnąc ku drzwiom. W podwórcach

też wrotny ludzi powoływał, gdyż bronę podnieść, a most spuścić było potrzeba.

Gdy Bartosz podbiegł ku bramie, ujrzał za nią trzech konnych na otwarcie oczekujących, a w chwilę potem na zziąjanym koniu, głośno wołając na ludzi, wpadł na podwórzec Semko. Zmęczony był i jakby rozogniony pospieszną podróżą. Skoczył z konia, spojrzawszy na Bartosza.

— Chciałem sam wyprzedzić moją Olgę i jej dwór, aby zobaczyć, czy na zamku wszystko jak należy przygotowano.

Nim Bartosz czas miał mu o bracie oznajmić, Semko już był w izbie wielkiej; spostrzegł Janusza i radośnie rzucił się go witać. Przybywał z taką wesołością i ochoczą myślą, iż odmłodził się wydawał.

— Widzicie, — wołał, — żonkłem chciał wyprzedzić, abym ją we wrotach sam z konia zdjął i wprowadził do jej domu. Umyślniem konia i siebie zmógł, by jej tu na niczym nie zbyło, gdy raz pierwszy nogą próg przestąpi.

Janusz patrzył na tę żywość młodzieńczą i głową mu dawał znaki, że dobrze uczynił.

Henryk z wyrazem zazdrości, ani go powitawszy, cofnął się i szydersko usta wykrzywił, stojąc z dala. Tymczasem Semko, kołpak rzuciwszy, brata głową pozdrowił, a sam wbiegł do sypialni.

Drogę mu zachodziła też Błachowa biedna, trzymając na rękach na poły omdlałą, z rozpuszczonymi na ramionach włosami, z bladymi usty Ulinę. Na widok Semka ta na pół umarła podniosła się, dwie ręce wychudłe zarzuciła mu na szyję, zbliżyła usta do jego twarzy, lekki okrzyk się dał słyszeć i całym ciężarem martwego ciała spadła na ręce matki. Zaledwie czas miał podtrzymać już krzepnącą Semko.

Ulinka nie żyła.

Dochowała tylko dech ostatni, aby go w pocałunku umiłowanego oddać brata.

Na chwilę stanął książę zdrętwiały, patrząc na dziewczę i sądząc, że osłabiona omdlała, ale Błachowa czuła macierzyńskim sercem, że dla biednego jej dziecięcia wszystko było skończone. Ona sama niosła je ostatkiem siły na te łoża, z którego się tylko co porwała na spotkanie Semka.

Książę szedł za nią niemy. Przybywał z piersią szczęścia pełną, a śmierć spotykała go w progu.

W wielkiej izbie Janusz siedzący za stołem słyszał pewnie okrzyk, a Henryk uśmiechnął się, gdy go głos ten doszedł, nikt jednak nie ruszył się z ław i dopiero po chwili wezwany kanclerz wysunął się do księcia.

Oczekiwano przy wieczornym stole na przybyłego gospodarza długo na próżno, a gdy potem wyszedł jakby zmuszony do brata, blady, pomieszany, nieprzytomny i jedzenia tknąć nie chciał, a na pytania odpowiadać nie umiał, o przyczynę zmiany tej nikt badać go nie śmiał.

Henryk wymknął się z jadalni. Po jednym wysliznęli się goście wszyscy, wyszedł z braćmi

Bartosza, Janusza i Semko zostali sami.

Starszy zdawał się zgadywać, co się stało, nie pytał; młodszemu brakło odwagi, aby się poskarżył. Milczący trwali tak u pustego stołu, przy dogorywających kagankach.

Słychać już było kury piejące z dala, gdy Semko rzekł głosem złamanym:

— Idź, spocznij, jam w nieszczęśliwą z moim szczęściem przybył godzinę. Śmierć mam w domu!

— Patrz, by o niej żona nie wiedziała! — odparł Janusz. — Litwinki zabobonne są, a choć trumna źle nie wróży, mówią ludzie, smutek jej zatruje pierwszy dzień, zostanie wspomnieniem na życie...

Janusz wstał i wyszedł.

Zawahawszy się nieco Semko nazad powrócił do sypialni, drzwi od niej ku izbom Błachowej stały otworem. Cichy śpiew z płaczem, żałobny, pieśń jakąś starą mogilną słychać było w głębi. Nie zatrzymując się szedł książkę dalej, aż do izdebki, w której na łóżeczku swym zmarła leżała.

Kilka starych bab otaczało je, ale Błachowa żadnej z nich dotknąć nie dawała dziecięcia. Sama ona w białe rąbki i najpiękniejsze ustroiła ją odzież, sama splotła jej dziewiczy wianek mogilny. Stała teraz przy niej z rękami załamany, płacząc i podśpiewując nieprzytomna. Baby łzy ocierały. W głowach dwa płonęły kaganki i migocącym światłem rzucały na twarz marmurową, błogim jakimś snem ujętą. Usta jej jeszcze pocałunkiem śmiały się ostatnim.

Gdy Semko wszedł, drugimi drzwiami ludzie prostą, sosnową, z kilku desek zbitą wnosili „domowinę”. Za nią szedł w komży i stulę ksiądz kanclerz, z krzyżykiem w ręku, i dwu chłopaków ze światłem, którego płomień wiatr chylił.

Na widok trumny Błachowa oczy zakryła. Postawiono ją wśród izby, baby wyściełać zaczęły z pośpiechem. Gdy przyszło nieść ciało i układać w tym łóżeczku śmierci, Błachowa silną ręką odepchnęła wszystkich, chwyciła ciało córki i główkę przytuliwszy do piersi, powlokła je do trumny. Złożyła w niej Ulinę, przycisnęła usta do jej twarzy i jęczała. Czekali wszyscy szanując boleść, lecz Błachowa była jakby przykutą do zwłok dziecka. Kanclerz schylił się do jej ucha i z lekka ujął za rękę. Podniosła się posłuszna, lecz ujrawszy ludzi niosących wieko, które przybijać mieli, rzuciła się znowu do ciała.

Stare towarzyski jej resztki wonnego ziela i kwiatów sypały na zwłoki. W okienku otwartym brzask pierwszy dnia widać było. Nie zakrytą trumienkę musieli wziąć z wolna na barki ludzie i ponieśli. Błachowa szła nie za nią, ale z nią razem, ręką spierając się na krawędzi, jakby się lękała, aby jej zwłok nie odebrano.

W milczeniu orszak żałobny przeciągnął podwórze, minął kościół i wprost na cmentarz posuwał się wśród ciszy nocnej, którą pierwsze szczebiotanie ptactwa przerywało tylko.

Semko pozostał sam wśród izby pustej, powiódł po niej wzrokiem. Przewrócona kądziel leżała przy łóżku Ulinki, wrzeczono potoczyło się pod nie, chusteczka biała rzucona na ławę zwieszona była na niej. Na poduszce głowa zmarłej wycisnęła jakby pieczęć śmierci.

Z zaciętymi usty powrócił księżę do sypialni.

O spoczynku nie miał myśleć czasu. Z dnia pierwszym promykiem musiał spieszyć naprzeciw żony. Konia dlań siodłano. Czerwieniało na wschodzie, gdy siadł i okiem rzuciwszy po podwórku, popędził ku bramie. Na drodze do niej leżały kwiaty pogniecione, które z trumny Ulinki wypadły.

Nie było jeszcze południa, słońce letnie żarem paliło, gdy dzwony kościołów odzywać się zaczęły. W ulicach stało pełno ludu, na podwórku czekało duchowieństwo u drzwi kościelnych, w progu dworu stary Janusz, urzędnicy, czeladzie, dwór, z boku, na złość braciom księżę Henryk we zbroi i przy mieczu, w hełmie na skroni, w boki się trzymając. Wiedział on dobrze, iż przykrości im większej wyrządzić nie potrafi, jak na ten dzień strojąc się rycersko i wypierając sukni duchownej. Śmiał się złośliwie, z ukosa patrząc na Janusza, który widzieć go nie chciał.

Orszak państwa młodych otaczający z wolna się posuwał przy odgłosie trąb, piszczałek i dosyć dziko brzmiącej muzyki.

Semko jechał we zbroi i hełmie z piórami, blady i poważny, a obok niego Olga jak łania, dzielnie na koniu siedząca, dumnie wokoło wodziła wesołymi niebieskimi oczyma. Wszystko się w niej śmiało i radowało, wejrzenie, usta, postać cała, fałdy sukni szkarłatnej ze złotem i czapka z piórkiem na główce rzucona od niechcienia, spod której włosy w puklach dobywały się jasne. Czują się tu panią i królową, a ile razy wzrok jej padł na młodego męża, otwierały się wargi różowe i ząbki perłowe białeły. Zdała się mówić: „Raduj się, ciesz się!... Wiozę szczęście w mojej dłoni”!

Z taką dziewczęcą śmiałością, z butą księżęcą, pierwsza wjechała w podwórce. Stanęli u kościoła.

Semko, skoczywszy z konia, zсадził ją i podawszy rękę, wiódł do błogosławieństwa.

Z chlebem i solą, ruskim obyczajem, stał Janusz w progu. Olga szła ku niemu nie strwożona, śmiejąc się, i gdy się jej pokłonił, rzuciła się staremu na szyję z pocałunkiem serdecznym. Młoda pani przestąpiła próg bez trwogi, a zwróciwszy do męża, objęła go zarumieniona.

Henryk patrzył z dala, ale się nie zbliżył do niej i ona zdawała się o nim zapominać.

Na młodych państwa zastawione już czekały stoły, a przy nich dwa miejsca osobne na podwyższeniu i obok dwa dla braci. Kanclerz je modlitwą błogosławił.

Piękna Olga tymczasem rzucała oczyma, przypatrując się miejscu i ludziom tak śmiało, tak siebie pewna, jakby już panowanie nad dworem i mężem objęła. Bartoszowi z Odolanowa dość było popatrzeć na nią, aby sobie powiedzieć w duchu toż, co Janusz pomyślał: — „Księżciem ona tu będzie, nie księżną”...

Zaledwie kapłan dokończył modlitwę, gdy wesoły jej głos zabrzmiał w sali.

— Mnie tu dziś nie gospodarzyć jeszcze, — odezwała się, — ale jutro ja wam stół zastawię i przyjmować będę!

Mówiła z ruska łamiąc się, aby mowę swą do polskiej uczynić podobną, i śmiała się sama ze swych omyłek.

Semko wskazał jej w tej chwili przybliżającego się do stołu Henryka. Spojrzała nań zdziwiona.

— Czyż tak u was księża się noszą? — zapytała ciekawa.

— Ja też księdzem być nie chcę, choć mnie do tego zmuszają, — rzekł, siadając, Henryk.

Janusz spojrział nań ostro, Semko coś szepnął jej na ucho; zaśmiała się i popatrzyła na Henryka.

— Ładne chłopię! — rzekła cicho. — Szkoda go w księżą odziać sutannę; taki młody...

Henryk śmiałymi oczyma piękną mierzył bratową.

— Znajdźcie mi taką drugą jak wy, — rzekł do niej, a wnet się zenię!

Olga odparła mu skinieniem głowy; obaj bracia groźno i namarszczeni patrzyli. Henryk uradował się, zdawało mu się, że znalazł sprzymierzeńca.

Tymczasem wnoszono misy, a piękna księżna ochoczo się do nich brała, niekiedy tylko wyrażając podziwienie, gdy potrawa dla niej była nową. Naówczas ostrożnie do ust ją niosła. Próbowwała, patrząc na męża, i złą czy dobrą się jej wydała, wybuchała śmiechem dziecinnym.

Cały dwór tę chichotkę pożerał oczyma. Śmiałość jej, obejście się nieco dziecinne a pełne wdzięku, wszystkich za serca chwytaly. Czuć w niej było dziecię pieszczone, otwarte, ku życiu wesoło wyciągające ramiona, ale razem i przyszłą panią, która temu, co ją spotkać mogło w życiu, śmiało czoło stawić była gotowa. Semko siedział milczący. Janusz słuchał, Olga coraz to wybuchała śmiechem i słowem, a Henryk ośmielony jej wtórował. Nie w smak to było bratu, o czym nie mogła wiedzieć żona, a Henryk właśnie, iż o tym był przekonany, wyciągał ją na słowa i drażnił zapytaniami. Ona też o wiele rzeczy i obyczajów zapytywała odważnie, mówiąc, jak to inaczej było na Litwie.

A wspominając Litwę swą wzdychała. Tam już by się biesiada taka bez pieśni nie obeszła, bo pieśnią zaczynało i kończyło się wszystko. Tu jeden lutnista nieosobliwy, podstarzały, miał zawodzić, a i temu coraz głośniejsze rozmowy i okrzyki dać się słyszeć nie dozwalały. W miarę jak kubki spełniano, zapał dla młodej księżny rósł coraz. Semko też pił, aby gorycz z serca i czarne przepędzić myśli, ale napój gniew tylko jakiś w nim obudzał.

Przeciągnęło się biesiadowanie długo... i dopiero gdy wieczór zapadał, Semko się z żoną wysunął od stołu, dając znak biesiadnikom, aby pozostali w miejscu. Księżnie młodej pilno było dworce swoje opatrzyć, poznać to państwo, nad którym królować miała i objąć nad nim rządy. Chciała wszędzie być, oglądać wszystko aż do stajen i psiarni.

Nad mężem już w podróży zapanowała wszechwładnie, a kierowała nim, jak chciała; rażno mu było jej słuchać, wiódł ją więc posłuszny teraz po zamku komnatach, podwórcach i wałach, myśląc tylko, jak widoku tej izdebki jej oszczędzić, w której stara Błachowa płakała.

Gdy w mrokach zapadającego wieczora piękny widok z murów odsłonił się na lśniąca srebrem Wisłę, klasnęła w ręce uradowana, wołając:

— Wilija!

I Semkowi ręce zarzuciła na szyję, pierwszy raz posmutniawszy nagle. Rzeka jej domową przypomniła i prześpiewane u boku matki lata. Lecz wnet łzy otarła i nucić coś zaczęła.

Mąż ciągle szedł przy niej smutny, on inne widmo widział snujące się po wałach.

Zbliżali się ku zamkowi, gdy jak ocucona poczęła szczebiotać:

— Nie sęć już czoła! Widzisz, i ja po moich nie płaczę, bo tu teraz wszystko moje. Mnie wróżka dawno wróżyła złote gniazdko wesole i ciepłe, a gdym ciebie, pana mego, pierwszy raz przez okno zobaczyła, wiedziałam, żeśmy sobie przeznaczeni. Ty tu przebyłeś może wiele, ale teraz wszystko skończone, Jagiełło nas osłoni od burzy, a ja smutek zażegnam.

Z tymi słowami nie on ją, ale ona jego wprowadziła nazad do komnat, które sobie pokazać kazała, gdzie na nią jej litewskie dziewczęta czekały.

Przemówiła do nich wesoło i odpowiedziały jej radosnymi głosami; dała znak, zaśpiewały pieśń rzewną, niezrozumiałą, dziwną, której Olga z rozkoszą słuchała, z wolna rozpuszczając złote włosy i odpinając sprzązki, które książęce jej stroje trzymały.

Nazajutrz Semko spał jeszcze, gdy Olga biegała już po zamku, ze wszystkimi robiąc znajomości, psy za sobą prowadząc do komnat, rozkazując, śmiejąc się, trzpiotając jak dziecko.

Stoły były przy niej nakryte, gdy Semkowi znać dano.

Żonę znalazł na rozmowie poważnej z Bartoszem z Odolanowa. Zwróciła się ku wchodzącemu z twarzą pogodną.

— Słuchaj, — rzekła, wskazując na Bartosza i braci, — oni ci wiernie służyli rycersko, a są wygnańcy. W Mazowszu nie braknie ziemi, niech ja pocznę od tego, bym dla nich uprosiła nadanie, aby o straconym zapomnieli. Niech koło nas będzie wesoło!

Semko skinął z przyzwoleniem na to, czego sam pragnął. Jemu i księżnie kłaniali się wszyscy.

— A teraz niech ksiądz misy pobłogosławi, Ze szczęścia głodna jestem! — I śmiejąc się rzuciła na siedzenie.

Janusz stał na uboczu i myślał: „Sam Pan Bóg mu ją chyba wybierał, takiej właśnie potrzeba było”!

¹ Wiszar — roślina pnąca, nadwodna, sitowie.

² Tum (ze śr.g.niem.) — kościół katedralny.

³ Tobołka (st.pol.) — torba podróżna.

⁴ Trzymała — w pierwodruku błędnie: trzymały.

⁵ Tyn (ze st.niem.) — warowne ogrodzenie z żerdzi i łąt.

⁶ Namitka (gwar.) — ubiór głowy mężatek, chusta.

⁷ Kosy — tu w dawnym znaczeniu: warkocze.

⁸ Janusz Czerski — Janusz I zwany Starszym, książę czerski i warszawski (1340–1429), syn Ziemowita III i Eufemii, księżniczki opawskiej; przeniósł stolicę z Czerska do Warszawy, gdzie zbudował warowny zamek (najstarszą część późniejszego Zamku Królewskiego) oraz założył kolegiatę Świętego Jana, dzisiejszą Katedrę; twórca tzw. statutu mazowieckiego.

⁹ Semko — zwany też: Siemko, Siemaszkó, Siemiaszko, Ziemko — to Ziemowit IV (ok. 1357–1426), syn Ziemowita III i Eufemii, brat Janusza Czerskiego (por. przypis 8)! Jego dzieje do czasów małżeństwa z Aleksandrą, siostrą Jagiełły, opisuje Kraszewski w tej powieści. W latach późniejszych stosunki księcia z Jagiełłą nie układały się dobrze.

¹⁰ Mistrz — mowa o wielkim mistrzu krzyżackim, głowie zakonu krzyżackiego.

¹¹ Zygmunt Luksemburczyk — syn cesarza Karola IV i Elżbiety, księżniczki słuńskiej (1368–1437); po śmierci ojca (1378) otrzymał margrabstwo brandenburskie, w r. 1387 został królem węgierskim, ożeniony z Marią, córką Ludwika Węgierskiego; od r. 1411 cesarz niemiecki, od r. 1419 — król czeski. Był zaciekłym wrogiem Polski.

¹² Kul słomy (gwar.) — tu: pęk słomy; oznacza wiązkę słomy składającą się z kilku wymłóconych snopków (co najmniej 5), razem związanych.

¹³ Stary Ziemowit — Ziemowit III, syn Trojdena (1326–1381), książę czerski i warszawski, od 1351 władca całego Mazowsza wraz z Płockiem, którym nadał statut zwany sochaczewskim.

¹⁴ Skryptor (z łac.) — pisarz.

¹⁵ *Ave frater* (łac.) — Witaj, bracie!

¹⁶ Prebenda (śr. łac. *praebenda*) — dochody w kościele katolickim otrzymywane przez duchowieństwo jako wynagrodzenie.

¹⁷ Panosza (st.pol.) — tu: drobny szlachetka, patrzący z góry na rzekomo niższych od siebie ludzi.

¹⁸ Bartosz z Odolanowa — właściwie Bartosz z Wissemburga a. Wezenborga herbu Tur, syn Peregryna z Chotela; możny ród panów z Wezenborga (może z Wissenberga koło Budziszyna) był pochodzenia serbołużyckiego, z Łużyc przeniósł się najpierw na Śląsk, a następnie do Wielkopolski. Bartosz od Ludwika Węgierskiego otrzymał starostwo kujawskie, które w końcu stracił, a co prawdopodobnie spowodowało przyłączenie się urażonego Bartosza do obozu Nałęczów w walce z Grzymalitami i do akcji na rzecz Sernka. Umarł jako wojewoda poznański. Znany był jako warchoł, chociaż w powieści Kraszewskiego podkreślone zostały głównie jego cechy rycerskie.

¹⁹ Odolanów — gród i siedziba starosty królewskiego, położona nad jeziorem Zborowiec i rzeką Barycz na pld. zach. od Ostrowa Wielkopolskiego.

²⁰ Koźmin — jedna z najstarszych osad Wielkopolski i gród nad rzeką Orlą; siedziba rodu, z którego pochodził Macko Borkowic, stracony z rozkazu Kazimierza Wielkiego. Bartosz miał być krewnym Maćka Borkowica.

²¹ Teutoński (z łac.) — niemiecki lub krzyżacki. Nazwa pochodzi od Teutonów, barbarzyńskiego plemienia germańskiego.

²² Nieunoszony (st. pol.) — gwałtowny porywczy, nieposkromiony.

²³ Biały książę — Władysław Biały, syn Kazimierza, księcia gniewkowskiego; po śmierci ojca sprzedał księstwo Kazimierzowi Wielkiemu za 1000 czerwonych złotych, sam zaś wstąpił do zakonu benedyktynów w Dijon we Francji. Do Polski wrócił po śmierci Kazimierza Wielkiego, odebrał swoje dawne księstwo i rozpoczął walkę o tron polski z Ludwikiem Węgierskim. W r. 1376 zmuszony został do opuszczenia kraju, zdołał jednak za swoje księstwo otrzymać 1000 dukatów. W drodze do Dijon zmarł w Strasburgu w r. 1388.

²⁴ *Amanuensis* (łac.) — pomocnik, pisarz podręczny.

²⁵ Czersk — jedna z najdawniejszych osad na Mazowszu, położona u ujścia Czarnej do Wisły, z grodem; stolica udzielnych książąt. Gród podupadł po przeniesieniu stolicy księstwa do Warszawy.

²⁶ Kupia (st. pol.) — towar.

²⁷ Imbier (z niem.) — imbir, wieloletnia podzwrotnikowa roślina zielona, której korzeń używany jest jako przyprawa i wchodzi w skład wielu lekarstw.

²⁸ *Muskaty* (łac.) — właściwie: muszkaty — owoce (orzechy) drzewa muszkatołowego, rosnące w krajach tropikalnych, używane jako przyprawa kuchenna oraz w przemyśle cukierniczym, także w lecznictwie.

²⁹ Ziarna rajskie — owoce rośliny z rodzaju amonka, używane jako przyprawa i środek leczniczy.

³⁰ Tulich (z niem.) — krótki mieczyk, sztylet.

³¹ Abrara Socha — Abraham Socha z Kurowa, wspomniany przez Jana Długosza w jego *Kronice*; wojewoda płocki; dowodził zwycięską wyprawą Semka na Kujawy, za co otrzymał od księcia starostwo kruszwickie.

³² Prze zdrowie (st. pol.) — na zdrowie!

³² Lois — właściwie: Louis — Ludwik I Wielki, król polski i węgierski (1326–1382), syn Karola Roberta Andegaweńskiego i Elżbiety Łokietkówny, siostry Kazimierza Wielkiego; w r. 1370 objął tron w Polsce. Po koronacji (17 XI 1370) powierzył rządy w Polsce matce, Elżbiecie Łokietkównie. Rządy jego popierane były przez panów małopolskich, zdecydowanie niechętni byli mu panowie wielkopolscy.

³⁴ Tyrnawa (węg. *Nagyszombath*) — starożytne miasto węgierskie leżące nad rzeką tej samej nazwy (obecnie w Słowacji).

³⁵ Została nam królowa z dwiema córeczkami — mowa o Elżbiecie Bośniaczce i jej córkach, Marii i Jadwidze; trzecia córka, Katarzyna, zmarła w 1378 r.

³⁶ Maria — córka Ludwika Węgierskiego i Elżbiety Bośniaczki (1379–1395); początkowo miała przyjąć koronę polską, ale objęła tron węgierski.

³⁷ Jadwiga — starsza córka Ludwika Węgierskiego i Elżbiety Bośniaczki (1374–1399), objęła tron polski w r. 1384.

³⁸ Rakuski — austriacki (od dawnego grodu nadgranicznego *Rakous*).

³⁹ Wilhelm — książę austriacki, syn Leopolda III Habsburga i Wirydy Visconti (1370–1406); po niedoszłym do skutku małżeństwie z Jadwigą poślubił w r. 1389 Joannę, księżniczkę neapolitańską.

⁴⁰ Dekretalia (ze śr. łac.) — zbiór praw kościelnych (ustaw kanonicznych).

⁴¹ Kumański — nazwa pochodzi od ludu turkomańskiego, zwanego Kumanami lub Połowcami, który w XI wieku zajął stepy czarnomorskie aż do Karpat Siedmiogrodzkich; w XIII wieku uległ częściowej madziaryzacji.

⁴² Domarat z Pierzchną — kasztelan poznański i starosta wielkopolski, jeden z pięciu namiestników Ludwika Węgierskiego w czasie jego nieobecności w Polsce. Był przywódcą Grzymalitów w wojnie domowej z Nałęczami. Początkowo stronnik Zygmunta Luksemburskiego, potem stał się zwolennikiem Jadwigi, ale starostwo stracił.

⁴³ Diabeł Krwawy albo Wenecki — Kraszewski, opierając się na Długoszu, popełnia tu omyłkę, utożsamiając z nim Jana z Wieńca Płomieńczyka, sędziego poznańskiego. Diabłem Krwawym lub Weneckim nazywano wówczas Mikołaja z Czarnkowa, sędziego kaliskiego (1383–1401), dziedzica wsi Wenecja między Żninem a Gąsawą.

⁴⁴ Po śmierci Kazimierzowej — tzn. w r. 1370.

⁴⁵ Bolesławowa Korona — korona Bolesława Chrobrego, która zaginęła w końcu XIII wieku, a więc w czasach, o których mowa w powieści, już nie istniała. Nową koronę wykonano na zlecenie Władysława Łokietka i ta służyła królom polskim do czasów Stanisława Augusta Poniatowskiego łącznie.

⁴⁶ Szczerbiec — miecz koronacyjny królów polskich. Podanie głosi, iż wyszczerbiony został przez Bolesława Chrobrego przy uderzeniu nim w Złotą Bramę w Kijowie podczas wjazdu do tego miasta.

⁴⁷ Buda — stolica ówczesnych Węgier, położona na prawym brzegu Dunaju; połączona z Pesztem, leżącym na lewym brzegu tej rzeki, tworzy obecną stolicę — Budapeszt.

⁴⁸ Polanie — plemię, słowiańskie osiadłe w VIII–X wieku nad Wartą, czynne w procesie tworzenia państwa polskiego, które odziedziczyło po nim nazwę. Tu chodzi o Wielkopolan w przeciwstawieniu do Krakowian.

⁴⁹ Wicek z Kępy — Wincenty z Kępy (Kempny), herbu Doliwa, wojewoda poznański, wymieniony przez Długosza pod r. 1383. Był przywódcą trzeciego obok Nałęczów i Grzymalitów stronnictwa wielkopolskiego, wrogo nastawionego do Domarata i jego zwolenników.

⁵⁰ Sędziwój Świdwa z Szamotuł, herbu Nałęcz — kasztelan nakielski (1381–1390), wymieniony w *Kronice* Janka z Czarnkowa.

⁵¹ ...bramę miejską przenieśli — herb Grzymalitów — Grzymała wyobrażał mur z trzema basztami i otwartą bramą.

⁵² Nasza chusta krwawa — herb Nałęczów wyobrażał białą chustę z czerwonymi plamkami, związaną, tworzącą coś w rodzaju koła, z końcami opuszczonymi w dół. Kraszewski niezgodnie z prawdą historyczną przypisuje ten herb Bartoszowi, bowiem ten — należąc do rodu Wezenborgów (por. przypis 18) miał w herbie tura o rozłożystych rogach.

⁵³ Nalewka — tutaj: naczynie do polewania wodą przy myciu rąk.

⁵⁴ Kożuchowa — wiejska, albo raczej drobnoszlachecka.

⁵⁵ Koronę Łokietkową — koronę królewską (por. przypis 45). Władysław Łokietek (ok. 1260–1333), książę łęczycki i kujawski (od 1267), sieradzki (od 1288), wielkopolsko–pomorski (1296–1300 i od 1305) krakowski, pomorski i kujawski (od 1306), wielkopolski (od 1314), a w końcu od r. 1320 król Polski.

⁵⁶ Konrad Oleśnicki — mowa o Konradzie II (1338–1403), księciu oleśnickim i kozielskim, jednym z najpotężniejszych książąt na środkowym Śląsku.

⁵⁷ Grzywna — tu: rodzaj jednostki monetarnej, nie bitej, lecz obliczanej na wagę; pierwotnie

grzywna u Słowian oznaczała 40–60 skórek futrzanych (wiewiórczych lub kunich) nanizanych szeregowo na sznurek.

⁵⁸ Jagiełło — Władysław Jagiełło, syn Olgierda i Julianny, ks. twerskiej (ok. 1351–1434), wielki książę litewski od 1377 r.; jako król Polski dał początek dynastii Jagiellonów, panującej w Polsce w latach 1386–1572.

⁵⁹ Witold — Witold Aleksander, syn Kiejstuta i Biruty (ok. 1350–1430). Wzięty wraz z ojcem do niewoli przez Jagiełłę, wydostał się z niej, chroniąc się u Janusza, brata Semka, „po czym przebywał u Krzyżaków, z którymi sprzymierzył się przeciw Jagiełłę. W 1384 r. pogodził się z Jagiełłą, by znów współdziałać z Krzyżakami, z którymi zerwał ostatecznie w 1392 r. Z rąk Jagiełły otrzymał godność wielkiego księcia litewskiego.

⁶⁰ Bodzanta arcybiskup — (1320–1388) w czasach Kazimierza Wielkiego był wielkorządcą ziemi krakowskiej; w r. 1382 został arcybiskupem gnieźnieńskim.

⁶¹ Elżbieta — Elżbieta Bośniaczka, córka Stefana, króla Bośni i Elżbiety, księżniczki gniewkowskiej, żona Ludwika Węgierskiego, matka „dwóch kolejnych pretendentek do korony polskiej: Marii i Jadwigi (por. przypis 35). Zamordowana w roku 1387 przez bana Kroacji, Iwona Horwata.

⁶² Władysław Opolczyk — syn Bolesława II, księcia opolskiego, związany z dynastią andegaweńską; od 1367 palatyn Węgier; w 1342 otrzymał w zarząd Ruś Czerwoną. Po opuszczeniu Polski przez królowę Elżbietę został namiestnikiem Ludwika Węgierskiego w Polsce (1377), a następnie i na Rusi Czerwonej (1378). Obawiając się utraty tych godności, zachowywał się wrogo wobec Polaków, zmawiając się z Krzyżakami o podział Polski.

⁶³ Oczy i twarz potakiwały — w pierwodruku błędnie: potakiwała.

⁶⁴ Po śmierci pierwszej księżnej, po tragicznym zgonie drugiej — po śmierci Eufemii, księżniczki opawskiej, Ziemowit III ożenił się z Elżbietą (Ludmiłą), księżniczką ziembicką; niesłusznie oskarżona o stosunki miłosne z niejakim Dobkiem, została z rozkazu męża uduszona, zaś Dobka rozszarpano końmi i powieszono.

⁶⁵ Dziewosłab (st. pol.) — zwany także swatem, wysłannik, który w imieniu starającego się proponuje rodzicom małżeństwo z ich córką; dziewosłębami mogli być tylko ludzie doświadczeni, starsi, żonaci.

⁶⁶ Rutkę siać — ironicznie: nie wychodzić za mąż, być nadal starą panną.

⁶⁷ Przemko — Przemysław II (1257–1295), syn księcia wielkopolskiego Przemysława I, jeden z najpotężniejszych książąt piastowskich w r. 1295 koronowany na króla Polski. Rok później został zamordowany z namowy margrabiów brandenburskich przez rody Nałęczów i Zarębów.

⁶⁸ Leszek — Leszek Biały (1186–1227), syn Kazimierza II Sprawiedliwego i Heleny, księżniczki

kijowskiej, książę sandomierski i krakowski. Popierając Władysława Laskowskiego w jego sporach z Władysławem Odonicem, wziął udział w zjeździe w Gąsawie, w trakcie którego — w wyniku zdradliwej napaści Świętopelka pomorskiego — został zamordowany.

⁶⁹ Biret (łac. średn.) — lekkie, okrągłe lub kanciaste nakrycie głowy, bez daszka; obecnie używane głównie przez duchownych.

⁷⁰ Henryk — syn Ziemowita III i Elżbiety, księżniczki ziembickiej (por. przypis 64), przyrodni brat Janusza i Semka; w 20 roku życia został biskupem płockim, co nie przeszkodziło mu, by ożenić się z Ryngałą, siostrą Witolda, która go podobno otruiła w r. 1392.

⁷¹ Wierzbęta — Wierzbęta ze Smogulca, Grzymalita, podkomorzy poznański. Kraszewski słusznie ukazuje tu obawy Bartosza, bowiem Wierzbęta pobił go w bitwie pod Szamotułami w dzień po zwycięstwie Bartosza nad Grzymalitami; Bartosz uszedł zaledwie z życiem.

⁷² Grzymała z Oleśnicy — kasztelan kostrzyński, którego Długosz wymienia pod r. 1383; przywódca Grzymalitów.

⁷³ Świątnik (st. pol.), — zakrystianin, sługa lub dziad kościelny.

⁷⁴ Widział — w pierwodruku błędnie: wiedział.

⁷⁵ Skojec — dawna moneta polska mająca wartość 2 groszy srebrnych; podobno bita za Kazimierza Wielkiego.

⁷⁶ Na Świętą Katarzynę — 25 listopada.

⁷⁷ Wiślica — Wiślica nad Nidą, wczesnośredniowieczny ośrodek grodowo–miejski; w XI i na pocz. XII wieku była jedną z ważniejszych rezydencji piastowskich; wcześniej stanowiła ośrodek państwa Wiślan; przed r. 1326 otrzymała prawa miejskie, znacznie rozbudowana przez Kazimierza Wielkiego.

⁷⁸ Kazimierzowe ustawy — zapewne chodzi tu o statut wiślicki; zbiór prawa zwyczajowego spisany z rozkazu Kazimierza Wielkiego i ogłoszony uroczyście w Wiślicy w r. 1347 (por. przypis 77).

⁷⁹ Miłościwe lato — to samo co rok jubileuszowy; ustanowione przez papieża Bonifacego VIII (r. 1300) uroczystości kościelne w Rzymie mające odbywać się co 100 lat.

⁸⁰ Jaśko z Tęczyna — kasztelan wojnicki, a następnie krakowski, od r. 1387 starosta ruski; pochodził ze starego rodu Starzów–Toporczyków, odgrywającego wielką rolę w dziejach Polski; przywódca stronnictwa andegaweńskiego.

⁸¹ Sędziwój z Szubina — starosta wielkopolski, a potem krakowski i wojewoda kaliski, pochodzący ze starego rodu Starzów–Toporczyków. Był jednym z pięciu namiestników Ludwika

Węgierskiego w czasie jego nieobecności w Polsce (od r. 1381).

⁸² Dobiesław z Kurozwęk, herbu Różyc (Poraj) — kasztelan krakowski; był także jednym z pięciu namiestników Ludwika Węgierskiego.

⁸³ Biskup Jagierski — od miasta Jagier na Węgrzech; po węg. Eger, miasto w północnych Węgrzech, na południowo-zachodnich stokach Gór Bukowych. Dawna osada słowiańska, w której w XI wieku Stefan I, król węgierski, założył biskupstwo.

⁸⁴ Czanadzki (w pierwodruku błędnie: czarnadzki), od nazwy miejscowości węgierskiej pomiędzy Cisą i Maroszem.

⁸⁵ *Femina variabilis* (łac.) — kobieta zmienna.

⁸⁶ O siebie — w pierwodruku błędnie: o sobie.

⁸⁷ Szafran — krokus, roślina cebulkowa z rodziny kosaćcowatych o barwnych kwiatach.

⁸⁸ Nankier — bliżej nieznaną osobą; nie należy mieszać z Nankierem, biskupem krakowskim i wrocławskim z czasów parfowania Władysława Łokietka i Kazimierza Wielkiego.

⁸⁹ Wyszehrad (*Visegrad*) — miasto w północnych Węgrzech, nad Dunajem, ze starożytnym królewskim zamkiem węgierskim, dziś w ruinie.

⁹⁰ Margraf (niem.) — margrabia; u Franków i w Niemczech w średniowieczu zwierzchnik pogranicznego okręgu (marchii); Zygmunt Luksemburski był przez pewien czas margrabią brandenburskim (por. przypis 92).

⁹¹ Albert Wójt — wójt m. Krakowa (od 1290), przedstawiciel patrycjatu niemieckiego, przy poparciu biskupa Jana Muskaty stanął na czele buntu mieszczan krakowskich przeciw Władysławowi Łokietkowi w 1311 r.

⁹² Brandeburgowie — właśc. Brandenburgowie, władcy ziem pierwotnie Słowian połabskich, leżących między Odrą i Łabą; nazwa pochodzi od grodu i miejscowości Brenna, stolicy Stodoran, która została opanowana w X wieku przez Niemców. Założyli tu oni miasto, początkowo zw. Brennaburg, później Brandenburg.

⁹³ Świdnicka piwnica — nazwa gospody ze słynnym wówczas piwem ze Świdnicy na Śląsku.

⁹⁴ Zwierzyniec — wówczas osada podkrakowska z klasztorem norbertanek i kościołkiem Salwatora.

⁹⁵ Radlić — Jan z Radlicy, zwany Małym, herbu Korab; kanclerz; od r. 1381 jeden z pięciu namiestników Ludwika w Polsce; od 1382 r. biskup krakowski; był znanym wówczas lekarzem.

⁹⁶ Pyzdry — w pierwszej połowie XIII wieku gród książęcy, który w 1247 r. otrzymał prawa miejskie; na przełomie XIII/XIV wieku duży ośrodek rzemieślniczo-handlowy, zaś w XIV w. jedno z 6 wielkich miast Wielkopolski z zamkiem, klasztorem, murami warownymi.

⁹⁷ Suchoty (st. pol.) — postne, skąpe jadlo, poszczenie, post ścisły.

⁹⁸ Hiobowe to dziś błogosławieństwo — smutne to... (przerażające... okropne...).

⁹⁹ Dzieckiem Franciszka Świętego — zakonikiem franciszkaninem. W Polsce klasztory franciszkańskie działały od XIII wieku.

¹⁰⁰ Sławiec z Kurowa — chorąży mazowiecki (wspomina go Długosz pod r. 1383), brat Abrahama Sochy, wojewody płockiego (por. przypis 31).

¹⁰¹ *Silent musae* (łac.) — milczą muzy, druga część łac. przysłowia: *inter ar ma silent musae* — w czasie wojny milczą muzy.

¹⁰² *O kilkadziesiąt lat* — autor pomylił się; Janusz był starszy od Semka tylko o 17 lat (por. przypis 8 i 9).

¹⁰³ Liczby słuchać (st. pol.) — słuchać sprawozdania, wyjaśnienia.

¹⁰⁴ Piecu — dopełniacz 1. mn. od st. pol. piec; dzisiaj: plecy, pleców.

¹⁰⁵ Pod zaręką wielką (st. pol.) — z udzieleniem poważnej poręki; ustalono, iż w razie niedojścia do skutku małżeństwa Jadwigi z Wilhelmem, strona zrywająca układ zapłaci 200 tys. florenów.

¹⁰⁶ Pożyczyć na wić — dosłownie pożyczyć na kupno gałęzi, do której porównuje zamierzoną wyprawę wojenną.

¹⁰⁷ Czolner — właściwie: Zöllner von Rothenstein Konrad, wielki mistrz krzyżacki w latach 1382–1390.

¹⁰⁸ Marszałek Wallenrod — Konrad Wallenrod, ówczesny naczelny wódz (marszałek wielki), późniejszy wielki mistrz krzyżacki.

¹⁰⁹ Komtur (g. niem.) — w państwie krzyżackim przełożony okręgu admin.–sądowo-wojskowego, w czasie wojny — dowódca oddziału wojskowego.

¹⁰⁹ Zakon szpitalny — Zakon Krzyżacki; oficjalna początkowa nazwa: Zakon Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie. Początek Zakonowi dało bractwo obsługujące szpital, założone w 1190 r., które w 1198 r. zostało przekształcone w zakon rycerski.

¹¹¹ Templariusze — zakon rycerski założony w 1118 r. przez rycerzy z Szampanii (Francja), początkowo jako bractwo dla ochrony pielgrzymów do Ziemi Świętej. Rycerze nosili białe płaszcze

z czerwonymi krzyżami. Zakon zgromadził ogromne bogactwa, co dało mu możliwość wpływania na politykę wielu władców; m.in. to stało się przyczyną, że papież pod naciskiem króla francuskiego Filipa IV Pięknego rozwiązał zakon w 1312 r.

¹¹² Białopłaszczowi panowie—Krzyżacy (nosili białe płaszcze z czarnymi krzyżami).

¹¹³ Balga — starożytna Honeda na półwyspie wchodzącym w Zalew Fryski; tu Krzyżacy zbudowali w 1239 r. obronny zamek będący siedzibą komtura.

¹¹⁴ Dwa orły i dwa puchacze — składały się na herb mazowieckich Piastów.

¹¹⁵ Szpitalnik — jedna z najwyższych godności u Krzyżaków (por. przypis 110).

¹¹⁶ Kompanowie — tu: przyboczni strażnicy; po zabójstwie wielkiego mistrza Wenera von Orseln w r. 1330 dodawano wielkim mistrzom w charakterze przybocznych strażników dwóch tzw. kompanów.

¹¹⁷ Kiejstut — książę trocki (1297–1382), syn Giedymina, brat Olgierda; od 1345 współrządca Litwy, zdecydowany przeciwnik Krzyżaków. Nie przyjął chrześcijaństwa. Po śmierci Olgierda usiłował utrzymać współrządy z jego synem Jagiełłą, doszło jednak do walk. Uwięziony przez Jagiełłę (1382), został zamordowany w więzieniu w Krewie.

¹¹⁸ Siostra Witoldowa — Dawnuta Anna, żona Janusza I, ks. czerskiego i warszawskiego (por. przypis 8).

¹¹⁹ Ziemia wiska — stary gród i kasztelania nad Narwią, na wschód od Łomży; przez jakiś czas ziemia ze stolicą w Wiźnie była udzielnym księstwem.

¹²⁰ Knecht (niem.) — tu: prosty żołnierz krzyżacki; parobek.

¹²¹ Krewo — stary gród położony nad Klewlanką, stanowiący stolicę udzielnego księstwa. W Krewie zawarta została w r. 1385 tzw. unia krewska, mocą której Jagiełło miał poślubić Jadwigę i objąć tron polski; tu zamordowany został w 1382 r. Kiejstut (por. przypis 117).

¹²² Brat Nemrod — od biblijnego króla Nemroda (Nimroda), syna Kusza a wnuk Chama (2230 r. pne.); był to podobno zapalony myśliwy.

¹²³ Komandoria (z łac. commendare — poruczyć) — ziemia oddana rycerzowi do użytkowania lub w dzierżawę.

¹²⁴ Winem strzemiennym — od: strzemienny; kielich, toast wypity na pożegnanie, na odjeździe, przed wsiadaniem na konia.

¹²⁵ Becherek (z niem.) — kubek, kubeczek.

¹²⁶ Kazimierz zmurował... — za panowania Kazimierza Wielkiego Płock, siedziba Piastów mazowieckich, znajdując się w jego rękach (1351–1370), został otoczony murami.

¹²⁷ Prokurator (z łac.) — tutaj: zarządzający sprawami gospodarczymi, majątkowymi. (Dziś oznacza oskarżyciela publicznego w sądzie).

¹²⁸ Kopa groszy — równowartość jednej grzywny czystego srebra, ustalona przez króla czeskiego, Wacława II, na 60 groszy czeskich.

¹²⁹ Wizna — zob. przypis 119.

¹³⁰ Wojdyłło — ulubieniec Jagiełły, który oddał mu za żonę siostrę Marię. Wojdyłło ponoć poróżnił Jagiełłę z Kiejstutem, za co ten ostatni kazał go powiesić. Według Długosza Wojdyłło był wieśniakiem ubogiego rodu.

¹³¹ Julianna — żona Olgierda od 1349, matka Jagiełły; była córką Aleksandra, księcia twerskiego; pod koniec życia wstąpiła do klasztoru i tam zmarła w 1392 r.

¹³² Matka Witolda — Biruta: była kapłanką świątyni pogańskiej pod Połogą, skąd porwał ją Kiejstut i pojął za żonę.

¹³³ Wigunda. Wigunt — brat Jagiełły; po chrzcie Litwy — Aleksander, który ożenił się z córką Władysława Opolczyka — Jadwigą; otrzymał od Jagiełły księstwo kiernowskie.

¹³⁴ Dajnos (lit. *dajna*) — litewska pieśń ludowa.

¹³⁵ Z wielkim marszałkiem... — czyli z Wallenrodem.

¹³⁶ Władysław ruski — Władysław Opolczyk, książę opolski od 1356 r., wielkorządca Rusi Czerwonej w latach 1372–1378 i 1386–87, syn Bolesława II opolskiego. Ściśle związany z dynastią andegaweńską, był bliskim współpracownikiem Ludwika I Wielkiego; po objęciu przez niego w 1370 r. tronu polskiego, otrzymał z jego rąk lenno na terenie Polski i spełniał rządy namiestnicze w Polsce od 1377 r. Po śmierci Ludwika I, będąc namiestnikiem Rusi Czerwonej, próbował przeciwstawić się opanowaniu jej przez Polskę, a obawiając się utraty swych polskich lenn, oddał je Krzyżakom w zastaw (Złotoryja, Ziemia Dobrzyńska). Pertraktował w sprawie rozbioru Polski między Zakon a Luksemburgów.

¹³⁷ Bobrka — w pierwodruku błędnie: *Bartka*.

¹³⁸ Agenda (łac.) — księga ze zbiorem modlitw i obrzędów kościelnych i różnych czynności kapłańskich.

¹³⁹ Minia (z łac.) — tlenek ołowiowo-ołowiany; czerwony proszek służący dawnym przepisywaczom ksiąg i dokumentów do ozdabiania liter.

¹⁴⁰ Inkaust (z gr.) — atrament.

¹⁴¹ Rubrum (z łac.) — dosł.: czerwone, tu: czerwony atrament.

¹⁴² Amanuens — (z łac.) — zob. przypis nr 24.

¹⁴³ Hawnul — starosta wileński; u Długosza (ks. X, r. 1382 i 1385) starosta wileński nosi imię Hanul.

¹⁴⁴ Przewód brano (st. pol.) — obowiązek przewożenia własnymi końmi oraz dostarczanie przewodnika; tu: przewodnika brano.

¹⁴⁵ Ślady ludzi i ich pracy — w pierwodruku błędnie: ślady ludzi i jego pracy.

¹⁴⁶ *Perkunas a. Perkun* — naczelny bóg litewski (mit. lit.); bóg gromów i burzy (?), w mitologii ruskiej Perun.

¹⁴⁷ *Numa* (lit.) — chata na Litwie i Żmudzi.

¹⁴⁸ *Bajoras* (lit.) — szlachcic litewski.

¹⁴⁹ W skórzniach na nogach (gw.) — w butach skórzanych z wysokimi cholewami.

¹⁵⁰ Troki — prastary gród litewski nad Jeziorem Trockim, na południowym zachodzie od Wilna; stolica księstwa.

¹⁵¹ *Laudetur Jesus Christus* (łac.) — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus

¹⁵² *In saecula saeculorum* (łac.) — Na wieki wieków.

¹⁵³ Moneta — tu: prawo bicia pieniędzy.

¹⁵⁴ Symeon — postać z Nowego Testamentu (Łuk. 2, 25).

¹⁵⁵ Biruta — matka Witolda (por. przypis 132).

¹⁵⁶ Dolina Swentoroha (Swintoroga) — dolina przy ujściu Wilejki do Wilii; znajdował się tam ołtarz Perkunasa (por. przypis 146) wystawiony w końcu XIII wieku przez księcia wileńskiego Swintoroga; w tym miejscu spalono jego zwłoki, a także Giedymina i Kiejstuta. Całość położona w świętym gaju.

¹⁵⁷ *Foresteria* (wł.) — pokój gościnny.

¹ Samotrzcę (st. pol.) — będący w towarzystwie dwóch osób, sam z dwoma innymi.

² Monaster (z gr.) — klasztor w kościele wschodnim.

³ Bojar — szlachcic zagrodowy na Rusi.

⁴ Nowogród — starożytny gród i miasto ruskie nad rzeką Wołchow, zwane Wielkim Nowogrodem; ośrodek handlu, powiązany z miastami hanzeatyckimi, centrum ówczesnej kultury; ustrój tego miasta niezależnego stanowił swoistą formę demokracji feudalnej.

⁵ Twer — znaczący ośrodek handlowy i polityczny Rusi, leżący przy ujściu rzeki Twercy, nad Wołgą; od 1240 r. stolica księstwa twerskiego.

⁶ Psków — jeden z najstarszych ośrodków miejskich Rusi średniowiecznej, nad którym zwierzchność od 1348 r. spełniał Nowogród Wielki. Ośrodek sztuki ruskiej.

⁷ Smoleńsk — w IX i X wieku gród Krywiczów, nad Dnieprem, od 1057 r. stolica księstwa smoleńskiego; na przełomie XIV i XV wieku księstwo hołdowało Litwie.

⁸ Św. Łukasz — uczeń św. Pawła, pochodził z Antiochii; przypisuje mu się autorstwo trzeciej Ewangelii; z zawodu lekarz; przypisuje mu się też umiejętności malarskie i autorstwo obrazów Matki Boskiej.

⁹ Chram — (st. słów.) — świątynia.

¹⁰ *Teremy* (rus.) — pałace, mieszkania książęce na Rusi.

¹¹ Kolce — tu: kolczyki.

¹² Podkradającego się — w pierwodruku błędnie: podkradającemu się.

¹³ Harem (z arab.) — niewieścia część domu u bogatych muzułmanów w krajach Wschodu, gdzie istniało lub istnieje wielożeństwo; wejście do haremu jest wzbronione dla mężczyzn z wyjątkiem męża.

¹⁴ Berdysz (ze śr. łac.) — siekiera na długim drzewcu; ówczesne uzbrojenie piechoty.

¹⁵ Olga — siostra Jagiełły, która w 1388 r. została żoną Semka.

¹⁶ Skirgiełło — syn Olgerda, brat Jagiełły (1354–1396); książę trocki; od 1388 namiestnik Jagiełły na Litwie, a od 1392 r. książę[^] kijowski.

¹⁷ Korygiełło — Korygiełło Bazyli Kazimierz, brat Jagiełły, książę ruścisławski, który poległ w obronie Wilna przed Krzyżakami w r. 1390.

¹⁸ Miedniki — gród żmudzki znany już w 1255 r.; najeżdżany przez Krzyżaków; był ośrodkiem kultu pogańskiego. Tu w 1413 r. Jagiełło i Witold założyli kościół, ośrodek misji chrystianizacyjnej;

w 1417 powstało tu biskupstwo.

- ¹⁹ Wejdalota a. wajdelota — od niem. *Waidller* — guślarz; tu: niższy kapłan u pogańskich Litwinów; wróżbita, śpiewak.
- ²⁰ Swentoroh — bóstwo czczone na Litwie.
- ²¹ Kosterstwo — namiętna gra w kości, szulerstwo.
- ²² Kord (z tur. i pers.) — krótki miecz.
- ²³ Sędziwój Świdwa z Piotrkowic — por. przypis 50 t. I.
- ²⁴ *Szatra* (z tur.) — namiot.
- ²⁵ ... Mówi kronikarz współczesny — zapewne chodzi tu o *Kronikę* Janka z Czarnkowa.
- ²⁶ ... do blanków — blanki (z łac. przez niem.); w dawnych zamkach obronnych ogrodzenie z zębatymi wycięciami, ze strzelnicami.
- ²⁷ Kobylice (st. pol.) — bariery przenośne z jodłowych bali, najeżone ostrymi szpikulcami.
- ²⁸ Wileń a. Wielin — stary gród nad Notecią; w XIII w. gród kasztelański, do którego w 1239 r. książę Władysław Odonic sprowadził cystersów.
- ²⁹ Jędrzej ze Swarzodowa — Andrzej ze Świeradowa, kasztelan kamieński, przywódca Grzymalitów; Długosz wspomina go w swym dziele pod r. 1383.
- ³⁰ Cedro z Morgonina — Teodoryk z Morgonia, Nałęcz, ale krewny Domarata z Pierzchną.
- ³¹ Grochola — Dzierżysław Grochola herbu Nałęcz, kasztelan santocki.
- ³² Kraszewski konsekwentnie używa formy Sieradziu, Sieradzia (od mianownika: Sieradz) — dzisiaj: Sieradz; gród kasztelański istniał tu przed 1136 r.; zniszczony przez Krzyżaków, odbudowany przez Kazimierza; od XIII w. stał się miejscem synodów biskupów, a od XIV w. — licznych zjazdów politycznych.
- ³³ Mikołaj Bogoria — najwybitniejsza wówczas postać rodu rycerskiego w Małopolsce, kasztelan zawichojski, przeciwnik Semka; w 1384 uczestniczył w poselstwie do Jagiełły z przychylną odpowiedzią Jadwigi.
- ³⁴ Brony (st. pol.) — część ruchoma warownej bramy; opuszczana, zaopatrzona w zęby krata, zamykająca bramę.
- ³⁵ Biskup wesprejmski — od nazwy miasta Wesprym (węg. *Veszprem*) w zachodnich Węgrzech, na

północ od jeziora Balaton.

³⁶ Jan z Tarnowa — kasztelan i wojewoda sandomierski, później marszałek wielki koronny.

³⁷ Spytek z Mielsztyna — wojewoda krakowski od 1381 r.; jeden z głównych twórców planu małżeństwa Jadwigi z Jagiełłą; w 1392 pośredniczył w rokowaniach między Władysławem Jagiełłą a Witoldem, cztery lata później dostał w lenno część Podola litewskiego. Mielsztyn (właśc. Melsztyn) — miasteczko z zamkiem na stromym lewym brzegu Dunajca (nieдалeko Czchowa).

³⁸ W pierwodruku opuszczono wyraz: Krakowianie.

³⁹ Egzorcyzmy (z gr.) — w Kościele katolickim obrzęd liturgiczny polegający na wypędzaniu diabła; tutaj chodzi o formułki, które miały bronić przed wpływem złego ducha.

⁴⁰ *Vox populi — vox Dei* (łac.) — głos ludu — głosem Boga.

⁴¹ Orły czarne — czarny orzeł był przedstawiony na herbach Piastów Śląskich.

⁴² Ręce namulane — ręce ze zniszczoną skórą (zgrubiałą).

⁴³ Flamski — flamandzki, staroholenderski.

⁴⁴ Wieluń i Dobrzyń — wraz z ziemiami do nich należącymi były wówczas w rękach Władysława Opolczyka jako lenno. Wieluń — osada założona w 1217 r., od 1281 — kasztelania; w 1370 r. nadany przez Ludwika I Węgierskiego Władysławowi Opolczykowi, odzyskany przez Władysława Jagiełłę. Dobrzyń — jedna z najstarszych osad polskich (w XI wieku istniał tu gród obronny). Konrad Mazowiecki osadził tu Krzyżaków; Dobrzyń przechodził różne koleje losu; Władysław Opolczyk w 1392 r. oddał w zastaw ziemię dobrzyńską Krzyżakom, w 1404 została odkupiona od Zakonu.

⁴⁵ Refektarz (z łac.) — sala jadalna w klasztorze.

⁴⁶ Rakuszanin — Austriak — (por. przypis 38 z t. I).

⁴⁷ Połock — starożytny gród i stolica udzielnego księstwa połockiego przy ujściu Poloty do Dźwiny; w 1307 r. wszedł w skład Wielkiego Księstwa Litewskiego.

⁴⁸ Olgierd — syn Giedymina, wielki książę litewski (1345–1377); miał 12 synów, spośród których Jagiełło został wielkim księciem litewskim.

⁴⁹ Konwenty — tu: klasztory.

⁵⁰ Brańsk — stary gród podlaski przy ujściu Branki do Nurca, stale niszczone przez najazdy Tatarów i Litwinów.

- ⁵¹ Czersk — jedna z najstarszych osad na Mazowszu, siedziba książąt mazowieckich; po 1262 r. powstało tu odrębne księstwo czerskie.
- ⁵² Chęciny — w XIII wieku osada rzemieślnicza, z zamkiem piastowskim; prawa miejskie uzyskały za czasów Kazimierza Wielkiego; odtąd starostwo grodowe; za Władysława Łokietka miejsce zjazdów panów wielkopolskich i małopolskich; od XIV w. główny ośrodek górnictwa (srebro, miedź, ołów, marmur).
- ⁵³ Proszowice — podkrakowska wieś królewska nad Szreniawą z letnim pałacem zamieszkałym przez królów polskich.
- ⁵⁴ *Wiertelnicy* (z niem.) — urzędnicy policji miejskiej; Kraków wtedy był podzielony na cztery wiertelki: rzeźniczy, grodzki, garncarski i sławkowski. Wiertelnicy czuwali nad bezpieczeństwem swej części miasta. ,
- ⁵⁵ Cekhauz (z niem.) — zbrojownia, arsenał.
- ⁵⁶ Koszyce — wówczas miasto węgierskie, położone w północnej części kraju, nad rzeką Hernadem, Tu w r. 1374 Ludwik Węgierski nadał szlachcie polskiej tzw. przywileje koszyckie.
- ⁵⁷ Szkoła w Montpellier — słynna szkoła medyczna we Francji, założona, w r. 1220.
- ⁵⁸ Scierciałka — szlachcic świeżo nobilitowany; pogardliwa nazwa szlachty zagrodowej (zniekształcone skartabell z łac. *scartabellus*).
- ⁵⁹ Krucyfer (z łac.) — dawniej: niosący krzyż na czele procesji, przed biskupem.
- ⁶⁰ Rondela (z fr.) — okrągła budowla, stanowiąca element średniowiecznych fortyfikacji, ze strzelnicami, wysunięty przed mury obronne, połączony z nimi mostem lub osłoniętym przejściem; barbakan.
- ⁶¹ Sotnik (rus.) — setnik, dowodzący stu żołnierzami.
- ⁶² Książ Wielki — miejscowość nad rzeką Nidzicą, niedaleko Miechowa.
- ⁶³ Dobrogost z Nowego Dworu — należał do rodu Kałęczów, kanclerz mazowiecki, dziekan krakowski; od 1384 biskup poznański, pięć lat później został arcybiskupem gnieźnieńskim.
- ⁶⁴ ...i losu, jakiego doznał Biały... — chodzi o Władysława Białego, który zmuszony został do opuszczenia kraju (por. przypis 23 t. I).
- ⁶⁵ Margrabia brandenburski — w tym czasie margrabią marchii brandenburskiej był Jobst (Jodokus), margrabia Moraw.
- ⁶⁶ Areopag (z gr.) — tu: rada dostojników; dosłownie: pagórek Aresa (greckiego boga wojny), na

którym w starożytnych Atenach odbywały się rady starców.

⁶⁷ Lasota ze Stawiszyna — stolnik kujawski (kaliski), zwolennik powołania na tron Marii; w *Kronice* Długosza wspomniany pod r. 1383.

⁶⁸ Lelewici — ród pieczętujący się herbem Leliwa (księżyc z gwiazdą między jego rogami); do rodu tego należeli m.in. Tarnowscy i Melsztyńscy.

⁶⁹ Toporczyki — możliwy ród mający w herbie topór; należeli do niego m.in. Tęczyńscy.

⁷⁰ Na Święty Wit — 15 czerwca.

⁷¹ Władyka a. włodyka (z rus.) — tu: rycerz osiadły na własnej ziemi, nie należący jednak do stanu szlacheckiego.

⁷² Onus pro peccatis (łac.) — ciężar (pokuta) za grzechy.

⁷³ Driakiew (z gr.) — w średniowieczu uniwersalny lek, sporządzany z wielu różnych składników (roślin).

⁷⁴ Albert Wielki — *Albertus Magnus* (właściwie: hrabia Bollstaed), dominikanin, wybitny filozof średniowieczny i uczyony (1193–1280).

⁷⁵ Żywo — poprawiono pierwodruk, w którym było: żywy.

⁷⁶ Jakusz Kuliga — Jakub Kuliga, kasztelan brzeski; potajemnie poddał Kruszwicę w r. 1381 Abrahamowi Sosze.

⁷⁷ Biskupa płockiego... — biskupem płockim od r. 1381 do 1391 był Ścibor z Radzymina, herbu Ostoja.

⁷⁸ Pietrasz Małocha — Piotr Małocha herbu Grzymała, starosta łęczycki i kujawski; otrzymał odebrane Bartoszowi z Odolanowa starostwo kujawskie, ofiarując za nie 2 tys. grzywien rocznie (Bartosz płacił tylko 800); w czasie bezkrólewia po Ludwiku stanął po stronie Semka.

⁷⁹ Denar — w średniowieczu srebrna moneta różnych krajów europejskich, m.in. i Polski.

¹ Drohiczyn — starodawny gród nad Bugiem (1060 stolica Jaćwieży); stolica ziemi drohickiej w dawnym województwie podlaskim. Od połowy XIII wieku należał do książąt mazowieckich, później do księstwa halicko—wołyńskiego, a następnie do Litwy.

² Dobiesław z Golańczy — właściwie: z Gołańczy; syn Tomisława, sędziego kaliskiego, z rodu Pałuków, stronnik Nałęczów. Długosz pisze o nim w swej *Kronice* pod r. 1384.

³ Przybko z Przysieki, Marcin z Zwanowa — uczestnicy walk rodowych, również odnotowani

przez Długosza (r. 1384): pierwszy jako napastnik, drugi jako ofiara napaści.

⁴ Oborniki — wówczas gród i zamek u ujścia Wełny do Warty.

⁵ Piotr ze Szczekocin — z rodu Odrowążów, starosta i kasztelan sądecki, a później lubelski.

⁶ Przesław (Przeclaw) Wawelski — rycerz pomniejszego rodu, wysłany do Elżbiety z poselstwem dlatego, żeby podkreślić zniecierpliwienie możnowładców polskich. Wypowiedź zawarta w cudzysłowie sformułowana została przez Kraszewskiego na podstawie danych z *Dziejów Polski* Długosza (ks. X, r. 1384) i *Kroniki Janka z Czarnkowa* (rozdz. 115).

⁷ Dziecka trzynastoletniego — Jadwiga w rzeczywistości miała w tym czasie zaledwie dziesięć lat (r. 1384).

⁸ Żnin — gród kasztelański już od XII wieku: od 1136 własność biskupów gnieźnieńskich, leży między dwoma jeziorami Żnińskimi i rzeką Gąsawką na płn. od Gniezna.

⁹ Panowie małopolscy — w pierwodruku omyłkowo: wielkopolscy (niezgodne z treścią powieści i historią).

¹⁰ Zazdrosna — w pierwodruku: „Szczególniej dziewczę o tego brata radosne a podejrzliwe...”, co poprawiono jako omyłkę na: zazdrosne.

¹¹ Malcher Sundstein — tak Kraszewski podaje za Długoszem, właściwie: Sendstein; komtur osterodzki.

¹² Komornik — tak nazywał się wtedy urzędnik dworski zarządzający pokojami, sprzętem i służbą; później — urzędnik do specjalnych zleceń.

* Przypomnijmy Orleańską (przyp. autora) Przypomnijmy Orleańską — tzn. Joannę d'Arc (1412–1431), która na czele wojsk francuskich pobiła Anglików pod Orleanem w 1429 r. uwalniając go od oblężenia. W 1430 r. dostała się do niewoli burgundzkiej i została sprzedana Anglikom, którzy oskarżyli ją o kacerstwo, czyli herezję oraz o czary i spalili na stosie w 1431 r. w Rouen.

¹⁴ Rożyców, Sreniawów — Różyce a. Poraje — to ród szlachecki pieczętujący się herbem z wyobrażeniem białej róży na czerwonym tle; Sreniawy a. Sreniawy — Sreniawici, ród szlachecki posiadający herb, który przedstawiał białą rzekę na tle czerwonym. Nazwa tego herbu pochodzi od niewielkiej rzeczki wpadającej do Wisły.

¹⁵ *Rab* (rus.) — służa, niewolnik.

¹⁶ W pierwodruku: zapomniano; poprawiono na zapominano ze względu na oczywistą częstotliwość tej czynności.

¹⁷ Kwartnik — dawna polska srebrna moneta, mająca wartość 1/2, 1/4 później 1/6 grosza;

kwartalnik.

¹⁸ Starzec kardynał — chodzi o Dymitra, ówczesnego prymasa Węgier.

¹⁹ Pałuba — (st. pol.) — kryty wóz, buda.

²⁰ Szachowano postrojeni — w suknie w kwadraty różnokolorowe postrojeni.

²¹ Emryk Bobek — Emeryk Bebek, ban Dalmacji, później wielkorządca Rusi Czerwonej z ramienia Węgier po Władysławie Opolczyku, w końcu sędzia nadworny na Węgrzech.

²² Elża — Elżbieta, córka Bebeka, przyszła żona Spytka z Melsztyna Główna bohaterka powieści Adama Krechowieckiego pt. *Fiat lux (Niech się stanie światło)*.

²³ Attyla — wódz Hunów, zwany Biczem Bożym, rozszerzył państwo Hunów, którego ośrodkiem była Pannonia (dzisiejsze Węgry), na obszary sięgające na wschodzie Kaukazu, na zachodzie — Renu; pobity przez wojska rzymskie pod wodzą Aecjusza na Polach Katalaunickich; w 452 najechał na Italię i Rzym. Zmarł w Pannonii w 453 r.

²⁴ Arcybiskup strygoński — strygoński — pochodzi od łacińskiej nazwy *Strigomin* miasta węgierskiego *Esztergon* (po polsku Ostrzyho m), leżącego na prawym brzegu Dunaju u ujścia do niego Hronu; siedziba prymasa Węgier.

²⁵ Włodko z Ogrodzienca — podczaszy a później cześnik krakowski (nadworny urzędnik królewski usługujący królowi przy stole, mający pieczę nad piwnicą królewską), późniejszy starosta lubelski.

²⁶ Gniewosz z Dalewic — początkowo stronnik i pomocnik Wilhelma, następnie usiłując ująć sobie Jagiełłę, rzucił na Jadwigę oszczerstwo, za co został skazany na odszczekanie tego kłamstwa. Kraszewski nazywa go podkomorzym za wcześnie, bo został nim dopiero w 1399 r.

²⁷ Zawisza z Kurozwęk — syn Dobiesława (por. przypis 82, t. I), kanclerz od 1374, biskup od 1380. Jeden z przywódców stronnictwa małopolskiego, popierającego Ludwika Węgierskiego; w 1381 r. król powierzył mu zarząd kraju z prawem obsadzania wszystkich urzędów (z wyjątkiem kasztelanii krakowskiej), zm. w 1382 r.

²⁸ Kawalkator (z wł.) — nauczyciel konnej jazdy, ujeżdżacz koni.

²⁹ Roztrucharz (st. pol.) — handlarz i hodowca koni, ale także: pośrednik w kupnie, stręczyciel.

³⁰ Ochmistrzyni — kobieta mająca nadzór nad żeńską służbą na dworze królewskim lub magnackim.

³¹ Handslik a. Handzlik — lutnista królowej Jadwigi, postać historyczna (jest o nim notatka w rachunkach dworu królewskiego).

³² Zawisza z Oleśnicy — dworzanin królowej, o którym w swym dziele pisze Długosz (r. 1386). „Był on wysłany do Wilna z sekretną misją poznania Jagiełły, o którym mówiono Jadwidze, że jest grubianinem i szpetnym. Jagiełło, znając powody jego przyjazdu, dał mu się poznać od najlepszej strony. Zawisza po powrocie do Krakowa wydał o Jagiełłę pochlebną opinię.

³³ Dymitrz Goraja — syn Piotra (ok. 1340–1400), herbu Korczak; podskarbi koronny za Kazimierza Wielkiego, Ludwika Węgierskiego i Jadwigi; od 1390 marszałek wielki koronny. Opiekun i doradca Jadwigi w początkach jej panowania.

³⁴ Elektuarium a. eklegma (z gr.) — słodki i gęsty lek.

³⁵ W pierwodruku opuszczono przeczenie: nie po słowie wahać się; zniekształcało to sens zdania.

³⁶ Krzesław z Kurozwek — starszy brat Zawiszy z Kurozwek (zob. przypis 27, t. III); kasztelan sandecki, od r. 1388 starosta łucki.

³⁷ Mikołaj z Brzezia — chyba chodzi tu o Zbigniewa z Brzezia, który w latach 1380–1390 był marszałkiem wielkim koronnym.

³⁸ Morszteinowie — krakowska rodzina mieszczańska pochodzenia niemieckiego, po nobilitowaniu zwali się Morsztynami. O ukrywaniu się w ich domu Wilhelma pisał Jan Długosz.

³⁹ Wierzynkowie — krakowska rodzina mieszczańska pochodzenia » niemieckiego; z niej pochodził Mikołaj, kupiec i bankier krakowski, od p 1384 stolnik sandomierski i generalny zarządca dworu królewskiego; ławnik i rajca krakowski, który w 1364 w imieniu rady miejskiej w czasie wesela wnuczki Kazimierza Wielkiego, podejmował u siebie oprócz swojego króla — cesarza Karola IV, króla węgierskiego Ludwika, króla cypryjskiego Piotra i króla duńskiego Waldemara, urządzając dla nich wspaniałą ucztę; zmarł w r. 1368.

⁴⁰ Grosze praskie — moneta bita przez Wacława, króla polskiego i czeskiego ok. 1300 r.; zwano je też czeskimi.

⁴¹ Do — w pierwodruku błędnie: od.

⁴² Barwa — tu: odzież, ubiór dla służby, jednakowej barwy.

⁴³ Lik — (st. pol.) — ilość, stan liczebny.

⁴⁴ Suchenwirth — Piotr Suchenwirth, austriacki poeta dworski (zm. po 1395 r.), autor panegiryku o Ludwiku Węgierskim. W r. 1377 brał udział z Albrechtem Habsburgiem w wyprawie krzyżackiej na Litwę i napisał o niej pieśń, w której przesadnie podkreślał dzikość i barbarzyństwo kraju. Pieśń ta mogła wpłynąć na wyobrażenia Jadwigi o Litwie i Litwinach.

⁴⁵ Borys — nie był bratem Jagiełły, lecz szwagrem; ksiązę surdalski.

⁴⁶ Algimunt — książę holszański Iwan, pomagał Witoldowi w jego walce z Jagiełłą. Witold, zostawszy wielkim księciem litewskim, uczynił go za to w r. 1395 namiestnikiem w księstwie kijowskim.

⁴⁷ Przystaw (st. pol.) — tu: specjalna osoba przydzielona dostojnym gościom do usług i straży.

⁴⁸ Chełmno — stary gród, który istniał już w X w.; od 1139 kasztelania, od XIII wieku siedziba diecezji chełmińskiej. Było stolicą ziemi chełmińskiej; oddane jeszcze przez Konrada Mazowieckiego Krzyżakom.

⁴⁹ Krystyn z Ostrowa — starosta kazimierski; od r. 1399 kasztelan i wojewoda sandomierski; wspomina o nim Długosz w swym dziele pod r. 1385.

⁵⁰ Truwerowie a. truwerzy — (z fr.) — tak nazywano poetów, a zarazem wędrownych muzyków i śpiewaków w północnej Francji, w wiekach średnich, którzy na wzór trubadurów (ci słynęli z liryki miłosnej) tworzyli utwory opisowe, epiczne.

⁵¹ Minnesingerzy a. minnessingerzy (z niem.) — nadworni rycerscy poeci i śpiewacy niemieckich krajów średniowiecznej Europy. W swych pieśniach i balladach wychwalali rycerstwo i opiewali miłość rycerzy do ich wybranek.

⁵² ...dworów miłosnych, trybunałów sentymentu — właściwie: sądów miłosnych (po francusku: *cours d'amour*), powstałych w XI w. w Prowansji na południu Francji. Odbywały się na nich wierszowane spory pomiędzy poetami prowansalskimi (trubadurami) na temat miłości, rozstrzygano także spory między zakochanymi.

⁵³ Trefny (st. pol.) — dowcipny, żartobliwy, zabawny.

⁵⁴ Kanak (z tur.) — sznur pereł albo drogich kamieni, stanowiący ozdobę fryzury kobiecej, lub naszyjnik.

⁵⁵ Manela (z wł.) — ozdoba ramienia lub ręki, bransoleta.

⁵⁶ Halabarda (z niem.) — dosł. topór z drzewcem; grot z siekierą osadzony na długim drzewcu; broń służąca do kłucia i cięcia.

⁵⁷ Raróg — ptak drapieżny z rodziny sokołów używany do polowania zwany inaczej: białożór.

⁵⁸ Pożyczonymi — w pierwodruku mylnie; pożytecznymi.

⁵⁹ Pacyfikał (z łac.) — relikwiarz, krzyż lub obraz podawany wiernym do pocałowania.

⁶⁰ Gwardian (z łac.) — przełożony klasztoru w niektórych zakonach.

⁶¹ Dowiedziała się też królowa, że nabożnym był w tym kościele... — że chodził na nabożeństwa

do tego kościoła.

⁶² Ingrediencja — domieszka, składnik jakiejś mieszaniny.

⁶³ Kubeba — pieprz kubeba (*Piper cubeba*), owoc rośliny z rodziny pieprzowatych, rosnącej na Jawie, Borneo, Sumatrze, Indii; od XIII w. znany w Europie jako przyprawa i surowiec farmaceutyczny.

⁶⁴ Tartofoli sycylijskie — tartofole–trufle, cenione grzyby jadalne, występujące w cieplejszych okolicach strefy umiarkowanej, w lasach liściastych, przeważnie na glebach wapiennych.

⁶⁵ Szmelc rubinowy — szklista powłoka koloru czerwonego.

⁶⁶ W pierwodruku błędnie: Stary to lutnista.

⁶⁷ Epithalamium (z gr.) — pieśń weselna na cześć nowożeńców.

⁶⁸ W pierwodruku błędnie: miałby.

⁶⁹ Strzegomia — zawołanie rodowe Gniewosza z Dalewic.

⁷⁰ Andruszko — Andrzej Wigunt (a. Wingolt), starszy brat Jagiełły, księżę połocki; przez 3 lata więziony w Chęcinach za współpracę z Krzyżakami.

⁷¹ Czarna Wieś — wówczas przysiółek podkrakowski, dziś część Krakowa.

⁷² Łobzów — wówczas wieś podkrakowska, w której Kazimierz Wielki zbudował dwór dla swojej kochanki, Estery; dziś część Krakowa.

⁷³ Bant (z niem.) — tu: belka umieszczona między ścianami dymnika.

* Jest to znane przysłowie rusińskie: — Wperod ne wrywajsia, z zadu ne ostawafsia, seredyny derżys! Długosz świadczy, że król to często powtarzał.

⁷⁴ Wieża „Dorotka” — tu: więzienie zamkowe.

⁷⁵ W pierwodruku opuszczono wyraz: nie. Chodzi tu jednak o odróżnienia pachołków (straży) miejskich od pałacowych.

⁷⁶ Skazani — w pierwodruku było błędnie: skarani.